



**WAR BOOK**

**PIOTR  
LANGENFELD**



**WOJNA  
OSZUKANYCH**

PIOTR LANGENFELD

# Wojna oszukanych

---



© 2017 Piotr Langenfeld  
© 2017 WARBOOK Sp. z o.o.

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja i korekta językowa: **Magdalena Wosiek, Zespół redakcyjny**

Projekt graficzny, skład, eBook:  
**Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux**, atelier@duchateaux.pl

Ilustracja na okładce: **Jan Jasiński**

**ISBN 978-83-645-2388-5**

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**  
ul. Bładnicka 65  
43-450 Ustroń, [www.warbook.pl](http://www.warbook.pl)

*„Jestem przerażony. Wywiad na Rosję nie istnieje ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Wielkiej Brytanii. Wszystko to są poglądy, opinie i osobiste zdania generałów, polityków i sztabowców. Doświadczenia uczą, że osobiste zdania nie oparte na konkretnych, ścisłych informacjach, precyzyjnej kalkulacji, prowadzą do katastrofy. Wywiadami anglo-saskimi na Rosję Sowiecką kieruje dzisiaj wywiad sowiecki”.*

Z listu kapitana Jerzego Niezbrzyckiego – oficera Oddziału II, byłego kierownika Referatu Wschód – do generała Andersa, z kwietnia 1950 roku.

## PROLOG

**Maj 1945**

Pośród pól pokrywających okoliczne wzgórza, tuż przy asfaltowej szosie rósł niewielki las. Drogą, kiedyś ruchliwą, nikt nie podróżował – nie było samochodów, wozów konnych czy nawet wojskowych transportów. Cisza w tej okolicy, pokrytej zielonymi jeszcze zbożami, porastającymi morenowe wzniesienia, trwała od poprzedniego wieczoru.

Sierżant sztabowy Chriss biegł pochylony wzdłuż drogi. Towarzyszył mu – sapiący pod ciężarem stalowej skrzyni – radiooperator, który nie opuszczał go na krok. Odrapana lornetka dynała sierżantowi na szyi, szarpiąc rzemień, na którym była zawieszona. Podoficer wylądował na ziemi przy Charliem „Greenmanie” Zieliskym i ostrożnie, wolno, walcząc ze świszczącym oddechem, zaczął przyglądać się okolicy.

Za wzgórkami, w niewidocznym z ich miejsca punkcie, trafiony czołg płonął jak żagiew. Słup smolistego ognia rósł wysoko, ponad pola, będąc jasnym sygnałem, że droga jest zamknięta.

Blokowały ją miny, a dalej znajdował się niewielki zagajnik – zielona poszarpana plama na mapie, w której niemal na sto procent kryli się tamci.

– Moździerze gotowe – zakomunikował Tom, cały czas trzymając słuchawkę radia przy uchu.

– Powiedz im, że zaczynają za pół minuty – rozkazał Chriss, nie spuszczając wzroku z pełnego Niemców lasu. – Zresztą dam znać.

Rozejrzał się po przedpolu. Nie chciał żadnych niespodzianek, kiedy ruszą. Sprawdził po bieżnie własne szyki. Nie lubił tej chwili, po prostu nienawidził. Bez względu na to, jak by się nie szykował, był pewien, że któryś z jego ludzi nie wyjdzie z tego żywy.

– OK... – Zerknął jeszcze na zegarek. – Mogą zaczynać – powiedział spokojnie. Udawał, że to, co ich czeka, nie robi na nim żadnego wrażenia, i znów przykleił się do lornetki.

– Dajcie głos – powiedział do słuchawki równie spokojny Tom.

Salwa czterech moździerzy 81 mm gruchnęła z głuchym echem. Zanim granaty dosięgły celu, załogi strzeliły jeszcze raz.

Szarobrązowe obłoczki eksplozji zakryły pole przed zagajnikiem, zasłaniając kompletnie drzewa. Chriss nie widział dokładnie rezultatu, ale przeczuwał, wiedziony paroletnim doświadczeniem, że nie trafili w cel.

– O pięćdziesiąt metrów do przodu – instruował jak gdyby nigdy nic Tom.

Minęła chwila, zanim wprowadzono poprawki. Kolejny huk.

Charlie podniósł się na moment, choć swoim ludziom kazał siedzieć nisko. Wybuchy porozrywały zielen lasu, łamiąc kilka drzew. Płaskie obłoki rosły jeden po drugim.

– Dobrze idzie! – krzyknął z uśmiechem Greenman. Kiedy moździerze tłukły, w pobliżu jego pozycji, w siwo-żółtym obłoku spalin i kurzu przetoczył się wielki, majestatyczny Sherman. Stał nieco z tyłu, w zbożu, wypuszczając co rusz nową porcję spalin w kierunku nieba.

Został obłożony workami piachu i kilkoma belkami drewna – to była jego ochrona przed pociskami Panzerfaustów. Dowódca ostrożnie wyglądał przez wieżę, wypatrując celów.

Charlie podbiegł na tył maszyny, otworzył metalową puszkę z ukrytym w środku telefonem i gwizdnął dwa razy.

– Panowie! – krzyknął do załogi, ledwo słysząc samego siebie w kanonadzie i dudnieniu motoru. – Tylko uważajcie, do kogo strzelacie. Idziemy za wami, potem skok i ruszamy przodem. Jasne?

Dowódca wychylił się z wieży i krzyknął coś w odpowiedzi, ale Greenman zrozumiał z tego tylko gest uniesionego kciuka.

– Dobra, Charlie. – Bob Chriss wskazał ręką na podwładnego. – Dokopcie im!

– Chłopaki! Trzymać głowy nisko i nie wyłazić przed szereg – zakomenderował Greenman i przeładował swój pistolet M3.

Wyskoczyli schyleni, niepewni i ostrożni. Potwornie przerażeni. Tylko dudnienie czołgu i pokrzykiwania podoficerów dodawały nieco otuchy.

Sherman wyrwał do przodu jak narowisty żrebak, jakby jego szofer sam chciał wygrać to starcie. Zaraz jednak zwolnił, zapewne zrugany przez dowódcę.

Seria smugowych pocisków przeszła po ziemi. Wydawała się bezgłośnie, uniosła za sobą tylko resztki roślin. Dwóch ludzi z grupy Charliego zachwiało się i padło.

Medycy doskoczyli do nich momentalnie, ale Greenman nie miał czasu sprawdzać, kto dostał i z jakim skutkiem.

Skrzypiący gąsienicami Sherman nie dał się długo prosić o pomoc. Zaterkotały jego karabiny maszynowe. Przeczesywały zagajnik jaskrawymi liniami pocisków – od prawej do lewej, z mrozącym krew dźwiękiem, który temu towarzyszył.

Charlie popędzał ludzi, którzy teraz biegli przez płaskie i otwarte pole. Do celu mieli kilkaset metrów. Niemcy strzelali sporadycznie: kilka Mauserów, jakiś karabin maszynowy. Z daleka brzmiało to jak mokre chlapnięcia. Ciągłe walczyli.

Puls przyspieszał – tak z wysiłku, jak i z przerażenia. Nogi z trudem pokonywały kolejne metry, jakby umysł hamował bieg po pewną śmierć i nakazywał raczej paść na ziemię i przeczekać. Nikt jednak się na to nie odważył. Wiedzieli, że teraz było już za późno, by stanąć.

Dowódca czołgu postanowił kończyć zabawę. Sherman walnął ze swojego działa tak, że ci, którzy szli najbliższej, skulili się, niemal powaleni potwornym bólem uszu. Jasny błysk rozszedł się po lasku, unosząc jednocześnie za sobą czarny dym.

Moździerze dawno przestały strzelać. Albo skończyła się amunicja, albo piechota szła za szybko i ktoś przestraszył się, że trafi swoich.

– Ognia! – wrzasnął Charlie. Długo nie czekał, jego ludzie zaczęli strzelać, lekko zwalniając. Drużyna Tony’ego siedziała z lewej i nie szczędziła amunicji, żeby wesprzeć atakujących.

Amerykańskie pociski leciały z kilku stron, wpadając w przetrzebioną gęstwinę zagajnika. Szosą ruszyły trzy czołgi, którym dostępu do lasu do tej pory broniły działa i niewielkie pole minowe. Saperzy, którzy zakładali ładunki, musieli być zmęczeni i przez to zapewne pracowali niedokładnie, bo miny nie wyrządziły żadnej szkody.

Tamtym musiało być już wszystko jedno. Mieli dość. Z ich strony zamilkły wszelkie odgłosy. Nie minęło pół minuty, kiedy z czarnej, dymiącej plamy lasu zaczęły wyłaniać się pierwsze sylwetki. Nieśmiało, ostrożnie, machając uniesionymi rękami.

– Przerwać ogień! Przerwać ogień! – piłował gardło Charlie, choć sam przycisnął mocniej broń, niemal pewny, że wciąż coś się może wydarzyć.

Ale spomiędzy drzew wyszło jeszcze więcej Niemców. Szli równo, w zaskakująco sprawnym porządku, jakby już ćwiczili tę scenę. Krzyczeli coś piskliwymi głosami, choć z początku nie bardzo było wiadomo, co konkretnie.

Greenman zrozumiał ich dopiero wtedy, gdy zostawił z tyłu dudniący czołg.

– *Kameraden, Hitler kaputt!* – Doleciała go płatanina głosów, równa, jakby to chór zaśpiewał.

Ludzie Greenmana, równie młodzi co ich przeciwnicy, choć nieco bardziej rumiani i wyżsi, z błyskiem w oczach zaczęli przeszukiwać wychudzonych jeńców. Robili to z wielką gorliwością, co rusz klnąc, wykrzykując coś w podnieceniu i dysząc ciężko po długim biegu.

Sierżant Zielinsky rozkazał ślać Szwabów na tyły i wyznaczył kilku ludzi eskorty, tak jakby Niemcy mogli się jeszcze rozmyślić. Młodzi podwładni, którzy dostali to zadanie, nie byli z tego powodu zadowoleni. Za to na twarzach innych pojawił się uśmiech, kiedy dotarło do nich, że odnieśli pierwsze w życiu zwycięstwo. Pojmali pierwszych w życiu jeńców. Strach schodził z nich momentalnie, przeistaczając się w nerwowe salwy śmiechu i wiwatów.

Rozemocjonowany pododdział dotarł do pokrytego lejami, zasłoniętego gryzącym oczym lasku, który teraz wyglądał jak spalony skład drewna.

– Uważajcie na siebie, durnie! – Zielinsky nie wytrzymał. – Uważajcie na miny i skurwieli, którzy może się gdzieś skryli! – Gasił tę przedwczesną radość.

Sam stanął przy jedynym Niemcu, który albo nie chciał, albo nie miał sił iść do niewoli. WyceLOWał lufę M3 w pierś faceta. Uniósł hełm i otarł spocone czoło. Czuł, jak wełniana koszula klei mu się do ciała.

Niemiec bez protestu podniósł się wolno, spojrzał dużymi oczami na Polaka i zsalutował. Charlie zaskoczony oddał niedbale honory i zerknął wokół, czy aby na pewno ten salut skierowany został do niego. Był zdziwiony, że jego przeciwnik wygląda na niewiele starszego niż gnojki z jego plutonu. Twarz miał kościstą, szyję długą, a jego stalowy mundur Luftwaffe i policzki pokrywała gruba warstwa sadzy i kurzu.

Niemiec sięgnął spokojnie do kabury, wyciągnął pistolet i podał go Greenmanowi, pochylając głowę.

– *Surrender* – powiedział niewyraźnie wyschniętymi ustami i uniósł drżące ręce do góry. Charlie popatrzył na swe trofeum, niemieckiego Lugera. Spojrzał jeszcze na niemieckiego podporucznika, mierząc go od stóp do poczemiałej głowy. Nie bardzo wiedząc, co robić i jak się zachować, jak gdyby nigdy nic po prostu ruszył dalej.

Bitwa, a raczej potyczka, jakich ostatnio było wiele, bardzo wiele, wybrzmiała dawno. Wszystko się paliło, wokół roznosiła się przykra woń i ciemny, tłusty, duszący dym. Gdzieś nieopodal dudniły motory czołgów, dodające do dusznej mieszanki obłoki niebieskawych spalin. Amerykanie krzątali się po pobojuwisku, szukając pamiętek, medycy opatrywali jęczących cicho rannych Niemców. Jakiś młody Szwab, zszokowany widokiem, jakby niewidzialny, nie niepokoiony przez Amerykanów siedział na kamieniu, wpatrzony w płonące wraki kilku pojazdów. Chyba nie dotarło do niego, że jego wojna się kończyła. Poszło gładko, szybko. Wszystko trwało krócej niż kwadrans.

Charlie gapił się na pobojuwisko, co rusz rzucając okiem na swój łup i na jego poprzedniego właściciela, który jak pajac ciągle stał z rękami w górze.

– Czechosłowacja – powiedział do siebie, krzywiąc usta w smutnym uśmiechu. – Dobrze się zaczyna. ■

## ROZDZIAŁ 1

**Rok 1947**

Smoliście czarne, wczesnojesienne niebo, pokryte potężnymi chmurami, zlewało się w jedną całość z ciemną powierzchnią gruntu. Mimo niskiego pułapu ziemia – widziana z kabiny pilotów niemłodego już i wyeksploatowanego do granic używalności transportowego C-47 – wydawała się dziwnie odległa i wyludniona.

Już dawno minęli linię brzegową, ale nadal w dole nie zobaczyli niczego więcej niż kilka lichych świateł małych miasteczek i wsi. Od dobrych kilkunastu minut pilotowi zdawało się, że leci nad jakąś bezludną wyspą. Czterdziestolatek i jego o sześć lat młodszy kolega, zajmujący fotel drugiego pilota, dopiero po raz drugi pokonywali tę trasę i za nic nie mogli dopatrzeć się na dole śladów jakichkolwiek większych ludzkich siedzib.

– Jasna cholera – sapnął pilot. – Ciemno jak w dupie.

Drugi z mężczyzn, nie odrywając oczu od widoku za pleksiglasem, tylko kiwnął głową.

– Miało być łatwiej. – Pilotowi ta trasa nie podobała się już na odprawie. Nic tylko lasy i mokradła, i zdecydowanie zbyt dużo jednostek wojskowych.

Pamiętał dobrze jedną taką noc. Podobny teren. Też było cicho, a potem... Do dziś nie mógł rozsądzić, co zmusiło jego – starego i opanowanego lotnika – do wpuszczenia na pokład rozkrzyczanych spadochroniarzy. Coraz bardziej dziurawy kadłub jego maszyny – jeden z efektów huku eksplodujących pocisków – czy kurczący się zapas paliwa?

– Teraz przynajmniej nie strzelają – wypowiedział na głos myśl, jednocześnie szukając dłonią mapy.

– Co mówisz? – Ocknął się młody, jakby stwierdzenie było skierowane do niego.

– Nic, nieważne. Po prostu coś mi się zdaje, że trochę sobie tu polatamy. – Pilot, mrużąc oczy w słabym czerwonym świetle, próbował wypatrzeć cokolwiek, co pomogłoby mu upewnić się, że jeszcze się nie zgubił. Szybko dał za wygraną – za oknem ciągle nie było nic widać.

– A co, myślałeś, że będą nas witać jak na jakimś lotnisku w Paryżu? – Zachichotał młodszy. – Trzymajmy kurs, to się uda.

„Bo to takie, kurwa, proste” – pomyślał pilot, rzucając koledze chmurne spojrzenie. Wnerwiali go ci młodzi mądrule, co przyszli szukać przygody i teraz, po raptem kilku lotach, „wiedzieli” wszystko.

W ładowni, wypełnionej smrodem smarów i hałasem dwóch silników, znajdowało się trzech mężczyzn w zielonych kombinezonach. Oni też nerwowo rozglądali się po okolicy i – tak samo jak piloci – niewiele potrafili dostrzec.

– No to sobie pan wybrał dzień na wycieczkę – próbował zażartować młodzieńki, może dwudziestoletni, szczupły technik pokładowy. Od kilkudziesięciu już minut sterczał obok lampki przy drzwiach i pochylał się nad oknem.

– Ja przeżyję – odpowiedział spokojnie o wiele od niego starszy mężczyzna o szpakowatych włosach zaczesanych do tyłu i pociągłej twarzy z dość wydatnym nosem.

Miał szerokie jak na swój wiek ramiona i atletyczną sylwetkę. Technik podejrzewał, że ledwo zmieścił się w kombinezon, którego mankiety kończyły się wysoko nad dłońmi.

– Gorzej będzie z tobą, Max. – Starszy mężczyzna spojrział obojętnie na faceta, który – z założonym spadochronem i dużym zielonym workiem obok nogi – siedział naprzeciwko. Temu



spod zielonego skafandra wystawał kołnierz jasnej koszuli i liche, źle zawiązany krawat. Na głowie miał skórzany hełm, podobny do tych używanych niegdyś przez futbolistów. Na tę uwagę nie odpowiedział nic, tylko machnął ręką i jeszcze bardziej przywarł do okienka.

Starszy mężczyzna zauważył, że mimo pozornie niewzruszonej pozy skoczek nerwowo wybija nogą jakiś rytm, którego tempo niosło się po metalowej podłodze maszyny.

– Powinieneś przywyknąć, Max. Przecież to twoja trzecia próba. – Mężczyzna wykrzywił kąciuki ust w nieśmiałym uśmiechu.

– Widzę znak! – zawołał przez drzwi kabiny wyraźnie zadowolony pilot. – Zrobimy dwa okrążenia i zaczynamy!

Samolot szarpnęło i wysłuchony C-47 pochylił się na lewe skrzydło.

– Czyli do trzech razy sztuka, jak to tutaj mówią. – Uśmiechnął się nerwowo Max.

– Rzeczywiście jest! – Ucieszył się starszy, widząc w oddali niepozorne pomarańczowe błyski. Widomy znak palących się ognisk.

– Dobra. Panie Max czy jak tam... Przygotować się – nakazał poważnym głosem technik.

Max zerwał się, jakby nie mógł wytrzymać napięcia. Jeszcze zanim padła komenda, zahaczył linkę spadochronu o metalowy przewód u sufitu.

Technik zaczął otwierać drzwi.

Samolot cały czas krążył, a światła ognisk zrobiły się jakby wyraźniejsze. Całą trójką rzucało raz w prawo, raz w lewo, ale nie był to przecież luksusowy samolot liniowy. Technik uporał się z drzwiami i do środka wpadło lodowate, wilgotne powietrze. Starszy mężczyzna postawił kołnierz kurtki i wstał, trzymając się ścianek.

– Powodzenia! – krzyknął i klepnął Maxa w ramię.

– Dzięki – odpowiedział niewyraźnie skoczek, poprawiając już chyba dziesiąty raz pasek hełmu pod brodą. Zapaliła się czerwona lampka i samolot momentalnie wyrównał lot.

Technik gestem nakazał spadochroniarzowi podejść do drzwi. Nie było to łatwe, zważywszy na wielki wór przytroczony do jego nogi. Max oparł się dłońmi o krawędź samolotu i nie słysząc już nic, ogłuszony szumem wiatru i dźwiękiem silników, patrzył w ciemną dal, jakby bał się spojrzeć w dół.

Zapaliła się zielona lampka i technik zdecydowanie pchnął skoczka, który odbił się od krawędzi i poszybował w bok, a potem na dół. Sprawnie wyminął przy tym ogon maszyny. Pozostali na pokładzie mężczyźni wystawili głowy za drzwi, modląc się, żeby spadochron się otworzył. Kiedy ich oczy przywykły do ciemności i na tle niewyraźnej ziemi ujrzeli rozpiętą czaszę, odetchnęli z ulgą.

– To co, do domu?! – krzyknął pilot z wyraźnie słyszalną ulgą w głosie. W tej samej chwili maszyna przechyliła się, tym razem na prawe skrzydło.

– Kolejny raz OK – oznajmił technik, zamykając drzwi.

Drugi pasażer jeszcze przez moment obserwował, jak nikną i gasną ognie na ziemi.

– Rzeczywiście, udało się – wymamrotał i nagle poczuł ogarniające go zmęczenie.

Opadł na ławkę pod burta, zdziwiony, że mimo tak wielu lat w tym zawodzie adrenalina nie odpuszcza, a stres nadal dopada organizm, który domaga się snu. A przecież spał pół dnia, szykując się na ten lot, pierwszy, w jakim miał wziąć udział od zakończenia wojny. I mimo tego miał dosyć.

„Oj, za dużo siedzisz za biurkiem” – zrugął sam siebie w myślach. „Nawet biegi już nie wystarczą, stary pierdoło. Zapomniałeś, co to akcja”. Ziewnął, zamknął oczy, wygodniej ułożył nogi i powoli zaczął zasypiać.

Sen, który przyszedł, był dziwny. Znajdował się w ciemnym pokoju, w którym ktoś uderzał czymś ciężkim w stalowe wiadro, a nieprzyjemny i świdrujący dźwięk powodował, że aż się wzdrygał. Nagle poczuł ostry swąd i wtedy obudził go głośny huk.

Nie wiedział, na jak długo odpłynął, nie wiedział, co się dzieje. Swąd spalenizny nie zniknął razem z koszmarem, a samolot tańczył, przechylając się z jednego skrzydła na drugie.

Mężczyzna momentalnie się ocknął. Za oknem jaśniał pomarańczowy płomień głaszczący silnik maszyny. Technik wrzeszczał coś, trzymając się za okolice obojczyka. Zajęło mu kilka sekund, zanim zorientował się, że chłopak broczy krwią.

– Nie damy rady! – krzyczał przez drzwi pilot, ni to do niego, ni do siebie.

– Skąd leciał?! Ilu?! – pytał drugi głos w kabinie.

– Nie widziałem, nie widziałem... – W głosie pierwszego pilota zadźwięczała bezradność.

Pasażer doskoczył do technika i ostrożnie położył go na drgającej jak cały samolot ławce. Dopiero teraz ujrzał wielką dziurę w jego ramieniu.

– Boże... – wyszeptał, wpatrzony w gasnące oczy chłopaka.

– Załatwili nas – wyszeptał technik i w tej samej sekundzie głośny hałas, przypominający huk kamieni, wypełnił wnętrze maszyny.

Coś jasnego, z ostrym, głośnym gwizdem, mignęło kilka centymetrów nad głową mężczyzny.

– Strzelają! – W przerażeniu krzyknął sam do siebie. Znowu poczuł zimne powietrze, tym razem wpadające przez poszarpane poszycie.

Potem nastąpił straszny wstrząs. Mężczyzna spojrział na bladą twarz technika i poczuł, że coś ciepłego leje mu się po głowie. Wszystko jakby zwolniło, a on przestał widzieć.

– Krew... – jęknął i dopiero teraz do jego świadomości dotarł ból.

Słyszał jeszcze wołania pilotów – coraz słabsze, jakby dochodzące z oddali.

– Na siódmej... Widzę go...

– Mają nas, nie damy rady...

Maszyna podskoczyła jeszcze kilka razy i pochyliła się ostro do przodu, tak że mężczyzna upadł na podłogę jak szmaciana lalka i przeturlał się kilka metrów. Potem nadszedł jeszcze większy ból głowy, ostatni rozbłysk świadomości i zapadła ciemność...

\*

Chłodny wiatr gnał pożółkłe liście po betonowym podjeździe obstawionego autami garażu. Był to pierwszy tak chłodny, a zarazem bardzo słoneczny dzień tej jesieni w Jersey City. Ludzie, przytrzymując kapelusze i kołnierze, przemykali ulicami szybko, byle tylko ukryć się przed zimnem. Domy gotowe były na Halloween – wszędzie dookoła widać było upiorne głowy, szkielety i wydrążone dynie.

Obszerne wnętrze warsztatu „Greenman’s Mechanics” wypełniała głośnie muzyka wydobywająca się z radia. Jej dźwięki zagłuszały trzaskanie narzędzi, warkot silników i ciężkie dowcipy wymieniane przez pracowników. Ściany pokrywały poszarzałe ze starości plakaty reklamowe chyba wszystkich dostępnych w Stanach olejów silnikowych oraz niezwykle kolorowe wizualizacje kilku najpopularniejszych modeli amerykańskich aut. W rogu, tak żeby nie gorszyć co wrażliwszych klientów, znalazło swoje miejsce kilka plakatów z dziewczętami – kwintesencją stylu pin-up. Ubrudzeni mechanicy przytupywali w takt skocznych dźwięków, przeskakując zwinnie od pojazdów umiejscowionych na podnośnikach do półek narzędziowych, wiszących nad szerokimi stołami.

Karol Zielinsky stał przy oknie w swoim niedużym, skromnie urządzonej biurze. Przeszkło-

ne do połowy ściany działowe pozwalały mu obserwować, co dzieje się u chłopaków. Biurko udekorowane było niepasującymi do zatęchłego warsztatu polsko-amerykańskimi flagami, a pod dużym zegarem znajdowało się jego zdjęcie – wojskowego w mundurze armii USA, zrobione kilka lat temu w Europie. Obok, w brązowej ramce, wisiała naszywka z Czerwoną Jędynką, odpruta z którejś z jego kurtek.

Więcej pamiątek z tego okresu w swoim życiu nie eksponował, ale te dwie rzeczy miały uświadamiać pracownikom i klientom, zwłaszcza tym ociągającym się z płatnościami, że swoje przeżył i nie da się cwaniakom. Poza tym Charlie był bardzo dumny z tego okresu. Czasu, który zmienił jego życie.

– Karol... – oblepiony smarem, wycierający ręce w szmatę rudy mechanik zapukał nogą w otwarte drzwi.

– Sukinsyny... – zaklął pod nosem Zielinsky, rzucając na blat gazetę. – Co jest?

– Wyjrzyj przez okno, szefie. – Rudy wskazał głową na czerwonego nasha, który chwilę temu zaparkował na i tak zdrowo już zapchanym podjeździe.

Przed maską stał starszy człowiek o idealnie prostej sylwetce, w nieskazitelnie skrojonym, granatowym garniturze i nieco staromodnym kapeluszu. Wpatrywał się w otwarte drzwi garażu, a pod jego siwym wąsem malował się szeroki uśmiech.

– Nie. Znowu? – jęknął Karol, poprawiając pasek – Który to raz?

– Trzeci, panie szefie, trzeci w ciągu dwóch miesięcy – oznajmił rudy, zupełnie jakby prowadził dokładne statystyki.

– Ech, jasna cholera. Za dobrzy jesteście dla niego – westchnął Zielinsky.

– Nie my! To szef jest za dobry dla tego faceta... Tacy jak on, i w dodatku w tym wieku, nie powinni prowadzić samochodów.

– Marcin, pilnuj roboty, co? – Karol zmienił ton. – Ten facet trochę w życiu przeszedł i...

– Wiem, wiem... Zasłużony pan redaktor, kumpel może i samego Piasta Kołodzieja. Że walczył i tu, i tam... Szef lubi takie historie.

– No! – uśmiechnął się Karol. – Widziałeś to, panie mądralo? – Podniósł z biurka pomiętą gazetę. – Komuchy robią pieprzony wiec! – Podniósł nieświadomie głos. – Z okazji pieprzonej rewolucji z siedemnastego roku.

– Czegoś nie wiem czy mamy wolny kraj?

– Gównno tam, nie wolny. – Zielinsky uderzył otwartą dłoń w blat. – Te sukinsyny nie sąsługują na to... Dwa lata po wojnie... O, a tu... – Wskazał palcem na jakiś mały artykuł. – Kolejny aresztowany. Piszą „wydalony ze służby”, a ja ci mówię, to pewno szpieg. Mam nosa. – Zaczynał się nakręcać.

– Karol... – Marcin stęknął, a raczej łagodnie warknął. – Klient czeka – rzucił znudzony kolejną tyradą szefa. – Może ziółek jakichś chcesz? Tak jak mówisz, już dawno jest po wojnie. Auta naprawiasz, kurczę pieczone. Reflektor w samochodzie to nie plaża Omaha.

– Wiesz ty co...? – Zielinsky uniosł palec w sposób, który według niego miał być groźny. – Wiesz...? A, gównno wiesz.

– Dobra, dobra. – Na Marcinie mało co robiło wrażenie. – Pójdiesz tam? – spytał, choć niewiele go to obchodziło. Raczej bał się jakiejś rozróby. – Na ten wiec, ma się rozumieć.

– A jak myślisz? – Oczy Zielinsky’ego rozblęły. – Może to nie Omaha, ale zawsze jakaś rozrywka, nie?

– Oj, widzę, że cię nosi, sierzancie – skonstatował ponuro mechanik. – Kaśce się to nie spodoba.

– „Kaśce”? – zaśmiał się Karol, ciągle nie mogąc przywyknąć do spolszczonego imienia swojej żony, Katty. – „Kaśka”, jak o niej mówisz, nie musi o tym wiedzieć. Jasne?! – Znów pogroził Marcinowi palcem i zaraz puścił oko.

– Tak, tak. Co z tym dziadkiem? Robimy go czy jak? Bo nam tu zamarznie na tym podjeździe.

– Robimy – odparł z westchnieniem Zielinsky, niechętnie wracając do przyziemnych spraw. – Dawaj go na dwójkę. – Wstał z krzesła i zarzucił marynarkę. – Idę się przywitać.

Po drugiej stronie ulicy w załomie muru stał człowiek w ciemnym płaszczu i szarym kapeluszu. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nie obserwował, jak długo stał i przyglądał się warsztatowi „Greenman’s Mechanics”. Mężczyzna musiał w końcu uznać, że ma dość, bo wsiadł do buicka, włączył silnik i ruszył w stronę Nowego Jorku. Ale tego też nikt nie dostrzegł.

\*

Ciężkie, niemal czarne chmury wisiały nad partowskim rynkiem już od rana, zupełnie jakby czekały na jakiś znak. W takiej oprawie podniszczone domy sennego miasteczka wyglądały jeszcze bardziej ponuro niż zazwyczaj. Wrażenia tego nie zmieniał nawet gwar na placu – pełnym końskich furmanek, wozów i różnego rodzaju straganów. Kolektywizacja (lub jak kto wolał – spółdzielczość) powoli dawała się mieszkańcom we znaki i kto mógł, szukał sposobów, żeby zaopatrzyć się „u chłopca” na cotygodniowych targowiskach. Grupa handlujących, zachwalająca donośnie przywiezione świnie, kielbasy i jajka, garnki, mydło i powidło, wymieszała się z grupkami tych, którzy po zakończeniu interesów popijali tanią gorzałkę, zagryzając ją razowym chlebem i – jeśli kogoś było na to stać – swojską wędliną.

Spokojne, jak się od jakiegoś czasu wydawało, podlubelskie miasteczko rozbrzmiewało stukotem kopyt podkutych koni, krzykami ludzi i klaksonami nielicznych aut.

Młody, ale w widoczny sposób zmęczony chłopak w przetartym jasnym płaszczu i brązowej cyklistówce czekał na rogu. Niby to wpatrywał się w witryny sklepów, niby obserwował harmider na rynku, niby zapalał papierosa. Wiedział dobrze, że im dłużej tak sterczy, tym bardziej podejrzanie wygląda. Obejrzał już wszystko, co było do obejrzenia, i od ponad godziny stał jak ten kołek. Czuł, jak mimo zimna zaczyna się pocić z nerwów. Postawił kołnierz płaszcza, sądząc, że tak lepiej uchroni się przed ewentualnym rozpoznanie.

– Może zrobić rundę dookoła? – spytał cicho sam siebie, ale zaraz porzucił ten pomysł. Rozkaz był jasny: stać na czujce, dać znak reszcie. „Bienek” przywołał w myślach plan. „Jak wjadą, zdjęć czapkę i przetrzeć czoło dłonią. Ale jak oni mnie dostrzegą w tym bałaganie?” – przeraził się, zapominając o sporym doświadczeniu swoich kolegów w tej zabawie. „Nie moja sprawa, muszą sobie radzić”.

– Panie szanowny, daj pan ognia, jeśli łaska. – Chłopak usłyszał wysoki, nieco bełkotliwy głos za plecami. Serce podskoczyło mu do gardła.

Odwrócił się wolno i zobaczył małego, pulchnego mężczyznę w marynarce wytartej jeszcze bardziej niż jego płaszcz i w za małym kapeluszu. Facet pocił się obficie mimo ziąbu i rozchełstanej koszuli.

– Panie szanowny, ognia – ponaglił go mężczyzna, wypuszczając z siebie woń nieprzetrawionego alkoholu.

Chłopak bez słowa podał mu zapalniczkę.

– Dziękuję. – Pijaczek uchylił kapelusza, zapalił papierosa zrobionego z jakiejś gazety i ruszył w tłum, oglądając się jeszcze za siebie, jakby taksował „Bienka” uważnym spojrzeniem.

Chłopak westchnął ciężko. Wymacał w kieszeni pistolet – to nieco go uspokoiło.

„Co dalej? Ach tak... Gdy wyjdą z auta, walnąć tego, co idzie z tyłu, zabrać mu spluwę i osłaniać chłopaków, póki nie skończą w środku” – powtarzał w myślach plan. „Łatwo powie-dzieć”. Spojrzał w prawo, w stronę brudnego, pokrytego płatami odpadającej farby posterunku milicji, i dojrzał człowieka w niebieskiej bluzie wychodzącego przed drzwi.

„Też czekają...” – przygryzł wargi.

Na drugim końcu rynku milicjant przeciągał się leniwie, obrzucając tłum surowym spojrze-niem, niczym surowy władca swoich poddanych. Momentalnie wokół schodków, na których stał, zrobiło się luźniej. „Autorytet” ludowej władzy, a raczej jego wysuszona twarz i kabura, w którą znacząco stukał palcami, stanowiły jasny przekaz.

Temu bęcwałowi przed posterunkiem przyglądał się ktoś jeszcze. Wysoki, szczupły mężczyz-na o sportowej sylwetce i dobrze zarysowanej żuchwie, pokrytej dwudniowym zarostem, ubra-ny podobnie jak „Bienek” – w długi płaszcz, spod którego wystawały obute w oficerki nogi.

– Ty łachu... – powiedział cicho porucznik Maciej Gładyszak. „Jeszcze rok temu bałbyś się wyleźć z nory, żeby ci chłopaki z lasu nie odstrzelili kupra” – pomyślał. Podciągnął szalik wyżej na nos, prawie pod oczy, jakby zrobiło się mu zimniej.

Chyba podświadomie przywołał milicjanta, bo ten spojrzał w jego kierunku z taką wyższo-ścią, popartą noszoną przy boku tetetką, że Gładyszak mimo woli uśmiechnął się zażenowany. W tej chwili przypomniał sobie, że przecież to „Bienka” miał obserwować. Ten uniósł czapkę i zaczął nienaturalnie gładzić się po twarzy. Za kilka chwil zza rogu wyjechała, pyrkocząc gło-śno, amerykańska półciężarówka, tak zwana „dodżka”. Za nią mknął sowiecki gaz z postawioną budą.

– Oho, auto i obstawa – ocenił sytuację Gładyszak. Uniósł czapkę, jakby komuś się kłaniał. Stary sposób z niemieckiej konspiracji. „Bienek” już zmierzał w jego kierunku. Ale chłopaków z rynku oficer jeszcze nie widział. Może po prostu tak dobrze wtopili się w tłum.

– Co wy tacy opatuleni...? – usłyszał nagle ciekawski głos.

Oficer spojrzał przez ramię. Obok stał niższy o głowę milicjant, który najwyraźniej uznał, że się tu z niego żartuje, na co nie mógł pozwolić.

– Pokażcie no dokumenty – zażądał, unosząc głowę i przybierając groźną, jak się mu zdawa-ło, minę. Zlustrował zmrużonymi oczami zakrytą twarz oficera.

Zrobił to tak w tak sztuczny, a zarazem komiczny sposób, że Gładyszak znowu się uśmiech-nął.

– Głusi jesteście?! – krzyknął funkcjonariusz, ściskając kaburę. Ludzie na placu odsunęli się jeszcze dalej, patrząc, co się wydarzy.

– Zdzisiu się zdenerwował... – wyszeptała za plecami oficera jakaś kobiecina.

– No, albo znów kac go męczy i pokazuje, co to on nie jest – dodał inny, tym razem męski głos.

Gładyszak widział, jak mijają go dwa pojazdy, skręcają w lewo i parkują kawałek przed po-sterunkiem MO. Kiedy milicjant na chwilę odwrócił wzrok i pomachał do gramolących się z auta konwojentów, oficer udał, że szuka dokumentów w kieszeni.

Poczuł ulubiony i dobrze znany chwyt Visa. Wyciągnął go tak szybko i sprawnie, że mili-cjant nic nie zauważył, a jedynie poczuł, jak lufa wbija mu się głęboko w wychudły brzuch. Oczy niemal wyszły mu z orbit, a szczeka opadła w dół.

– Piśnij – szepnął przez przymknięte usta oficer w taki sposób, że nie wiadomo było, czy roz-kazuje, czy zakazuje.

Funkcjonariusz widział teraz zimne czarne oczy wpatrzone w niego i poczuł się jak ofiara hipnotyzowana przez węża. Kolana się pod nim ugięły i nie był w stanie się poruszyć. Przez krótką chwilę bał się nawet odetchnąć. Lufa Visa wbiła się jeszcze głębiej, między pas a zebra.

– Ruszaj! – warknął Gładyszak, widząc, jak mija go „Bienek”.

Dwóch ludzi, zbrojnych w pistolety maszynowe PPS, umundurowanych, jak przystało na funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, wysiadło już z Dodge’a. Trzeci ociągał się nieco i wynurzył się z auta po dłuższej chwili, niosąc jakąś metalową kasetkę.

Pchnięty przez Gładyszaka milicjant ruszył w stronę posterunku i nawet nie poczuł, jak oficer wyciąga mu z kabury pistolet.

„Bienek”, jak było nakazane, doskoczył do ostatniego w kolumnie ubeka przeciskającego się przez tłum. Wyszarpał z kieszeni pistolet, zamachnął się i łupnął nim z całej siły w kark funkcjonariusza. Ubek zacisnął zęby, syknął i osunął się na ziemię. Kilka kobiet w pobliżu wrzasnęło dziko i ludzie – jak na komendę – zaczęli uciekać, każdy w inną stronę.

Milicjant o imieniu Zdzisiu w obliczu dziejącej się przed jego oczami przemocy poczuł chwilowy przypływ odwagi.

– Reakc... – próbował krzyczeć, ale zaraz zamroczył go cios zadany jego własną bronią.

Pierwszy z ubeków odwrócił się gwałtownie, ale otoczony spanikowanym tłumem nie był w stanie wyciągnąć pistoletu. Seria kilku strzałów odbiła się echem po rynku. Ktoś wyskoczył z terenowego gaza, reszta grupy dołączyła do eskorty.

„Dobrze” – pomyślał Gładyszak. „Czas w końcu zrobić użytek z prawie pięciu lat ćwiczeń” – zaśmiał się w duchu.

Ubek stojący na schodach podniósł kolbę PPS-a, ale trzy strzały „Bienka” powaliły go na ziemię. Echo wystrzału wymieszało się z wrzaskiem przekupek. Funkcjonariusz z kasetką ruszył biegiem do wejścia, które – jak na złość – było zamknięte. Silna dłoń kolejnego z ludzi porucznika chwyciła go za kołnierz i przygięła do ziemi, jakby był szmacianą lalką. Potem dostał w twarz żelazem broni i przestał się ruszać. Gładyszak schował swoje dwa pistolety do kieszeni, rozpiął płaszcz i sprawnym ruchem wydobył maszynowego MP40.

W kilku skokach znalazł się przy wejściu do MO i serią przejechał po drzwiach.

„Bienek” klęczał przy jakimś straganie, po którego drugiej stronie znajdował się chłopak o ksywce „Poleszuk”. „Leon” i szef mieli wyczyścić wnętrze. Wszystko szło tak, jak zaplanowali. Niespodziewanie „Bienkowi” mignęła przed oczyma twarz, którą już gdzieś widział.

„Zwidy...” – przeszło mu przez głowę.

A jednak nie, nie mylił się. Pulchny pijaczek, którego częstował ogniem, parł w przeciwną stronę niż potok ostatnich uchodzących furmanek i rozhisteryzowanych bab. Biegł do posterunku, dysząc i wyciągając coś spod marynarki. „Bienek” kątem oka dojrzał jeszcze dwóch ludzi, którzy pędzili w jego stronę.

Gładyszak stał na środku ponurego, pomalowanego szaro-zieloną farbą i cuchnącego stęchłą postępu, celując do trzech prerażonych obrzępałów, których – po ostatnich walkach z innymi oddziałami i stratami, które wywołały – mianowano przedstawicielami władzy.

– Cela! – wydarł się oficer i przejechał po suficie serią z MP40, aż posypał się tynk.

„Władza” nie zareagowała, tylko jakby bardziej skuliła się, trzęsąc się ze strachu.

– „Leon”!

Młodzik w kaszkiecie kryjącym bujną czuprynę i jasnym prochowcu, opasany na twarzy szmatą, chwycił za pas najbliższego stojącego milicjanta. Twarz mężczyzny, nosząca ślady długiego nadużywania miejscowego bimbru, wykrzywiła się w prerażeniu. „Leon” zabrał mu broń i ze-

rwał pęk kluczy z haka sterczącego za kontuarem, którzy dzielił to obskurne pomieszczenie na dwie części. Pchnięty lufą Stena milicjant zrozumiał, co ma robić, i ruszył wąskim korytarzykiem do ciemnych cel posterunku.

– Oddawać broń! – nakazał surowo oficer, nie spuszczać lufy z pozostałych dwóch zzieleniałych ze strachu funkcjonariuszy. Posłusznie i powoli położyli na blacie dwa sowieckie pistolety. Maciej szybko wepchnął zdobycz do przepelnionych już kieszeni płaszcza. Na stojaku, za biurkiem dyżurnego, stał wiekowy Mosin.

– Psiamać – zaklął, gdy zrozumiał, że jeden z celów ataku, czyli zdobycie broni, pozostanie niezrealizowany.

Seria kilku strzałów na rynku odciągnęła jego uwagę od niewesołych rozważań. Podszedł ostrożnie do zakratowanego okna i dojrzał kilku swoich ludzi skulonych przy ubeckim Dodge'u. Inni z kolei kryli się przy powywracanych straganach.

„Bienek” przyciskał do ramienia PPS-a po zabitym ubeku i pruł po kilka naboju w stronę tajniaków, którzy nie wiadomo skąd wzięli się na rynku. Jednego trafił, bo ten leżał twarzą na bruku, bez jakichkolwiek oznak życia. Jego kumple ukryli się za jakąś furmanką, z której zwiął woźnica, a koń, widocznie nieprzywykły do strzelaniny w dzień targowy, miotał się w uprzęży.

– Nie ma! – wrzasnął „Leon”, wychodząc z korytarzyka i odrywając dowódcę od podziwiana widoków.

– Jak to? – spytał zaskoczony Gładyszak i skulił się momentalnie, bo jakaś kula rykoszetem stłukła lufcik w oknie.

– Cela pusta! Żywej duszy! – wrzeszczał pochylony „Leon”, ostrożnie podchodząc pod okno.

– Miał być. – Gładyszak wskazał lufą na pierwszego z lewej milicjanta. Głuche echo serii z broni maszynowej przeszło za oknem.

– Nic nie wiem, panie oficerze – mamrotał funkcjonariusz, przymykając oczy przy każdym słyszonym strzale. – Więźniów zabrali do Lublina jakieś pięć dni temu...

– Jak to zabrali?! – wrzasnął Maciej i mimowolnie zacisnął palec na spuście. W ostatniej chwili uniósł lufę i pociski zdruzgotały oblicze Bieruta wiszące w brązowej ramce.

– Przyjechał taki jeden... chyba z Lublina. Kapitan – zaczął mówić drugi funkcjonariusz. Jego czarne włosy lśniły od nadmiaru brylantyny. – Przywiózł jakiegoś takiego, ubrał go w cywilne łachy, że niby zwykły więzień. Potem żarcie kazał nosić i rozgadywali, że mają jednego z bandy... z oddziału – poprawił się, widząc, jak Gładyszak w złości zaciska dłonie na broni – „Pielgrzyma”.

– Mielśmy gadać po miasteczku, że to „Oczko” – wtrącił drugi, kuląc się pod spojrzeniem Gładyszaka.

Kilka kolejnych kul ze świstem przeleciało przez pomieszczenie, niosąc za sobą odłamki tłuczonego szkła i rozłupując tynk. Milicjanci padli na ziemię.

– Co z bronią? – Gładyszak wskazał na prawie pusty stojak, nie zwracając uwagi na brzęczące pociski.

– Zabrali! – krzyknął z podłogi czarnowłosy milicjant, nakrywając głowę rękami.

Gładyszak rzucił swojemu koledze wystraszone spojrzenie.

– Wiejemy. Spróbujemy innym razem – oznajmił trzeźwo „Leon” i kiwnął głową w stronę okna. – Gorąco się robi – powiedział, widząc, że na rynku pojawiło się kilku mężczyzn w wojskowych płaszczach. – KBW czy ubecja? – Nie miało to w zasadzie większego znaczenia. Stłukł szybę w oknie i pociągnął długą serią w kierunku idących funkcjonariuszy. Dwóch mundurów zahamowało gwałtownie, ślizgając się podkutymi butami po bruku, i przypadło do ziemi.

– Cholera, wiedzieli o nas! – wrzasnął „Pielgrzym” Gładyszak i splunął na posadzkę. – „Leon”!

– Tak jest! – Młody przestał strzelać.

– Gdzie ten trzeci?

– Zaprawiłem go, leży w celi. – Chłopak wydawał się niezwykle zadowolony.

– Dobra. Tych dwóch związać – rozkazał oficer, mierząc przez okno w stronę rynku. Jego ludzie na zewnątrz strzelali coraz oszczędniej i jasne było, że zaraz skończą się im naboje.

„Leon” nie potrafił znaleźć ani liny, ani niczego podobnego, więc kazał milicjantom skuć się kajdankami i zacisnąć jedną z bransoletek na rurze biegnącej do kaloryfera.

– Gotów! – wrzasnął i skulił się w pozie polującego drapieżnika. Przed sobą, na wysokości ramienia, trzymał pistolet maszynowy, a na jego twarzy pojawił się wyraz ogromnego skupienia.

Szybko analizował sytuację. Setki myśli i pomysłów przelatywało mu przez głowę, ale prawdziwą sztuką było instynktowne wybranie tych najlepszych i najbardziej realnych. Zwłaszcza że na niewielkim rynku pojawiło się z dziesięciu uzbrojonych ludzi. Kule z ich automatów bezlitośnie pruły w kierunku posterunku i unosiły obłoczki kurzu niebezpiecznie blisko jego ludzi skrytych za straganami i pojazdami. Ci odgryzali się, jak mogli, nie dopuszczając prześladowców bliżej. Dwóch mundurowych trafili na pewno. Trzeci, najwidoczniej tylko ranny, czołgał się do jakiejś bramy.

– „Leon”! – odezwał się „Pielgrzym” rozkazującym tonem. – Przekaż reszcie. Skokami do aut. Osłonisz ich, a mundurowych odciągnij kawałek, coby zgłupieli kompletnie. Resztę ściągnij do wozów. Potem improwizacja.

„Leon” przytaknął i mimowolnie westchnął ciężko, kiedy usłyszał ostatnie zdanie. W ustach szefa oznaczało to tyle, że za dobrze nie jest i trzeba będzie trochę więcej postrzelać.

– Liczę do trzech – oznajmił „Pielgrzym”. – Raz, dwa... – Nim skończył, młody kopniakiem otworzył drzwi, puścił serię przed siebie i, wciąż skulony, popędził z połami płaszcza unoszonymi przez wiatr.

Oficer opróżnił magazynek i sięgnął za pasek po kolejny.

Chwilę później „Leon” przekazał „Bienkowi” rozkazy od Gładyszaka. Nie wyglądał przy tym, jakby miał ochotę iść na wabia.

– Nie marudź, kurwa! – ponaglił go partyzant w kaszkiecie. – „Poleszuk”, za mną! – wydarł się „Bienek”, zmieniając już ostatni magazynek w PPS-ie. – Do najbliższej bramy!

Niski chłopak o dużych oczach i nieco płaskim nosie bez słowa ruszył pod świszczące kule, śląc w stronę wrogów niezliczone strzały ze swojego wiekowego Mannlichera. Ci zauważyli ruch i uznali, że banda odskakuje.

„Poleszuk” dopadł do bramy w rogu placu i – wiedząc, że jego spluwa nie na wiele się zda w walce z drużyną ubeków – z kieszeni obszernych bryczesów wyciągnął sowiecki granat. Szarpnął zawleczkę, zwolnił łyżkę, policzył do dwóch i cisnął „efjedyńką” przed siebie.

Eksplozja nie była duża. Podniosło się tylko trochę kurzu i dymu, a w jakimś oknie wyleciała szyba. Jeden czy dwóch mundurowych padło na bruk, ale nie było wiadomo, czy od ran, czy po prostu na ziemi poczuli się bezpieczniej. Za to koń, który cały czas szarpał się przy furmance, zerwał się galopem, jakby wóz przestał mu ciążyć. Głośno rżąc, popędził w stronę posterunku, odslaniając kilku ubeków, którzy zamarli na sekundę, zupełnie zaskoczeni i pozbawieni ukrycia.

„Bienek” ruszył do przodu, kiedy „Poleszuk” rzucał drugi granat. Był w połowie drogi, gdy obok niego wyrosły obłoki kurzu, podniesione kulami pepesz. Druga seria poszła wyżej. Poczuli gwałtowne uderzenie w pierś. Ślizgał się jeszcze kawałek na śliskim, starym bruku i dopiero po-



czuł ból. Krew trysnęła na ziemię i wtedy opuściły go siły. Padł na kolana, pochylił się i przewrócił.

– Kurwa mać! – wydarł się „Poleszuk”. Próbował pomóc koledze, ale gdy tylko wychylił się zza ściennego załomu, kula z karabinu przeszła mu rękę nad łokciem. Wyjąc z bólu, opadł na chodnik.

„Pielgrzym” zamarł. Widział dużo, za dużo, na wojnie, która dla niego i wielu jemu podobnych nie skończyła się w czterdziestym piątym, ale takiego widoku znieść spokojnie nie potrafił. A zdarzały się coraz częściej. Korzystając z zamieszania, kilkoma długimi susami doskoczył do auta, w którym za szeroką kierownicą siedział już „Leon”, niezgrabnie manipulując przy stacyjce. Szarża kompanów dała mu cenne minuty.

Reszta ludzi gnała skokami ku dowódcy i gramoliła się na pakę, ścigana brzęczącymi kulami, które co rusz stukały w blachę, wierząc w niej otwory. Ktoś jęknął, ale w tym piekle nie było mowy, by dostrzec, kto dostał i jak poważnie.

„Pielgrzym” spostrzegł rozłupaną kasetkę leżącą u stóp ogłuszonego ubeka, ale teraz miał inne zmartwienia. Słyszał, jak kule dziurawią jego zdobyczy pojazd.

Wyskoczył z auta.

– Do wozu! – krzyknął w biegu. Komenda skierowana była do pozostałych dwóch ludzi, którzy na drugim krańcu rynku wystrzelili ostatnie serie.

Sam wydobył stary niemiecki granat przypominający jajko. Pociągnął zawleczkę i rzucił go szerokim łukiem. Jeszcze zanim nastąpiła eksplozja, dopadł szybkim sprintem do oszołomionego „Poleszuka”, nie patrząc na martwe, zakrwawione ciało „Bienka”.

„Wielka szkoda” – tylko to w tej chwili przyszło mu do głowy.

– Dasz radę? – przekrzykując wybuch, zapytał „Poleszuka”.

– Chyba tak – jęknął chłopak, cały we krwi.

Gdzieś dalej znowu coś wybuchło, a to oznaczało, że reszta grupy też już odskakuje w kierunku wozu. Ubecki ogień, zduszony eksplozjami, jakby cichł. „Pielgrzym” chwycił chłopaka pod ramię i pomógł mu wstać.

– Spokojnie, mogę iść...

– Biegiem do wozu – nakazał dowódca tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Osłaniam! – dodał i posłał kilka pocisków w stronę ubeka, który próbował ustrzelić go z Mosina. Mundurowy padł na plecy, szeroko rozkładając ręce. Drzwi w najbliższej bramie zaskrzypiały. „Pielgrzym” drgnął i odwrócił się na pięcie, gotów wpakować w napastnika resztę zawartości magazynka.

– Panie oficerze... – Zamiast wystrzału ze szpary doszedł go głos starszego mężczyzny. – Pan nie strzela.

W ciemności Maciej dostrzegł okrągłą, pomarszczoną twarz, perkaty nos i parę inteligentnych jasnych oczu.

– Uciekajcie na Lublin. Obstawili miasteczko, ale na tamtej drodze ich mniej. – Drzwi zamknęły się delikatnie i oficerowi zdawało się, że było to tylko przywidzenie. Niemniej już kilka razy podpowiedzi zwykłych ludzi, którzy – niemal wszyscy – stali po jego stronie, ratowały mu skórę.

„Dodżka” wypełniona partyzantami, usadowionymi na pace i prującymi z otwartych drzwi, cofała szybko w kierunku dowódcy. Ten podbiegł do szoferki i stanął na stopniu.

– Na Lublin! – wrzasnął do „Leona” przez otwartą szybę.

– Jak to? – Na twarzy chłopaka pojawiło się bezmierne zdziwienie. – Lublin, kurwa mać? Tam? – bełkotał przerażony wizją wyjazdu na główny trakt.

– To rozkaz! – krzyknął „Pielgrzym”, strzelając z jednej ręki. – Ruszaj, do cholery!

Szofer pokręcił głową i wcisnął gaz. Auto podskoczyło i ruszyło, unosząc za sobą siwawy obłok spalin.

– Trzymajcie się! – zawołał „Leon” do reszty. – Damy radę! – próbował pocieszyć bardziej siebie niż kumpli.

Ci z kolei wyrzucili jeszcze dwa granaty, które z hukiem rozerwały się między domami. Puścili kilka serii i przymknęli drzwi. Auto zwolniło na zakręcie i „Pielgrzym” wsiadł do środka. Amerykański wóz wjechał w uliczkę i ruszył w stronę szosy lubelskiej.

– Ubezpieczenie wróci samo, dadzą radę. Nie będziemy ryzykować. – Gładyszak otarł spoczone czoło. – Straty?! – zawołał, spoglądając przez ramię.

– „Poleszuk” i „Borys” dostali, ale przeżyją – wyliczał ponuro „Wacek”, barczysty chłopak o grubym głosie – „Bienek”... sam wiesz.

– Szlag by to... – „Pielgrzym” już nawet nie potrafił porządnie się zdenerwować. W takich chwilach dopadała go paraliżująca niemoc. Trzepnął tylko dłonią w deskę rozdzielczą i zaczął nerwowo masować skronie. – Co było w kasetce? – spytał jeszcze.

– Nic. Pusto – odpowiedział „Poleszuk”.

– Cholera jasna. Żeby ich wszystkich...

Stracił ludzi i nic nie zyskał. Przynajmniej ten staruszek miał rację. Droga na Lublin była niemal pusta.

\*

Dużą, obitą boazerią salę konferencyjną wypełniał dym z papierosów. Zebrani pakowali dokumenty i notatki do wielkich teczek. Następnie podchodzili kolejno do przewodniczącego, ścisłali jego dłoń i ruszali w kierunku drzwi.

Długie i nudne (z uwagi na poziom szczegółowości) spotkanie powołanego w roku czterdziestym siódmym Komitetu Informacji dobiegało końca.

Raz w tygodniu *naczelstwo* KI konferowało, opisując wyniki prowadzonych akcji i wyznaczając kierunki działań. Nie było to łatwe zadanie, tak jak nie było łatwo skupić pod jednym szyldem ogień i wodę. MGB i GRU. Dwie organizacje, które szczerze się nie znosiły i – mimo swego profesjonalizmu – zwalczały wzajemnie przy każdej okazji.

Jednak ktoś na samej górze uznał, że skoro w USA zwarto szeregi, teoretycznie kończąc czasy rozdrobnienia różnych agencji i biur śledczych, czas ujednoczyć formy walki i tu, w Kraju Rad.

Kolejka bijących pokłony oficerów, weteranów niejednej operacji, powoli malała. Na jej końcu stał szczupły, wysoki mężczyzna ubrany w szyty na miarę, niemal angielski w stylu garnitur. Odróżniał się od reszty nie tylko ubiorem. Wzrok miał bystry, uważny – co w tym zawodzie akurat było raczej normą – jednak z jego oczu biła mieszanka inteligencji i pokory. Prawdziwej pokory, rzeczy rzadko spotykanej chociażby u konkurentów z GRU.

A może po prostu pierwszy zastępca, generał Piotr Fiodotow, rozumiał i znał warunki tej gry. Kilkunastu jego najlepszych ludzi po wzorowych akcjach na Zachodzie poszło w odставку, a i to jeśli mieli szczęście. Przecież byli... tam. Przez długie lata. Naoglądali się, przesiąkli... On nimi kierował, więc czy można było mu wierzyć?

Fiodotow doskonale wiedział, że go obserwują, bardzo uważnie go obserwują. Nie tylko starzy wojskowi, ale i te młode wilki, których oddech już czuł na karku.

Musiał się wykazać, udowodnić im, że ciągle coś znaczy w swoim fachu i nie zdiadział do

reszty. Ale czegoś takiego się nie spodziewał. Niby miał w zanadrzu nowatorski pomysł, coś, za co nie omieszkiał przypisać sobie zasługi, przynajmniej jako współtwórca planu, ale w środku dygotał ze strachu. I teraz jeszcze to...

Towarzysz przewodniczący bardzo zapalił się do pomysłu, choć sam Fiodotow nie pojmował tych wszystkich niuansów, naukowych odniesień i referował je raczej pobieżnie, lekko zażenowany, ku wielkiej radości generała Kuzniecowa, reprezentanta „zielonych”.

Wreszcie nadeszła jego kolej. Podszedł bliżej, wyciągnął dłoń i uklonił się. Patrzył na buty przewodniczącego, a kiedy uniósł głowę, poczuł dreszcze przechodzące po plecach.

Pięćdziesięciosiedmioletni mężczyzna o puciołowatej twarzy i mocnym karku, odziany w elegancki, ciemny dwurzędowy garnitur w zachodnim stylu, z szerokim przystrzyżonym wąsem i małymi okularami osadzonymi tylko na nosie, patrzył na niego z lekkim uśmiechem.

– Świetna sprawa, Piotrze Wasiljewiczu. – Głos Wiaczesława Mołotowa był faktycznie radosny. – Nowatorska, ciekawa, ale i trudna zarazem... Wy naprawdę uważacie, że takimi sposobami można będzie nadrobić straty ostatnich miesięcy?

Generałowi zrobiło się na moment zimno, ale potrafił opanować stres. Wyprostował się, a był o pół głowy wyższy od towarzysza przewodniczącego. Spojrzał mu w oczy i skłamał najlepiej, jak tylko potrafił.

– Tak jest. Wykonamy zadanie.

\*

– Wychodzę! – krzyknął Karol Zielinsky, przechodząc przez garaż. – Marcin, pilnuj interesu – dodał po chwili, nie odwracając głowy.

Kilku mechaników popatrzyło po sobie i zaraz wróciło do wymiany wału w wiszącej na podnośniku półciężarówce Chevroleta. Znali szefa już dobre dwa lata i wiedzieli, że jest na coś nieźle wkurzony.

– OK – rzucił Marcin, kiedy Zielinsky zniknął już za drzwiami. – Ech, Karolek... – westchnął, szykując się na długi dzień i ciężkie boje z Katty, przed którą zmuszony był kryć kumpla.

Charlie zapiął krótką kurtkę z jasnej wełny i nałożył na głowę brązowy kapelusz. Razem z szerokimi roboczymi spodniami z denimu i ciemnym szalikiem ten zestaw upodobił go do zwykłego robotnika. W powietrzu czuć było oddech zimy, nałożył więc skórzane rękawiczki. Podszedł do czarnego forda, rocznik 1940, popularnego w środowisku pracowników fizycznych, i otworzył drzwiczki. Trzymał to czterodrzwiowe autko na specjalne okazje. Odkupił je kiedyś od kolegi weterana, który po wojnie uznał, że należy mu się lepszy i większy wóz. Dzisiaj dopełniał on „robotniczy” wizerunek Karola.

Zasiadł za kierownicą, włączył silnik i ogrzewanie. Myślał chwilę, co robić. Kilka dni temu czytał w gazecie o nowojorskich obchodach trzydziestej rocznicy rewolucji październikowej, na którą wzywano czerwonych z całego stanu i Wschodniego Wybrzeża. Jacyś pajace stwierdzili, że nadchodzące obchody miały – jakoby – być wydarzeniem roku, nie tylko tu, w USA, ale i u Sowieców.

– Kretyni – powiedział sam do siebie Karol i sięgnął po papierosa. – Nie mają innych tematów – westchnął.

Tak naprawdę nie chciało mu się jechać do Nowego Jorku. Tłuc się przez miasto w piątkowych korkach, pędzić na Manhattan, do Madison Park, gdzie miało się wszystko zacząć. Ku wielkiemu niezadowoleniu Karola w Jersey też miało się coś dziać.

„Te sukinsyny są i tu” – pomyślał zdenerwowany. Ktoś widział ulotkę na mieście. Jakiś wiec

miał się odbywać w Elsworth Park, na rogu New York Avenue i 24 ulicy.

Po krótkim namyśle wybrał to miejsce. Szkoda zachodu na wyprawę na Manhattan. Nie wiedział, czemu to robi. Chyba po prostu po tym, czego nasłuchał się w Europie od kilkudziesięciu napotkanych i wyzwolonych z niedoli Polaków, i po tym, czego sam doświadczył, zwyczajnie nie mógł znieść, że jacyś durnie w czerwonych opaskach plotą idiotyzmy w jego ojczyźnie, nie mając bladego pojęcia, co ich kumple za wielką wodą wyczyniali w przeszłości i co zapewne robią teraz. Wiedział też, że sam za nic nie przekona nikogo z partii, żeby rzucił ją w diabły. Ale gdzieś z tyłu głowy krążyła myśl, że trzeba spróbować. Że może uda się zasiać zwątpienie w umyśle choć jednego Judasza, jak zwykli ich nazywać. I jeśli nie przekonać, to może ośmięszyc. Ale do tego trzeba było fizycznej siły, bo pustych dyskusji już próbował i był porażony teoretycznymi bredniami, jakimi go raczono.

Do Elsworth Park gnała go też zwykła ciekawość, bo nie mógł pojąć, jak taka utopia mogła porywać ludzi.

Kiedy mówił o tym w warsztacie, współpracownicy patrzyli na niego jak na szaleńca, uważając, że na wojnie młody Zielinsky zwariował i zaczął krucjatę przeciw czerwonym, którzy przecież nie byli tacy źli. Tak pisały o nich gazety. I to przez całą wojnę. Według mechaników to były fajne, odważne chłopaki.

Karol nic sobie z tego nie robił, bo poglądy miał zawsze te same, choć na wojnie jeszcze je usztywnił. Ba! On widział to szaleństwo w pełnej krasie.

Jednak perswazje i prośby Katty oraz Marcina dały mu domyślenia i zrozumiał, że musi przystopować, bo ludzie, a zwłaszcza klienci w tym kraju nie lubią zbyt nachalnego politykowania.

Niestety, przypłacił to narastającą wewnętrzną frustracją. Nieco pocieszyły go wydarzenia ostatnich miesięcy, kiedy prezydent Truman ogłosił cele swojej polityki, która miała pomóc wolnym narodom uniknąć ekspansji czerwonych. Wielu komentatorów zresztą mocno go za to atakowało. Jeszcze bardziej cieszyły go natomiast coraz częstsze wpadki sowieckich szpiegów i zapatrzonych w Stalina Amerykanów.

Tylko rodzice go rozumieli. Ojciec napatrzył się na bolszewików w dwudziestym roku, a potem mocno przeżył trzydziesty dziewiąty i to, co alianci zrobili pod koniec wojny. Na jakiś czas zamknął się w sobie i, jak wielu z jego pokolenia, których los rzucił do Ameryki, popadł w depresję. Oddał synowi całkiem dochodowy warsztat, po czym, pozbawiony złudzeń, odsunął się na boczny tor, z rzadka pomagając Karolowi.

Walenty Zielinsky ożywił się dopiero, kiedy Karol ożenił się z Katty – swoją miłością z liceum, a szczyt jego radości nadszedł, kiedy na świecie pojawił się mały Joseph, któremu rodzice nadali imię po Piłsudskim. Obawiał się tylko, że niektórym może wydawać się to hołdem dla innego Józefa, tego z Moskwy. Katty, jako rodowita mieszkanka Jersey, nie rozumiała tego patriotycznego podejścia, ale kto z tutejszych mógł zrozumieć ludzi, którzy kraj zostawili daleko, i to w obcych rękach?

Karol spostrzegł, że zbyt długo siedzi beczynnie za kierownicą. Papieros się dopalał, a wiec w Jersey zaczął się ze dwadzieścia minut temu. Wrzucił bieg i wjechał na zabudowaną parterowymi domami Duncan Avenue, a po kilkuset metrach skręcił w Lincoln. Potem przez kilka niezbyt uciążliwych kilometrów jechał stanową „dziewiątką”. Skręcił w Central Avenue, a następnie odbił w prawo, i po kilku przecznicach był przy Elsworth Park.

Kiedy parkował auto na zatłoczonej 22 ulicy, obstawionej z każdej strony kilkudziesięcioletnimi dwu- i trzypiętrowymi kamienicami czynszowymi, przypomniał sobie, że nie przygotował

żadnej wymówki na wypadek, gdyby Katty odkryła, że nie ma go w pracy. Miał nadzieję, że Marcin, jego prawa ręka i główny spec od motoryzacji, coś wymyśli. Zresztą był piątek, mógł przecież wyjść wcześniej albo pojechać po jakieś zamówione części. Podbudowany tym nieco naciąganym potencjalnym wyjaśnieniem wysiadł z auta.

Od razu usłyszał odgłosy przemówienia, które gdzieś daleko płynęło z głośników. Ruszył szybkim krokiem w Elsworth Park, sądząc, że cała impreza zaraz się skończy.

Przeszedł na drugą stronę przy kolejnej przecznicy, gdzie znajdowało się południowe wejście do niewielkiego dzielnicowego parku. Niski kuty płot okalał kilka brukowanych szarym kamieniem alejek, przecinających zwiędłą o tej porze roku trawę. Alejki obsadzone były gubiącymi liście drzewami. W głębi parku zgromadziło się może sto osób. Kolejne kręciły się wokoło, zważbione przedstawieniem. Dalej, pod sklepem spożywczym, stało kilku zmarzniętych policjantów w ciemnych uniformach i kanciastych czapkach. Wyglądali, jakby zesłano ich tu za karę.

Karol uśmiechnął się, bo nie wiedzieć czemu na lokalnym wiecu spodziewał się o wiele większych tłumów. Naciągnął kapelusz na czoło i ruszył naprzód. Szedł wolno, uważnie obserwując otoczenie i opasanych czerwonymi wstążkami mężczyzn. Tylko tacy uczestniczyli w wiecu.

Sam, bez proletariackiego identyfikatora, czuł się niepewnie, zaraz też spostrzegł kilka par oczu wpatrujących się w niego podejrzliwie. Ludzie dookoła w większości ubrani byli w jakieś wyświechtane kurtki, kombinezony i kaszkiety lub wytarte kapelusze. Jakby przyszli tu w przerwie na lunch. Cóż, pewnie większość z zebranych aż do dziś nie miała pojęcia, kiedy dokładnie była cała ta rewolucja.

Ci, którzy stali na niskim, zbitym z desek podium, przystrojonym czerwonymi oraz amerykańskimi sztandarami, przywdziali odświętne garnitury, eleganckie płaszcze i ciemne kapelusze. Każdy z tych ludzi miał wpięte na piersi czerwone kokardy. Najstarszy z nich, posiadacz wysuszonego oblicza o wystających kościach policzkowych i farbowanych rudawych włosach, właśnie przemawiał. Mówił o wielkości Lenina i jego dzieła sprzed trzydziestu lat, które obecnie, niezwykle sprawnie, dopełnia Stalin. Zielinsky podszedł bliżej i dopiero teraz spostrzegł, że przemawiający wygląda jak marna podróbka samego wodza rewolucji i zapewne na nim wzoruje swoje emploi.

Karol włożył ręce do kieszeni, w których miał schowane wydmuszki. Trzy jajka pozbawił zawartości, a następnie wypełnił skorupki czarną farbą. Początkowo chciał użyć zgniłych, ale Katty wyczuła, że coś w domu śmierdzi, i musiał zmodyfikować plan.

Przemawiający „sobowtór” Lenina przeciągał wyrazy i kiwał głową, jakby chciał podkreślić, że dana fraza jest niezwykle ważna. Reszta towarzyszy, rozumiejąc te zabiegi, od razu zaczynała klaskać, w czym momentalnie wspomagał ich tłum.

„Amerykański Lenin” skończył swoje przemówienie, uklonił się nisko i uniósł pięść w proletariackim pozdrowieniu. Nagrodzono go gromkimi, choć nie przesadnie długimi brawami. Mężczyzna wycofał się na tył sceny i – wzorem sowieckich towarzyszy – zaczął sam sobie bić brawo. Karol uznał teraz, że cała ta banda wygląda jak sobowtóry Sowietów, machających jak kukielki do tłumów na placu Czerwonym. Nie raz widział takie sceny w kronikach filmowych.

– Brakuje tylko wujka Stalina – powiedział teatralnym szeptem, a stojący przed nim niemłody facet odwrócił głowę. Zmrużył oczy, a jego pokryta bliznami szczeka i złamany nos dawały do zrozumienia, że to zaprawiony w ulicznych walkach *bojec*.

Patrzył czujnie na Zielinsky’ego, jakby chciał coś powiedzieć. Karol nie przejął się tym zbytnio. Wlepił w niego wzrok, a tamten mruknął coś i odwrócił się w stronę podium.

Do mikrofonu podszedł jakiś tęgawy, niski mężczyzna, o okrągłej, bladej twarzy. Najpierw zaprosił wszystkich zebranych na uroczystości w Nowym Jorku, a następnie zaczął mówić prawie to samo co jego poprzednik, czyli opiewać sukcesy rewolucji.

Minęło dziesięć minut, kiedy towarzysze postanowili zakończyć wiec i odśpiewać jakąś rewolucyjną pieśń. Wszyscy zebrani przybrali pozę, która według nich była postawą zasadniczą, i zaintonowali pierwszą zwrotkę.

Zielinsky uznał, że to odpowiednia chwila, by przypuścić atak. Spojrzał za siebie. Było tam tylko kilku wątych szczeniaków, choć dalej stał jeden wysoki osiłek w za ciasnym kapeluszu.

„Trudno” – pomyślał Polak. „Nie z takimi dawałem sobie radę”. Wyciągnął ostrożnie dwa jajka i ukrył je w dłoniach. Przymierzył dobrze i cisnął najmocniej, jak potrafił. Jajko poszybowało prosto w okrągłą twarz ostatniego mówcy. Trafiony zakrzuszył się czarną farbą. Stał osłupiały z otwartymi ustami i błyskającymi spod mazi białkami oczu.

Pieśń urwała się gwałtownie. W parku słychać było jedynie szum wiatru i dźwięki dochodzące z ruchliwej ulicy. Zanim ktokolwiek zrozumiał, co się dzieje, Karol cisnął drugim jajem, które łukiem poszybowało w stronę „Lenina”. Ale ku zaskoczeniu jego i wszystkich zebranych stary towarzysz okazał się zwinniejszy niż grubas przy mikrofonie i sprawnie uskoczył. Farba rozprysła się na podium, nieco tylko ochlapując mu płaszcz.

– To on! – krzyknął grubas o czarnej twarzy, wyciągając trzęsącą się z nerwów rękę w stronę Karola. – Towarzysze... – wzywał do działania, ale Zielinsky już go nie słuchał.

Widział teraz przed sobą posiadacza złamanego nosa, pałającego żądzą krwi. Facet podciągnął rękawy kurtki i już miał zdać cios potężnym kułakiem, kiedy Polak uświadomił sobie, że ma jeszcze ostatnie jajko. Wyszarpnął je i walnął prześladowcę prosto w twarz. Ten zachwiał się, co dało Karolowi czas na ucieczkę. Uderzył głową dwóch cherlawych towarzyszy, choć ci nawet nie zamierzali mu przeszkadzać. Wśród zebranych podniósł się wrzask. Kilka osób próbowało chwycić Karola, ale ten umiejętnie się wyrwał. Przedzierał się przez tłumek i poczuł, że ma porwany rękaw. Ktoś zrzucił mu z głowy kapelusz, ktoś inny próbował chwycić go za nogę. Od wolności dzieliło go jeszcze kilka metrów, gdy osiłek, który widocznie znał swoje mocne strony, ruszył, by wymierzyć mu karę. Podniósł wielkie, muskularne łapsko i machnął nim z całej siły. Karol uchylił głowę i cios dosięgnął jakiegoś nieszczęśnika za jego plecami. Osiłek, mimo że wysoki i silny, był także wyraźnie powolny. Charlie walnął go pięścią w twardy brzuch, ale niewiele to dało. Jego przeciwnik zamachnął się raz jeszcze, tym razem trafiając Polaka w szczękę. Zielinsky zachwiał się, poczuł szum w głowie i świat lekko zawirował. Opanował się szybko, acz z trudem, i posłał cios w podbródek olbrzyma. Jego głowa poleciała to tyłu. Karol, nie tracąc rezonu, posłał jeszcze jeden prosty pod brodę, a drugą ręką uderzył faceta w nerki. Tamten skulił się, sycząc, i wtedy Charlie walnął go czołem w nos, aż zahuczało mu pod czaszką. Wygrał pojedynek, ale stracił szanse na ucieczkę. Czuł ciosy z każdej strony. Próbował się wyrwać i bronić. W ogólnym hałasie dobiegły go odgłosy gwizdków. Kilku policjantów, torując sobie drogę przez tłum drewnianymi pałkami, zaczęło rozdzielać walczących.

Silne ręce chwyciły Karola i pociągnęły ze sobą. Kątem oka dostrzegł, że podobny los spotkał podnoszonego z ziemi osiłka i faceta ze złamanym nosem, teraz uwalanego farbą. Tłum coś krzyczał, a ludzie przy płocie śmiali się zadowoleni, że kilkugodzinne stanie na zimnie opłaciło się i mieli niezłe przedstawienie. Przed bramą, wyjąc syrenami, zatrzymał się czarno-biały radiowóz o garbatej karoserii. Jeden z gliniarzy otworzył tylne drzwi, a drugi zapiął Karolowi kajdanki na przegubach.

– Wsiadaj – warknął i pchnął go do wnętrza auta.

\*

W ciemności, jaka panowała w furgonetce, wyboje moskiewskich ulic były jakby bardziej dokuczliwe. Autem rzucało co jakiś czas, a siedzący na drewnianej ławce oficer objął się jak piłka o ściany.

„Może to już nie Moskwa” – pomyślał zaniepokojony major Stiepan Zardow. Choć był szkolony, by dać sobie radę w takich sytuacjach, za nic nie mógł dociec, ile już go tak wożą w zupełnej ciemności.

– Ani dojrzeć zegarka, ani żadnego punktu odniesienia... E tam. – Machnął ręką. – To swoi. – Uspokajał sam siebie.

Jeszcze chwilę temu w swoim pokoju szykował się do zadania w Berlinie Zachodnim. Czytał życiorys pewnego gagatka, którym rozkazano mu się zaopiekować.

Weszło ich dwóch. Bez pukania. Poprosili uprzejmie, lecz stanowczo, żeby szedł z nimi i zabrał materiały do sprawy, którą w wolnych chwilach opracowywał, a którą nieśmiało przedstawił kierownictwu Zarządu Pierwszego. Kilka tygodni temu ktoś się tym zainteresował, bo kazano mu uszczegółowić założenia operacyjne.

Ci dwaj byli od Fiodotowa, nie z wewnętrznego, więc nic nie powiedzą. Skoro sam pierwszy zastępca wzywa... Chociaż, prawdę mówiąc, spodziewał się innego rodzaju spotkania. Miłej, cieplej limuzyny, a nie ciemnej, ponemieckiej furgonetki Steyera, która z zewnątrz wyglądała jak wóz do wożenia chleba.

Chciał zapalić, ale w mroku zgubił trzy kolejne zapalki, które wyciągnął z pudełka, więc dał spokój.

„Oj, Stiepan, starzejesz się” – pomyślał. „Kiedyś w Madrycie czy Londynie, a nawet w syberyjskim łągrze... W najczarniejszym schronie, przy najgorszym bombardowaniu, w najgorszym mrozie i głodzie zapalało się papierosy. A teraz...”

Auto zwolniło i zahamowało tak gwałtownie, że major o mało nie zleciał z ławki. Uznał, że kierowca zrobił to specjalnie. Wóz skręcił w prawo, podskoczył kilka razy i stanął.

Zza ściany auta usłyszał kroki. Drzwi się otworzyły i jakiś głos nakazał:

– Wysiadać! No szybciej – ponaglał.

„Żadnego szacunku dla stopnia” – oburzył się w myślach Zardow.

Chwycił skórzaną teczkę, wysiadł i momentalnie zasłonił oczy porażone jasnym światłem dnia. Nie widział za dużo, jedynie szaro-brunatne podwórko, popękane ściany z odpadającym tynkiem, kilka okien.

Silna ręka pchnęła go do wejścia. Był w ciemnej klatce schodowej. Śmierdziało w niej moczem i stęchlizną.

– Na górę, proszę – powiedział oschle wysoki osiłek o płaskim nosie i w czarnym kaszkiecie na głowie. Czego jak czego, ale szacunku ze strony państwowych funkcjonariuszy Stiepan jak dotąd nie uświadczył.

Szli szerokimi, trzeszczącymi drewnianymi schodami, wijącymi się przy obrzydliwych ścianach, z których odpadał zapleśniały tynk, odsłaniając stare cegły. Na drugim piętrze eskortujący go człowiek kazał mu zatrzymać się przy ogromnych drewnianych drzwiach – jednych z trzech. Zastukał parę razy. Major, niższy od swego przewodnika o głowę, stał potulnie za nim. Rozejrzał się po piętrze. Nie miał pojęcia, w której dzielnicy Moskwy się znajdował, ale wiedział, że za pewne całe piętro zajęte jest przez ludzi z MGB.

Takich konspiracyjnych lokali było mnóstwo i chyba tak naprawdę nikt nie wiedział, ile do-

kładnie jest ich w stolicy. Przyjmowało się tu agentów, szkoliło młode kadry, przeczekiwało kłopoty, piło albo prowadziło tajne rozmowy. Takie jak ta, której Stiepan się spodziewał.

Trzasnął zamek i wysokie drzwi otworzyły się bezdźwięcznie. W progu stał barczysty młodzieniec o prostej twarzy kołchoźnika, noszący za dużą, jasną marynarkę i brązowy golf.

Bez słowa wskazał ręką przedpokój, gestem zapraszając do środka.

Major omiół wzrokiem całe pomieszczenie. Korytarz był długi i pomalowany żółtą farbą olejną. Po prawej stronie widział zamknięte drzwi, zapewne wejście do kuchni. Po lewej także znajdowało się jakieś zamknięte pomieszczenie. Zardow minął prosty wieszak, złączony z połączoną szafką na buty, i ruszył do uchylonych drzwi na końcu korytarza.

Kiedy major otworzył je szerzej i wszedł do obszernego salonu, jego opiekun zniknął w kuchni.

Jasne światło wpadało przez gęste firanki i oblewało pnące się ku niemu rośliny w ciężkich glinianych donicach, ustawionych na taboretach i żelaznych stojakach. Przy okrągłym, pokrytym koronkową serwetą stole siedział w oparze papierosowego dymu generał Fiodotow.

Zardow wyprężył się jak na defiladzie.

– Towarzyszu generale, pozwólcie zameldować...

Gest generalskiej dłoni zaraz go uciszył.

– Dajcie spokój. Siadajcie. – Fiodotow uśmiechnął się niemal szczerze i zgasił papierosa w porcelanowej popielniczce. – Siadajcie, Zardow. – Wskazał krzesło naprzeciw majora.

Ten uklonił się, zamknął drzwi i usiadł, nie zdejmując jasnego płaszcza.

– Jak tam droga? – spytał generał, splatając dłonie na stole.

– Dziękuję, dobrze – skłamał major, nerwowo szczerząc żółte zęby. Obecność szefa bardzo oneśmiała tego doświadczonego sowieckiego wywiadowcę.

– Wybaczcie formę zaproszenia, ale chyba nie muszę wam tłumaczyć powodów? – Generał klepnął dłonią w stół.

Zardow tylko pokręcił głową.

– Dziura. – Fiodotow popatrzył po pokoju. – No, ale wy niedługo lepsze pooglądacie... apartamenty. – Ostatnie słowo powiedział wyraźnie, nieprzyjemnie się uśmiechając. – Nie będzie to Londyn, Paryż, ale tam też potrafią mieszkać...

Zardowa przechodziły dreszcze. Powoli pojmował, co może się zdarzyć.

– Towarzyszu generale, chcę powiedzieć, że...

– Tak – przerwał głośno generał. – Macie pozwolenie... z samej góry. – Urwał i zastygł wpatrzony w podwładnego. Zdawało się, że za moment otworzy usta, sypiąc potokiem przekleństw. – Wiecie, jak o was mówią? – odezwał się wreszcie, hamując wybuch. – W kierownictwie?

Zardow tylko pokręcił przecząco głową.

– Laborant. Major-laborant. – Generał zdusił papierosa i sięgnął po następnego, ciągle wpatrzony w Zardowa jak drapieźnik w ofiarę. – To, co proponujecie... co zaproponowaliście zarządowi, to jeden pierdolony eksperyment. – Znów zaczął buzować złą energią. – Główny przeciwnik uczy się, rośnie w siłę... Zresztą... doskonale wiecie.

Fiodotow wstał, zaciągnął się dymem i podszedł do okna. Znów milczał kilka chwil, jakby cała ta, w sumie rutynowa, rozmowa drażniła go.

Odwrócił się, trzymając papierosa między palcami. Jego czerwona twarz wyrażała wściekłość.

– Mieliście czelność słać to do góry bez mojej wiedzy?! – Echo krzyku poniosło się po wysokim pokoju. – Spodobało się tam! – Trzasnął dłonią w stół tak mocno, że papieros się złamał.



Generał dyszał głośno, bezwolnie zaciskając żuchwę.

– Stiepanie Aleksadrowiczu... – zaczął cedzić słowa. – Nie takie są zasady. Powinniście to najpierw uzgodnić ze mną...

Major próbował coś wtrącić, ale jedno spojrzenie zgasiło jakąkolwiek wolę oporu.

– Tylko to wam ratuje dupę, że macie akceptację najwyższych czynników. Chcieliście się popisać, pokazać, no to macie... Sami to zrealizujecie i sami za to odpowiadacie. Jeśli się coś spierdoli... to was... – Generał przerwał. Obaj doskonale wiedzieli, że w takim przypadku nie tylko Zardowa czekają trudne chwile.

Ambitne plany są dobre, kiedy mają szansę się wypełnić. Tu niewiele wskazywało na sukces. Zwłaszcza w drugiej części planu.

Fiodotow zrobił kilka rund dookoła stołu, jakby chciał się uspokoić. Wcisnął w usta papierosa, zaciągnął się i dopiero wtedy spostrzegł, że trzyma niezapaloną bibułkę.

Sięgnął po ogień i usiadł naprzeciw ciągle zszokowanego Zardowa.

– No, co się gapisz? – prychnął generał, naciskając kółko zapalniczki. – Głuchyś? Robotę ci przydzielam.

Dopiero teraz w głowie Zardowa odezwał się jakiś potężny dzwon. Major drgnął, zrobiło mu się ciepło i uśmiechnął się pod nosem.

„Żyjemy” – przyszło mu do głowy.

Generał rozparł się w krzesło i patrzył na niego chwilę w milczeniu, delektując się dymem i mrużąc oczy. Sięgnął gdzieś pod nogi. Pogrzebał w stojącej na podłodze teczce, wydobyl jakieś papiery i cisnął na stół.

– Czytajcie – rozkazał.

Zardow łapczywie pochłaniał wzrokiem tekst i z każdą liniijką jego pulchna twarz robiła się coraz jaśniejsza.

Doszedł do ostatniego akapitu i aż zagwizdał pod nosem.

– Taki prezent? – Znów gwizdnał. – Kiedy?

– Niedawno. – Generała opuszczało napięcie. Mówił już normalnie. – Zestrzelony nad Polską. Wolałbym, żeby to się stało nad naszą zoną w Niemczech, no ale to by się nie składało z waszymi zamierzeniami, prawda? Mieliśmy sygnał, wystawili go nam i oto jest. Zasługa niejakięgo... „Laufra”. Dobry *bojec*, dobry! – Generał na sekundę uciekł myślami gdzieś daleko.

– Ale... – Zardowa dopadła niespodziewanie wątpliwość. Zmarszczył brwi. – Czy on fizycznie da radę?

Usta Fiodotowa wykrzywił wyraźny grymas satysfakcji.

– O, to już nie moje zmartwienie. Sami to zaczęliście. Popróbujcie wydobyć, co się da. Wykorzystać te wasze sztuczki. – Zrobił zamaszysty gest, pakując papierosa między wargi.

Zardowa opuścił pogodny nastrój. Pojął, że nikt nie będzie mu niczego ułatwiał.

– Metody są stricte naukowe... Było w tej materii wiele sukcesów... Z jeńcami... – mówił cicho, jakby przekonywał samego siebie.

Fiodotow patrzył na niego jak na człowieka niespełna rozumu.

– Mnie te szczegóły mało obchodzą. Naprawdę. – Zdawał się nudzić. – Ważne jest, Zardow, że zainteresowaliście górę. – Poniżanie majora tym argumentem sprawiało mu najwięcej satysfakcji. – Macie spore możliwości. Pomoc naszej rezydentury, dowództwa armii, a do tego możecie sobie wybrać figurantów. Sami, osobiście, na wasze konto. Ale czasu macie mało. Powiem wam... – zasepił się nagle – że cisną nas, cisną ostro. Trzeba rezultatów, jakiegoś sukcesu. – Cofnął głowę, jakby coś sobie przypomniał. – A wy w ogóle dacie radę zebrać zespół? – Pytanie

zabrzmiało zarazem napastliwie i lekceważąco. Jakby Zardow był nowicjuszem albo – co gorsza – ostatnim głupkiem.

– Dam. – Odpowiedź padła od razu. Pewna, podszyta wyraźnie słyszalną irytacją. – Kilku już sprawdziłem – dodał Zardow z nieskrywaną dumą. – Siedziałem w papierach... było z czego wybierać. – Żarcik nie rozbawił szefa. Pewnie wolałby, żeby ten pucołowaty major tkwił w swojej norze dalej.

– Macie niecały tydzień. – Fiodotow podparł się na łokciach. – Dokładnie... pięć dni i rozkaz wyjazdu.

Zardow pobladł, znów zaskoczony. Tego wszystkiego było za dużo, tempo było zbyt szybkie. Nawet jak na niego.

– Dostaniecie kryptonim operacji. – Generał wyprostował się. – „Turist”. ■

## ROZDZIAŁ 2

– Wychodzisz. – Zielinsky usłyszał głos policjanta przedzierający się przez półsen, w którym trwał od kilku godzin. Uniósł pognieciony, brudny kapelusz, którym osłaniał oczy przed światłem tłącej się pod sufitem lampy.

– Jak to wychodzę? – spytał zaspanym, zdziwionym głosem i ziewnął przeciągle.

– Ktoś wpłacił kaucję. Ponoć twój znajomy – oznajmił gliniarz i klucz zachrobotał w zamku kraty.

– Marcin – ucieszył się Zielinsky, podnosząc się z twardej pryczy posterunku na 30 ulicy.

Siedział tu od poprzedniego dnia, kiedy wiekowy sędzia okręgowy, chyba hobbystycznie wsadzający ludzi za kraty w trybie doraźnym, skazał go na pobyt w areszcie, póki ktoś nie zapłaci kaucji. Karol narzucił i zapiął kurtkę, służącą mu do tej pory za koc. Teraz spostrzegł, jak bardzo jest podarta. Lewy rękaw trzymał się na kilku nitkach, a i kieszenie zostały nieźle poobdzierane. On sam też nie wyglądał najlepiej. Mijając w korytarzu lustro, zobaczył swoją twarz. Obecnie przypominała krwawą miazgę. Z resztą też nie było dobrze. Coś bolało go na wysokości żołądka. Tak naprawdę cały był obolały, ale jednocześnie zadowolony.

– Nieco im popsułem zabawę – mamrotał do siebie, uśmiechając się szeroko.

Sąd wyznaczył termin pierwszej rozprawy – już za dwa tygodnie, no i czekało go poważne starcie z Katty. Marcin pewnie też go zdrowo obsobaczy. Cóż, wiedział, jakie jest ryzyko, i teraz był gotów na czekające go zmycie głowy, a także, jeśli trzeba, urzędową karę.

Minął celę, w której siedzieli dwaj czerwoni towarzysze z wiecu, w tym cały czas usmarowany zaschniętą farbą mężczyzna ze złamanym nosem. Karol zaśmiał się głośno i pomachał mu. Sprowokowany człowiek warknął coś i pogroził mu pięścią.

– Następnym razem popamiętasz mnie, gnojku – dobiegło uszu Zielinsky'ego, kiedy siwy pięćdziesięcioletni sierżant, o nieco już wystającym brzuchu opiętym czarnym mundurem, otwierał przed nim ostatnią kratę. Posterunek był niemal pusty. Jakiś policjant siedział na ławce ustawionej pod zakrytą listami gończymi i ogłoszeniami ścianą. Gdzieś z głębi dochodził ledwo słyszalny głos z radia. Drugi gliniarz pisał coś w papierach zaścielających biurko.

Policjant chwycił stanowczo Karola za ramię i pchnął go w stronę stanowiska oficera dyżurnego. Szczupły gość o zaczesanych do tyłu falistych włosach wstał bez słowa i położył przed Zielinskyem kilka osobistych rzeczy, które zabrano mu przed wysłaniem go na dołek.

– Prawo jazdy, zegarek, pasek... – zaczął wyliczać znudzonym głosem, zerkając na trzymaną w rękę listę – ...portfel, prawo jazdy, sześćdziesiąt dolarów i trzydzieści osiem centów, zapalniczka, paczka papierosów, klucze od samochodu.

Karol podpisał listę i zaczął wkładać pasek w szlufki. Podziękował uprzejmie, ale gliniarz, który już usiadł na krześle, coś tylko mruknął urzędowym tonem i wrócił do swoich papierów.

Nigdzie nie było Marcina ani Katty. Karol poczuł się nieswojo i ruszył do wyjścia.

Stanął na schodach posterunku i przez chwilę, jeszcze nieco ospały, szukał wzrokiem auta swojego współpracownika. Przeszył go chłód listopadowego przedpołudnia, więc postawił kołnierz i już miał skrócić w zastawioną samochodami ulicę, kiedy spostrzegł, że pod jedną z kamienic po drugiej stronie jezdni stoi wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu i szarym kapeluszu. Oprócz niego przed posterunkiem nie było żywej duszy.

Obcy przyglądał się Zielinsky'emu z uwagą. Nawet kiedy Karol w odruchu obronnym przy-

brał groźną minę, nie spuszczał z niego wzroku. Polak rozejrzał się raz jeszcze po ulicy. Może to kumpel tych z wczoraj? Ta perspektywa nieco go wystraszyła.

„Chcą mi dokopać? Nie, tacy sprytni to oni nie są. Więc kto to?” – myślał, stojąc na schodach, mijany przez dwóch policjantów, którzy właśnie skończyli patrol. Wzięli go za jakiegoś pijaczka, bo jeden z nich chciał już o coś zapytać, ale Karol szybko zbiegł na chodnik.

Przeszedł ulicę, wskoczył na wysoki krawężnik i kiedy był już kilka kroków od faceta w płaszczu, spostrzegł, że ten szeroko się do niego uśmiecha. Karola zbiło to z tropu.

– Charlie „Greenman” Zielinsky? – usłyszał pytanie. Mężczyzna jeszcze szerzej odsłonił zęby w uśmiechu. Był szczupły, wysoki i wysportowany. Na oko niewiele starszy od Karola, choć na jego skroniach widać już było siwiznę.

Zielinsky zatrzymał się w pół kroku, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– My się znamy? – spytał zdziwiony, ściskając podaną mu dłoń.

– Oj, niedobrze, niedobrze, sierżancie Greenman... Nie poznajecie kumpli z wojska?

Karol poczuł dziwny dreszcz, bo oprócz Tony’ego Savioli i kilku kolegów weteranów z dawnego plutonu nikt nie mówił do niego „Greenman”.

– Z wojska? – powtórzył.

– Trzy lata temu, miasteczko Butgenbach w Belgii – powiedział nieznajomy, cały czas się uśmiechając. – No, przypomnijcie sobie – zaśmiał się głośno.

Karol otworzył szerzej oczy i cofnął się nieco, jakby chciał lepiej przyjrzeć się rozmówcy. Dopiero po chwili przypomniał sobie twarz, którą przed sobą widział.

– Niemożliwe! Porucznik Stanley. – Prawie krzyknął.

Znali się krótko, ale dobrze pamiętał, co działo się w grudniu czterdziestego czwartego roku w małej belgijskiej mieścinie. Przypomniał sobie świst pocisków, przeraźliwe zimno i kilku dobrzych kumpli, których tam zostawił. Poklepał oficera po ramieniu, szczerze uradowany, ale i nieco zaskoczony tym niespodziewanym spotkaniem.

– Ale przecież o mało pana wtedy nie zabili.

– Jakoś mnie poskładali do kupy – westchnął oficer, klepiąc się po nodze. – Jeszcze czasem dokucza... – dodał, na sekundę gubiąc uśmiech z twarzy.

– Teraz to... Znaczy, że pan porucznik... To... – Karol wskazał kciukiem za siebie, na posterunek. Stanley kiwnął tylko głową.

– Dziękuję panu. – Polak ścisnął raz jeszcze dłoń wojskowego, choć nie rozumiał, skąd faceta, którego nie widział trzy lata, wziął się pod aresztem, gdzie on siedział na dołku. Może nie miał jeszcze trzydziestki na karku, ale sporo przeszedł i w cuda nie wierzył.

– Nie ma za co, Greenman. Zresztą, skończmy z tymi stopniami i panami. Jestem Bryan. – Oficer wymówił ostatecznie zdanie wolno i głośno, jak aktor na scenie, zapewne sądząc, że czyni Zielinsky’emu wielki zaszczyt.

– Racja. Wojna i więzienie zbliżają ludzi – odparł Polak bez zastanowienia. – Charlie jestem. – Podał dłoń Stanleyowi.

– Pogadamy? – zaproponował oficer, patrząc na koniec ulicy. Karol zerknął na zegarek. Było przed dziewiątą i uznał, że kłótnia z Katty może spokojnie jeszcze trochę poczekać.

– Jasne – powiedział, cały czas zaskoczony spotkaniem. – Ale dlaczego... skąd wiedziałeś, że mnie zamknęli?

– Powiedzmy, że byłem w pobliżu – odpowiedział Stanley, znowu szeroko się uśmiechając. – Pewno jesteś głodny. Śniadanie?

– Właściwie czemu nie – odparł Polak, klepiąc się po obolałym, a na dodatek pustym brzuchu.

chu.

Przecięli dwie przecznice, mijając przechodniów oglądających się ze zdziwieniem za dziwną parą: łachmaniarzem w podartym ubraniu, o posiniaczonej facjacie, i jego kumplem elegantem. Jednak obaj byli tak zajęci wspomnianiem wojennych czasów i opisywaniem tego, co każdemu z nich przytrafiło się po służbie w Belgii, że w ogóle nie zwracali na to uwagi.

– Może tu? – zapytał nagle oficer.

Zielinsky podejrzał, że lokal zaproponowany przez Amerykanina został przez niego wybrany już wcześniej, ale nie oponował.

Weszli do przyjemnie ciepłego, acz mało gustownie urządzonego pomieszczenia. Pokryte czerwonymi obrusami stoły były odgródzone od siebie wysokimi kanapami i tanimi ściankami, na których wisiały kwiaty w jasnych doniczkach. Wydawało się, że zajmują całą przestrzeń długiej, ale wąskiej salki, której koniec zdobiło lustro. Po lewej stronie na barowym blacie stała szklana gablotka kryjąca świeże wypieki, a nad nią wisiało kilka tablic z menu.

Sala była niemal pusta. Tylko na końcu, odwrócony tyłem do wejścia, siedział jakiś człowiek o szerokiej czaszce, dokładnie, krótko podstrzyżony. Jego odbicie w lustrze zasłaniała płachta gazety, którą z wielkim zainteresowaniem czytał. Ta pustka nie dziwiła Karola – przecież dawno minął już czas śniadania, a do lunchu pozostało jeszcze kilka godzin. Poza tym była sobota rano.

Usiedli przy pierwszym wolnym stoliku, niemal przy samych drzwiach. Wojskowy powiesił płaszcz na wieszaku razem z kapeluszem, kiwnął na kelnerkę, która akurat wyszła z kuchni, i przyglądał się starannie uczesane włosy. Karol ugryzł się w język, żeby się nie zaśmiać. Już w czterdziestym czwartym porucznik Stanley miał opinię lalusiowatego narcyza.

– Kawy? – zaproponowała niechętnie młoda, krągła Latynoska. Musiała uznać, widząc Karola, że ma do czynienia z jakimś włóczęgą, któremu ten drugi, przystojniak, w akcie łaski zechciał postawić śniadanie.

– Dwie jajecznice na szynce. I może tosty? – Stanley uśmiechnął się jak hollywoodzki aktor. Dziewczyna spłoszyła i opuściła wzrok. Dygnęła i szybko znikła za kuchennymi drzwiami.

„Podobasz się kobietom, co?” – pomyślał Karol, upijając łyk gorącej i gorzkiej kawy.

Stanley, ciągle z uprzejmym uśmiechem na twarzy, mówił coś o pogodzie, zacierając nerwowo dłonie, jakby były zmarznięte. Karol siedział w milczeniu i przyglądał się uważnie dawnemu dowódcy, co jakiś czas tylko przytakując.

Po kilku minutach dostali swoje zamówienie.

– No dobrze, panie poruczniku – zaczął prosto z mostu Zielinsky, przeżuwając kęs gorącej jajecznicy. – Jakim cudem i po jaką cholere wyciągałeś mnie z pierdla?

Stanley uniósł oczy.

– Tej panience możesz sprzedawać to niewinne spojrzenie. Ja się tak łatwo nie nabieram na takie manewry... – powiedział Zielinsky. – Bez urazy – dodał z uśmiechem.

Oficer spoważniał i milczał dłuższą chwilę, wpatrzony w talerz. Zupełnie jakby w nim szukał odpowiednich słów.

Kąciki ust Karola drgnęły w lekkim grymasie triumfu.

– Co? Myślałeś, że każdy Polaczek to tłupek, którego można w kilka chwil oczarować jajecznicą? – zapytał z przekąsem.

– Nie, no coś ty. Jakżebyś śmiał... – zaprotestował gwałtownie Amerykanin.

– Więc mów jak człowiek. O co chodzi?

– Dobrze. Nie ma co przedłużać tej gry wstępnej. – Stanley przysunął się bliżej stołu i oparł łokcie o blat. – Pamiętasz, gdzie pracowałem w czasie wojny?

– Byłeś w kontrwywiadzie. Szukałeś szpiegów i dywersantów. Sam pomogłem ci w pilnowaniu jednego Szkopa. Plątał się nam na tyłach, gdy go złapali. Rozumiem, że idziemy w tym kierunku?

Mężczyzna siedzący na końcu sali lekko skrzywił głowę, ukazując nalany profil i – najwyraźniej zainteresowane tematem rozmowy – ucho.

– Mniej więcej – przytaknął Stanley. – Otóż po tym, jak mnie podziurawili, długo dochodziłem do siebie. W ogóle cud, że mogę się poruszać.

Karol kiwnął głową. Zerknął na człowieka w końcu sali.

„Jest z kolegą. Nie przedstawi nas?” – pomyślał.

– Pod koniec czterdziestego piątego roku zostałem awansowany do stopnia kapitana i zwolniony z armii. – Bryan ciągnął swoją historię.

– A, to przepraszam za faux pas. – Ukłonił się lekko Karol, przypominając sobie, jak witał się ze Stanleyem.

– Nie ma sprawy. I tak teraz dochrapałem się majora.

Zielinsky zagwizdał z uznaniem tak głośno, że kelnerka spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Zaraz po wojnie okazało się, że brakuje specjalistów. Naszą branżę trzeba było tworzyć od nowa. Nowe czasy, nowe sprawy, a tu budżet się zmniejsza.

– A wszędzie najlepsi przyjaciele, co? – Karol nie potrafił odmówić sobie ironii.

– Właśnie – westchnął Amerykanin. – Chodzi o to, że już pod koniec wojny tych przyjaciół zaczęło nam ubywać. – Ale ty chyba coś o tym wiesz? – Oczy majora błysnęły.

– Co masz na myśli? – spytał Karol, ledwo maskując zdenerwowanie znudzonym tonem. Zaczął przy tym, nieco zaniepokojony, szybciej machać widelcem.

– Gorąca wiosna, daleko w Europie, w czterdziestym piątym... – odpowiedział cicho Stanley, rozkoszując się tą gwałtowną reakcją Polaka.

– Ciekawe. Naprawdę? – Zielinsky mówił z pełnymi ustami.

Zmienił się na twarzy. Wróciły obrazy z przeszłości. Wszystko, co krył w sobie, świadomie czy też nie, spadło na niego kalejdoskopem obrazów. Świsł kul, gorejące płomienie, potworny lęk, niemoc, kiedy widział ludzi kończących tak marnie przed samą metą. O mało się nie wzdrygnął.

– Po co mi to przypominasz? – mruknął, przełykając kęs.

Idiotyczna, zbędna potyczka wiosną czterdziestego piątego. Niepotrzebna. Było blisko... jak mało kiedy. I jeszcze on sam tego chciał. Namawiał innych i cieszył się jak smarkacz, bo zachciało mu się popisów przed pewną nieszczęsną dziewczyną, zachciało mu się grania rycerzka.

I był jeszcze ktoś. Człowiek, który go ocalił, a on nie miał okazji na rewanż. Właściwie poczuł się głupio. Wraz ze wspominkami dopadło go zażenowanie. Z przyjemnością zapadłby się pod ziemię i długo nie wychodził. Nie było wtedy czasu wziąć adresu i odszukać go. A przecież powinien to zrobić. Zapomniał o nim. On, piewca walki z okupantem, z każdym z wrogów... Taki mocny w gębie, a teraz... Może tamten też potrzebuje pomocy, jakiegoś wsparcia. Czasy w Europie niełatwe. No, ale czemu sam nie dał znaku życia? Miał zamiary na Karola...

„Skromny? Czy bardziej honorowy?” – utonął w domysłach Zielinsky.

– Spokojnie, Greenman – wyszczerzył się znów Stanley, zauważając, że dawna historia siedzi w rozmówcy jak cierń. – Kazali ci siedzieć cicho i świetnie ci to wychodzi. Przy mnie możesz mówić. O tym już nikt nie pamięta.

– Oprócz was. – Karol przestał jeść. Słowa „nie pamięta” kłuły jak diabli.

– Oprócz nas. – Stanley pochylił się nad stołem. – Doszło do pewnego nieporozumienia. Prawda? – Skrzywił głowę, jakby czekając na potwierdzenie.

– Ładnie to brzmi... – Zielinsky znów zmrużył oczy i spojrzał ponad głową Stanleya. Przecież kazano mu to wypchnąć ze świadomości, ze wspomnień o najważniejszych w jego krótkim życiu czasach. Tych scen nie było, nie wydarzyły się. A gdyby ktoś pytał, to był front, walczyli z wrogiem. Do samego końca. Może stąd ta amnezja. Na rozkaz.

Kazali zapomnieć – o walce, o rodaku – i on rozkaz wykonał. Czasem mu się udawało być dobrym żołnierzem.

– Wtedy zginęło kilku naszych, panie majorze – wycedził wreszcie Karol, wracając do teraźniejszości.

– Tak wiem, wiem. W złym czasie i miejscu przecięło się kilka życiorysów i spotkało się kilka skurwieli. A tam, gdzie jest za dużo skurwieli, zaczyna się burda...

– To tamci byli skurwielami! – przerwał mu gwałtownie Karol, podświadomie zaciskając pięści i uderzając nimi w kanapę.

– Spokojnie. – Stanley uśmiechnął się nerwowo, podejrzewając, że niewyspanego Polaka zaraz poniesie jeszcze bardziej. – Spokojnie, rozumiem. – Spojrzał weteranowi w oczy i złożył dłonie jak do modlitwy. – Jestem po twojej stronie. – To stwierdzenie zabrzmiało jakoś dziwnie nie-naturalnie. – Ktoś miał zbyt wielkie ambicje i stało się. Ni z tego, ni z owego spotkaliście kolegów Wujka Joe. W bardzo marnych okolicznościach, z tego, co wiem. Cud, że udało ci się to przetrwać...

– Wy naprawdę wiecie wszystko. – Karol raptownie odpuścił. Rozluźnił się. Nie musiał już udawać. Pierwszy raz od dwóch lat mógł o tym wszystkim mówić. – Myśmy dostali, ale oni... cóż. Spotykać ich nie zamierzaliśmy. Nie wiem, skąd się wzięli. – Znow chwycił za widelec i przełknął spory kęs. – No, ale wyszło, jak wyszło... – Na twarz wypełził mu grymas niezadowolonia, jakby rozważał, dopiero teraz, po latach, co poszło nie tak i co można było zmienić.

– Już, zostawmy to. – Amerykanin próbował wyrwać Karola ze złych wspomnień. – Co się stało, to się nie odstanie. – Pociągnął łyk już letniej kawy. – Jak sam zauważyłeś wiemy dużo, Charles. Wiemy. – Major dumnie wypiął pierś. – Może nie jesteśmy supermenami, ale uczymy się i wyciągamy wnioski z pracy naszych poprzedników.

– Dobrze – przerwał znużony Zielinsky. Poczul, że od nadmiaru wrażeń, a może i niesympatycznych wspominek zaczynają pulsować mu skronie. – Na razie pięknie gadasz. – Potarł dłonią skroń. – Może napisz książkę? Albo idź z tym do prasy? Ale co to ma wspólnego ze mną?

– A więc to prawda, co pisali w twoich aktach, jeszcze z wojny. Krnąbrny, czasem niecierpliwy, ale inteligentny i gotów łać w pysk, jeśli jest okazja...

– Mówiłem, nie dam się nabierać na słodkie opowiadki.

– OK. – Stanley odsunął naczynia i oparł łokcie na stole. Patrzył chwilę na Zielinsky'ego w milczeniu. – Małe przypomnienie. Powiedz, jeśli coś pominę. Zwolniony z wojska w lipcu czterdziestego piątego roku w stopniu sierżanta sztabowego. Pracujesz jako właściciel warsztatu samochodowego w Jersey. – Niemal zaczął deklamować. – Krzyż za wybitną służbę, Srebrna Gwiazda, Brązowa Gwiazda. Trzy Purpurowe Serca za rany. Kilka pochwał, tyle samo nagan. Wyraźnie antysowieckie poglądy. – Mrugnął i skrzywił usta w bladym uśmiechu.

Karol kiwnął głową.

– Zgadza się – powiedział z dumą.

– Żonaty z Katherine Bakerfield, syn Joseph. Mieszkasz w jednym domu z rodzicami. Korzystając z udogodnień dla weteranów, podjąłeś studia na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersyte-

tu Columbia. Przerwałeś naukę po półtora roku. Czemu jej, do cholery, nie skończysz?

– Po pierwsze, jak ojciec oddał mi garaż, zupełnie nie było czasu na dodatkowe zajęcia. Tak się ucieszyłem, że przeżyłem, że chciał mieć mnie blisko siebie. Poza tym wkurzały mnie te bubki z dobrych domów, klepiące bzdury o wojnie w Europie i peany na cześć Sowietów. Oni wszyscy tam chcieli, żeby u nas było tak jak u wujka Stalina. – Znowu podskoczyło mu ciśnienie i pacnął ręką w stół z takim impetem, że zabrzęczały talerze.

Kelnerka aż wyskoczyła przed bar, jednak szeroki uśmiech Stanleya ją uspokoił.

– Nie denerwuj się tak, chłopie – nakazał ściszym głosem oficer. – Nie uwierzysz, ba, na pewno nie uwierzysz, ale właśnie tacy jak ty są nam potrzebni – powiedział tajemniczo i dopił kawę.

– Teraz?! – Karol znowu uniósł głos i zaczął się głośno śmiać. – Dwa lata po wojnie, a wy szukacie ludzi, którzy nie przepadają za Sowietami? Żartujesz? Trochę za późno, co?

Amerikanin zerknął na siedzącego pod lustrem na końcu sali faceta.

– Nie teraz i nie wczoraj, ale od dawna. To dość skomplikowane, ale to nie jest miejsce ani czas na wyjaśnienia. Wiem, że mogłeś być uprzedzony, rozżalony... To też sprawa twojego pochodzenia. Wierz mi, nadrabiamy to, co było podczas wojny... Ale wtedy w grę wchodziła polityka. – Bryan poprawił krawat i zaczął tłumaczyć. – Wtedy wojna z Niemcami i Japonią była...

– Tak, najważniejsza – przyznał ponuro Zielinsky. – Tylko że to mnie gównem obchodzi. Bo teraz, jak czytam w gazetach, ta wojenna współpraca wychodzi wam bokiem. Ruski szpieg goni szpiega.

– Zostawmy to, na Boga, zostawmy – przerwał mu Stanley i uniósł pustą filiżankę w stronę kelnerki, prosząc o dolewkę. – Zostawmy to. Było, minęło. Popełniliśmy kilka błędów i teraz trzeba zacząć je naprawiać, zanim... – Przerwał, kiedy pojawiła się dziewczyna z dzbankiem.

– Zanim okaże się, że wiedzą o was wszystko – dokończył Zielinsky, kiedy kelnerka odeszła naburmuszona, bo tym razem Stanley zupełnie ją zignorował.

– Na razie my mamy bombę, oni nie – rzucił Amerikanin. – Ale politycznie i wywiadowczo... – Ugryzł się w język. – Kiedyś ci opowiem. Teraz mam do ciebie jedno pytanie. – Zrobił dłuższą pauzę. – Czy chciałbyś dla nas pracować?

– To o to chodzi? – zaśmiał się Karol i lekko klasnął w dłonie. – Nie mogłeś po prostu przyjść do mnie, do biura, tylko czekałeś na okazję, żeby mnie wyratować z opresji? I co, z wdzięczności mam się zgodzić? Powiedz mi najpierw... – zawiesił głos – ...dla kogo? Dla CIA? Byłem żołnierzem piechoty, jakieś cudaczne organizacje mnie nie interesują.

Stanley zgromił go wzrokiem.

– Ciszej, Charlie – poprosił błagalnie. – I czemu zaraz CIA? To nowa firma na rynku, banda biurokratów, a tu trzeba ludzi do roboty. – Zaśmiał się sztucznie. – Jest coś, o czym pewno nie wiesz. Na pewno nie wiesz. Office of Policy Coordination. Ładna nazwa, co? Nie będę tłumaczył ci teraz szczegółów. Ale powiedzmy, że wróciłyś do armii, a firma cię wynajmie. Blisko współpracuje z wojskiem. Sami wiarusi z dawnych dobrych czasów.

– Mówisz? – Karol zamilkł na dłuższą chwilę, wpatrzony w obracaną palcami filiżankę. – Muszę się zastanowić – oświadczył w końcu obojętnie, choć w jego oczach pojawił się błysk. Sama wizja możliwości działania i „ruchu na świeżym powietrzu”, pozbycia się cholernych papierów, faktur i marudnych klientów ucieszyła go bardziej, niż się tego spodziewał...

Czasem przychodziło mu na myśl, by zaciągnąć się choćby do Gwardii Narodowej, ale po wojnie armia skurczyła się i straciła swój agresywny charakter, opierając się – jak się wydawało – na mocy nowej bomby. Nikt nie przewidywał użycia piechoty czy większej ilości czołgów.



Zresztą to, co zostało, stacjonowało w okupowanych Niemczech i w Japonii.

– Jasne, rozumiem – powiedział major. – Musisz nad tym pogłównkować. Nie powiem na razie niczego więcej. Twoje doświadczenie, język, którym władasz, oraz, nazwijmy to, empiryczna znajomość Sowietów, są tu bardzo istotne. Rozumiemy się?

– Chcesz zrobić ze mnie szpiega – powiedział bez ogródek Karol, nie mogąc powstrzymać się przed jeszcze jednym złośliwym przytykiem. Udało się najwyraźniej, bo Stanley na sekundę zbladł, słysząc słowo, którego wypowiadać w takich miejscach nie było wolno. W zasadzie w żadnych innych także nie.

– Nie powiem niczego więcej, póki się nie zdecydujesz – odparł cicho, powoli dochodząc do siebie.

– OK. Zastanowię się – oznajmił, udając obojętność Zielinsky, i wstał od stołu. – Ile za śniadanie?

– Byłeś moim gościem – zaprotestował Stanley, powstrzymując go przed wydobyciem portfela. Sam sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd złożoną kartkę. – Tu masz numer do mnie, do biura. – Ostatnie słowo zabrzmiało jakoś nienaturalnie. – Jaka by nie była twoja decyzja, zadzwoń do mnie w środę przed dziesiątą.

Karol zerknął za rząd liczb i kiwnął głową.

– OK. Miło było cię znowu widzieć. – Podał rękę oficerowi, zdjął z wieszaka kurtkę i kapelusz i ruszył do wyjścia.

Amerikanin siedział jeszcze chwilę. Mężczyzna z końca sali zapłacił i wyszedł z restauracji. Stanley po kilku minutach zrobił to samo i ze zdumieniem spostrzegł, że kelnerka cały czas jest na niego zła. Mimo to uśmiechnął się do niej szeroko przy pożegnaniu, bo zaczynała mu się podobać.

Rozejrzał się po ulicy. Ruch był większy niż wtedy, kiedy wchodzili do knajpy. Skręcił w lewo i doszedł do skrzyżowania. Stał przy sklepiku z papierosami i zaczął przyglądać się kolorowym opakowaniom na wystawie. W odbiciu zobaczył nieco otyłego mężczyznę, który stał obok.

– I co sądzisz? – odezwał się Stanley.

– Moim zdaniem dość narwany – powiedział człowiek o krótko przystrzyżonych włosach. – Ale może tak trzeba?

– Też taki ponoć byłeś, jak cię wybrali do OSS. Narwany, krnąbrny, ale się zgodzi. Wiem to. Nosi go, a tamtych nienawidzi. Pamiętajmy, jak długo walczył, ile widział i jak to wpływa na ludzką psychikę – bronił swego wyboru Stanley.

– Ale czy przejdzie szkolenie i nie nabroci? – Mężczyzna podszedł do okienka i poprosił o dwie paczki chesterfieldów.

– Trzy lata był w armii i raczej nigdy mu nie odbiło... tak do końca. Może i czasem miał gorsze chwile, ale tacy jak on wiedzą, o jaką stawkę grają. – Stanley postawił kołnierz płaszcza, odchodząc kilka kroków.

– Skoro tak uważasz. – Mężczyzna zaciągnął się dymem zapalonego papierosa. – Moją zgodę masz. Ale jeśli coś spieprzy, to ty za to odpowiadasz.

– To oczywiste.

– No to cześć. Czas coś jeszcze zrobić z tym weekendem.

Stanley uchylił kapelusza i ruszył w stronę przejścia dla pieszych.

Jego przełożony dopalił papierosa i upewniwszy się, że major zniknął za rogiem kolejnej przecznicy, ruszył w przeciwnym kierunku. Wsiadł do autobusu, kupił bilet u kierowcy i przeje-

chał niemal całe miasto. Potem krążył po kilku ulicach, uważnie sprawdzając w witrynach sklepowych, czy nie ma towarzystwa. Kiedy był już pewien, że nikt za nim nie podąża, złapał tak-sówkę. Ku wielkiemu zadowoleniu kierowcy kazał wieźć się do Nowego Jorku. Przejechali przez tunel Lincolna, biegnący pod rzeką Hudson. Wysiadł na Siódmej Alei, znowu przeszedł kilka przecznic i wszedł do metra. Przejechał do Queens i – często zmieniając kierunki – ruszył na 58 ulicę. O dwunastej trzydzieści stanął naprzeciwko niewielkiej kafeterii, której okna zdobiły zasłonki w czerwono-białą kratkę. Wszedł do ciemnego pomieszczenia zastawionego stołami z czarnego drewna, mimo soboty pełnego ludzi. Zamówił kawę i usiadł przy stoliku, który zajmował już żylasty czterdziestoparolatek o krótkich włosach, ubrany w brązowy garnitur i przeglądający gazetę.

– Punktualny jak zawsze – powiedział mężczyzna, składając świeży numer „New York Timesa”. – Coś ciekawego w naszych sprawach? – spytał, świdrując wzrokiem gościa.

– Chyba tak. Mamy interesujący was... Przepraszam – nas, interesujący nas obiekt.

### **Czechosłowacja, maj 1945**

To wszystko, ta przedziwna historia, o której kazano mu zapomnieć, te kilka dni, które wyparł ze świadomości, zastępując rzeczywiste wspomnienia zmyślonymi, mętnymi historyjkami o niemieckich niedobitkach, zaczęła się z początkiem maja czterdziestego piątego roku.

Była jeszcze ona. Pojawiła się niespodziewanie, wątła i schorowana. Na imię miała Ewa i przywieziono ją z linii frontu. Uciekała i o mało nie przypłaciła tego życiem.

Dla Charliego Zielinsky’ego stała się, na bardzo krótki czas, najważniejszą istotą w życiu. Uzdrawiała go na moment z potwornego załamania, pozwoliła pozbyć się niekończącego się kaca, niemal co wieczór wzmacnianego kolejną dawką alkoholu. Wzmacnianego z żalu, że nie wszystko kończy się na tej wojnie tak, jak powinno.

Mało chyba było takich, którzy przejmowali się tym tak mocno jak on. Niewielu, którzy nic nie robili sobie z rychłego spotkania chłopaków od „Wujka Joe”.

Samego Polaka już dawno skreślili, uznając za gościa niespełna rozumu, który w ostatnim czasie swoje rozterki topił w morzu konfiskowanej gorzały. Powinien iść pod sąd, albo, jak chcieli niektórzy nieopierzeni oficerowie, wylecieć z armii prosto do Fort Leavenworth. Jednak jego zasługi i obeznanie z tematem, zwłaszcza kiedy wokół kłębiły się tłumy coraz bardziej zielonych uzupełnień, ciągle trzymały go na miejscu. „W tym gównie”, jak zwykł mawiać, nie widząc sensu ani celu całej tej dogasającej strzelaniny.

I wtedy, w chwili, kiedy staczał się na sam dół, pojawiła się ona. I doprawdy, ocaliła go. Spoważniał, otrząsnął się, mówili, że nawet zakochał. Jeśli w ogóle można zakochać się w kilka dni. A on tylko opiekował się nią jak nikim przedtem i czuwał, kiedy spała w małym pokoiku domu zajętego przez kompanię B.

W łóżku, w niemal surrealistycznie czystej i pachnącej pościeli, leżała spokojnie kobieta z nikłymi śladami brutalnie zniszczonej urody. Nie sposób było określić jej wieku. Na poduszce widać matowe pasma włosów poprzetykanych siwymi nitkami. Szara twarz, przeorane zmarszczkami czoło, wąski, nieco zadarty nos, od którego odchodziły dwie symetryczne bruzdy, mogły należeć do zasuszonej staruszki. Tylko młode, smukłe ciało i nadal zgrabne dłonie, z wnetkniętą teraz igłą kroplówki, przeczyły tym pierwszym spostrzeżeniom.

Gdy ją przywieźli, praktycznie nieprzytomną, była słaba jak niemowlę, zziębnięta i gorączkowała. Mówiła niewiele. Wykrztusiła kilka razy jakąś niemiecką nazwę, jak się zdawało, obozu albo wioski, gdzie Niemcy mieli fabrykę czy montownię sprzętu. Szeptowała jakieś liczby i wy-

krzykiwała słowa bez składu i ładu. Nie było wiadomo, jak długo szła ani kiedy jadła ostatni raz.

Uciekła ze Zwodau, niedużego obozu, filii Falkenau, gdzie – jak mówiła – zamknięto jeszcze więcej takich jak ona. Dziewczyn z Warszawy, z powstania. Z potwornej bitwy, o której mało który z kumpli Zielinsky'ego w ogóle słyszał. A i on sam niewiele wiedział.

Ta słaba, spoglądająca śmierci w twarz dziewczyna dodawała mu jednak sił i otuchy. Nadziei, że nie wszystko stracone, że jeszcze będzie dobrze, że wyrwą czerwonym jeszcze kogoś, odbiorą tyle ziemi, ile się uda.

Pierwszy zaczął męczyć Roberta Chrissa o jakiś wypad, większy patrol na wschód. Po to, by ocalić więcej takich nieszczęśników, ludzkich cieni – takich jak Ewa. Popadał przy tym ze skrajności w skrajność i nawet sam Bob, tymczasowy dowódca plutonu, zaczynał poważnie wątpić, czy aby jego kompan ma równo pod sufitem i czy przypadkiem nie nadszedł czas na długi urlop.

Ale najwyraźniej ktoś mądrzejszy od nich obu, i siedzący znacznie wyżej, wpadł na podobny pomysł. Zakrojony na szerszą skalę. Z patrolu, o jakim mówił Zielinsky, zrobiła się ofensywa niemal całego korpusu, jako że opór Niemców słabł z każdym dniem, choć ostatecznie się nie kończył.

Miał to być ostatni taki wysiłek w Europie, na jaki zdobyć się chciała US Army.

Jeszcze przed świtem piątego maja eksplozja wstrząsnęła całym miasteczkiem. Huk, raz za razem, rozchodził się po ulicach, wibrował, trzęsąc szybami, i wprawiał w ruch meble. Od zachodu, na szarawym niebie co rusz migwały czerwone błyski. Wyglądały jak zapowiedź ciężkiej burzy w upalny dzień, która nie chciała przejść gnana wiatrem.

Wtedy widział Ewę po raz ostatni. Wynosili ją do zaparkowanej przed frontem sanitarki. Kiedy leżała już na noszach, jeszcze pogładził ją po głowie. Chyba pierwszy raz odważył się na coś takiego.

– Trzymaj się i powodzenia. Tam, gdzie jedziesz, spotkasz pewnie koleżanki... – Nawet nie czuł, jak oczy zaszyły mu łzami. Niespodziewanie dopadł go żal, że nie dane było mu poznać jej lepiej. Wystraszył się tego doznania.

– Dziękuję ci. Dziękuję. Będę się modlić... – Chwyciła mocno jego dłoń, wpatrzona w twarz Karola, który z trudem ukrywał emocje. – Może mnie znajdziesz... – powiedziała słabym głosem, ale uścisk dłoni miała mocny, jakby nie zamierzała puścić ręki sierżanta. Sanitariusze ruszyli do zaparkowanego opodal wozu z wielkim czerwonym krzyżem na białych drzwiach.

– Cześć – wyszeptał tylko.

Tak jak prosił, nosze włożono bardzo ostrożnie i wolno. Drzwi trzasnęły i ambulans ruszył gładko na zachód, do szpitala.

Zielinsky odprowadzał go wzrokiem, póki nie zniknął za załomem któregoś z domostw. Dopiero wtedy głęboko nabrał powietrza. Otarł dłonią twarz, jakby zmazywał resztki żalu niegodne podoficera. Poprawił oporządzenie i wiszący na plecach pistolet maszynowy.

Już miał zrobić krok, kiedy na schodkach ujrzał roslą sylwetkę Tony'ego.

– Stary, zagęszczaj ruchy – ponaglił go kolega. – Zaraz zaczynamy.

Wybiegli szybko. Zielinsky patrzył pod nogi, lekko zawstydzony. Ale o dziwo, nikt się nie śmiał. Albo Saviola przepędził ich wczoraj po lesie tak, że wypocili głupotę do cna, albo zrozumieli, że stary Zielinsky naprawdę się przejął rolą pielęgniarza. Było w tym coś jeszcze. Uczucie prawdziwego, a rzadkiego ostatnio, strachu na myśl o konfrontacji z facetem, któremu prawie rok wojny i gorzała poprzestawiały klepki. Przynajmniej tak sądziła młodzież tymczasowo odziana w mundury.

Od strony wznoszącej się ulicy doleciał odgłos syreny, ledwo słyszalny w ciągłym jazgocie

haubic. Ulicą przetoczyły się trzy obłożone ludźmi jeepy. Każdy z ich pasażerów miał na sobie świeży, chyba nigdy nieużywany mundur najnowszego sortu. I gdyby nie pocziwa twarz Roberta Chrissa, wydawać by się mogło, że średnia wieku tej hałastry nie przekroczyła dwudziestu pięciu lat.

– No dobra, dziewczynki! – zawołał Greenman najgłośniej, jak potrafił. A głos miał ciągle donośny. – Zbiórka!

Młodziaki uformowały linię, i to nawet bez zbędnych ponagleń.

Chriss zatrzymał wóz i wyskoczył zza kółka. Za nim reszta: radiowiec i dwóch młodych sierżantów z nadania – ci mieli kierować trzecią drużyną.

– Jak tam? Wyspani? – Chriss ścisnął Karolowi dłoń. Twarz miał poważną i surową, jak mało kiedy.

Darowali sobie meldunki, komendy i tego typu ceregiele.

– Panowie! – zaczął tubalnie Bob, łapiąc się pod boki i wpatrując w twarze chłopaków.

Stali wystraszeni, jakby słamszeni całym majdanem plecaków, toreb pełnych racji żywnościowych i amunicji. Uszła z nich na dobre dziecinna głupawka ostatnich dni i przeświadczenie, że to już koniec, że nic im się nie przydarzy. Kilku drżały wargi. Inny obgryzał ukradkiem paznokcie.

Stali w akompaniamencie coraz rzadszych salw, nadstawiając uszu, kiedy powietrze ciął kolejny pocisk, jakby się bali, że nie doleci, gdzie trzeba, i trafi prosto w nich.

Ci bardziej doświadczeni – a było ich dosłownie kilku: Zukerman, Foyherd, nieduży facecik imieniem Steve, T. J. Jarmoe, który trafił do pododdziału w styczniu, no i Zielinsky z Saviolą – też to czuli. Nie dawali jednak nic po sobie poznać. Wiedzieli, co ich czeka, i sprawiali wrażenie, jakby mieli to głęboko gdzieś. Za to lęk wyzierający z oczu rozbrykanej ostatnio młodzieży sprawiał im wielką frajdę. Zwłaszcza Greenmanowi.

– Chłopaki – powtórzył Chriss. – Od teraz jestem już waszym dowódcą na pełen etat. Zrobili mnie pierdolonym oficerem. – Westchnął, jakby nie wierzył w to, co mówi. – Ale to nieważne – uciął wszelkie ewentualne komentarze. – Ważne jest to, że idziemy do natarcia. Wiem, że ostatnimi czasy wiele się mówiło o końcu wojny. Że kapuściane łby wieją z rączkami w górze. Możliwe. Tak samo jak to, że są tam jeszcze tacy, którzy będą walczyć. Różne świry i straceńcy. – Zrobił wyraźny przytyk pod adresem Karola, długo świdrując go wzrokiem. – Jesteśmy silni jak nigdy, z drugiej strony idą sojusznicy... – Słyszając to stwierdzenie, Greenman lekko kaszlnął. – Ale musimy na siebie uważać! Nie szarżujcie, nie dajcie się ustrzelić ostatniego dnia. Wiem, że na południe od nas dwie dywizje korpusu, pod który podlegamy ostatnimi czasy, zaczęły walki o Pilzno. Przed nami Dziewiąta Dywizja Pancerna szykuje się do wyjścia na Karlowe Wary. My i Dziewięćdziesiąta Siódma idziemy na jej skrzydle. Szerokim frontem na wschód. Kto wie, jak daleko... – szukał w głowie odpowiedniego zwrotu – ...jak daleko nas puszczą. To się okaże. Wywiad i lotnictwo donoszą o kilku zdolnych do walki jednostkach, ale co i jak z nimi, do końca nie wiadomo. Powtarzam. Nie znaczy to, że mamy ich lekceważyć. Nikt nie ogłosił końca wojny. Piłka w grze, więc miejcie oczy otwarte!

Przerwał na moment, by złapać oddech.

– To, co słyszycie... – Palec nowo mianowanego podporucznika wskazał w stronę, z której z jazgotem wylatywały pociski. – Oni nie walą na wiwat. Tłuką po wykrytych celach... – objaśnił, nieco przesadzając, bo ta teoria była tylko zwykłą zapobiegliwością dowództwa. O bliskich stanowiskach też niewiele było wiadomo. – Nas włączono do mieszanej grupy zwiadowczej, razem z pododdziałem szwadronu zwiadu dywizji. Mają nas zabrać za... – Zerknął na zegarek. –

Właściwie już powinni być, żeby nie zmarnować elementu zaskoczenia po ostrzale. Idziemy daleko, póki nie napotkamy poważniejszego oporu. Jesteśmy pieprzoną szpicą. – Wsunął kciuki za parciany pas. – No dobra. Czekaemy na resztę konwoju. Dowódcy drużyn, do mnie!

Zakończył odprawę i doskoczył do Greenmana, który właśnie wyciągał rękę, żeby gratulować mu awansu.

– Zadowolony? – zapytał kąśliwie.

– Słucham? – Nie pojmował Karol.

– Idziesz na wschód, tak jak chciałeś... – Chriss przestawał rozumieć, o co chodzi temu Polakowi.

– Młodzi się przewietrzają. – Karol skinął głową w kierunku palących jak smoki, przestraszonych ludzi. – Taki tam spacer... – Machnął ręką. – Tu by trzeba było...

– Dobra, skończ – rozkazał Bob i sięgnął do mapnika. – Podejdźcie! – krzyknął do pozostałych dwóch podoficerów i rozłożył arkusz na asfalcie.

Zielinsky tylko pogładził się po brodzie i uśmiechnął pod nosem. Klęknął, ściskając lufę broni. Nawet uważnie nie wsłuchiwał się w to, co Bob miał do przekazania. Jego wzrok przykuła błada czerwona kreska, biegnąca niemal skrajem mapy, tuż za Karłowymi Warami.

– Co to? – Puknął palcem w papier, przerywając bezceremonialnie dowódcy. Bob uniósł wolno wzrok i zrobił przy tym minę, jakby chciał Polakowi odgryźć palec.

– To, sierżancie... – powiedział przez zaciśniętą szczękę. – To jest linia rozgraniczenia. – Chciał wrócić do odprawy.

– Linia czego?! – krzyknął Zielinsky, wybałuszając oczy i odganiając resztki snu.

– Linia rozgraniczenia... A właśnie! – Olśniło Chrissa. – To granica między nami a Rosjanami. Dziś przyszło do sztabu pułku. Nie możemy jej przekroczyć... – objaśnił z pełną powagą.

Greenman spoglądał raz na mapę, raz na dowódcę, kiwając z niesmakiem głową i ledwo się powstrzymywał, by nie zakląć w bezsilnej złości.

## 1947

Skończyły się czasy ponurych, cuchnących grzybem klitek – pozwolono im działać w przepastnych pomieszczeniach „fabryki”. Niemniej nie oznaczało to żadnych luksusów. Salka, w której rezydowali, nie była duża. Przypominała bardziej jakiś składzik – dwa okna, wąski stół, kilka krzeseł i półka na książki zawalona papierzyskami.

Zespół majora Zardowa miał rozkaz bezzwłocznie przystąpić do pracy. Odpowiadał jedynie przed Fiodotowem i miał nie oglądać się na żadne zależności czy układy.

Kiedy Stiepan Zardow wszedł do swojego „biura”, byli tam już wszyscy. Ubrani po cywilnemu, rozmawiający ściszymi głosami. Prawie każdy z papierosem. Na widok człowieka w szarym garniturze niemrawo powstali, ale Zardow gestem kazał siadać. Zatrzymał się u szczytu stołu, chwilę patrzył na tę zbieraninę i lekko się uśmiechnął.

– Witajcie, towarzysze! – Zabrzmiało to tak, jakby jakiś angielski biznesmen się z nich nąigrywał. Jego ubiór i postawa sprawiały, że wyglądał jak zachodni elegant, który trafił tu przypadkiem.

Reszta zebranych sprawiała wrażenie jego ponurego przeciwieństwa.

Major GRU Nikita Wasiljewski był na pozór tęgim, a w istocie mocno umięśnionym oficerem. Grubo ciosana sylwetka nadawała mu wygląd zmęczonego drwala czy raczej górnik, całymi dniami tłukącego na przodku młotem. Garnitur miał wyświechtany, miernej jakości. Zapewne kupiony w jakimś wielkim moskiewskim składzie. Patrzył na zebranych pełnym wyższości, choć

lekką przygaszonym wzrokiem. Był to dawny „koordynator pomocy” dla wojujących we Francji partyzantów, którzy – po pokonaniu Niemców – ciągle wysyłali regularne meldunki o amerykańskich jednostkach.

Drugi w kolejności oficer przybył – jak Zardow – z Pierwszego Zarządu Głównego MGB. Chudy, wysoki jak tyka kapitan Aleksandrowski stanowił totalne przeciwieństwo Wasiljewskiego. Sprowadzono go z dalekiej Północy, gdzie został przeniesiony po powrocie z Anglii. Wyraźnie zapomniał o dawnych zwyczajach i wtopił się w sowieckie tło.

Najmłodszy z tej trójki – zarówno wiekiem, jak i stopniem – porucznik Sudopłat był zaledwie kilka lat po szkole i jednej placówce, z której dość szybko go odwołano. Jego twarz uczniaka promieniała zapałem, co tym wyraźniej odróżniało go od dwóch starszych towarzyszy. Był przeźliwie chudy, a marynarka wisiała na nim jak na wyschniętej gałęzi.

– No dobra. – Zardow odsunął energicznie krzesło, odpiął guzik marynarki i rozsiadł się, wodząc wzrokiem po reszcie. – Czasu za wiele nie mamy, trochę zeszło na sprowadzenie tu towarzyszy, więc do rzeczy...

– To jakiś sprawdzian? Próba? – zapytał zniecierpliwiony Wasiljewski, patrząc zamrużonymi, złymi oczami na Zardowa. Uznał chyba, że jest na tyle stary, że może pozwolić sobie na takie impertynencje.

– Słucham? – Zardow miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Pytam, czy to żarty?! – Wasiljewski buzował z ledwie skrywanej irytacji. – Odrywacie nas od roboty, każecie przyjechać do centrali, a tu jakieś bajki... – Trącił niedbale palcem kilka kartek leżących przed nim.

Niezręczna cisza trwała dobrą minutę. Zardow chrząknął, pochylił się i splótł palce. Skupił wzrok na Wasiljewskim i wytrzymując wściekle spojrzenie wojskowego, zaczął mówić:

– To dla nas wszystkich szansa. A was... jak długo... badano po powrocie z Francji? – Przytyk był tak wyraźny, że wojskowy aż drgnął. – A was? – Zardow zwrócił oczy ku Sudopłatowi. – Też byliście już na placówce. W Ameryce, prawda? I co? Po wszystkim do radionasłuchu was dali, tak?

Nikt nie odpowiedział.

– Jedziemy na tym samym wózku. – Zignorował niemal pewny podsłuch w ścianach i żyrandolu. – Dostaliśmy szansę. Wielką szansę, aby się wykazać i wrócić tam, gdzie nasze miejsce. Tak więc... – Z narastającą wściekłością zaczął szybciej oddychać. – Nie pierdolcie mi o zadaniach, towarzyszu Wasiljewski, bo co to za robota? Przekładanie papierów albo słuchanie, co norwescy rybacy pieprzą przez radio! – Huknął pięścią w stół, aż zatrzęszczało, a porucznik podskoczył, jakby ktoś do niego strzelił. – Znam wasze życiorysy, osiągnięcia – już spokojniej podjął myśl Zardow. – No i... – zawiesił dla efektu głos – ...wasze zarzuty. – Jego usta skrzywiły się w dziwnym uśmiechu, jakby w wyrazie chęci pojednania i zrozumienia. – Trzeba było mi świeżych ludzi, wypoczętych, gotowych do nowych zadań i stosowania nowatorskich rozwiązań, a nie zblazowanych doktrynerów. – To już ocierało się o jawne podważanie stosunków panujących w „fabryce”.

Aleksandrowski spuścił głowę, nagle zafascynowany butami, zażenowany albo i wystraszony, że się w to wszystko wpakował.

– Dobra, załóżmy, że w to idziemy – wtrącił Wasiljewski chyba lekko zmęczony tyradą, też nie przejmując się mikrofonami. – Jak się spierdoli, to nas rozwalą, a jak wyjdzie, to i tak kto inny będzie orderą brał. – Żaden młody nie potrafiłby podsumować tego wszystkiego dosadniej.

– Tak lepiej. – Zardow szeroko się uśmiechnął, rozparł na krześle i schował ręce w kieszenie

marynarki. – To, co nazwaliście bajkami... Nie, to nic z tych rzeczy. To nie bajki, a lata doświadczeń. – Uniósł ręce jak jakiś prelegent.

– Skoro tak uważacie... – sapnął Wasiljewski bez nuty zachwyty, mając gdzieś konwenanse. – Wybaczcie, ale jak dla mnie to za trudne. Palcem na wodzie pisane, i jeszcze z takim pacjentem. – Wykrzywił się ostentacyjnie. – Innego nie było?

Pozostała dwójka popatrzyła uważnie na Zardowa, choć nie miała odwagi powtórzyć pytania.

– Dosyć! – Szef projektu zacisnął szczęki, próbując powstrzymać kolejny atak wściekłości. Nawet zaczął rozważać, czy nie dać sobie spokoju, ale pozbiierał się prędko. Nie miał wyboru.

Poprawił kołnierz koszuli, przygładził krawat.

– Pracujemy na tym, co mamy, i już – powiedział spokojnie i wyraźnie, patrząc wszystkim kolejno w oczy. – No chyba że komuś się nie podoba i woli zmienić Moskwę na Archangielsk, to proszę... proszę bardzo. – Złapał nerwowo za marynarkę, szukając papierosów.

– Już, już. – Wasiljewski machnął ręką, jakby odganiał muchę. Ta wizja musiała go niezłe dotknąć. – Nie gorączkujcie się. – Wysiłił się na uśmiech i podał swoją paczkę.

Zardow wyciągnął papierosa ostrożnie, patrząc na majora, jakby ten znów miał zamiar mu przygadać.

– No to wszystko mamy wyjaśnione. – Ni to zapytał, ni stwierdzał fakt, zaciągając się dymem. – Założenia ogólne znacie, ale powiem szczerze, że mamy braki kadrowe. Za mało było czasu, żeby znaleźć kandydata do...

– Do opieki – prychnął cicho Wasiljewski.

– O właśnie, „do opieki”.

– Potrzeba nam wyrzutka. Wdzięcznego za daną mu szansę... – Sudopłat dobrze kombinował.

– Jak kundel ze schroniska – rzucił Wasiljewski.

– Byle to nie był ktoś ze świecznika. – Zardow delektował się dymem, gapiąc się zamyślony w unoszący się obłok. – Nikt z północnej grupy wojsk ani z podmoskiewskich garnizonów. Za duże ambicje... Jak mówicie? Kundel... Dobrze. Ma być kundel. Pogrzebicie w życiorysach, mamy jeszcze trochę czasu. No a teraz... – Odłożył papierosa i otworzył teczkę.

\*

Kozi Rynek – tak zwano tę okolicę. Krzywe kamienie kocich łbów na tej długiej i szarej ulicy tonęły w wielkich kałużach, smaganych kroplami jesiennego deszczu. W zakamarkach jezdni i krzywego, piaszczystego pobocza leżały sterty wilgotnych, zlepionych liści, zrzuconych przez wiatr z wysokich drzew rosnących w pobliskim, niszczącym pałacowym parku. Przez wilgotną szarość listopadowego popołudnia szedł wątyły chłopak. Jego szerokie, wyrobione od ciężkiej pracy i wojaczki ramiona dźwigały spory poniemieckim plecak. Buty miał kompletnie przemoczone, ale nadal – już tylko dla zasady chyba – starał się omijać kałuże. Znoszony płaszcz przemókł zupełnie i chłopak zaczynał się trząść w podmuchach zimnego wiatru. Szedł skrajem ulicy, choć nie musiał się obawiać, że ktoś go potrąci – w tej okolicy samochody pojawiały się bardzo rzadko.

Minęły dwa lata po wojnie, a w tym odległym zakątku wyniszczzonego kraju ciągle brakowało niemal wszystkiego – od jedzenia, poprzez leki, na paliwie i węglu kończąc.

Chłopak uniósł głowę i przystanął na chwilę. Czuł, że dopada go gorączka i niedługo nie będzie w stanie nad sobą zapanować. Na szczęście na drodze ani nigdzie w okolicy nie było żywego ducha. Minął baraki folwarku, stary szpitalik i wyszedł na pustawę przedmieścia. Obie strony

ulicy prowadzącej do dawnego pałacu Potockich i centrum niewielkiego Radzyna zajmowały drewniane, ubogie domy, otoczone małymi ogródkami. Wszystkie były szare, podniszczone po latach okupacji i wszechobecnej biedy. „Leon” doszedł do wniosku, że – bez względu na pogodę – ta okolica wygląda tak samo i od lat nic się nie zmieniło. Pozory mogły jednak mylić. Na wszelki więc wypadek pomacał kolbę pistoletu ukrytego za paskiem spodni i – czując się nieco bezpieczniej – ruszył przed siebie raźniejszym krokiem. Przeskoczył szeroką kałużę i wszedł na wydeptaną ścieżkę, ewidentnie służącą mieszkańcom za chodnik. Deszcz zaczął mocniej zaciąć. Teraz padał mu prosto w twarz. Zrobiło się niemal ciemno. W kilku domach bladym światłem zapłonęły naftowe lampy i świece. Wszystkie okoliczne, przemoczzone przydomowe kundły już wyczuły jego obecność i zaczynały ujadać.

Pochylony przeszedł jeszcze dwieście metrów i zatrzymał się przy furtce z wymalowanym numerem 23. Za płotem stał prosty, parterowy budynek – jak większość domów na Lubelszczyźnie zbudowany był z drewnianych bali.

– Ech, trzeba by to odmalować – powiedział do siebie, widząc, mimo zapadającego zmroku, łuszczącą się na ścianach farbę.

Pchnął furtkę i podszedł do drzwi. Gdzieś obok, u sąsiadów, rozwścieczony pies o mało nie zerwał się z łańcucha.

– Cicho! – krzyknął do kundla. – Swojego nie poznajesz?!

Zastukał mocno w drewniane drzwi. Coś zaszumiło za ścianą i w szparze przy framudze pokazowała się zdziwiona twarz trzydziestoparoletniej kobiety, oświetlona płomykiem świecy.

– Kto tam? – spytał lekko wystraszony głos.

– To ja, Józek – odparł gość, wycierając nos. – Otwórz, Boguśka, bo tu zaraz zapalenia płuc dostanę. – Niemal rozkazał zniecierpliwiony.

– Nie powinieneś tu przychodzić... – Próbowwała opierać się gospodyni.

– Boguśka! – Spojrzał na nią krzywo.

– No dobrze, już. Wchodź – powiedziała bez entuzjazmu kobieta.

Przekroczył próg wąskiej, chłodnej sieni z rzędem półek zastawionych wekami i jakimiś garnkami, sięgającym samego sufitu.

Zdjął mokry płaszcz i powiesił go na jedynym wolnym haczyku przy wejściu do kuchni. Dzięki dużemu piecowi było tam ciepło i przytulnie. Na stołku pod oknem siedział trzyletni chłopak i bazgrał coś po i tak już zapełnionej kolorowymi liniami kartce. Na widok gościa zerwał się na równe nogi.

– Wujek! – wykrzyknął jedno z kilku słów poznanych w swoim krótkim życiu i ruszył koślawym truchtem, by uściskać Józka.

Obaj wybuchli śmiechem, kiedy mężczyzna zaczął, jak to w miał zwyczaju, łaskotać brzdąca. Szczęście malca było kompletne, gdy potem dostał jeszcze kilka cukierków. Mały Filip z zapałaniem począł rozwijać kolorowe papierki i, siedząc na podłodze, wolno i ze smakiem konsumować ich zawartość.

– Och, Józiu, Józiu... – westchnęła Boguśka, rozkładając ręce. – Rozpieszczasz go. Jak cię widzi, to myśli tylko o słodyczach.

– Daj spokój, niech chociaż on ma coś z życia – powiedział ciągle uśmiechnięty Józek.

Kobieta spuściła wzrok i zaczęła nerwowo ścierać z dłoni nieistniejący brud. Jej owalna twarz nosiła jeszcze ślady dawnej urody, acz ciężkie i biedne życie odcisnęło na niej swoje piętno. Wychudła, zbladła, a uczesane starannie włosy wydawały się suche i lekko już siwiejące. Do tego ten wytarty, pamiętający przedwojenne czasy fartuch postarzał ją o ładne parę lat.



Józek postawił plecak na stole i wyciągnął jakieś papierowe zawiniątko.

– To dla ciebie. – Podsunął kobiecie paczkę. – Mały podarek.

Ta nieśmiało otworzyła pakunek i w jej oczach na moment zalśniła radość.

– Dziękuję – wyszeptła, wyciągając duży wełniany szal. Dawno nikt jej niczego nie sprezentował.

– A to dla niego. – Józek wyjął ciemną, narciarską czapkę z daszkiem i spinanymi na górze nausznikami. – Niezła, nie? Na zimę będzie jak znalazł.

Gospodyni już pochłonięta przymierzaniem szala tylko pokiwała głową.

– Masz gest, Józiu – powiedziała z wdzięcznością. – Daj, schowam. – Zabrała narciarkę, ostrożnie zawinęła w szary papier i włożyła do szafki.

Filip z dziecięcą pasją grzebał w plecaku, sprawdzając zaciekawiony, czy i dla niego coś jeszcze się znajdzie.

– Nie ma, nie ma. – Odgonił go Józek. – Ty już dostałeś. Następnym razem coś wymyślę. – Spojrzał na Boguśkę, gładzącą jakby z niedowierzaniem niebieski szal. Od dawna nie była taka zadowolona. – Następnym razem – dodał, jakby się tłumaczył. Zdobycie ubrań dla dzieci było poza zasięgiem jego możliwości. Brał, co mógł.

– A on? – zapytał gość.

– Sam zobacz – odparła kobieta, nie podnosząc głowy.

Delikatnie nacisnął klamkę drewnianych, białych drzwi, prowadzących do jednego z dwóch pokoi. Ciemność rozjaśniała naftowa lampa na stole. W pomarańczowym półmroku tonęły meble z ciemnego drewna, komoda, stół z czterema krzesłami, niewielki kredens i dwa fotele. Na jednym z nich siedział mężczyzna z głową zwieszoną bezwładnie na oparcie. Józek postawił ostrożnie stopę na drewnianej podłodze, która – o dziwo – tym razem nie zaskrzypiała. Rozejrzał się, czy w pomieszczeniu nie ma nikogo więcej, i wszedł do pokoju.

– Wchodź, nie śpię – usłyszał, kiedy miał zamiar zamknąć drzwi.

Postać w fotelu wyprostowała się, odstawiając jednocześnie pustą szklanekę na stół.

– I jestem prawie trzeźwy – oznajmił z trudną do ukrycia zgryzotą w głosie mężczyzna w wypchanych spodniach, wiszących luźno na szelkach.

– Coś ty z sobą zrobił? – Józek skrzywił się, taksując z obrzydzeniem człowieka przy stole. – Coś obiecywał?

– Co cię sprowadza po tak długim czasie, braciszku? – Gospodarz zmienił temat.

– Chcę przeczekać. – Chłopak zacisnął pięści, z trudem hamując kolejny wybuch. – I nieco mnie przewiało. Tak do wiosny bym u was posiedział... Muszę też kogoś odwiedzić. – Twarz mu pojaśniała w nagłym rozmarzeniu. – Nie martw się... dorzucę coś... Nie zginiecie – powiedział, pociągając nosem, i poklepał się po kieszeni spodni.

– Przeczekać. Tak. – Człowiek w fotelu zamyślił się. – Nie u siebie? Brata odwiedzasz, kiedy ci pasuje, potem znikasz... Ech, tam z wami wszystkimi...

– Daj spokój. Wiesz, jak jest... – Józek nie miał siły na kłótnie.

– Racja, przepraszam. – Witold Gródzki przetarł dłonią twarz i wstał z fotela.

Teraz Józek dostrzegł, że jego brat jest nienaturalnie blady, ma dziwne sińce pod oczami, a jego twarz nie widziała brzytwy od dobrych kilku dni.

– Gratuluję. – Witek wyciągnął rękę. – Jak ja ci zazdroszczę, chłopcze. – Ten ojcowski ton w połączeniu z wyglądem brata wydał się Józkowi zabawny. – Daliście skurwysynom popalić – niemal krzyknął. Drzwi uchyliły się i do pokoju zajrzała Boguśka. – Przepraszam, przepraszam – zachnął się Gródzki, rozumiejąc, że wystraszył dzieci. – Może jednego za zwycięstwo? – spytał,

wskazując na prawie pustą butelkę ukrytą nieporadnie za łóżkiem.

– Dzięki, bracie, ale nie. I ty też już przystopuj. – Józek rozsiadł się na trzeszczącym pod jego ciężarem krześle.

– Nie przesadzajmy. – Witek strzelił szelkami od spodni. – Teraz to pierwszy raz od miesiąca. – Pokiwał głową, jak gdyby dzięki temu jego słowa miały stać się bardziej prawdziwe. – Ty myślisz, że tak łatwo... Co ty wiesz... – Znow robił się nieprzyjemnie żalony.

– Jak zawsze – westchnął Józek.

– Na strychu wszystko gotowe. Ubranie, materac. Ale żeś tu dotarł, to pogratulować.

– Czyli mogę zostać? – Teraz młodszy z braci był nieco zażenowany. – Lubisz ryzyko czy pod latarnią najciemniej? – zaśmiał się gorzko. – Można i tak. U zdegradowanego brata-zdrajcy po więzieniu.

– Ty mi lepiej mów, kiedy wróciłeś? – Witold ściszył głos i podszedł bliżej, jakby się bał, że ktoś słucha ich rozmowy. – Na długo? Narobiliście bajzlu w Partowie. O, głośno o tym było – powiedział z zadowoleniem. – Bitwa jak za Niemca. Mówią, że z tuzin ich natłukliście, jakieś auta żeście popalili. I co? Podobno gruby pieniądz był? – Ostatnie, najcichsze pytanie zamazało szczery, zdawałoby się, podziw. Patrzył na brata szeroko otwartymi oczami.

Józek tylko nabrał powietrza i pokręcił głową z mieszaniną obrzydzenia i politowania.

– Witek, Witek... Ludzie pieprzą jak potłuczoni. Wóda i ploty ci z resztek mózgu kisiel robią... Jaka forsa, do cholery? Zresztą co ja ci będę mówił... Było ruszyć dupę, spróbować, to zobaczyłybyś, jakie u nas skarby. – Oburzenie przeszło w spazm nerwowego śmiechu.

Witold sposepniał i uniósł głowę.

– To już chyba obgadaliśmy – burknął. – Ja do miotły, do śniegu, ale już nie do takich historii. I po co mi to wypominasz?

Józek zerwał się z miejsca, podskoczył do stołu i chwycił butelkę.

– Wolisz chlać... – Potrasnął flaszką. – Filozof, kurwa mać. – Zerknął na drzwi, bojąc się reakcji gospodyni.

Zamilkli na chwilę. Znow kończyło się jak zawsze. Witek poprawił szelki, padł na łóżko i gapił się w sufit.

– Co ty tam wiesz... – zaczął bełkotać. – Gównu wiesz... Jakby tobie tak jak mnie... – Zakrył twarz ręką. – Potem opowiesz, co i jak? Potem opowiesz... – mamrotał, zasypiając.

\*

Ostatni weekend przypominał Charliemu „Greenmanowi” Zielinsky’emu starcie z całą niemiecką dywizją. Kiedy wrócił do domu, po zwolnieniu z posterunku, w drzwiach przywitała go czerwona ze złości Katty. Opowieść przygotowaną na czarną godzinę, o spotkaniu z kumplami z wojska, mógł od razu odłożyć na inną okazję. Katty, stosując sobie tylko znane kobiece sztuczki, wyciągnęła od kogoś z firmy, że jej mąż pojechał na wiec partii komunistycznej. Karol nie miał pewności, ale podejrzewał, że tym, który go zdradził, był Marcin. Zawsze miał za miękkie serce w stosunku do kobiet. Każda kolejna dziewczyna owijała go sobie wokół palca.

Zielinsky nie miał do niego pretensji. Było mu wszystko jedno, od kogo żona dowiedziała się o jego noclegu w celi. I tak by się wydało.

Starcie zaczęło się wielką awanturą, a właściwie monologiem Katty – o jego nieodpowiedzialności i błędzie, jaki popełniła, wychodząc za niego. Zwyczajowa śpiewka. Karol kręcił się po domu z opuszczoną głową i w milczeniu słuchał niekończącego się potoku wymówek. Choć w tym przypadku jego kochana Katty akurat nie przesadzała. Kiedy żona nieco się zmęczyła, do

ataku przystąpiła jego matka. Nieco łagodniej i ciszej, ale równie długo ciągnęła awanturę. Po-tem były telefony od teściowej i paru znajomych rodziny. Tylko ojciec wymownie milczał, a kie-dy napotykał wzrok syna, uśmiechał się dumnie, bo sam, w jego wieku i na jego miejscu, zrobił-by to samo. Bronić otwarcie syna nie chciał, bo chwalił sobie spokój w małżeństwie, a poza tym tak naprawdę wszystkie kobiety w ich domu miały rację.

Karol też dobrze to wiedział. Skończyły się już czasy młodzieńczych szaleństw w barach An-glii i Francji, bijatyki z krnąbrnymi i tępowymi żandarmami, a także każdym, kto ośmielił się stanąć Greenmanowi na drodze. Minął okres krwawych bitew, ran, cierpienia, zimnych nocy w okopach, spalonych stodół, suchego prowiantu i marzeń o lepszym świecie, którego jednak wywalczyć się dla wszystkich nie dało.

Może jednak, choć – jak mu się zdawało – dorósł, tęsknił do tego wszystkiego? Chciał do-kończyć to, co zaczął. Chciał znów stać się szarym trybikiem sprawnej maszyny, robić dobrze to, co lubił, i to, w czym był szkolony. Pozbyć się ciężkiej na jego barkach odpowiedzialności.

Czasem myślał, że być może tak naprawdę nigdy nie dorósł i już nie dorośnie. Warsztat usta-wił go finansowo, ale nudził się potwornie i przy każdej okazji, w rozmowach z ojcem czy To-nym Saviolą, wracał wspomnieniami do czasów wojny. Rozumiał doskonale złość Katty, bo cza-sy były inne, a od odpowiedzialności za nią i Josepha uciec nie można było. Typowy przykład dualizmu ludzkiego charakteru.

Spotkał Stanleya, a ten dał mu do myślenia. Propozycja, jaką usłyszał, sprawiła, że krew za-częła szybciej krążyć mu w żyłach. Próbował myśleć o tym z dystansem, ale w środku cały się gotował. Nie wiedział, co miałoby go czekać, ale czuł pokusę – bez względu na przeszkody i okoliczności. Jednocześnie nie potrafił zostawić ot tak ludzi, których kochał, i tych, którzy dzięki niemu mieli pracę.

Kiedy Katty i matka przestały trajkotać, w całym domu zapanowała cisza. Była wizja, nie było fonii. Dwie noce przyszło Karolowi spać na kanapie w pokoju na piętrze, zaraz obok mał-żeńskie sypialni. Taki stan trwał do poniedziałku. Wtedy Greenman, który doskonale radził so-bie z wrogiem, klientami i wszelkimi przeciwnościami, postanowił ujarzmić własną żonę. Zaata-kował bukietem róż i zaproszeniem na obiad. Poskutkowało, choć nie od razu. Znowu wysłuchał porcji umoralniających uwag, z którymi niezmiennie się zgadzał. Kiedy dostał pozwolenie po-wrotu do sypialni, postanowił odczekać z dalszymi informacjami. Po co miał zaprzętać głowę Katty niepewnymi propozycjami.

Dopiero w środę przy śniadaniu uznał, że trzeba powiedzieć o ofercie Stanleya. Informację poprzedził długim, ogólnym i niewiele mówiącym wstępem. Potem rzucił, niby przypadkiem, kilka słów o propozycji powrotu do armii, być może wyjazdu za granicę. Nie wiedział, czy tak się stanie, ale wolał zabezpieczyć się na przyszłość, żeby Katty nie czuła się oszukana. Jak zakła-dał, małżonka – delikatnie mówiąc – zadowolona nie była, ale słowne utarczki trwały krócej. Być może uznała to wszystko za mrzonkę lub kiepski żart.

Kiedy Katty wyszła do pracy, Zielinsky sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił numer, któ-ry dostał od Stanleya.

Długo czekał, zanim ktoś odebrał połączenie. Spokojny, męski głos podał mu jedynie adres jakiejś kawiarni na Clay Avenue, opodal Claremont Park w zachodnim Bronxie. Potem połącze-nie przerwano.

Karol nie znał tego miejsca, tak jak nie znał dobrze Bronxu.

Chciał nawet zapytać o drogę Tony'ego Saviolę, ale uznał, że cała ta sprawa jest poufna i le-piej nie informować innych.

Wsiadł do swojego ciemnozielonego packarda, auta, którego w przeciwieństwie do forda używał do oficjalnych wyjazdów i wizyt, i ruszył w stronę Manhattanu.

Jechał szybko, nie bojąc się patroli. Zostawił auto w pobliżu dworca Grand Central, w kiosku kupił plan miasta. Postanowił skorzystać z metra, bo podróż na Bronx autem trwałaby za długo. Kilka minut szukał adresu na mapie i wybierał odpowiednią trasę.

Wsiadł do pociągu i – z jedną przesiadką – dojechał do stacji przy 167 ulicy. Następnie ruszył spacerowym tempem poprzez ulice tętniące kakofonią dźwięków i pełne aut oraz ludzi prosto pod wskazany adres.

Dzień był słoneczny i jak na listopad ciepły, więc Karol nieco się zgrzał, ubrany w przyciężki płaszcz i dwurzędowy garnitur.

Po dwudziestu minutach dotarł do Limo's Cafe, małej, cuchnącej wilgocią knajpki, pełnej rozgadanych, podstarzałych Włochów. Usiadł przy najdalszym stoliku, czując na sobie spojrzenia stałych bywalców, i zamówił podwójne espresso.

Zegar na ścianie pokazywał godzinę jedenastą. Pijąc kawę, otoczony starszankami, którzy przy obcym przeszli na włoski, zastanawiał się, co on właściwie wyrabia. Jak zawsze, przy każdej zmianie w jego życiu, pojawiały się wątpliwości.

Naprawa aut była całkiem dochodowym przedsięwzięciem. Po wojnie Stany wypełniły się młodymi mężczyznami, którzy chcieli nadrobić stracony na drugim końcu świata czas. Ludzie wracali do domów, kupowali auta i ruszali w podróże. Zwiedzali Amerykę. A kiedy wozy się psuły, niektóre z nich trafiały do „Greenman's Mechanics”. Jego matka założyła z Katty pracownię krawiecką. Robiła to, co potrafiła najlepiej i czego uczyła się jeszcze w Polsce – szyła. Na początku były to przeróbki i drobne zamówienia. Później okazało się, że w duecie z synową potrafią tworzyć i projektować całkiem interesujące kiecki. Karol nie bardzo na tym się znał, ale był dumny, że Katty świetnie dogaduje się z teściową i do tego potrafią wspólnie prowadzić biznes. Finansowo był ustawiony.

Powojenna Ameryka tętniła życiem, ludzie wydawali pieniądze. Niezniszczona podczas wojny amerykańska gospodarka, chyba jedyna tak prężna na świecie, rozrastała się szybko, produkując miliony towarów potrzebnych na całym globie. Żyło się coraz lepiej, coraz szybciej, bez większych zmartwień.

– Więc po co, do cholery, mam się stąd ruszać? – spytał sam siebie Karol.

I wtedy przypomniało mu się to, co słyszał od Polaków na wojnie. To, co przez te lata nie pozwalało mu spać w nocy. Tam, gdzieś w Europie, nie było tego całego bogactwa i dobrobytu. Były gruzy i bieda. Takie obrazki dotarły nawet do USA – w kronikach filmowych i nielicznych reportażach ze wschodniej Europy.

Sowieci zabronili swoim koloniom przyjmować plan pomocowy, zwany planem Marshalla, który działał na także sponiewieranym zachodzie starego kontynentu. To był główny powód rozterek Greenmana. W jego kraju byli Sowieci, a jeśli istniał cień szansy – na co po cichu liczył – żeby im dopiec, musiał spróbować. Był bardzo pewny siebie i nawet nie przyszło mu do głowy, że na początek potencjalni zleceniodawcy mogą dać mu zadanie za biurkiem, w trakcie którego stary kraj będzie mógł sobie pooglądać co najwyżej na globusie. Decyzję już podjął.

Do kafejki wszedł mężczyzna w cienkiej wiatrówce i czarnym kapeluszu. Kupił papierosy i ruszył do toalety. Przechodząc koło stolika Zielinsky'ego, niepostrzeżenie upuścił na krzesło złożoną gazetę. Zrobił to tak zręcznie, że Karol nawet tego nie zauważył. Dopiero kiedy nieznanomy wracał, posłał mu długie spojrzenie, a potem skinął lekko na „New Yorkera”.

Greenman dopiero teraz pojął, o co chodzi, i zawstydził się swoją nieuwagą. Odczekał, aż

mężczyzna wyjdzie z kawiarni. Potem rozejrzał się po pomarszczonych twarzach bywalców Limo's Cafe, ale z ulgą odkrył, że przestał już interesować starych Włochów. Uniósł niby od niechcenia gazetę i otworzył ją. Na pierwszej stronie ołówkiem ktoś nabazgrał adres – Hotel Janehouse, przy Park Avenue 3567. Pokój 33.

Dopił kawę i wyszedł przed lokal. Pokonał dwie przecznice, mijając niskie magazyny i rozpadające się czynszowe kamieniczki, zanim spytał o drogę. Okazało się, że hotel nie leży daleko. Dotarł tam w ciągu kwadransa.

Budynek z czerwonej cegły stał wciśnięty między dwie trzypiętrowe kamienice. Wyróżniały go liche i tandetne „neogotyckie” ozdoby przy frontonie.

Karol rozejrzał się po okolicy. Grupka dzieciaków grała w baseball, obijając zaparkowane auta piłką. Jakaś starsza, tęga kobieta w ciepłej czapce sterczała w oknie, uważnie lustrując okolicę. Oprócz niej nie było nikogo, kto by mu się przyglądał.

Wbiegł po schodach, pchnął drzwi i wszedł do wyłożonego zielonym pluszem zatęchłego i dusznego holu. Po prawej stronie stało kilka foteli, otaczających dwa niskie stoliki. Po lewej, za ladą z ciemnego drewna, znajdowała się niewielka recepcja z rzędami kluczy na ścianie.

Wyglądało na to, że w hotelu nie było wielu gości. Brakowało jedynie numerów 33 i 36. Zza blatu wystawała blada i łysa głowa podstarzałego portiera.

– Pokój trzydzieści trzy? – zapytał Karol, zdejmując kapelusz.

– Trzecie piętro, schodami, winda nie działa – odparł portier, nawet nie podnosząc głowy.

Zielinsky jeszcze raz przyjrzał się ponuremu miejscu. Czuł się nieswojo. Było pusto i cicho. Przyszło mu do głowy, że to jakaś stara dekoracja, wzniesiona na potrzebę chwili.

Wszedł po schodach na ostatnie piętro, nie spotykając nikogo. Zatrzymał się między dwoma korytarzami. Ten z lewej był ciemny, zapewne z uszkodzonymi lampami albo przepalonymi żarówkami. Odruchowo skręcił w prawo i z ulgą dostrzegł, że numery pokoiów rosą od trzydziestego. Drzwi oznaczone liczbą 33 znajdowały się mniej więcej pośrodku korytarza, który wienczył numer 36.

– Tam nas pilnują... – Uśmiechnął się i zapukał do drzwi. Usłyszał kroki. Zawiasy zaskrzypiały, a przed Karolem stanął uśmiechnięty Bryan J. Stanley.

– Witaj, Charlie – powiedział z wystudiowaną uprzejmością. – Widzę, że żona cię puściła. Wchodź, stary. Rozgość się.

Pokój okazał się ponury jak cała reszta hotelu. Spłowiałe i przybrudzone brązowe tapety w żółtawe kwiaty były ledwo widoczne w skąpym świetle. Za oknem widniała tylko szara ściana domu obok.

– Pozwól. – Bryan wskazał dłonią pulchnego faceta ubranego w elegancki garnitur, z krótko przystrzyżonymi włosami, który wstał z wytartego czerwonego fotela. – Pułkownik Jeff Landas.

– Miło mi, panie Zielinsky – powiedział grubas, wyciągając dłoń w kierunku Karola. Ten przyjrzał się pułkownikowi i stwierdził, że widział już tego człowieka. To on siedział na końcu sali w restauracji, kiedy Bryan wykupił go z aresztu. Ucisnął jego dłoń.

– Herbaty? – zaproponował Stanley.

– Czemu nie – zgodził się Karol.

– Oczywiście na początek, na później mamy coś mocniejszego. – Oficer z uśmiechem wskazał na butelkę osiemnastoletniej szkockiej na stoliku.

„Sprawdzają mnie?” – pomyślał zdziwiony Karol.

– Dziękuję, przyjechałem samochodem – powiedział głośno.

– Skoro tak... Niech pan siada. – Landas wskazał drugi fotel.

– Całkiem ciepło jak na listopad – zaczął kurtuazyjnie major i nieco przysłonił okno. Pułkownik zapalił stylową lampę stojącą na niewielkim kawowym stoliku. Pomieszczenie lekko się rozjaśniło, ukazując zakurzone, posłane łóżko i jakieś czarne plamy na taniej wykładzinie.

– To prawda, całkiem ciepło. – Uśmiechnął się Karol i odebrał od Stanleya filiżankę gorącej herbaty, chociaż wcale nie chciało mu się pić.

Na moment zapadła kłopotliwa cisza, jakby gospodarze nie mogli się zdecydować, który będzie mówił.

– Co mi chcecie zaproponować? – spytał prosto z mostu Zielinsky.

Pułkownik wyprostował się w fotelu i znowu przybrał wyćwiczony służbowy uśmiech. Greenman zaczynał się zastanawiać, czy wszystkich ich szkołą w przyjmowaniu takiego wyrazu twarzy na zawołanie.

– Panie Zielinsky – zaczął uprzejmie Landas. – Jak zapewne wspominał panu Bryan, pracujemy w pewnym, nazwijmy to, państwowym przedsiębiorstwie. I zastanawiamy się, czy nie zechciałby pan się u nas zatrudnić.

Greenman postawił spodek z filiżanką na stoliku i zacisnął dłonie na rogach fotela.

– Na jakich zasadach? Nie znam się na robocie... – chciał powiedzieć „szpiegowskiej”, ale zmienił zdanie – ...waszej firmy. Jak już mówiłem, jestem, to znaczy byłem, żołnierzem – mówił twardo, ale spokojnie. – I to na tym się znam. No i ostatnio na naprawie aut. – Skrzywił usta w sztucznym uśmiechu.

Major zaśmiał się cicho, podsunął krzesło i usiadł przy stoliku.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza.

– Właśnie – potwierdził pułkownik, któremu od potu zaczęło lekko błyszczyć czoło.

– Mówicie o wojsku czy o naprawie aut? – Karol nie mógł powstrzymać się od odrobiny uszczypliwości.

– O wojsku, rzecz jasna – odparł Landas zupełnie niezrażony. – My też nie pozbyliśmy się mundurów – dodał zaraz. – Słyszał pan o OSS?

– Tak jest. Biuro operacji specjalnych. Służba powstała z pomocą Brytyjczyków i ich SOE. Zajmowaliście się sabotażem za liniami wroga, zrzucając agentów, wspieraniem oddziałów partyzanckich, szukaniem zestrzelonych pilotów...

– I pracą wywiadowczą – dodał pułkownik. – Na bazie OSS oraz jego doświadczeń powstało właśnie Office of Policy Coordination, ale nie znaczy to, że nie ma tam żołnierzy. To takie zbrojne ramię agencji, ale mamy lepsze kontakty z armią, jeśli to pana uspokoi. – Uniósł dumnie głowę. – Otóż, panie Zielinsky, budujemy komórkę odpowiedzialną za działania wojskowe czy też paramilitarne. Kierowani są tam ludzie po specjalistycznym szkoleniu, ale też z dużym doświadczeniem. Poza tym, tak między nami, dopóki obie firmy są w chwili rozruchu, nasza komórka pełni rolę wspomagającą wywiad. Ale szybko uczymy się i zyskujemy niezależność.

– Czyli pracują tam ludzie, nazwijmy to, wypożyczani od wojska, jak już ci mówiłem – wtrącił Stanley. – Pewnie wolałbyś służyć pod bezpośrednimi rozkazami Pentagonu, ale wierz mi, w dzisiejszych skomplikowanych czasach mamy o wiele większe możliwości i trudniejsze zadania. Z efektów naszej pracy korzystają całe siły zbrojne. Tyle że oni mogą działać jedynie wtedy, gdy zezwolą na to politycy. U nas istnieje pewna furtka. Wojny nikt nie wypowiedział oficjalnie, trwa ona gdzieś na obrzeżach świata, a skoro jej nie widać, to... można więczej. – Mrugnął znacząco.

– Panie Zielinsky. – Pułkownik nie zmieniał uprzejmego tonu. – Wie pan chyba, co powiedział Winston Churchill ponad rok temu w Fulton.

– Że Europę podzieliła żelazna kurtyna. – Zielinsky namiętnie śledził wydarzenia polityczne.  
– Właśnie. – Pułkownik wyciągnął palec. – Świat jest podzielony...  
– ...a my jesteśmy na początku nowej wojny. Bez frontów, wielkich bitew. I niech Bóg da jak najdłużej. Ale możliwe, że kiedyś to się zmieni. Wtedy musimy wiedzieć jak najwięcej – zakończył Stanley i Karol nie mógł nie zauważyć, że obaj sprawnie to rozegrali.  
– Dobrze. Nowa wojna. Biuro. A po co ja jestem wam potrzebny? – zapytał. – Piechur, który od ponad dwóch lat grzebie w silnikach. A i to bez większego przekonania – dodał nieco na wyrost, bo od mechaniki miał ludzi.  
Landas uśmiechnął się szelmowsko.  
– Wiemy dokładnie o pana wyczynach na wojnie i wielkich zasługach. Potrzeba nam ludzi doświadczonych w walce.  
– Takich jak ty – dorzucił Bryan, wpatrując się w oczy Greenmana. – Na razie jest 1:0 dla nas. Mamy coś, czego tamci się boją. – Wskazał ręką gdzieś w bok. – Trzymamy ich w szachu...  
– Likwidując armię i ograniczając wydatki – dodał z ironią Karol.  
– A na co nam wielka armia? – zachnął się pułkownik. – Nasze strategiczne bombowce mogą dolecieć niemal w każdy zakątek świata. Dyplomacja zawodzi? Proszę bardzo. Tylko zagroziliśmy tamtym bombą, a raz-dwa wycofali się z Iranu.  
– Pamiętam – przytaknął Zielinsky na wspomnienie kryzysu wywołanego obecnością Armii Czerwonej, stacjonującej od czterdziestego pierwszego roku w Iranie, oraz szkolonych przez nią partyzantów.  
– Są też ciemne strony. – Stanley wstał i zaczął wolno przechadzać się po pokoju. – Zgodnie z tym, co mówisz, nasze siły zbrojne są o wiele mniejsze. Sowieci prawdopodobnie mają przewagę w ludziach i czołgach i szybko odbudowują wojenne straty. Przynajmniej w wojsku. Nam prawdopodobnie jeszcze nie zagrażają, ale sojusznikom już tak.  
– Co znaczy „prawdopodobnie”? – zdziwił się Zielinsky, wyciągając paczkę papierosów. Otworzył ją i podstawił pułkownikowi, ale ten pokręcił tylko głową.  
– Właśnie. Od czasów wojny mamy niewielką wiedzę o sytuacji po tamtej stronie.  
Major zatrzymał się wpatrzony w wychodzące na popękana ścianę okno.  
– Prawdę mówiąc, największą pomoc w dziedzinie wywiadu płytkiego – Landas użył specjalistycznego określenia – okazali nam twoi rodacy.  
Karol uniósł brwi i cicho zagwizdał.  
– No, toście mnie zaskoczyli. Nie wiedziałem. – Jednocześnie zastanawiał się w duchu, czy to, co słyszy, jest prawdą.  
Głośno dodał tylko:  
– Potężna Ameryka nie wie, co czyni wróg. Robi się coraz ciekawiej.  
– Rozumie pan, że póki nie zdecyduje się pan dla nas pracować, za dużo powiedzieć nie możemy. Choć i tak nagięliśmy zasady.  
– Oj, sprytnie. Najpierw rozbudźcie ciekawość, a potem... – Zielinsky zaśmiał się i zapalił papierosa.  
– Tak to działa, Charlie. – Major znowu usiadł na krześle i przysunął się bliżej Zielinsky'ego.  
– Ucisk od strony Sowietów się wzmaga – mówił z poważną miną. – Siatki są niszczone. Mamy pewne plany, ale do tego...  
– ...do tego potrzeba kilku odważnych Polaków – dokończył zdanie pułkownik, jakby mówił swoją kwestię w teatrze. – Takich jak pan.  
Zielinsky zgasił papierosa na spodku filiżanki i przygryzł wargi.

– Chcecie...

– Tak. – Rozpromienił się Landas, widząc, że kandydat łapie w mig, co się do niego mówi. – Planujemy przygotować panu ciekawą wycieczkę.

Zielinsky'emu aż rozszerzyły się źrenice i zacisnął mocniej palce na oparciu fotela. Próbował powstrzymać uśmiech na twarzy, ale mu się to nie udało.

– Widzę, że ci się ten pomysł podoba. – Stanley poklepał go po ramieniu. – Wiedziałem, że dobrze wybrałem.

– Jak już wspominałem, więcej o zadaniu powiedzieć nie możemy. Wszystko zależy od pana... od ciebie, Charlie. Zgadzasz się? – Landas pozwolił sobie na większą poufałość.

Karol myślał intensywnie. Nie był stary, ale nie był też już żadnym przygód nastolatkiem. Co z Katty, Josephem i firmą?

Stanley i Landas wymienili spojrzenia.

– Wiemy, to nie jest prosta decyzja – drążył major. – Masz rodzinę, odpowiedzialną pracę. Wiemy. – Wbił poważne spojrzenie w Polaka. – Jeśli ułatwi to jakoś sprawę, wiedz, że wypad byłyby niedługi, maksymalnie na kilka miesięcy. Nie będziesz musiał pozbywać się firmy, tylko ją komuś przekazesz. A i pieniądze będą przyzwoite. Oczywiście stworzymy ci odpowiednią historię, bo to wszystko, czego się dowiesz, nie będzie mogło wyjść poza wąski krąg wtajemniczonych.

– Jeśli to pana nie satysfakcjonuje, rozstaniemy się zaraz i zapomnimy o sprawie – powiedział poważnie pułkownik, lustrując uważnie kandydata.

– Zgadzam się – niemal wyszeptał Karol. Nie wiedział, jak to wytłumaczy rodzinie, ale innej odpowiedzi nie miał. – Zgadzam się – powtórzył głośniej, bez wahania, i uśmiechnął się, jakby duży ciężar spadł mu z serca.

– Doskonale! – Landas klasnął i sięgnął po butelkę.

– Brawo, stary. – Stanley znowu klepnął Zielinsky'ego w ramię.

– Ale mam kilka pytań. Po pierwsze – co z rozprawą?

– Daj spokój, chłopie. Załatwimy to. Rozejdzie się po kościach. – Pułkownik mocował się z zakrętką butelki. Kiedy w końcu ją otworzył, nalał whisky do trzech przygotowanych szklanek. Podał jedną Karolowi.

– A co mi tam – powiedział Greenman.

– Za współpracę! – Stanley podniósł do góry szkło.

– Teraz garść konkretów – powiedział po chwili Landas już nieco surowszym tonem. – Zostaniesz przeszkolony na kursie oficerów rezerwy armii USA lub Gwardii Narodowej i awansowany do stopnia podporucznika.

– Ja, oficerem? – zdziwił się Zielinsky.

– Powiedzmy, że to wymóg formalny firmy. – Uśmiechnął się Stanley.

– Ze względu na sytuację kurs, który normalnie trwa kilka tygodni, nieco zostanie przyspieszony – kontynuował Landas. – Jednak stopień oficerski to nie wszystko. Przejdziesz szkolenie z zakresu działań dywersyjnych, operacyjnych, skoków spadochronowych, technik robienia zdjęć, unikania obserwacji, łączności, łączności specjalnej, walki partyzanckiej, spotkań z oficerami z placówek dyplomatycznych...

– Dużo tego – westchnął Karol.

– Co, nie dasz rady? – spytał z przekąsem Bryan.

– Dam, skoro chciałem, to dam radę.

– Nie będzie ci zbyt ciężko. Masz ogromne doświadczenie z wojny. To jeden z twoich głów-



nych atutów. Poza tym potrafisz myśleć. – Pułkownik postukał się palcem w głowę, podkreślając swoje słowa. – I rozpoznawać zagrożenie – dodał.

– Przejdiesz intensywny kurs nauki języka rosyjskiego i polskiego – zakomunikował major.

– Polskiego? – zdziwił się Karol i spojrzął na obu jak na idiotów.

– Tak jest. Język się zmienia, a ty nie byłeś w Polsce od dzieciństwa. Nie chcesz chyba, żeby zdradził cię twój akcent rodem z Jersey?

– Kiedy skończysz szkolenie, zostaniesz poinformowany o swoich zadaniach. – Pułkownik zmienił się w prawdziwego służbistę i przestał bawić się w uprzejmości.

– Jest i ciemna strona medalu. – Stanley nalał sobie jeszcze trochę whisky. – Musimy zacząć wszystko niemal natychmiast. Chcemy, żebyś był gotowy na wiosnę.

– No to teraz mnie dobiłeś – westchnął Zielinsky i zaczął wygrzebywać z paczki kolejnego papierosa.

– Wypełnisz zaraz formularz kandydata do pracy w firmie. Jesteś sprawdzony, opinię też masz dobrą, więc przeciwskazań nie ma. Kiedy załatwisz sprawę z rodziną, stawisz się do punktu rekrutacyjnego armii na Brooklynie, gdzie złożysz papiery zwalniające cię z wojska. Tam będą już wszystko wiedzieli. Dobrze by było, żebyś wznowił studia, ot tak, dla formalności, bo na kurs idą ludzie z dyplomem...

– Jakoś temu zaradzimy – oświadczył pułkownik i opadł na fotel.

Karol zaciągnął się papierosowym dymem i zmrużył oczy.

– Panowie, bardzo się cieszę. Naprawdę. Ale jest jeden podstawowy problem, o którym teraz myślę.

– Jaki? – zaniepokoił się Stanley, wyciągając plik dokumentów ze stojącej obok stolika teczki.

– Moja kochana żona – westchnął Greenman. ■

## ROZDZIAŁ 3

Sny, które go męczyły, były koszmarne. Płomienie, krzyki, przerażający, ogłuszający dźwięk rozdzieranego metalu. Potem niewyraźne śmiechy rozlegające się w ciemnościach, dym i trzęsące się, obolałe ciało.

Nagle porażająca jasność zasłoniła wszystko. Trwało to tak niesamowicie długo, że miał ochotę wrzasnąć, ale głos wiązał gdzieś w środku i nie dał się uwolnić.

Z oddali dobiegł go ściszony męski głos:

– Chyba będzie dobrze. Reaguje.

\*

Życie rozwodnika w tym zawodzie było bardzo korzystne. Brakowało wprawdzie ciepłych obiadków na stole, czystego ubrania na zawołanie czy kogoś, kto by na niego czekał, ale ten stan miał swoje zalety. Przede wszystkim – święty spokój i niezależność. Dzięki temu był, jak to mówili, operatywny. Inne potrzeby bez trudu dawało się zaspokoić.

Zresztą Stiepan Zardow ćwiczył to wszystko kilka lat. Małżonkę dobrano mu z resortu, zgodnie z prawidłami kojarzenia małżeństw wśród ludzi zaufanych. Nie wyszło, ale i nie miało prawa wyjść. Oboje byli niezależni, szukali przygód na boku, czasem także z nakazu i służbowego obowiązku. Inna sprawa, że w ogóle się nie widywali, więc ich „związek” umarł zupełnie naturalnie.

Od lat, tak w czasie wojny, jak i jeszcze przed nią, sam gotował, prasował i pakował się na wyjazdy. Zyskał w tym wielką wprawę, więc nie było powodów do narzekania. Zresztą – komu się żalić? W tym fachu przyjaciół nie miał prawie w ogóle.

Niedużą kwaterę oficera – szary pokój, wyposażony w proste łóżko, szafę i kilka innych mebli – zagracały obecnie otwarte walizy i rozwieszony garnitury. Starannie zapakowane, gotowe na długi wyjazd. To właśnie Zardow lubił w firmie najbardziej. Dobre garnitury.

Na Zachodzie nie potrafił się nadziwić, że nawet podczas wojny, w zgłiszczach i ogniu, ludziom udawało się nosić elegancko. Dla zwyczajnego człowieka sowieckiego taki wygląd był czymś niemożliwym do osiągnięcia.

Zardow i jego kompani, zakon tajnych wojowników wielkiej sprawy Lenina, garściami czerpali z tej zgnilizny, z którą przecież wojowali. No ale jedno nie przeczyło drugiemu. A byli do brzy w tym, co robili... Niemniej powrót był bolesnym rozczarowaniem. Ta niewielka klitka wielkości pokoju w jakimś internacie czy hotelu robotniczym była jednym z wielu przykładów na to, jak zostali potraktowani.

Śledztwo, groźby, potem rezerwa kadrowa, a na koniec – to. Zamiast do wyśnionych mieszkań w Moskwie czy Leningradzie, w miejscach, o których przeciętny człowieczek nie śmiał nawet marzyć, gwardię systemu wciśnięto do takich dziur, mając ich mizernymi obietnicami, że kiedyś, gdzieś... gdy tylko udowodnią...

Zardow ułożył w walizce kilka uprasowanych koszul, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – Major poprawił podwinięte mankiety.

W progu pojawił się wielkolud – barczysty facet w trudnym do określenia wieku, ubrany w lekko zakurzony szynel oficera, z czapką pod pachą. Wyglądał niemal na bliźniaka Wasiljewskiego. Twarz miał szeroką, suchą i ogorzałą. Uważnie rozglądał się po pomieszczeniu. Po tym poznać można było resortowy sznyt: ciekawość i chęć zapamiętywania szczegółów.

– Kapitan Michaił Gorozow... – rzucił od razu, prostując się i kładąc ręce wzdłuż szwów. – Pułk wojsk wewnętrznych z...

– Wejdźcie – przerwał mu Zardow, lekko zdziwiony. – Wejdźcie, proszę. – Wskazał na pokój i zerknął na zegarek. – Dobra synchronizacja. Czasu zostało niewiele... – Uśmiechnął się.

Gorozow zmarszczył czoło. Nie tego się spodziewał i nie czuł się z tym dobrze. Jako rasowy oficer oczekiwał ostrego przyjęcia. Nie znał ludzi z Pierwszego Zarządu Głównego – wywiadu zagranicznego – ich metod i luźnego podejścia. No i pierwszy raz był w Moskwie.

– Zdejmijcie ten płaszcz, za gorąco jest. – Zardow nie przestawał się uśmiechać. Siadł na krześle i z rozbawieniem obserwował nieporadność gościa.

„Kundel?” – niepodziewanie przypomniała mu się przedostatnia narada z Wasiljewskim i resztą. Major niemal parsknął śmiechem, ale w ostatniej chwili przygryzł język.

Gorozow spojrzał na niego, przechylając pytająco głowę.

– Siadajcie, siadajcie. – Zardow wskazał łóżko.

Gość zrzucił ciężki szynel, zrolował go i usiadł na pościeli. Miał na sobie błuzę polową, a na niej kilka orderów. Widać było, że jest z nich dumny – wypolerowane jak największe skarby dowody, że coś w życiu osiągnął. Prawdę mówiąc, tylko to mu pozostało – mógł jedynie kląć innych w oczy świadectwami swoich frontowych wyczynów.

– Wybaczcie warunki, ale za trzy godziny wyjazd. – Zardow zrobił przeproszący gest, co już zupełnie zbiło gościa z pantałyku. Pokiwał tylko głową, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. – Powinniśmy spotkać się gdzie indziej, napić, pogadać na spokojnie, ale... Rozumiecie.

– Rozumiem. – Gorozow, przy całej swojej posturze, wydawał się bardzo potulny.

– Jak podróż? Że wam się udało tak prędko... Podziwiam. – Major mówił szczerze.

– Dostałem rozkaz. Wezwaliście, to i jestem. – Gorozow zaczynał się irytować. To całe uprzejme traktowanie z każdą sekundą drażniło go coraz bardziej. Nie nawykł do tego, nie rozumiał.

– Znudzilo się wam marznąć? – Zardow wyprostował się i założył ręce na piersi. Pierwszy raz w trakcie tej rozmowy zabrzmiał poważnie i surowo. I jeszcze ten wzrok wbity w oblicze Gorozowa...

Musiało zboleć, bo gość sapnął i podrapał się w czoło. Miał coś powiedzieć, ale tylko rozchylił wargi i zaraz je zamknął. Tak, jak chciał, do starszego szarżę nie mógł się odezwać. Nie teraz, nie na samym początku. Nie miał zamiaru wracać.

– Jesteście Gorozow. – Ton majora był spokojny, wyraźny, ale dziwnie drażniący. – Kapitan wojsk wewnętrznych MGB. Ostatni przydział na granicy mongolskiej. Bez awansu od... – To już był ewidentny przytyk. Zardow potrafił być uszczypliwy, ale mówił prawdę. – Od wielu lat, prawda?

Gorozow w milczeniu przełykał ślinę, wbijając w Zardowa pełne niechęci spojrzenie.

– Życiorys macie bogaty. W czterdziestym akcja deportacyjna, dowódca plutonu. Rok później zabezpieczenie tyłów frontu. Potem Smiersz, a wraz z postępnymi Polska...

Gorozow drgnął, jakby coś go zabolalo.

– Taaak, Polska. – Zardow pastwił się nad nim z lubością. – Pierwsza skucha. Co to było? Uciekli z wam z obławy czy z transportu? – drwił, udając, że nie wie.

Gorozow zrobił się czerwony.

– Dali was do Czwartego Ukraińskiego. A po wojnie... w step.

Kapitan poluźnił stójkę munduru. Nienawidził tego. Tych wyliczanek, wspomnień, bo i zaraz nachodziły go pytania, co i gdzie zrobił nie tak i co można było zmienić. Mimo że był doświad-

czonym czekistą, w ten sposób łatwo było go zdołować. Normalnie ta frustracja przeszłaby u niego w agresję, ale tu nie wypadało dawać upustu emocjom. Nawet napić się nie było można...

– Tak... – Zardow wstał, gładząc się po brodzie. – W step. – Zerknął za okno.

Uwielbiał takie aktorskie akcje. Ile ich w swoim życiu nie wykonał...

– Dajemy wam szansę. – Odwrócił się gwałtownie, znów z uśmiechem.

– Co... Co to za robota? – Gorozow ponownie dał się zaskoczyć.

– O, prosta. Bardzo prosta. – Zardow znowu był miły, niemal do rany przyłoż. – Jeśli pójdzie dobrze... – zrobił krok w przód i pochylił głowę – ...to wierzcie mi, tam u góry... – Major ściszył raptownie głos, a jego palec wskazał sufit. – Przypomną sobie o nas wszystkich. – Wyprostował się i dumnie uniósł głowę.

Po tej uwadze kapitan się rozpromienił i uspokoił. Zupełnie jakby zeszło z niego ciśnienie. Mimo wrażenia, jakie sprawiał, takie niuanse pojmował szybko. Jasne było, że obaj są tacy sami, skreśleni. I obaj muszą się wydostać na powierzchnię.

– No to sobie porozmawiamy. – Zardow klasnął w dłoń. – Porozmawiamy ze wszystkimi. Macie bagaż tu, czy...?

Gorozow nie nadażał. Patrzył na Zardowa nierozumiejącym wzrokiem.

– Przecież już mówiłem... pociąg... – kontynuował major.

– Jak to pociąg? Dokąd jedziemy? – Gorozow prawie wstał z miejsca. Takich historii się nie spodziewał.

– Na zachód, towarzyszu kapitanie. – Zardow uśmiechnął się rozbawiony. – Do Warszawy.

\*

Mimo lodowatego wiatru i przymrozku jesienne słońce jasno świeciło na błękitnym, bezchmurnym niebie. Nieliczni wychudzeni i poszarzali ludzie przemykali chodnikami, ubrani w pocerowane, wytarte płaszcze i mundury różnych armii, które zapełniały szafy zrujnowanego kraju. Ulicą przejechała furmanka, ciągnięta przez ledwo poruszającego nogami, chudego konia o długiej jasnej grzywie. Stary woźnica w grubym, pożartym przez mole kożuchu gwizdał cicho jakąś wojskową piosenkę. Ot, cały ruch uliczny w zwykły listopadowy dzień.

Józef stał pod ogołoconym z liści drzewem na rogu ulic Warszawskiej i Ostrowieckiej i opierając się o ścianę pięćdziesięcioletniej piętrowej kamienicy, obserwował niebo. Ten dzisiejszy błękit napełniał go spokojem. I nastrojał optymistycznie, mimo że każdego dnia ryzykował własne życie. Tym mocniej więc odczuwał magię chwili i pogodnego nieba, które rozjaśniało jego szary żywot. I cały ten szary kraj.

Do rzeczywistości przywołał go dzwonek starego roweru, który brzęczał za każdym razem, gdy jednoślad pokonywał którąś z licznych nierówności drogi lub pokancerowany krawężnik. Prowadził go sierżant sztabowy milicji. Nieco przygarbiony, o pociągłej, suchej, ogorzałej twarzy. „Leon” widywał go kilka razy, kiedy jeszcze obaj kryli się po lasach. Każdy z innej strony barykady. Potem nasłuchiwał się opowiadań sąsiadów. Milicjant dorobił się niewielkiego majątku, choć nikt nie wiedział, w jaki sposób. „Leon”, znając dawnych ludowych partyzantów, obstał, że to nie były legalne sposoby. Wszyscy wiedzieli, że władza kraść mogła dopóty, dopóki nie dała się przyłapać.

Waškowiak, bo tak zwał się milicjant, pchał swój poniemiecki rower. Był ubrany w niebieską milicyjną bluzę, brązowe bryczesy, wysokie oficerki i nieco za dużą czapkę z paskiem wsuniętym pod brodę. Na plecach miał przewieszzonego Mosina, a przy pasie, razem z raportówką,

w kaburze nosił pamiętającego wojenne czasy Naganta.

Wsparty siłą swej broni i autorytetem niebieskiego munduru szedł brzegiem chodnika, puszając się i patrząc gdzieś daleko przed siebie. Na jego twarzy można było dostrzec delikatny grymas skrywanej nieumiejtnie radości.

Lubił te codzienne marsze przez miasteczko, widok uchodzących na bok ludzi. Nie przeszkadzały mu odwracające się od niego oczy. On widział w nich strach i czuł się mocny, mocny jak nigdy w życiu. Teraz najważniejszy był tu on i jego koledzy. Rządzili i odrabiali czas stracony w przedwojennych celach i partyzanckich oddziałach. Nadeszły dni takich ludzi jak sierżant Waškowiak.

Mijając Józka opartego o ścianę, Waškowiak przybrał surowy wyraz twarzy, pasujący do stróża porządku. Nie widział chłopaka długi czas, więc chciał nawet o coś zagadnąć, ale Józek zignorował go i ostentacyjnie uniósł głowę, jakby szukając czegoś na nieboskłonie. Milicjant patrzył przez ramię na chłopaka, zły, że ten nie okazał mu należnego szacunku.

Młody Gródzki pojawiał się i znikał. Zwłaszcza odkąd wrócił z więzienia. Ponoć „aparat” pilnował go jakiś czas, ale facet niczym nie podpadł. A może się pilnował? Albo, jak brat, dostał po tyłku? Z jego braciszkiem, zmarnowanym przez wódkę żołnierzkiem, miewał znacznie częściej do czynienia. Waškowiak wzruszył ramionami i kontynuował patrol z miną zwycięzcy.

Zaraz za krępyim milicjantem z szarego budynku MO i UBP wyszła zgrabna dwudziestokilkuletnia szatynka. Jej jasna cera, okrągła buzia i duże zielone oczy już z daleka tworzyły jaskrawy kontrast z ponurą i przerażającą bryłą urzędu. Dziewczyna złapała w dłoń poły płaszcza w biało-czarną kratkę i zegnając się uśmiechem z jednym z wartowników, ruszyła przed siebie. Gdy tylko odeszła kawałek, uśmiech znikł z jej twarzy. Dziewczyna spuściła głowę i podreptała w swoich czarnych, sznurowanych pantoflach w kierunku Józefa. Nie spostrzegła, jak zaszedł jej drogę i – bardzo zaskoczona – odbiła się czołem od jego piersi.

– Dzień dobry, pani Jadziu – przywitał się z nią Józek, ledwo powstrzymując śmiech.

Dziewczyna, jeszcze oszołomiona zderzeniem, nie od razu poznała swojego rozmówcę. Był nieco młodszym od niej ciemnym blondynem o zawadiackim spojrzeniu, wystrojonym w nowy, ewidentnie zagraniczny płaszcz.

– Pan Józef. – Pomasowała nerwowo czoło. – Co za niespodzianka – dodała bez przekonania.

– To dla pani, pani Jadziu. – Z kieszeni płaszcza młody Gródzki wydobył kolorowe opakowanie czekoladek i lekko się uklonił. Dziewczyna wlepiła w pudełko spojrzenie pełne niedowierzania i z wrażenia aż otworzyła usta.

– Francuskie – szepnęła konfidencyjnie, jakby znalazła wielki skarb. Nic dziwnego, takich delikatesów nie widziano tu chyba od przedwojnia.

Józef, dostrzegając zmieszanie na twarzy dziewczyny, wcisnął pudełko do płóciennej torby na zakupy, którą niosła przewieszoną na rękę.

– Pan... Pan mnie rozpieszca. – Spąsowiła speszona. Józef zadowolony z efektu, jaki osiągnął, wyprostował się, pogładził nieistniejącą fałdę na rękawie płaszcza i podał dziewczynie ramię.

– Pani pozwoli... – zagadnął zawadiacko – ...zaprosić się na obiad.

Jadzia rozejrzała się nerwowo dookoła, bo zdawało się jej, że Józef niemal wykrzyczał to zaproszenie i teraz wszyscy na nich patrzą.

– Nie chciałabym robić kłopotu. – Zazwyczaj pewna siebie kobieta przeszła do defensywy, zaskoczona przez absztyfikanta.

– Jaki kłopot, pani Jadziu kochana.

Uśmiechnęła się i poprawiła opadający na uszy kosmyk włosów.

– Podobno w knajpie na rynku mają parówki – oznajmił z powagą Józef.

– Francuskie czekoladki, parówki... Pan naprawdę mnie rozpieszcza – zachichotała dziewczyna. W epoce kaszy, szczawiu i lebiody nawet zwykły flak wypełniony mięsem był czymś wyjątkowym.

Ruszyli niespiesznie, rozmawiając o nieistotnych sprawach, śmiejąc się i zerkając nieśmiało jedno na drugie – po prostu ciesząc się bliskością drugiej osoby.

Jadzia mocno chwyciła ramię chłopaka i ogarnął ją dziwny, dawno nieodczuwany spokój. Taki, który dawał jej mąż, zabity przez Niemców w obozie koncentracyjnym.

Cieszyła się chwilą radości przy interesującym ją od jakiegoś czasu mężczyźnie, pięknym dniem i myślą, czy nie uciec z Józkiem gdzieś w Polskę, z dala od wspomnień, z dala od zniemawidznej pracy. Szybko przyszło otrzeźwienie.

„Jeszcze nie...” – pomyślała, gubiąc na moment uśmiech. „Na razie przecież nie mogę”.

Szli obok siebie, nie patrząc ani na ubogie witryny nielicznych sklepów, ani na mijanych ludzi.

Kiedy dochodzili do kościoła Świętej Trójcy, Józef po drugiej stronie ulicy zauważył znajomą sylwetkę. Wysoki mężczyzna w płaszczu i brązowym szaliku kryjącym twarz, idący z naprzeciwka, patrzył na niego uważnie. Romantyczny nastrój sprawił, że chłopak nie od razu go rozpoznał. Kiedy jednak dotarło doń, kogo ma przed sobą, poczuł, jak koszula zaczyna mu się przyklejać do nagle spoconych pleców. Jadzia także zauważyła przechodnia i spostrzegła zmianę w zachowaniu towarzysza.

– Znajomy? – spytała i na jej twarzy również pojawił się ledwo maskowany niepokój. Odwróciła wzrok.

– Nie, nie – bronił się Józef, patrząc pod nogi. Uniósł głowę i z ulgą spostrzegł, że tamten znika za węglem niskiego domu. – Wie pani co... – powiedział niepewnie. – Papierosy... – Szukał wymówki, by na parę chwil oderwać się od dziewczyny, choć wcale nie miał na to ochoty. – Skończyły mi się, muszę... Zaraz, zaraz wrócę. – Kłamał pokrętnie i nie czekając na odpowiedź, ruszył biegiem na drugą stronę ulicy, do niewielkiego sklepiku.

Zaskoczona nagłą przerwą w romantycznej przechadzce Jadzia westchnęła tylko. Nieznajomego, który ją zaniepokoił, nigdzie nie było. Ulżyło jej. Sięgnęła po lusterko i korzystając z okazji, zaczęła sprawdzać stan lekkiego makijażu.

Jeden rzut oka w odbicie sklepowej witryny i Gródzki już wiedział, że dziewczyna ani nikt inny nie podąży jego śladem. Lata mylenia obserwacji, gubienia ogona i doskonałych szkoleń sprawiły, że był w tym dobry. Skorzystał z okazji, że Jadzia zajęta była pudrowaniem noska, i wbiegł za róg piętrowego domu.

Piaszczyste podwórko otoczone było – z jednej strony – pokrzywionym parkanem, z drugiej jakimiś wiekowymi komórkami.

– Na zaloty ci się zebrało? – usłyszał zdenerwowany głos „Pielgrzyma”. Odwrócił się. Oficer wyrósł jak spod ziemi. Często robił takie numery i nikt nie wiedział, jak mu się to udaje.

– Co ty tu robisz? – Józef wystraszył się, jakby zobaczył ducha.

Gładyszak z rękami w kieszeni podszedł do żołnierza.

– Coś tak pobladł? No, no, jak to się ubrał... – „Pielgrzym” nie potrafił powstrzymać się od odrobiny uszczypliwości. Otaksował spojrzeniem swego człowieka, obchodząc go w koło. Trącił palcem guzik nowiutkiego płaszcza.

– No co? – Józek odepchnął dłoń. – Mamy tylko strzelać i wiecznie się tłuc?! Życie sobie

próbuję ułożyć...

„Pielgrzym” przyłożył palec do ust i podszedł do okien domu, by sprawdzić, czy nikt przez nie nie podsłuchuje.

– Ciszej – syknął.

– Każdy chce pożyć normalnie, bo cholera wie, jak długo jeszcze mu pozwolą – odszczekiwał się Józek, zły, że mu przerwano pierwszą od dawna randkę. – Co tu robisz? – ponowił pytanie, kiedy nieco się opanował.

– Ja? – Teatralnie wskazał na siebie „Pielgrzym”. – Spaceruję sobie, jak i ty... Romeo.

– Daj już spokój – oburzył się znowu Józek. Był sporo młodszy od dowódcy, ale na tyle dorosły, żeby potrafić walczyć o swoje. – Miałeś być pod Firlejem.

– Ty, jak mi się zdaje, też? – „Pielgrzym” stanął nieruchomo, świdrując młodego spojrzeniem.

– Ja? Ano miałem... – przyznał Józek. – Ale postanowiłem odwiedzić brata z rodziną. Mam tu dobrą metę. Lepsza niż tam... Dawno mnie przecież nie było.

– Dobrą metę – syknął przez ściśniętą szczękę oficer. – Ciekawe! U brata, co siedział w ubec-kim mamrze? Przecież oni mogą go ciągle obserwować! – Chwycił Józka za płaszcz i przyciągnął tak blisko, że ten poczuł jego oddech na twarzy.

– Daj spokój. Jeszcze ktoś zauważy. – Wyrywał się Józek. – Sprawa jest czysta. Witek się rozpił, roboty nie ma. Jest nieszkodliwy. Bohater żaloszny. A jak kto pyta, to przecież prawdę gadam. Wrocław czy inny Gdańsk. Robótka to tu, to tam... Zresztą ty się nie wtrącasz, kto gdzie się melinuje. Będzie rozkaz, to się stawię. Tam u chłopaków ciasnota... Radzę sobie.

– Aha, tylko szkoda, że kiepsko ci idzie – przerwał opryskliwie porucznik. – Meta meta, ale mówię ci, że gęsto się robi. Uważać trzeba.

Ostrożnie rozglądał się wkoło.

– Tej panienki robotę znasz? – wtrącił nagle pytanie.

– Ja z Jadzią chodziłem do szkoły i... – „Leon” buńczucznie bronił swojej racji, wyglądając przy tym jak rozkapryszony smarkacz.

– Ja pytam, czy wiesz, gdzie ona pracuje? – fuknął ciszej „Pielgrzym”. – Bo ja na ten przykład wiem. – Nie odwrócił wzroku, wwiercając się spojrzeniem w wystraszone oczy chłopaka.

– Tak. Ale ona nic złego nie robi.

– No, dobrze, dobrze. – Oficer poklepał go po ramieniu. Musiał sprawdzić. Nie pozwalał na lekkomyślność. Mieli się pilnować. – Układaj sobie życie, jak chcesz i z kim chcesz. Moja to mnie pewno już nie pamięta i znać by nie chciała, bo... – Urwał i machnął ręką, tonąc w nagłym przyływie wzruszenia.

Zaciekawiony Józek zmrużył oczy. „Pielgrzym” nigdy nie wspominał o nikim bliskim, nie dawał się wciągnąć w takie opowiadki.

„Musi być cholernie zmęczony” – pomyślał chłopak.

Dowódca wyglądał na niewyspanego, oczy miał podkrążone, a kąciki ust jakby mu opadły. I teraz jeszcze te sentymenty...

– To wdowa – dorzucił nieśmiało „Leon”, chyba dla spokoju „Pielgrzyma”. – Samotna. Niemcy zabrali jej męża do obozu. Przedtem pracowała prywatnie i szyła ubrania. Znam ją od dawna. Wczoraj spotkałem ją z rana, uprzedziłem, że chciałbym ją na jakąś kawę zaprosić i o, nadarzyła się okazja... Ona tam tylko na maszynie przepisuje... Wiesz, jak jest. – Spojrzał na dowódcę.

– Dobrze już. – „Pielgrzym” się ocknął. – Leć do niej, jak sobie jeszcze nie poszła... Ale pa-

miętaj. Jej kolegów, szefów i tak dalej unikaj jak ognia. Nie muszę ci chyba tłumaczyć... Romeo – zakończył z przekąsem Gładyszak.

– No to żegnaj, „Pielgrzym”. – Józek prawie stanął na baczność.

– Jadę do Łukowa. Mam sprawy z ludźmi z inspektoratu. – Gładyszak podał rękę młodszemu koledze.

– Do Łukowa? A kiedy wracasz? – zapytał szybko Józek.

– A czemu pytasz? – zainteresował się „Pielgrzym”.

– Nie, nie, to nic ważnego... – Przełknął ślinę „Leon”. – Dobra, stary, muszę uciekać.

– Spokojnie. – Zatrzymał go oficer.

Mięśnie na twarzy Józka drgały nerwowo. Grdyka znowu podskoczyła. Zacisnął mimowolnie pięści.

– Kobieta zobaczy, że polazłeś na podwórko i gadasz z kumplem, zamiast brać ją w obroty.

– A, no tak – zaśmiał się chłopak.

– Idę pierwszy, dam znać, czy patrzy tutaj.

„Leon” kiwnął głową.

Maciej Gładyszak wyjrzał ostrożnie i możliwie jak najbardziej naturalnie za budynek.

– Można – szepnął teatralnie, widząc, że zniecierpliwiona wybranka serca Józka stoi oparta o ścianę z nadąsaną miną.

Józek wyskoczył na ulicę i udając, że wychodzi ze sklepu, ruszył na drugą stronę.

– Pani Jadziu, bardzo panią przepraszam! – Krzyczał jeszcze na jezdni i ruszył całować dłoń wybranki.

– Oj, panie Józefie, panie Józefie. Zaprasza pan, a potem każe czekać. Kobiety tego nie lubią... – Jadwiga udawała obrażoną, choć bardzo pochlebiały jej zabiegi chłopaka.

– Sprzedawca mnie zagaądał, a i kolejka była... – kłamał Józek, całując dłoń kobiety. – Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy – oznajmił niby to uroczyście, niby przymilnie.

Podał ramię Jadwidze i ruszyli, nie oglądając się za siebie. Teraz jednak szli nieco szybciej, znowu uśmiechnięci i cieszący się sobą.

Były to jednak tylko pozory. Oboje o czymś gorączkowo myśleli.

\*

„Pielgrzym” wrócił na podwórko. Przeskoczył płot i znalazł się na terenie jakiegoś gospodarstwa. Wyszedł przez otwartą bramę i skierował się na południe, w stronę wąskiej, rwącej rzeczki. Potem skręcił w prawo i spokojnym, spacerowym krokiem doszedł do szutrowej ulicy. Schował się za jednym z krzaków, udając, że wiąże buty. Odczekał kilka minut. Nikt go nie śledził.

Szybko dotarł pod wielki suchy dąb, stojący obok wypalonego, opuszczonego domostwa. Wszedł na podwórze. Tuż obok obórki czekał na niego Dodge – chyba najpopularniejszy po Willysie poamerykański pojazd w ludowym wojsku. Samochód miał szeroką pakę, która powstała z myślą o ukrywaniu rannych, a teraz przewoziła sprzęt do wyświetlania filmów w polowych kinach.

Zza połamanej i podgniłej drewnianej komórki wyszedł wysoki, dobrze zbudowany chłopak o szerokich plecach, kwadratowej szczęce i niespotykane wielkich dłoniach. Ubrany był w polowy, brązowy mundur, na którym nosił waciak. Uśmiechnął się lekko, gdy zobaczył, że gość nie jest nikim obcym.

– Też! Jak żyjemy? – prawie wykrzyknął z nietutejszym akcentem.

– Dziękuję, dobrze – przywitał się „Pielgrzym”, ściskając dłoń żołnierza. – Problemy, Ma-



niek?

– Żadnych, panie szefie. Jadymy oddać film na kolej i pobrać nowy. Więc się nikt nie przyczepi, że wysadzam jednego na pociąg do Lublina – meldował z poznańskim zaśpiewem Maniek.

– No to w drogę – uśmiechnął się „Pielgrzym”, szczęśliwy, że trafił mu się dobry transport, i otworzył drzwiczki auta.

Maniek wskoczył do środka, wcisnął ssanie i zapuścił motor.

– Szefie – powiedział już poważniej, gazując przy tym, jakby starał się zagłuszyć rozmowę w obawie przed postronnymi słuchaczami. – Nie wiem, czy to ważne... – Zawiesił głos, szukając wzrokiem aprobaty u oficera.

– Mów, Maniek, mów. Teraz wszystko jest ważne.

– Grałem film u chłopaków z pułku. Przyszło też kilku z KBW. Mówili mi, że... – odchrząknął. – Że szykuje się akcja, gdzieś między Kockiem i Lublinem.

„Pielgrzym” osunął się na fotel, przygryzając wargi. Czuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach i drętwieją mu nogi.

– Firlej – powiedział cicho, z wyraźnie słyszalnym przerażeniem w głosie.

– Możliwe, ja tu tych okolic ciągle nie rozeznaję. – Maniek wrzucił bieg i Dodge ruszył.

„Poleszuk” – na wspomnienie tego rannego żołnierza coś zakłuło „Pielgrzyma”. „Jest sam? Może inni też poszli w tany?” – zastanawiał się gorączkowo. „Co się im dziwić, byli młodzi, chcieli się w końcu wyszaleć, a nie gnić któryś rok z rzędu po zapleśniałych wiejskich melinach... Nie” – zrugął sam siebie. „To są żołnierze, składali przysięgę”. Znał ich. Nie opuściliby rannego kamrata.

Odrętwienie nie ustępowało. Uchylił nieco okno. Pomogło. Zaczął intensywnie myśleć, szukać w pamięci ludzi, rozważać pomysły.

– Tu już nic nie zdziałam – mamrotał. – Maniek. Dasz radę do...

– Do Firleja nie ma mowy – zaprotestował szofer. – Szefie, za pół godziny przychodzi pociąg z Warszawy. Muszę zdać, co mam, pobrać nowe szpule i pokwitować odbiór. I tak ryzykuję, że cię wiozę.

– Kurwa! – Maciej pacnął pięścią w podszybie. – A potem? – spytał niepewnie.

– Potem trochę mogę nadłożyć. – Kiwnął głową żołnierz. – Jak wrócę później, to dwie goździki pośpię, jutro dłużej. – Na tę myśl lekko się rozweselił.

– Ja muszę być dziś w Lublinie. Zresztą sam nie mogę tam jechać, nie mogę! – „Pielgrzym” znowu uderzył pięścią. – Oni tam... Miałem chyba przecucie. Nieważne. – Maciej sięgnął do kieszeni marynarki po notatnik i ołówek. – Maniuś. Tu masz adres, pędź tam. Może uda się ich ostrzec. Nic więcej zrobić nie możemy – powiedział z goryczą i poczuł, że jeszcze chwila, a się rozplacze.

\*

Skąpany w półmroku pokój hotelowy wypełniał zapach róż przemieszany ze wonią palących się świec. Dwie z nich dopalały się nieopodal łóżka na stylowym, wiktoriańskim nocnym stoliku.

Karol Zielinsky siedział oparty o kilka puchowych poduszek, przykryty kołdrą, i tulił do siebie nagą Katty. Przyznał się sam przed sobą, że powoli przyzwyczajają się do takich romantycznych wieczorów, bez płaczącego Josepha i rodziców kilka pokoi dalej. Mimo strasznych wojennych przeżyć w głębi duszy pozostawał romantykiem.

Okoliczności wymagały małego poświęcenia. Wypadu na weekend na Long Island, do nie-

wielkiego hoteliku w Bellport. Kolacji, pokoju, dwóch tuzinów róż. Nastroju. W takich okolicznościach mógł, bez większego – jak sądził – uszczerbku na zdrowiu, wyjawic żonie kolejne szczegóły jego powrotu do wojska. Realizację planu zaczął już w drodze z Jersey. Na początku szło opornie, ale potem, gdy się nieco rozgadał, Katty zaczęła chyba rozumieć, że mężowi naprawdę na tym zależy.

– Więc mówisz, że to kilka miesięcy – odezwała się niespodziewanie, nie otwierając oczu. – Mhm... Gwardia Narodowa Stanu Nowy Jork.

Karol nie wiedział, czy Katty pyta, czy stwierdza fakt.

– Tak, kochanie. I szkolenie żandarmerii w strefie okupacyjnej. – Znowu ledwo przeszło mu to przez gardło. Bajka była dobra, ale nie miał pewności, czy jego żona to kupi.

– Ale nie na stałe? – Uniosła lekko głowę, otwierając oczy. – Nie na stałe? – dopytała niecierpliwie, choć pytała o to już dziesiątki razy.

Pogłodził ją delikatnie po policzku, patrząc w jej czarne oczy, lśniące w blasku świec. Dotarło do niego, że jeżeli coś mu się stanie, więcej jej nie zobaczy.

– Nie, kochanie. To tylko parę miesięcy. Tłumaczyłem ci. Nic nie tracę. Zachowuję firmę, którą przez chwilę znowu zajmie się ojciec, a do tego zyskam awans, dodatki do emerytury i może ulgi podatkowe. – Nawet nie drgnęła mu powieka, choć wiele z tego było prawdą.

Mierzył wysoko, może za wysoko, bo jako jeden mały pionek był nikim i niewiele mógł zmienić na światowej szachownicy. Ale musiał dać z siebie wszystko, ten ostatni raz. Właśnie dla rodziny. Dla siebie.

– No, nie wiem. – Katty znowu położyła głowę na jego piersi. – Prawie dwa miesiące szkoleń i potem Europa. Beze mnie. No, nie wiem... – Uśmiechała się lekko, żartobliwie.

Na kilka chwil zapadła cisza.

– No dobrze! – oznajmiła w końcu uroczyście. – Ale masz być grzeczny, pisać do mnie i uważać na siebie – instruowała męża, kiwając palcem przed jego oczami. Widziała w nich ten dawny błysk radości. Wiedziała, że go nie powstrzyma.

– Jesteś cudowna! – krzyknął i klasnął w dłonie. Przytulił ją mocniej niż dotychczas i ucałował w policzek. – Na pewno będę pisał i uważał. Zresztą, to nic niebezpiecznego...

Katty uśmiechnęła się, wiedząc, że prawdopodobnie to wszystko jest kłamstwem.

### **Czechosłowacja, maj 1945**

Wiosenny dzień powoli zmieniał się w wieczór. Czerwone słońce zniżało się coraz bardziej, ale ciągle przyjemnie grzało. Ziemia pachniała wilgocią po krótkim, ciepłym deszczu. Gdyby nie wszechobecne ślady strasznych zniszczeń, setki porozbijanych, popalonych aut, czołgów, furmerek, a nawet poczerniałych samolotów, stopy końskich trucheł i ciała zabitych ludzi, mogłoby się zdawać, że zebranych tu mężczyzn czeka całkiem przyjemna przejażdżka.

Jeepy i półciągarówki szwadronu zwiadu dywizji, obsadzone głównie nowym narybkiem amerykańskiego pułku piechoty, toczyły się wolno na wschód. Amerykanie z rozdziawionymi ustami patrzyli na coraz to dziwniejsze i większe szwabskie maszyny, teraz milczące, żałośnie okaleczone i nieszkodliwe.

Tylko na Zieliskym czy Savioli cały ten przydrożny złom nie robił już wrażenia. Naoglądali się tego dużo, za dużo, odkąd postawili stopę na francuskim brzegu. Zwłaszcza Greenman nie interesował się widokami, jakie oferował ten wyzwalany kraj. Siedział w milczeniu. Jeszcze nie opuściła go poranna wściekłość. Liczył po cichu, że jednak to będzie coś – że Chriss coś załatwił, że pojedą, jak daleko się da, że będzie mógł przesłać Ewie dobre nowiny. O tym, że jak ru-

szli na wschód, odnaleźli więcej takich jak ona. A on sam wróci do niej jak rycerz z bajki. A potem, kto wie, może coś by z tego było. Im dalej jechali, tym mniej bronił się przed takimi wizjami.

Teraz siedział na fotelu podskakującego auta, z pistoletem na kolanach, niemal zupełnie zbojętniały.

Inni ciągle kurczowo trzymali swoją broń, wpatrując się w każdy podejrzany kątek, okno i załom w terenie, próbując tam dostrzec kryjących się Niemców i ich Panzerfausty. Wrogów gotowych ciągle bić się za martwego już Führera.

Karol nie był tak przejęty. Nie dał się nabrać na sztabowe brednie, przekazywane przez Boba.  
– Kto się będzie tu bronił? – Raz za razem pytał sam siebie.

Od momentu wyjazdu zajęli już z pół tuzina wiosek i niewielkich miasteczek. A naprawdę ostrożni byli tylko w pierwszych dwóch, może trzech. Wolno, wzajemnie się ubezpieczając, przeczesywali każdy zaułek. Ale jak tylko wchodzili za roгатki, z domów wylewał się potok uradowanych mieszkańców. Tłum zasłaniał wszystko i tak kończyła się taktyka. Jeśli gdzieś rezydował jakiś niemiecki oddział, to zazwyczaj dlatego, że nie miał żadnego transportu, by wiać do Amerykanów. Niemcy poddawali się z ulgą i jeszcze przekazywali informacje, gdzie ktoś od nich może się kryć. Mówili, że od wschodu idzie wielka armia. Ale nie po to, by się bić. Kto mógł – wiał z wysoko powiewającą białą flagą. Chłopaki nie bardzo w to wierzyli, zresztą ku wielkiej uciechu Karola. Puszczali ich na zachód, bez obaw i bez ochrony, tak jak i mijane po drodze bezbronne oddziały.

Jedyne, co zagroziło im bardziej poważnie, to salwa z kilku armat i banda szczeniaków, którym trzeba było przetrzepać skórę i wybić z głowy bzdury o walce za Hitlera.

Ale 6 maja 1945 roku opór się nie kończył.

Kolumna amerykańskich pojazdów wjechała w roгатki kolejnej miejscowości. Najpierw dwa auta, otoczone wianuszkami piechoty, zrobiły rozpoznanie. Po obu stronach szosy ustawiono karabiny maszynowe. Chriss wysłał drużynę, żeby przeczesać dalsze zabudowania. Były to głównie spuchnięte od starości i wilgoci chatynki i pochylone ku ziemi drewniane stodoły.

Miasteczko czy też duża wieś z górującą nad zabudowaniami starą, zrujnowaną wieżą miało jedną tylko większą ulicę. Domy były tu w większości parterowe, wszystkie bez wyjątku uciarpiały w trakcie działań wojennych.

Steve, bladawy szofer Zielinsky'ego, razem z TJ-em wolno jechał z tyłu, jak zawsze rozglądając się po oknach. Obu niepokoiła zrujnowana kamienna baszta na skraju miejscowości. Konstrukcja miała kilka przybudówek oddzielonych od drogi murem.

– Za cicho – wysyczał przez zaciśnięte zęby Steve.

– Za cicho – powtórzył TJ, rosły facet o ciemnym zaroście.

– Dajcie spokój – uciał Polak. – Zaraz znowu się na nas rzucą – dodał, ale sam nie był tego pewny. Nawet przycisnął mocniej pistolet. – Zwolnij – rozkazał, tknięty nagłym, niedającym się odgonić przeczuciem. – Przejdę się. – Wyskoczył z auta i podszedł do odrapanego, pokrytego odpadającym tynkiem domostwa.

– Tu nas nie chcą? – spytał na głos TJ, kręcąc lufą Garanda.

Karol ruszył wolno zapadniętym chodnikiem, spod którego popękanych płyt wyrastała trawa.

– Ktoś tu jednak jest – odetchnął z ulgą.

Dalej, pod najokazalszym przy drodze budynkiem, pocztą – sądząc po sieci drutów telegraficznych i telefonicznych w jego okolicy – stał wóz konny. W zapadającym zmroku nie odróżnił się przesadnie od ła. Podobnie jak jego woźnica – szara, skulona postać, drzemiąca na koźle

i pochrapująca z lekka.

Za Greenmanem pojawili się inni ludzie z pododdziału, który już uporał się z wymarłymi z pozoru gospodarstwami na rogatkach i teraz wszedł w główną ulicę. Karol zbliżył się ostrożnie do śpiącego, czujnie rozglądając się na boki. Nie miał pojęcia, jak do niego zagadać. Spojrzał pytająco na Steve'a, który tylko pokręcił głową z politowaniem. Taki duży chłopak, a boi się jakiegoś pijaka. Rzeczywiście, woźnica zionął oparami alkoholu przy każdym chrapliwym wydechu.

Czech ocknął się, prychając, gdy Karol pogładził konia po zadzie. Duża i czerwona twarz jakby się rozjaśniła, kiedy małe, zaspane oczka ujrzały żołnierza. Dziadek wymamrotał coś, co Polak zrozumiał jak pytanie w stylu „ktoś ty”.

W tej samej chwili skrzypnęły drzwi w domu, przy którym zatrzymał się jeep Steve'a. Stojący w pobliżu Amerykanie podskoczyli nerwowo, gotowi wypruć całe magazynki w widzianego oczyma wyobraźni wroga. Zamiast niego zza futryny wychyliła się głowa starszej, siwej kobiety i zaraz zniknęła wystraszona.

– Nie strzelać – rozkazał przytomnie TJ, opuszczając lufę. Poczuł, jak zimny pot spływa mu strugą po plecach.

Woźnica chyba zrozumiał, kim są, bo zaczął krzyczeć coś radośnie, stając niepewnie na koźle. Kobieta raz jeszcze wychyliła się przez drzwi, oglądając całe zajście. Z pozostałych domów też wyjrzeli ludzie i w ciągu kilku minut, jak na rozkaz, byli już na ulicy. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Niemców brak, żadnego oporu.

Steve sięgnął po krótkofalówkę.

– Sneak do reszty – rzucił. – Wygląda, że jest czysto.

Nie minęła minuta, a drogą wtoczyła się reszta pojazdów. Kierowcy ustawiali się wzdłuż domów, jeden za drugim. Żołnierze z ulgą wysiadali z wozów, kolejny raz dając się ponieść radości miejscowych. Amerykanów nie było wielu – łącznie załogi dziesięciu jeepów i ciężarówek, ale w oczach mieszkańców wyglądali jak cała armia.

Jak zawsze ludzie otoczyli pojazdy, przyglądając się mundurowym z zaciekawieniem. Czesi dużo mówili, krzyczeli, śpiewali, ściskali dłonie, ale żaden z żołnierzy nie był w stanie zrozumieć, czy wiedzą coś o Niemcach, pułapkach i tego typu rzeczach. Brashier, który ze względu na swoją nieco dziecinną fizjonomię nie wzbudził zainteresowania Czechów, przepchnął się przez tłum i przeszedł po wsi. Od razu zauważył, że nie było w niej absolutnie nic ciekawego oprócz tej starej baszty, która wyglądała jak pozostałość wielkiej warowni. Nawet młodych dziewczyn było tylko kilka.

Saviola, który zdążył rozstawić ubezpieczenia, górujący nad wszystkimi miejscowymi o głowę, rozglądał się wokół zawiedziony.

– Nie ma kto mi naprawdę podziękować – westchnął Zielinsky'emu do ucha z nutą najprawdziwszego smutku.

Greenman znudzony uściskami wdzięcznych starszych pań i zgiełkiem przedarł się do auta. Tony szedł za nim, ciągle licząc na to, że może na jego drodze stanie jakaś lokalna piękność.

– Nic, stary, po prostu nic. Trzeba jechać dalej, może tam...

– Dam ci radę. – Przerwał jego marudzenie Karol. – Najpierw spójrz w lustro.

Wbił wzrok w majestatyczną basztę.

Gdzieś z tyłu głowy plątała się mu myśl, że powinien się cieszyć, bo przeżył, bo ludzie się radowali... Nie potrafił. Nie czuł entuzjazmu, jak ten tłum podrygujący do dźwięków akordeonu, który nagle ktoś skądś wyciągnął, zaczynając kolejny etap powitania, czyli tańce.

Porucznik i Chriss stali przy wozie pochyleni nad mapami. Jeszcze miesiąc temu Karol jako

pierwszy byłby przy nich, ale teraz mało go to obchodziło.

– Linia rozgraniczenia – syknął i splunął na chodnik.

Brashier uważnie oglądał wieżę przez lornetkę.

– Chriss – zwrócił się do pochylonego nad mapą Boba.

– Sir? – Robert Chriss rzadko tak się zwracał do kumpli.

– Tam. – Porucznik wskazał dłonią na pękata budowlę.

– Jasne... Zielinsky! – Bob przyłożył ręce do ust, kiedy dostrzegł stojącego najbliżej nich Charliego. – Greenmaaan!

Karol spojrział na niego zły, że ktoś zawraca mu głowę.

– Weź kogoś... Góra! – dolatywały go strzępy słów. Zerwał się na równe nogi i przystawił dłoń do ucha.

Bob machał rękami i wskazywał na wiekową rudę.

– Sprawdź wieżę, do cholery!

– A, jasne. – Polak skinął bez entuzjazmu głową. – Tony, cholerny babiarzu! – Zeskoczył z jeeпа i klepnął wielkoluda w plecy. Szarpnął go za ramię, ale nic się nie wydarzyło. Obłapiająca właśnie Sycylijczyka dama nie chciała go puścić ani dzielić się nim z tym smutnym sierżantem. A krzepy miała sporo. Zaparła się nogami i rzucając cały potok słów, broniła się dzielnie. Dopiero Saviola łagodnie oderwał jej ręce od swojego ciała i ukłonił się grzecznie, rad, że został wreszcie wyzwolony.

– Kurde, chłopie. – Pokręcił głową i otarł kołnierzyk palcem. – Było blisko.

– Idziemy. – Karol wskazał lufą starą budowlę i odbezpieczył M3.

Ledwie to zrobił, gdy coś, wydając dźwięk przypominający wściekłą pszczołę, przeleciało obok i z brzdękiem stłukło szybę w najbliższej chałupie.

– Co jest? – spytał niemądrze Zielinsky i schylił się, wiedziony wyszkolonym odruchem.

Tłum kręcił się wokół pojazdów, tak jak w innych wsiach, obdarowując swoich wyzwolicieli jedzeniem i pićm. Teraz jednak wyraźnie słychać było strzał. Druga kula ze świstem przeleciała nad Tonym, który padł na ziemię, wrzeszcząc:

– Snajper!

Amerykanie zaczęli się kryć, choć nie mieli pojęcia, skąd do nich celują. Gdy padł trzeci strzał, miejscowi z krzykiem rzucili się do swoich domów. Kula trafiła w szoferkę ciężarówki GMC, ale kierowca już leżał pod nią.

– Skąd to? Skąd strzelają?! – wołał Brashier, kryjąc się za kołem zapasowym swego auta.

Steve, wiedziony doświadczeniem, wiedział, że odpowiedź może być tylko jedna. Uniósł lufę i wskazał nią najwyższy punkt w okolicy.

Nie pomylił się, bo za chwilę zobaczył błysk czwartego wystrzału.

– Wieża! Ten sukinsyn tam siedzi! Chłopaki, wykurzcie tego gnoja! – wrzeszczał do Greenmana Bob leżący pod autem. – Weźcie jeszcze TJ-a!

Wywołany chłopak kiwnął głową bez żadnego ponaglania i od razu zaczął pozbywać się krępującego ruchy oporządzenia, parcianego pasa z ładownicami i szelek. Charlie i Tony zrobili to samo. Zielinsky zabrał trzy magazynki do M3 i wcisnął je do kieszeni polowej kurtki. Dołożył do tego dwa granaty.

– Cholera! – krzyknął, kiedy kolejny pocisk wyłobił dziurę w murze. Znaczyło to, że Szwab znów się nim zainteresował. Karola opuściło wcześniejsze otepienie. Wyostrzyły mu się zmysły. Wiedział bardzo dobrze, co robić, jak działać. Akurat tę zabawę znał doskonale.

Tony kiwnął głową, dając znak, że mogą ruszać.

– TJ, gotów?

– Gotów jak cholera. – Chłopakowi zadrżał głos.

– Karabiny maszynowe! – krzyknął Brashier. – Karabiny maszynowe! Ogień na wieżę! Dajcie mu popalić!

Celowniczy kilku posiadanych przez oddział Browningów zaczęli omiatać seriami warownię. Każde okno na zrujnowanej wieży. Trafiające pociski wybijały dziury, z których unosiły się szaro-czerwone obłoki kurzu i resztek cegieł. Do walki włączyło się kilku żołnierzy strzelających ze swoich Garandów M1, ale porucznik kazał im przestać. Szkoda było amunicji.

– Za mną! – krzyknął Greenman i pochylony ruszył, zachodząc jeepy od tyłu tak, by nie wejść pod strzelające lufy.

Oszacował, że do budynku jest jakieś trzysta metrów.

– Drogą nie pójdziemy, zbyt niebezpieczne. Tutaj, tymi podwórkami – rzucił do Tony’ego, uzbrojonego w karabin M1, i TJ-a.

Cała trójka ominęła bielony dom, przy którym cały czas stał wóz z szamoczącym się i rżącym ze strachu koniem, którego woźnica leżał pod spodem, zakrywając głowę rękami.

Terkot karabinów maszynowych nie ustawał. Podwórko było puste.

Dalej znajdował się drewniany, chylący się do ziemi płot. Wywrócili go kilkoma kopniakami. Pokonali jeszcze dwie takie posesje, docierając w końcu do muru wysokiego na jakieś dwa metry. Ściana biegła prostopadle do drogi, a po kilku metrach skręcała wzdłuż niej. Po drugiej stronie szosy stała drewniana piętrowa rudera, wyglądająca, jakby się zawaliła i została poskładana na nowo.

Cała trójka uklękła pod murem, uważnie lustrując okolice. Adrenalina buzowała im w żyłach. Pulsowały skronie. Znali to uczucie, bali się go, ale też uwielbiali.

– Co teraz? – zapytał Tony, przekrzykując hałas strzelających karabinów.

Podoficer rozejrzał się, szukając jakiegokolwiek przejścia. Jakies dwadzieścia metrów od nich widniała wąska dziura w otynkowanej ścianie.

– Tam. – Wskazał.

Podczołgali się do wyrwy.

– Za wąska – spostrzegł Tony. – Lepiej coś wykombinujmy, bo naszym zaraz skończy się amunicja albo przegrzeją się lufy.

Charlie bez namysłu wstał i z całej siły kopnął kilka razy w stare cegły, sklezione zwietrzałą już zaprawą. Poszerzenie otworu nie trwało długo.

– Teraz to i ja się zmieszczę. – Tony pochylił głowę i ruszył jako pierwszy.

– Czeka! – Chwycił go za ramię Charlie. – Jarmoe, biegnij na drogę i jak tylko zobaczysz, że przechodzimy na drugą stronę, daj znak naszym, żeby wstrzymali ogień. Chłopaki lubią takie zabawy, ale ja nie chcę, żeby nam odstrzelili dupy.

Chłopak przytaknął, poprawił zsuwający się na oczy hełm i ruszył.

– OK, Tony, nadchodzi nasza wielka chwila.

Wziął głęboki wdech i sprawdził, czy po drugiej stronie nikt się na nich nie zasadził.

– Dobra, chyba czysto. Jak już przeleziesz, biegnij pod mur i czekaj na mnie.

TJ schylony, z bronią w dłoni, ślizgiem zatrzymał się na skraju szosy naprzeciwko rudery. Gdy tylko jego koledzy przedostali się na drugą stronę, wychylił się i zaczął machać dłonią. Palba od razu ustała. A i z góry nikt nie strzelał.

Zielinsky siedział pod ścianą wieży oparty plecami o Tony’ego. Było cicho, choć cały czas w głowie słyszeli terkot broni.

- Co teraz? – spytał nieśmiało Sycylijczyk z Bronxu.
- Idź pierwszy, ja cię osłaniam. Do wejścia. Gdzieś musi jakieś być.
- Jasne, ja przodem, o mammo...
- Nie pieprz! – uciął Polak.

Ruszyli obaj, pochylając głowy. Budynek wydawał się ogromny i tego wrażenia nie zmniejszały odrapane mury. Z dziur w ścianie wyrastały młode drzewka, których nasiona zapewne przywiał wiatr. Tony przesunął lufą po ziejących ciemnością otworach w murze. Przeszli jeszcze kilka metrów i Charlie zatrzymał kolegę.

Przed nim majaczył niski otwór, prowadzący do wnętrza obronnej budowli. Saviola nabrał powietrza, jakby miał nurkować, zacisnął ręce na karabinie i ostrożnie wszedł w ciemność. Zaraz za nim, stąpając tak, żeby nie robić hałasu, szedł Zielinsky z pistoletem. Przypadli do ściany, czekając, aż oczy przywykną do mroku. Śmierdziało tu stęchlizną i kurzem.

Nad nimi znajdowała się wysoka klatka schodowa ze stromymi stopniami przylegającymi do ścian. Schody prowadziły na samą górę baszty. Ponure wrażenie potęgował jeszcze wiatr, który złowieszczo gwizdał, wdzierając się do środka przez dziury i martwe okna.

Kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, Charlie szturchnął kolegę łokciem i podnosząc głowę, pokazał, że ma wchodzić na schody.

Tymczasem na zewnątrz Jarmoe wycelował swój karabin w najwyższe okno wieży, czekając na rozwój wydarzeń.

Tony szedł ostrożnie po wąskich i śliskich schodach i cały czas gapił się w górę, już szykując się na spotkanie ze snajperem. Liczył na to, że facet dostał kulę i teraz leży martwy na podłodze. Przecież nikt nie strzelał. Charlie podążał za nim, trzymając wysoko pistolet maszynowy.

Byli już dalej niż w połowie drogi, gdy na ostatnim piętrze, na podłodze z grubych desek coś stuknęło. Tony przystanął z szeroko otwartymi oczami. Chłonał każdy, nawet najmniejszy ruch drobinek kurzu i najcichszy szelest. Wycelował broń w otwór na suficie i cicho przełknął ślinę. Czuł, jak z nerwów pocą mu się ręce.

Powoli zrobił jeszcze dwa kroki i znowu wyżej coś zaszumiało. Sycylijczyk przycisnął kolbę do ramienia najmocniej, jak mógł.

Greenman nie spuszczał wejścia z celownika broni. Tony minął półpiętro i teraz stał już na wprost ostatnich kilku schodów. Miał właśnie zrobić krok, gdy z piętra wybiegł szary, spasiony kocur. Zwierzę minęło żołnierzy i jakby nigdy nic podreptało w dół. Saviola pomyślał, że ma zawał, bo coś ukłuło go mocno w okolicach serca. Wypuścił trochę powietrza, łapiąc się na tym, że przez ostatnie sekundy z emocji przestał oddychać.

Zielinsky szturchnął Tony'ego lufą w nogę i wskazał mu wejście na piętro. Ten mrugnął na znak, że rozumie i, już bardziej pewny siebie, ruszył w górę.

Miał wejść na ostatnią kondygnację, kiedy znad sufitu padło kilka strzałów. Saviola odruchowo wystrzelił i rzucił się na kamienne stopnie. Greenman zsunął się na półpiętro i też pociągnął za spust. Długa seria poleciała w kierunku drewnianego sufitu.

Znowu ktoś strzelił, ale tylko raz. Kula kilkukrotnie odbiła się rykoszetem. Tony wywalił do końca ładownik, który wyskoczył z brzdękiem.

- Ładuję! – krzyknął, żeby kumpel osłaniał go, kiedy on będzie wkładał nowy magazynek.

TJ, słysząc strzały, nie wiedział początkowo, co ma myśleć. Przeanalizował wszystko w ułamku sekundy i pobiegł na pomoc kolegom. Przecisnął się przez dziurę w murze i ruszył do wejścia. Droga, celując w każde mijane okno, biegli pozostali Amerykanie, wysłani na odsiecz przez porucznika.

Ogłuszony Tony wystrzeliwał już drugi ładownik, kiedy Charlie przypomniał sobie, że ma w kieszeni granat. Dym i zapach prochu wypełniał wieżę, a na schodach leżały gorące jeszcze łuski. Polak podskoczył do Sycylijczyka, odbezpieczył szybkim ruchem granat i cisnął go w otwór w suficie.

– Padnij! – wrzasnął, rzucając się na schody i przyciskając do głowy hełm.

Obronny „ananas” Mk 2 rozerwał się daleko w pomieszczeniu. Rąbnęło tak silnie, że obaj mężczyźni niemal unieśli się w górę razem z podmuchem powietrza. Z wejścia buchnął szary dym. Tony’ego i Greenmana obsypał tynk i pył.

W uszach im dzwoniło. Charlie uniósł lufę i posłał jeszcze kilka naboju w chmurę, która ulatniała się przez okna.

– Idziemy! – krzyknął do Savioli, starającego się palcem odetkać ucho. Wpadł na ostatnie piętro, stanął na krawędzi schodów i z biodra tłukł w pomieszczenie. Szczęśliwie nie trafił go żaden rykoszet, bo pokój nie był za duży. Tony przez otwór w podłodze też wpakował kilka kul w ściany wieży i nagle zapanowała niemal kompletna cisza. Tylko wiatr gwizdał przez okna.

Stali, czekając, aż dym rozwieje się do końca.

– Patrz. – Tony wskazał lufą Garanda na coś, co wyglądało jak poskręcana sterta zakrwawionych szmat. – Nasz klient.

Greenman podszedł ostrożnie z wycelowaną w nieboszczyka bronią. Granat musiał upaść bardzo blisko, bo ciało było mocno poszarpane. Jedynie po kolorze maskującego munduru i patchach na kołnierzu można było rozpoznać, z jakiej był armii.

– Pierdolony Szwab – zaklął Tony. – Co on tu robił? Dureń, sam chciał się bronić?

Charlie odsunął od zwłok Mausera G43 z celownikiem optycznym. Obok trupa na podłodze leżał jeszcze Walther P38.

– Widzisz, co ma na kołnierzu?! SS. Masz ten swój koniec wojny! – ryknął wściekle Saviola, wylewając resztki żalu na kumpla. – Są jednak tacy, co jeszcze potrafią... Do końca... Kurwa mać, tego nie było w twoich opowiastkach, chłopie. To ciągle kurewnie niebezpieczne! – Kopnął z całej siły pocięte odłamkami zwłoki. – Mówiłeś, że koniec, że już... A tu masz, drugi raz jednego dnia...

– Racja – zbył uwagę Greenman. – Zdarzają się jeszcze nienormalni. – Podszedł do okna, żeby dać znak swoim, że wszystko jest w porządku.

Wyciągnął rękę, ale zdołał krzyknąć tylko: „OK!”, kiedy gdzieś w dole wystrzelił karabin. Kula przeszła tak blisko, że padł na podłogę, a jego hełm poturlał się w kąt.

– Greenman! Jesteś cały?! – Saviola zaczął chaotycznie macać go po ciele, sprawdzając, gdzie go trafili. – Mów do mnie, mów!

Polak usiadł, przerażonym wzrokiem patrząc tępo w dal.

– Sukinsyn! Dobry jest – wymamrotał.

– Nic ci się nie stało? – dopytywał przestraszony Tony, a za oknem znów zaczęła się kanonada.

– Wałą jak w westernie. – Karol zdawał się otrząsać z szoku. Chwycił się za prawe ramię i pomacał je. – Jestem cały – powiedział z ulgą, choć jego palce wyczuły dwie dziury w kurtce pod pachą. Kula przeszła dosłownie o centymetr. O mało nie zemdłał, wystraszony. Zacisnął mięśnie i nabrał kilka wdechów.

Saviola, widząc, że Greenman dochodzi do siebie, wymienił magazynek w swoim M1 i pochylony podszedł do okna.

– Żyjecie! – zawołał TJ, który zadyszany wbiegał na górę. – O mamó! – krzyknął, widząc le-



żącego w kałuży krwi Niemca.

– Co tak długo? Czekales na windę? – zakpił z wściekłością Zielinsky, wstając z podłogi. Obaj zaraz ustawili się za Tonym, który celował do czegoś za oknem.

Widok na wieś był idealny. Dostrzegali każdy dom i niemal każde podwórko, drogi i pola w promieniu kilku kilometrów oraz zaparkowaną kolumnę pojazdów.

Saviola tłukł jak reszta, spokojnie mierząc w zrujnowany, podziurawiony dom poniżej. Zielinsky przysunął oko bliżej karabinu i pociągnął za spust. Broń uniosła się lekko, wypływając pięć naboji kalibru 11,43. Charlie dał poprawkę i jeszcze raz posłał serię w świetlik pokrytego papą dachu starego domu. Jego koledzy na ziemi walili, z czego kto mógł, dziurawiąc spróchniałe deski.

Jarmoe wysunął się zza sierżanta, też chcąc wziąć udział w tej rozróbie. Przecież od kilku tygodni nie strzelił ani razu...

Kiedy smugowe pociski roznosiły na strzępy poddasze, żółty język ognia wystrzelił przez świetlik w dachu. Ten jakby uniósł się na kilka metrów i w ułamku sekundy rozleciał na milion kawałków, znikających w kuli ognia i dymu.

– Wow! – Gorące powietrze rzuciło TJ-a do tyłu.

– No, toś sobie powalczył... – Tony podał koledze rękę, pomagając mu wstać z podłogi.

Dom zapalił się jak nasmołowany. Ogień szybko obejmował wszystkie kondygnacje, bijąc takim żarem, że zrobiło się duszno nawet w wieży.

Za słupem telegraficznym leżał uśmiechnięty żołnierz z dymiącą jeszcze Bazooką M1 na ramieniu. Jego ładowniczy przyjacielsko stuknął go w hełm, gratulując trafienia.

– Lenie! – krzyknął do obsługi pancernownicy Sycylijszyk. – Widzieliście? My musimy drapać się na górę tej sterty kamieni, a im szkoda nóg i wałą sobie z Bazooki!

– Takie życie, Tony. Porostu są sprytniejsi od ciebie. – Greenman zabezpieczył broń i zawiesił ją na ramieniu, też mało zadowolony z tego, że musiał się wspinać. – Jesteś cały, TJ? – spytał kaprała, który pocierał czoło.

– Tak – odparł markotnie zapytany. – Ale przez moment zdawało mi się, że dostałem w łeb deską.

Od wejścia doszedł ich gromki głos sierżanta Chrissa:

– Ej, wy tam! Greenman, Saviola, Jarmoe – żyjecie?!

– Żyjemy! Cali i zdrowi! – odpowiedział Tony.

– To zbierać dupy w troki, nie czas na romantyczne randki. Jak chcecie potrzywać się w samotności za ręce, to przy innej okazji!

– Już idziemy – odparł Charlie, szybko ruszając ku schodom. Rzucił jeszcze spojrzenie na nieboszczyka. – TJ, weź jego pistolet, będziesz miał pamiątkę.

Zeszli na dół i wygramolili się przez otwór w murze. Zadymiona uliczka wypełniła się rozgadanym, rozpalonym potyczką wojskiem. Żołnierze, nerwowo paląc papierosy, stali pod ścianami i patrzyli na gorejący dom. Zupełnie jakby było na co.

– No, tośmy mieli trochę rozrywki. – Chriss stał z zadartą głową, ciągle chyba nie wierząc w to, co się stało, i lustrował wielką budowlę. – Ilu? – spytał, nie spuszczać oczu.

– Jeden – mruknął Greenman, szukając papierosa nadal dygoczącą dłonią.

– Pieprzony dupek. – Bob powiedział to tak dziwnie, że nie było jasne, czy mówi o Niemcu, czy raczej i on robi przytyk Charliemu. Polak tylko uniósł brew i bąknął coś niezrozumiale pod nosem.

– To co? Zbieramy wycieczkę i znikamy... – Polak schował kolbę peemu i wyjął paczkę ca-

meli, zmieniając temat.

Już chciał coś krzyknąć do reszty, kiedy w obłokach kurzu i na pełnym gazie pojawił się jeep z Brashierem za kierownicą. Żołnierz zatrzymał wóz z piskiem hamulców, aż ten zatańczył na asfalcie.

– Dobra robota. – Uniósł kciuk na widok Zielinsky’ego i Savioli. – Cholernie... dobra – dodał zaraz. – Zrobiliście porządki. – Wyprostował się. – Musimy tu jednak trochę pomieszkać – dodał.

– Że jak? – Chrissowi opadły ręce i spojrzał na zwiadowcę bezradnie. Widać było, że jemu też znudziła się ta dziura.

– Nic nie poradzę. – Brashier wzruszył ramionami. – Dostaliśmy rozkaz. Przed chwilą. Mamy czekać...

– Na co, do cholery?! – Zielinsky aż cisnął papierosem w piach. – Tu...? – Machał gorączkowo rękami, jakby szukał przekleństwa odpowiedniego do ciężaru swej powracającej wściekłości.

– Mamy czekać, sierżancie! – Brashier zarzucił koleżeński ton i nieco się zjeżył. Reszta chłopaków zwróciła na niego wystraszony wzrok. – Rozkaz. Mam czekać na posłańca z pułku. Chuj wie, co tam nam wymyślili! – Oparł ramiona o kierownicę i splótł palce. – Wystawcie wartę i poszukajcie u ludzi jakichś kwater. Nic nikt nie mówił o możliwym kontrataku, ale po tym... – Skinął na płonący dom. – Cholera wie, co może się przytrafić. Więc bądźmy czujni, do diabła.

Saviola i Zielinsky smutno kiwnęli głowami. Oficer wrzucił wsteczny bieg i ruszył.

– Aha! – Zatrzymał się jeszcze na chwilę, coś sobie przypominając. – Dziś padło Pilzno. – Podzielił się dobrą nowiną. – To wszystko naprawdę się kończy. – Wyszczrzył zęby i ruszył na skraj znów powracającej do życia wioski. ■

Bezksiężycowa noc sprawiała, że wewnątrz drewnianej chaty niewiele było widać. Izbę rozświetlały jedynie dogasające, blade ogniki, pełgające w kaflowym piecu. Kilka lichych sprzętów odcinało się ciemnymi plamami od białej ściany. Wewnątrz było jednak ciepło – okna uszczelniono mchem i dzięki niemu chłód listopadowej nocy nie niepokoił śpiącego wewnątrz mężczyzny.

„Poleszuk” pochrapywał spokojnie pod wielką pierzyną. Jego kryjówka nie obfitowała w luksusy, ale była bezpieczna. Pił zimną wodę ze studni, jadł kaszę bez omasty, nie mógł się nawet ochlapać porządnie, ale za to był w stanie spokojnie spać. Pierwszy raz od dłuższego czasu odebrać się od konspiracji, lasów, strzelania.

Bolała go ręka. Musiał odpoczywać i ją oszczędzać, bo leków, które przynosił mu lekarz potajemnie wspierający „leśnych”, nie było wiele, więc i nie bardzo mógł się nimi skutecznie wyleczyć. Doktor, który przedzierał się tu leśnymi duktami, kazał jak najwięcej odpoczywać i podreperować wycieńczone, choć młode, organizmy ranionym w Partowie „Poleszukowi” i jeszcze jednemu „leśnemu”, który rezydował w tej kryjówce.

Miało być ich tu więcej. Dowódca wynalazł tę metę właśnie przez doktora i zapewniał, że to dobre miejsce na przeczekanie, ale... Widać inni wybrali coś lepszego. A i szefa nie było... Znów krył się po lasach w sobie znanych tylko jamach. Pewnie też go męczyły takie rudery.

„Poleszuk”, ledwie dwudziestoletni, bardzo sobie chwalił ten przymusowy urlop. Nie miał dokąd iść. Nie miał rodziny, jak taki „Leon” czy inni, co kątem siedzieli u kuzynów albo zgłaszali się do normalnej pracy między „robótkami”.

Jemu została tylko walka. Walczył z okupantem. Czy był to Niemiec, czy Sowiet, czy schylający potulnie kark jego polski hycel, było mu bez różnicy. Choć ostatnio czuł przemożne zmęczenie i ogarniały go wątpliwości. Te ostatnie męczyły najbardziej. Mało akcji, coraz mniej broni, strach przed wykryciem. I pytanie – jaki jest tego sens? Czy przetrwa? Po wsiach i miasteczkach coraz więcej wojska, choć już bez Sowietów. Ubecja się uczyła i rosła w siłę. Był może młody i niewykształcony, ale zaczynał rozumieć, że znikąd pomocy nie będzie. Walka się kończy, choć nie wiedział jeszcze, jaki będzie jej finał. Doskonale za to zdawał sobie sprawę, że dla niego i jego kolegów litości braknie, że komuniści im nie darują, jak nie darowali setkom i tysiącom jego poprzedników, mordując ich po lasach bez sądu albo w podziemiach lubelskiego zamku, już z wyroku.

Jako dobry żołnierz z kilkuletnią praktyką w konspiracji, warszawski powstaniec, gotów był na śmierć. Z bronią w ręku, w obronie swojego kraju i tego, w co wierzył, a co nowi okupanci deptali każdego dnia. Był twardy, byle czego się nie bał. Z wyjątkiem jednego. Przerazała go myśl, że zatłuką go młotkiem gdzieś w ubeckiej piwnicy albo zastrzelą jak psa, a on jeszcze przed śmiercią powie, co będą chcieli.

– Co się stało?! – krzyknął, zrywając się z betów mokry od potu. Straszny senny koszmar zmącił jego spokój.

– Nic, nic. – „Borys” wstał ze stołeczka pod oknem, gdzie miał czuwać i wypatrywać nieproszonych gości – Coś ci się śniło. – Nalał do kubka wody z blaszanego dzbanka i podał „Poleszukowi”.

Nie musiał przy tym zapalać lamy naftowej. Jego oczy dawno przyzwyczyły się do ciemności.

– Już, już. Jest spokojnie. – „Borys” pocieszał towarzysza, patrząc, jak łapczywie pije. – Aż za spokojnie – dodał ciszej i odwrócił się znowu w stronę okna.

\*

Było dawno po zmroku. Szary asfalt rozjaśniał blask reflektorów, a silnik auta wył jak pies. W szoferce zrobiło się gorąco od żaru motoru, przebijającego przez cienką osłonę blach i deski rozdzielczej. Maniek pędził, ile fabryka dała. Przekroczył chyba wszystkie możliwe normy spalania benzyny w jego pułku.

„Pielgrzym” wysiadł w Bedlnie – niewielkiej miejscowości położonej siedem kilometrów od Radzyna, zamiast zgodnie z planem nieco pomieszać szyki ewentualnej obserwacji i jechać aż do Łukowa, na lubelski pociąg. Stacja w Bedlnie była bliżej. Kiedy przez Radzyń wytyczano linię kolejową, hrabia Potocki stanowczo sprzeciwił się takim pomysłom. W obawie przed popłochem, jaki wywoływać będzie kolej żelazna wśród koni z jego stadniny, wymusił budowę torów siedem kilometrów dalej.

„Pielgrzym” był w złej formie, nawet nowych poleceń nie dawał i kazał sprawdzać skrytkę przy szosie. Uznał, że i tak naraził zbyt wielu ludzi i nie ma prawa wymagać za dużo od Mariana. Kazał wyrzucić się przy torach. Mańkowi było wszystko jedno – i tak musiał zdać taśmy z rosyjskimi filmami, jakie puszczał od ponad roku w różnych okolicznych jednostkach i garnizonach, jako wojskowy – jak zwykł mawiać z poznańska – „kiniorz”.

Teraz gnał, jak szybko się dało, prostą jak stół drogą, nie wiedząc do końca, w co tak naprawdę się wpakował. Uczepiony kurczowo szerokiej kierownicy, zerkał co kilka chwil na skrawek papieru, który zostawił mu oficer. Powinien go wyrzucić, ale bał się, że zapomni zapisanej treści.

„Szosa na Lublin, wieś Firlej. Trzy kilometry przed wsią w prawo, potem polami do lasu. Tam leśniczówka. W niej...”

– Szybciej! – zawołał, kiwając się w fotelu, jakby poganiał auto.

Jechał tak dobre pół godziny, nie spotykając zbyt wielu ludzi. Minał go jeden samochód, wyprzedził dwie chłopskie furmanki. O tej porze mało kto podróżował, nawet główną trasą.

Maniek myślał intensywnie, jak to wszystko rozegrać i co mu grozi, gdyby coś poszło nie tak. A tego, że stanie się coś niedobrego, właśnie się spodziewał. Bał się, ale wiedział, że się nie wycofa. Zwłaszcza że miał z tamtymi – jak nazywał cały aparat bezpieczeństwa – do wyrównania rachunki i poprzysiągł im zemstę.

„Pielgrzym” i jego ludzie byli jak szczęśliwy traf, wierzyli w to samo co on, choć Mańkowi przyszło nosić inny mundur. Chciał go zrzucić, ale Maciej i jemu podobni wyjaśnili mu, że w tym wojsku może być bardziej przydatny niż w lesie z bronią.

– Szybciej! – zawołał raz jeszcze, maskując przed samym sobą strach. Pierwszy raz miał tak trudne zadanie. Za trudne jak na prostego chłopaka ze wsi, który w dodatku miał działać w pojedynkę.

Oficer nie mógł jechać. To było oczywiste. Czekali pewno i na niego. Ba, on był głównym celem. Maniek pędził jak samotny rycerz wybawiać z opresji, sam przeciw – jak sądził – kompaniom bezpieczeństwa i KBW.

Przyszła mu do głowy myśl, żeby dać spokój. Żeby wracać do jednostki, skłamać przy następnym spotkaniu. Rodzina, przecież duża, czekała pod Strzałkowem, a z tego mogą być problemy... Pacnął w kierownicę zły na siebie. Wcisnął mocniej gaz i wrzucił wyższy bieg.

Po kolejnych dziesięciu minutach wyjechał z gęstego lasu. Było ciemno, ale wiedział, że wokół rozciągają się tylko bezludne pola i łąki. Nie widział ani jednego światełka. Zwolnił nieco, kiedy dostrzegł szeroką szutrową drogę prowadzącą w prawo. Wjechał na pobocze i ze skórzanego mapnika wyciągnął duży arkusz.

Zapalił światełko i studiował przez chwilę mapę. Jeździł tędy tak często, że niemal znał tę szosę na pamięć.

Za kolejnym zagajnikiem zaczynały się wsie i osady. Spojrzał na drogę. Prowadziła polami do odległego lasu wyrastającego zza horyzontu.

– Skrót... – Podrapał się po kłującej, nieogolonej od rana brodzie. – Gdyby ukryć auto w tym lesie, przejść z kilometr... – mrucał. – Dojdę do leśniczówki niezauważony. Od tyłu. – Wlepił oczy w ciemny pas drzew odcinający się od szarego nieba.

Nie zastanawiał się dłużej. Cisnął mapą o siedzenie tak mocno, że ta odskoczyła i spadła na podłogę szoferki. Nie przejął się tym. Poglądził stojącą obok lewej nogi pepeszę z uprzykrzającym życie i jazdę okrągłym magazynkiem.

Skręcił w szutrową drogę i uważając na wertepy, ruszył do lasu.

Rozglądał się uważnie i czuł, jak serce zaczyna mu coraz szybciej bić. Zdał sobie sprawę, że jest sam, niemal w środku ciemnej nocy, na obcym terenie i nie do końca wie, co robi.

Droga była dłuższa, niż zdawało się z oddali, a las jakby w ogóle się nie przybliżał.

Wjechał wreszcie między młode brzoźki i rosnące dalej ogołocone z liści dęby. Wziął ostry zakręt, opadający nieco w dół, i światło reflektorów odbiło się od tafli niedużego jeziora. Minął je z prawej, niemal wjeżdżając do wody, i znowu był na wyżynie. Drzewa zakrywały niebo, droga z każdym kolejnym metrem zaczynała przypominać ścieżkę wydeptaną przez zwierzynę.

Zdawało mu się, że zajechał już wystarczająco daleko. Na licznik nie patrzył, bo ten pokazywał odległości w amerykańskich milach, których Maniek nigdy, mimo półtorarocznego pobytu w wojsku, nie nauczył się przeliczać. Chciał się zatrzymać, kiedy oślepiło go ostre białe światło, które – nie wiadomo skąd – pojawiło się przed maską. Zahamował tak, że aż zaskrzyphiały bębny w kołach.

– A ty tu czego, gałganie! – wydarł się ktoś, kiedy Maniek zasłaniał twarz dłonią.

Głos był młody i surowy. Jego właściciel mówił lekko przez nos.

Światło zostało skierowane w dół. Kierowca odsunął rękę. Obok stał chudy żołnierz w szynelu i polowej rogatywce na głowie. W jednym ręku ścisnął automat PPS, a w drugim – dużą latarkę.

– Głuchyś, kurwa mać?! – powiedział jakby ciszej.

Maniek nie zdołał wykrztusić słowa. Gardło mu się ścisnęło. Przez chwilę myślał, że zemdleje. Chwycił się mocno kierownicy i zastygł.

– Ot, durny! – wołał ten z latarką. – Won stąd, przybłędo. Nie słyszałeś rozkazu, durniu? – Ni to pytał, ni stwierdzał.

Maniek pokręcił głową tak nieśmiało, że tamten tego nawet nie dostrzegł.

– Rozkaz był... – zawiesił głos, jakby się zasapał od tego krzyku – ...auta w krzaki i zamaskować. Czekać na polecenie, aż skończymy. Na drugą stronę lasu, ale już!

Promień światła przeszedł po aucie.

– Zapamiętam cię i do dupy dobiorę ci się po wszystkim. Teraz mówię: won! – rozkazał ostro wartownik i zgasił światło.

Maniek nie czekał na ciąg dalszy. Wrzucił wsteczny i lekkim zygzakiem ruszył szybko do tyłu, łamiąc co jakiś czas walające się na poboczu gałęzie. Czuł, jak pot oblewa mu plecy. Wie-

dział, że ma ogromne szczęście. Jakiś chłopski syn w mundurze wziął go najwyraźniej za kierowcę ze swego oddziału.

Wykręcił tyłem między drzewa. Trzask łamanych krzewów i młodych samosiejek wypełnił nocną ciszę. Skręcił w lewo i ruszył pod górę drogą, którą dopiero co jechał. Mijał właśnie jezioro, kiedy zaczęły trząść mu się ręce.

– Boże... – wyszeptał. – Musiałem ich mijać. – Przypomniał sobie słowa wartownika o tym, że inne pojazdy zostały gdzieś w pobliżu zamaskowane.

Zostawił za sobą jezioro, dotarł na górkę, przejechał kilkadziesiąt metrów i zatrzymał wóz. Zgasił światła i silnik. Kilka chwil nasłuchiwał i myślał, co robić dalej.

\*

– „Poleszuk”... – wyszeptał „Borys”. – „Poleszuk”... – Podszedł bliżej łóżka. Zobaczył, że chłopak znowu zapadł w błogi, kojący nerwy sen, więc machnął ręką. Wziął z chwiejącego się stołu szklanek i napełnił ją wodą. Kiedy ją podnosił, stół lekko zaskrzypiał. Spojrzał na łóżko, ale jego towarzysz spał jak zabity. Odstawił ostrożnie naczynie, podszedł do okna i chwycił swojego MP40.

Westchnął cicho na myśl, że będzie tu tak siedział jeszcze całkiem długo. Albo go ktoś zmieni, albo przyjedzie „Pielgrzym”. Dowódca przecież żartował, że jak jest okazja posiedzieć pod dachem, to on z przyjemnością z niej skorzysta. Ale teraz go nie było.

Musiał liczyć na to, że „Poleszuk” wydobrzeje i odpocznie na tyle, iż on sam będzie mógł się zdrzemnąć kilka godzin.

Przetańniętą piekącą coraz bardziej oczy. Postanowił zrobić obchód, tak dla zabicia czasu, bo odkąd znaleźli tę melinę, nikt obcy albo podejrzany tutaj się nie kręcił. Ludzi w okolicy nie było, a zapuszczali się tu wyłącznie miejscowi, łażący po lesie za grzybami albo zaufani, z organizacji.

Na tubylców nie można było narzekać, pary z ust nie puszczali i jeszcze dawali znać, jak się milicja do wsi zbliżała. Pamiętali, jak ludzie „Uskoka” czy nawet „Pielgrzyma” potrafili radzić sobie z bandytami, którzy po wojnie nękali okolice.

„Borys” nałożył płaszcz i szalik. Na głowę wciągnął starą wojskową rogatywkę bez orzełka, którą nosił na co dzień, jako pamiątkę z wojny. Na ramię zarzucił polski pistolet. Uchylił wolno drzwi, tak żeby nie zaskrzypiały, i wyslizgnął się na podwórko.

Rozgrzane ciało zaczęło dygotać na zimnie jesiennej nocy. Potarł dłonie i dmuchnął w nie, ale niewiele to pomogło. Ruszył więc szybkim krokiem dookoła domu. Parterowy budynek z dość przestronnym strychem, wzniesiony z szerokich bali nasączonych żywicą, która po latach cały czas wydzielala przyjemny zapach, kryła czerwona, powleczone warstwą zielonego osadu dachówka.

Wokół domu stał wysuszony, chylący się ku ziemi płot, który partyzant zabezpieczył kilkoma niespodziankami. Podszedł do pierwszej. Na wysokości przerwy w sztachetach zakopał dwie polskie miny typu „S”. Jedną przed, drugą za płotem. Zabezpieczył je drutem kolczastym, tak żeby żaden zwierz nie wykopał ich i nie spowodował detonacji. Na razie się to sprawdzało, bo miny były na swoim miejscu i nigdy nie dostrzegł śladu, by coś weszło w okolicy. Kilka metrów dalej były kolejne ładunki. Nieco prostsze, zrobione z granatów i linek powiązanych między zawleczkami. Takie zabezpieczenie montował tylko wtedy, kiedy ktoś rezydował w domu. Na wąskiej przesiece, teraz już zarośniętej, od lat nieuczęszczanej, leżało kilka min przeciwpancernych. Na wszelki wypadek. Nikt tu nie jeździł autami, ale „Borys” uważał, że każdy środek ostrożności jest dobry. Nieco dalej, za płotem, w trzech miejscach, w liściach i krzakach jeżyn

i jagód wetknął trochę drutu, na którym zawiesił puste puszkę obciążone kamieniami. Był to prosty, acz sprawdzony patent jeszcze z okopów I wojny światowej. Wiatr nie mógł ich poruszyć, ale człowiek się ich nie spodziewał, świetnie nadawały się więc na prowizoryczny alarm.

„Borys” nie zapalał latarki. To była żelazna zasada. Zresztą, po tylu latach życia między drzewami, na łonie natury, nauczył się widzieć w nocy. Tak się przynajmniej przechwalał.

Obszedł dom z każdej strony. Zatrzymał się kilka razy i nasłuchiwał. Było cicho. Poczł się jakoś dziwnie, nieswojo. Wlepił wzrok w leśną czeluść i stał tak długo, jakby chciał wyłapać najmniejszy szmer i najdalszy dźwięk.

\*

Maniek rozważał, czy nie przepłynąć albo nie obejść jeziora. Szybko jednak uznał oba pomysły za idiotyczne. Woda w listopadzie była lodowata, drugi brzeg pewno obstawiony, a obejście nocą, po krzakach, trwałoby za długo. Bezwiednie zaczął obgryzać paznokcie. Zerkał to na wodę, to na ukrytą w mroku drogę. Nie wiedział, co czynić. Z każdą minutą tracił szanse nie tylko na ostrzeżenie ludzi „Pielgrzyma”, ale i na ratowanie własnej skóry. Jak miałby tłumaczyć obecność kinowej furgonetki w samym środku oblawy UB?

Uderzył pięścią w wilgotną ściółkę i zły pobiegł do auta. Wgramolił się do środka i w ciemności walnął kolanem o bębnowy magazynek swojej broni.

Potał bolącą nogę i wtedy go olśniło. Wyszarpał pepeszę i wyskoczył na powietrze. Ryzyko było duże, bo jak wytłumaczy się potem z wystrzelanej amunicji...?

– Pies to jebał – powiedział cicho do siebie. – Jakby co, to napadli mnie na szosie, broniłem się. – Wymyślił naprędce bajeczkę i odbezpieczył broń.

Nie miał zamiaru w pojedynkę szturmować stalowego pierścienia KBW. Nie był aż tak odważny i szalony. Jednak jako wychowany na wsi znał przyrodę. Wiedział dobrze, że woda przenosi dźwięki. To była jego ostatnia szansa.

Przyklął nad jeziorkiem, przystawił kolbę do ramienia i pociągnął za spust.

\*

– Co do cholery?! – Kapitan nazwiskiem Barańczak prawie zawył, kiedy gdzieś daleko nocną ciszę przerwała seria z automatu.

Podniósł się z ziemi i zdusił peta, którego ćmił, osłaniając żar dłonią.

– Łącz z „Zielonym” – rozkazał radiotelegrafiście siedzącemu w wojskowym jeepie okrytym gałęziami sosny.

– Nie, to nie u nas – rzucił do mikrofonu wyziębiony kapral, w za dużych, jak na jego małą głowę, słuchawkach. – Sami się odezwali, towarzyszu kapitanie. Pytają, co się dzieje – meldował po chwili trzęsącym się z zimna głosem.

– Ja pierdołę! – zaklął oficer, nerwowo strzepując resztki darni z płaszcza. – Żartują sobie?! Dawaj to! – Wyrwał żołnierzowi mikrofon, niemal ściągając mu z głowy słuchawki razem z czapką. – Nie robicie sobie jaj, „Zielony”! Co u was? Tu nic. Nikt nie strzela. Może ktoś do nich jechał i wlaż na posterunek. Też nie? To może jakiś kretyn pociągnął za spust...

\*

„Borys” wpadł w do domu jak huragan. Stał przez sekundę w otwartych drzwiach z wymalowanym na twarzy strachem. Dostrzegł, że „Poleszuk” już siedzi na łóżku i nakłada buty.

– Ilu? – spytał spokojnie, jakby co noc ktoś go budził w taki sposób.

– Nie mam pojęcia. – „Borys” zdołał się opanować. – Seria, potem druga. Od południa. Tam bagna, więc pewno...

– ...idą lasem – dokończył tonem doświadczonego wiarusa „Poleszuk”.

Zapiął pasek, narzucił gruby sweter i poczuł ból w zranionej ręce. Syknął tylko i ruszył po grubą, zimową niemiecką kurtkę w maskującym kamuflażu, której używał, kiedy robiło się zimno.

„Borys” odsunął stół, odtworzył ciężką klapę w podłodze i wyciągnął z kieszeni małą latarkę. Potem zaczął podawać „Poleszukowi” broń. Jednego Sturmgewehra, kilka granatów, dwa pistolety i amunicję. Kiedy wyjął już wszystko, wydobył wąski, szary lont, wijący się sufitem skrytki, do ściany i potem w gdzieś w dół. Poświecił na jego koniec i głośno przełknął ślinę.

– Czekamy – oznajmił.

\*

Maniek wskoczył do auta, zapuścił silnik i z wyłączonymi światłami ruszył do głównej drogi, modląc się, jak tylko potrafił, żeby nikt go nie dostrzegł i żeby jego metoda poskutkowała. Więcej zrobić nie mógł, a i tak zaryzykował. Teraz dotarło do niego, że bajka o strzelaniu do bandytów mogła mu nie wystarczyć po powrocie do pułku. Zrobiło mu się przeraźliwie zimno...

\*

– Psiamać. Psiamać – powtarzał Barańczak, chodząc wokół jeepa. Kapral wpatrywał się w niego z mikrofonem gotowym do nadania rozkazu. Tak samo w napięciu czekał kierowca i podporucznik KBW, dowódca plutonu, który stał zamaskowany między drzewami kilkaset metrów dalej. On i jego ludzie byli tu od zeszłej nocy, marznąc, z nerwami napiętymi jak postronki.

Meldunek nadszedł w ostatniej chwili. Dobrze, że Barańczak nie dawał odetchnąć grupie operacyjnej, bo gdyby nie trzymał ich twardo, w dwa dni nie udałoby się zebrać dwóch plutonów KBW, kilkunastu ubeków i ormowców do obstawienia okolicznych osad, tak żeby nikt z lokalnych nie ostrzegł reakcji. Czasy już nie te. Jeszcze rok temu takie akcje były częstsze, ale przed wyborami tak docisnęli śrubę, że powygniatali bandy jedna po drugiej.

– Psiakrew! – Barańczak walnął otwartą dłonią w maskę jeepa tak mocno, że rozszedł się pusty huk. – Tyle czekania, taka zasadzka... – wysapał z żalem.

Miał nadzieję, że wpadnie jeszcze ktoś. Że przyjedzie sam „Pielgrzym”. Nieuchwytny przywódca leśnej reakcyjnej bandy. Skoczek z Londynu, znenawidzony sługus Andersa, który, jako jeden z kilku działających w tym regionie, zaszedł za skórę Departamentowi Trzeciemu, całej bezpiece, władzy i jemu samemu w szczególności.

– Zaczynać! – rozkazał zły, wiedząc, że major Zarotkin, jego „doradca”, też zachwycony nie będzie. Podporucznik zsalutował i oddalił się w stronę swoich. Kapral przekazał rozkaz nieco bardziej spokojnie.

Nie minęła minuta, kiedy padł daleki strzał i gdzieś hen nad lasem pojawiła się czerwona rakietka. Chwilę później w niebo wystartowała jeszcze jedna.

Maniek dostrzegł obie w bocznym lusterku, kiedy ujechał już spory kawał drogi. Serce ciągle waliło mu jak młot, a dłonie lepiły się od potu. Chciał wiedzieć, co się wydarzy, czy w ogóle pomógł chłopakom, ale nie ryzykował więcej. Nacisnął pedał gazu i pomknął przed siebie.

\*

– Podpalamy i wiejemy! – „Poleszuk” zerwał się w kierunku tylnych drzwi, zastawionych



starą, zeschniętą na wiór szafą. Przesunął ją bez większego wysiłku. Zaraz też wyciągnął spod łóżka przygotowany na takie sytuacje górski plecak ze spakowanym jedzeniem, Stenem i krótką bronią.

„Borys” trzymał już w ręku zapalną, kiedy coś w lesie zwróciło jego uwagę. Podskoczył do szyby, gnany dziwnym przeczuciem.

Zaczął się intensywnie wpatrywać w labirynt poplątanych konarów pokrytych ciemnym ki-rem nocy. Wyteżał i mrużył oczy, aż zaczęły go piec.

– „Borys”, co się dzieje? – dopytywał nerwowo „Poleszuk”, który jedną nogą był już za do-mem. – Wiejemy – dodał półszepem i też zaczął gwałtownie kręcić głową, rozglądając się mi-mowolnie.

– Są blisko – odezwał się „Borys” głosem straceńca. – We dwóch nie damy rady.

– Jak to nie damy? Wiejemy, mówię ci – gorączkował się „Poleszuk”. – Damy radę, wysa-dzaj.

– Są bliżej, niż sądziłem – mówił spokojnie jego towarzysz, nie odrywając głowy od okna. – Nie mamy szans w lesie. Pogubimy się. I do rana nas wydłubią... Jakby było nas więcej, można by ich kołować... – Zamilkł i spuścił wzrok.

„Poleszuka” przeszedł dreszcz. Zrozumiał, że tak doświadczony żołnierz jak „Borys” wie, co to wszystko znaczy. Nie było co udawać, że jest inaczej.

Nogi się pod nim ugięły, chciał coś powiedzieć, ale nie umiał.

– Osłaniam – powiedział cicho i niepewnie „Borys”, czując, jak zasycha mu w ustach. – Masz Stena, zostaw resztę – polecił.

„Poleszuk” coś bąknął i pokręcił głową.

– Bez dyskusji. – Głos „Borysa” stał się niezwykle surowy. – Osłaniam. Ty wieiesz – powtó-rzył twardo polecenie.

„Poleszuk” machnął ręką i zrobił krok do domu, ale na ten ruch jego kumpel wycelował w niego broń.

– Zmiataj stąd. To rozkaz. – Nie drgnęła mu powieka. – Feluś...

„Poleszuk” oniemiał, bo od niepamiętnych czasów nikt z oddziału nie zwracał się do niego w taki sposób.

– To... – Głos „Borysa” nagle się załamał. – To ko... – Ugryzł się w język, żeby się opano-wać. – Będziemy kończyć – dodał z żalem i lufą peemu wskazał drzwi.

„Poleszuk” nie miał siły dyskutować. Położył Sturmgewehra i ładownicę obok łóżka. W lesie strzeliła jakaś gałąź. Wiedział, że są blisko. Podskoczył do „Borysa” i przycisnął jego głowę do piersi.

– Trzymaj się, stary! Trzymaj się! Dzięki ci za wszystko. – Poczul, jak łzy napływają mu do oczu. Stał tak, bezsilny, wiedząc, że „Borys” ma rację. Na co mu był potrzebny: osłabiony, ran-ny.

– Idź już. – „Borys” odepchnął go stanowczo. – Idź – prosił z żalem.

– Widzimy się na drodze – rzucił przez ramię „Poleszuk”, jakby pocieszając samego siebie. Wiedział, że nie zobaczy już kolegi, z którym walczył i siedział w lesie od czterech lat.

Wyskoczył na podwórko. Jednym susem przesadził płot i najszybciej, jak potrafił, ruszył w las.

„Borys” otarł wilgotne oczy. Zebrał się w sobie, podpełzł do okna i zaczął nasłuchiwać. Na ławie pod ścianą położył dwa ponemieckie granaty, resztę wcisnął za pasek. W pojedynkę mimo wszystko czuł się pewniej i gdzieś w głębi serca liczył, że być może jest jakaś szansa.

Nie minęły trzy minuty, odkąd kazał uciekać „Poleszukowi”, kiedy szmery i odgłosy łamanych wojskowymi butami patyków zrobiły się wyraźniejsze i bliższe. Wprawione ucho partyzanta wychwytywało je doskonale.

„Poleszuk” w tym czasie biegł, drapiąc twarz o niewidoczne w nocy gałęzie. Jego oddech świszczął jak u osłabionego i schorowanego starca. Bał się, że ktoś go usłyszy, ale nie potrafił nic z tym zrobić.

Czekał na odgłosy strzałów, ale walka się nie zaczynała. Powoli ogarniała go panika. Chciał wracać i jednocześnie uciekać, uciekać jak najdalej. Stanął. Nasłuchiwał. Ale jedynym, co usłyszał, był szum wiatru. Zorientował się, że nie za bardzo wie, gdzie jest i gdzie ma biec. Przestraszył się jeszcze bardziej. Zaczął kręcić się wkoło, szukając jakiegoś punktu odniesienia, kiedy gdzieś w oddali rozszedł się grzmot eksplozji. Zaciśnął pięści.

– Zaczęło się – szepnął i nie oglądając się za siebie, ruszył w przeciwną stronę niż odgłos wybuchu.

\*

Pułapka, którą zastawił „Borys”, zadziałała tak, jak się spodziewał. Nagonka, jak nazywał takie oblawy, zatrzymała się gdzieś tuż za linią drzew oddaloną od płotu zaledwie o dwadzieścia metrów.

– Pewno się naradzają – wyszeptał.

No i uradzili wysłać kilku przodem. Podeszli pod furtkę, pociągnęli linkę i teraz leżeli posiekani odłamkami dwóch gratów. „Borys” rozumiał, że to mały sukces i że teraz będą ostrożniejsi.

Podszedł do drugiego okna. Mylił się. Na skraju lasu coś się poruszyło. Próbował dojrzeć, co to, kiedy błysnął płomień wystrzału. Długa seria karabinu maszynowego odbiła się echem między konarami. Strzelec nie wiedział, w co ma celować. Walił na osłep, pewnie żeby osłonić innych. Kilka kul, z dźwiękiem jakby wbijanych w drewno gwoździ, przeszło po ścianie. Drzazgi zasypały mu głowę. Po chwili kolejna seria, wypluta przez depetkę, zbiła okno.

„Leśny” zabrał granaty, podczołgał się pod łóżko i chwycił Sturmgewehra. Wiedział, że kiedy jedni kryją ogniem, inni pewno podchodzą pod dom. Zwyczajna taktyka. Odczekał, aż seria omiecie drzwi i okna. Kanonada ustała. Kiedy celowniczy ładował nowy magazynek, „Borys” podskoczył na piec i ściskając w obu dłoniach broń, plecami podważył właz prowadzący na strych.

Wrzucił swój arsenał i choć był obolały, sprawnie podciągnął się na rękach. Po chwili znalazł się w środku. Było tu o wiele zimniej niż w izbie, ale nie zwracał na to uwagi. Z tego wszystkiego zapomniał odpalić lont, ale wiedział, że teraz to bez znaczenia. Był jak osaczony zwierz, dla którego już nic się nie liczyło, który niczego się nie bał, a który miał walczyć o życie. Rozumiał też, że tej walki wygrać nie może.

Sięgnął pod zadaszenie i otworzył mały otwór zaczopowany drewnianym klockiem. Rodzaj przygotowanej zawczasu strzelnicy. Miał ich tu po trzy z każdej strony.

Wystawił lufę niemieckiego karabinka. Tę nowoczesną, celną i potężną broń, stworzoną pod koniec wojny, lubili wszyscy: Sowietci używający jej zdobycznych egzemplarzy do walk w Berlinie, ubecja i „leśni”, nazywani przez tych ostatnich bandytami.

Długi magazynek trochę przeszkadzał mu w celowaniu, ale narzekać nie mógł.

W tym czasie dwa erkaemy zaczęły omiatać ołowianymi pociskami pomieszczenia poniżej strychu, dziurawiąc wszystko niczym sito. „Borys” widział wyraźnie błyski na lewo od domu. Po prawej do płotu zbliżały się dwa cienie. Tamci szli wolno, czujnie, jakby nie wierząc

w osłonę swoich depetek.

– Znacie mnie, co? – Dodał sobie otuchy „Borys”. – Boicie się nas. Prawda? – Przycisnął mocniej kolbę do ramienia i pociągnął za spust. Nie widział, czy ich trafił, czy tylko wystraszyli się i upadli na ziemię.

W tej chwili cały las zamigotał dziesiątkami rozbłysków i wypełnił się rozsądzającym bębrenki w uszach hałasem. Smugowe pociski zaczęły tańczyć, odbijając się od rynien. Kule grzechotały o twarde bele drewna i tych kilka arkuszy blachy, które udało się zdobyć na „dopancerzenie” dachu. Erkaemy jakby z większą zajadłością poczęły strzelać po całym domu – od prawej do lewej, od dołu do góry i z powrotem.

„Borys” pociągnął kilka razy za spust, celując w któryś rozbłysk. Przeturlał się do kolejnej strzelnicy, wybił ją i posłał znowu kilka serii w niewidocznego wroga.

Kiedy był przy trzecim otworze, coś uderzyło go w ramię. Poczł ostre ukłucie i rozchodzące się ciepło. Chwycił za rękaw. Był lepki. Nie czuł bólu. Adrenalina buzowała mu w żyłach. Zaczł się nerwowo śmiać.

– Psubraty! – krzyknął, choć w tej całej kanonadzie nikt go nie słyszał. – Tyle strzelacie i tylko raz mnie trafiliście!

Wziął na cel błyskające lufy erkaemów i wypalił w nie resztę magazynka.

Zdawało mu się, że depetki na chwilę urwały, ale nie zastanawiał się na nad tym długo. Huk wybuchu, połączony z krótkim błyskiem, wstrząsnął domem tak, że na jego głowę posypał się kurz.

– Miny – warknął. – Czyli są za domem.

Podpełzł do strzelnicy wychodzącej na tyły leśniczówki, osłaniając głowę od odłamków dachówki i drewna.

Serie wystrzałów i pojedyncze huki zlewały mu się w jeden, przypominający przeciągły grzmot dźwięk. Wyjrzał na zewnątrz. Dwie ciemne postaci wiły się na ziemi przy rozerwanym, połamanym płocie. Trzech ludzi przelażiło przezeń nieco dalej. Podłączył magazynek, kiedy byli już na podwórzu, i posłał w nich dwie krótkie serie. Jednego trafił na pewno. Reszta doskoczyła do ściany domu. Sięgnął po granat. Odkręcił kapsel, pociągnął zawleczkę i cisnął go w ciemność. Dwie, trzy sekundy. Błysk i huk. Potem słyszał cichy jęk.

„Pewnie nawet nie zobaczyli, co ich trafiło” – pomyślał i zaczął czołgać się z powrotem.

Z przerażeniem dostrzegł, że teraz pod parkanem, od strony furtki, aż roi się od ludzi. Niektórzy bili w okna, inni w dach, chyba ciągle nie wiedząc, do kogo właściwie strzelają. Ktoś walił zajadle w okienko piwniczne. Znowu poczuł nagłe uderzenie i ciepło. Tym razem rozlewające się po szyi.

– Cholera! – zawył.

Teraz bolało. Jęcząc, już z większym trudem rzucił kolejny granat. Słyszał krzyki i jakieś komendy, przzerwane wybuchem. Omiótł podwórko, kończąc kolejny magazynek. Teraz już wolniej czołgał się od strzelnicy do strzelnicy, licząc na to, że ci na dole uznają, iż broni się tu większy oddział. Kule gruchotały belki i gonty. Kilka pomarańczowych pocisków rozleciało się po strychu, rozjaśniając go jak podczas wschodu słońca.

„Borys” strzelał, nie zważając na nic. Jego spoconą twarz oblepiała mieszanina kurzu, pajęczyn i krwi. Dostrzegł wysokiego żołnierza i ściał go kilkoma nabojami, niesamowicie z siebie zadowolony.

Nie zdążył wybrać kolejnego celu, kiedy karabinowy pocisk wpadł przez otwór w murze i oderwał mu mały palec u lewej dłoni. Zasyczał, nie mogąc opanować przeraźliwego bólu. Pod-

parł broń na przegubie ręki i strzelał, póki nie wykończył całej amunicji. Wróg był wszędzie, wylał się z lasu, obstawił płot. Chłopak wiedział, że są też z tyłu, ale nie mają odwagi podchodzić. On sam nie miał już siły czołgać się w tę i z powrotem, żeby to sprawdzić. Chwycił MP40, policzył granaty. Jeszcze cztery. Złapał jeden z nich, sowiecki, obronny. Wyszarpał zawleczkę i cisnął przez otwór. Poczował swąd. Myślał, że mu się wydaje, że to kordyt i proch, wypełniający wąską przestrzeń pod dachem. Ale to było coś innego. Palone drewno i topiona żywica. Rozejrzał się wokół. Nie widział jednak żadnego ognia. Jakiś odłamek drasnął go w czoło, tuż nad lewą skronią. Słabł z każdą wywalczoną minutą, z każdym wystrzelonym nabojem i magazynkiem. Zabolało znów, gdzieś na nodze. Nie zwracał już na to uwagi. Krew zalewała mu oczy. Mające w ciemności sylwetki nikły, robiły się coraz dalsze, ich kontury stały się nieregularne. Zaczął kasłać. Dym z niewidzialnego płomienia wypełniał strych. Zakrył usta i nos ręką, ale na niewiele się to zdało. Resztką sił, ostatnim wysiłkiem woli cisnął kolejny granat. Głowa opadła mu na deski. Chciał odsapnąć kilka sekund, ale po chwili spostrzegł, że leży znacznie dłużej.

Tamci wchodzili do środka. Słyszał ich wyraźnie.

– To koniec – wybełkotał, kaszłąc.

Pomagając sobie rękami, doczołgał się do wjazdu przy piecu. Odbezpieczył granat, z trudem uniósł pokrywę i rzucił. Trzask ogłuszył go na dobre. Nie było strzałów i krzyków, tylko dokuczliwy pisk w uszach i mrok przed oczami. Zrobiło się szaro od dymu. Czuł się jak w surrealistycznym, koszmarnym śnie. Ruszał się wolno i niezdarnie. Jak umierająca w potrzasku sarna.

Oparł się na kolbie pistoletu i uniósł obolałe ciało. Nie zauważył nawet, że mało kto już strzela. Chwycił ostatni granat, odbezpieczył go i przycisnął do serca.

Broń skierował w otwór w ścianie i w ostatnim akcie oporu pociągnął za spust. Źle trzymany pistolet skakał, póki nie skończyła się amunicja. „Borys” wyprostował się, jak tylko potrafił. Krzyknął:

– Niech żyje wolna Polska...!

\*

Echo eksplozji dotarło do „Poleszuka”, który przebiegł już dobry kilometr. Obszedł małe jezioro i omijając ścieżki i dukty, biegł co sił. Nie było słychać nic więcej. Zaczął cicho łkać.

\*

Kapitan Barańczak stał na skraju lasu. Przed nim roztaczał się straszliwy widok. W jasnej, żółtej poświacie gorejącego domu zrobiło się widno jak w dzień. Żar był tak wielki, że musiał osłaniać twarz dłońmi. Kilka nieruchomych ciał zaścieliło podwórze, poorane lejami po granatach i wypełnione błyszczącymi mosiężnymi łuskami.

Żołnierze odciągali rannych jak najdalej od tego piekła. Jedni byli spokojni, inni łkali albo jęczeli umazani krwią wypływającą z poszarpanych kończyn.

Reszta stała jak zahipnotyzowana, gapiła się w utopiony w ogniu, drewniany dom, jakby nie dotarło do nich, co właśnie przeżyli. Tylko niewielu brało udział w walkach w tak zwanym utrwalaniu władzy ludowej. Większość zaczęła zaszczytną służbę w doborowych i wiernych formacjach bezpieczeństwa dopiero w tym roku.

Barańczak nie mógł pojąć, co widział. Był przekonany, że w środku jest najwyżej trzech ludzi, a tymczasem musiał toczyć bitwę. Podporucznik KBW przeszedł obok i rzucił mu przerażone spojrzenie, nie próbując nawet składać meldunku. Jeszcze nie doliczył się strat.

Barańczak odwrócił głowę, udając, że się nie boi. Stał, nie wiedząc, co dalej. Jeśli ktoś zdołał

uciec, to był daleko. W tym rozgardiaszu, kakofonii krzyków, przekleństw, jęków i trzaskających płomieni nie był w stanie zorganizować pogoni. Na ormowców też nie mógł liczyć. Po takiej kanonadzie był pewny, że żaden z nich nie odważy się wyjść poza ciepłą, zarekwirowaną kwaterę w przysiółku. Co najwyżej nakłamią, że niczego nie widzieli podczas obstawiania okolicy. Zresztą przysiółki przyjdzie ukarać za to, że nikt tam nie meldował o bandzie.

– Dali nam do wiwatu – przyznał niechętnie oficer UB. Już dawno nie widział podobnej akcji. Z dala, poprzez chaos dźwięków, doszedł go gang wojskowego łazika. Odwrócił się, by nie patrzeć na chylący się ku ziemi, bijący żarem dom. Szofer Gaza sowieckiej produkcji, nie bacząc na człapiących i leżących rannych, podjechał niemal pod sam płot. Barańczak przełknął ślinę i odruchowo wygładził płaszcz, kiedy w łunie ognia dostrzegł majora Zarotkina, siedzącego na miejscu pasażera.

O tej akcji informował szefa bardzo pobieżnie, chcąc, w razie sukcesu, zgarnąć dla siebie nieco pochwał i nagród. Jednak nie zdziwił się zbytnio obecnością czekisty, bo jasne było, że ktoś, lub nawet kilka osób, w jego departamencie skrupulatnie opisuje towarzyszący, co porabia kapitan Barańczak. Podobnie zresztą on sam dzielił się spostrzeżeniami z naczałstwem w lubelskim UB. Mimo to obecność majora na pierwszej linii nie była czymś normalnym.

Sowiec od razu wypatrzył Polaka. Wysiadł z auta, ubrany w cywilny jasny płaszcz zapięty pod szyją.

– Barańczak, psi chuju! – zawył tak, że wszyscy, którzy byli w pobliżu, umilkli i spojrzeli na kapitana UB ze strachem w oczach. – Co wy, kurwa, za dywersje uprawiacie?! – wydzierał się Zarotkin tak, że jego szeroka twarz cała się trzęsła.

Barańczak stanął na baczność, kładąc ręce przepisowo na szwach spodni i unosząc lekko głowę.

– Melduję posłusznie, towarzyszu majorze...

– Swojej babie melduj! – Nie przestawał pieklić się Sowiec. – Mieliście robić kocioł. Czekać, aż wpadnie ich więcej. A wy co?! Za dużo macie ludzi?

Barańczak dostrzegł kątem oka, że żołnierzy wokół niego jakby ubywało. Pierzchali przestraszeni wybuchem sowieckiego „doradcy”.

– Po to wymyślamy ten plan, prowadzimy operację, żebyście go spierdolili?! Co, ja się pytam, za dyrektywy nam dali? Płotek, kurwa mać, nie ruszać, bo to bez sensu... – Zarotkin chciał powiedzieć coś jeszcze, ale głucha eksplozja wstrząsnęła lasem.

Wszyscy pochylili głowy. Dom się zachwiał i zaczął zapadać do wnętrza. Kiedy pierwsza belka upadła, kolejny wybuch zniszczył nadpaloną ścianę. Echo poniosło przeraźliwy hałas.

To ostudziło nieco nerwy Rosjanina. Barańczak uznał, że nadszedł dobry moment, by móc się wytłumaczyć.

– Pozwólcie zameldować... – powiedział służalczo. – Informacje były precyzyjne. Świeże. Czekaliśmy na szefa bandy...

Zarotkin go nie słuchał, tylko jak zaczarowany patrzył w płomienie.

– Liczyliśmy, że tu będzie. Niestety, nie pojawił się...

– I jakiś dureń zaczął strzelać. – Zarotkin był naprawdę bardzo dobrze poinformowany.

– Tak jest – przyznał niechętnie Barańczak, czekając na kolejną porcję wyzwisk.

„Oj, niech ja dopadnę tego bydlaka, który to wszystko spierdolił... A dopadnę!” – przeszło mu przez głowę.

– No dobrze. – Zarotkin odwrócił się w końcu. Założył ręce na plecy. Jego głos nieco złagodniał. – Szkoda tylko tego wszystkiego. Plan był dobry. Informacje też. Szkoda, psia nędzka. I stra-

ty spore. – Wskazał na kilku obandażowanych funkcjonariuszy, prowadzonych przez kolegów w kierunku ciężarówek.

– Ano szkoda – przytaknął kapitan, choć jego martwiła bardziej ta pierwsza część. Informacje, teren, ludzie. Tyle pracy operacyjnej, szukania, czekania po krzakach. Żeby powtórzyć to wszystko, potrzeba będzie dużo czasu.

– Dzisiaj wieczorem, jak byliście w terenie, przyszedł rozkaz – zmienił temat Zarotkin. – Nie wiem, o co chodzi, Barańczak – ciągnął tajemniczo. – Pewno nie o to. – Wskazał za siebie na zgliszcza, chcąc być uszczypliwym. – Wzywają was do stolicy – oznajmił oficjalnie, prostując plecy.

– Co? – Barańczak nie bardzo rozumiał, co to znaczy. – Czemu?

Rosjanin poklepał go po ramieniu, widząc malujący się strach na jego twarzy.

– Nie bójcie się. – Świetnie udał z troskanie. – Jest do was poważna sprawa. Za trzy dni, czy jakoś tak, macie się stawić na Koszykowej.

Barańczak szukał w głowie powodów, dla których mieliby go wzywać do centrali. Do siejącego nieopisany lęk Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Nic jednak nie przychodziło mu na myśl. Wszystkie zadania wypełniał niemal perfekcyjnie. Kontrole wewnętrzne jego sekcja i cały wydział przechodziły na piątkę. Nikt nie czepiał się agentury, informacji, wyników, wydatków. Z tego ostatniego był szczególnie dumny, bo potrafił, jak wszyscy korzystający z puli operacyjnej, uszczknąć coś dla siebie i ukryć to umiejętnie. Nie było żadnych zastrzeżeń, odkąd przeniesiono go, prawie dwa lata temu, spod Białegostoku do Lublina, co było dlań wielkim awansem w czekistowskiej robocie. Nie odniósł znaczącej porażki, to znaczy takiej, której nie można by było ukryć albo zrzucić na obiektywne trudności.

„Aż do dzisiaj” – przeraził się. „Nie, nie. Myśl, człowieku...” – obsobaczał sam siebie. „Bezpieka działa dobrze, ale niemożliwe, żeby dowiedzieli się o strzelaninie, skoro dopiero się zakończyła. To musiało być coś innego... Awans? Nie, z tym nie ślaliby samego »doradcy« departamentu. Tak czy owak, to coś ważnego”.

Zarotkin albo nie mógł mówić, albo świetnie się bawił, trzymając podwładnego w niepewności i napięciu. Zresztą już kilka razy pokazał, jak wielką radość sprawiają mu takie gierki.

– Tym głównym to ja się już zajmę – oznajmił Zarotkin. – No. Dobrej nocy, towarzyszu kaptanie. Nie powiem, że dobra robota, bo głupio to wyszło. – Zakończył wizytację. Popatrzył jeszcze na dopalającą się leśniczówkę i wsiadł do auta.

Polak został sam, ciągle szukając w pamięci przyczyn nagłej podróży do Warszawy. Nawet nie zauważył, jak KBW, nie czekając na polecenie, rozstawia warty przy zniszczonym domu, który rano, po dopaleniu, trzeba będzie przeszukać.

\*

Spocony „Poleszuk”, powłócząc nogami, doszedł do szosy. Padł na lodowatą ziemię, pokrywającą się z wolna szronem. Z jego gardła wydobywał się chrapliwy, gwiżdżący oddech. Zdawało mu się, że dostał gorączki od niedoleczonej rany, ataku adrenaliny i ogólnego osłabienia. Pot zalewał mu oczy. Myślał, że zaraz skona, ale dobrze wiedział, że nie może dać się złapać. „Borys” poświęcił życie, żeby on mógł uciec. Świadomość tego jakby dodała mu sił. Wstał niezdarne i rozejrzał się wokoło. Na drodze nie było żywego ducha. Po drugiej stronie majaczył w oddali las, ale najpierw trzeba było przejść szerokie pole. Nie był pewny, czy da radę. Czy nogi nie odmówią mu posłuszeństwa.

Wziął kilka głębszych wdechów i uspokoił się. Zagryzł wargi i ruszył w ciemność po drugiej

stronie asfaltu.

\*

Maciej Gładyszak, znany jako „Pielgrzym”, czuł, że jest wyczerpany z energii, otepiały i śpiący. Nie mógł jednak pozwolić sobie na luksus krótkiej drzemki w pełnym ludzi pociągu do Lublina. Ścisk był przeogromny, wcisnął się więc w kąt na korytarzu i ostrożnie lustrował współpasażerów. Byli to głównie drobni handlarze wiozący towar, wiejskie specjały, do Lublina, a może i dalej, do Warszawy.

Zastanawiał się tylko, czemu podróżują o tej porze, praktycznie późną nocą. Zaraz zrozumiał, że pociąg jest mocno spóźniony, a w czasach gdy większość linii kolejowych była ciągle w ruinie, należało się cieszyć, że w ogóle przyjechał. Pewno i ci ludzie mieli zaplanowaną marszrutę, ale jakaś awaria toru czy poniemieckiego parowozu pokrzyżowała im plany, więc jechali, byle do celu, nieważne, o której godzinie. Bo jeden Bóg raczył wiedzieć, kiedy nadarzy się kolejna okazja.

„Pielgrzym” postawił kołnierz płaszcza, bardziej dla kamuflażu niż z zimna, bo w ludzkiej tłuszczy temperatura przyjemnie się podniosła. Cóż z tego, że wagon wypełniła śmierdząca mieszanka środka na mole, bimbrowy, cebuli, mocnego tytoniu i potu.

Próbował nie zasnąć i nie dać się podejść. Ani ubecji, ani złodziejom.

Zaczął analizować od początku wszystko, co powiedział mu Marian. Był przerażony. To mógł przyznać tylko przed samym sobą. Każde spojrzenie w swoim kierunku odbierał niemal jak atak. Przez skórę czuł, że go osaczają. Nieraz już był w opałach. W ogniu bitwy – czy to z Niemcami, czy z Sowietami, w sieci obław. Nie raz i nie dwa kule świszczwały mu nad głową. Trzy razy był ranny, nie liczył, z jak ciężkich tarapatów wyciągał swoich ludzi. Nigdy jednak nie był tak blisko kostuchy jak dziś.

Gdyby nie wezwanie do Lublina, a wcześniej spotkania z informatorem i kurierem w Radzynie, pewnie teraz gryzłby ziemię. Na samą myśl o tym wzdrygnął się tak gwałtownie, że siedząca obok baba spojrzała na niego jak na szaleńca. Ukrył twarz za kołnierzem i oparł głowę o ścianę.

„Z dziury nie wylaż, w norze najbezpieczniej, panie Maciuś” – kpiący wewnętrzny głos podsunął mu niegłupią myśl.

Pociąg wjechał na dworzec około dziewiątej. Ludzie jak na wyścigi zaczęli pchać się do wyjścia. Wszak autobusy nie jeździły jeszcze z przedwojenną regularnością, a niewielu było stać na taksówkę, trudną zresztą do znalezienia, czy nawet furmankę.

Oficer wyszedł przed wysoki budynek dworcowy. Oparł się o załom muru tuż obok wejścia i zapalił papierosa. Zaciągał się dymem i uważnie obserwował ludzi tłoczących się na przystanku przy ulicy Dworcowej. Baby z tobołkami, faceci w połatanych jesionkach i czapach tak grubych, jakby zanosilo się na ciężką zimę. Jechali tu na handel, do rodziny, szukać pracy albo i wszystko naraz.

„Pielgrzym” nie dostrzegł nikogo podejrzanego. Ani tu, ani po drugiej stronie ulicy. Miasto spało, wydawało się wyludnione. Kilka latarni rzucało słabe światło na poszarzałe, biedne kamienice. Przymrozek zaczynał szczypać go w nos.

Długi, ciemny kadłub autobusu linii numer jeden wyjechał zza zakrętu. Zawrócił i zatrzymał się przy wysepce przystanku, wywołując wrzawę w tłumie przyjezdnych, którzy wzajemnie oskarżali się o wypychanie z kolejki. Nikt nie chciał zostać na ulicy, a tym bardziej targać swego dobytku aż do Śródmieścia. „Pielgrzym” westchnął ciężko, widząc, że nie ma szansy wpakować

się do środka. Zgasił papierosa, włożył ręce do kieszeni i omijając rozgorączkowaną grupę, ruszył przed siebie. Szybko spostrzegł, że na ten sam pomysł wpadło jeszcze kilka osób opuszczających dopiero dworzec. Ktoś zatrzymał najeżdżające auto i kierowca, najwyraźniej za drobną opłatą, zgodził się podwieźć go pod wskazany adres. „Pielgrzym” nie ufał nikomu i wiedział doskonale ze szkoleń w Anglii i z doświadczenia, że przypadków w tej pracy nie ma. Trzeba być czujnym i zawsze zakładać, że gdzieś z tyłu czają się obserwatorzy.

Musiał uważać zwłaszcza teraz, kiedy wszedł w gniazdo os, zaglądając do pierwszego dużego miasta w zajętej przez komunistów Polsce. W miejsce, gdzie instalowano ten cholerny Urząd Bezpieczeństwa. Urząd i więzienie ciężko pracowały, by utrzymać swoją ponurą sławę, nie tylko w województwie, ale i w całym kraju. Dowodem na to były doświadczenia ostatnich dni.

Nie wybrał najprostszej trasy ulicą Dworcową. Skręcił w prawo. Szedł krzywym chodnikiem, który biegł wzdłuż czarnych od brudu i wilgoci kamienic. Na całej ulicy świeciło tylko kilka pokrzywionych latarni. Pokonał kilkadziesiąt metrów i wszedł do otwartej jeszcze, śmierdzącej moczem i stęchlizną bramy. Znowu zapalił papierosa, choć wcale nie miał na niego ochoty.

Trzymając bibułkę między palcami, zerkał w ciemność. Szukał ogona i najmniejszego ruchu na swej trasie. Jakiś starszy, przygarbiony jegomość obciążony sakwożażem minął kamienicę, ale nawet nie zwrócił uwagi na „Pielgrzyma”. Zniknął za rogiem. Maciej odczekał, aż papieros się dopali, sprawdzając, czy to nie podstęp i czy do jednego tropiciela zaraz nie dołączy kolejny. Uznał w końcu, że droga jest wolna. Było pusto i niemal zupełnie cicho. Gdzieś w oddali zamiauczał kot, a od Dworcowej doszedł go odgłos ciężko pracującego silnika przepełnionego autobusu.

Ruszył w noc. Tutaj, na tej podniszczonej, smutnej ulicy, nie obawiał się bezpieczeństwa, a raczej drobnych rzeźmieszaków i patroli milicji. Doszedł prawie do jej wylotu, kiedy nie wiadomo skąd tuż przed nim wyrósł niski mężczyzna o barczystych ramionach. „Pielgrzym” odruchowo wyciągnął ręce z kieszeni, przybierając pozę rewolwerowca przed pojedynkiem, i dyskretnie rozejrzał się, czy tamten nie ma w okolicy kolegów.

W bladym świetle latarni ujrzał połamany w dwóch miejscach nos wystający spod dużego, brudnego kaszkietu. Chyba dla dodania sobie „szyku” mężczyzna nosił na szyi coś na kształt apaszki. Wyglądało to dość komicznie, zwłaszcza w porównaniu z jego przykuszą marynareczką i wypchanymi spodniami.

– Pan szanowny zechce powiedzieć, która godzina – zagadnął, niby uprzejmie, nosowym głosem nieznajomy. „Pielgrzym”, zanim zdążył cokolwiek pomyśleć, dostrzegł ruch w ciemnej plamie wnętrza kolejnej bramy, po swojej lewej stronie.

„A więc to tak. Ci też chcą mnie załatwić czy tylko opędzlować?” – rozważał prędko.

Zbir z pokrzywionym nosem nie usłyszał odpowiedzi, więc skinął lekko na swoich kompanów. Podeszwy zaszurały na chodniku i z cienia wypełzło dwóch podobnych do siebie niczym bliźniacy „dzentelmenów”.

Obaj mieli naciągnięte na oczy cyklistówki i, podobnie jak ich wódz, przyciasne marynarki z za krótkimi rękawami.

– No to jak będzie, szefuniu? – spytał szef grupki i spokojnie sięgnął do kieszeni spodni. Wy dobył z niej składany nóż albo jakiś scyzoryk – „Pielgrzym” nie potrafił dostrzec w mroku. Szybko przestał bawić się w konwenanse.

Nie tacy zastawiali mu drogę. Jego usta lekko drgnęły, jakby powstrzymywał śmiech. Zbir z nożem najwyraźniej dostrzegł ten grymas, bo zmarszczył czoło, nie rozumiejąc reakcji swej, jak sądził, ofiary. Spodziewał się, zbędnych w tych okolicznościach, negocjacji albo błagań o li-



tość. „Pielgrzym” tylko rozpiął dwa guziki płaszcza, którego poły rozwiały się, kiedy wiatr dmuchnął jak na zawołanie, dodając scenie dramatyzmu.

Zbir nic z tego nie rozumiał i nie bardzo mu się to podobało. Nie mógł jednak stracić twarzy przed kumplami. Nabrał powietrza, jakby nurkował, i rzucił się z nożem na „Pielgrzyma”, jednocześnie pochylając do przodu. Gładyszak sprawnie uchylił się na bok. To jeszcze bardziej rozgniewało nożownika. Powtórzył ruch, ale Maciej łatwo to przewidział. Odskoczył, coraz bardziej rozbawiony nieporadnością bandziora. Błyskawicznie zerknął za ramię. Pozostali dwaj też dobyli oręża, na które złożyły się nóż lub bagnet i żelazna gazurka. Nie włączali się jednak do bitki, dając swojemu szefowi pole do popisu.

Ten, niezłe już wkurzony i nabuzowany, zakończył nieudolne szermiercze popisy i zamachnął się porządnie nożem, celując w pierś swej ofiary. „Pielgrzym” nie zasłonił się jednak. Podskoczył bliżej, szybko pochwycił nadgarstek napastnika i wykręcił mu rękę. Nóż z brzdękiem spadł na chodnik, kiedy bandyta wił się w bólu.

– Puuść... – wybełkotał, wiedząc, że jeszcze jedno szarpnięcie i kość trzaśnie. – Puść – powtórzył głośniej, zły sam na siebie, bo on, chłopak z Bronowic, nigdy nikogo o litość nie prosił.

Jego kamraci, zszokowani tym, co zobaczyli, dopiero teraz postanowili ruszyć mu z pomocą. Niższy zamachnął się rurką.

– Puszczaj go! – krzyknął.

„Pielgrzym” zrobił szybki zwrot, osłaniając się ciałem napastnika niczym tarczą i zadając mu jeszcze większy ból. Sięgnął pod płaszcz i w jego wyciągniętej ręce załśniła lufa Visa wycelowana w nos bandziora trzymającego uniesioną nad głową rurę.

– No co jest? Dalej – zaproponował z kpiną w głosie.

– Puść. Rękę mi chyba złamałeś. Rękę... – jęczał żałośnie herszt bandy. Napastnik stojący naprzeciwko z rurką w dłoni cofnął się o krok i począł ostrożnie opuszczać rękę.

– Będziecie grzeczni? – zapytał oficer. Wydawał się całkowicie spokojny. Działał, używając wyuczonych i przećwiczonych odruchów, nie myśląc już o tym, z kim walczy.

Kolejny raz udowodnił sobie, że lata walki wypaliły go do cna. Że nie czuje prawie żadnych emocji. Nieważne, czy siłuje się z bezpieczeńką, czy z bandytami. Przemoc była dla niego tak naturalna jak oddychanie. Wprawił się w niej, doszedł do poziomu mistrzowskiego, choć dawno już mu spowszedniała i – tak naprawdę – zbrzydła. Potrafił zabić bez mrugnienia okiem, ale nie chciał robić tego bez powodu. Chyba że coś by zagrażało jego ludziom. Ostatnim z wiernych, jacy przy nim wytrwali.

– Będziemy. Będziemy grzeczni – odparł rurkarz, odpowiadając za szefa. „Pielgrzym” puścił wykręconą rękę nożownika.

– Przepraszamy... Nie... Nie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia, panie oficerze. – Przywódca bandy rozmasowywał ramię.

„Pielgrzym” zastanawiał się, za oficera której formacji go biorą. Milicjanta, ubeka czy może rozpoznali, że on z „leśnych”. A może po prostu każdego człowieka z bronią uważali za przedstawiciela władzy, bez względu na stronę i mundur?

Ten z połamanym nosem wstał wolno i uklonił się, trącając daszek czapki palcem. Dał znak swoim i cała trójka zniknęła bez słowa, tak szybko, jak się pojawiła.

Maciej pokręcił głową z niedowierzaniem i schował pistolet, wtykając go za pasek spodni. Popatrzył po ciemnych oknach. Jeśli ktokolwiek obserwował to zdarzenie, ukrywał się w mroku. Spojrzał na zegarek. Był spóźniony, a na uliczną bójkę stracił nieco czasu. Nie miał też pewności, czy ktoś nie zaalarmował milicji. Zapiął płaszcz i ruszył do końca ulicy. Skręcił w lewo,

w Świerczewskiego. Szedł pustą, otoczoną młodymi drzewkami drogą wznoszącą się pod górę. Po lewej mijał park, na szczęście pusty o tej porze. Ulicą też nikt nie jeździł i nie chodził. Po kilku minutach był na Narutowicza. Stał przy drzwiach najbliższego domu. Rozglądał się chwilę, nabierając siły. Cisza. Nikogo na chodnikach. W domach tylko kilka palących się lamp.

Część latarni również nie świeciła. Wśród szarych kamienic niewiele można było dostrzec. Maciej mógł czuć się w miarę bezpieczny. Mimo to nie miał zamiaru ryzykować. Znał paru ludzi, którzy kiedyś poczuli się zbyt pewnie i przez to marnie skończyli. Ruszył w Lipową, co rusz sprawdzając w witrynach zamkniętych sklepów, czy nie odbijają się w nich sylwetki ewentualnych prześladowców.

W końcu natknął się na patrol milicyjny. Funkcjonariuszy rozpoznał już z daleka po okrągłych czapkach. Dосkoczył do jakiejś furki przy ogrodowym parkanie i ukrył się za nią, czekając, póki nie przeszli. Potem ruszył szybkim krokiem pod cmentarz. Wszedł w Okopową i wąskimi ulicami, nieco okrężną drogą, wrócił na Narutowicza. Stał na rogu. Wyglądało na to, że jest spokojnie.

Ruszył prędko w stronę Krakowskiego Przedmieścia, licząc numery na szarych kamienicach. Wypatrzył z oddali 48 i skręcił do bramy. Klatka schodowa była otwarta. Zszedł w dół, do piwnicy. Cuchnęło, schody skrzypiały. Wyczuł, że nie jest sam, ale nie bał się. Przy takich sprawach musieli ich pilnować.

Trzasnęła zapalka i w wąskim korytarzu zrobiło się jasno od światła świecy.

– Dobry wieczór. – Zza płomienia wyłoniła się blada, łysiejąca głowa czterdziestoletniego mężczyzny. Oczy miał podkrążone, powieki ciężkie, jakby zasypiał. Zdawało się, że szepcze, ale „Pielgrzym” wiedział, że on od wielu miesięcy nie potrafi mówić w inny sposób.

– Cześć, Bazyli. – Maciej podszedł z wyciągniętą dłonią.

– Jak droga? – Pytanie zabrzmiało jak zwykła uprzejmość, a i Maćkowi nie chciało się roztrząsać historii wieczoru.

– Spokojnie – odpowiedział po prostu. – Po co to wezwanie? – Przeszedł do rzeczy. Nie było czasu na czcze pogaduszki. Oparł się o brudne cegły i sięgnął po papierosa.

Bazyli odłożył blaszany świecznik na podłogę i sam wyciągnął paczkę.

– Rozrabiasz. – Zabrzmiało jak wyrzut. Maciej tylko syknął lekceważąco.

– Partów? – wiedział, o co chodzi, ale wołał się upewnić.

Bazyli wbił w niego wzrok.

– Ratuję ludzi... Zresztą, co to was obchodzi? – Oficer machnął ręką, aż posypał się popiół.

– Wiem, że to nie nasza sprawa. Ale jak ich zdenerwujesz... nie opędzisz się.

„Pielgrzym” zamarł, patrząc na swojego rozmówcę. Czuł, jak po całym jego ciele rozlewała się gorąca fala wściekłości. Wypełniała każdy fragment ciała i niemal zmuszała go do krzyku. Napiął mięśnie, by do tego nie dopuścić, i zacisnął palce na papierosie. Bazyli musiał to zauważyć, bo czekał w milczeniu na odpowiedź.

– Ty myślisz, że co tam się dzieje? – ledwo wykrztusił Gładyszak. – Nie mam pola manewru. Osaczają nas. – Zabrzmiało to tak, jakby wylewał żal. – Najpierw „Oczko”... A teraz...

– Co teraz?

– Mam informacje, że się zasadzają na chłopaków.

– O czym ty mówisz, do cholery? – Bazyli zrobił się czerwony.

– Mówię to, co słyszysz – odburknął oficer, wpatrując się tępo w liche drzwi piwnic. – Mają nas na widelcu, a może ktoś im donosi... Zabijają nas po kolei, amunicji coraz mniej... Pierdolić to! – prawie krzyknął, wymachując rękami.

– „Pielgrzym”, spokojnie... – Bazyli niemal podskoczył, zerkając, czy nikt na klatce nie zareagował. – Ciszej, do cholery. Ty myślisz, że u nas bajka? Gównu – cedził półgłosem. – Zostało nam kilka patroli w terenie. Siatki, kurierzy, wszystko trzeszczy w szwach... – wyliczał jednym tchem zirytowany. – I jeszcze... – Pogładził łysą głowę. – Coś się święci, cholera, coś nam szykują na poważnie. – Głos mu drżał.

„Pielgrzym” otaksował go krótkim spojrzeniem i dopiero teraz spostrzegł, że jego rozmówca nosi długi płaszcz, dziwaczne bryczesy i krótkie, poniemieckie buty. Nie był to ubiór konspiratora. Maciek osunął się na ziemię, schował głowę w rękach i zastygł w tej pozycji, czując, jak pulsują mu skronie.

– A ja głupi... – wysapał – ...myślałem, że coś dla mnie macie. – Dopadł go spazmatyczny, nerwowy śmiech.

– Cicho, do cholery! – Bazyli przystawił palec do ust i znów zerknął w górę schodów.

Przycupnął obok i nachylił się nad uchem Gładyszaka.

– Wezwaliśmy cię, żeby...

W blasku świecy w oczach „Pielgrzyma” zatańczyła iskierka radości.

– ...porozmawiać. Trzeba przeczebrać. Siedzieć cicho...

– Kurwa mać...

– Słuchaj. – Bazyli szarpnął Gładyszaka za ramię. – Robi się niebezpiecznie i to nie kwestia naszego przecucia, ale faktów. Faktów, mówię ci. – Potrząsnął ręką oficera. – Kurierzy nie wracają, w terenie coraz więcej obław. Zdjęli poprzednie zarządy, zdejmą i ten. – Głos zadrżał od tych upiornych wizji.

– Dobrze myślałem, żeby trzymać się od was z daleka... – „Pielgrzym” pozwolił sobie na ironię.

– Może i miałeś rację. – Bazyli skinął głową. – Teraz to nieważne... Chodzi o to... – nakręcał się – ...że jest szansa cię wywieźć. – Zamilkł, patrząc na blade oblicze oficera.

– Wywieźć? Dokąd?

– Do naszych, na Zachód.

– Miałbym uciec?... – Błada twarz naraz zrobiła się purpurowa, co było doskonale widać nawet w nikłym świetle. – Miałbym stąd spieszyć? – „Pielgrzym” aż zazgrzytał zębami.

– Miałbyś wyjechać, a jak zacznie się coś na poważnie dziać, to wrócisz.

– Ty chyba... wy chyba żartujecie... co się ma zacząć? Ile lat się zaczyna? – Oficer zerwał się jak oparzony i zaczął krążyć wokół swojego rozmówcy, szarpiąc się za włosy.

Bazyli zamilkł. Wiedział, że musi dać ochłonąć Gładyszakowi.

– Co z ludźmi, co z nimi? Co im powiem?!

– Spokojnie. Ilu masz?

Oficer nie zrozumiał.

– No, ilu masz ludzi? – Bazyli powtórzył pytanie.

– Będzie... czternastu. Razem ze mną. Ale dziś ma być obława... Ja muszę... Kurwa, nic nie mogę zrobić! – „Pielgrzym” skrył głowę w dłoniach.

Bazyli patrzył na niego w milczeniu. Niewiele mógł poradzić.

– Jeszcze nic nie wiadomo, ale sam widzisz. – Opadł na posadzkę i oparł się o mur. – Było was dwudziestu. Dwudziestu – powtórzył ciszej, podniósł głowę i zmrużył oczy, jakby w ciemności pojawiły się duchy i jego ludzi. – Wszystkich nie uratujesz. Są doświadczeni, poradzą sobie. Nie muszą iść do piachu – mówił cicho. – Za to ty jesteś jak cierń w oku. Nie darują ci, wiesz dobrze. A przecież możesz się przydać...

Maciej uniósł głowę, ale nie potrafił wykrztusić słowa. Jeszcze niedawno, słysząc coś takiego, zareagowałby ostro, teraz nie miał na to sił. Co gorsza, prawie się poddał.

– Muszę zabrać, ilu się da – wyszeptał. – Jak najwięcej uratować. – Wyprostował się. Oczy zasły mu mgłą, wzrok przypominał spojrzenie obłąkanego.

– Jasne, „Pielgrzym”, jasne. – Bazyli pocieszał go dla zasady, choć doskonale rozumiał, że oficer niewiele pojmuje. – Ilu się da. Ale nie dziś, nie jutro. To musi potrwać. Mamy jeszcze swoich ludzi, naszych kurierów, ale to wymaga czasu, rozumiesz? Musisz... musicie dotrwać. Zniknąć, zamelinować się i czekać na rozkaz.

„Pielgrzym” milczał, gapiąc się w ścianę naprzeciwko, jakby popadł w jakiś trans.

– Żadnych akcji, nawet jak zaczną znów na wsie napadać... Masz odpuścić. Jedno potknięcie i po tobie... a takich jak ty będzie trzeba na wojnie... Z twoim doświadczeniem...

– Po wojnie? – powtórzył „Pielgrzym” stłumionym głosem. – Skoro tak mówisz... – Wstał wolno, zgarbiony, jakby coś wielkiego przyciskało mu barki. – Dziś nie wrócę.

– Nie, nie. Jasne. – Pokręcił głową Bazyli. – Metę masz, ale trochę inną, któryś z naszych zaprowadzi... – Podszedł bliżej, ucisnął dłoń żołnierza na pożegnanie. – Przemyśl to, uspokój chłopaków. Wy naprawdę jeszcze kiedyś się przydadacie. – Kłamał, jakby sam w to wszystko wierzył. ■

## ROZDZIAŁ 5

Od zamrożonej ziemi ciągnęło chłodem. Cienki, letni jeszcze mundur nie chronił dobrze przed pierwszymi mrozami, które nawiedziły stan Nowy Jork i robiły się szczególnie dokuczliwe dla ćwiczącego wojska, kiedy słońce kryło się za okalającymi jednostkę wzgórzami.

Jednak Charliemu „Greenmanowi” Zielinsky’emu wcale to nie przeszkadzało. Rozpierała go energia, a krążąca szybciej z podniecenia krew grzała lepiej niż cokolwiek innego. Leżał mocno wtulony w kolbę karabinu M1 Garand i był pewny, że tworzy z tą bronią jedną, idealną całość. Krótko obserwował kiwające się na wietrze młode, pozbawione liści drzewka rosnące za kulochwytem. Musnął delikatnie pokrętko celownika i był gotów.

Za sobą miał cały pluton szkolny, przyszłych podporuczników Gwardii Narodowej stanu Nowy Jork, którzy niecierpliwie czekali na rezultat strzelania. Zerkali raz to na odległą o pięćset metrów tarczę, raz na Greenmana, nowego bohatera jesiennego kursu dla oficerów rezerwy. Nie było lepszych od niego. Niektórzy się do niego zbliżali, ale nie potrafili prześcignąć. Zielinsky, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, przy tylu równych mu wiekiem, choć nieco lepszych fizycznie, spodziewał się przeciętnych wyników. Tymczasem był najlepszy w strzelaniu, w teorii taktyki, w czytaniu map. Nieco gorzej szło mu z naukami ścisłymi, no i początkowo także z ćwiczeniami.

Jego pluton składał się w stu procentach z nieopierzonych młokosów lub raczej „studenciaków”, jak zwykł ich nazywać pod nosem Karol. Była to zbieranina absolwentów różnych uczelni Nowego Jorku, którzy spóźnili się na wojnę, naoglądali filmów, odczytali wojennych książek i teraz nadganiiali stracony czas, idąc na kurs po oficerskie dystynkcje.

Tu, w forcie ukrytym między zalesionymi wzgórzami, było widać wyraźnie, że Ameryka zapomniała już o wojnie. Obniżono limity amunicji i liczbę pojazdów. Wyposażenie kursantów pamiętało czasy walk we Francji, tylko Karol nie miał pewności, podczas której wojny było tam użyte. Na każdym wykładzie o nowoczesnych doktrynach strategicznych ciągle podkreślano, że głównym motorem walki będzie lotnictwo i bomba atomowa, a armia w dawnym wydaniu to już przeszłość. W kilka lat siły zbrojne zaczynały obumierać.

Pierwszy pluton ćwiczebny nie był jednak równie nierozważny jak decydenci w Waszyngtonie, by wierzyć w nierealne historie instruktorów zbyt młodych, by mogli przerobić je na własnej skórze, i wytyczne o słabnącej roli piechoty. Greenman został dowódcą drużyny szkolnej i przypomniał sobie czasy, gdy musiał szykować młokosów na wojnę.

Pluton zakończył strzelanie z dość dobrym wynikiem. Pilnujący ich sierżant nie mógł jednak uwierzyć, że w tarczy Greenmana kule wchodzą tak dobrze. Kiedy wszyscy skończyli, wydał Karolowi pojedynczy ośmionabojowy ładownik i rozkazał:

– Strzelaj!

Greenman tylko się uśmiechnął i z największą przyjemnością przyjął wyzwanie.

Leżał teraz skupiony, z okiem przy celowniku. Sierżant, w swym garnizonowym hełmie z fibry, klęczał obok, nie odrywając lornetki od twarzy.

Karol nabrał powietrza, kiedy spostrzegł że wiatr nieco osłabł. Palcem przesunął po języku spustowym i opuszką pogłodził sam jego spód. Pociągnął, aż przestał czuć opór, i wtedy zaciśnął palec. Lufa podskoczyła. Kolba jak zawsze uderzyła w ramię ze sporą siłą. Mimo że ziemia była zmrożona, uniósł się niewielki obłoczek kurzu. Łuska z brzdękiem odbiła się od jego heł-

mu. Nie miał pojęcia, jak mu poszło. Uznał, że dobrze, bo klęczący obok sierżant aż cmoknął. Karol odczekał chwilę i znowu pociągnął za spust. Druga łuska spadła tuż obok. Trzeci strzał, zaraz potem czwarty.

Opróżnił połowę ładownika. Wziął kilka wdechów i skierował wzrok na niebo, żeby oczy nieco odpoczęły. Przycisnął mocnej karabin i strzelał dalej.

Ładownik razem z wypaleniem ostatniego pocisku wypadł na ziemię, wieszcząc koniec amunicji.

Greenman wstał wolno, nieco odrętwiały. Pokazał otwarty zamek sierżantowi.

– Rozładowana – zakomunikował, ale podoficer w hełmie nic sobie z tego nie robił, tylko patrzył dalej w tarczę.

– Cholera jasna. – Odsunął lornetkę i wstał w końcu. – Cholerny farciarzu. – Uśmiechnął się z uznaniem. – Dwie dziesiątki, trzy dziewiątki, reszta ósemki – zwrócił się podniesionym głosem do plutonu.

Kilku chłopaków gwizdnęło, jeszcze inni wyciągnęli kciuki. Karol nie był zachwycony, bo doświadczony strzelec nie uznałby tego za wybitny rezultat, ale studencikom i sierżantowi niewiele było potrzeba do szczęścia.

– Cholernie dobra spluwa. – Greenman speszony podniósł Garanda w geście triumfu.

– Jak tu pracuję... Kurczę! Dobra robota! – Sierżant klepnął Zielinsky'ego w rękę, jakby sądził, że tak dobre wyniki to efekt jego metod szkoleniowych.

\*

„Poleszuk” podskoczył zlany potem. Jeszcze huczało mu w głowie od koszmaru. Snu, który często go nawiedzał. Upiornego wspomnienia powstania, zawalonej kamienicy, krzyków i liżącego jego ubranie ognia. Trząsał się z zimna. Nie od razu przypomniał sobie, gdzie jest. Rozejrzał się. Leżał w stodole, na sianie, a naprzeciwko niego, w otwartych na oścież drzwiach, przez które wpadało mroźne powietrze, stał jakiś chłop. Oślepiiony nie widział dobrze jego twarzy pod czapką, tylko jasny kożuch bez rękawów, poniszczone stare spodnie i wysokie buty.

– No, panie żołnierzu. Wstaliście – odezwał się niskim głosem nieznamy.

„Leśny” odruchowo sięgnął po pistolet, ukryty gdzieś w kieszeni.

– Spokojnie, panie żołnierzu. – Chłop wyciągnął rękę. – Nie boi się pan. Tu swoi.

„Poleszuk” na moment się zawahał. Trzymał broń przy sobie, ale nie wycelował.

– Mój najstarszy też był w lesie, w NSZ-ecie. Ja wiem, co to znaczy. – Głos chłopca zrobił się smutny. – Nie budzili pana i nie zabralim do chałupy, żeby reszty dzieciaków nie straszyć. A i miejsca mało. Znalazłem pana rano i tylko okryłem sianem i kocem. – Wskazał na ciemny materiał na nogach chłopaka. – Musiałeś pan daleko iść. – Ostrożnie wszedł do stodoły.

„Poleszuk” rozglądał się nerwowo.

– Gdzie jestem?

– Kolonia Komorowy, panie. Wiecie, gdzie to?

Chłopak pokręcił głową.

– Bydzie z dziesięć kilometrów do Radzyna, w te stronę. – Chłop pokazał gdzieś za siebie ręką.

Żołnierz osunął się na miękkie siano, czując, że słabnie.

– Ile ja przeszedłem? – jęknął.

– Nie wiem, ile przeszedliście i skąd idziecie, przed kim uciekacie. Wiem tylko, że nocą gdzieś ponoć strzelanina była. Zdaje mi się, że macie dość i chybaście chorzy. – Rolnik zmienił temat

i podszedł do chłopaka.

Kucnął obok. „Poleszuk” dopiero teraz zobaczył jego wąskie oczy, świecące na ogorzałej i pomarszczonej, zniszczonej życiem twarzy. Wydawały się szczere. Chłop uśmiechnął się szeroko, ukazując podniszczone zęby.

– No, nie bójcie się – powiedział ciepło. – Mojego syna komuna zatłukła. – Coś błysnęło w kąciku jego oka. – To i ja muszę pomagać takim, co z nią wojują. Bierzcie ten majdan. – Przetarł małą łzę i wziął głęboki haust powietrza. – Ogrzejecie się przy piecu. Zjecie, umyjecie się. W domu w nocy was nie przetrzymam, bo rodzina duża, dzieci, żona i matka. I mogą szukać... – dodał ciszej. – Ale tak wam wymoszczę tutaj, że będzie lepiej niż w pałacu i nigdy was te psie syny nie znajdą. Podleczy się was, bo wy słabi, a potem... Potem się zobaczy. – Wstał i podał rękę chłopakowi, pomagając mu się podnieść.

„Poleszuk” nie protestował, kiwnął głową i też się uśmiechnął.

\*

Eleganckie, odnowione i czyste elewacje starych willi kontrastowały z szarzyzną krótkiego listopadowego dnia. Drzewa rosnące w ogrodach i pobliskim lesie stanowiły wyraźne tło dla piętrowych domów, ozdobionych kolumnowymi tarasami oraz balkonikami i otoczonych żywopłotami. Nawet prosto ułożone i schludne chodniki wyglądały lepiej w tym ukrytym za wysokim płotem, chronionym małym miasteczku.

Zardow stał cały rano przy oknie i nawet kiedy prowadził rozmowę, nie mógł napatrzeć się na uliczki rządowego ośrodka mieszkalnego w podwarszawskim Konstancinie. Tutejsi mieszkańcy pławili się w prawdziwych luksusach. Zajmowali najpiękniejsze wille i domy ze wszystkimi wygodami, nieosiągalnymi dla przeciętnych zjadaczy chleba. Mieszkali tu członkowie władz PPR, rządu, wyżsi oficerowie bezpieczeństwa i – co ważniejsze – pracownicy sowieckiej ambady oraz oddelegowani do nadzoru nad polską kolonią oficerowie MGB i GRU.

Mogli liczyć na własne kino i darmową stołówkę zaopatrzoną stokroć lepiej niż najwykwintniejsza warszawska restauracja. Co bardziej istotne, wszyscy byli tu razem, sprawy partii i kraju można było omówić przy okazji sąsiedzkiej wizyty, bez obawy o utrzymanie tajemnicy i bezpieczeństwo. To ostatnie najważniejszym osobistościom czerwonej przybudówki ZSRR, zwanej na razie jeszcze nieoficjalnie Polską Ludową, gwarantowała specjalnie wzniesiona wartownia i długi na wiele kilometrów szczelny, pilnowany dniem i nocą płot.

Major Stiepan Zardow nie pogardziłby przydziałem niewielkiego domku lub nawet małego mieszkanka w tej okolicy. Och, jak mu się tu podobało!

Jego zdaniem osiedle miało zachodni standard, ale i przy okazji wszystko, co potrzebne, znajdowało się pod ręką. Nigdzie nie trzeba było się ruszać. A że kontrolują, podsłuchują? Cóż to za nowość dla człowieka radzieckiego, i to jeszcze czekisty? Przywykł.

Niechętnie odszedł od wielkiego okna i zasiadł na wysokim, ręcznie rzeźbionym krześle z czarnego drewna, znacjonalizowanej dawnej własności polskich panów. Przerzucił papiery i popatrzył uważnie na członków swojej niewielkiej, acz zaufanej grupy.

Im wyraźniej też służyło świeże, leśne powietrze i wyjazd w tak zwany teren, choćby był on tylko bliską zagranicą. Niektórzy jednak twierdzili, że *Polsza* to już nie żadna zagranica. Każdy oficer marzył o pracy poza Sojuzem. Szczytem pragnień był wyjazd na Zachód, ale Konstancin czy Warszawa też były dobre, lepsze na pewno od ponurych moskiewskich gmachów i ciągłej biedy.

Pomysł z zakwaterowaniem na luksusowym i niedostępnym osiedlu był strzałem w dziesiąt-

kę. Zgodnie z rozkazami Komitetu Informacji działania Zardowa objęte miały być najwyższą klauzulą tajności. Oficjalnie przebywali w Warszawie jako grupa inżynierów, oddelegowanych do zapoznania się z problemami odbudowy kilku mostów.

Zardow, korzystając ze swoich uprawnień, nakazał zmienić miejsce pobytu na bardziej bezpieczne niż hotel Polonia w Warszawie, gdzie nie mógłby spokojnie konferować o właściwych celach swej podróży. W tym chyba jedynym luksusowym przybytku, który przetrwał wojnę i zapewniał jaki taki poziom, roiło się od członków przedstawicielstw dyplomatycznych, którzy w zrujnowanej polskiej stolicy nie mieli szans na własną siedzibę.

Zardow nie chciał też wprowadzać zamieszania w ministerstwie na Koszykowej ani w sowieckiej ambasadzie. Lokalów konspiracyjnych w zburzonym mieście niemal nie było. Na prośbę oficera przydzielono im więc jeden z domów gościnnych w rządowym obiekcie.

Pokój w willi wypełniał półmrok, rozjaśniany tylko światłem chmurnego dnia, wpadającym przez wysokie okna. Zebrani siedzieli w obszernej bibliotece, wypełnionej sięgającymi wysoko sufitu regałami z oprawionymi w skórę książkami z całej Europy. Szara warstwa kurzu była widowym znakiem, że dawno już nikt tych woluminów nie ruszał. W rogu, tuż przy pięknej lampie z bursztynowym abażurem zdobionym motywami roślinnymi, ustawiono dwa fotele – zapewne było to miejsce lektury i spotkań poprzedniego właściciela.

Zardow siedział u szczytu szerokiego, ciemnego polerowanego stołu, wniesionego tu na jego polecenie, obłożony kilkoma teczkami pełnymi przygotowanych materiałów. Jego ludzie byli w dobrych nastrojach – ubrani w zakupione na okazję pracy za granicą ciemne garnitury, po smacznym i obfitym śniadaniu prowadzili luźne rozmowy jak pensjonariusze sanatorium. Major uśmiechnął się pod nosem. Dobra atmosfera była bardzo potrzebna, zwłaszcza kiedy większość znała się od niedawna, a sprawa była trudna i skomplikowana.

Obecny w tym gronie nominalny gospodarz, minister Bezpieczeństwa Publicznego Stanisław Radkiewicz, był wysokim mężczyzną o wąskich ustach i nieco bladej, pospolitej twarzy. Z pozoru niczym się nie wyróżniał i zwykłemu obserwatorowi trudno było dojść, czemu wszyscy tak się go boją. Przecież wiedzieli, że Berman czy Minc są bardziej nieprzejednani i prostolinijni w wykonywaniu zaleceń, a także kolejnych punktów na długiej liście tej trudnej klasowej walki. Trudno było też rozgryźć tę tajemnicę Zardowowi. Dla niego ważniejsze było, że Radkiewicz stawiał się momentalnie, zaraz po anonsie od pułkownika Bezborodowa, „doradcy” przy ambasadzie w Moskwie.

Minister siedział więc razem z nimi, palił, uprzejmie się uśmiechał, opowiadał o sukcesach i planach, nawet bardzo ciekawych. I tylko ciemne bystre oczy uważnie lustrowały wszystkich zebranych, wyłapując każdy gest, ruch i sygnał. Bez dwóch zdań – był z niego najprawdziwszy czekista.

Rozległo się ciche, nieśmiałe pukanie.

– Wejść – rzucił Zardow.

W lekko uchylonych drzwiach pojawiła się szczupła sylwetka podporucznika wojsk wewnętrznych, tak zwanego GUWW, z którego ambasada skierowała kilkusobową grupę do ochrony delegacji.

– Towarzyszu majorze, już jest.

– Dobrze. Proście do środka... A, i przynieście jeszcze kawy – rozkazał Zardow.

Młody człowiek skłonił głowę, otworzył drzwi i skinął dłonią.



Barańczak stał pod ścianą. Zdobiły ją stare obrazy w złożonych ramach, a wokół siebie widział antyki, wysoki zegar i rzeźbę jakiejś kobiety. Zesztywniał cały od stania na baczność i nerwów, które nie pozwalały mu się ruszyć nawet o centymetr, odkąd przywieziono go z Koszykowej.

Zameldował się, gdzie trzeba, po czym prawie z marszu zaciągnięto go do auta i wywieziono pod eskortą do legendarnego rządowego ośrodka. Dla niego – prostego, chłopskiego syna gdzieś z Polesia – wizyta w Warszawie, choć zniszczonej po wojnie, lecz nadal wielkiej i ludnej, była ogromnym przeżyciem. Już sama audyencja w ministerstwie przyprawiła go o bezsenność połączoną z bólami żołądka. Ale kiedy dowiedział się, gdzie go wiozą, mało nie zemdlął. Jeden z ludzi jego obstawy pytał nawet, czy nie potrzebuje lekarza – tak źle wyglądał.

Dom, w którym miał się meldować, był bogaty, wielki, czysty i w ogóle robił wrażenie niemal bajkowego pałacu.

Barańczak zdał płaszcz i broń, spisano jego personalia, wydano przepustkę i jakiś sowiecki oficer poprowadził go dalej. Polak szedł z kołaczącym sercem, tak zaaferowany nerwowym zastanawianiem się, co tu się właściwie wyrabia, że nawet przepych miejsca przestał go zajmować.

Stanęli u drzwi. Pierwszy wszedł Sowiec, zameldował go i zaskakująco uprzejmie powiedział:

– Zapraszam.

Kapitan poczuł suchość w gardle. Zaciśnął pięści i niepewnie przekroczył próg.

Pomieszczenie było przestronne, dość ciemne i pełne książek. Za stołem, na którym dostrzegł jakieś ciastka i karafkę z wodą, siedziało kilku mężczyzn.

„Jak na imieninach” – przyszło mu na myśl.

– Kapitan Sylwester Barańczak, Departament Trzeci Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa... – zaanonsował się sam, wbijając regulaminowo wzrok ponad głowę, jak mu się zdawało, najstarszego szarżę i stopniem, czyli w tym wypadku ministra.

– Jak podróż? – spytał ku jego zdziwieniu człowiek u szczytu stołu z szerokim uśmiechem na twarzy.

Niepewne spojrzenie kapitana powędrowało ku Radkiewiczowi, ale ten tylko patrzył, jakby niewiele miał do powiedzenia, a i mało co go obchodziło.

Za to ten, który się odezwał, robił miłe wrażenie i oficer poczuł się nawet jakby raźniej. Było jasne – to on tu rządził.

– Szkoda marnować czas, więc może przejdźmy do sedna. – Sowiec o okrągławej twarzy poderwał się z miejsca. – Nazywam się Stiepan Zardow. Jestem majorem Pierwszego Zarządu Głównego MGB. – Nie przestawał się uśmiechać. – To są... – Zaczął wskazywać kolejnych zebranych w pokoju. – Kapitan Leonid Borysowicz Aleksandrowski, major Nikita Wasiljewicz Wasiljewski z GRU, porucznik Wiktor Antoniewicz Sudopłat i kapitan Michał Filipowicz Gorozow.

Po dokonaniu prezentacji Zardow rozsiadł się na powrót na swoim krześle.

Nikom nie przyszło do głowy, żeby zaproponować Polakowi miejsce siedzące. Zresztą jedyne wolne było przy ministrze – nie wypadało, żeby jakiś byle młody oficerek siedział obok swego przełożonego. Barańczak w mig pojął, o co chodzi. Dawno przywykł do takiego traktowania przez swoich szefów i *sojuzników*. Z przejęciem, dyskretnie, jak na śledczego przystało, popatrzył po zebranych. Wyglądali, jakby jego obecność popsukała miłą chwilę relaksu i zmusiła ich do powrotu do pracy. Teraz siedzieli oparci o blat, gapiąc się w jakieś dokumenty. Dwóch ćmiło papierosy. Tylko Gorozow bawił się filiżanką i usilnie mu się przypatrywał.

Kapitan poczuł drażniącą obecność małej kropli potu, jaka pojawiła się z tyłu jego głowy.

Ktoś zapukał. Zardow kazał wchodzić i strażnik wniósł trzy dzbanki z gorącą kawą. Zaraz też postawił na stole jeszcze tacę z filiżankami i wycofał się na korytarz.

Major nalał sobie, potem ministrowi. Znow rozparł się w krzesło, delektując napojem. Polak nie bardzo wiedział, jak się ma zachować.

– Wybaczcie. – Zardow odstawił filiżankę. Pastwienie się nad nowym już go chyba znudziło.  
– Wybaczcie, że odrywamy was od zadań, no ale... – Sapnął dramatycznie. – Będziecie nam potrzebni.

– Ja? – Barańczak wymówił to pytanie na głos i teraz dopiero zaczął się trząść.

– Nie musicie wiedzieć wiele, ale teraz podlegacie mnie i moim kolegom. – Zardow powiódł dłonią po zebranych i skinął w sposób, który można by nawet uznać za lekko kpiący, na Radkiewiczza. – Towarzysz minister się zgodził.

Ze strony wspomnianego towarzysza zabrakło reakcji. Wlepił tylko oczy w kapitana i upił łyk kawy.

– Wszystko idzie swoim torem – ciągnął Zardow. – O naszej rozmowie nie wolno wam mówić. Nikomu – uściślił. – Zresztą, co ja wam będę tłumaczyć... Spec jesteście – rzucił od niechcenia marną pochwałę. – Wyście u naszych działali? – Udał, że sobie właśnie przypomniął. – U „leśnych”? Ile?

– Dwa... dwa lata – wystękał Barańczak. Na samo wspomnienie akcji, strzelanin po lasach z grupami Polaków, najazdów na wsie i potwornego czasem głodu zakręciło mu się w głowie. Działał z bandą kryminalistów i frontowców z rozbitych oddziałów, których pod komendę zebrał jakiś komisarz. Bywało ciężko, ale on walczył dla idei. Tak naprawdę, nie jak inni, dopiero po Stalingradzie. Szybko przywykł. Lepsze było to niż Kazachstan albo jakiś lager u Niemca.

– Urodzony we wsi Senniki. – Z mroków wspomnień wyrwał go głos Sowietów. – Zachodnia Białoruś. W trzydziestym dziewiątym prędko wraca z frontu i rzuca się do pomocy przy tworzeniu nowej władzy. Aktywny, zdolny, interesuje się bezpieczeństwem... W roku czterdziestym czwartym w ramach oddziału zwalcza bandy faszystowskie... Potem przeniesienie, awanse i takie tam. No, starczy. – Zardow znow się uśmiechnął. – Resztę znamy. Wróćmy teraz do współczesności. Jeśli będziecie musieli się kontaktować, to tylko ze mną albo z towarzyszem Gorozowem. – Wskazał filiżanką na oficera, który teraz wyglądał jak kot szykujący się do złapania myszy. – No, ja się nagadałem. Starczy. Teraz wasza kolej. – Zardow wyciągnął palec. – Powiedzcie mi na przykład... Coś o oddziale, za którym się uganiacie. Ta banda nas interesuje. Dowodzi nim „Pielgrzym”, tak...? – Zardow podparł głowę na dłoń i wbił w oficera świdrujący, przenikliwy wzrok, zmieniając się w sekundzie z jowialnego, miłego pana w przesłuchującego. Wszyscy w tym resorcie byli do tego świetnie przeszkoleni.

Strużka potu z tyłu głowy Barańczaka była już całkiem spora. Zardow siedział nieruchomo. Robił teraz straszne wrażenie.

– „Pielgrzym”? – zawahał się kapitan. – No tak, „Pielgrzym”...

Przyjemny uśmiech zniknął z twarzy Zardowa.

– Przecież to wasz kolega – zadrwił, nie spuszczać oczu z Polaka. – No, raz-dwa, od początku – zażądał jeszcze surowiej.

– Myślę, że nie jestem przygotowany – zaczął bąkać nieskładnie Barańczak. – Musiałbym zerknąć w materiały, nie byłem...

Zardow kiwnął palcem i kapitan zamilkł, zaciskając zęby.

– Opowiedzcie nam o „Pielgrzymie”. Po prostu. – Powiedział to tak, że wszyscy w pokoju

spojrzeli na majora ze strachem.

Barańczak ledwo wytrzymał wbite w niego spojrzenie. To nie miało być miłe spotkanie przy kawie. Ruscy mogli się silić na sztuczne uśmiechy, a jednak nikogo w tym kraju nie szanowali. Nawet tych, co wiernie im służyli.

– Tak jest! – powiedział po wojskowemu i odetchnął. – „Pielgrzym”, prawdziwa tożsamość nieznana. Posługiwał się nazwiskiem Florian Kasztelan, ale bez wątpienia nie były to prawdziwe dane. – Szybko wyrzucał z siebie informacje, jakby ten pośpiech miał świadczyć o jego zaangażowaniu. – Ustalono, że jest skoczkiem, zrzuconym tu wiosną czterdziestego czwartego roku, czyli w ostatnich już, jak sądzimy, przerzutach dywersantów londyńskich. Z informacji agenturalnych wiemy, że brał udział w powstaniu. Co robił przed wojną i na jej początku, niestety nie ustalono.

Spojrzał na zgromadzonych. Słuchali.

– Został ciężko ranny – mówił dalej. – Potem był przenoszony na kolejne placówki akowskie. Po upadku powstania, podleczoney, dostał się do niewoli, z której jednak szybko zbiegł. Wiemy, że rozkazem dowództwa AK pod koniec grudnia czterdziestego czwartego trafił do Częstochowy. Nie wiemy, w jakim celu, być może był członkiem ochrony dowództwa Armii Krajowej... Nasza agentura ustaliła to wszystko tylko na podstawie relacji świadków.

– Dalej – ponaglił Zardow.

– Podlegał potem delegaturze sił zbrojnych i wywiadowi Andersa, z którym był ściśle związany. Przyleciał do Polski z terenu Włoch. Tworzył tu grupę zbrojną. Jednak podporządkował się rozkazom o ujawnieniu i rozwiązał oddział. Kiedy aresztowaliśmy lub zlikwidowaliśmy dużą część ludzi tej grupy, zniknął. Na terenie Lubelszczyzny pojawił po koniec czterdziestego szóstego. Co robił po rozbiciu grupy, nie wiadomo. Być może kontaktował się z kurierami Andersa, działał w którejś z grup albo próbował szukać kontaktów z Zachodem. Było to trudne, gdyż jest intensywnie poszukiwany, a kontakty z organizacjami są utrudnione. Resort intensywnie je rozpracowywał. – Barańczak wykonał mały ukłon w stronę ministra, ale ten siedział jak kukła i nie reagował.

– Skąd o tym wiecie? – spytał niespodziewanie Gorozow. Barańczak obrócił się w jego stronę.

– To tylko przypuszczenia, towarzyszu kapitanie – odparł zwięźle.

– Dobrze. – Machnął ręką grubas. – Mówcie dalej.

– Od kiedy pojawił się na terenie podległym UBP w Lublinie, działa pod pseudonimem „Pielgrzym”. Próbował nawiązać kontakt z bandami działającymi na naszym terenie.

– Z jakim skutkiem? – włączył się ospały do tej pory major Wasiljewski.

– Prawdopodobnie dotarł do nich, ale nie wiemy, czemu nie podjął współpracy lub bardzo ją ograniczył. Być może z obawy, że poprzez likwidację tamtych grup trafimy na jego trop. Uczestniczył w jakichś spotkaniach z Zaporą, ale nie wiemy, czego dotyczyły.

Usatysfakcjonowany Wasiljewski pokiwał głową i zapisał coś w notatniku. Barańczak przewrwał na chwilę, jakby stracił wątek albo dobierał odpowiednie słowa.

– „Pielgrzym” stworzył własny oddział. Nieduży, ale sprawny. Grupa bojowa „Szczerbiec”.

– Kto wszedł w jego skład? Wiecie? – tym razem zapytał Aleksandrowski.

– Większość członków jego bandy to ludzie przyjezdni, niemający dotąd związków z faszystowską konspiracją na terenie Lubelszczyzny. Być może jego znajomi z dawniejszych czasów. Prawdopodobnie uciekinierzy, skazani na karę śmierci lub fantaisi, którzy myślą, że mogą jeszcze coś ugrać. – Ostatnia uwaga zabrzmiała jak wyciągnięta z propagandowej kroniki.

Barańczak poczuł się bardzo dumny, że wymyślił taką poetycką frazę.

– Chciałbym też dodać, że banda „Pielgrzyma” specjalizowała się w atakach na funkcjonariuszy UB, MO oraz oficerów radzieckich. Próbowali nękać urzędy i transporty sami lub wspólnie z innymi bandami. Pod koniec zeszłego roku ponieśli spore straty w walce z KBW. Sam dowódca jest przebiegły, zna zasady konspiracji i stosuje się do nich do tego stopnia, że nawet jego podkomendni nie wiedzą, gdzie danej nocy śpi. Ba, w ogóle nie wiedzą, gdzie się ukrywa. Ostatnio tylko omal... – Grdyka zafalowała mu na wspomnienie niepowodzenia. – Omal nie odstąpił od tej zasady. – Nabrał powietrza i mówił dalej. – Nie chodzi z obstawą jak inni komendanci. Zwykle sam. W akcji dobrze się maskuje. Co jakiś czas zwołuje odprawy. Zawsze w innym miejscu. Pilnuje się. Jednego z podstawionych agentów, z powiatu, wyszedł i... zlikwidował.

– Skąd tyle o nim wiecie? – Z kąta pokoju doszedł zasadniczy, choć ciekawy głos Gorozowa. Kapitan obrócił się w jego stronę i stanął na baczność.

– Od mojego człowieka w otoczeniu bandy, towarzyszu pułkowniku – powiedział z dumą.

– Coś więcej, jeśli można? – zapytał Zardow i zaczął bębnić palcami o blat stołu, jakby zirytowany, że Gorozow włącza się w rozmowy, zamiast tylko słuchać.

– Pseudonim „Woron”, po polsku – „Kruk”. Zwyczajna praca operacyjna, rozpowszechniona, jak wiemy ze szkoleń i okólników, w innych częściach kraju. Towarzysze radzieccy mieli w tym ogromne sukcesy – dorzucił lizusowsko.

Zardow kiwnął głową, wstał z fotela i znowu podszedł do okna.

– Podstawiliśmy człowieka – tłumaczył rzecz oczywistą Barańczak – który jest przez nas porządnie wyszkolony i ma poważną legendę. Dzięki niemu mamy większość informacji. Wiemy, że „Pielgrzym” jest ostrożny, nie uderza bez przygotowania, choć ostatnio unika walki. Szkoda mu ludzi, broni brak. Zdaje sobie sprawę, że mamy przewagę. Ostatnio przesłuchujemy też jednego z jego zaufanych ludzi, pseudonim „Oczko”, który wpadł w nasze ręce, ale idzie to opornie, mimo intensywnego śledztwa.

– Tyle wiecie o tym „Pielgrzymie”... – wtrącił się Aleksandrowski. – Trzymacie go na smyczy od ponad roku. Czemu nie możecie zlikwidować całej tej bandy?

– Taki mają *prikaz* – odpowiedział nieoczekiwanie minister, bo sprawa dotyczyła jego ogródka. – Resort zlikwidował wielu członków band i nielegalnych ugrupowań dzięki dobrze wyszkolonej agenturze. Uznaliśmy jednak wraz z towarzyszami, że sukcesy są połowiczne. Likwidowaliśmy pionki, nie czekając, aż nasi rozpracują całe siatki powiązań i kontaktów. Od tego roku maksymalnie wykorzystujemy możliwości wprowadzonych kretów. Dobry informator to skarb. Zwłaszcza na tamtym terenie, w północnych powiatach, gdzie jeszcze w styczniu bywało całkiem gorąco. Czyż nie tak, kapitanie? – Uśmiechnął się po raz pierwszy i oparł łokcie na stole.

– Tak jest. Taka praktyka pozwoliła nam rozbić kilka większych band, odpowiedzialnych za duże akcje z zimy. Sam „Woron” kilka razy wystawiał nam ludzi „Pielgrzyma”, ale zdecydowaliśmy się z majorem Zarotkinem nie podejmować działań. Czekaliśmy, co przyniesie nam praca agenta.

Słyszając te słowa, Zardow nieco się ożywił, jakby wyrwano go z głębokiego snu. Barańczak zamilkł. Major przeszedł się po pokoju, udając, że przegląda zgromadzone na półkach książki, i niespodziewanie doskoczył do Polaka.

Kapitan poczuł naraz w nozdrzach nieprzyjemny zapach papierosów, bijący z ust Rosjanina.

– To co wam się odmieniło? – Zardow wlepił swoje świdrujące oczy w twarz wystraszonego Polaka.

– Nie rozumiem – wyjąkał zaskoczony Barańczak, odruchowo cofając głowę.

– Mówicie, że mieliście rozkazy, a tu co? Próbowaliście go załatwić?

Barańczak zdębiał. Wiedział, że informacje o akcji na leśniczówkę dojdą do Warszawy, ale nie sądził, że nastąpi to tak szybko. Wyprężył się, jakby szykował się na nadchodzący cios.

– Najpierw łapiecie jednego z jego ludzi i urządzacie prowokacyjną strzelaninę w jakiejś dziurze... – Zardow pchnął oficera palcem. – A potem zasadzacie się na niego w jego kryjówce i tracicie kupę ludzi!

– „Oczko” wpadł nam w ręce zupełnie przypadkiem – tłumaczył się gorączkowo Barańczak. – Szkoda było nie skorzystać z okazji, zwłaszcza że wiedzieliśmy już prawie wszystko...

– Wszystko! – Zardow otworzył szeroko oczy. – Wiedzieliście wszystko?! – zapytał groźnie. – A jego kontakty z większymi organizacjami, na przykład z WiN-em, z wywiadami zagranicznymi?

Barańczak milczał, czując, jak w głowie mu się miesza.

– Dotarliśmy... – rzucił machinalnie. – To znaczy wiemy, że chyba kontaktuje się z kimś w Lublinie. Poprzez kurierów albo – rzadziej – osobiście. W poważnych przypadkach.

– Chyba?! Właśnie chyba, Barańczak! – krzyknął Zardow. – Gównu wiecie, a chcieliście zlikwidować bandytę, którego tak ładnie prowadzicie i który może być jak kura znosząca złote jajka. – Chwycił koalicyjkę kapitana i lekko go do siebie przyciągnął. – Masz szczęście – cedził przez zęby, prychnając śliną – żeśmy się w porę dowiedzieli, Barańczak.

Polak zaczął się trząść ze strachu.

– Rozkazuję wam zostawić ich w spokoju i pilnować – syczał Sowiet. – Każda informacja od nich idzie prosto do mnie. Od razu. Ten oddział będzie nam potrzebny. Już niedługo i wasza w tym głowa – pogroził zamaszycie palcem – żeby przetrwali jak najdłużej, Barańczak, jak najdłużej.

Puścił Polaka i nagle rozpogodził się. Znów przypominał dobrego, miłego wujka.

\*

Sala szpitalna była niemal zupełnie ciemna. Okno przykrywał szczelny, gruby materiał zasłony. Tylko na białej ścianie nad łóżkiem odbijało się niezwykle mocne, jasne światło i długie cienie, rzucane przez niecodzienną, niewielką lampę z nałożoną nań, obracającą się jeszcze przed chwilą, spiralną nakładką w czarnym kolorze. Wyglądało to bardziej na dziecięcą zabawkę niż sprzęt medyczny poważnego szpitala.

Profesor psychiatrii Gienadij Korsakow siedział na szpitalnym krześle i pochylał się nad pacjentem. Ten, ubrany w pasiastą pizamę narzuconą na sztywny, gipsowy gorset, sięgający od pasa do brody, podłączony był do kroplówki i wyglądał, jakby spał. To nie była jednak do końca prawda. Profesor z trudem przekonał pacjenta, żeby poddał się niecodziennemu zabiegowi. Wymyślił bajkę o badaniu przyczyn wypadku, któremu uległ jego podopieczny, a którego nie pamiętał. Leczenie amnezji było wszak bardziej zrozumiałe niż skomplikowane i nieznanne eksperymenty.

Profesor musiał się skupić, by zachować należytą uwagę. Jednak polecenia, jakie otrzymał, nakazywały pośpiech. Nieznający się na poważnym zagadnieniu medycznym ludzie żądali szybkich efektów. W tej dziedzinie jednak o zwiększonym tempie mowy być nie mogło. Sprawa była zbyt delikatna, opierała się na zaufaniu na linii pacjent – lekarz. Korsakow znał swojego podopiecznego dopiero kilka tygodni, z czego większość tego czasu wychodził on ze śpiączki. Sowiecki psychiatra musiał wykrzesać z siebie więcej zawodowej empatii niż normalnie, by nawiązać z nim jaką taką więź. I zrobić wszystko, by pacjent chciał współpracować. Jeden fałszywy,

podejrzany ruch i połamany lotnik – jak przedstawiono lekarzowi Amerykanina – mógł stracić do niego zaufanie, a misterna intryga wzięłaby w łeb.

– Jeszcze raz, James – powiedział wyćwiczonym, ciepłym głosem lekarz. Nie potrafił pozbyć się jednak twardego słowiańskiego akcentu. – Podnieś prawą rękę – nakazał uprzejmie, acz stanowczo.

Amerykanin ostrożnie, wolno podniósł ramię.

– Wystarczy. – Profesor zanotował coś na szerokiej kartce pokrytej tabelami.

– Opuść rękę. Wolno – wydał kolejne polecenie. Ręka pacjenta opadała swobodnie na pościel. Profesor przygryzł wargi, zadowolony z małego triumfu, a zarazem niepewny dalszych postępów. Skoncentrował się. Nie mógł dać odczuć lotnikowi, że się waha.

– Unieś rękę. Obie ręce – polecił. – Powoli – dopowiedział.

James znowu wykonał polecenie.

– Odpychaj rękę.

Pacjent, jakby nie bardzo wiedząc, jak wypełnić rozkaz, zaczął wykonywać niezgrabne ruchy ramionami w przód.

Lekarz znowu coś zanotował. Obcokrajowiec wykonał jeszcze kilka podobnych ćwiczeń. Każdy rezultat Rosjanin skrzętnie wprowadzał do dokumentacji.

Kiedy doszedł do połowy tabeli, zrobił krótką przerwę. Teraz miało być trudniej. Podsunął pacjentowi pod nos wyciągniętą z kieszeni fartucha niewielką folię z amoniakiem. James wzdrygnął się i wykrzywił twarz. Lekarz westchnął ciężko i zapisał kolejny wynik. Kilka chwil patrzył na Amerykanina, rozważając, czy nie zacząć od nowa. Wreszcie uznał, że wystarczy.

– Odliczę do zera i się obudzisz – oznajmił. – Pięć, cztery... – Klasnął w dłonie i obcokrajowiec otworzył oczy. Kręcił się niespokojnie na łóżku, ograniczony gipsowym pancernem. Kolejny raz budził się w ciemnym pokoju, nie rozumiejąc, co się wydarzyło, i nie pamiętając nic z ostatnich kilku godzin.

Lekarz wyłączył dziwaczną lampkę i nacisnął włącznik światła. Zrobiło się jasno.

– Jesteś w szpitalu. Miałeś badanie pod specjalną narkozą – powiedział. – Zaraz wrócisz do siebie.

– Co się dzieje? – pytał rozkojarzony James, mrużąc oczy. – Kiedy stąd wyjdę? – dodał głośno, wyraźnie wystraszony. – Czy moja rodzina wie, że tu jestem?

Lekarz słuchał tych pytań setny, jak mu się zdawało, raz. Poskładał swój sprzęt i przystanął przy drzwiach.

– Wyjdiesz, kiedy cię podleczyjemy. Na razie masz odpoczywać. – Nacisnął klamkę. – Rodzina wie i jest informowana na bieżąco – kłamał dalej. – Odpocznij. – Zamknął za sobą drzwi.

Wyszedł na długi, szeroki korytarz poniemieckiego szpitala garnizonowego. Ta część budynku od ponad miesiąca była zamknięta dla innych pracowników tej placówki. Mógł tu przebywać – i w miarę swobodnie się poruszać – jedynie on, autorytet w zakresie psychiatrii klinicznej, oraz mała grupka jego współpracowników i wyselekcjonowani lekarze, dostarczeni tu, podobnie jak Korsakow, ze Związku Sowieckiego.

Bezpieczeństwa, jak twierdzono, lekarzy i pacjenta strzegł specjalny pluton wojska, który obstawiał wejście zewnętrzne do tego skrzydła szpitala oraz samo wejście na oddział. Ci ludzie zajmowali się zaopatrzeniem, strzegli kwater mieszkalnych medyków przydzielonych im w garnizonie oraz eskortowali ich w drodze do pracy.

Oczywistą rzeczą było, że przed nikim Korsakowa strzec nie trzeba. Zwłaszcza pośrodku wielkiej sowieckiej jednostki wojskowej, ukrytej w gęstych lasach, w zachodniej *Polszy*. Tutaj

chodziło o wielką tajemnicę, której częścią był profesor. Przyzwyczał się do tego, bo już kilka lat pracował w tajnych obiektach, prowadząc swoje badania nad podatnością ludzi na sugestię i hipnozę. Zresztą w Związku Sowieckim każda niemal sprawa stanowiła dla kogoś wielką tajemnicę.

Sześćdziesięciodwuletni profesor, chudy i lekko przygarbiony, ruszył mrocznym korytarzem, którego okna zostały zamalowane, w stronę służbówki. Wszedł za róg korytarza, gdy na jego drodze pojawiło się dwóch mężczyzn. Zatrzymał się zaskoczony.

– Towarzysze do mnie? – spytał zdziwiony, pierwszy raz widząc tu ludzi ubranych jak cywile. Nie spodziewał się też żadnych wizyt.

– Major Zardow – odezwał się niższy z nich. – I major Wasiljewski. – Wskazał na swego towarzysza.

– Och, miło mi poznać człowieka, który odpowiedzialny jest za moje tu... – chciał powiedzieć „zesłanie” – ...zainstalowanie. – Profesor uśmiechnął się niewyraźnie i poprawił okulary, metalowe oprawki okularów.

– Tak, to ja. – Ukłonił się Zardow. – Uznaliśmy, że jako wybitny ekspert najlepiej się nadacie do tego zadania.

Korsakow zasępił się na wspomnienie pacjentów, od których go oderwano, nakazując pakowanie i zapowiadając podróż w nieznane, do – jak mu zakomunikowano – arcyciekawego przypadku, który wpłynie na jego karierę.

Dyskusji nie było.

– Tak, tak – wyszeptał nieco zdenerwowany lekarz. – Miło mi słyszeć, że jestem potrzebny. – Wysilił się na uprzejmość, bo ślęczenie w wielkim więzieniu, jak nazywał przed samym sobą ten gmach i jednostkę, przyprawiało go o depresję. – Zapewne jednak towarzysze nie przyjechali tu, żeby dyskutować o moich osiągnięciach? – spytał retorycznie.

– Nie – odparł krótko Zardow i wskazał ręką na drzwi służbowego pokoju lekarza.

Ten, niczym skazaniec, spuścił głowę, włożył pod pachę dziwną lampę razem z plikiem kartek i ruszył ku swemu „apartamentowi”. Chwilę szukał w kieszeni fartucha kluczy. Weszli wreszcie do niewielkiej, nagrzanej kłitki, w której znajdowało się proste ponemieckie biurko z jasnego drewna, nieduża szafa, dwa zużyte krzesła oraz połowa leżanka.

Zardow dokładnie obejrzał pomieszczenie, poczuł też, jak pod grubym płaszczem zaczyna się pocić. Zdjął go natychmiast i bez pytania zasiadł na jednym z siedzisk.

Wasiljewski zrobił to samo, odsuwając się jednak od rozgrzanego kaloryfera.

Korsakow, przyzwyczajony do takiego zachowania, nie protestował i – mimo że pełnił rolę gospodarza – zasiadł na łóżku, opierając się o ścianę i splatające ręce na kolanach.

– W czym mogę służyć towarzyszom? – zapytał niechętnie, szykując się na kolejną reprimendę.

– Towarzyszu profesorze – zaczął Zardow, zakładając nogę na nogę – jak ma się miewa nasz... – Uśmiechnął się. – Przepraszam, wasz pacjent?

– Jego stan niewiele się poprawił pod względem fizycznym – odparł krótko profesor. Patrzył oficerowi prosto w oczy.

Lubił to robić. Wiedział, że jego zleceniodawcy byli szkoleni, by wytrzymać spojrzenie, więc bawił się, wystawiając ich na próbę. W tym miejscu niewiele miał rozrywek.

– Mój, jak to określiliście, podopieczny – referował dalej – odzyskał przytomność. Niestety, jego stan jest nadal dość poważny. Moi koledzy innych specjalności twierdzą, że trochę potrwa, zanim przywrócą mu dawną sprawność...

– Nie o to nam chodzi – niegrzecznie wszedł mu w słowo Wasiljewski.

Był rozgniewany zarówno długą podróżą, jak i wbitym w niego teraz wzrokiem psychiatry. Poza tym potwornie nie lubił szpitali, uznając je – zgodnie z niedającymi się wypełnić przekonaniami jego wiejskiej rodziny – że to miejsca do umierania.

Lekarz nawet nie drgnął i nie opuścił wzroku.

– Chodzi o moją dziedzinę? – zapytał markotnym, znużonym głosem człowieka zmęczonego długimi badaniami.

– Dokładnie. Po to was odwiedzamy – odpowiedział Zardow, też coraz bardziej zirytowany postawą Korsakowa. Mało kiedy widywał ludzi, którzy mieli tyle odwagi, by się przed nim nie ukorzyć.

– Jeśli chodzi o moją dziedzinę, to nie jest najlepiej – zakomunikował głośno Korsakow.

Obaj jego rozmówcy drgnęli, jakby krzesła podłączono do prądu.

– Słucham? – spytał Zardow, lekko się pochylając.

Lekarz tylko wzruszył ramionami.

– Cóż mogę poradzić. Mój podopieczny jest nieźle poturbowany. Do tego ma depresję, tęskni za rodziną i do końca nie wie, co się dzieje. Wypadek lotniczy był dużym przeżyciem...

– Można z nim porozmawiać? Zobaczyć go? – Znowu wtrącił się Wasiljewski.

Lekarz westchnął, słysząc, jak dziesiątki lat badań setek lekarzy psychiatrów chce się zastąpić jedną rozmową z czekistą.

– Towarzysze. – Usiadł na skraju łóżka i przechylił się w stronę oficerów, kiwając z politowaniem głową. – Po pierwsze: już badania szkoły z Nancy, na przełomie wieków, wyjaśniły, że pacjent musi mieć do swojego hipnotyzera bardzo duże zaufanie. W tej kwestii od kilkunastu dni, co i tak uważam za rekord światowy, usiłuję budować więź z tym człowiekiem. – Wskazał palcem na ścianę. – Nie jest to rzecz prosta, ponieważ on rozumie, że znajduje się w czymś na kształt więzienia. Nie wie, co go czeka, ale zdaje sobie sprawę z tego, że znalazł się tu niezupełnie legalnie. Mamimy go obietnicą powrotu do domu, gdy tylko go wyleczymy. Moje zabiegi... tak to nazwałem – zabiegi... mają przyspieszyć jego wyzdrowienie ze względu na ich nowatorski charakter. Tylko dlatego się na nie zgodził. – Przerwał na chwilę, widząc na twarzach swoich gości mieszaninę zakłopotania i bezsilności wobec nieznanymi im metod.

Korsakow podrapał się za uchem.

– Inna z zasad prowadzenia hipnozy mówi, że pacjent powinien być zupełnie zdrowy – tłumaczył spokojnie. – Oczywiście życie weryfikuje reguły. – Uśmiechnął się, widząc, że obaj oficerowie zaczynają rozumieć, że ich założenia trzeba będzie zmienić.

Dostał niemal niesprawnego pacjenta, którego kazano mu przygotować według poleceń MGB, w nieprzyzwoicie krótkim czasie. Takich cudów nie mógł zapewnić nawet wszechpotężny resort bezpieczeństwa państwowego.

– Zasada ta odnosi się – kontynuował – głównie do zdrowia psychicznego, bo z obrażeniami fizycznymi damy sobie radę. Jednak, jak już wspomniałem, nasz gość cierpi na depresję. I tego obejść się nie da – zakończył szczerze, szczęśliwy, że nauka wygrywa z brutalnym nakazem.

Był członkiem WKP(b), gotowym działać na rzecz sowieckiej nauki, uważając ją za najlepszą w świecie, również dzięki jego osiągnięciom, ale pozycja akademika i długi staż pracy nie pozwalały mu godzić się na bezmyślne zarzucanie zwyczajów panujących w jego zawodzie.

Oficerowie siedzieli w milczeniu z łokciami na kolanach i nie wyglądali na zadowolonych. Obaj zastygli w kompletnym bezruchu i tylko wprawne oko psychiatry dostrzegło, jak Zardow zaciska dłoń.



– Ile czasu jeszcze potrzeba? – spytał cicho major, hamując wybuch gniewu. Zaczął nerwowo szukać papierosów.

Akademik siedział chwilę w milczeniu. Zdawało mu się, że wojskowy nie zrozumiał niczego z jego krótkiego wykładu. Nie sądził, że jego opiekun może być aż takim ignorantem. Przecież kończyli tam jakieś szkoły...

– Słucham? – spytał, sądząc, że może pomylił się ze zmęczenia.

– Słyszałeś. – Wasiljewski porzucił oficjalne formy. – W jakim czasie się wyrobisz?

Korsakow wstał, poruszony nagłym przypiływem złości, i uniósł palec do góry. Chciał coś powiedzieć, protestować, ale Zardow wskazał mu łóżko.

– Siad! – Zaraz też zapalił papierosa.

– Tu jest szpital, tu się nie pali – wybełkotał lekarz.

Zardow tylko wyszczerzył zęby i strzepnął ostentacyjnie popiół na podłogę.

– Słuchaj no, towarzyszu profesorze. Chyba nie rozumiesz, jakie jest twoje zadanie. – Puścił chmurę gryzącego dymu w twarz Korsakowa. – Nie przywieźliśmy cię tu, żebyś prowadził jakieś tam swoje badania. To nie klinika w Moskwie czy Soczi, ani łagier na Syberii, gdzie się marnuje czas na badanie wariatów.

– Dostałeś konkretne polecenie – włączył się Wasiljewski rad, że może się odegrać na mądra-li. – Masz obiekt. Masz zadanie i gównu nas obchodzą problemy. Gadali o tobie, żeś najlepszy. A może się pomylili? – Zamilkł, jakby naprawdę zależało mu na odpowiedzi. – Jeśli szybko nie będzie efektów... – Zaczął stukać palcami o blat biurka. – Możliwe... – Uniósł głowę, jakby na suficie szukał tego, co ma powiedzieć. – Możliwe, że nie będzie już pięknego mieszkanka, daczy. Możliwe, że i żonca się pogorszy. Synuś też taki mądry? Oj, to może tą swoją chemią, czy czym on tam się interesuje... zajmie się w nieco zimniejszym klimacie?

– Więc pytamy... – Znowu przyszła kolej na Zardowa. – Ile potrzebujesz czasu? – Wypuścił z ust kłęb papierosowego dymu. – Towarzyszu profesorze – dodał przeciągle, z pogardą.

Korsakow, bladym niczym jego fartuch, skulił się w sobie i zapomniał o hardym spoglądaniu w oczy czekistów. Patrzył w podłogę, ściskając prawą dłoń, która zaczęła mu drżeć. Doskonale wiedział, że to, co usłyszał, jest tak realne jak fakt, że siedzi tu, na tym łóżku. Jednocześnie nie miał wątpliwości, że rezultaty i postępy jego pracy w takim rygorze będą nikłe.

– Pozwólcie, towarzysze... – Zebrał się w sobie i podniósł z biurka kilka kartek z tabelami, które wypełniał podczas badania. – Dziś po raz pierwszy próbowałem zdiagnozować podatność tego lotnika na hipnozę. – Uniósł kartki i puknął w nie palcem dla podkreślenia wagi swoich słów. – Nie można hipnotyzować z marszu – mówił szybko, zdenerwowany. Jego spokój i opanowanie były teraz wspomnieniem. – Trzeba określić...

Oficerowie popatrzyli po sobie znużeni kolejnym wywoodem, ale i dumni, że wystraszyli profesora. Korsakow dostrzegł to od razu i przeszedł do konkretów.

– To jest test stanfordzki. Wersja podstawowa, rodzaj badania C. Źle wyszło. – Przełknął ślinę ze strachu, który nagle go dopadł. – Ma obniżony nastrój, z trudem się koncentruje. Odczuwa bodźce we śnie. Próbowałem kilkakrotnie... – Wskazał na lampkę służącą do wprowadzania w stan snu hipnotycznego. – Nie wypełnił wszystkich prostych poleceń. Co dopiero mówić o tym, co mi nakazano... Muszę mieć czas...

– Najpóźniej do połowy stycznia – przerwał mu brutalnie Zardow i wstał z krzesła. Wasiljewski znów zrobił to samo co jego przełożony. – Potem poszukamy kogoś innego i pożegnamy się z wami.

Ostatnia fraza zabrzmiała jak gong w uszach profesora, który pobladł jeszcze bardziej.

„Pożegamy” – powtórzył w myśli złowrogie ostrzeżenie.

– Macie czas do połowy stycznia, choć tylko dlatego, że mam miękkie serce dla nauki – rzucił Zardow z ironicznym uśmiechem i ostantacyjnie zduśił papierosa na podłodze.

Obaj oficerowie wyszli bez słowa pożegnania.

Korsakow chwilę wpatrywał się w zdeptany niedopałek. Był zmęczony, ale mowa motywacyjna w wykonaniu jego gości w dziwny sposób przywróciła mu siły.

Westchnął ciężko, zabrał lampkę i kolejny zestaw tabel i począł do swego jedyne go pacjenta.

Zardow z Wasiljewskim zeszli w dół i okazując specjalne przepustki pilnującym tylnego wejścia wartownikom, wydostali się na dziedziniec. Dopiero teraz przyjrzeni się szpitalowi dokładniej. Był ogromny, zbudowany z czerwonej cegły. Typowy pruski prostopadłościan, w militarystycznym stylu XIX wieku, charakterystyczny w tym rejonie dawnego państwa Bismarcka. Posiadał trzy piętra i poddasze, wysokie okna i ściany zdobne w rozety oraz dach z kilkoma wieżyczkami, które miały zapewne nadawać mu styl. Wąski plac na tyłach szpitala, zastawiony śmietnikami i jakimiś pustymi skrzyniami, odgradzał od reszty świata dwumetrowy mur.

Obaj oficerowie chwilę delektowali się orzeźwiającym, chłodnym powietrzem, miłym po ciężkiej szpitalnej duchocie.

– Niedobrze, nie? – spytał niepewnie Wasiljewski. – Powinno, kurwa, iść szybciej...

– Zgodnie z planem... – wymamrotał Zardow i znowu zaczął szukać papierosa. – Nie wszystko musi iść zgodnie z planem – próbował sam siebie oszukiwać. – Sprawę prowokacji udało się przygotować – powiedział ściszym głosem, bojąc się, jak zawsze w takich miejscach, że ktoś może usłyszeć. – Dla równowagi, to – wskazał za siebie kciukiem – musi się spierdolić. – Zaciągnął się dymem i westchnął z ulgą.

– Pierwszy zastępca się nie ucieszy.

– No co ty... Moja w tym głowa, żeby nam po dupie zbyt nie wleli. – Zardow udawał, że podziwia budynek. – Poza tym trzeba będzie zająć się czymś innym. Powiedzmy, dokładniejszym przygotowaniem. Szczegółów jest przecież masa... – Uśmiechnęli się obaj.

Dokładniejsze przygotowania oznaczały, ni mniej, ni więcej, konieczność dłuższego pobytu w Polsce. Zrobiliby wszystko, żeby tylko pokręcić się po zagranicy jak za dawnych czasów. Cieszyło ich to, dowartościowywało, choć z obawy przed możliwym donosem wyrazić głośno tego nie mogli. Wszystko było lepsze niż zima w niedogrzanym mieszkaniu resortowym, które w żaden sposób nie mogło równać się z elegancką willą w Konstancinie.

– Nie bój się, Nikita. – Zardowowi niespodziewanie wrócił humor. – Napiszę taki raport, że mucha nie siada. – Poklepał majora GRU po ramieniu i obaj ruszyli w stronę zaparkowanego nieopodal auta.

\*

Żwir ścieżki, prowadzącej do siedziby komendanta fortu, zgrzytał pod butami. Karol Zielinsky niemal biegł do biura dowódcy, wystrojony w mundur garnizonowy, z furażerką na głowie. Wezwanie nieźle go zaskoczyło. Pakował się właśnie przed krótkim grudniowym urlopem. Do świąt pozostały jeszcze trzy tygodnie, ale łaskawy sierżant-major dodał mu kilka dni za doskonałe wyniki, zwłaszcza w strzelaniu, i pomoc w opanowaniu grupy niedorostków, nazywających siebie rekrutami.

Przeskakiwał co drugi stopień w drodze do wejścia piętrowego, drewnianego budynku, pomalowanego na ciemnoczerwony kolor. Wszedł przez oszklone podwójne drzwi. Wnętrze urzą-

dzone było w kolonialnym stylu, przypominając połączenie scenografii filmu historycznego i izby pamięci wojny secesyjnej. Obite materiałem ściany, ozdobne boazerie, portrety oficerów, którzy chwalebnie służyli niegdyś w Gwardii Narodowej stanu Nowy Jork, reprodukcje historycznych scen bitewnych. Widać było od razu, że to dostojne, przepełnione tradycją miejsce, a nie surowy barak przyszłych oficerów, o gołych ścianach i skrzypiącej podłodze.

Zaraz za wejściem, przy równie stylowym co cały budynek biurku, siedział równo ostrzyżony i ogolony niebieskooki podoficer, pełniący dumną funkcję dyżurnego. Karol chciał już powiedzieć, że ma stawić się u dowódcy, ale żołnierz, gdy tylko go zobaczył, podskoczył na równe nogi i wskazując na prowadzące na piętro schody, powiedział:

– Pan pułkownik oczekuje.

Greenman kiwnął głową i znowu szybkimi susami wbiegł po obitych czerwonym dywanem schodach. Gabinetu pułkownika strzegł sekretariat obsadzony jedną cywilną sekretarką oraz dwoma młodymi kapralami w roli kancelistów.

Cała trójka siedziała przy swych stanowiskach, obłożonych papierami. Sekretarka o wyniosłym, a w jej mniemaniu profesjonalnym spojrzeniu na widok Polaka podniosła się z krzesła.

Skinęła głową.

– Dzień dobry – powiedziała służbiście i wskazała ręką na drzwi z grubą szybą, na których widniał napis: pułkownik Henry B. Johnson.

Karol poprawił mundur, a czapkę zawiesił na stojącym przy wejściu wieszaku i dopiero dał znak, że jest gotów. Kobieta zapukała w szybę, nacisnęła klamkę i włożyła głowę do środka gabinetu. Mówiła coś półszepem.

– Niech wejdzie! – Karol usłyszał donośny głos oficera.

Drzwi otworzyły się szerzej. Zielinsky wkroczył do gabinetu sprężystym krokiem i zsalutował.

Było to niewielkie pomieszczenie. Po lewej stronie stał ciężki regał z książkami i dwa fotele, a pośrodku znajdowało się wielkie biurko przystrojone kałamarzem i flagami Gwardii Narodowej oraz Stanów Zjednoczonych. Za meblem siedział pułkownik Johnson, starszy mężczyzna o siwych włosach porastających mu boki głowy, krzaczastych brwiach i wąsach. Jego mundur wydawał się nieco przyciasny i krępujący ruchy.

Obok był ktoś jeszcze. Karol dostrzegł go kątem oka, bo stojąc na baczność przed dowódcą, nie wypadało mu rozglądać się na boki.

– Zielinsky? – Pułkownik podniósł się zza biurka.

– Tak jest, panie pułkowniku – odpowiedział.

Johnson uśmiechnął się jakoś dziwnie i wyciągnął rękę, wskazując na tajemniczą postać w rogu pokoju.

– Jest tu do was gość – oznajmił.

Dopiero teraz Greenman spojrział na barczystego, wysokiego mężczyznę o mocnej jak u zawodowego boksera zuchwie, który na swoim ciemnobrązowym mundurze garnizonowym nosił dystynkcje majora. Na lewym ramieniu mieniła się kolorami czerwieni, bieli i błękitu naszywka 82 Dywizji Powietrznodesantowej. Na piersi miał przypiętych kilka baretek, wśród których Karol wypatrywał medal za wybitną służbę, Srebrną Gwiazdę i kilka pamiątkowych odznaczeń. Na nogach nieznanego lśniły wypolerowane spadochronowe buty firmy Corcoran.

„Całkiem ładnie...” – pomyślał Greenman z prawdziwym uznaniem, ciesząc się, że widzi w końcu jakiegoś prawdziwego zabijakę, odróżniającego się od tej zbieraniny gaciowych, gryzi-piórków i uczniaków.

– Major Thomas Riley – przedstawił się oficer i na jego wąskich ustach pojawił się grymas, który można było od biedy uznać za uśmiech. – Spocznijcie, sierżancie – dodał nienaturalnie łagodnym głosem.

Greenman nie bardzo wiedział, o co tu chodzi. W ostatnim czasie poznał bardzo wielu ludzi i jeden więcej nie robił mu różnicy, ale i tak był zaskoczony.

– Pan major – zaczął Johnson – zabiera nam was, Zielinsky.

Zdziwiony Karol cofnął nieświadomie głowę.

– Nie rozumiem. – Spojrzał na barczystego majora.

– Tak, tak. Zabieramy was w nowe miejsce.

– Dokąd? – spytał ciągle zdziwiony Polak.

– Tam, gdzie będziemy mogli przygotować was do zadań, które was czekają. Fort Bragg, Karolina Północna.

Greenman otworzył usta, słysząc nazwę siedziby amerykańskich wojsk powietrznodesantowych. Wiedział, że Stanley obiecał mu specjalistyczne szkolenie i był na nie gotowy, ale nie sądził, że nastąpi to tak szybko.

– Kiedy? – spytał, gdy otrząsnął się z pierwszego szoku.

– Dzisiaj. Za godzinę.

Nie takiej odpowiedzi Karol się spodziewał. Planował spędzić kilka dni z rodziną, a teraz...

„Zresztą...” – pomyślał. „Jestem w armii, do cholery. Trzy lata ślęczałem pod babskim panoflem. Chciałem, to mam”.

– Tak jest, panie majorze! – Wyprężył się zadowolony, że pozbył się ostatnich wątpliwości i podszytej lękiem myśli o konfrontacji z najbliższymi.

– Dobrze. Skoro już wiecie co i jak, przejdziemy do następnej sprawy. – Spadochroniarz zwrócił się do Johnsona. – Oczywiście, jeśli pan pułkownik pozwoli.

Siwy oficer przybrał poważną minę i tylko kiwnął głową.

Riley stanął na baczność i wypiął pierś.

– Charles Zielinsky. – Karol też przyjął postawę zasadniczą. Major wygrzebał jakiś dokument z teczki stojącej za biurkiem. – Z mocy przysługującego mi prawa – zaczął odczytywać treść tubalnym, poważnym i uroczystym barytonem – sierżant Charles Zielinsky zostaje promovany do stopnia podporucznika korpusu oficerów piechoty Armii Stanów Zjednoczonych.

Na te słowa Karol zdębiał. On?! Wieczny szary piechur z przypadku, jak mu się zdawało, uczyniony sierżantem przez pomyłkę, był teraz oficerem? Oczywiście, w swej pysze uważał często, że ma większe predyspozycje do noszenia belek niż niejeden z dowódców, ale nigdy nie sądził, nie marzył, że i jemu przypadnie porucznikowanie. Poza tym wszystko działo się obłędnie szybko. Dopiero co bił się na ulicy Jersey z grupą robotników. Potem areszt, spotkanie starego znajomego, niecałe trzy tygodnie w White Plains w Gwardii Narodowej i co? Teraz był już podporucznikiem.

Stał oszołomiony, analizując wydarzenia ostatnich dni i nie zauważając nawet, że Riley przestał czytać. Nie usłyszał także, że decyzję podpisał generał Donovan, twórca OSS.

– Gratuluję, poruczniku – powiedział spadochroniarz i zerknął na pułkownika. – Witamy w korpusie oficerskim. – Johnson wyciągnął rękę do Karola. Ten gest przywrócił go do świata rozumnych istot.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – powiedział zakłopotany Zielinsky. Po sekundzie, kiedy naprawdę dotarło do niego, że awansował, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Major podał mu dwie złote belki, dystynkcje podporucznika.

– Wybaczcie, ale na razie to tyle, jeśli chodzi o stopień. Munduru oficerskiego nie zdołaliśmy załatwić. I chyba raczej nie zdołamy tak szybko... – W oczach Riley'a coś błysnęło i jego podejrany uśmiech stał się jeszcze wyraźniejszy.

– Ekspresowe tempo, panowie – rzucił nie mniej zaskoczony całą sprawą pułkownik, który w swojej spokojnej jednostce od dobrych trzech lat nie miał do czynienia z błyskawicznymi, tajemniczymi awansami.

– Podporucznik Zielinsky ma do wykonania bardzo odpowiedzialne zadanie, panie pułkowniku. – Riley nie odwracał oczu od Karola. – Od tej chwili przechodzi pod moje rozkazy.

– Cóż. Szkoda – westchnął melancholijnie stary pułkownik. – Był z was dobry podoficer. Doświadczony.

– Właśnie to chcemy wykorzystać – powiedział półszepem major. – Poruczniku Zielinsky! – dodał już głośniej. – Macie godzinę na spakowanie swoich rzeczy. Jedźcie ze mną na stację kolejową. Do jutrzejszego wieczora macie zgłosić się w Fort Bragg. Potem przejdziecie pod skrzydła Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji. Czy to jasne?!

– Tak jest, sir! – odparł z werwą Greenman.

Zrozumiał, że znowu trafił do prawdziwej armii.

\*

Nieprzystosowanych wewnątrz tego budynku przyprawiało o depresję i chroniczny ból głowy. Bez względu na to, czy jego progi przekraczało się dobrowolnie czy też nie.

Wąskie korytarze pociągnięte były szarobłękitną farbą, która zlewała się z ponurym zmierzchem jesienno-go dnia. Co rusz ktoś przechodził z pokoju do pokoju albo wspinał się schodami, skrzypiącymi niemiłosiernie ze starości. Zza drzwi biur dochodziły stłumione rozmowy, stukot maszyn do pisania i smród papierosów. Na piętrze i na parterze wszystko wyglądało jak w zwykłym urzędzie. Niżej, pod poziomem ziemi, nie było już tak spokojnie.

Jedynym źródłem światła w tych ponurych pomieszczeniach siedziby UB w małym Ra-dzynie było kilka słabych żarówek, wiszących u sufitu w topornych, prostych lampach.

Jadwiga, trzymając kurczowo kilka teczek, zmierzała w starych, połatanych butach na parter. Niewielka ilość dziennego światła, a może raczej licha dieta sprawiała, że ostatnio przygasła, cera jej zszarzała. Oczy miała podkrążone, co starała się maskować makijażem albo raczej jego namiastką.

Na półpiętrze minęła wartownika, pilnującego, by nikt niepowołany nie wszedł do budynku. Dziewczyna machnęła mu przed nosem skrawkiem papieru, który był wytartą przepustką. Funkcjonariusz kiwnął niedbale głową na znak, że biurokratycznemu rytuałowi stało się zadość.

Pokonała kilka schodków i skręciła w stronę swojej ciemnej kanciapki, kiedy zza węgła, tam gdzie była krata blokująca wejście na schody do cel, doszły ją odgłosy zamieszania.

Usłyszała szybkie kroki i głosy kilku mężczyzn. Wreszcie trzasnął klucz w zamku.

– Wynoś się, chłopie... – Funkcjonariusz nakazywał komuś ostro chrapliwym głosem. – Jeszcze raz i stracę cierpliwość... Przysięgam.

Wysoki, zgarbiony, kulawy mężczyzna o ciemnej i brudnej jak i jego odzienie twarzy potknął się o ostatni schodek i o mało się nie przewrócił. Jadwiga przystanęła, zaciekawiona, choć takich scenek widywała mnóstwo. Poczwała bijący od niego smród.

– Spierdalaj, moczymordo! – Drugi funkcjonariusz, odziany w zwykły połowy mundur, wymierzył mężczyźnie solidnego kopniaka.

Facet znów się zachwiał, ale zdołał podeprzeć się o ścianę, czym chyba jeszcze bardziej roz-

wściewicz obu milicjantów. Ten pierwszy uniósł pięść, ale jego towarzysz go powstrzymał.

– Daj spokój, Zenek... Na dziś starczy... – Obaj wrócili za kratę, wpatrując się tylko piorunującym wzrokiem w przybłądę.

Ten chciał coś krzyknąć, widząc, jak prześladowcy wracają do siebie. Dostrzegł jednak kątem oka, że wpatruje się w niego dziewczyna. Omiótł ją spojrzeniem, ciągle przymglonym i mało ostrym. Chwiał się lekko i dziwacznie mlaskał.

Jadwiga poczuła się nieswojo. Zacisnęła palce na tekturze teczek, jakby szukając ratunku. Jak na złość gwarny urząd wydał się naraz zupełnie wyludniony. Biurko przy wejściu do budynku było puste. Najbliżej znajdował się wartownik na zewnątrz, ale nie miała pewności, czy ją usłyszy.

Stała sam na sam z mężczyzną o ciemnej, pokrytej kilkuniedniowym zarostem twarzy. Miał na sobie pocerowane ciemne spodnie i wojskowy waciak. Gapił się na nią chwilę, aż wreszcie wyprężył się i wypiął pierś, a jego brązowe od marnego tytoniu zęby błysnęły w uśmiechu. Oczy mu rozbłysły. Zdawało się, że naraz zmienił się w kogoś innego.

Pokręcił głową, jakby wyrażał podziw dla niej, i powiedział coś, co zabrzmiało jak „no proszę”.

Zimny dreszcz przebiegł jej od krzyża po kark, ale wtedy go poznała.

– Pan jest bratem...? – Odważyła się spytać cicho.

– Tak jest, proszę pani. – Ukłonił się. – Józio to mój brat – przemówił niespodziewanie wyraźnie. – Szkoda, że poznaję panią w takich... – Powiódł palcem po ścianach. – W takich niekorzystnych okolicznościach. – Uśmiechnął się zawadiacko i zdawało się, że lekko zamrużył jedno oko.

– Jeszcze tu stoisz, śmierdzielu?! – Zza kraty doleciał okrzyk. – Jazda stąd albo pójdę po ciebie...

Witold Gródzki znów się zgarbił, przygasł, a lichy uśmiech uleciał z jego twarzy.

– Pani wybaczy. – Wzruszył ramionami. Wygrzebał z kieszeni ciemną narciarską czapkę z daszkiem i szurając nogami, ruszył do wyjścia.

Jadwiga odprowadziła go wzrokiem. Myślała chwilę o Józku, o jego dziwacznym bracie i o tym, co to wszystko znaczy. Co jeszcze ją czeka?

Zaraz też przypomniała sobie o papierach. Ruszyła pędem do siebie. Musiała to szybko skończyć, przecież potem trzeba było naszykować się na wieczór. ■

## ROZDZIAŁ 6

W Północnej Karolinie było nieco cieplej niż w Nowym Jorku. Tak jakby nadciągająca zima tutaj miała nieco się spóźnić. Nie padał jeszcze śnieg, a i deszcze nie dokuczały specjalnie. Za to od samego rana niebo szczelnie zakrywały szare chmury, sprawiając, że atmosfera była ciężka, nieprzyjemna. Wśród odmalowanych na biało budynków, baraków i magazynów Fort Bragg trwała krzątania zwykłego garnizonowego dnia. Co jakiś czas przejeżdżał jeep lub ciężarówka, uliczkami maszerowały całe plutony lub pojedynczy żołnierze. Przy garażach naprawczych czyszczono i reperowano pojazdy. Gdzieś daleko odgłos ćwiczeń na jednej ze strzelnic mieszał się z warkotem samolotu, lecącego poza zasięgiem wzroku. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby mieszkańcy tej bazy, jak przystało na elitarną dywizję, bez przerwy szykowali się do nadciągającej walki. Zupełnie inaczej niż w sennym White Plains.

Greenman stał w potrójnym szeregu podobnych jemu, wyselekcjonowanych ludzi. Nie był tak naiwny, żeby sądzić, że będzie tu sam jeden, zaproszony przez armię i agencję do specjalnego przeszkolenia. Nie sądził jednak, że znajdzie się ich tutaj tylko trzydziestu. Z regularnej służby pamiętał takie obozy z całymi kompaniami ludzi, czekających na to, aż staną się żołnierzami.

Przyglądał się swoim sąsiadom. Wyglądali na poważnych gości w podobnym jak on wieku. Być może też służyli kiedyś na wojnie, a może ściągnięto ich tu z prosto cywilnego życia, po krótkim przeszkoleniu. Zastanawiał się, czy tak jak i jego odwiedzał ich oficer, wyznaczając nowe miejsce zamieszkania i godzinę na spakowanie. Sprawa dotyczyła niekonwencjonalnych działań, więc uznał, że mogło tak być.

„Ale po co tyle zachodu?” – pomyślał, nie do końca rozumiejąc, w czym bierze udział.

Major Riley odwiózł go na pociąg w Nowym Jorku. Nie mówił dużo. Ograniczył się do zdawkowych pytań, związanych z tym, jak Greenman czuje się jako oficer. Potem wręczył mu bilet na pociąg do Richmond w Wirginii. Podróż ciągnęła się niemiłosiernie, a podniecony Zieliński nie potrafił zmrużyć oka. W Richmond w środku nocy była przesiadka, a potem, po trzech godzinach, kolejna, tym razem na autobus. I tak koło jedenastej stawił się na bramie wjazdowej Fort Bragg.

Wszystko wokół go fascynowało. Pomniki ku chwale bohaterów minionych wojen, wojskowy sprzęt, który – jak zauważył – prawie w ogóle nie zmienił się od czterdziestego piątego. Chłonał atmosferę, wszechobecny porządek i dryl. Z tym ostatnim nie zawsze było u niego najlepiej, bo czasem – zwłaszcza w walce – bywał indywidualistą, ale potrafił się podporządkować.

Czuł się dziwnie, kiedy sierżant na punkcie kontrolnym – nieopierzony dzieciak – zwracał się do niego per „sir”. Wezwano jakiś pojazd i podwieziono go do skrytego między drzewami, w odległej alejce bazy, piętrowego baraku z czerwonej cegły. Tutaj spotkał resztę plutonu. Wszyscy byli speszeni i mało się odzywali, nie wiedząc tak naprawdę, co ich czeka. Z biegiem czasu jednak języki zaczynały się rozwiązywać i atmosfera nieco się poprawiła, głównie dzięki głupkowatym żartom.

Przyszedł wreszcie jakiś podoficer i kazał im ustawić się w trójszeregu. Potem zniknął. Trzydziestu mężczyzn stało w pozycji na spocznij dobre pół godziny, nie przypuszczając, że to dopiero początek.

– Baczość! – krzyknął ochryply głos z boku. Cała trzydziestka stuknęła podszwami o ziemię.

Przed frontem plutonu pojawił się znany Karolowi major Riley, tym razem w zielonym mundurze polowym i hełmie, z kaburą zwisającą w okolicy biodra z pasa pistoletowego. Był z niego kawał chłopca, ale stojący tuż obok sierżant-major wyglądał jak wysuszony weteran, którego wyciągnięto z jakiegoś magazynu z braku odpowiednich podoficerów. Jakby odkurzono go tylko i posłano, żeby wyżył się za miesiące i lata bezczynności na bandzie jakichś wojskowych – podobnie jak on – z odzysku i łapanki.

Facet też nosił mundur polowy. Twarz miał opaloną, mimo że był środek jesieni, i pooraną zmarszczkami. Jego fizjonomię dopełniała kwadratowa szczęka, wąski nos i duże, lekko przy-mrużone oczy. Posturą przypominał szafę opartą na chudych, opiętych spodniami nogach. Mimo że nie było to zgodne z regulaminem mundurowym, jego piersi zdobiła bojowa odznaka piechoty. Założona, jak podejrzewał Greenman, by wywrzeć wrażenie na nowych. Na rękawie kurtki miał naszyty – też nieprzepisowo – rząd kilku złotych belek. Każda oznaczała pół roku służby zamorskiej.

Sierżant-major wyglądał na gościa, który niejednego posłał do piachu i ciągle było mu mało. Patrzył teraz na swoich nowych podopiecznych zimnym, nienawistnym spojrzeniem, jakby obmyślał już dla nich najwymyślniejsze tortury. Greenman zauważył to i ze zdumieniem odkrył, iż – delikatnie mówiąc – zaczyna się niepokoić o swój pobyt w tym uroczym forcie.

– Spocznij – rozkazał Riley. – Panowie – zaczął mówić barytonem. – Witamy was w Fort Bragg, siedzibie Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji Powietrznodesantowej. Miło nam was gościć. – Ironia w tym zdaniu była dla wszystkich czytelna. – Zostaliście skierowani tu na nieco innych, specjalnych zasadach. Wybrano was do działań niekonwencjonalnych, trudnych, ale też niezwykle interesujących. Wszyscy o tym wiemy, nie będziemy więc o tym teraz rozmawiać. Na początek zostanieie poddani kursowi spadochronowemu pod okiem starszego sierżanta Richarda „Mad” Borowsa. – Wskazał dłonią na swego podwładnego. Ten kiwnął głową, uśmiechając się kąciakiem ust.

Karol zrozumiał, że sierżant cieszył się na samą myśl o wycisku, jaki miał w planach dla kandydatów do nowej służby. Przydomek „Mad” też brzmiał obiecująco...

– Będziecie mieszkać w tym budynku. – Major wyciągnął dłoń przed siebie, kontynuując opis sytuacji, w jakiej znalazł się pluton szkolny. – Jak widzicie, wasze nowe lokum jest usytuowane nieco z boku. Nie martwcie się. Będziecie mieli tu własne łazienki, nieopodal jest przygotowana stołówka. Działania na wieży i w hangarach odbywać się będą poza kolejnością ćwiczeń pododdziałów tu rezydujących. Nie zobaczycie wielu żołnierzy. Jednak jeśli na takich natraficie, pod żadnym pozorem nie wolno wam wyjawić, w jakim celu jesteście szkoleni. To absolutna tajemnica. Poza tym będziemy was pilnować. Obiecujemy wam, panowie, intensywne szkolenie i niewiele wolnego. Wymaga się od nas przyspieszonego kursu spadochronowego, więc taki przygotowaliśmy. – Uśmiechnął się, jakby szykowałą się doskonała zabawa. – Obiecujemy wam dużo potu – skończył wstępne przemówienie – Panowie! – Staął na baczność. – Zostawiam was w rękach starszego sierżanta Borowsa.

– Baczność! – wydarł się ochryplym głosem Borows, po czym odwrócił się do Rileya i sztywno zasalutował. – Dziękuję, sir!

Major oddał honory i ruszył niespiesznie gdzieś między równo wzniesione budynki fortu.

Borows stał chwilę w milczeniu, jakby czekał, aż major oddali się na odpowiedni dystans.

– Spocznij – rozkazał i milczał dłuższą chwilę, lustrując uważnie swoich nowych kadetów. – No dobra... – Zawiesił głos. – Panowie – dodał z pogardą. – Dziś dam wam jeszcze czas na aklimatyzację. Wprowadzę was na kwatery, za godzinę macie obiad. Za to jutro... Pobudka o czwar-



tej trzydziści, a potem mała przebieżka, bo ten etap będzie wam towarzyszył do samego końca szkolenia specjalnego. Następnie trochę teorii, znów bieganie i będziecie składać i rozkładać spadochrony, aż zaczniecie rzygać.

\*

Było niemal idealnie cicho. Gdzieś tylko od strony stawów, z ciemności dochodził stukot podków konia ciągnącego wóz po wyslizganym bruku. Wiatr się uspokoił, ale wieczór był przeźliwie chłodny i ponury. Drewniane, podniszczone chaty skryły się w mroku szybko zapadającej jesienią nocy.

„Poleszuk”, mimo starań gospodarzy, rodziny, która pomagała mu przez kilka ostatnich dni, karmiła i leczyła na wszystkie znane sobie sposoby, żeby nie musieć wzywać doktora, nie czuł się do końca dobrze. Ręka znowu go bolała i chyba cudem tylko nie dostał zapalenia płuc.

Nie chciał jednak narażać swoich wybawców na gniew bezpieki. Wszędzie kręciło się pełno ciekawskich ludzi, może szpicli, prowokatorów czy innej maści partyjnych wszarzy. Niewiele trzeba było, żeby ktoś odkrył, że on, partyzant z oddziału „Pielgrzyma”, nie zginął, że zbiegł.

Chłopak postawił kołnierz starej, wyliniałej kurtki zrobionej z kozucha, którą dostał w prezencie od gospodarza. Okrycie było całkiem ciepłe, ale osłabiony i głodny przemarzył na kość. Rolnik podwiózł go kilka kilometrów od swojej chałupy i pożegnał znakiem krzyża na szczęście, a teraz „Poleszuk” kluczył lasami i polnymi ścieżkami w stronę Radzyna.

W lasku na skraju miasteczka, przy dawnym żydowskim cmentarzu, po nerwowej wędrówce zjadł, co miał w niewielkim tobołku, i czekał, póki nie zrobiło się zupełnie ciemno. Potem ruszył tam, gdzie jak sądził, mógł prosić o pomoc. Na Gubernię, jedyny adres, jaki przychodził mu do głowy. Znał jeszcze może ze dwa miejsca, gdzie melinowali kumple, ale to było najbliżej.

Nie do końca wiedział, jak długo go nie było, czy ludzie z oddziału nie zmienili kwater, punktów zbiórek, czy w ogóle żyją. Może atak na leśnicówkę był tylko początkiem? Może został sam, a innych już dawno załatwili? I kto ostrzegł jego i „Borysa”?

Ostrożnie przeszedł między opłotkami, ominął mniejszy pałac, otoczony pokrzywionym ceglany murem, i skrył się między deskami starej komórki. Widział stąd dobrze okno numeru 23 przy Kozim Rynku, gdzie, jak sądził, ktoś odpowie mu na te wszystkie kłębiące się w jego głowie pytania.

Znał mieszkańców od dawna, a oni znali jego. Mieli dobrą legendę. Pan Witold z żoną i „Leon”. Wszystkie punkty zbiórek mógł ktoś wydać i teraz czekała tam ubecja. Tu nie. Tu miało być bezpiecznie. Zaryzykował.

Mogli go ukryć, póki „Leon” nie ustali spotkania z szefem... Albo – w najgorszym razie – nie wymyśli, dokąd uciekać.

Opadał z sił, a do tego emocje dawały o sobie znać. Żołnierz co chwila przecierał zmęczone oczy, wpatrując się w niemal kompletną ciemność, która pochłaniała budynki.

Stał tak, zerkając zza krzywej ścianki z desek, oparty o brudny od węglowego pyłu składzik, i nie mógł zdecydować się na zrobienie kroku. Chciał być pewien, zupełnie pewien, że nikt go nie zobaczy, że nie ściągnie na tych ludzi nieszczęścia.

Kiedy łąpiący z wolna przymrozek zaczął na dobre dobierać się do jego wytartych, niemalże gnijących butów, w znajomym obejściu coś się poruszyło. Chłopak zmrużył oczy, żeby lepiej dostrzec ciemną sylwetkę kręcącą się przy drzwiach. Schylił się nieco, bojąc się, że ktoś go zobaczy, ale w mroku był zupełnie niewidoczny.

Ruszył bliżej furtki zdemolowanego i zapuszczonego gospodarstwa. Naprzeciwko ktoś, chy-

ba mężczyzna, kręcił się po podwórku. Pomyślał, że to jeden z domowników, bo obcy nie miał czego tam szukać.

Chłopak rozejrzał się wokoło. Na brukowanej drodze nie było żywego ducha. Nawet psy nie szczekały i zrobiło się cicho. Widoczna z daleka postać zbliżyła się do płotu.

„Poleszuk” poprawił kurtkę, nasunął czapkę na czoło i ruszył zdecydowany. W kilku susach był po drugiej stronie ulicy. Chciał jak najszybciej zniknąć z widoku. Gdzieś obok zaszczeakał wreszcie jakiś kundel. Postać w otwartej bramce zatrzymała się na ten odgłos i lekko zadrżała, widząc na swojej drodze okutanego w grubą kurtkę człowieka.

– Dobry wieczór – rzucił kurtuazyjnie „Poleszuk”, starając się zachowywać naturalnie, mimo że głos mu drżał. Czuł jednak, jak serce podchodzi mu do gardła. Z nerwów zapomniał, gdzie wetknął pistolet. Podszedł bliżej. Oczy już przywykły do ciemności, więc w mig spostrzegł, że to nikt obcy. Uśmiechnął się mimowolnie do człowieka w długim płaszczu i narciarce na głowie.

– „Poleszuk”? – zapytała niepewnie postać ciągle stojąca w furcie.

– Tak – odparł z ulgą chłopak. – Musimy pogadać – rzucił, rozglądając się na boki.

– Nie tutaj. – Silna dłoń popchnęła go na ulicę. – Chodźmy stąd.

Przeszli przez drogę. „Poleszuk” zatrzymał się znów przy komórce, ale mężczyzna kazał mu iść dalej. W stronę pola. Potknął się o coś, ale zaraz wstał cicho, przeklinając na cały świat i ubrudzoną czapkę, która spadła mu w błoto.

Szli jeszcze kilka minut w milczeniu, łamiąc z trzaskiem jakieś gałęzie wyschniętych krzaków. „Poleszuk” gotował się cały z emocji. Chciał opowiadać, co się zdarzyło, i pytać jednocześnie.

– Starczy – odezwał się niespodziewanie jego rozmówca. – Mów – nakazał surowo. – Od początku.

„Poleszuk” zaczął opowiadać. Nieco chaotycznie, ale dokładnie. Jego towarzysz chodził wokoło wyraźnie zamyślony i co chwila rozmasowywał bolące po upadku kolano.

Chłopak doszedł już niemal do momentu, kiedy obudził się w chłopskiej stodole, kiedy niespodzianie spadł na niego tępym cios. Osunął się na kolana, zacisnął zęby i wtedy drugie uderzenie powaliło go na zimną ziemię. Opuściła go resztkę sił.

\*

Chłód wczesnego ponurego wieczora zagnał do domostw tych kilku ostatnich mieszkańców miasteczka, którzy jeszcze przed chwilą snuli się po uliczkach.

Jednak dla „Leona” chłód, mrok i szarobury pejzaż okolicy nie miały znaczenia. Dziś też tak naprawdę nie nazywał się „Leon”, tylko Józef. Józef Gródzki.

Szedł prędko, podskakując co kilka kroków i cicho pogwizdując. Wyelegantował się jak pasterkę w Boże Narodzenie. Zupełnie nowy, jasny wełniany płaszcz, jakiego nikt w miasteczku nie miał prawa posiadać. Szara marynarka z lekkiego melanżu, krawat, wykrochmalona koszula, szalik i nasadzony na bakier ciemny kapelusz, który wybrał w ostatniej chwili. W dłoni niósł zapakowany w kolorowy papier kolejny podarek dla Jadzi, która bez większych oporów i tak charakterystycznej dla kobiet kokieterii dała się namówić na spotkanie.

Gdyby ktoś go dostrzegł, pomyślałby, że to przybysz z innego świata. Zupełnie inny, promieniujący szczęściem człowiek, niepasujący do tego szarego, biednego grajdołu.

Przeszedł bocznymi uliczkami przez centrum uśpionego miasteczka, upewniwszy się, że w karczmie jeszcze ktoś pracuje i nie zamknął budy z braku klienteli.

Sprawdził pakunek z prezentem, kilkoma drobiazgami z damskiej galanterii, i ruszył dalej,

w stronę szosy białostockiej. Stał pod piętrową, zapuszczoną kamieniczką, której czasy świetności minęły chyba razem z caratem. Otrzeptał lekko ubłocone nogawki niemal nowych spodni, przetarł chustką nieco już przygasłe czubki polerowanych zawzięcie butów.

Na górze paliło się przygaszone światło. Dziewczyna była w domu. Józef uśmiechnął się sam do siebie i pchnął pożarte przez korniki stare drzwi.

W jego nozdrza uderzyła smrodliwa mieszanka stęchlizny i paru innych ostrych woni. Na próżno i po omacku szukał włącznika światła, brudząc sobie przy tym elegancką rękawiczkę.

Nie bez kłopotu odnalazł poręcz i postawił stopę na pierwszym stopniu. Zamarł na chwilę. Poczł, jakby z mroku, zza schodów, ktoś mu się przygląda. Wyteżył wzrok, wolno oglądając każdy zakamarek. Stał tak kilka chwil, ale nic nie było widać ani słycać. Uznał wreszcie, że to stres go zjada. Kila razy nabrał głębiej powietrza. Pomogło mu to uspokoić przyspieszające serce.

Poprawił krawat i ruszył prędko po na górę, zostawiając za sobą troski.

„Pielgrzym” odetchnął. Wyszedł z wnęki drzwi prowadzących do piwnicy, które skrywały drewniane schody.

„Może trzeba było się odezwać?” – pomyślał. „Nie. Nie. Co bym mu powiedział?” – odegnął głupie myśli. Na wystawianie niemal pod drzwiami jego panny nie było dobrego usprawiedliwienia.

Nasłuchiwał chwilę kroków chłopaka na skrzypiącej podłodze. Potem usłyszał stukanie i zaraz pięterko rozjaśniła nieśmiała łuna lampy z mieszkania dziewczyny.

– Całuję rączki. Dobry wieczór. – „Leon” witał się grzecznie i zaraz drzwi się zamknęły.

„Casanova...” – Gładyszak uśmiechnął się pod nosem. „Niech się cieszy...”

Znów coś zaskrzypiało przy drzwiach na piętrze. Znad schodów dobiegł odgłos radosnych rozmów. Wychodzili.

Porucznik postawił kołnierz ciemnego płaszcza, na palcach podszedł do drzwi prowadzących na podwórko i zniknął w mroku nocy.

\*

Ostatnie, co usłyszał Greenman, zanim przeniknęło go lodowate powietrze i zaczął obracać silny wiatr, brzmiało jak smagnięcie.

– Naprzód!

To „naprzód”, krzyknięte przez sadystycznego porucznika wojsk spadochronowych, wymieszalo się zaraz z oddalającym się warkotem silników wojskowego C-47 i dudniącym sercem nowego adepta spadochroniarstwa. Rzuciło nim kilka razy na boki. Spadochron szarpnął, czasza się otworzyła. Nagle zrobiło się cicho.

Karol opadał wolno gdzieś w ośnieżone lasy poligonu opodal Fort Bragg, zerkając przez ramię na oddalający się na pochmurnym niebie samolot.

„Chłopaki z firmy mieli rację” – westchnął Zielinsky. „Szybko, kurwa, idzie”.

Był w forcie prawie dwa tygodnie, a oddawał właśnie swój siódmy skok. Ktoś uznał, że skoro on i inni „nowi” służyli już w wojsku, to szybko pojmą co i jak. Zresztą wytyczne mówiły chyba, by poświęcać im szczególnie sporo uwagi i wysiłku dydaktycznego.

Codziennie, począwszy od drugiego dnia, odbywały się biegi. Z każdą dobą robiły się coraz dłuższe i były przeplatane intensywnymi zajęciami z teorii skoków. Potem mieli jeszcze więcej biegów i praktykę: składanie czasz i linek w wielkim hangarze, i tak przez kilka dni. Później, jak na unitarce, podstawy posługiwania się bronią, nawigacja i poruszanie się w terenie. Małymi

grupkami i pojedynczo. Następnie przyszedł czas na wyższy poziom. Różne rodzaje oręża, nawet, ku wielkiemu zdziwieniu Karola, broń sowiecka oraz ładunki wybuchowe. Potem na przemian skoki, nauka w terenie, prace minerskie. Wszystko w niemal zupełnej izolacji od reszty, od zwykłego wojska. Przy tym mało kontaktu z domem. I ta niepokojąca perspektywa świat bez rodziny.

Greenman dyndał teraz w uprząży spadochronu, miotany na boki przez mroźny wiatr, ubrany w biały maskujący mundur, z hełmem na głowie, niewielkim plecakiem na brzuchu i karabinem M1 u nogi. Ciemna plama lasu robiła się coraz większa.

Między drzewami dostrzegł skrawek niezalesionej polanki i ją obrał sobie za lądowisko. Wszystko to działo się za szybko, było zbyt chaotyczne i surowe. Tempo szkolenia i proste jak konstrukcja cepa zadanie, jakie dostał: „Zrzucimy cię w lesie, masz znaleźć drogę do punktu kontrolnego i omijać pogoń”.

„Czy tak jest zawsze, czy im naprawdę się spieszy?” – pytanie dopadło go akurat, kiedy dobił do ziemi. Nieco się zachwiał, ale nie przewrócił.

Odetchnął z ulgą i przeżegnał się, dziękując Bogu, że po raz kolejny przeżył wariactwo, jakim jest skakanie z lecącego samolotu.

Szybko zdusił czaszę, zwinął spadochron i zaczął zagrzebywać go w śniegu i połamanych gałęziach. Rozejrzał się wokoło. Było idealnie cicho i ciemno. Skronie pulsowały mu z emocji i z tego wszystkiego zapomniał, że mu zimno. Wydawało mu się przez chwilę, że jest jedynym człowiekiem na Ziemi. Tego naprawdę nie dało się porównać z pracą w garażu. Nabrał zimnego powietrza w płuca i sięgnął za pazuchę po złożoną wodoszczelną mapę. Z plecaka dobył niewielką pałatkę, kompas i latarkę z zamaskowanym światłem. Nie widział gwiazd, ale szybko udało mu się określić swoje położenie. Nie było wesołe. Do przejścia miał dobrych piętnaście kilometrów w prostej linii, przez lasy i rzeki. Z tymi utrudnieniami wychodziło ich o pięć więcej.

Sprawdził zawartość plecaka. Nie był pewny, czy starczy mu jedzenia, ale innego wyjścia nie miał. Zaraz przypomniał sobie o patrolach „wroga” – żołnierzach z jednostki, którzy mieli szukać takich jak on.

„Ciekawe, ilu nas zrzucili” – pomyślał.

Zdjął z głowy kaptur i hełm. Nałożył wełnianą czapkę. Tak było wygodniej, choć zimniej. Najlepiej, jak potrafił, zamaskował ślady swojej obecności i ruszył na północ, zgodnie ze wskazaniem kompasu.

Szedł szybko, ale ostrożnie, uważając, żeby nie wpaść na połamane gałęzie albo nie sturlać się do ukrytego pod śniegiem dołu.

Co kilka minut kuczał przy drzewie i nasłuchiwał, póki nie upewnił się, że nikt za nim nie pościga. Nie miał pojęcia, gdzie ukryte są oczy, które mają go wyłowić z tej gęstwiny.

Minęła godzina takiego ostrożnego marszu i już zaczynał czuć, jak maskujący kombinezon oraz cały uniform nasiąkają wilgocią. Z każdym kolejnym kilometrem przeskakiwania powalonych pni i zacierania tropów w sięgającym nawet do kolan śniegu było coraz ciężiej. Zaczynał się mocniej pocić, przygniatały oporządzeniem i nasiąkającym wodą ubraniem.

Wyszedł na skraj kniei i spostrzegł, że szlak przegradza mu droga. Przynajmniej tak to wyglądało z jego perspektywy: kontur pokryty lodem i śniegiem, pomiędzy białymi polanami, smagany wiatrem, otoczony od przodu i z prawej kolejnym lasem. Wróciły zaraz wspomnienia z Belgii i Niemiec. Poczł się jak na patrolu w dawnych czasach.

„W takie rzeczy już graliśmy, cwaniaczki”. Mimowolnie skrzywił się w uśmiechu na te wspomnienia. Przykucnął przy wielkiej sośnie, spory kawałek od linii lasu, kombinując, co dalej.

Musiał nieco ochłonąć, uruchomić umysł do tej pory zajęty opanowywaniem zmęczenia.

Tylko ostatni bubek wylazłby na otwartą przestrzeń, nawet nocą, i dałby się wypatrzeć. Wiedział doskonale, że trzeba obejść te łąki, zrobić coś, co nazywało się manewrem „psiej łapy”.

„Znasz tę robotę, panie Karol...” – dodawał sobie rezonu. Kiedy szedł pod lufy, musiał nadrabiać długie kilometry ze swoimi ludźmi, żeby obejść wroga, a i tak nie zawsze się udawało uniknąć potyczek i rozlewu krwi. Wzdrygnął się na samo wspomnienie. Teraz był sam, w ciemności tylko z lekka rozświetlanej bielą śniegu. Bez swoich chłopaków, jak tropiony zwierz. Zaczepnął głęboko powietrza, uniósł się i zgrabiony zrobił kilka kroków. Schwycił gałąź, którą targał za sobą, żeby choć trochę przyprószyć śniegiem ślady. Coś go tknęło. Nie wiedział, czy to szybsze bicie serca i dotleniany mózg, czy zimne powietrze tak zadziało.

„Kurwa, kretynie, jeśli ty to wiesz, oni wiedzą to jeszcze lepiej”. Przywarł do następnego drzewa, wściekły na siebie i swoją niefrasobliwość. „Będziesz taki szybki, to raz-dwa cię wywalą”. Splunął i znów zaczął gapić się na drugą stronę. Dobył lornetki skrytej w plecaczku, ale teraz, w środku bezksiężycowej nocy, na niewiele się zdawała.

Nie mógł marudzić dłużej, zastanawiać się w nieskończoność, musiał ryzykować. Opadł na ziemię i zaczął się czołgać – z początku szybko, potem coraz wolniej.

Nasłuchiwał, ale wydawało się, że jest spokojnie. Pełzł dalej. Był na skraju lasu, skrył się w szarym cieniu. Chciał wierzyć, że jego strój – już zupełnie mokry – maskuje go, jak należy. Znowu się zatrzymał. Przed sobą miał zaśnieżony pas poligonowej szosy. Nadstawił ucha. Serce zabiło mocniej. W takich warunkach wszystko w organizmie działało sprawniej, lepiej. Zmysły wyostrzały się ponad miarę, niczym u zwierzęcia.

Daleki szmer, choć jeszcze słaby, wyraźnie odcinał się od reszty nielicznych dźwięków. Greenman zacisnął dłoń na karabinku. Kręcił głową, szukając niebezpieczeństwa. Nie miał pojęcia, czy już go wypatrzyli, ruszyli na niego, czy ten dźwięk to zwykły przypadek.

Odgłos robił się wyraźniejszy. Zbliżał się i odbijał echem od ścian lasu porastających dwie strony dalszego fragmentu drogi.

Było oczywiste, że pędzi tu jakiś samochód. Jeden lub kilka, i to pewnie pełnych ludzi z obławy. Karol nie miał ochoty tego sprawdzać. Coś ukłuło go w brzuchu, jak wtedy, kiedy rzucał się do walki. Podniósł się, pochylił do przodu i drobiaz małe kroczyki, pobiegł przed siebie. Pot o mało nie zalał mu oczu.

Zwolnił na ułamek sekundy. Jeszcze raz spojrzął, czy nikt nie bierze go na cel, choć w tych warunkach była to tylko kwestia uspokojenia nerwów, bo mało co mógł dostrzec. Zrobił długi krok, tak żeby nie naruszyć uformowanej wiatrem zasy przy drodze i nie zdradzić się śladem. Przemknął przez szosę, znów przeskoczył przez białą przeszkodę i pobiegł co sił, tłumiąc coraz głośniejszy świszczący oddech.

Echo rozchodziło się już blisko, śląc w świat dźwięki motoru oraz zgrzytnięcia skrzyni biegów. W ciemności zamajaczyło słabe, bladziutkie światełko między drzewami.

Karol przywarł do ziemi, przeczołgał się, jak najdalej potrafił, ale gdy tylko gang motoru zrobił się głośniejszy, zamarł. Zacisnął zęby i – nie wiedzieć czemu – zamknął oczy. Niczym ktoś, kto szykuje się na silny cios.

Pomruk amerykańskiego GMC wypełnił łąkę. Auto jęknęło, kiedy szofer, widząc skrawek prostej drogi, dodał gazu. Wóz przyspieszył i teraz odgłos maszyny zaczynał się oddalać. Wreszcie uleciał. Wóz był jeden.

Zielinsky odsapnął. Serce mu kołatało i dopiero teraz poczuł na czole zimno topniejącego śniegu. Musiał się przyznać przed sobą, że to wszystko sprawiało mu coraz większą frajdę. Pod-

czołgał się ostrożnie pod las, co kilka metrów przystając i nasłuchując. Zrobił się ostrożniejszy. Szósty zmysł kazał mu przypuszczać, że coś tu się kroi. Że to początek atrakcji.

Z mapy pamiętał, że kwartał drzew po tej stronie drogi rozciągał się w prawo na dobre trzy kilometry.

„O nie, panowie, tam nie wejść”. Zsunął się nieco w bok i ostrożnie, metr po metrze, pełził przed siebie. Przyszło mu do głowy, że pewnie wygląda jak wielka biała dżdżownica. Prawie się roześmiał.

Im dłużej wpatrywał się w szaro-czarną plamę ściany drzew, tym bardziej był pewny, że ktoś tam na niego czeka. Skoro ten skrawek terenu stał mu na drodze do celu, ktoś, kto zarządzał „polowaniem” uznał pewno, że – w trosce o jak najlepszy czas – kursanci nie będą chcieli obchodzić przeszkody, tylko wpakują się w sam środek i tam zaczną się zabawa. Prawdziwa gra w kotka i myszkę.

Greenman czołgał się powoli, aż dotarł mniej więcej do środka polany. Od lasu dmuchnął silniejszy powiew wiatru. Polak przyspieszył. Teraz trudniej będzie go usłyszeć. Zrobił jeszcze sto metrów, o mało nie padając ze zmęczenia, kiedy zimny zefir przyniósł głośny trzask. Charlie padł w śnieg i zamarł jak kamień. Nasłuchiwał. Może był to jakiś zwierz, ale na to nie liczył. Przez chwilę jeszcze słyszał stłumiony szmer i znów wszystko ucichło.

„Jesteście tam, cwaniaczk!” Teraz był pewien. Odczekał pięć, potem jeszcze dziesięć minut, upewniając się, że nikt nie wyszedł na polanę, aby szukać czego podejrzanego.

Wreszcie podniósł głowę i spojrzał przez ramię. Wydawało się, że jest OK, tylko jego ciało z wolna zaczynało dygotać z zimna. Nie chciał ryzykować zupełnego wyziębienia.

„Pierdolić to!”. Podniósł się i ruszył prędko w najdalszy punkt tej przeklętej łąki. Przed nim był jeszcze ładny kawałek drogi.

\*

Długa zimowa noc nie miała chyba zamiaru się kończyć. Niebo zakryła szczelna warstwa chmur, nie dopuszczając najmniejszego przebłysku księżyca. To czarne niebo szczelnie oddzielił od ludzkiego wzroku dach poskręcanych, grubych konarów ciasno rosnących drzew. Czasem lodowaty powiew zaszumiał nimi, strącając kilka szyszek czy łamiąc martwe, suche gałązki, jakby sama natura dawała znać, kto tu rządzi.

Karol Zielinsky przyjmował te nauki z pokorą. Sam był jak mała, strącona z góry szyszka.

Upływające godziny pełne były kolejnych przeszkód i ślepych drózek gęstwiny, w których mylił drogę. Wściekał się na cały świat, na swoje zmęczenie i na zbyt dużo wypalonych przez lata papierosów.

Było mu zimno, trząsał się, a do tego czuł, że zaczyna popadać w paranoję. Gotów był natychmiast wrócić do ciepłych koszar, a potem długo spać. Doszedł do jakiejś nory, przysiadł w niej i przegryzł suchary z czymś, co miało być mieloną, po czym poprawił kawałkiem czekolady. Uspokoiło go to. Zaraz wróciły wszystkie rozterki, przez które zgodził się trafić w to bagno. Od począł jakieś dziesięć minut i był gotów. Poświecił latarką na mapę i z zadowoleniem uznał, że za bardzo nie zoczył z trasy.

„Jeszcze dasz radę, panie Karol...” – pocieszył się, choć ból w nogach i plecach narastał.

Nasłuchiwał chwilę, czy jego popas nie ściągnął kłopotów ze strony ludzi lub dzikich zwierząt, i ruszył dalej.

Musiał już zbliżyć się świt, bo niebo zaczynało lekko szarzeć.

Azymut był dobry i Greenmanowi kołatało się po głowie, że chyba mieści się w normie, choć

pewno najlepszego wyniku nie ustanowił. Broń ciążyła mu coraz bardziej, jak wtedy w Normandii, pod Akwizgranem i Butgenbach, gdy – po godzinach nieprzerwanej walki, przedzieraniu się przez szwabskie pozycje, odpieraniu kontrataków – miał po prostu dosyć. Teraz też już pchała go przed siebie tylko silna wola i ta wpojona zasada, że najtrudniej pokonywać samego siebie. Tak jak na wojnie fizycznie był zmaltretowany, jednak umysł pulsował radosną myślą, że podołał, że znów dał radę.

Dotarł na skraj jakiegoś pagórka. Niedaleko szemrał wartki strumień. Zagłębienie terenu było wąskie, ograniczone zewsząd prostymi jak świece jodłami.

Rozważał, czy zerknąć na mapę, ale i tego już nie chciało mu się robić. Przecież wrył sobie wszystko w pamięć najdokładniej, jak umiał. Zdawało się, że był u celu. Gdyby nie okoliczności, krzyknąłby coś radośnie, ale powstrzymał się i tylko podziękował cicho Bogu.

W dole, w tej niewielkiej dolince z szumiącym strumieniem, zgodnie z tym, co zapamiętał Charlie, powinien być niewielki domek. Właściwie szauerek, szopa czy inny bunkier – pozostałość po czasach, kiedy nie było tu poligonu.

Wytężył wzrok, przeczesując szaro-białą plamę u swoich stóp, ale za nic nie mógł dostrzec celu.

„Jeśli jest tam ta buda, to naprawdę dobrze ją ukryli”. Zezłościł się, że czeka go jeszcze jeden spory wysiłek.

Obszedł urwisko, tak by nie wdepnąć w nawis śniegu i nie polecieć w dół. To byłaby ostateczna kompromitacja. Kręcił głową na boki, ostrożnie stawiał kroki i zszedł w dolinę. Wysilił wzrok, przeczesując okolicę.

– Jest... – szepnęła nieopisanie szczęśliwy. Budynek, prosta chatka zbita ze starych dech, krył się pod zaśnieżonymi konarami. Drzwi, czarny prostokąt na tle szarugi, zapraszały do wejścia. Tam mógł się ogrzać, poczekać na swoich i dalsze rozkazy.

Był wyczerpany, ale ostrożnie wrócił w knieję i – jak miał w zwyczaju – poszedł okrężną drogą. Przez ciszę przebijał się tylko przyspieszony puls, który dudnił mu w uszach. Tak z podniecenia, jak i ze zmęczenia.

Widział bok lichej konstrukcji, była blisko, o rzut granatem. Przyspieszył. Odchylił ułamaną gałąź blokującą przejście...

W pobliżu coś trzasnęło i zaszurało. Greenman próbował się obrócić, ale nie zdołał.

Ostry strumień światła pojawił się nie wiadomo skąd. Potem znów zrobiło się ciemno. Ktoś zarzucił mu jakiś śmierdzący materiał na głowę i ramiona. W ustach poczuł nieprzyjemny smak wytartej juty. Dwa silne ramiona pochwyciły ręce Karola, splatając się w uścisku na jego brzuchu. Ryknął przeraźliwie i niemal podskoczył, szukając w sobie tej resztki energii, która pozwoli wyrwać się z opresji. Czuł się jak wpędzone w pułapkę zwierzę.

Krzyczał tylko on, napastnicy milczeli. Jedyny dźwięk, jaki słyszał, to szuranie ich butów na śniegu. Druga para rąk próbowała złapać jego nogi, ale bezskutecznie. Karol wierzgnął nimi raz czy dwa i zdawało mu się, że trafił napastnika. Zebrał się w sobie, napiął mięśnie i chyba cudem odrzucił żelazny uścisk ramion.

Szybki, mocny cios łokciem w tył i napastnik skulił się, coś mamrocząc pod nosem. Zielinsky poprawił na oślep, celując nieco wyżej. Chyba trafił w szczękę. Zaczął zaraz szamotać się z workiem i wtedy spadł na niego twardy cios. Nie stracił przytomności, ale go zamroczyło. Wzrok miał zamglony, oddychał głęboko i słyszał tylko strzępy rozmów.

Zaraz spostrzegł, że świat wokoło się przesuwają, a nogi robią się mokre i zimne. Gdzieś go ciągnęto. Zachciało mu się wymiotować, na szczęście nudności zaraz ustąpiły.

Usadzono go na czymś twardym. Podparto plecy. Ktoś począł krępować mu ciało sznurem, ktoś inny zdjął przemoczone buty.

Teraz zaczynał się trząść, ale to nieco go otrzeźwiło.

Znów światło. Tym razem o wiele mocniejsze, włączone dokładnie na wprost. Rozpoznał znajomy warkot ukrytego gdzieś w pobliżu generatora.

Ciągle nie widział najlepiej, ale w jasnej poświacie dostrzegł dwie ciemne sylwetki.

– Który... – Karolowi zaschło w gardle. – Który psi zwis tak mnie urządził? – Machnął głową, naiwnie sądząc, że to odgoni ból i oszołomienie. – No, który, pojeby pierdolone?! – krzyknął, zauważając ze zdziwieniem, że nagle zapomniał innych przekleństw. – Skurwiele! – warknął ciszej i szarpnął ramionami. Sznur ani drgnął.

– Zamknij się, palancie! – Głos zza snopa światła miał wyraźny, ostry akcent.

– Wpadłeś, Polaczku. Teraz ci pokażemy! – wrzasnął drugi. Zrobił to nad podziw głośno. Greenman znów zaczął się trząść i szarpać.

– Ja ci dam Pol... – Nie skończył. Ktoś podskoczył do niego i dał mu w zęby.

– Stul pysk!

– Tylko mnie rozwiąż. – Nie poddawał się jeniec.

Padł drugi cios.

– Mówię ci, siedź cicho, jeśli o nic nie pytamy.

– Spierdalaj! – Splunął Polak, mniej więcej tam, skąd dobiegał głos.

Kręcił głową, mrużył oczy, ale nie potrafił uciec przed jasnością. Po nocy spędzonej w lesie ten blask aż kłuł w oczy. Nawet nie spostrzegł, kiedy zaczęły łzawić.

– Mów, Polaczku. – Znów odezwał się ten z dziwnym akcentem. – Mów, jak się nazywasz?!

– Podaj adres, śmieciu! – dodał szybko drugi mężczyzna.

Charliego ogarnął lęk, który narastał z każdą sekundą, kiedy stawało się oczywiste, że jest w potrzasku, że zawałił i nie ma pojęcia, ile to potrwa. Nie był nawet pewien, z kim ma do czynienia. Zresztą, nie miało to większego znaczenia. Gdyby mógł, tłukłby tych dwóch do nieprzytomności. Ale ogarniała go nieznośna słabość. Nogi zaczynały go szczypać. Jeszcze raz spróbował wyszarpnąć dłonie, ale przypłacił to bólem stawów.

– Koniec z tobą, Polaczku – odezwał się ten z akcentem. – Koniec, mówię. Powiesz, gdzie mieszkasz, kto cię werbował, z kim rozmawiałeś o wejściu do służby, i będzie lepiej. Słyszysz, obesrańcu?!

Zaskrzypiała podłoga. Ktoś podszedł i nachylił się nad jego uchem.

– Zrozumiałeś?! – Chrapliwy ryk wypełnił głowę.

Dłoń poklepała go po policzku.

– Jeszcze raz: adres zamieszkania łaskawego pana?

– Pierdol się. – Karol znów splunął. Płaski cios spadł na jego twarz. Niespodziewanie mocno zabolął.

– Imię i nazwisko oficera, który cię werbował, Polaczku. – Ten z akcentem ewidentnie lubował się w używaniu tego zwrotu.

Zielinsky tylko przełknął ślinę, nie chcąc prowokować kolejnych ciosów. Na takie cyrki nie był przygotowany, nie miał pojęcia, o co właściwie chodzi i do czego to prowadzi.

– Adres, panie Zielinsky – ryknął mu do ucha facet, zdradzając, że wie, z kim ma do czynienia. – Nie mamy całego dnia, skurwielu!

– Nazwisko oficera, który cię werbował. Znasz go? Jeśli tak, to skąd? Mów! – przekrzykiwali się nawzajem obaj jego oprawcy.



Kolejne uderzenie poszło w brzuch.

– Jezu... – jęknął Karol, kuląc się na tyle, na ile pozwalały więzy.

– Twój adres, nazwisko oficera, który cię werbował. Kogo jeszcze znasz w firmie?! – Ryk zdzieranego gardła drażnił Charliego niemilosiernie.

Podsunęli lampę bliżej. Greenmanowi wydawało się, że nie potrafi zamknąć oczu wystarczająco mocno, by uniknąć światła. Zaciskał powieki, ale to nie pomagało.

– Adres! – Cios pięścią spadł na czubek jego głowy.

Czas przestał się liczyć. Ciało dygotało niekontrolowanie, oczy łzawiły, a on słabł, pierwszy raz od lat bliski płaczu.

– Nazwisko oficera! – ryczeli na przemian obaj mężczyźni.

– Twój adres!

Po kilku seriach nieprzerwanych wrzasków i wyzwisk zmienili taktykę.

– Powiedz, a będzie ci ciepło, odpoczniesz, wyśpisz się. – I tak w kółko, i na zmianę.

Greenmanowi zdawało się, że jego głowa z każdą minutą waży coraz więcej, zaraz urwie się z karku i opadnie na ziemię. Słyszał tylko wrzaski albo szepty, ale coraz mniej z nich rozumiał. Chciał spać, uciec, skończyć z tym, ale ciągle – jakimś przedziwnym sposobem – trwał w uporze.

Przymknął oczy raz czy drugi, ale zaraz budziło go silne uderzenie albo, co było o wiele gorsze, chlust zimnej wody. Wiedział, że już po nim, padnie na zawał, zamrznie albo powie, co zechcą, co tylko sobie zażyczą. Wtedy silna dłoń chwyciła go za brodę i uniosła na wprost przytomną głowę. Ktoś wymierzał mu jeszcze jeden cios, ale wtedy, gdzieś zza lampy, doleciał trzeci głos.

– Starczy!

Uścisk na brodzie ustał.

Znów słycać było szuranie butów i lampa zaraz zgasła.

– Dajcie koc i buty. – Głos był spokojny, rzeczowy, bez śladu agresji.

W głowie Karola kołatała się myśl, że to dalszy ciąg przesłuchania.

Ktoś podszedł do niego, nachylił się nad drżącym ciałem i wyszeptał:

– No, na początek może być. Cztery z dwoma, panie Zielinsky.

\*

Lekki śnieg przyprószył ziemię aż po sam szary horyzont. Tylko silny wiatr przesuwiał drobiny lodu raz w jedną, raz w drugą stronę, co rusz odsłaniając kępy zeschniętej trawy. Zimno przenikało ubranie, szczypało w twarz i nie dawało nikomu szans na ucieczkę.

Sierżant Waškowiak i kapral Molidło trzęśli się jak osiki, przestępując z nogi na nogę pod jedynym w okolicy drzewem – starą wierzbą wyrastającą przy miedzy nad brzegiem wąskiego kanału. Co chwila zerkali pod nogi, w dół rowu, na to, czego przyszło im pilnować w ten szary, mroźny poranek.

– Kurwa mać, ile jeszcze? – Molidło, niski funkcjonariusz o okrągłej głowie, jakby cudem trzymanej w pionie przez wąską i żyłastą szyję, chuchał w dłonie. Chyba nawet już nie czuł, jak zaczyna mu latać szczeka.

Waškowiak nic nie odpowiedział. Już mu się nie chciało. Nasunął tylko na uszy grubą papachę i wpatrywał się w koniec polnej drogi, sięgającej aż do szosy obsadzonej rzędami lip. Wiedział doskonale, że jeśli postoją tu jeszcze z kwadrans, to i ich trzeba będzie zabierać do kostnicy.

Sięgnął do kieszeni płaszczka po papierosa, choć nie miał na niego ochoty. Ubzdurało mu się, że ten mały tytoniowy ognik podtrzyma go na duchu, rozgrzeje.

– Jest – wycedził przez szczękające zęby Molidło. Zrobił to z takim entuzjazmem, jakby zaraz nastać miała wiosna.

Z szosy w pole skręcił niewielki samochód. Waškowiak uniósł dłoń i zamachał, słusznie uznając, że w tej lekkiej zadymce można ich dwóch nie zauważyć.

Wóz pędził, ile miał mocy pod maską, bujając się komicznie na resorach. Zmarznięta, dziurawa ziemia nie nadawała się do takich prędkości i zdawało się, że stary samochód rozsypie się na części.

Dojechał jednak do celu, zahamował głośno i stanął przy przepuście nad kanałem.

Milicjanci chwilę patrzyli na ten cud techniki. Co z tego, że był stary, sponiewierany i palił jak ruski czołg? Chronił przed wiatrem w taką pogodę i dzięki niemu nie trzeba było wlec się rowerem albo i pieszo.

Drzwi ponemieckiej dekawki F8 otworzyły się ze skrzypnięciem.

Z przedniego siedzenia pasażera wyskoczył oficer w długim, chyba posowieckim szynelu, przepasanym pasem z koalicyjką. Pod szyją miał zakutany szal, na głowie grubą uszankę, też chyba sowieckiego wojskowego sortu. Obaj funkcjonariusze poznali go od razu. „Pała”, jak na niego mówili, był dobrze zbudowanym porucznikiem, szefem jednej z sekcji. Nie pracował długo, dopiero kilka tygodni, ale dał się poznać jako cwany śledczy, który sam brał się do przesłuchań aresztantów. Jego ksywa pochodziła od ulubionego narzędzia wykorzystywanego przez niego w teźże pracy.

Patrząc na jego spokojną twarz i inteligentne spojrzenie, trudno było poznać, że kryją się w nim takie pokłady sadyzmu. Oddali mu honory, jak należało. Waškowiak, jako starszy rangą, zaczął meldować.

– Towarzyszu poruczniku, sierżant sztabowy Waś...

– Dobra już – przerwał „Pała”, a właściwie Froński.

Nie spuszczać oczu z leżącego w rowie ciała, podał niedbale rękę obydwu funkcjonariuszom.

– Kto to? – zapytał bez ogródek i stanął w rozkroku na rowie.

– Chuj go wie. – Wzruszył ramionami Waškowiak.

Molidło zrobił tak samo. Mówienie pozostawiał ważniejszym od siebie.

Froński ostrożnie zszedł w dół, tak balansując ciałem, by się nie poślizgnąć i nie spaść na truchło. Przykucnął, nabrał powietrza i odsłonił jakąś szmatę, którą zakryto twarz denata. Przyglądał mu się uważnie, bez śladu emocji. Trwało to tak długo, że aż milicjanci wymienili podejrzliwe spojrzenia. Znów zaczęło wiać mocniej, a wiatr zaświszczał głośno.

– Po mojemu, dostał w łepetynę. I w rękę ranny – przerwał nieco jego zdaniem przydługie oględziny Waškowiak, który nie miał zamiaru zamarznąć. – Potem ktoś go jeszcze podduśił.

– Skoro dostał w łeb, po co go dusić? – Froński powiedział to cicho. Ni to do nich, ni do siebie. Podparł głowę o dłoń i drugą ręką delikatnie odchylił kołnierz ofiary. Zaraz poniósł szmatę i spostrzegł zmarznięty ślad na ręce denata. Nie najlepszy opatrunek. – Zaprawili go czymś w głowę – powiedział. – A te ślady na szyi... To od przeciągania. – Patrzył na zakrzepłą ranę.

– Może tak być, tak pewno było. – Waškowiak zwykł szybko zmieniać zdanie, byle było zgodne z tokiem rozumowania przełożonego.

– Nie wiecie, kto to? – Oficer otrzepał ręce i wygramolił się z rowu.

– A skąd – zaprzeczył sierżant. – Pewno się go tu widywało, bo gnojzków zawsze się kręci,

ale kto to, skąd on? Nie wiadomo. Żadnych papierów, trochę grosza, choć niewiele...

– I to. – Obudził się Molidło, wyciągając zza pazuchy niemieckiego Walthera.

Waškowiak spiorunował go wzrokiem, że wcina się mu w pięknie naszykowaną mowę.

– O proszę! – Froński wyraźnie się ożywił. Pochwycił pistolet i zaczął obracać w dłoniach, jakby sądził, że znajdzie na metalu jakikolwiek ślad. – Znaczy się... – Dziwnie pojaśniał na twarzy. – Bandyta. Samopas czy od kogoś?

– Może tak być, może – wtórował mu Waškowiak

– Ale kto go tak urządził...? – Oficer znów się zamyślił.

Postawił kołnierz. Przez rozgorączkowanie nie odczuwał chyba wcześniej kłującego wiatru.

– Kto go znalazł?

– Tutejszy, taki chłopina. Grzęda mu na nazwisko. Jechał do miasteczka, rano patrzy, a tu coś leży – wyjaśnił żwawo Waškowiak, który już przestawał czuć nogi.

– Przesłuchaliście? – Froński spojrział na niego krzywo, jakby nie ufał ani jemu, ani Molidle.

– Tak jest. Ale nic nie widział, towarzyszu poruczniku. Trup to trup. Żadnych ludzi, śladów, nic.

– No jasne, jasne. – Froński znów odpłynął myślami, wpatrzony w broń. – Zabierzecie go? – spytał po chwili.

– Mają przyjechać furmanką i wziąć go na oględziny, a potem...

Froński sapnął.

– Zdaje się że to sprawa dla urzędu, nie dla was. – Myślał intensywnie, ale tylko jedno przychodziło mu do głowy.

Kolejna sprawa na jego biurku. W urzędzie były wakaty, ludzi mało, on sam prowadził jedenaście spraw, a jeszcze trzeba było ogarnąć agenturę. O rozkazie szukania ludzi „Jastrzębia” i „Jamesa” nawet nie chciało mu się myśleć. Huk roboty.

– Przygotuję raport – oświadczył w końcu. – Sprawdzi się operacyjnie, może ktoś gdzieś coś widział... Ale wątpię. Albo ktoś nam zrobił prezent, albo to jakaś bandyterka.

Schował Walthera do kieszeni i ruszył do auta.

Obaj milicjanci tylko zasalutowali rażno, widząc, że od strony wsi jedzie wóz.

\*

W małych społecznościach, gdzie brak rozrywek, a i jeszcze dni są potwornie krótkie, takie wieści rozchodzą się szybko. Bardzo szybko. Zaraz stają się tematem numer jeden, powodem plotek i domysłów, idiotycznych teorii i przechwałek tych, co to słyszeli od kolegi szwagra, że...

Do południa już huczało w miasteczku. W knajpach, sklepach i na targu. Głównie przez ten ostatni wieść o tajemniczym trupie na polu pod Kozim Rynkiem pędziła z ogromną prędkością.

Zmierzchało, a nad brukowanymi uliczkami tylko gdzieś tam paliły się skromne latarnie. I w domach próżno było szukać jaśniejszego światła. Miasteczko o tej godzinie, w szarudze spadającego zmierzchu, zamierało.

Jadwiga wyszła z pracy nieco wcześniej. Drugi już raz udało się jej uporać z papierami na czas. Referat gospodarczy zawałał ją robotą, ale radziła sobie nadzwyczaj sprawnie. Nie było w tym zasługi szefostwa, które motywację ograniczało do marnych komplementów. A i one już jej nawet nie krępowały. Przywykła i myślami uciekała gdzie indziej. Wspominała ostatnie dni, planowała i marzyła.

Józef może był młody, czasem nieco pyszałkowaty i lubił robić wrażenie, ale umiał ją rozbawić. Dbał o nią i nawet jeśli zbyt często się popisывał, wniósł w jej szare życie nieco radości. Nawet

ryzyko związane z jej drugą „pracą”, o której wiedziały tylko dwie osoby, wydawało się mniej dokuczliwe, kiedy miała się do kogo przytulić.

– Halo, nie widzisz mnie czy co? – Oburzony głos wyrwał ją z marzeń na jawie.

Wzdrygnęła się i o mało nie przewróciła na krzywym chodniku.

– Za płot – usłyszała.

Skręcili za parkan sporego drewnianego domu na końcu Ostrowieckiej. Stał przed nią. Wysoki, okutany w płaszcz, dziwną czapkę naciągniętą głęboko na czoło, owinięty szalem. Patrzył nieruchomym wzrokiem. Przyszło jej na myśl, że wpatruje się tak, jakby chciał ją zapisać w pamięci.

– Miałeś zniknąć – rzuciła. – Przecież tak mówiłeś – syknęła, ciągle rozedrgana po niespodziewanej zaczepce.

– Co to za historie krążą po okolicy? – „Pielgrzym” nie bawił się we wstępy.

– Że co? Które...? A te... – Szybko pojęła, widząc zniecierpliwienie na skrytej w pół mroku twarzy Gładyszaka. – No co, znaleźli kogoś...

– Kto to? Wiesz? – Niecierpliwiał się.

– Nie mam pojęcia – odparła wolno i wyraźnie, dając mu do zrozumienia, że gniewa ją takie traktowanie. – Może by tak „dobry wieczór” najpierw? Jestem zmęczona. – Jak przystało na nadaną niewiastę, zmarszczyła brwi.

– Wybacz – uległ, pojmując, że to nie poza, a prawdziwa, narastająca frustracja. – Wybacz – powtórzył, lekko się cofając. – Po prostu... Dowiedziałem się i musiałem, musiałem... – O mały włos powiedziała by „cię zobaczyć”, ale stchórzył. – Musiałem zapytać.

Uśmiechnął się nerwowo, taksując ją wzrokiem i głośno przełykając ślinę.

Stała przed nim znowu, z tą swoją jasną, choć nieco szarawą buzią. I nawet w przydużym, wyraźnie cerowanym płaszczu, wydobytym z szafy na pierwsze mrozy, wyglądała dlań przepięknie. Nie był pewien, czemu zaczął patrzeć na nią w taki sposób. Jeszcze niedawno ich relacja ograniczała się do służby, a teraz... Stres, lęk, a może i zwykła zazdrość o „Leona”? Trudno było to wyjaśnić.

Oficer odetchnął głęboko i zdjął czapkę. Pomogło nieco, opamiętał się. Chciał bardzo, żeby to nie była tylko gra, konspiracja, żeby i on mógł jak Józek... Ale nie. Do czegoś takiego nie miało prawa dojść. Zbyt wiele ryzykowali. Oboje.

– Może wiesz cokolwiek? – Złożył dłonie. – Przywlokłem się tu... od siebie. Słyszałem, że to ktoś postrzelony...

– Głupstwa – zachnęła się Jadwiga. – Teorii wiele. U nas... – ściszyła głos rozglądając się dookoła – w urzędzie mówią, że to ktoś z lasu. Dostał w głowę. Ale nie z broni, a jakimś łomem. Nikt go nie zna, nie wie, kto to. Ponoć leżał tam ze dwie doby i mróz go zakonserwował...

Gładyszak słuchał, niemo potakując. Mimo chłodu i wiatru pod ubraniem robiło mu się gorąco.

„Dwie doby. Mój Boże, mój Boże!” – myślał przerażony, a grdyka mu zafalowała.

– Dobrze – przerwał dziewczynie, unosząc palec do ust. – Dziękuję ci bardzo. – Wysilił się na błady uśmiech.

„Duren z ciebie. Mógłbyś coś jej podarować od czasu do czasu” – obruszył się sam na siebie.

– Posłuchaj mnie uważnie – poprosił ciepło i chwycił ją delikatnie za ramiona. Pierwszy raz, odkąd razem pracowali.

Pochylił głowę i spojrzął Jadwidze głęboko w oczy.

– Tak jak ci mówiłem wcześniej, mam rozkaz się ukryć. Przeczekać, choć nie wiem, jak dłu-

go i czy w ogóle jeszcze będziemy pracować.

Kobieta drgnęła, jakby ostatnie zdanie ją wystraszyło. I nie chodziło o koniec konspirowania, a o to, że może nie zobaczyć już Józka. A i kontaktów z tym zasadniczym, i co tu kryć, nawet niczego sobie oficerem, też będzie jej brakować.

– Spokojnie, nie zrezygnujemy z ciebie. – „Pielgrzym” wyczuł rozterkę i zaczął ją pocieszać. – Będziemy się kontaktować, ale inaczej. Nie mogę tak dłużej... – Wskazał głową w bok, dając do zrozumienia, że chodzi mu o miasteczko. – Mówiłem ci, że byli blisko, że cudem chyba...

Kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– No więc właśnie. Ale nie przestaniemy się kontaktować, znaczy ty nie przestaniesz... – mówił spokojnie. – Na pierwszym domu koło przystanku autobusowego zrobisz kredą koło, kiedy będziesz miała dla mnie coś ważnego.

– Ale jak... – próbowała coś wtrącić, niegotowa na nowe polecenia, lecz gestem kazał jej milczeć.

– W murze kościoła Świętej Trójcy, zaraz za bramą, jest szczelina. Ściana pęka przy samej ziemi. Tam będziesz chowała wiadomości. Staraj się pisać drobno, kartki nie mogą być duże. Możesz je w czymś ukryć, jeśli dasz radę. W pudełku po zapalkach czy czymś takim. Jak odczytam, przekreślę koło. Od prawej do lewej. Rozumiesz? Rozumiesz, co mówię?

– Tak, „Pielgrzym”, rozumiem. Skrytka w murze pod kościołem, koło – powtórzyła szybko.

Serce zaczęło jej szybciej bić. Już rozważała, jak wytłumaczy, że chodzi do kościoła. Ona, pracownica Urzędu Bezpieczeństwa. Jeszcze jej na niczym nie przyłapali.

– Coś jeszcze? – Uzmysłowała sobie, że jej spotkanie z poszukiwanym partyzantem było o wiele gorszym występkiem.

– Nie, to chyba wszystko... – Maciej zasępił się. Puścił jej ramiona, ciągle wpatrzony w cudne oczy.

– Wszystko w porządku? – spytała niepewna, czy oficer aby nie popada w jakąś formę obłędu.

– Tak. Jest dobrze. – Zabrzmiało to nieszczerze. – No cóż, idźmy już, bo ktoś nas wypatrzy.

– Trzymaj się zatem. – Ruszyła na chodnik, choć ciągle oglądała się przez ramię.

Nie miała pojęcia, czy to wpływ aury, wieczornej ciszy i tej dziwnej chwili, ale zaniepokoił ją i zaintrygował. Może po prostu czuła, że kończy się pewien etap.

– Pozdrów Józka – rzucił cicho, nieśmiało, jakby żałował, że się na to odważył. – U was... u niego dobrze? – Pozwolił sobie na zbyt intymne pytanie.

– Tak, dziękuję. – Uśmiechnęła się. – Trzymaj się. – Ruszyła prędko przed siebie.

Oficer znów został sam. Wiatr gwizdał, niosąc nieodległy skowyt jakiegoś psa, któremu najwyraźniej nie podobało się, że w taki ziąb musi warować przy budzie.

Maciej, gdyby mógł, też zawyłby ze wściekłości pomieszanej z żalem. Stał sam, smagany listopadowym wichrem, z perspektywą noclegu w zatęchłej norze i kolejnych dni spędzanych w samotności, bez dobrego słowa od kogokolwiek. Potem miał wyjechać. Ale kiedy, dokąd, po co i dla kogo nie wiedział, nie rozumiał i wcale nie miał na to ochoty. Na dodatek powinien zamknąć swoje sprawy, co oznaczało, że musiał wygasić oddział. Co będzie z ludźmi, bał się nawet myśleć. Mogli iść do innych oddziałów, ale tamte były jeszcze mocniej osaczone, zepchnięte do rozpaczliwej obrony. Niezdolne do silnych, spektakularnych uderzeń. I to w jakim czasie? Namierzone w dosłownie kilka miesięcy.

Najbardziej gryzło go jednak coś innego. Nie dawało mu spokoju, że prawdziwe zagrożenie, czyli bezpieka, trafiło wreszcie na jego trop. Podstawiło wilka w owczej skórze i wie dużo. Nie

miał dowodów, ale po prostu przeczuwał. I jeszcze te zwłoki...

Wyszedł na ulicę, uważnie się rozglądając. Przesunął wzrokiem po załomach ścian i ciemnych bramach, szukając wpatrzonych w niego oczu. Ogona, którego zawsze i wszędzie się spodziewał.

A jeśli to był „Borys” albo „Poleszuk”? To pytanie męczyło go od rana. Od chwili, kiedy jego gospodarz przyniósł mu tę nowinę. „Jeśli to któryś z chłopaków szedł mnie ostrzec? Szukał ratunku? Wyrwał się z matni i...” Zrobiło mu się słabo. Oparł się o płot i głęboko oddychał. „I ktoś załatwił go tutaj. Jakiś zbir? A może ktoś ze swoich? Gdyby zrobili to ubecy, już trąbiliby o tym na cały głos”.

Co dziwne, o akcji pod Firlejem nikt nie wspominał. Tyle tylko, że była jakaś strzelanina. Ilu ludzi brało w niej udział, ilu zginęło, miał wkrótce się przekonać. Wyprostował się, jeszcze raz spojrzął za plecy.

„Równie dobrze to mógł być przypadek”. Próbował się uspokoić. „Jeśli nawet to nasz, to w łeb mógł dać mu ktokolwiek. Zwyczajny złodziej”.

Doszedł do jakiegoś ciemnego zaułka. Pod chylącym się ku ziemi budynekciem stał rower. Jego rumak. Środek transportu dzielnego oficera. Zawsze gdy na niego wsiadał, był bliski śmiechu.

„Gdyby ci w Londynie wiedzieli...”

Nacisnął na pedały i ruszył w coraz gęstszy mrok, podskakując na wybojach. Musiał jeszcze trochę pokręcić się po okolicy. Trzeba było zwołać chłopaków. Przekazać im rozkaz. Samemu, żeby nie ryzykować więcej życia posłańców. Musiał to zrobić, choć miał dość i opadał z sił.

\*

Siedzieli we trzech w przytulnym, ciepłym pokoiku urządzonego w stylu XIX-wiecznego gabinetu, z aranżacją niezmienną od czasu, gdy zwinęli się stąd poprzedni właściciele. Stylowe ciemne meble – szafa, i wąskie, pięknie wykończone biurko – stały na tle zielonych ścian. Za oknem nieprzerwanie sypał śnieg, opadając wielkimi płatkami na parapet.

Ordynans podał prawdziwą kawę, a do tego nieodzowny koniak tak lubiany przez sowieckich oficerów i włodarzy. Sączyli więc ten symbol swego statusu, ginąc w tytoniowej chmurze i dyskutując o wszystkim i o niczym. Zardow, Sudopłat i Wasiljewski. Dwaj ostatni w mundurach – jako oficerowie wojska, nie MGB. Major Stiepan Zardow wiedział doskonale, że włączy w cudze sprawy z zabłoconymi buciorami. Burzy normalną, niełatwą robotę służby, na pozór sojuszniczej, ale pozostającej od dawna w cichej podjazdowej wojnie, której nie przerwało nawet powstanie Komitetu Informacji. Liczył po cichu, że obstawienie się dwoma mundurowymi nieco złagodzi furię ataku. Dopiero potem przedstawi swoje specjalne prerogatywy.

Nagle ktoś gwałtownie szarpnął klamkę. Zanim zdążyli odłożyć papierosy i kieliszki, w pokoju stał już rosły mężczyzna, wyglądem przypominający atletę na emeryturze. Dopasowany mundur generalski, z kilkoma odznaczeniami za odwagę, podkreślał jeszcze jego mocarną posturę. Twarz miał surową, a spod zaczesanych, ciągle gęstych siwych włosów patrzyły na nich niezbyt zadowolone, bystre oczy.

– Narobiliście zamieszania, towarzysze – burknął od progu, nie zamierzając bawić się w żadne miłe gesty.

Trzasnął drzwiami i lekceważąc stojących na baczność oficerów, minął biurko, po czym otworzył okno. Wymownym gestem machnął dłonią w szarej chmurze, a na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

Zardow ostrożnie odwrócił głowę, spozierając na Sudopłata i Wasiljewskiego. Ci trwali w postawie zasadniczej, nieruchomi jak rzeźby. Doświadczeni wyjadacze wydawali się wystraszeni jak uczniaki na dywaniku u kierownika szkoły.

– Mam człowieka, dobrze przygotowanego... – generał Aleksander Piatakow, weteran Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego, mówił wolno, tylko na pozór spokojnie – ...szukuję go tygodniami, a wy mi tu w ostatniej chwili dokładacie do planu. – Stał ostentacyjnie zwrócony plecami do gości i wdychał zimne powietrze. – Czy wy zdajecie sobie sprawę, jak to zmienia cały układ mojej operacji?! – Uniósł się na palcach.

Zardow skinął na Wasiljewskiego. Był majorem, miał mundur, musiał sprawdzić, czy pomysł czekisty okaże się dobry.

– Towarzyszu generale, pozwólcie. Nasza akcja wymaga użycia waszego wychowanka. To rzecz zaakceptowana przez najwyższe czynniki – tłumaczył prosto i, ma się rozumieć, bez szczegółów. – To tylko kilka nowych faktów, które mają dotrzeć do... – Łypnął na Zardowa. – Do tamtych. Na drugą stronę.

– Kilka faktów?! – Piatakow uderzył ręką w parapet, aż szyby zadzwoniły. – Wiecie, jak długo trwa przygotowanie człowieka do takiej podróży?

Generał odwrócił się, założył ręce i obrzucił zebranych lekceważącym spojrzeniem. Z wyrazu jego twarzy mogli wyraźnie wyczytać, że nie obchodziło go, czy byli z branży, albo jak długo w niej siedzieli. Dla niego stanowili grupę bezczelnych ludzi, którym wydawało się, że pozjadali wszystkie rozumy, i co gorsza, rozwalali mu uporządkowane życie szefa akcji specjalnych wywiadu północnej grupy wojsk. Stanowiska cichego i nierzucającego się w oczy. Z tej przyczyny paradował w mundurze artylerii, a nie GRU.

Nie dali się sprowokować, stali niewzruszeni, czekając, aż mu przejdzie. W końcu mieli zgodę najwyższego kierownictwa.

– No dobrze. Co to ma być dokładnie? – zapytał zrezygnowany generał i potarł dłonią czoło.

– Dosłownie drobnostka. – Teraz Zardow zajął się mówieniem. Schylił się do teczki, dotąd skrytej za nogą lakierowanego stolika. Wydobył kilka kartek w brązowej okładce. – Tu jest wszystko. Opis sprawy, cała historia i legenda. Wasz człowiek musiałby to przedstawić jak najlepiej. Ba, może nawet to powinno stać się jego głównym zadaniem.

– Głównym zadaniem. Dobre sobie. – Generał oparł się o parapet i wyprostował. Zimno płynące zza okna nie robiło na nim wrażenia. A może tylko bawił się widokiem oficerów, którym zapomniał wydać rozkaz „spocznij”. – Figurant miał ruszać w ciągu pięciu dni. – Generał zaciśnął dłonie w pięść. – Wszystko gotowe, kanały, sprzęt...

– Nie mogliśmy wcześniej. Rozumiecie chyba... – Z twarzy Zardowa biła pewność i opanowanie. Nie miał zamiaru wchodzić w dyskusję. Zresztą zadania i życiorysy tutejszych oficerów nie bardzo go obchodziły.

Generał tylko wydał usta i uniósł głowę.

– No, ale do rzeczy. – Zardow zrozumiał, że ma się streszczać. – To, co tu mamy – zamachał teczką – mógłby teoretycznie zawieźć na Zachód każdy. Podstawiony oficer, nasz agent z MGB czy GRU. Chodziło nam jednak o to, żeby informacje przez nas spreparowane wyszły od oficera sił zbrojnych. Zwykłego oficera stacjonującego w tym kraju, w Polsce. W tej chwili tylko wy szukajecie takiego człowieka. – Jako specjalny przedstawiciel Komitetu Informacji miał wgląd do najtajniejszych spraw sowieckiego wywiadu, czym nie omieszkał się pochwalić. – Wiem, że ma próbować penetracji amerykańskiej armii i, jak zwykle to bywa, wprowadzić nieco dezinformacji. W tym macie doskonałe wyniki. – Zrobił pauzę i czekał na reakcję, ale generał był za sta-

ry i odporny na tanie pochwały. – Wasz człowiek uwiarygodni nas w stu procentach. Tak uważamy. – Zardow rzucił papiery na biurko. – Przystwojenie tych faktów zajmie trochę czasu, a co ważniejsze... – Spodziewał się teraz prawdziwej erupcji wściekłości u generała. – Będziecie mogli wypuścić go dopiero na nasze polecenie. Nie wcześniej. Prawdopodobnie... – Udał, że się zastanawia. – Pod koniec roku, towarzyszu generale. Zaraz pokażę nasze rozkazy, a jeśli nie wiezycie...

Piatakow nie słuchał. Wstał, sapnął i gwałtownym ruchem zamknął okno. Jego różowa dotąd twarz zrobiła się krwście czerwona, jakby miała wybuchnąć. Jako profesjonalista opanował się, choć z trudem. Podniósł teczkę i przewertował jej zawartość. Spod siwych brwi spozierał na Zardowa w taki sposób, jakby zaraz miał mu przegryźć tętnicę. Doskonale rozumiał, że nie może nic zrobić, nigdzie się odwołać, i to rozjuszało go najbardziej.

– Czekam na polecenie pod koniec grudnia – wydukał ledwo słyszalnie, włożył dokumenty pod pachę i niemal wybiegł z gabinetu.

\*

Odkąd pozostawił ostatnią wiadomość w niedużej sieci swoich martwych skrzynek, minęło niespełna trzydzieści godzin. Był głodny i zziębnięty, ale dumny z siebie.

Po pierwsze nie zapomniał co i gdzie, wyrył w pamięci każdy kamień, dziuplę i płot, które wybrał jako punkty składania meldunków. Po drugie nikt go nie śledził, ba, nikt go prawie nie widział. Prawie, nie licząc kilku podchmielonych facetów, chyba świętujących kierowców PKS-u, zataczających się w uliczce.

Na ich widok wyżej naciągnął szalik, żeby lepiej się maskować. To właśnie zimą i jesienią mógł pozwolić sobie na więcej wychodnego. Czapki i kołnierze kryły jego zarośniętą teraz twarz i cudem chyba nikt go jeszcze nie rozpoznał od tych kilku miesięcy. A przecież trochę popracował w okolicy i byle świadek mógł donieść, że widział znanego bandytę.

Sam „Pielgrzym” zastanawiał się czasem, czy to była kwestia przypadku, dobrego kamuflażu, czy może przychylności tutejszych ludzi. Lub... Na samą tę myśl włosy na rękach i głowie stawały dęba. Mogło być i tak, że znali go doskonale i tylko czekali na okazję, by go dopaść. Jak pod Firlejem albo jak w Partowie. To nie był przerost samouwielbienia, a zwyczajna kalkulacja. Napsuł krwi czerwonym i kiedyś będzie musiał za to zapłacić.

Spotykać się zimą, i to w tak sporej grupie, było dużym ryzykiem, ale okoliczności tego wymagały. W żadnej wsi czy miasteczku nie mieli szans na znalezienie bezpiecznej, dużej kryjówki, która pozwoliłaby im uniknąć wzroku szpicli, poutykanych nawet w przyjaznych osiedlach. Zresztą „Pielgrzym” nie miał zamiaru ryzykować życia i majątku tych biedaków z okolicznych przysiółków.

Wyznaczył spotkanie w lesie, za szosą do Parczewa, opodal Czemiernik. Daleko, zwłaszcza zimą, ale relatywnie bezpiecznie. Znali to miejsce z letnich koncentracji i szkoleń.

Przybycie tam zajmowało nieco czasu i było, delikatnie mówiąc, kłopotliwe. On, jak należało, pojawił się jako pierwszy. Dotarł na miejsce rowerem, który teraz miał ochotę porąbać na kawałki. W tym śniegu, nawet dla człowieka z formą, przebycie tych dziesięciu kilometrów było mordęgą.

Śnieg błyszczał w promieniach nisko wiszącego słońca. „Pielgrzym” zamaskował ślady w śniegu, obszedł lasek i polankę – nieduży kwadrat okolony połamanymi drzewami, z zaspami sięgającymi bioder. Zdawało się, że jest czysto i spokojnie. Nie dostrzegł nikogo, kto by za nim jechał. Zasiadł więc na pniu i zapalił papierosa.



Czekał na chłopaków, myślał i wspominał. Analizował wszystko, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach. Trawiło go przeświadczenie, że gdzieś w jego otoczeniu musi być kret. Że to nie rojenia zmęczonego umysłu. Miał kilka wątpliwości, ale żadnych dowodów. Bo który mógłby donosić? A jeśli tylko przejęli meldunek albo ktoś się gdzieś nieopacznie wygadał? Ilu ich będzie? Ilu zostało pod Firlejem? Z tyłu głowy od samego rana krążyła myśl, że jeśli tylko coś się zacznie, to będzie kolejny sygnał, że tamci wiedzą. Miejsce było do tego idealne.

Rozejrzył się wokół. Ogołocone z liści młode drzewka niknęły pod grubymi czapami śniegu, przez które połyskiwały promienie słońca.

„Ładnie tu” – pomyślał, na chwilę zapominając, kim jest i po co tu przybył.

Miejsce było faktycznie urokliwe, ale znów pomyślał, że także idealne na obławę. Nic tylko lasy oddzielone polami, płasko, żadnej osady. Wystarczyło ich otoczyć, a potem palnąć w łeb. Gładyszak wiedział, że ma za mało ludzi, by porządnie zabezpieczyć spotkanie. Musiał się spieszyć.

„Ale może w tej ostatniej sekundzie poznam, kim on jest”. Zaciągnął się dymem i zdusił peta. „Zanim mnie zabiją, ja zabiję jego”. Wyprostował się tak, by zimna stal broni odcisnęła się na plecach.

Przychodzili pojedynczo, ostrożni, wystraszeni. Witali się jakoś tak markotnie, siadali obok, palili i gadali, czasem tylko wybuchali śmiechem. „Pielgrzym” liczył ich ze ściśniętym sercem. Czas był najwyższy, minęła piętnasta i niebo zaczynało ciemnieć. Tak jak przewidział, był ich tuzin. Ulżyło mu. Gdyby kazał komuś jeszcze iść do chałupy w lesie... Ale skąd tamci o niej wiedzieli...?

– Skąd? – Zdusił cisnące się na usta pytanie.

Wstał. Nie chciał tego przeciągać, a zresztą już nogi porządnie mu zmarzły. Ludzie poderwali się z miejsc, ustawili w półokrąg. Nie widział ich wszystkich tylko kilka tygodni, a zdawało się, że minął rok albo i dłużej. Pozmieniali się. Bardzo. Wychudli, pobledli. Któryś chwiał się i Maciej początkowo sądził, że toczy go choroba, a on zwyczajnie był „wczorajszy”. „Pielgrzym” lekko się obruszył, chciał coś krzyknąć, ale odpuścił. Nie miał siły ich karcić, zresztą to wszystko już się kończyło.

Czuł za to dumę i satysfakcję, że zjawili się, dotarli w ten mróz. Nie pytał, gdzie się kryją, co robią i jak udało im się poukładać wszystko, by odpowiedzieć na wezwanie. Wszystko wokół nich zmieniało się szybko, nic nie było takie, jak powinno, na pozór zniechęcając do działania, ale oni czekali rozkazu.

Byli niemal wszyscy: „Leon”, „Wacek”, „Tomek”, „Giewont”, „Anastazy”, „Kowalski”, „Rejtan”, „Grzegorz”, „Szkop”, „Wokulski”, „Strzelba” i „Zawisza”. Młodzi, a już starzy, umęczeni, przygarbieni, lecz ciągle gotowi.

Z połową z nich znał się z powstania. Potem rozeszli się po świecie, jednak odnalazł ich. Kryli się, ale nie mieli zamiaru uciekać. Reszta przyszła później, już do oddziału, ciągnąc za legendą skoczka, który równie sprawnie palił niemieckie czołgi, co i sowieckie urzędy. Jeden, dawno temu, był podrzutkiem UB. Zabił go bez litości i tak trwał z tymi kilkoma ludźmi, czekając na wojnę. Ta nie nadeszła i nadejść nie zamierzała. Bili się i bez niej, w tuzinie bitew i potyczek. Połowa z nich była w Partowie. Albo walczyli, albo ubezpieczali.

Na samo wspomnienie tej bitewki i jej konsekwencji ścisnęło go w gardle.

– Panowie – wykrztusił, rozpoczynając oficjalną część. – Znów nas ubyło. – Popatrzyli po sobie. Umieli liczyć. Brakowało dwóch z nich, choć naiwnie wmawiali sobie, że to po prostu zwykła absencja. Że tamci gdzieś są, kryją się i spotkają z resztą następnym razem. A może szef

dał ich do ubezpieczenia.

– Nie ma z nami „Poleszuka” i „Borysa”. – Cierpkie słowa uleciały w las. – Wywiad ustalił... – Powiedział to pewnie, jakby siatka jego informatorów była ogromna. – Ustalił, że polegli w boju w zasadzce na naszą metę pod Firlejem.

Ciche westchnienie przeszło po oddziale. Nikt nie dopytywał o szczegóły. Wszyscy o tym słyszeli. Dowódca swoimi wątpliwościami nie chciał mieszać im w głowach. Za dużo było problemów. Poza tym jeśli był wśród nich szpicel, niech myśli, że szef niczego nie podejrzewa.

– Ostatnimi czasy straciliśmy aż czterech kolegów. „Bienka”, „Poleszuka”, „Borysa” i, na co wszystko wskazuje, „Oczkę”. Pomódlmy się cicho przez chwilę za spokój ich dusz.

Zrobili, jak kazał. Zdjęli czapki i pochylili głowy. Wielu zastanawiało się, kto będzie następnym.

– No dobrze. – Gładyszak przerwał chwilę zadumy, wyprostował się i założył ręce na plecach. – Mamy rozkazy – zaczął surowo, patrząc kolejno wszystkim w oczy.

Zapłonęły ciekawością, a na kilku policzkach pojawiły się rumieńce ekscytacji. Spodziewał się tego i musiał zdusić ten płomień.

– Polecenie najwyższych czynników Państwa Podziemnego.

Nazwa zakrawała na żart, bo już nic takiego nie istniało, ale też nie chciał wchodzić w mean-dry wzajemnych stosunków z WIN-em i resztą podziemia. Gdyby coś się zdarzyło, nie wyznali-by nic nawet na torturach. On tworzył teatr, pewną wizję. Prostą i strawną dla wojska.

– Panowie... powiem krótko. Musimy zawiesić działalność.

Szereg zachwiał się. Ludzie zaczęli szeptać między sobą, nawet pokrzykiwać.

– Nie ma mowy. Bzdura. – Kręcił głową rudy partyzant noszący pseudonim „Zawisza”.

– Nie, to niemożliwe... – mówił ktoś inny.

Widać było, że ci tu byli najtwardsi, najbardziej zajadli, bo nie rozeszli się w świat, czekając na... No właśnie, na co?

– Spokój, panowie. – Oficer próbował ich hamować, unosząc dłonie. – Uspokójcie się... – Nie słuchali. – Baczość! – ryknął wreszcie. Echo poniosło się daleko.

Szurnęli obcasami w śniegu i zamarli, odzwyczajeni od drylu, ale ciągle reagujący prawidłowo.

– Mnie też to się nie podoba, ale tak to wygląda. – Gładyszak sam nie był pewny, czy wierzy w to, co mówi. – Sytuacja jest... – Potrząsnął nerwowo ręką. – Jest, jaka jest. Widzicie sami, jak trudno zebrać się w całość, nie budząc podejrzeń. Praca konspiracyjna w tym momencie jest bardzo trudna, ale nie niemożliwa, więc miejcie oczy i uszy otwarte. Prawdziwy problem jednak to planowanie większych starć. Za dużo wojska i ubeków po miasteczkach. W sytuacji zagrożenia każdy z was wie, jak ma reagować. – Zrobił kilka kroków, wpatrując się w czubki mokrych butów. – Wiem, że to tymczasowe. – Łgał jak z nut. – Na wiosnę ma się coś ruszyć. Broń i amunicję mamy, jeszcze im pokazemy.

Próbował wykrzesać z siebie jak najwięcej entuzjazmu, ale po ich twarzach widział, że kiego mu to wyszło.

– Spocznij – rozkazał.

Znów rozszedł się szmer.

– Gównno z tym, już po nas – usłyszał.

– Który to powiedział? – Oficer rozejrzał się po zebranych.

– A ja, panie poruczniku – rozstąpili się przed małym, skrzywionym człowieczkiem z o wiele za długim nosem. – Ja to mówię. Gównno – wymamrotał, chwając się „Strzelba”. – Rozwałę nas

albo zdechniemy z głodu... Ja jeszcze mam robotę, jeszcze coś tam robię, ale reszta... Po co to... po co to wszystko było... – Machnął ręką. – Pójdziemy pod ścianę albo zdechniemy z głodu – mamrotał coraz mniej wyraźnie.

– Zamknij się! – rzucił „Wacek”, zaciskając spore pięści.

– A w dupie cię mam... – Chciał pogrozić palcem „Strzelba”, ale mocno zbudowany żołnierz złapał jego ręce i wykręcił. Podchmielony mężczyzna tylko stęknął i przesyty bólem padł na kolana.

– Dość – rozkazał „Pielgrzym”. – Dość, do cholery... – Klepnął w ramię „Wacka”. – Spokój! – Złapał pijanego „Strzelbę” za poły kurtki.

– Będzie spokój, panie poruczniku, będzie, ale co więcej? – „Strzelba” patrzył przymglonym wzrokiem. – Jak mamy przeżyć? Pieniądzy brakuje, rabować zakazali, a przecież broń mamy...

– Ja wam dam rabować! – Maciej odskoczył, czując na sobie spojrzenia reszty. – Za rabunek kula w łeb, wiecie? – Teraz on groził.

Niektórzy pospuszczali głowy. Albo zawstydzila ich ta sytuacja, albo mieli już coś na sumieniu.

– Każdy taki wybryk – mówił to chyba setny raz – to ślad dla bezpieczeństwa, dla Sowietów. Nie bądźcie głupi. I ludzie nas przestaną poważać. Wszystkim jest źle, ale żyjemy i możemy działać. – Rozłożył ręce. – Coś musi się, do cholery, zmienić. Bo jeśli nie... – Przygryzł wargę. Zamilkli wszyscy.

Maciej zasiadł na pniaku i sięgnął po papierosa.

– Zawieszam oddział do marca. – Błysnęła zapalka. – Potem dam znać, gdzie i kiedy się spotkamy. – Mówił niewyraźnie, od niechcienia patrząc na gasnący płomień. Nie chciało mu się nawet udawać silnego, pewnego siebie wodza. – Jeśli zajdzie coś ważnego... Dam jakoś znać. Spotkanie skończone...

Ludzie popatrzyli po sobie, jakby nie dowierzali. Ktoś machnął ręką i pierwszy począł się żegnać. Inni poszli w jego ślady. Potem podchodzili do „Pielgrzyma”. Wstał, podawał dłoń i każdemu mówił coś na pocieszenie.

Rozchodzili się wolno. Tylko „Strzelba” rzygnął obficie na odchodne.

„Symboliczna scena?” – pomyślał oficer, kręcąc z niesmakiem głową. Jeszcze nie tak dawno temu kazałby go ukarać i oddać broń.

– Jedziesz do miasta? – zapytał „Leon”, wyciągając rower z krzaków. – Jakbyś chciał, to u brata znalazłoby się miejsce – zagaił nieśmiało. – Jego naprawdę nikt się nie czepia, byłoby...

– Miło, że proponujesz. – „Pielgrzym” skinął głową. – Ale sam wiesz...

– Wiem, wiem. – Chłopak przygasł.

– Pozdrów rodzinę i znikaj. Ja tu jeszcze zostanę. – Uśmiechnął się dziwnie, aż „Leona” przeszedł dreszcz.

– Ale jest dobrze, tak? – spytał niespokojny.

– Tak mój drogi, nie walnę sobie w łeb – prychnął Maciej rozbawiony.

Zaczęło wiać i ciemne sylwetki rozchodzących się ludzi rozmywały się w śniegu.

Maciej Gładyszak zapalił kolejnego papierosa. Coś go znów kłuło pod sercem, jak wyrzut sumienia.

Nie mógł im powiedzieć, że pewnie więcej się nie zobaczą, że on musi wyjechać. Tylko on. I przynajmniej jedna wątpliwość uleciała w niebyt. Nasłuchiwał strzałów i krzyków. Nic. Obława nie nadchodziła. Tamci jednak nie wiedzieli wszystkiego. Pytanie tylko, jak długo. ■

## ROZDZIAŁ 7

– Do was, towarzyszu kapitanie. – Chrapliwy głos chorążego wyrwał Sylwestra Barańczaka z lektury zeznań. Podniósł ciężką ze zmęczenia głowę i ziewnął.

Człowiek przed nim trzymał małą zieloną kopertę z lichej jakości papieru. Wiedział, co to takiego. Listy na jego ustalone, lipne dane w urzędzie miały w określonym terenie absolutny priorytet. Najlepsza droga przekazu. Telefonów nie było wiele, a i nie zawsze można było się do takiego dopchać, ale zielone koperty... Swoją drogą, szły nawet szybciej niż urzędowe meldunki.

– Dziękuję. – Odprawił posłańca i jednym ruchem rozerwał kopertę.

Rozłożył kartkę i czytał, wydymając usta z przejęcia.

– Kurwa – warknął, gdy skończył, aż jego kolega siedzący przy biurku obok zrobił zdziwioną minę.

– Tak źle?

Barańczak nic nie odpowiedział. Poderwał się z krzesła i podszedł do okna. Widok na łatane pobieżnie budynki, ruiny kryte śniegiem, zwykły – nie wiedzieć czemu – koić jego nerwy.

Jeszcze raz wetknął nos w karteluszek.

– Właśnie? Czy tak źle? – Odruchowa irytacja ustąpiła miejsca wątpliwości. – Idziecie w odstawkę... – mamrotał do siebie. – Nie będziecie więc przeszkadzać... – Pokiwał głową i przygryzł róg listu. Układał wszystko w głowie.

Podszedł do biurka i chwycił za słuchawkę.

– Łączcie... – W końcu miał coś ciekawego do przekazania swemu nowemu zwierzchnikowi.

\*

Widował takie rzeczy nie raz i nie dwa, ale zawsze go to kręciło. Przecież niemal każdy lubi popatrzeć na fajerwerki. Nie mógł tylko sobie przypomnieć, kiedy obserwował je po raz ostatni w takim wydaniu.

„Chyba gdzieś w Rzeszy?” Męczyło go to. „Tak, w jakiejś dziurze, w górach Harz...”

Saperzy wywalali w niebo zapory na wiejskich drogach. Powalone bale drewna, zapełnione wewnątrz kamieniami, albo stare autobusy otoczone żelaznymi kozłami. Zrozpaczeni Niemcy sądzili, że takie zabawy powstrzymają pochód amerykańskich dywizji.

Robienie takiej rozróby samemu było jeszcze większą frajdą niż oglądanie jej. Kilka kabelków, przekręcenie detonatora i bum. Wolał to niż ładunki z lontem. Były bardziej niebezpieczne, zmuszały, żeby podejść bliżej celu. Elektrycznie można było odpalać w dowolnej chwili, z ukrycia.

Jeszcze drżały mu ręce, jeszcze huczało w uszach. Nie wiedział tylko, czy z emocji, czy ze strachu.

– Co, odwykłeś?! – przygadywał mu instruktor, przysadzisty antałek o nalanej, nieregularnej twarzy.

Sterczał nad każdym, on i jego pomagierzy, sapiąc przy uchu i marudząc, nawet jeśli w rękach mieli ćwiczebne ładunki. Robił wrażenie zesłanego tu za karę, cierpiącego, który z tą katorgą lubi się obnosić.

Zielinsky wyrzucił z głowy to, co kazano mu znosić dobre trzy tygodnie temu. Jeszcze trzy rzuty, pogonie i ciągły lęk przed następnym przesłuchaniem. Stał się ostrożniejszy, bardziej

skupiony. Starał się mocno, ale i tak go dopadli, bo i mieli dopaść.

Był przygotowany, nawet pyskował, co przypłacił kilkoma sińcami więcej. Trzymano go w strasznym zimnie i hałasie silników aut, skrępowanego i nie do końca zdrowego. Nie dał ciała, choć nie był pewien, czy po kolejnych dwunastu godzinach tortur by nie pękł.

Dopiero po kilku takich przedstawieniach zrobiono im w jakimś baraku szkolenie. Instruktorzy, jakiś weteran z wojennych czasów, dywersant z Włoch czy Jugosławii oraz siwy lekarz psychiatra, oznajmili krótko:

– Może być gorzej. Znacznie gorzej.

Nie chodziło o doświadczenia z Niemcami, ale z nowym wrogiem. Z Sowiecami. Podobno – choć w to mało kto uwierzył – jeszcze w czterdziestym czwartym, kiedy Armia Czerwona i jej kontrwywiad pojmali członków kilku tajnych misji amerykańskich, zajmujących się wywiadem na Bałkanach, specjaliści od niemiłych rozmów zabrali się ostro do pracy, dając kolegom z Zachodu próbkę swoich możliwości. Oczywiście nie poszli na całość, nikogo nie zabito. Wszyscy formalnie nadal byli dobrymi przyjaciółmi.

Wniosek z tych opowieści płynął jeden. Tortur zazwyczaj nie da się wytrzymać. Jeśli są brutalne, nie sposób ich znieść fizycznie, a rzadko bywają wysublimowane. I najczęściej połączone z psychicznymi. Dla lepszego efektu. Kilka ostrych ciosów, potem brak snu, światło, hałasy, inscenizacja egzekucji. Proste, psychologiczne zagrywki, które mają załamać wolę. Z tego powodu w szkoleniu, które przechodził Karol, chodziło tylko o to, by ostateczne załamanie odwlec maksymalnie w czasie, by pozwolić tym, co zostali na wolności, uciec, zapaść się pod ziemię, pozrywać kontakty.

„Kurwa, ja naprawiam samochody...” Karol nie miał pojęcia, co robią inni, zabroniono im o sobie opowiadać, ale to wszystko przypominało pierwszą lekcję pływania, w której kursanta wrzuca się od razu na głęboką wodę. Może tylko on miał takie odczucia, może zdiagnozował przez te dwa lata i zaczął się nadmiernie bać. I zastanawiać.

Nie bardzo mu to odpowiadało, ale przysięgał sobie, że w prawdziwym życiu da radę, nie skrewi... Niemniej pewny tego nie był. Potem wmówił sobie, że jest jeszcze młody i sił mu starczy. Zresztą, jak by nie patrzeć, zapowiadała się wielka przygoda. No i może tylko tacy, którzy zostali wrzuceni na głęboką wodę i utrzymali się na powierzchni, zasługują na robotę tutaj.

Skierowano ich wreszcie do ciekawszych zadań. Kolejny raz przypomniano, jak nadawać komunikaty radiowe i odszyfrowywać depesze. Później zaczęły się wybuchy. W teorii, potem w praktyce. We wszystkich możliwych konfiguracjach. Zaangażował się w tę „zabawę” tak, że nie spostrzegł nawet, kiedy przestał myśleć o domu. Nie mógł pisać listów, ale sam fakt, że z głowy tak łatwo ulecieli mu Katty i Joseph, lekko zaczynał go niepokoić.

– Kryć się! – krzyknął instruktor. Nie odwrócił głowy, póki cała grupa nie padła w płytkie dołki, jakie kazano jej wykopać.

Jeden z ludzi, Smithe, były sierżant, który walczył na Filipinach, kiwnął głową na znak, że jest gotowy. W las poleciało ostrzeżenie:

– Uwaga, wybuch!

Instruktor przekręcił rączkę zapalnika i mniej niż pół sekundy później podmuch dwóch eksplozji uniósł obłok drobnego śniegu.

Dwa smukłe drzewa podskoczyły i zwały się na dróżkę, obcięte jak wielkim nożem. Echo zwielokrotniło pogłos wybuchu kilkakrotnie i przeszło w radosne okrzyki rozradowanych mężczyzn. Nie współgrało to może z postawą oficerów, nowych obrońców wolnego świata, ale nie dbali o to. Chwilowe rozprężenie pozwalało zrzucić z ramion stres i rozładować emocje.

– Następny! – Instruktor wskazał dłonią w rękawicy kolejnego wybrańca. – Do roboty, do roboty!

Siwiejący brunet imieniem Merlin zatarł ręce i ruszył na miejsce akcji.

Na wąską, pochyłą przesiekę, biegnącą w połowie zalesionego stoku, wjeżdżał z warkotem samochód. Rzecz dość dziwna, bo do ludzi z tego dziwnego oddziału, bez dystynkcji, nikt nigdy nie zaglądał z wizytacją. Na place ćwiczeń zwykle chodzili lub biegli wiele mil, a ciężarówkami wożono ich chyba tylko do święta.

Zabłocony jeep z łańcuchami na oponach dotarł na szczyt – niedużą polankę osłoniętą ścianą drzew, zakrytą wydeptanym, zabarwionym na czarno śniegiem. Szofer z trudem panował nad autem, które – gdyby nie prędkość – najpewniej obsunęłoby się ze stoku.

– Przerwij! – padła krótka komenda od sapersa. Merlin posłusznie odłożył ładunek i tylko zerkał na detonator.

W tym czasie instruktor, ślizgając się na oblodzonych kamieniach, podszedł do wozu. Zaskutkowało i wymienił kilka uwag z kierowcą. Reszta nadstawiała uszu, ale przez szum wiatru doleciało jedynie krótkie:

– Jasna sprawa...

Saper odwrócił się i zmrużył oczy, oślepiiony nisko wiszącym słońcem, które wychyliło się zza jakiejś gnanej wiatrem chmury.

– Zielinsky! Zielinsky, rusz się! – zawołał.

Polak dostrzegł zdziwione spojrzenia kumpli, którzy sądzili pewnie, że Greenman wylatuje albo coś zbroił. Sądząc po zmarszczonych czołach, było jasne, że kombinują, za co ta kara. I czy oni podpadli tym samym. Charles poprawił odruchowo hełm i westchnął przeciągle.

– Na razie, chłopaki! – Ruszył pewny swego losu. – Przynajmniej święta w domu... – pocieszał się, patrząc pod nogi.

– Wsiadaj. – Saper wskazał kciukiem na auto i bez słowa wyjaśnienia ruszył do uczniów. – Co się gapicie, do roboty! – Klasnął w dłoń.

– Proszę wsiadać. – Zgarbiony kierowca, ubrany w kurtkę z podpinką, wielkie rękawice i wełnianą czapkę osłoniętą kapturem, wskazał miejsce obok siebie.

Greenman jeszcze rzucił okiem na swój szkolny pluton. Było mu żal.

– Dokąd...? – Próbował zagadać, ale kierowca tylko pokręcił głową i wrzucił wsteczny. Za-grzytało i wóz wycofał, by zaraz popędzić w białą przepaść.

Droga, na której Zielinsky dziękował Bogu po każdym wyskoku i głazie, że ciągle żyje, ciągnęła się niemilosiernie. Wejście na górę trwało dziesięć razy dłużej, ale wolał napocić się w śniegu po pas, niż drzeć, że wyleci z siedzenia jak z katapulty i wyląduje na dnie doliny.

Zrobiło się całkiem słonecznie. Dzień w jednostce był leniwy, niewielu wojskowych kręciło się po znajdujących się u podnóża wzniesienia zabudowaniach. Gdzieś z oddali mroźne podmuchy niosły odgłosy strzelania.

Oszroniony wóz minął barak grupy szkolnej i popędził dalej, wjeżdżając w wąską alejkę. Zwolnił lekko i zatrzymał się dopiero pod parterową budą otoczoną młodymi choinkami, z których najwyższa już obłożona była świątecznymi ozdobami.

Zielinsky dopiero teraz uświadomił sobie, że pierwszy raz w tym roku widzi takie dekoracje. Widomy ślad, że żył w zupełnym odcięciu od świata.

– Tutaj, poruczniku. – Kierowca odezwał się do niego po raz drugi i z uprzejmym uśmiechem wskazał ciemne drzwi, przy których nie było wartowników.

Karol chciał dopytać, gdzie właściwie jest, ale tylko skinął głową. Wyszedł na chodnik

i przeciągnął się. Nieco dygotał od wiatru i mrozu. Poprawił kurtkę, otrzepał grudki zaschniętej ziemi i ruszył do wejścia.

Buda cuchnęła stęchlizną. Kiedyś, bardzo dawno temu, ten prosty budynek z drewnianych belek, z których odpadła jasna farba, pozostawiając wąskie, nieregularne smugi, musiał być kwarterą jakiegoś oficera lub sztabu. Przynajmniej było w nim ciepło.

Z drzwi po prawej wychyliła się głowa jakiegoś śniadego młodego człowieka, ubranego tylko w wełniany mundur i koszulę z krawatem. Na nosie miał okrągłe okulary, które zresztą zaraz ściągnął. Otaksował Karola dziwnym spojrzeniem. Jego świat widocznie nawiedził jakiś barbarzyńca. Trzasnął o biurko plikiem papierów.

– Pan, jak rozumiem... – Próbował dowiedzieć się, z kim ma do czynienia. – Do pana... – Skinął głową za siebie.

– Chyba tak. – Karol tylko wzruszył ramionami.

– Trzecie drzwi po lewej... – Żołnierz nie przestawał mu się przyglądać.

Greenman ruszył w korytarz. Napiął mięśnie i ścisnął pięści, kiedy mijał mężczyznę, przygotowany, że znów pakują go w jakiś niewesoły teatrzyk. Przeszedł wolno, oczekując ciosu albo chociaż kopniaka w kostkę. O dziwo, nic takiego nie nastąpiło. Tylko w nozdrza wdarł się, dawno nieodczuwany, zapach kurzu i suchego papieru. Kątem oka próbował dokładniej obejrzeć pomieszczenie. Zobaczył tylko piętrzące się pod sufit sterty papierów. Nic zajmującego.

Nabrał powietrza, podszedł do wskazanych drzwi i zapukał.

– Wejść! – padło cicho z drugiej strony.

Nacisnął klamkę i przestąpił próg. Usytuowany od północnej strony pokój był jeszcze bardziej ponury niż przedsionek. Też ciepły i niemal zupełnie pusty. Na wprost drzwi stało biurko – równie stare jak cała ta konstrukcja. Za nim siedział człowiek o wyglądzie znudzonego nauczyciela fizyki bliskiego emerytury, który chyba za karę ciągle prowadzi lekcje.

Miał siwe, dość długie i starannie zaczesane włosy oraz pociągłą twarz i okrągłe oczy o opadających powiekach. Nosił szary, dwurzędowy, elegancki garnitur, krawat i szalik okrywający kark. Pisał coś w jednej z kilku teczek, zupełnie niezainteresowany Greenmanem. Obok stał metalowy dzbanek i dwa parujące kubki z kawą.

– Porucznik Charles Zielinsky – zameldował się głośno Karol. Jego stopień ciągle go przerażał.

– Drzwi. Proszę je zamknąć. – Siwy mężczyzna podniósł oczy. Karol wykonał polecenie. – Proszę spocząć. – Wskazał krzesło stojące po lewej stronie Zielinsky'ego. – Proszę zdjąć hełm i szalik.

Greenman poczuł się jak na wizycie u lekarza.

– Kawy? – Chudym palcem wskazał kubki jego gospodarz.

– O tak, z przyjemnością. – Greenman sięgnął po napój. Wypił spory łyk, o mało nie prychnąwszy poparzonymi ustami.

Siwowłosy mężczyzna zamknął teczkę, pogrzebał w małej stercie przed sobą i wyciągnął jeszcze jedną. Milczał.

Greenman patrzył na niego, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. Zdawało mu się nawet, że zna tego człowieka. Ta znudzona twarz – jakby żywcem wyjęta z przeraźliwie nudnych i wkurzających filmów o chorobach wenerycznych, jakie puszczali im w wojsku. Skojarzenie przywołało naraz lawinę wspomnień o głupawkach, jakie dopadały ludzi, kiedy widzieli na ekranach ponurych doktorów ostrzegających o różnych świństwach, którzy kazali uważać na panienki. Nie potrafił się powstrzymać, prychnął cicho urwanym śmiechem na samą myśl, że widzi teraz jed-

nego z takich speców.

Zaskoczony mężczyzna podniósł oczy znad sterty papierów.

Zielinsky chciał przeprosić, ale nie przeszło mu to przez gardło. Uniósł szybko kubek do ust.

– Zielinsky. Charles. – Mężczyzna powiódł palcem po linijce tekstu. – Tak... – Zabrzmiało to jakoś dziwnie.

Polak zaczął się kręcić na krześle, coraz bardziej wystraszony.

„Czy to element tortur?” – miał to pytanie na końcu języka.

Gospodarz zaczął coś mamrotać pod nosem, zagłębiając się w lekturę.

– Dobrze. – Zabrzmiało to jak gong.

Mężczyzna wyprostował się, odłożył papiery i patrząc Polakowi głęboko w oczy, stuknął ołówkiem w biurko.

– Nazywam się Norman Hadley. – Zrobił krótką pauzę, czekając na ewentualną reakcję. – To panu nic nie powie. Nie musi.

Karol tylko kiwnął głową. Po ostatnich doświadczeniach wiedział, że nazwisko jest zmyślone.

– Mam pana poinformować, że zostaje pan przeniesiony... – Karol lekko uniósł się na krześle. – Do odosobnionego ośrodka szkoleniowego – oznajmił.

– Gdzie on jest? – zapytał podekscytowany Zielinsky. Co by to nie było, to zawsze kolejny krok w przód.

Oczy Hadleya przyjęły wyraz, jakby chciał powiedzieć: „Chyba zwariowałeś...”.

– Zabierze pan resztę rzeczy – instruował. – Przygotuje się do drogi. W ciągu godziny przyjdzie po pana samochód. Jutro zaczyna pan kolejny cykl szkolenia. To tyle, dziękuję. – Skinął głową na znak, że rozmowa jest zakończona.

Zielinsky odmeldował się i wyszedł.

Na zewnątrz omiotło go lodowate powietrze. Niby czuł radość, bo zaczynało się coś nowego, ale z drugiej strony – przerażało go to, co jeszcze dla niego szykują. Nowości nie zawsze wychodziły mu na dobre. Był już jednak prawie pewien, że oni wszyscy bardzo się spieszą.

### **Czechosłowacja, maj 1945**

Szum w głowie przyjemnie koił sumienie. Głuszył wściekłość, że nie dało się zrobić nic więcej.

Teraz już nie miał wątpliwości. Bzdura, nedorzecznosc i wielkie kłamstwo. Kończyło się wszystko i – mimo że wszyscy wokół pijani z radości już widzieli siebie w drodze do domów albo maszerujących Piątą Aleją w Nowym Jorku – Karol był załamany.

Mógłby mówić o tym głośno, ale znów powiedzieliby, że jest przewrażliwionym wariatem. Zmęczonym wojną i przeżyciami.

Ostry płyn wypełnił jego gardło. Przełknął łyk z trudem, gapiąc się mętnym już wzrokiem na tańczące pary osnute tytoniowym dymem.

Powitanie, jakie zgotowali im miejscowi, przeniesiono po wielkiej bitwie – jak sołtys określił zabicie dwóch Niemców – do obszernej sali. Patrząc na drewniany kontuar, można było sądzić, że znaleźli się w dawnej gospodzie.

Sołtys, wąsaty barczysty facet o silnym uścisku, jak na rolnika przystało, prędko zorientował się, że wyzwoliciele szybko się nudzą. Wylewne podziękowania starszych pań i wdów nie nastrojały ich najlepiej. Toteż dla podniesienia poziomu gościny i rangi tej historycznej chwili zaczął posłać furmankę do sąsiadów. Tam ostało się jeszcze nieco młodzieży, zwłaszcza dziewcząt,



które nie trafiły na roboty albo nie zwały do miasta.

Przywieźli kilka. Rumianych, krągłych, wystrojonych w to, co miały najlepszego. Wesołych i ciekawskich. Za nimi przyszedli chyba wszyscy inni, zachęceni wieściami, że już po okupacji. Nanieśli ze sobą jedzenia, napitków, piwa, śmierdzącego rumu i jakichś domowych wynalazków. Śpiewali, tańczyli, dziękowali. Jeden przez drugiego opowiadali, ilu Niemców jest w okolicy, gdzie się ukryli i jak szybko się poddają. Wyglądało na to, że dzielni żołnierze Rzeszy pogodzili się już z losem i na wieść o sowieckiej ofensywie rwali na Zachód. Za to Czesi odzyskiwali rezon.

Tylko niezrozumiały przypadek – a może ubocze, na którym znajdowała się ta wioska – sprawiał, że nie zalał jej strumień szukających bezpiecznej amerykańskiej niewoli, pobitych *Soldaten*. Amerykanie, szczególnie ci młodzi, niewiele się przejmowali tą całą strategiczno-operacyjną sytuacją. Od wielu dni widzieli tylko tysiące poddających się Niemców. Nietrudno było pojąć, że już po wojnie. Że Szwaby idą precz. Przywykli do tej myśli.

Kilkunastu jankesów, puszących się glorią wyzwolicieli i bohaterów, którzy stoczyli tu zwycięski bój, zniknęło gdzieś w ciemności pod ramię z miejscowymi pannami. Mówili, że idą na spacer, wyciągając z tobołków i plecaków zaoszczędzone na te chwile czekolady. Nagle zniknęła bariera językowa. Dla miejscowych, zafascynowanych i szczerze wdzięcznych dziewcząt byli jak przybysze z innej rzeczywistości. Niezwyciężeni. Przecież przeszli pół świata, by dotrzeć tutaj. Do tej wioski. Młodzi ludzie w mundurach nie omieszkali tego wykorzystać, przy obopólnej zgodzie rzecz jasna. Brashier nie mówił wiele, nie lubił prawić kazań, ale przykazał im unikać kłopotów. Mogłyby źle się dla nich skończyć.

Zielinsky siedział za nakrytym obrusem i zastawionym półmiskami stołem dla głównych gości. Pot rosił mu czoło w dusznym pomieszczeniu, gdzie spokojnie można by było zawiesić siekierę. Posadzili go tu z Saviolą, który zresztą szybko zniknął z jedną z panienek, oraz Chrissem i Brashierem – wodzami tego wyzwolenczego marszu.

Reszta siedziała nieco dalej, na drewnianych ławach, w kłębach papierosowego dymu. Non stop wznosili toasty, jedli i palili. Świeżo mianowany podporucznikiem Chriss kontrolował ich i pilnował, żeby nie przesadzili. Mieli jeszcze robotę i kumpli do zmiany na warcie.

Oficerowie nie potrafili się opędzić od bab, sołtysów obu wiosek i całej „starszyny”, prawiącej łamanym niemieckim o wojennych przeżyciach.

Tylko Zielinsky'ego miejscowi omijali z daleka, łypiąc nań czasem z przestachem czy wymieniając szeptem kilka słów. Choć zaatakował wieżę i uciszył Niemca, nie wyglądał najlepiej, jakby zapadał w dziwny trans. Nadal zamyślał się, odpływał, aż wreszcie sięgnął po butelkę, gotów opróżnić ją do samego dna. Już naprawę mało co go obchodziło i nawet Chriss nie próbował mu przeszkadzać, wiedząc, co potrafi wyrabiać po gorzale. Lepiej, że pił w spokoju i ciszy. Już niedługo Wuj Sam pozbędzie się go i armia będzie miała spokój.

Karol podparł głowę na dłoniach, kładąc łokcie na stole i ledwo znosząc hałaśliwe dźwięki akordeonu i skrzypiec. Ci, którzy tańczyli, jeszcze nie poszli „na spacer” albo już z niego wrócili. Chłopaki obejmowały swoje tymczasowe wybranki, krążąc po popękanych parkietach z twarzami wtulonymi w ich włosy. Na młodych twarzach rysował się błogi spokój, głęboka ulga. Oni już zapominali o wojnie, już było im tak dobrze, jakby wrócili do domu.

Greenman odpływał w półsen pomieszany z marzeniami, które wydawały się jawą. Przed oczami miał Ewę. Była ubrana w zwiewną, czerwoną sukienkę, a jej piękne miękkie włosy, ułożone w elegancką fryzurę, opadały na wąskie ramiona. Śmiała się i policzki płonęły jej rumieńcem. Chciał chwycić tę zjawę w objęcia, ruszyć z nią na parkiet i cieszyć się jak reszta. Przez

chwilę poudawać, że wszystko jest dobrze, że wojna kończy się, jak powinna, że wszystkie ofiary i zniszczenia nie poszły na darmo, że ci ze Wschodu pójdą precz. A ona wróci i ułoży sobie życie. Kto wie, może i z nim?

Miał niespełna dwadzieścia lat. Kiedy szedł na ochotnika z głupkowaną nadzieją zwycięstwa, z wizją pięknego świata, był jeszcze młodszy. Chciał wierzyć, że to, co widział, przeżył i odczuł w dziesięć miesięcy na wojnie – strach, nienawiść, krew, którą przelewał, i czas, który stracił, starzejąc się w niespełna rok – będzie miało znaczenie. Że odnajdzie nadzieję. Finalnie, zamiast niej, czuł coś zupełnie innego.

Zacisnął pięści, pochylił głowę i walczył dłuższą chwilę z niemocą. Z czymś, czego wcześniej nie doświadczał. Zszargane nerwy i świadomość beznadziei, podlane gorzałą, zmieniały go. Dusily i przygniatały.

Splunął na podłogę, nabrał powietrza i upewniwszy się, że nikt nie patrzy, otarł wilgotne oczy. Nalał sobie jeszcze cuchnącej wody i rozejrzał się po sali. Oprócz szczęśliwych, niekiedy już drzemających na stołach pod ścianami ludzi, odświętnie wystrojonych mężczyzn i starszych kobiet, było jeszcze kilka młodych dziewcząt. Bardziej nieśmiałych, chichoczących gdzieś w kątach. Chłopcy w zielonych mundurach polewali im trunku i częstowali czekoladą Hershey's, próbując nawiązać rozmowę w nieznanym języku.

– Właściwie, czemu nie. Może lepiej zapomnieć – szepnął, biorąc na cel niską brunetkę o kręconych włosach.

Otrzeptał koszulę z niewidzialnego brudu, przyglądał fryzurę i wstał chwiejnie.

Jak duch, nie niepokojony przez nikogo, przeszedł wolno salkę, nie spuszczać oczu z dziewczyny, która ciągle udawała, że go nie widzi. Uśmiechnął się w sposób podpatrzony na filmowych plakatach i przywitał się po niemiecku, mając nadzieję, że dziewczyna zrozumie. Opierała się dość długo, wspierana przez wierne koleżanki, szepczące jej coś do uszu.

Wreszcie dała się zaprosić na parkiet. Przecisnęli się przez tłum tańczący w rytm wesołych dźwięków harmonii i Zielinsky pociągnął swoją wybrankę do wyjścia. Odprowadzały ich zazdrosne i zawiedzione spojrzenia tych Amerykanów, którzy ciągle bezskutecznie próbowali swych sił u dziewczyn i kobiet.

Karol otworzył drzwi przed roześmianą Czeszką. Dopiero gdy wyszli na zewnątrz, poczuł, w jakim smrodliwym zaduchu przyszło mu spędzać wieczór i że spacer, jakikolwiek by nie był jego cel, to dobra myśl.

Greenman zdołał nabrać chłodnego powietrza w płuca, kiedy o mało nie przewrócił go jakiś konus. Żołnierz w nieco za głębokim hełmie ścisnął w dłoniach karabin.

– Mówi się „przepraszam” – czknął Zielinsky, wyprężając pierś jak kogut szykujący się do bitki.

– Zjeżdżaj – syknął na odczepnego chłopaczkę z bronią, mrużąc oczy od dymu i światła oraz wypatrując kogoś w tłumie na sali.

Popędził zaraz dalej, przepychając się bezpardonowo kolbą, tak szybko, że Zielinsky nawet nie zdołał mu się odgryźć.

– Zaraz ci pokażę – warknął, podciągając rękaw koszuli, gotów wybić mu z głowy takie traktowanie szarzy. Zwłaszcza kiedy szarża szpanuje przed panienką.

Z trudem złapał pion. Odsunął gwałtownie kilka krzesel, gotów się bić, ale żołnierz już stał przy oficerach, gorączkowo coś tłumacząc. Tamci zerwali się z miejsc, założyli hełmy, poprawili pasy i ruszyli do wyjścia z taką furją, że o mało nie powywracali gospodarzy. Zdawało się, że nagle pobladli, porażeni wieściami od nastoletniego wartownika.

– Co jest? – Karol złapał Chrissa za ramię.

– Dowiesz się. Zostaw koleżankę i za mną. Już. – Chriss nie miał zamiaru mówić nic więcej.

\*

Skromny pokój oświetlało kilka naftowych lamp i świec. Do tego lichego, murowanego budynku o wybrzuszonych, popękanych ścianach nie doprowadzono prądu.

Wszyscy ustawili się pod drzwiami, obok zasłoniętego kocem okna: Richard Brashier, Robert Chriss, Charles Zielinsky i Anthony Saviola, którego z trudem odnaleziono i wyrwano z objęć krępej Czeszki.

Człowiek, przed którym stanęli, choć był oficerem, z pewnością nie przywykł do smrodu wojny. Jaki by on nie był, bitewny czy wyzwolicielski.

Szczupły, odziany w nienagannie czysty i świeży wełniany mundur mężczyzna z pistoletowym pasem i kaburą zasiadł za wiejskim stołem, czyniąc zeń swoje biuro. Rzucił na blat parcia-ny mapnik. Zdjął hełm, którego paski, jak sądzili ci z pierwszej linii, wszyscy kryjący się na tyłach zawsze grzecznie zapinają pod brodą. Karol przyglądał się oficerowi z kpiącym uśmiechem.

W migotliwym płomieniu błyszcząły wypolerowane dystynkcje majora i baretki, wręczone zapewne za trudną i ofiarną pracę w stosach papierów, w kancelariach Tunezji, Sycylii i Bóg wie gdzie jeszcze.

Spod ulizanych i zaczesanych na bok włosów patrzyły wąskie i przenikliwe oczy. Człowiek za biurkiem całym sobą wyrażał ledwie maskowane obrzydzenie. Dla tych, co stali przed nim, dla tego smrodu i wyglądu miejsca.

Pokręcił jeszcze kilka młynków kciukami i sapnął.

– Dużo strat?

– Strat? – Brashier odezwał się pierwszy, jako wódz tej zbieraniny.

– Meldowaliście do pułku o potyczce z Niemcami. Pytam, bo nie znam szczegółów. – Major wyjaśnił bez entuzjazmu swą dociekliwość.

– Nie, żadnych, sir. – Z pewnością w głosie oświadczył zwiadowca.

– Dobrze, dobrze. – Oficer wyciągnął się w krześle, jeszcze bardziej zmrużył oczy i zastukał palcami o blat starego mebla.

Nietrudno było zgadnąć, że czegoś nie jest pewien. Uważnie wpatrywał się w każdego z nich z osobna. Greenmanowi w głowie się kręciło i ciśnienie skakało od tego lustrowania jego chwiejnej, z trudem trzymającej pion osoby.

Oficer wreszcie nieco się rozluźnił.

– Siadajcie, panowie. – Wskazał dwa tylko krzesła.

Saviola i Greenman przycupnęli na obstawionym glinianymi doniczkami parapecie.

– Major Harry Pickney ze sztabu dywizji – wypowiedział to z emfazą, dumny z siebie. Zupełnie jakby to cokolwiek komukolwiek mówiło.

Cała czwórka widziała tego faceta pierwszy raz w życiu.

Majorowi zafalowała grdyka, gdy tylko zrozumiał, że nazwisko jego przodka generała niewiele tu znaczy. Opanował się jednak i już niemal spokojnie rozpiął mapnik.

– Przywożę wieści z dowództwa. Ba, z samej góry. – Potrząsnął jakąś rozpieczętowaną kopertą. – Sprawa wygląda tak. – Mówił jak profesor w trakcie wykładu. – Wywiad i doniesienia z terenu, od grup i pododdziałów, takich jak wasz... – Skierował dłoń gdzieś za okno. – Pozwalają sądzić, że w szerokim pasie natarcia Piątego Korpusu opór sił niemieckich wygasa... Siły wroga od kilku dni skupiały się głównie na obronie skrzyżowań, stacji kolejowych, mostów albo

zakładów przemysłowych. Jednak wraz z upadkiem Berlina, a teraz i z poddaniem się Breslau, dla grupy wojsk niemieckich w Czechach stało się jasne, że nie mają szans.

Zielinsky przyknął oczy. Nudne relacje działały na niego usypiająco.

– Wojska niemieckie bez paliwa, amunicji i motywacji lgną do nas w obawie przed naszymi rosyjskimi sojusznikami...

Karol drgnął, nagle pobudzony drażniącym zwrotem. Chriss spojrział na niego zaskoczony.

– Koniec wojny to kwestia dni, może godzin. – Major uśmiechnął się po raz pierwszy. – Między nami a Sowietami pozostaje operacyjna pustka. Może nie zupełna – poprawił się.

Zielinsky mimowolnie skrzywił usta w uśmiechu i z wyższością zerknął na kumpli. Gdyby miał odwagę przerwać majorowi, rzuciłby: „A nie mówiłem?”

– Taki stan... – Major nie miał zamiaru kończyć, jakby się uparł zmarnować tak wesoły wieczór. – Nie będzie trwał wiecznie. Od oficerów łącznikowych Armii Czerwonej wiemy, że ruszyła wielka ostateczna ofensywa ze wschodnich Czech. O niej też meldowało wielu pojmanych ostatnio jeńców. Jednak póki front stał, był stabilny, nie obserwowano tak szybkiego i masowego odwrotu Niemców. Ich obrona przed Sowietami pęknie w kilka dni. To pewne. Za kilka dni ma także ruszyć sowiecka ofensywa z północy, a jej celem będzie Praga. Czeska stolica... – Zrobił pauzę, obracając w dłoniach kopertę.

Brashier teatralnie kaszlnął, też już zmęczony opisami rzeczywistości, którą jako tako znał. Chciał wiedzieć, co ma robić. Iść dalej czy siedzieć na tyłku.

– To jest to, panowie. – Major nie zrozumiał sygnału. Otworzył szary papier i wyciągnął złożoną kartkę. – To jest to. – Potrząsnął nią i pochylając się nad biurkiem, podsunął Rickowi.

Ten zaczął czytać jej treść, mrużąc oczy w słabym oświetleniu. Chriss również pochylił głowę, niezmiernie ciekawy zawartości.

– O, psiamać! – wyrwało mu się, kiedy tylko doszedł do sedna.

– To znaczy...? – Brashier rozdziawił usta, kręcąc głową. Patrzył na majora ze zdziwieniem, ale i miną, jakby tamten zrobił mu coś bardzo złego.

– Rozkazem dowódcy Trzeciej Armii pański pododdział ma rozpoznać drogę do stolicy kraju. Od północnej flanki.

Zapadła cisza. Tylko Greenman otrzeźwiał, wybałuszając oczy. W głowie mu huczało. Nie wierzył jeszcze w to, co usłyszał.

Pickney uśmiechnął się pod nosem, bardzo rozbawiony tą galerią zaskoczonych, zmęczonych twarzy, jakie miał przed sobą.

– Krótko i prosto rzecz ujmując... Musicie wejść do Pragi, zanim zrobią to Rosjanie. Mamy wieści z ostatnich godzin. – Uniósł brodę w próbie dodania sobie powagi. – W mieście doszło do zamieszek. Powstańcy przejęli podobno kilka kwartałów miasta i blokują Niemcom drogi na zachód. Długo jednak nie wytrzymają.

Karola na te słowa aż zakłuło w brzuchu, a głowie pojaśniało mu jeszcze bardziej.

„Bogu dzięki...” – pomyślał z wdzięcznością i zaczął się wiercić. Na sekundę oczyma wyobraźni znów ujrzał Ewę i przypomniały mu się opowieści o tych, co utknęli na niemieckich jeszcze terytoriach. Nie wiedział, czy ma ucałować tego oficera, którego nagle zaczął szanować, czy zbierać ludzi. Nawet nie próbował ukrywać szerokiego uśmiechu.

– Marszruta jest na kartce. – Major wskazał palcem na Brashiera. – Gdyby były problemy, można szukać objazdów, rzecz jasna. Większych i zorganizowanych punktów oporu już się nie spodziewamy. Problemem mogą być niemieckie jednostki w samym mieście, dlatego jeśli trasa okaże się odpowiednia, wyślemy tam cięższe oddziały – dodał. – Ruszacie jutro o świcie. Dosta-

niecie wsparcie lotnictwa. Tak na wszelki wypadek. Kazałem dowieźć zaopatrzenie i wspomóc was pojazdami opancerzonymi. Też dla waszego komfortu i bezpieczeństwa. – Napuścił się, jakby oczekiwał za to braw. – Pytania? – rzucił zwyczajowo i chyba nie oczekiwał, że się pojawią, bo od razu chwycił za hełm.

– Czemu my? – niemal szepnął Brashier, absolutnie niezadowolony z tych poleceń.

– Cóż. – Wzruszył ramionami major. – Jesteście najdalej w tym rejonie. Dziewiąta została z tyłu, czyszcząc spore zgrupowanie Niemców pod Warami. Zaopatrzenie się spóźnia, lepiej wysłać na początek lżejszy oddział i sprawdzić sytuację. Dwie inne dywizje korpusu idą na lewym skrzydle, pilnując flanki. No, a wy macie te kilkadziesiąt kilometrów do granic Pragi, co nie powinno być problemem. – To ostatnie w ustach tyłowego „papierologa” zabrzmiało dość komicznie. – Coś jeszcze? – Chciał kończyć.

– No a linia rozgraniczenia, sir? – Teraz nie wytrzymał również Bob. – Przecież było mówione...

– Linia rozgraniczenia to bardzo względne pojęcie, panowie. – Major mrugnął porozumiewawczo. – Generał Patton chciałby ją nieco przesunąć. Poza tym powstańcy proszą o pilną pomoc. Do widzenia, panowie – zakończył i wstał szybko, sposobiąc się do odjazdu.

Reszta też zaczęła podnosić się z miejsc, mieląc bezgłośnie w ustach najgorsze przekleństwa. Tylko Polak, z bijącą z twarzy wesołością, jak człowiek, którego szaleńcza kruczjata jeszcze się wydłużyła, drżał cały, odprowadzając gościa wzrokiem.

– Aha. – Major klepnął się w czoło, stojąc już w drzwiach. Obrócił się na pięcie. – Nie będziecie jedyni. – Popatrzyli na niego, nie pojmując. – Po zajęciu Pilzna z jego okolic też mają ruszyć podobne grupy. Z Szesnastej i Czternastej Pancernejskiej. – To było wyzwanie rzucone im w twarz. – Nie skompromitujcie Czerwonej Jedyńskiej! – oznajmił grobowym głosem, wskazując ich kolejno palcem. – I wiedźcie – dodał zaraz, frywolnie mrużąc oko – że w Pilźnie był niezły bal. Nie to co tu... – Wskazał w mrok ręką. – Uda się wam, to urzędzą wam niezłe święto. Wierźcie mi. Powiedzcie ludziom, to się ucieszą. – Zasalutował, uśmiechnął się i wyszedł, zostawiając za sobą milczącą czwórkę.

Chwilę później w szarość poranka poleciały komendy i bluzgi, ledwo słyszalne w gangu motorów.

\*

Karol Zielinsky ocknął się, nie bardzo rozumiejąc, gdzie się znajduje ani jak tu trafił. Z nie małym trudem zaczął oswobadzać się z całkiem silnego uścisku. Wstał wreszcie, pokonując ból mięśni, i zerknął na swoją wybrankę. Dziewczyna leżała nakryta po sam nos wojskowym kocem, spod którego wystawała odświętna czarna sukienka.

Spacer w ciemności po wyjeździe majora i długie, niezgrabne tłumaczenia w polsko-niemieckiej mieszance językowej stopiły opór dziewczyny. Jemu z głowy wyleciała Ewa i wszelkie skrupuły. Uradowany tym, że pojedą dalej, chciał to uczcić. Zwyczajnie się pobawić, a resztą przejmować się później.

Pamiętał, że zawędrowali tutaj, pod wielki dach, na słomę. W głowie mu szumiało, musiało być dobrze, tyle tylko, że niewiele pamiętał. Prawie nic. Sam początek, a potem... Zerknął na dziewczynę i aż się wzdrygnął.

– Boże – westchnął – gdzieś ty, chłopie, miał oczy. – Poprawił pasek u spodni i szybko zaczął zakładać buty.

Powiódł wzrokiem po wnętrzu mrocznego budynku. Inni lokatorzy tej tymczasowej nocle-

gowni także nie wyglądali kwitnąco. Podnosili się wolno, wyraźnie zmagając się ze skutkami całonocnej imprezy.

– Niedobrze... – Zadrzał Karol, przerażony wizją nadchodzącego oficera. Brashiera albo Chrissa. Zerknął jeszcze raz na dziewczynę i na domiar złego dopadły go wyrzuty sumienia. Miał misję, a zabawia się jak dzieciak z liceum.

Podskoczył, przysunął dłonie do ust i krzyknął:

– No panowie, wstajemy! Wstawać! – ponaglił już bardziej teatralnie, wierząc że ktoś z oficerów, jeśli tu trafi, uzna, że on, Charles Zielinsky, trwa na posterunku.

Dziewczyna coś wystękała, narzuciła koc na głowę i obróciła się na drugi bok. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zadrapało go w gardle. Poczuł straszną suchość i zaczął szukać w swoich rzeczach manierki.

Nie dane mu było spokojnie ugasić pragnienia.

Drzwi rozwarły się z głośnym, szargającym zmysły skrzypnięciem. W wejściu stała wysoka postać z wyraźnie widocznym niezadowoleniem malującym się na twarzy

Jedno skinienie ręki Chrissa wystarczyło, żeby Zielinsky stanął potulnie tuż obok.

– Cześć, Bob! – Wyszczrzył zęby, jakby wszystko było w porządku. Chriss nic nie odpowiedział, tylko otaksował kumpla zimnym spojrzeniem. Zdusił gniew na to całe rozprężenie.

– Mamy gości. – Delikatnie skinął głową w stronę ulicy.

– Gości, mówisz...?

– Ano gości – westchnął nowo mianowany podporucznik. – Ruszaj dupę i każ się wszystkim zbierać – syknął. – Kwadrans na spakowanie się. Potem wyjeżdżamy – oznajmił i wyszedł.

Karol zrobił kilka kroków i wydostał się na świeże powietrze. Dopiero teraz dotarło do niego, w jakim smrodzie przyszło mu spać. Rozejrzał się dookoła.

Grupki miejscowych otaczały sporą kolumnę samochodów. Oprócz jeepów, którymi tu przyjechali, w wiosce parkowały trzy półgąsienicowe transportery. Podarunek z samej góry, ich wsparcie przed ostatnim marszem. Dwa z nich, obłożone plecakami i dobytkiem załóg, zbrojne były w półcałowe Browningi. Trzeci wyglądał jeszcze groźniej. Z jego obracanej elektrycznie wieżyczki sterczały aż cztery lufy tych doskonałych karabinów. Głównym zadaniem owej konstrukcji było strącanie samolotów, ale jak pokazały doświadczenia kilku bitew, wielkie maszynyki nieźle radziły sobie z piechotą, a nawet z lekkimi umocnieniami.

Dalej zatrzymały się dwa samochody opancerzone M8. Sprzęt delikatny i nieco przestarzały, co udowodniły starcia z Niemcami, ale przynajmniej podnosił siłę ognia swymi karabinami maszynowymi i działkami 37 mm. Zaraz za nimi parkowały trzy ciężarówki wypełnione zaopatrzeniem. Było tam paliwo, skrzynie na amunicję i prowiant.

W tej samej sekundzie Karola zmroziło. Jakby otrzeźwiał, rozumiejąc, jak liche siły mieli jeszcze poprzedniego wieczora. Błysnęła mu w głowie straszna wizja jakiegoś większego oddziału, który ciągle miałby ochotę walczyć, a wybrałby tę dziurę jako cel...

Wystarczyłoby kilkunastu Niemców. Jeepy i dwa niepełne plutony piechoty nie miałyby z nimi szans, zwłaszcza że w większości balangowały.

Nogi się pod nim ugięły.

– Weź się pan za siebie – powiedział na głos i ruszył do śmierdzącej stodoły poganiać chłopaków.

się po pokoju, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje. Z drugiej zaś strony psychicznie czuł się świetnie. Może nie był to stan wielkiej radości, ale już w kilka chwil po obudzeniu robiło mu się raźniej.

Słońce wpadało przez wysokie okno, rozjaśniając pomalowany na zielono pokój. Było mu ciepło, a i wszystkie te urazy, jakich doznał podczas katastrofy, nie martwiły go już zbyt.

Wyprostował się delikatnie, unosząc w fotelu pokryty gipsem tułów, i lekko skrzywił głowę. Po prawej, na zgrzebnym, lakierowanym stoliku z lampką stała gliniana doniczka z jakimś kwiatkiem. Schwycił ją w dłoń i i upuścił. Czarna ziemia rozsypała się z trzaskiem tłuczonej skorupy.

Amerikanin roześmiał się szczerze.

– Na dziś koniec czy jeszcze coś?

Gienadij Korsakow siedział naprzeciw niego, ubrany w nieodzowny kitel, z głową nieco schyloną i ze skupioną miną, wpatrzony w pacjenta jak myszołów w ofiarę. Splótł palce, żeby pohamować nerwowy odruch – był bliski wydania okrzyku radości.

– Nie, James – powiedział spokojnie, acz głośno. – Na dziś to będzie koniec. – Nie spuszczał wzroku z roześmianego siwego mężczyzny. – Czy wiesz, gdzie się znajdujesz? – Pochylił się i oparł łokcie o uda, niespokojnie czekając na odpowiedź. Zaciśnął palce.

Uśmiech zniknął z twarzy więźnia. Spowaźniał i zrobił głęboki wdech.

– Gdzieś pod cholerną Moskwą – wyrzucił z siebie z wielkim niesmakiem i kwaśną miną. – Jestem w więzieniu. – Zdawało się, że chce splunąć.

– Tak, to prawda – przytaknął z kamienną twarzą profesor. – To prawda. – Wstał i zabrał się do składania śmiesznej lampki, którą wykorzystywał do pracy nad swym zachodnim pacjentem.

– Widzimy się jutro? – spytał zaciekawiony Amerikanin, przechylając się w stronę lekarza.

Sowiecki uczonego popatrzył na niego. Opryskliwość w głosie Jamesa uleciała, ustępując nadziei.

– Prawdopodobnie, ale to zależy... – Lekarz znowu ledwie powstrzymał radość.

– Od czego? – Jankes zmarszczył czoło zaskoczony.

– Zależy, jak wyjdzie ci dzisiejsza rozmowa, James. – Sowiec już całkiem sprawnie odgrywał zażenowanie. Zdobył się przy tym na grymas smutku i niemocy, jakby nic od niego tu nie zależało i był tylko zmuszany do przynoszenia złych nowin. Zresztą w jakimś procencie było to prawdą.

– Znowu oni! – Pięść Amerikanina prasnęła w obicie fotela. Zmarkotniał raptownie, spochmurniał i wlepił spojrzenie w podłogę. Dobry nastrój był wspomnieniem. Przypominał naburmuszone dziecko.

– No, nic – westchnął Korsakow. – Powodzenia z tymi tam... – Mrugnął na znak, że jest po jego stronie. – Do zobaczenia i pamiętaj: będzie dobrze.

Podszedł do stojącego na podłodze gramofonu. Nakręcił go, nastawił igłę. Pokój wypełniły pierwsze ciche takty „Mazepy” Czajkowskiego. Za kwadrans miały ustąpić miejsca lektorce czytającej spokojnym głosem po angielsku listę wielkich osiągnięć sowieckiego państwa i chwalebnej jego wysiłku w czasie wojny. To też był element terapii, a zarazem pomysł samego Korsakowa.

– Tak, tak – bąknął pacjent. – Do widzenia. – Muzyka autentycznie kołowała jego smutki, więc nie protestował, gdy lekarz zostawiał włączony sprzęt.

Profesor wyszedł na korytarz. Zamknął drzwi na klucz i niewiele zabrakło, a podskoczyłby z radości. Zamiast tego pomaszzerował szybko kilka metrów i wszedł do kolejnego pomieszczenia – obłożonego białymi kafelkami, oszczędnie wyposażonego dawnego pokoju zabiegowego.

Nie mogąc już dłużej dusić w sobie emocji, krzyknął:

– Sukces, towarzysze!

– Cicho! – Wasiljewski podbiegł do niego, przykładając palec do ust. – Usłyszysz – zgnił profesora.

– Gówno tam usłyszysz! – Lekarz uniósł obciążone lampką i notatkami ręce w geście zwycięstwa.

Sudopłat i Wasiljewski popatrzyli na siebie, nie bardzo wiedząc, co tak cieszy profesora.

– Co, nie rozumiecie... – prychnął z wielkim niesmakiem lekarz i podszedł bliżej. – Nie rozumiecie... – Chciał użyć epitetu, ale się powstrzymał. W takiej chwili, pod nieobecność Zardowa, mógł pozwolić sobie na nieco więcej wobec swoich nadzorców. To był jego dzień, kolejny wielki sukces w karierze. – Żeby tylko mógł to opisywać... – Wydobył z kieszonki fartucha okulary, sięgnął po chustkę i zaczął trzeć szkła, rozanielonym wzrokiem wpatrzony w przestrzeń.

– Wiecie, że... – Sudopłat upił herbaty z filiżanki.

– Wiem.

– Właściwie... co się dzieje? – Wasiljewski skrzyżował ręce na piersi i pochylił głowę. – Znaczą się, idzie dobrze? – dopytał niepewnym głosem.

– Dobrze?! Wspaniale! – Korsakow potrząsnął dłońmi. – Towarzysze, w tych warunkach – popatrzył po białej szpitalnej salce – w takim tempie i... pod takim naciskiem... – Wymierzył kościsty palec w kierunku oficera.

– Będzie chodził tak, jak chcemy? – Sudopłat też był zaskoczony.

– Nie odpowiem na to w tej chwili. Nie jestem pewny. – Lekarz usiadł na stalowym krześle. – Ale... – Uniósł dłoń, widząc, że obydwaj wywiadowcy znów chcą coś mówić. – Wszystko wskazuje na to, że sprawy idą dobrze.

Nadzorczy pokiwali głowami z lekkimi uśmiechami ulgi. Tego im było trzeba. Dla takich wieści, takich, które można było umieszczać w raportach, opłacało się ślęczyć w tej norze.

– Udało mi się – Korsakow mówił dalej – nawiązać dobry kontakt z naszym kolegą. Wydaje się, że mnie polubił. Mogę nawet powiedzieć, że Ringwalt widzi we mnie kogoś na kształt przyjaciela. – Lekarz poprawił fartuch i dumnie wypiął pierś. – Co prawda wobec innych także jest uprzejmy, ale to przy mnie gotów jest na zwierzenia bardziej osobiste, i to nawet bez użycia moich metod.

Zrobił pauzę i odetchnął głębiej.

– Zbudowałem więź, to raz. – Pokazał na palcach. – Dwa. Pacjent czuje się lepiej. Uniknęliśmy ryzyka depresji. Tęskni, to prawda, poddaje się melancholii, ale to rzeczy normalne po takich przeżyciach i w miejscu odosobnienia. Intensywna praca i sporo wysiłku doprowadziły nas do dzisiejszego sukcesu.

– A ja widziałem, że ten imperialista stłukł doniczkę. Też mi sukces. – Wasiljewski ziewnął ostentacyjnie i tak głośno, jak tylko się dało. Wyciągnął nogi, blokując profesorowi przejście, i włożył dłonie w kieszenie spodni.

Korsakow spurpurowiał, zacisnął pięści i odetchnął kilka razy głęboko.

– Hipermnezja – powiedział po chwili spokojnie, jakby nic nie zaszło.

– Że co? – Sudopłat nadstawił ucha.

– Mówię wyraźnie. Hipermnezja.

– Ten człowiek – lekarz wskazał niewielki otwór w ścianie, przez który można było kontrolować pacjenta – to dziś zaprezentował. Nie wiem, czy to zauważyliście. – Rozzłoszczony mówił teraz głośniej i szybciej. – Hipermnezja to rodzaj, rodzaj... Mózg zaczyna być zdolny do wyła-



pywania najdrobniejszych szczegółów. Mimo trudów człowiek ten potrafi odszukać w pamięci wiele rzeczy, które na co dzień nie zwracają naszej uwagi. Na przykład dziś wyrecytował trzy strony z dzieł Marksa. Kazałem przeczytać mu spory fragment przed rozpoczęciem hipnozy. Jeśli mógł to zrobić teraz, przy dalszych postępach będzie mógł robić więcej, zeznawać, co zechce my, a wasz udział, towarzysze, będzie zbędny. – Prychnął z niesmakiem. – Dociera to do was?

Wasiljewski wyciągnął gwałtownie dłonie z kieszeni i chciał wstać, ale jego kompan chwycił go za łokieć.

– To jest przełom. Wiem, że w waszym fachu liczy się czas i ze zwyczajnym aresztantem nie ma możliwości bawić się w głupoty, bo za takie uważacie prowadzoną przeze mnie terapię. Brak czasu, odpowiednich ludzi, którzy zyskaliby zaufanie... A mnie się to udało. – Korsakow zrobił pauzę, czując, że zaschło mu w gardle.

Sięgnął po karafkę stojącą obok Sudopłata, nalał wody do szklanki i wypił wolno.

– Hipermnezja łączy się tu automatycznie z jeszcze jednym zjawiskiem. Z czymś, co nazwane zostało sugestią pohipnotyczną. To, co towarzysz major – skinął na Wasiljewskiego – łaskaw był nazwać zwykłym stłuczeniem doniczki, dla mnie jest wielkim krokiem naprzód. Na moje polecenie w śnie hipnotycznym zareagował spontanicznie. Kazałem mu chwycić naczynie i stłuc, i on to zrobił. – Podeszedł do stołu i oparł się na pięściach, miotając oczami gromy. – Robię tu naprawdę sporo, i mam dość... – Uderzył w blachę, aż zahuczała. – Nie życzę sobie głupawych docinków. Możecie to przekazać wyżej, na samą górę. Chcecie mieć wyniki, to nie przeszkadzajcie, do ciężkiej cholery.

Oficerowie milczeli, zakłopotani, ale i niemający zamiaru przeproszać.

– No dobrze. – Twarz profesora niespodzianie pojaśniała. – Pogadaliśmy sobie. Ja idę odpoczywać, a wy do dzieła!

Sięgnął po notatnik i ołówek. Napisał coś, wyrwał kartkę i podał oficerom.

– To dla was. Wasze zadanie na dziś. Element eksperymentu. Zrozumiecie wagę dzisiejszych dokonań... Albo i nie, jeśli się pomyliłem. – Wzruszył ramionami.

Wasiljewski zabrał papier i przeczytał to, co na nim było.

– Co ja mam z tym niby zrobić...? – Nie pojmował.

– Róbcie swoje. – Korsakow zaczął porządkować notatki, nie patrząc na oficera GRU. – Jak zawsze, usiłujcie go przesłuchać. Znów niewiele z tego wyjdzie. A to... – Wskazał na paperek. – To jest, towarzysze, wasza broń ostateczna. Mam nadzieję, że pomoże. – Wcisnął pod pachę cały swój majdan i chwycił za kłamekę. Dopiero teraz poczuł, jak jest mu duszno i ciepło. Kropla potu pojawiła się gdzieś nad łysiejącą skronią i zaczęła spływać w dół.

– Jedno pytanie... – usłyszał głos Sudopłata. – Jeśli kiedyś, gdzieś, już po wszystkim, on opowie o tym całym... badaniu, to leżymy.

Korsakow zerknął przez ramię i uśmiechnął się.

– Nie sądzę. Idzie mi dobrze, więc jestem skłonny założyć, że za pomocą sugestii... – Po minach swych towarzyszy zrozumiał, że znów nie rozumieją, co do nich mówi. – On tego nie zapamięta. Tak jak nie zapamięta mnie i całego eksperymentu. To wszystko siedzi tu. – Postukał się palcem w łysę czoło. – Dać się badać też nie chciał. Ale go przekonałem, a potem wmówiłem mu, że to lubi, że to przyjemne i poprawia nastrój. Nie bójcie się, uda się wam, towarzysze. Pan James zapamięta to, co ma zapamiętać. Czyli was. – Uśmiechnął się szerzej, otworzył drzwi i poszedł do siebie. Teraz i on musiał trochę odpocząć.

Sesje, jak określał te przesłuchania Korsakow, odbywali dwa do czterech razy w tygodniu. Działo się tak, odkąd więzień odzyskał nieco sił. Czekali na to długo, dobre dwa miesiące, zabijając ten czas załatwianiem innych spraw związanych z przedsięwzięciem. Nie mówili tego głośno, nie dyskutowali między sobą, bojąc się donosu któregoś z towarzyszy, ale rozumowali podobnie. Całe to napięcie, czekanie, albo jak sami uważali marnowanie czasu, uznać można było za szaleństwo. Nie lepiej załatwić całą sprawę zwyczajnie, jak ich uczono? Niestety... Tu musieli działać inaczej. Spokojniej, w białych rękawiczkach, by nie zostały ślady. By – jak mówił Zardow – nie wystraszyć następców. Żeby kolejni ewentualni „goście” zdali sobie sprawę, że przyjmą ich tu isticie po rosyjsku, z otwartymi ramionami, grzecznie. W każdym razie Wasiljewski i Sudopłat nie czuli się najlepiej. Z trudem hamowali narastającą frustrację.

Z jednej strony profesor twierdził, że wyciągnie z więźnia, co będzie trzeba, a z drugiej powtarzał, że to wymaga czasu. Oni zaś nieustannie zadawali niemal identyczne pytania, kazali opowiadać więźniowi życiorys, spisywali go, a potem odpytywali z niego Ringwalta.

Na temat przeżyć wojennych Amerykanin mówił dużo. Zaczynał się dopiero, kiedy dochodzili do ciekawszych rzeczy. Struktur, koneksji albo towarzyskich powiązań w jego organizacji.

Później, na polecenie szefa i Korsakowa, mieli próbować perswazji. Uprzejmej, miłej, z papierosami i koniakiem. Przecież byli z tej samej branży. Sam pułkownik Ringwalt, męczony godzinami, głupiał już.

– Wy mnie przesłuchujecie czy chcecie zwerbować? – dopytywał. Raz częstowali go amerykańskim lucky strikiem, innym razem pozwalali sobie na krzyk, a nawet lekkie kuksańce.

Wasiljewski i Sudopłat do pewnego momentu nie bardzo rozumieli powodów tego uporu. Tłumaczyli gościowi, że siedzi u nich tak długo, że może przestać się bać, że jego centrala zmieniła już wszystko, co było z nim związane, że nie musi się martwić o współpracowników i chciał dowiedzieć się tylko mało znaczących szczegółów. To nie skutkowało, a frustracja i brak zrozumienia sensu tych przesłuchań narastały jeszcze bardziej.

Dopiero to, co dziś powiedział im profesor, przyniosło przełom. Siedzieli chwilę w szpitalnym pokoiku, analizując zdobytą wiedzę. Podejrzewali, że ta gra jest wyjątkowo przebiegła. Robili więc posłusznie swoje.

Sudopłat, jako młodszy stopniem, spisywał pytania i odpowiedzi więźnia na maszynie. Wyrobił się i uderzał w klawisze z prędkością początkującej sekretarki. Była to czynność zupełnie zbędna, gdyż wszystko w tej przytulnej celi nagrywano, ale tego zdradzić nie mogli, toteż odstawiali szopkę. Mogli mieć stenotypistę, lecz rozkaz brzmiał: „Jak najmniej obcych w otoczeniu”. Tak więc biedny kapitan pisał i od czasu do czasu tylko warczał na więźnia.

Tego popołudnia padały zwyczajowe pytania: ilu ludzi liczy jego wydział? Jak nazywają się i czym zajmują sekcje jego wydziału? Ile maszyn ma w dyspozycji do zadań dywersyjnych? Jak pozyskują ludzi do służby? Skąd pochodzą? Jak wygląda szkolenie? Czy może opisać kolegów oficerów? Kim są? Pod jakimi przykrywkami najczęściej operują? Czy ktoś z nich działa w ZSRR?

Rzucali znane albo zmyślone nazwiska, żeby pokazać, jak wiele już wiedzą i że opór jest bezcelowy.

Odpowiedź padała zwykle ta sama – jego imię i nazwisko, potem numer służbowy i deklaracja „pułkownik sił powietrznych USA”. Czasem nieco więcej szczegółów z przebiegu służby, ale to tyczyło się wojny. Facet potrafił być twardy i miał silną wolę. To ustalił już sam profesor.

Obydwaj Sowietci, jak przy każdej tego typu okazji, bliscy byli furii. Tylko dobre szkolenie i doświadczenie ostatniej wojny hamowały wybuch emocji.

Wasiljewski miał dosyć. Amerykanin wyrecytował chyba po raz tysięczny swój numer, z trudem otwierając usta. Zdawało się, że zaraz osunie się z fotela i nawet zagipsowana noga mu w tym nie przeszkodzi.

Major GRU zamknął kajet i schował ołówek w kieszeń wiszącej na krześle marynarki.

– Kończymy – rzucił do kolegi i zgasił papierosa w popielniczce.

Sudopłat sprawnym ruchem wyciągnął z maszyny kartki, które zapisywał przez kalkę, i włożył starannie do sznurowanej teczki bez żadnych oznaczeń. Wsuwał dłoń do rękawa marynarki, kiedy przypomniało mu się, że to przesłuchanie jednak nie skończy się jak poprzednie. Skinął wymownie na towarzysza.

Wasiljewski pojął, o co chodzi. Sięgnął do kieszeni, z której dobył małą złożoną karteczkę w kratkę. Popatrzył na zapisane tam słowo i schował świstek.

– Jeszcze jedno, Ringwalt – powiedział oficjalnie, jak na śledczego przystało. – Samowar. – To słowo wyartykułował wolno i ostrożnie.

Na wpół uspiiony Ringwalt przechylił głowę. Nie otworzył oczu, ale zaczął mówić, szybko i płynnie.

– James L. Ringwalt urodzony szóstego maja tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku w Des Moines, Iowa. Żonaty, dwójka dzieci, Jack i Mary, żona Grable. Służbę wojskową zacząłem...

Sowietnicy spojrzeli na siebie i pokręcili głowami, nie wierząc w to, co widzą i słyszą. Zimny pot oblał Sudopłata na samą myśl, że niesłusznie śmiali się z profesora, a był on zdolny dokonywać rzeczy niesamowitych. Znali życiorys zawodowy tego faceta, ale nie potrafili – bez użycia przemocy – wydobyć niczego więcej.

Sam ten niewymuszony potok zeznań, albo raczej sposób jego wywołania, był dla obu fascynujący.

Ringwalt skończył swój monolog opisem wejścia na pokład samolotu, który leciał nad środkową Europę. Potem zamilkł wycieńczony.

Wasiljewski pstryknął palcami. Pacjent drgnął, co znaczyło, że żyje. Majora kusiło, żeby rzucić jeszcze raz słowo klucz, ale powstrzymał się. Nie wiedział, jak to jest z tymi wszystkimi dziwnymi zaklęciami i całą pieprzoną medycyną.

„Jeszcze spierdolę mu coś pod kopułą i mnie załatwią...” Machnął ręką.

– Kończymy, Ringwalt – rzucił głośno na odchodne i wstał. Otworzył drzwi i krzyknął: – Sanitariusz! Ułóżcie pacjenta do łóżka.

On i Sudopłat musieli jeszcze popracować. Sporządzić raport dla szefa.

\*

Czuł się jak w grobie, jakby pochowano go żywcem. Wąska, niska przestrzeń, w której nawet nie można było się porządnie wyprostować, załatywała wilgotną ziemią i żywicą. Było ciepło, nawet za bardzo, i czasem gdzieś dochodził go dźwięk spadającej kropli wody, rozpuszczonego śniegu, który spływał z zadaszienia.

„Pielgrzym” odrzucił pierzynę, nałożył kożuch i usiadł na zbitym z desek posłaniu. Przetarł twarz i oparł głowę w dłoniach. Zupełnie nie miał pojęcia, co ma ze sobą zrobić. Chciał zapalić naftową lampkę, ale uznał, że to niepotrzebne. I tak żył już jak kret, widząc niemal idealnie w tym mroku rozjaśnianym tylko przez żar niewielkiej kozy, stojącej w kącie.

Wyciągnął paczkę papierosów spod poduszki, oparł się o ścianę i zaczął wdychać gryzący, smrodliwy dym. To była jego jedyna rozrywka w tym przeklętym grobowcu.

Jeszcze nie tak dawno, tydzień temu, mógł wyjść, kluczyć leśnymi duktami, unikając ewentualnej obserwacji, a nawet pojechać gdzieś rowerem. Obserwować zmiany, dowiedzieć się czego nowego o swoich prześladowcach. Nic więcej nie mógł zrobić, nie miał zresztą zamiaru ryzykować żadnej akcji. To już było za nim, zepchnęli go do narożnika.

Marnował czas, życie ulatywało, ale przynajmniej oddychał świeżym powietrzem i czuł, jak w żyłach rozlewa się adrenalina. Ćwiczył bycie niewidzialnym. Takim samym człowiekiem, jak setki innych w okolicy, których powojenna bieda przygniatała swoim ogromem. Wtopił się w tłum w swoim zniszczonym płaszczu, starych butach, zupełnie nie przypominając tego, kim był dawniej – oficera.

„Cichociemny...” Zaśmiał się na samo wspomnienie Anglii, blichtru i dumy, jakie zamienił na ten dół gdzieś w leśnym ostępie. Miał dokumenty – nawet kilka kompletów – które dostał w Lublinie, ale i tak się bał. Mógł szukać pracy, nieco zaskórniaków też jeszcze posiadał. Tyle tylko, że zaraz zaczęłyby się pytania, domysły. Skąd te pieniądze i skąd ich właściciel? Na to dobrej bajki nie miał w zanadrzu...

Czekał więc jak przesypiający zimę zwierz. Z tą tylko różnicą, że nie miał pojęcia, czy zdoła dotrzeć do wiosny. Czasem rozmyślał o tym, co go w życiu ominęło, zwłaszcza o dziewczynie, która nie była pisana jemu, choć teraz to było bez różnicy. Posłusznie oczekiwał na „ewakuację”.

Potrząsnął głową. Za dużo myślał. Albo powoli popadał w obłąd.

„Jak wojsko bez zajęcia”. Strzyknął śliną w podłogę. Głupie pomysły oznaczały początek malkontenctwa.

Wstał, założył buty i zaczął chodzić w kółko po swojej norze, ciągle schylony, by nie zawadzić głową o wystające belki.

Klepnął w drewno, zły, że wymierzili za nisko. Znów odgonił czarną myśl. „Gdyby nie oni, stary capie...” Zdusił niedopałek butem. „Zamarzłbyś jak bezański pies”. Z tej beznadziei gotów był rugać najwierniejszych przyjaciół.

Chciał wrócić na łóżko i spróbować zrobić to, czym zajmował się od tygodnia. Zasnąć. Wcześniej brakowało mu solidnego snu i wypoczynku, za to teraz już miał go dość. Osłabł jeszcze bardziej – z braku ruchu i świeżego powietrza. Kilka ukrytych wywietrzników to było za mało, by oddychać pełną piersią. Siadł na łóżku, chwycił kołdrę i wtedy rozległ się stalowy trzask. Raz, potem drugi i trzeci. Wystraszył się i złapał za pistolet, chociaż nie był pewien, jaka to dokładnie pora dnia. Wiedział tylko, dzięki kalendarzykowi nad łóżkiem, że jest dwudziesty drugi grudnia.

Krótką pauza i znów trzaśnięcie, drugie, trzecie. Przerwa i znowu dwa uderzenia.

Sygnał był taki, jak się umawiali, ale bał się wyjrzeć na zewnątrz.

„Teraz? Czy jeszcze nie?” Spiał się, gotów na wszystko.

Podszedł do ściany po lewej stronie ziemianki.

Znał tu wszystko na pamięć, więc po omacku znalazł uchwyty. Szarpnął zbitą z desek i gałęzi pokrywę. Była ciężka, od zewnętrznej strony pokrywała ją dodatkowa warstwa słomy i mchu, związana sznurkiem. Prymitywna, ale sprawdzona izolacja.

Dalej był krótki korytarzyk, osłonięty palami nieokorowanego drewna. Tu było już znacznie zimniej i drobinki skroplonej pary, wydobywające się z lokum partyzanta, zamarzały na drewnianych ścianach, tworząc delikatną warstwę szronu.

„Pielgrzym” zrobił krok i zatrzymał się. Nasłuchiwał dobrą minutę. I bał się tego, co mógł usłyszeć, a co oznaczałoby, że to już kres wędrówki. Za każdym razem, kiedy ktoś go odwiedzał, czekał na ten jeden najgorszy dźwięk, serię z pistoletu maszynowego albo szczęk broni. Uznał

jednak, że ta chwila chyba jeszcze nie nadeszła, i podszedł do klapy. Uniósł ją i zaraz omiół go podmuch śnieżnej zadymki.

Naprzeciw jego kryjówki stał Czesław, siedemnastoletni chłopak noszący gruby czarny kożuch i równie potężną czapę, z siekierą w ręce.

Oficer odetchnął, choć narzędzie w dłoni chłopaka lekko go zaniepokoiło.

– Czesiek, co się dzieje...? – syknął cicho, pocierając zmarznięte ramiona, kiedy przez szum drzew wiatr przyniósł daleki krzyk. – Co się dzieje, do cholery? – Oficer wyskoczył na powierzchnię, zupełnie jakby chłód nagle przestał mu przeszkadzać. – Mów! – Schwycił połę kożucha i przyciągnął chłopaka. – Idą po mnie?

Chłopak dygotał ze strachu.

– Nie, panie oficerze. Tu chyba pana nie znajdują.

Ta odpowiedź jakoś nie bardzo satysfakcjonowała Macieja. Mocniej zacisnął palce.

– Mów! – Już nie był niczego pewien.

Czesiek był jego jedynym łącznikiem ze światem, czyli z niewielką wioską położoną dobrych kilometrów od ziemianki. Z trzech stron otaczały ją lasy, a od kryjówki „Pielgrzyma” oddzielał kawałek pola i wąski strumyk. Ludzi było tam niewielu – zostali ci, którzy przetrwali wojnę i niemiecką pacyfikację, po tym jak okazało się, że w jednym z domostw ukryty jest Żyd. Ocalały trzy gospodarstwa. Wszystkie zamieszkałe przez – jak twierdziło miejscowe podziemie – sprawdzonych ludzi. Żadnych banderowców czy komunistów.

Ojciec dzieciaka sam pomagał „leśnym”, a i jego rodzina chowała się po lasach przed Niemcami. Wiedział, co to znaczy partyzantka, i przez to okazał się bardzo życzliwy.

Maciej krótko ukrywał się w stodole, w dole zakrytym słomą. Opłacał ten pobyt, jak mógł i ile mógł. Zostało mu trochę funduszy z akcji na Mazowszu i na zachodzie kraju, głównie z ataków na posterunki i konwoje z „czerwoną” kasą.

Płacił tymi pieniędzmi za broń i informacje, a jak trzeba było, to i za kryjówki. Nie chwalił się tym wśród chłopaków, a ludziom, którym pomógł, kazał milczeć i przysięgać, że nie zdradzą, skąd mają fundusze. No i, że – broń Boże – nie będą szastać pieniędzmi.

Robiło się coraz goręcej, bezpieczeństwa rosła w siłę, a sowiecko-polskie oblawy czyściły teren. Nie miał zamiaru ściągać kolejnej ekspedycji karnej na tę malutką osadę. Wiedział, że czas zmienić miejsce pobytu.

Jego gospodarz, Lucjan Szczery, nie pozwolił zginąć oficerowi. W tajemnicy zaczął chodzić do lasu z synem, głównie bladym świtem, gdy w okolicy było jeszcze pusto. Mieli tam ziemiankę, w której przeczekiwali niemieckie najazdy i która kiedyś uratowała im życie. Dokładnie ją zadaszyli, dorobili lichą wentylację, a nawet wstawili piecyk. Przyłożyli się do tego najlepiej, jak potrafili, mimo że we własnym obojętności mieli co robić. Przygotowali taką kryjówkę, której zawodowy żołnierz nie mógłby się powstydzić.

Bunkier – jak go nazywali – wykopany został w pagórku. Wejście, znajdujące się od strony lasu, było niemal niewidoczne na stoku. Dach zasypano grubo ziemią i liśćmi. Nawet komin zakopano i jego wylot odprowadzono daleko, przy ziemi, żeby dym nie zdradzał obecności kryjówki.

Czesław, syn gospodarza, nocami przynosił jedzenie, czasem gazetę, plotki z okolicy i miasteczka. Jeśli trzeba było, jeździli z ojcem na zmianę po meldunki z kilku skrytek. „Pielgrzym” z początku nie był pewien, czy dobrze robi, prosząc ich o taką przysługę, ale innego wyjścia nie miał. Musiał polegać na tych prostych ludziach i modlić się, by nic się nie zmieniło w ich relacjach. Modły trafiały widać pod dobry adres, bo z biegiem czasu, choć pieniądze Gładyszaka

topniały, pomoc nie ustawała.

Oficer liczył na kilka groszy z akcji w Partowie, ale srogo się zawiódł. Dzięki pieniądzom z funduszu organizacji, od Bazylego, miał pewność, że tej zimy nie grozi mu śmierć głodowa. Co potem, sam nie wiedział. Żył w miarę bezpiecznie, ukryty pod ziemią. Wicher przygnał głośny skowyt psa, trzaski i kilka ledwo słyszalnych przekleństw.

– To u was? – Maciej zacisnął zęby i chwycił zimną rękojesć pistoletu.

– Tak, panie oficerze. Przyszli... – Zduszony szept chłopaka był bardziej przerażający niż najgłośniejszy wrzask.

– Ilu?

– Ze czterech, może pięciu.

– Ilu? – Maciejowi zdawało się, że nie dosłyszał. – Wojsko, UB, KBW? – zaczął wyliczać.

– Nie, panie oficerze, milicja. Ale taka inna, bez mundurów.

– Czego chcą?

– Kradną zwyczajnie, jak leci. – Młody pociągnął nosem i otarł go rękawem.

Gładyszak zrobił krok, schował się za drzewem i spojrzał w ciemny las. Wiedział dobrze, jak to wygląda. Jak za Niemca. Władza ściągała kontyngenty, zwłaszcza od tych, którym podczas reformy rzuciła jak ochłap skrawek nie swojej ziemi. Skoro dostali, niech płacą daninę. Nowy ład miał właśnie znieść takie praktyki, a stało się to jeszcze dokuczliwsze.

– Wódki szukają, mięsa pozabierali, na wóz pakują... – skarżył się chłopak, coraz mocniej pociągając nosem. – Tatko chciał im tłumaczyć, stawiać się. Mnie posłał do pana oficera, coby pan jakoś zaradził.

– Zaradził? – „Pielgrzym” nie posiadał się ze zdumienia. – Ja...? – Stuknął się w pierś.

– Zaraz ich nie będzie. U nas ludzi mało, zabiorą i już... Jak kto pójdzie na skargę, to powiedzą, że to bandyty, albo zrzucą na „leśnych”...

– Wiem, wiem – przerwał mu Maciej, gorączkowo myśląc, co robić. – To bandyci są, to prawda. Tylko że państwowi. – Zapiął swój kozuch. – „Leśni” też, jak trzeba było, brali po wsiach bez płacenia i pod groźbą, ale to w ostateczności, jak już głód im w oczy zaglądał. A i to w bardziej krnąbrnych osadach. Broń mają? – spytał naiwnie.

– Dobrze nie widziałem, ale chyba tak – odpowiadał szybko chłopak. – Jakoś straszyć muszą, inaczej by ich kijami obili.

Wiatr zaciął, zsypując z konarów śnieżną mgiełkę, ale partyzantowi wcale nie było zimno. Kucnął, przygryzając wargi i nie bardzo wiedząc, co ma zrobić.

Iść tam samemu, w noc, na przeciwnika, o którym niewiele wiedział, może by i dał radę. Ale dekonspiracja była pewna. Co potem go czekało, też było jasne. Meldunek, oblawa i przeczesywanie tego lasu.

„A jeśli odpuszczę?” – pytał sam siebie w myślach. „Żaden pieniądz ani patriotyczne gadki ich do mnie nie przekonają. Zaraz święta, a tamci... Będzie koniec”.

– To jak, panie oficerze? Pomoże pan oficer? – Chłopak schylił się i patrzył nań okrągłymi ze strachu oczami.

– Pomogę... – Ledwo przeszło mu to przez usta. Sam nie wierzył w to, co właśnie powiedział.

Błada twarz Cześka mimowolnie pojaśniała. Chłopak wyszczerzył zęby.

– Schowaj się gdzieś. – Maciej wstał, wkładając Visa za pasek spodni. – Nie podchodź do wsi – instruował pewniejszym głosem, jak prawdziwy oficer.

Może i zrobił wrażenie na dzieciaku, ale sam nie miał pojęcia, jak to rozegrać.

Wskoczył do nory. Na półce, wysoko nad podłogą, leżało brezentowe zawiniątko. Chwycił je i zamarł na chwilę.

„Kurwa, co ja robię?” – przemknęło mu przez głowę.

Broń i amunicja potrzebne były na poważniejsze sprawy.

„Trudno” – uznał. „O swoich trzeba dbać”. Rzucił pakunek na łóżko i odwinął. MP40 był do-  
brze zakonserwowany. Jeszcze pachniał wtartym smarem. Zabrał trzy magazynki, a na wszelki  
wypadek także jeden granat, który wcisnął do kieszeni spodni.

Zgrzał się przy tym, nawet spocił. Zrzucił kozuch. Był zbyt ciężki na takie przygody. Rozej-  
rzał się szybko i chwycił leżącą obok posłania kurtkę. Krótszą i cieńszą, ale za to z większą ilo-  
ścią kieszeni. Zarzucił ją na grzbiet i zapiął. Wetknął dwa magazynki w kieszenie, a trzeci pod-  
piął do pistoletu.

– No, to potańcujemy – mruknął w przestrzeń.

\*

Furmanka, która swoje najlepsze lata miała za sobą, kołysała się na oblodzonej dróżce. Koń  
leniwie miał kopytami śnieg, kiwając przy tym głową. Parskał co chwilę, jakby dawał znak, że  
wycieczki w środku ciemnej, mroźnej nocy nie należą do jego obowiązków.

– No dalej... Dalej! – czkał sierżant sztabowy Waškowiak i machał batem.

Rzucało nim na koźle, jakby koń gnał na złamanie karku, a nie truchtał z wolna. Gorzałka,  
którą niedawno raczył się z kompanami, rozgrzewała go, ale i utrudniała utrzymanie pionu.

– Jak tam, śpicie, chuje? – rzucił za siebie, aż echo poniosło, i zaśmiał się mętnie. – Tylko mi,  
kurwa, nie zeżrećcie wszystkiego. Starej muszę coś zawieźć...

– Nic się nie martw, lepiej patrz na drogę. – Molidło, w niewiele lepszym stanie, pozwalał so-  
bie na niecodzienną poufałość w stosunku do starszego stopniem. Prywatnie byli kumplami  
z partyzantki. Wszędzie łazili razem, nawet garowali pod celami na jednym bloku, więc bez uni-  
formów mogli pozwolić sobie na nieco swobody.

Dwaj pozostali rekwiranci siedzieli na końcu wozu, pogwizdując i śmiejąc się głośno. Jeden  
z nich był posterunkowym. Nazywał się Pawrzyński. Jego kompan, Ukrainiec Semenczuk,  
mieszkał jakieś dwadzieścia kilometrów dalej, ale kompanii Waškowiaka pomagał z wielką  
przyjemnością od samej wojny. Nie dość, że robił, co mu kazano, to jeszcze przejawiał wielki ta-  
lent i inicjatywę.

– Daj no flaszkę. – Woźnica wyciągnął za siebie rękę. – Coś mnie, kurwa, przewiało...  
W karku czuję – jęczał.

– No to pewnie wtedy, jak żeśmy tego sztywnego szczyła pilnowali – zawyrokował kapral  
Molidło. Waškowiak pociągnął łyk z butelki i sapnął tak głośno, aż koń zarżał.

Molidło zaczął oglądać łup i zastanawiać się, czy komendantowi opłaca się dawać trzy pęta  
kiełbasy, czy dwa starczą.

Wóz przejechał jeszcze kilometr po skrzypiącym śniegu. Dotarli do skrętu na nieco lepszy  
dukt, teraz i tak zupełnie pusty. Wjechali w nieduży młodnik. Tu nawet przestało wiać.

– „My ze spalonych wsi...” – Potworny ryk Waškowiaka rozszedł się po polu. Szumiąca  
w głowie brymucha nastroiła go do kombatantkich wspomnień. Ile to on razy w aelowskiej par-  
tyzantce takich hec, jak dzisiejsza, nie wyczyniał. Stanowiły kwintesencję jego bojowej przeszło-  
ści. Dla chabety tego jednak było za wiele. Zatrzymała się wreszcie, charcząc nosem.

– Co jest?! – wrzasnął woźnica i wstał, wyraźnie zły, że koń się opiera. – Dawaj, brudasie! –  
machnął batem, zatoczył się i wtedy koń ruszył. Mądry zwierz umiał się mścić.

Waškowiak padł na plecy. Wypuścił i bat, i flaszkę.

– Stój, wredna cholero! – grzmiał, nieporadnie próbując wrócić na miejsce. Już się prawie udało, ale znowu zakołysał się i padł. – Kurwa mać – syknął.

Jego kompani wybuchli gromkim śmiechem i też o mało z miejsc nie pospadali na widok tej komedii.

– Za dużo w czubie, obywatelu sierżancie. – Molidło złapał lejce, zatrzymał furmankę, po czym podciągnął kumpla na siedzenie.

– Ja ci zaraz... – Twarz woźnicy nabiegła krwią. Zeskoczył wściekły na ziemię. Bat znalazł prędko. Gorzej było z drogocenną butelką. Błądził na czworakach, w żalostnej pozie macając dłonią w śniegu.

– Ty, bo tak do rana będziemy stać – prychnął Molidło, wychylając się z wozu.

Sypnęło śniegiem z drzew. Koń zarżał, a potem jeszcze raz, głośniej, i pokręcił łbem.

Kaprał padł na kolana i ostrożnie wychylił głowę zza wozu.

– Ktoś tam jest? – Przeszły go ciarki.

Ludzie na wozie, za przykładem szefa, także skulili się w milczeniu.

– Gówno. – Waškowiak chciał wstać, ale walnął się w belkę od wozu i syknął. – Kurwaaa...

– Prawie się rozbeczał. – Pijackie zwidy. – Tarł głowę.

– Zamknij ryj. – Molidło uciszył go obcesowo i sięgnął po broń. – Rysiek. – Klepnął Pawrzyniaka w ramię. – Idź w zagajnik, od lewej – nakazał słumionym głosem.

– Ja? – obruszył się tamten i pokręcił głową. – Nie ma mowy. Jakie lichy tam...

– Stul jadaczkę – przerwał mu Molidło. – Masz kłamkę. Idź i sprawdź, my cię osłonimy. – Wskazał lufą tetetki w drzewa. Pawrzyniak chyba uznał, że z bronią szefa nie ma co dyskutować. Wydobył z kieszeni rewolwer, przycisnął go do siebie i mamroczył pod nosem przekleństwa, zeskoczył na ziemię. Zrobił krok, może dwa, gdy coś szurnęło między olszynami. Zamarł. Nadstawił ucha. Pozostali rozglądali się nerwowo, szukając napastnika. Niespodzianie zza ich pleców doleciał szept.

– Boże...

Molidło odwrócił głowę. Już chciał pytać, co z Waškowiakiem, kiedy serce o mało nie wyrwało mu się z piersi.

Człowiek, który się przed nimi pojawił, był jak duch. Z twarzą zakrytą szmatą trzymał Waškowiaka za wykręconą dłoń, mierząc mu w skroń pistoletem.

– Rzućcie broń – rozkazał. – Prędko. – Na znak, że nie żartuje, szarpnął ramieniem milicjanta, aż ten jęknął.

Molidło wahał się chwilę, ale drugi krzyk towarzysza przekonał go. Broń padła w śnieg. Ski-  
nęła na Semenczuka, żeby zrobił to samo.

– Ręce do góry – rozkazał nieznajomy. – Już! Ty z tyłu też! – Wyciągnął broń przed siebie.

Waškowiak uznał chyba, że to chwila, na którą czekał. Usiłował kopnąć prześladowcę, ale tylko zaplątał się we własne nogi. Padł, objając nos o furmankę.

– Kurwa – pisnął. – Na trzeźwo może by wyszło.

Skulił się na czerwonym od krwi śniegu.

Pawrzyniak też chciał się popisać, wyskoczył zza kozła i uniósł rewolwer, ale „Pielgrzym” był gotów. Strzelił z bliska. Młodego obróciło w miejscu. Nawet nie jęknął. Koń o mało nie zerwał się z zaprzęgu. Molidło podniósł się, ale zaraz ujrzał dymiącą lufę Visa między oczami.

– Siadaj, skurwysynu – kazał dryblas. W oddali psy zaczęły ujadać w obejściach.

– Zabijesz nas? – wykrztusił Molidło, unosząc dłonie.



– Złazić. – Napastnik zignorował pytanie. „Będą kłopoty” – podpowiadała mu intuicja. „Zawsze są” – dopowiedział wewnętrzny głos.

Postrzelony chłopak jęczał. Żył.

– My nie jesteśmy... – Próbował negocjacji kapral.

– Stul ryj. – Napastnik nie miał ochoty dyskutować.

Na znak, że nie żartuje, zrobił dwa kroki w tył. Schował szybko pistolet i ściągnął z pasa MP40.

Zadrżeli.

– Nie – pisnął Waskowiak.

Molidło tylko wyprężył się, gotów na ostateczność.

– Rzucać wszystko na ziemię. Pieniądze, zegarki, broń, co macie – rozkazywał duch. – No, raz-dwa.

W śniegu zaraz znalazły się pistolety, kilka banknotów, monety i dwa zegarki.

– No dobrze. – Wysoki mężczyzna uniósł lufę karabinku.

Waskowiak zasłonił twarz i zacisnął oczy, gotów błagać o litość.

– Słuchajcie dobrze, skurwysyny. – Lufa „czterdziestki” mierzyła w nich kolejno. – Puszczę was, choć nie powinienem. Wracajcie, skąd przyszliście. Zobaczą tu jeszcze raz... – Dopiero teraz odciągnął suwadło. – Zastrzelę jak psa. Tak samo, jeśli się dowiem, że coś kombinujecie i robicie problemy. No już, wypierdalać! – ryknął na całe gardło.

Waskowiak ruszył pierwszy, jak sprinter. Semczuk nie był wiele wolniejszy. Gdyby nie wołanie rannego kompana, zostawiłby go na pastwę losu. Tylko Molidło mierzył nieprzyjaciela zmrużonymi oczami, jakby w tej ciemnicy chciał dojrzeć szczegóły jego wyglądu.

– A ty co? – „Pielgrzym” zbliżył się do niego. – Specjalne zaproszenie potrzebne? Mówię: wypierdlać...!

– My się jeszcze... – Kapral podniósł palec, usiłując mu grozić. „Pielgrzym” doskoczył i zgrabnym ruchem rąbnął milicjanta kolbą w szczękę. Ten zabalgotał i osunął się na wóz.

– Poprawić? – Napastnik przytknął mu lufę do piersi.

Molidło oprzytomniał, otworzył szerzej oczy i potarł obolałą zuchwę. Musiało dotrzeć do niego, co go czeka, bo ruszył w te pędy za kompanami.

Jeszcze chwilę słychać było skrzypienie śniegu i znów zrobiło się spokojniej. Tylko koń rżał, omiatany wichrem.

Gładyszak odczekał kilka chwil, bojąc się, że cała czwórka ochłonie i pałając żądzą zemsty, wróci jeszcze, by odzyskać łup.

Było jednak jasne, że bez broni nie zdziałają wiele, a nawet jeśli mieli jeszcze coś w zanzardzu, to byli zbyt przerażeni.

Zajrzał do wozu. Piętrzyło się tam kilka pakunków, chyba baniek z bimbrem, a nawet pierzyna i kilka poduszek.

Oficer z niesmakiem pokręcił głową. Zebrał z ziemi pieniądze i broń i podszedł do konia. Pogładził go po pysku i złapał za uprząż. Zaczynała się zadymka.

– Widzisz, chłopie. – Poklepał konia. – Zatrze nasze ślady. – Postawił kołnierz kurtki, patrząc za siebie. Kichnął głośno. Zimno przenikało przez spocone od szybkiego biegu plecy. Pierwszy raz od dawna wiedział, że tę wycieczkę przypłaci zdrowiem.

Po kilkunastu minutach dotarł na obrzeża wsi. Na przedzie coś błysnęło – ktoś szedł z latarnią. „Pielgrzym” nie miał zamiaru ryzykować. Uderzył konia w zad, pochylił się i ruszył biegiem w stronę lasu. Dręczyło go tylko jedno pytanie: czy będą z tego kłopoty. ■

## ROZDZIAŁ 8

Obita lakierowanym drewnem sala przypominała aulę uniwersytecką – kilka rzędów krzeseł, podwyższenie, na którym stała wąska mównica, a za nią coś na kształt tablicy.

Siedzieli tu sześciu. Wszyscy w podobnym wieku, niezbyt gadatliwi. Rozglądali się nieco podejrzliwie, a część z nich dość nieudolnie usiłowała powstrzymać ziewanie, widomy znak zmęczenia. Wśród nich znajdował się także Karol Zielinsky.

Doskwierało mu dziwne uczucie zagubienia i oderwania od rzeczywistości. Powoli mieszało mu się w głowie od tych wszystkich lokalizacji, w których kazano mu mieszkać i ćwiczyć. Ostatnim czasem poznał tylu ludzi, że już nie pamiętał, kogo znał dłużej, kogo krócej, a wyglądało na to, że wcale nie miało się to skończyć. Na domiar złego bolał go bark – przewiało go, ale i był niemal pewien, że połowe prycze zrobiły swoje.

Wczoraj, gdy siwy facet kazał mu się pakować i czekać na auto, przez moment błysnęła mu myśl, że jego mocodawcy zadbają o wygodę w trakcie podróży. O ile jednak podstawiony wóz zapewniał jakiś taki komfort, o tyle zielony autobus, do którego się przesiadł, szczytem luksusu nie był na pewno.

Siedzieli w nim pięciu jemu podobnych ludzi. Tak jak i on wyglądali na ściągniętych prosto z polowych zajęć. Żadnego z nich nie rozpoznawał. Zaczęło do niego docierać, że „jego” grupa nie była jedyna i że w całym tym kompleksie musiało ich być jeszcze kilka. I z każdej z nich wybrano szczęśliwców. Czy też nieszczęśliwców – zależy, z której strony na tę kwestię spojrzeć.

Przywitał się z nowymi towarzyszami, ale rozmowa jakoś się nie kleiła. Zastanawiali się, czy znów szykuje się jakiś test, którego zasad nie rozumieli. Wszystko w tym bajzlu było cholernym testem i zgadywanką, co wolno, a co nie.

Jechali pół dnia i całą noc. Wypuszczono ich tylko dwa razy, za potrzebą, i wieziono dalej. Na miejsce dotarli rano. Zielinsky przypuszczał, że nie opuścili stanu, choć najwyraźniej trafili w jego mniej ludny skrawek.

Minęli ukrytą w zaśnieżonym lesie bramę – o wiele mniej okazałą niż w Fort Bragg. Wyglądała bardziej na wjazd do jakiegoś rancza. Za drogą i ogrodzeniem stały trzy niskie budynki z kamienia i drewnianych bali. Do tego garaż i jakieś gospodarcze konstrukcje. Panowała cisza.

Jakiś zaspany, ubrany po cywilnemu człowiek wprowadził ich do salki i kazał czekać. Potem zniknął.

Siedzieli tak już dobry kwadrans, spięci, marzący o wygodnym łóżku albo chociaż gorącej kawie.

Karol spostrzegł, że w tym dziwacznym miejscu nie ma żadnych napisów, niczego, co mogłyby być jakąkolwiek wskazówką, wyjaśnieniem, gdzie właściwie się znaleźli.

Drzwi do salki otworzyły się cicho. Cała szóstka od razu wstała. Do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn. Na ich widok Zielinsky’ego zamurowało.

– Fruwają czy jak? – wyrwało się mu niechcący, kiedy ujrzał swojego wczorajszego rozmówcę, a zaraz za nim majora Riley’a, choć teraz ten ostatni nosił cywilne, ciemne spodnie i gruby sweter.

„A może wozili nas w kółko tak dla zmyłki?” Pozostali mężczyźni, z którymi go przywieziono, byli tak samo zaskoczeni jak on.

Hadley, czy jak on tam naprawdę się nazywał, wszedł na podest. Był w tym samym garnitu-

rze co wczoraj, z tym samym szalikiem na karku. Riley stanął za nim.

Siwy człowiek uśmiechnął się. Był w widocznie lepszym nastroju niż poprzedniego dnia. Przypatrywał się chwilę każdemu z nich, tak jakby starał się ich ocenić.

– Dzień dobry, panowie – rzekł rażno.

– Dzień dobry, sir – odpowiedzieli chórem.

– Witam w naszym przytulnym gniazdku. – Hadley uniósł dłonie, rozglądając się po sali. – Mam nadzieję, że będzie wam tu dobrze. No i wykorzystacie pobyt tutaj, jak należy. Na pewno dowiecie się wielu ciekawych rzeczy, a my dowiemy się czegoś o was. – Spojrzał na Rileyę. Ten nieznacznie skinął głową. – Tego człowieka znacie. – Hadley z wyraźnym szacunkiem wskazał spadochroniarza. – Zajmie się wami, zaopiekuje... – W tym ostatnim zwrocie było coś niepokojącego. – Na początek major pokaże wam kwatery. Zjecie śniadanie, a potem sobie jeszcze porozmawiamy.

\*

Elegancki pokój, dawna jadalnia niemieckich właścicieli domu, wypełniony był masą mebli, bibelotów, lampek i wazonów. Wszystko to wrzucono tu już po wojnie, bez składu i ładu, nieważne, czy pasowało, czy nie. Ciężkie popielniczki, kałamarze, przyciski do papierów, pięknie zdobione i starannie wykonane cieszyły oko i umilały życie gościom z centrali.

Wygody, dobre jedzenie, trunki, a przede wszystkim władza w ramach tajnej i priorytetowej dla służb operacji „Turist”, bardzo rozzuchwalały członków „delegacji”. Major Stiepan Zardow nieco się tym martwił i obawiał, że jego drużyna za bardzo przyzwyczaja się do luksusów, spychając pracę na boczny tor, ale finalnie machnął na to ręką. Na razie nigdzie im się nie spieszyło, sprawy wymagały jedynie nadzoru. Nikt z miejscowych nie donosił, nie skarżył się przełożonym. Zresztą, niechby tylko spróbował...

Naczalstwo patrzyło nad wyraz życzliwie na to, co przygotował Zardow, nie popędzalo go i nie straszyclo. Miał więc czas. W takich sytuacjach nie można dziać za szybko. To nie było wskazane. Niemniej przychylnosc Komitetu Informacji mogła zastanawiać.

– Albo Fiodotow mnie lubi, albo traktuję mnie jak głupka. – Major MGB często rozważał takie ewentualności, analizując spotkanie z pierwszym zastępcą przewodniczącego komitetu. Inną możliwością było to, że góra chce go naprawdę wysondować i ocenić. Wszak ciągle był „Hiszpanem”, a do tego sporo siedział na zachodzie, co też uwierało podejrzliwy aparat, który – jak przeczuwano – szykował nową czystkę.

W tym monecie było lepiej, niż Zardow wcześniej przewidywał. Temat okazał się ciężki, a jednak...

Zasiadł u szczytu czarnego stołu. Światło pięknego słonecznego dnia padało mu z za pleców na dwa spore arkusze. Jeden prześledził pobieżnie, w drugi wczytywał się z większą uwagą.

Pozostali rozsiadali się już na krzesłach i fotelach. Palili, rozmawiali, ale tak, żeby mu nie przeszkadzać. Sudopłat bawił się rzeźbionym przyciskiem do papieru, Obracał go w palcach, sypiąc na krawat popiołem z papierosa. Nie mógł dojść, do czego takie *ustrojstwo* służy i po co ktoś zadawał sobie tyle trudu, by tak fantazyjnie ozdabiać metalowy klocek. Z kolei porucznik Leonid Aleksandrowski ciął karteczki ze swego notesu na mniejsze skrawki, używając srebrzonego noża do otwierania listów.

Zardow doczytał do końca. Odsunął papiery i rozparł się w miarę wygodnie na zbyt twardym krześle, ciągle wpatrzony w tekst.

– No ładnie. – Pokiwał głową ze szczerym uznaniem.

Reszta zespołu spojrziała w jego kierunku.

– Prawda, że ciekawe? – Policzki Wasiljewskiego zapłonęły rumieńcem podniecenia. Eksperymenty z jeńcem fascynowały go i zarazem przerażały.

– Ciekawe? – Zardow uśmiechnął się. – To istna sensacja, towarzysze oficerowie!

Zerwał się z miejsca, czując, jak wzbiera w nim ekscytacja. Oparł dłonie o stół i zaczął się śmiać.

– Sprawa wygląda o wiele lepiej niż w naszych założeniach. – Jego okrągła twarz pojaśniała. – Jestem gotów sądzić... – Sięgnął do spodni po papierosy. – Że moglibyśmy zaryzykować... – Przesiadł na parapecie. Zapalił i zamilkł, patrząc na krople topniejącego śniegu na szkle, jakby jeszcze układał sobie to, co miał w głowie.

– Chcesz zaczynać? – Aleksandrowski pojął od razu jego zamiary.

Major schylił głowę, spojrział na zgromadzonych z błyskiem w oku i uśmiechnął się szelmowsko.

– A czemu by nie?

Wiedzieli, co to oznacza. Jeśli już postanowione, to czas wakacji się kończył. Zaczynała się prawdziwa praca i nerwówka. Gdyby coś miało się spieprzyć, to właśnie w fazie zasadniczej.

– Z tego, co widzę, profesor dał wam popalić – zadrwił major.

Sudopłat i Wasiljewski milczeli zażenowani.

– No co, nic nie mówicie? – docinał Zardow. – Tak entuzjastycznego raportu dawno nie czytałem. Nie lada sztuczki wam pokazał, co?

– Też myślałem, że to sztuczki, a to wszystko prawda! – Sudopłat zrobił minę człowieka, którego dopuszczono do wielkich tajemnic.

Gorozow i Aleksandrowski, którym nie dane było obserwować Korsakowa przy pracy, zerkali na kolegów podejrzliwie.

– No dobrze już, dobrze... – Zardow z trudem powstrzymał się od jeszcze jednego docinka.

Podszedł do stołu i stuknął palcem w czerwoną teczkę.

– Tu mam wszystko. I powiem wam, że gdyby nie wasz entuzjazm odnośnie do tych metod, nie wiem, czy byłbym skłonny w to uwierzyć. – Zasiadł na swoim miejscu, zaciągnął się ostatni raz i zgasił papierosa. – Profesorek pisze... – Zaczął szukać odpowiedniej linijki.

Na te słowa Wasiljewski i Sudopłat jakoś dziwnie się skulili w sobie. Nie byli pewni, czy wielki uczoney, jak teraz o nim myśleli, w zemście za ich drwiny nie podesłał Zardowowi kilku „ciepłych” słów na temat ich zachowania.

– Profesor pisze, że według jego przekonań i wiedzy pacjent i terapia rokują dobrze. Jeśli nic się nie zmieni, to w ciągu dwóch miesięcy będzie gotów. Znaczy to, że możemy ruszać... – Zardow podniósł głowę i posłał zebrany zimne spojrzenie. – Jeśli to prawda... – analizował – a myślę, że tak jest, w końcu przecież profesor wie, czym ryzykuje... Jeśli to prawda, to jesteśmy u celu. Zakładam, oczywiście, pewne opóźnienia, nie można być w tej materii aż nadto zasadniczym. Co wy na to? – Wyciągnął się, podparł głowę dłonią i czekał.

– Moim zdaniem jeszcze nie nadszedł czas. – Leonid Aleksandrowski przemówił pewnym głosem. Reszta tylko pokiwała nieśmiało głowami.

– Dlaczego? – spytał Zardow spokojnie, jakby ta nieprzychylna opinia nie zrobiła na nim wrażenia.

– Dajcie nam jeszcze trochę czasu – mówił dalej najmłodszy rangą. – Przecież nowy rok za pasem. Potem można pracować...

Pozostali parsknęli śmiechem.

Tylko Zardow uniósł brwi w milczeniu.

– To o to chodzi? – powiedział cicho.

„Im chyba rzeczywiście za wesoło jest w luksusach”. Obliznął nerwowo wargę. Spodziewał się, że tak może się stać, ale nie przewidywał, że odważą się wypowiedzieć na głos swój sprzeciw.

– No dobrze. Skłonny jestem to zrozumieć. Odpuścimy tydzień czy dziesięć dni. Potem informuję wszystkich zainteresowanych o starcie działań i ruszamy z tematem. Trzeba dać sygnał na drugą stronę. Nasi wszystkiego nie zrobią... No i jeszcze... – Sięgnął po dokumenty leżące na stole. – Poprosiłem Barańczaka o akta „Worona” i całej tej bandy. – Na moment zrobił się poważny. – Są dobrzy. Bojowi, niebezpieczni. Może być ostro, naprawdę ostro. – Spojrzał na najmniej gadatliwego oficera wojsk wewnętrznych, weterana Smierszu, kapitana Gorozowa.

Ten wiedział, że słowa były skierowane do niego. Skinął głową na znak, że zrozumiał.

\*

Izba dosłownie błyszczała. Podłoga, kredens, nawet łóżko – wszystko wysprzątane było na wysoki połysk. Gródzka nieźle się przy tym napracowała, szorując i myjąc przez ostatnie trzy dni. Trudno było dojść, czy to zasługa świątecznych porządków, czy migotania świeczek na choince, ale w domu zrobiło się przytulnie.

Młody świerk pachniał cudownie. Mały Filip wespół z ojcem powiesił na nim kilka prostych ozdóbek z papierków po cukierkach, wycinanki z tekturki, zielone gwiazdki z pociętych kopert, no i ostatnie, jeszcze przedwojenne bombki.

Gospodyni miała co robić i nad czym myśleć. Wigilijny stół wyglądał nader imponująco, mimo że już od dawna im się nie przelewało. Wszyscy pomogli w jego zastawieniu. Nawet Witek, który, jak rzadko, nie pił w adwent. No, prawie nie pił i tylko raz nocował na milicji. Kłótnia o to była krótka, bo i tak nic by nie dała. Ważniejsze było to, że potrzebowali go do prac przy usuwaniu śniegu, więc i jakiś grosz mu wpadł. Boguśka też coś uciułała, szyjąc dla ludzi z miasteczka, teściowie pomogli, choć u nich również nie było rarytasów. No i Józek nie szczędził grosza, dzięki czemu pierwszy raz od wojny mogli pozwolić sobie na drobne świąteczne upominki. Józek pomógł także przy zdobyciu mięsa, nie byli więc skazani na same ryby i kapustę. A kiedy załatwił węgiel, szwagierka zaczęła mówić o nim „nasz anioł”.

Filip wpatrywał się w gorejące ogniki świeczek jak zahipnotyzowany. Co chwila dotykał palcem którąś z bombek i patrzył zafascynowany, jak odbija światło. Zaczynał rozumieć magię tego dnia, nie mając jeszcze świadomości, ile wyrzeczeń i pracy to wszystko kosztowało.

Witek rozsiadł się na końcu stołu, wystrojony jak przystało na taką okazję. Wiekowy garnitur, choć lekko już przetarty na łokciach i wypchany na kolanach, sprawiał, że gospodarz prezentował się bardzo uroczyście. Ogolił się gładko, zaczesał włosy do tyłu i zaczynał przypominać ludzką istotę. Dłonie tylko lekko mu drżały, więc chował je pod stół.

– Może po jednym? – Nie wytrzymał wreszcie.

– Witek... – Józek odezwał się zażenowany i zacisnął szczękę. – Obiecałeś coś żonie.

– A tak, wiem, wiem... – Niezadowolony gospodarz opuścił głowę i zaczął skrobać paznokcie. – No, a ta twoja dziewczyna... – Zmienił raptownie temat.

– Przyjdzie, przyjdzie. – Józek obrócił się do okna. – Zaraz będzie – zapewnił wesoło. – Spójrz tylko, co się dzieje. – Skinął na szybę.

Na zewnątrz było zupełnie biało. Wiatr uderzał w okna i zaraz potem milkł, jakby robił psikusy tym, którzy musieli wychodzić z domu w ten wieczór.

– No a powiedz mi, braciszku... – Witek podrapał się w głowę. – Ty długo u nas zostaniesz?  
– Uniósł skupione oczy.

– A co? Wadzę wam? – obruszył się Józek i zerwał od stołu. Podeszedł do Filipa, przykląkł i jak on zaczął wpatrywać się w świeczki.

– Nie wadziysz... Nie, nie. – Gródzki wystraszył się własnych słów. – Nie to miałem na myśli. Bardzo się cieszymy i w ogóle. – Zrobił znak krzyża na sercu i uniósł dłoń jak do przysięgi. – Siedź u nas, jak długo chcesz... tylko... – Rozpiął guzik marynarki i pochylił się. – Mnie o co innego idzie.

Józef łypnął przez ramię, lekko wystraszony. Syknął coś nerwowo, wstał i podeszedł do okna.

– Chciałbym, żeby matka z ojcem tu byli – przemówił z tęsknotą, udając, że nie dosłyszał słów brata.

– Też bym chciał... – Zasepił się gospodarz. – Pytałem cię... – Witek drążył dalej – jak długo zostaniesz, to znaczy kiedy coś się zacznie...

– Tego nikt nie wie. – Chłopak wyraźnie się zasepił. – Mówiłem ci przecież. – Zmarkotniał, z oczami ciągle wpatrzonymi w ogniki, i załamał ręce. – Ech. Kazali nam odpuścić, przeczekać. Niby do wiosny, a potem... Cholera wie... – Machnął ręką i zaraz zakrył usta, zmieszany. – Nie powinienem...

– Daj spokój. Mówisz, że to koniec? No to idziem pod panowanie... Zrobią, co będą chcieli, jak zabraknie takich jak ty...

– Tak, Wituś, na to wygląda – przytaknął Józek i potarł kark. – Ja to jeszcze mam was, ale inni? Cholera wie, ilu przetrwa. Gdzie teraz są... – Popatrzył za okno i tylko przeszedł go dreszcz. – Boże, gdzie on się skrył? – dokończył cicho.

– Co mówisz?

– Nie, nic. Tylko że i dowódca zniknął, rozwiął się jak płatek śniegu w tej zawierusze.

– Musiał. – Witek podciągnął spodnie, prężąc tors jak stary wyjadacz. – Taki jego los, jeśli chce żyć... Ale ta twoja dziewczyna... – Znów zmienił temat starszy brat i pokręcił głową. – Nie było innej?

– Daj spokój! – Józek podniósł głos, aż Filip popatrzył na niego przestraszony. – Pisz na maszynie. Taka jej robota.

– Ale w UB.

– Wiesz co? – rzucił Józek z wyrzutem. – Na trzeźwo to ty jeszcze gorszy jesteś niż po piąku.

Witold poczerwieniał, zachwiał się, a głos uwiązł mu w gardle. Wyciągnął pięść.

– Przestańcie! Takie święto... – krzyknęła z kuchni Boguśka.

W tej chwili rozległo się stukanie. Ciche, zaraz powtórzono mocniej.

Józek wyszedł do sieni i otworzył drzwi. Po chwili razem z Jadwigą stanęli przed Boguśką i Witkiem. Jadwiga wyglądała pięknie, jak przeniesiona w czasie z lepszych lat. Przypominała aktorki z filmowych plakatów. W tę przasną rzeczywistość wносиła powiew świeżości, młodość, a lekkie zakłopotanie tylko dodawało jej uroku. Stała ubrana w ciemną sukienkę i szary sweterek ozdobiony koralami. Włosy starannie upięła.

Józek pokraśniał z dumy.

– Pozwólcie, że przedstawię, tak już oficjalnie. Jadwiga Jędrzejewska – oznajmił uroczyście. – Pozwól, Jadziu – powiedział z zabawną ostentacją. – Moja szwagierka. – Wskazał dłonią.

Ta, nie bawiąc się w konwenanse, zignorowała wyciągniętą dłoń i poczęła obcałowywać lekko zaskoczoną dziewczynę.

- Miło mi, Bogusia jestem. – Śmiała się uradowana.
- Jadwiga – powiedziała cicho dziewczyna, rumieniąc się.
- A to... – Józek wskazał Witka. – Mój starszy brat.

Gospodarz spał, kaszlnął z nerwów i przyglądał marynarce na brzuchu. Znali się przecież z widzenia. Ostatnie ich spotkanie dla Witka miłe nie było. Pamiętał je i wołałby zapaść się teraz pod ziemię.

– Miło mi. – Schwycił jej dłoń i pocałował delikatnie. – Witold Gródzki. – Ukłonił się, unikając jej wzroku.

– No siadajcie, kochani, siadajcie – poleciła Bogusia, ściągając fartuch. – Już zastawiam stół...

– Może ja pomogę... – nieśmiało wtrąciła dziewczyna.

– Nie żartuj! – Gospodyni chwyciła ją za rękę i poprowadziła do stołu. – Siadaj i odpocznij. Ogrzej się. Ja się wszystkim zajmę. Podzielimy się opłatkiem i porozmawiamy. Musisz nam coś o sobie powiedzieć.

\*

Stukot butów rozchodził się po całym budynku. Barańczak szedł szybko pustym korytarzem Departamentu III Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Lublinie. Ten budzący grozę wśród mieszkańców miasta budynek znajdował się przy ulicy Krótkiej 4.

Prostokątna, modernistyczna bryła wyróżniała się na tle zniszczonych kamienic w okolicy. Przez zwykłych ludzi omijana była jak największym łukiem. Mieszkańcy miasta nawet nie spoglądali w tym kierunku, jakby obawiając się, że zwrócą tym na siebie uwagę i zostaną zaproszeni w te straszliwe mury.

Od styczniowych wyborów było wiadomo, że eskalująca przemoc razem z bezpieczeństwem zadomowiła się tu na dobre. Stało się jasne, że nikt nie przyjdzie z pomocą.

Urząd wydawał się wyludniony. Jakby dyżurowali w nim tylko przysypiający wartownicy na półpiętrach, ochrona u głównego wejścia i wartownicy od frontu i na podwórzu.

Sylwester Barańczak pędził roztrzęsiony do pokoju swego szefa. Wielu ludzi wzięło wolne. Niby UB było wzorem socjalistycznych ideałów, ale siła przyzwyczajenia okazała się większa. Oficerowie spędzali ten czas w domach.

Tymczasem przyjechali niezapowiedziani goście. Sowieci w mundurach i bez pomocy lokalnych funkcjonariuszy szybko obstawili cały budynek.

Przy jego pokoju stało dwóch. Mieli zimowe szynele, zacięte twarze i automaty. Barańczak zatrzymał się i sprawdził, czy zapiął kołnierz munduru.

– Dokumenty – burknął niższy Sowiet, o twarzy niebudzącej zaufania. Był kapralem, ale po zachowaniu można było sądzić, że ma się za co najmniej marszałka.

Barańczak sięgnął do kieszeni drżącą dłonią, kiedy drzwi się otworzyły.

– O, to wy. Dobrze. – Zarotkin był błady. – On, tu... zaproszony. – Trącił jednego z wartowników doradca. Ten popatrzył na Polaka bardzo nieufnie, ale odstąpił od wejścia.

Barańczak wszedł do pokoju i nerwowo przełknął ślinę. Zarotkin zamknął za nim drzwi.

Do dusznego gabinetu z dwoma biurkami, komodą na dokumenty i pancerną szafą nikt nie wchodził od dwóch dni, nie otwierał okien.

Barańczak wiedział, kogo tu zastanie. Ubrany w czarny płaszcz i garnitur z kamizelką sowiecki oficer rozsiadł się przy jego biurku.

– Towarzyszu majorze! Melduje się kapitan Barańczak.

Zardow uniósł głowę, udając zaskoczenie.

– O, jesteście. – Raczył nieszczercze się ucieszyć.

„Tobie się, kurwa, nudzi”. Barańczak wytrzymał jego spojrzenie, chociaż czuł, że drży, choć w budynku było ciepło.

– Co? Denerwujecie się? – Padło niespodziewanie pytanie.

– Nie, czemu, towarzyszu majorze? – zapytał Polak.

– Siadajcie. – Zardow gestem wskazał krzeselko przy biurku obok.

Barańczak podsunął je bliżej i zasiadł jak petent, z dłońmi na ściśniętych udach.

– No, towarzyszu kapitanie, jak leci? – Zardow studiował uważnie bladą twarz podwładnego.

– Dobrze, dziękuję – odparł Polak.

Zardow znów się uśmiechnął. Jak on lubił tych gnojków i takie sytuacje. Miał ich w garści i oni doskonale o tym wiedzieli. Odwiedziny w taki czas były złośliwością z jego strony. Kadra przy świątecznych stołach odreagowywała stresy ciężkiej służby. Kiedyś musieli, ale to ich nie usprawiedliwiało. Dostali epokowe zadanie, mieli budować nowy kraj, nowe społeczeństwo na wzór Związku Radzieckiego. Powinni więc trwać na posterunku o każdej porze. On sam by nie mógł usiedzieć. Zbyt wielka i doniosła w skutkach praca była przed nim.

– No dobra. – Sowiet spowaźniał. Twarz mu stężała, zmrużył oczy. – Kapitanie Barańczak, jak rozumiem, nic się nie zmieniło? – zapytał.

– Chodzi wam o tego... – Barańczak, nie bardzo pewien celu wizyty, zaczął jąkać się z przejęcia. Wszystko działo się za szybko.

– Tak, o „Worona”. Waszego człowieka i bandę. – Majora wyraźnie denerwowało takie mązgaństwo.

– A, tak, tak, oczywiście. – Polak w nerwach potarł ucho. – Odnotowaliśmy pewne sukcesy. Jak wiecie, mamy od jakiegoś czasu w swoich rękach człowieka o pseudonimie „Oczko”. Pracujemy nad nim na zamku. Zeznaje, choć nic więcej ponad to, co mówił „Woron” – meldował. Pogłodził się po brodzie. – Poza tym jest spokojnie. Ba, nawet za spokojnie. Najnowszy meldunek z terenu mówi, że w oddziale panuje rozgoryczenie i niepewność. Boją się, że ich rozwiążą. Moim zdaniem trzeba się spieszyć. – Otworzył szerzej oczy i ściszył głos. – Jeszcze trochę i nie będzie kogo szukać. O „Pielgrzymie” nikt nic nie wie...

– Barańczak, Barańczak – prychnął Zardow. – Wasza w tym głowa, by było kogo szukać.

Barańczak skulił się, opadł na oparcie i zamilkł.

– Tak, tak, wasze zadanie to trzymać ich na smyczy. – Wyciągnięty palec sowieckiego szpiega celował w sam nos kapitana. – To proste jak budowa cepa, Barańczak. Do tego macie informować mnie i czekać rozkazów. Nic więcej. A jak to spełnicie... – Skrzywił się, udając, że szuka odpowiednich słów. – Na pewno dacie radę. – Widać żadna nagroda nie przyszła mu na myśl. – No, a co do samego „Pielgrzyma”. Nie bójcie się tak o niego. – Wstał, szurając krzesłem.

Barańczak też poderwał się z miejsca.

– Gwarantuję wam, że w najbliższych tygodniach sam da o sobie znać i wrócimy do zabawy. „Oczko” nam niepotrzebny już do niczego. Róbcie z nim, co trzeba.

Sowiet obszedł biurko.

– No, a ja pokręcę się tutaj przez kilka dni. Przeszkadzać nie będę, mam nadzieję? – spytał, nie oczekując odpowiedzi. – Muszę zapoznać się z terenem. Później też będę wpadał. Ale nie sam. Nie sam... No dobrze. – Wyciągnął wspaniałomyślnie dłoń. – Na razie do widzenia, ale bądźcie czujni. Czeka was ciekawe zadanie.



\*

Pierwszy raz od kilku tygodni na niebie nie było ani jednej chmury, za to świeciło mnóstwo gwiazd. Ostry mróz szczypał w twarze i pozbawiał energii. Cały olbrzymi las uginał się pod pokrywą śniegu. Gałęzie chyliły się ku ziemi, a czasem pękały z trzaskiem, przerywając cudowną ciszę panującą w tym urokliwym zakątku.

Być może, gdyby nie okoliczności, można by było uznać ten kawał górzystego lasu za miejsce bajkowe.

Były to jednak pozory, na które nabierał się każdy trafiający tu świeżak. Bardzo prędko zdawał sobie jednak sprawę, gdzie rzucił go los, a właściwie niewrażliwa wojskowa administracja.

W dwa lata po wojnie amerykańsko-brytyjska strefa okupacyjna, „Bizona” – jak zwano ją od stycznia czterdziestego siódmego w oficjalnych komunikatach, była miejscem spokojnym. Niemcy okazali się mili i usłużni, a nawet bardziej niż usłużni. Chyba byli zadowoleni, że znaleźli się pod panowaniem Amerykanów i Brytyjczyków, nie zaś Sowietów czy choćby surowych Francuzów. Problem głodu pierwszych miesięcy został rozwiązany, a czarny rynek pozwalał przeżyć. Myślano z wolna o odbudowie i wszyscy udawali, że nazistów nie ma i nie było. Przecież za miedzą czaił się nowy wróg, a z nim nowe problemy. W powietrzu coś wisiało.

Podporucznik Mathieu Lynch był jednym z tych wyleczonych prędko z naiwności żołnierzy amerykańskiej żandarmerii. Spóźniony na wojnę, jak i jemu podobni niezadowolony, że nie załapał się na fanfary i zwycięstwa, miał przebywać tutaj aż do końca służby. A ten wydawał się potwornie odległy. Miało być nudno i spokojnie, ale okazało się, że życie szykuje sporo atrakcji dla młodego, niskiego bruneta z Idaho.

Za lasem byli już Sowieci i ich strefa. Stamtąd wpadały w odwiedziny grupy rozpoznawcze, z którymi trzeba było się ganiać po lesie. Niepisana umowa mówiła, że nawet jeśli zostaną wykryci, żadna ze stron nie robi sobie krzywdy. Do tego dochodziły potoki uciekinierów, których czerwoni ścigali, znów przekraczając granicę zony. Do kompletu zdarzali się także szpiedzy-dywerysanci. Ich należało łapać. Przede wszystkim tych ze wschodu. Innymi mieli nie zaprzętać sobie głowy – rozkazy mówiły, by udawać, że się nie widzi, kiedy ruszali w przeciwną stronę. Temu wszystkiemu towarzyszyło nieodparte wrażenie, że kolejna wojna w Europie to kwestia miesięcy, a jej pierwszy strzał padnie gdzieś tutaj.

Jeepy patrolu miały głębokie bruzdy zasp, sięgających do samych błotników. Gdyby nie łańcuchy na oponach, już dawno leżałyby w którymś rowie, a sześciu żandarmów drałowałoby do strażnicy piechotę. Żółte światło lamp dawało dobry wgląd w ciemną płataninę pni, oświetlało zasypaną przesiekę, którą Lynch i jego nieduży oddziałek znali lepiej niż drogę do własnej podstawówki. Nie rozmawiali dużo. Po czwartym czy piątym objeździe swojego odcinka, i to jeszcze nocą, tracili siły i popadali w lekką apatię. Odliczali czas do końca służby i marzyli o gorącej kawie, łóżku albo ich *Fraulein* czekających cierpliwie w miasteczku.

Podporucznik, gapiąc się w czarną ścianę lasu, usiłował właśnie przypomnieć sobie imię dziewczyny, z którą bawił się ostatniej nocy. Albo był wczoraj zbyt wstawiony, albo nie pytał, bo jedyne, co pamiętał, to zgrabne, acz nieco za chude ciało.

– Mat! – krzyknął szofer i wdepnął hamulec. Wóz niemal stanął dęba i tylko dłoń na szybie przed oficerem uratowała go przed wyleceniem na drogę.

Rozdygotany Jack wskazywał palcem przed siebie.

– Coś tam jest. – Wyglądał na zdrowo przestraszonego.

– Pierdolisz. – Lynch poprawił hełm, który zsunął mu się zbyt głęboko na oczy.

Ktoś zapukał w blachę i otworzył zapinane na napy drzwiczki.

– Wszystko OK? – Sierżant poświecił latarką do wnętrza.

– Weź to, do cholery! – Całe to zamieszanie rozdrażniło Lyncha. – Jack ma tylko przewidzenia...

– Ale naprawdę... – Kierowca stuknął się pięścią w pierś.

– Dobra już – westchnął oficer. Sięgnął po latarkę u pasa i mamrocząc pod nosem, wyostał się z auta. Omiotło go lodowate powietrze. – Kurwa, myślałem, że tam mi zimno było... – Skinął głową za siebie. – Nigdy się nie przyzwyczaję – burczał pod nosem, obciągając kurtkę. – Z wozów! – rzucił.

Sierżant gwizdnął i reszta wyskoczyła z dżipów.

– Gdzie to miało być? – spytał Lynch.

– A o tam. – Wyciągnięte ramię wskazało drzewa na wprost aut.

Lynch wydał usta, uniósł latarkę i poświecił w tamtą stronę. Reszta ludzi zaczęła rozglądać się wokół, jakby ktoś miał ich podejść.

– Jack i Casey, idziecie ze mną. Przynajmniej się rozgrzejemy. – Nie krył sarkazmu.

Chłopak siedzący na tylnym siedzeniu auta zaczął nieporadnie gramolić się z wnętrza. Nie lubił tego typu akcji, nie czuł się komfortowo w takich sytuacjach i już pół metra od wozu ścisnęło go w żołądku. Dla poprawy samopoczucia i dodania sobie animuszu wyciągnął pistolet. Machał latarką w lewo i prawo. Wszędzie spokój, drzewa, na drodze ślady opon. Jeździli tu przecież kilka razy tej nocy.

Nagle zamarł. Kolana się pod nim ugięły i z trudem powstrzymał krzyk podchodzący do ust. Skupił wiązkę światła w jednym miejscu. Na dróżce widać było wyraźnie dwa ślady. Ciemne punkty odcinały się od gładkiej bryły śniegu przy drodze.

– Kurwa mać – szepnął, nie bardzo wiedząc, co ma robić.

Przyklęknął. Dwaj ludzie za nim zaraz zrobili to samo. Lynch spojrzał przez ramię na chłopaków i cicho syknął.

– Tam. – Głową wskazał las.

Młody Casey od razu uniósł karabin M1 i wtulił się w niego, zamierając jak głaz.

– Jack. – Oficer syknął i wskazał na swojego szofera. – Idź w lewo.

Chłopak skinął głową, choć zadowolony nie był. Reszta chyba widziała, co się święci, bo zaczęła ostrożnie, krok po kroku, zbliżać się do lasu. Lynch ze ściśniętym sercem podszedł do śladów. Pochylił się.

– Jest was więcej? – wyszeptał.

Coś pyknęło. Casey nie czekał. Wystrzelił od razu dwa naboje. Echo zwielokrotniło huk.

– Wstrzymaj, kurwa, ogień! – wydarł się oficer z taką pasją, że młody aż się cofnął. – Pojebało cię... – Nie dokończył, bo chłopak poderwał się z ziemi i znowu przyłożył kolbę do ramienia. – Stój! – ryknął z siłą, o jaką Lynch by go nie podejrzewał.

Odrzucił się i o mało nie padł na zawał. Uniósł broń i latarkę.

– Stój! – powtórzył komendę po Jacku.

W żółtej poświacie wyrósł nagle człowiek. Dość niski. Ubrany był w watowaną, brązową kurtkę, futrzaną czapkę i dziwne szare buty. W okolicy bioder zwisał mu pas z kaburą, a u boku – coś na kształt mapnika.

Z jego czerwonej od mrozu twarzy patrzyły na nich przerażone oczy. Dygotał.

– Ty, kurwa, skąd tu?! – krzyknął do niego Lynch.

Napięcie schodziło z nich wszystkich, ale to jemu najbardziej drżały kolana.

Obcy nie odpowiedział.

– Chyba ruski, sir – zasugerował Casey.

– *Da, da ja sowietski sołdat* – odezwał się przybysz, pojmując to jedno słowo. – *Ruski!*

– Pierdolony... – wyrwało się oficerowi. Opuścił latarkę i machnął bronią na znak, żeby gość się przybliżył. – Przejedziemy się.

\*

To nie była zwykła strzelnica. Żadne tam tarcze, nic z tych rzeczy. Tu było ciasno, ciemno i ponuro. Serce łomotało szybciej, kiedy umysł podpowiadał, że w tym mroku ktoś się kryje. Ktoś żywy.

Greenman stąpał ostrożnie. Już dwa razy skrewił i nie czuł się z tym dobrze.

Oburącz ścisnął pistolet przy boku. Inaczej, niż uczyli go w wojsku, i ciągle nie potrafił przywyknąć do tego chwytu. Zrobił krok, a potem drugi, ostrożnie, aby nie potknąć się o jakąś pułapkę albo zwyczajnie przewrócony mebel. Chłonał duszną atmosferę, mieszaną nagrzanego powietrza i unoszącej się gęstej chmury starego kurzu. Zmysły wyostrzały się ponad miarę, przez co jeszcze mocniej wyczuwał to zatechłe otoczenie.

Powoli minął korytarzyk, łącznik między dwoma większymi pomieszczeniami na najniższym poziomie budowli, skrytej daleko w lesie. Nie miał pojęcia, ile tu już siedział. Godzinę, może dwie. Czas się zapętlił i tylko kolejne cele wyznaczały postępy albo ich brak. Szedł na czuja, kierując się w każdą wolną przestrzeń, i jak mu się zdawało, zbliżał się do kresu. Nagły błysk światła oślepił go na moment. Wiedział, że tak będzie. Przypadł do ziemi, ramiona wyciągnął machinalnie. Broń automatycznie stawała się przedłużeniem dłoni.

Zmrużył oczy, wypatrując celu. W mroku szczęknął metal. Z podłogi, za zakurczonym stołem, zerwała się tarcza. Skierował lufę w jej stronę, ale w ostatniej sekundzie opuścił zaciskający się na spuście palec. W gorejącym blasku lamp Zielinsky dostrzegł niewyraźną twarz kobiety albo dziewczynki. Farba, którą ją odmalowano, zmatowiała, podchodziła lekko rdzą, ale zarys był jeszcze widoczny.

Ulga i radość z refleksu nie trwały za długo. Znów usłyszał trzask. Głośniejszy. Rozległ się z jego prawej strony, niemal za plecami.

Karol odskoczył pod ścianę. Na krótkiej szynie z boku wyjechała kolejna tarcza. Tu nie było wątpliwości. Namalowany facecik był bardzo realny. Miał kapelusz i płaszcz, a w dłoni wyrażnie dzierżył rewolwer. Lufa Colta powędrowała w stronę celu. Strzał ogłuszał hukiem w tak ciasnym pomieszczeniu, ale Charlie i tak już niewiele sobie z tego robił. Drugi wystrzał. Stał jęknęła, kiedy ugodziły ją dwa potężne pociski kalibru 0,45 cala. Oko miał dobre. Kawał emaliowanej blachy poleciał w tył. Zielinsky podniósł się i zmarł w bezruchu na ugiętych kolanach.

Oczy uważnie lustrowały ten pełen pajęczyn zakurzony pokój, ustylizowany przez scenografów na zwykłą, domową jadalnię.

Prochowy dym pomieszany z uniesionym kurzem szczypał w oczy i wywoływał łzawienie.

Jeszcze dwa ostrożne kroki dzieliły go od wyjścia, kiedy z korytarza po lewej stronie, który – jak sądził Charlie – miał prowadzić dalej, błysnęło światło. Nikt chyba dawno nie reperował maszyny w tej części konstrukcji, bo było słabe, jakby brakowało zasilania. Greenman niemal padł na plecy wystraszony. Wyciągnął dłonie ponad brzuch i wystrzelił trzy razy. Cel powędrował na podłogę.

Znów lekko podduśił go dym. Światła pogasły – znak, że powinno być czysto, ale Polak już nie ufał tej przeklętej budowli. Wstał i przypomniał sobie, że opróżnił niemal cały magazynek.

Sięgnął po kolejny.

– Ostatni. – Obrócił zimną stal w palcach. Podpiął i ruszył ostrożnie dalej. Jego oczy potrzebowały nieco czasu, by na powrót przywyknąć do ciemności.

Pokonał korytarz i skręcił w prawo, do przejścia. Znowu jakieś meble, chyba szafka na buty. Realizm, jak się patrzy.

Zaraz potem wysokie strome schody.

– Trochę sobie połażę – westchnął pod nosem Polak i ścisnął mocniej pistolet.

Zrobił krok, stopień skrzywnął głośno. W panującej tu ciszy zabrzmiało to jak wystrzał. Dotarł na piętro i przykłęknął. Droga po miękkim dywanie biegła w obie strony, ku drzwiom. Decyzja była prosta, bo szanse, że trafi na kolejną zasadzkę, były równe, więc obojętnie gdzie by się skierował, coś na niego czekało.

Ruszył w prawo. Wolno, opierając się plecami o tapetowaną ścianę, wyciągnął prawą dłoń z bronią, a lewą złapał za klamkę. Przekręcił. Trzasnął zamek. Najpierw wsunął do pokoju pistolet, ciągle schylony, spodziewając się niespodzianki w kącie za drzwiami.

W mroku ledwo dostrzegał zarys łóżka, stół i jakąś szafę pod zasłoniętym deskami oknem. Puls przyspieszał. Z jednej strony wszystko to niesamowicie go frustrowało, z drugiej zaś ten cały „dom strachów”, bo tak nazywali go instruktorzy, wciągał jak najlepsza zabawa i człowiek zaraz zapominał o zasadach, zadaniu i tym, że to poważne szkolenie, prawdziwa broń, a nie nocne podchody.

Coś trzasnęło w rogu i znów oślepiło go światło. Mocne, znacznie silniejsze niż ostatnio. W uszach zabrzmiał ostry dźwięk strzałów. Zielinsky osłonił twarz łokciem, padł pod szafę i zaczął strzelać w szarobury, rozmyty kształt za lampą. Nie miał pojęcia, co teraz wskazuje blaszana, pomalowana plansza, ale było mu wszystko jedno. Przeraził się i o mało nie zisikał w spodnie. Do tego ten huk.

Nagle wszystko ucichło, zgasło światło, a nagrane strzały ustały. Musiał uważać, zostały mu trzy pociski i jeden w starym magazynku. Szybko doładował i na czworakach, jak ślepiec, zaczął wzdłuż ścian szukać jakiegoś wyjścia. Nie bardzo podobała mu się wizja przejścia obok schodów do pokoju naprzeciwko, gdzie takich zabawek mogło być więcej.

Coś ostrego przecięło materiał rękawiczki i zapiekła go dłoń. Syknął i stuknął lufą w przeszkodę, wściekły, że poranił rękę.

– Pierdolone gówno – wycharczał, tamując sączącą się strużkę krwi.

Obmacał łóżko i ścianę obok. Nic nie wskazywało, że z tego pokoiku zdoła wyjść inną drogą niż ta, którą tu dotarł.

– Trudno. – Minął łóżko i ruszył do wyjścia, potykając się jakiś stołek czy podnózek, kiedy z lewej strony po raz kolejny rozbłysło elektryczne światło.

Karol znów poleciał na podłogę i wycelował, choć wiedział dobrze, że dał się zaskoczyć. Nic nie zgrzytnęło w mechanizmie tarczy.

„Więc jednak żywi ludzie...” – był z siebie dumny, że to przewidział.

Cóż z tego, skoro był środkiem pokoju i nie miał szans się ukryć.

– Greenman! – Głos zza światła wydał się znajomy. – Greenman! Starczy! Opuść broń – rozkazał major Riley.

Zielinsky nie bardzo wierzył w szczerłość polecenia. Już kilka razy dał się nabrać na podobne sztuczki.

– No już, opuść! Kończysz na dziś. – Riley stawał się coraz bardziej niespokojny. – Masz gościa – dorzucił.

Podziałało od razu.

Greenman schował zabezpieczony pistolet, uśmiechnął się i ruszył w stronę światła.

Sala, do której wszedł, była przestronna, jasna, wypełniona nieco świeższym powietrzem. Na ścianie obok drzwi widniał nieduży wizjer, którego wylot musiał wychodzić za jakimś obrazkiem na ścianie ciemnego pokoju. Obok znajdował się niewielki panel z dwoma guzikami, prawdopodobnie służący do odpalania „niespodzianek” dla adeptów sztuki szpiegowskiej.

– Co to za niespodzianka? – zapytał Charlie.

– Ktoś chce pogadać – odparł Riley i wskazał na drzwi za sobą. – Na dole.

Greenman szedł skrzypiącymi schodami na parter. Tam, w części techniczno-instruktorskiej, mieściła się mała salka z dłuższym stołem, szafką pełną kubków na kawę i paroma krzesłami.

Siedziało w niej dwóch mężczyzn. Znał ich wystarczająco dobrze, by poczuć zawód. W swej nieopisanej naiwności ubzdurał sobie, że przyjechał do niego ktoś z rodziny.

– Witamy pana porucznika! – Ubrany w marynarski płaszcz i gruby golf Bryan J. Stanley wstał zza stołu i ruszył do niego z wyciągniętą prawicą.

Zielinsky uściśnął serdecznie dłoń majora, zmieszany tym nieoficjalnym, zupełnie niewoj-skowym powitaniem. Powinien przecież zameldować się najpierw grubemu oficerowi. Pułkownik Jeff Landas tylko machnął ręką, patrząc z rozbawieniem na wyprężonego oficera.

– Nieco schudłeś, jak widzę. – Landas wskazał Karolowi krzesło tuż obok siebie.

– Nie było trudno. Sporo świeżego powietrza i zajęć. – Zielinsky nerwowo otrzepał zielony uniform z pajęczyn i pyłu.

– Kawy? – zaproponował Stanley, unosząc kubek.

– Czemu nie, tego nigdy za wiele. – Greenman skinął głową, jednocześnie trąc nerwowo dło-nie.

– Jak ci się podoba to miejsce? – Sądząc po głosie, Stanley był czymś wyraźnie przejęty.

– Nieco tu... – Charlie teatralnym ruchem pociągnął palcem po stole – ...brudno. – Zaśmiał się. Nie miał zamiaru się żalić, że jest zmęczony, zwłaszcza po ostatnich dwóch tygodniach. To nie był obóz dla harcerzyków.

– Cóż, panie kolego. – Landas wbił w niego świdrujące spojrzenie. – To stary budynek, swoje przeszedł. Budowany był na samym początku wojny, w czterdziestym drugim...

– Ten labirynt pomagali stworzyć Anglicy – wtrącił major, nalewając z ekspresu cudownie pachnącą kawę. – Cóż, mieli nieco więcej doświadczenia. No ale teraz... – Przesunął kubkiem po blacie. – Dodaliśmy kilka nowinek. – Zaśmiał się.

– Widziałem te nowinki – syknął Zielinsky i machnął dłonią ciągle pokrytą zaschniętą krwią.

– Wojna, wojna, mój drogi – odparł Landas.

– Taaak... – Charlie upił wielki łyk kawy, nie bacząc na to, jak bardzo jest gorąca, i zerkał raz na jednego, raz na drugiego gościa. Odstawił kubek, czując, jak ciepło przyjemnie rozchodzi się po ciele, i już nieco bardziej rozluźniony usiadł wygodniej na krześle. Czuł każdy mięsień w nogach i na grzbiecie.

– Panowie przejazdem? – zapytał z ironią w głosie.

– A tak, przejazdem, przejazdem. – Stanley usiadł naprzeciwko. – Wpadliśmy cię zobaczyć.

– O, jak miło. – Karol pochylił głowę, robiąc dłonią gest niczym kłaniający się szlachcic.

– Ironia jest zbędna, panie Zielinsky. – Landas powiedział to uprzejmie, ale na tyle stanowczo, żeby zdyscyplinować oficera.

– Tak jest – wykrztusił cicho Polak, zaciskając palce na kubku i patrząc na czarny płyn, nieco speszony.

– Męczą was, co? – Landas znowu zrobił się nieco mniej formalny. – Siedzi pan tu już trochę.

– Nawet nie wiem dokładnie, jak długo – westchnął Greenman. – A roboty mamy sporo... – Znów napił się kawy, odpędzając myśli o Katty i Josephie.

Nadal nie był pewien, czy dobrze zrobił, godząc się na ten wyjazd, i czy nie skreślił całego spokojnego życia, którego nie zaznał przecież wiele.

– Masz wątpliwości? – Stanley zdawał się czytać w jego myślach. Spoważniał, oparł się ciężko na krześle i pokiwał głową. – Chyba cię rozumiem.

– Jednak jest pan tu prawie siedem tygodni. – Landas ciągle twardo trzymał się ziemi. – Kurs zaraz się skończy. – Pochylił się przy tym i ściszył głos, robiąc przy tym tak poważną minę, że Karola aż przeszedł dreszcz.

– Co mam przez to rozumieć? – Pytanie ledwo przeszło mu przez gardło.

– To, co powiedziałem. Kończymy.

Charles Zielinsky nie pojmował. Był zmęczony, bolała go głowa, ale nie do tego stopnia, żeby przestał trzeźwo myśleć. A mimo to nie rozumiał, co oznaczają słowa, które usłyszał.

– Idziesz do przodu, pokonujesz kolejne szczeble – włączył się Stanley. – Nie jesteś Supermanem, to sobie powiedzmy otwarcie. Myśleliśmy, że pójdzie ci lepiej, ale lekko zgrzybiałeś.

Zielinsky chciał protestować, ale wzniesiony palec go uciszył.

– Nauka języków? Wiemy, że jest OK. Szlifujesz polski, jak należy – wyliczał Bryan. – Nauczyciele są zadowoleni... Języki, teoria, nawet łączność idzie ci dobrze. Gorzej z kodowaniem. No i połowe zajęcia. I z kondycją nie za bardzo... – podsumował osiągnięcia Karola. – Ganiecie po lesie nie dla ciebie, co? Za to strzelanie... Ho, ho! – Uniósł kciuk.

Zielinsky milczał, coraz bardziej czerwieniąc się od wzbierającej wściekłości. Miał ochotę krzyknąć, że jest weteranem kilku kampanii, ale opanował się. Nauczyli go tego tutaj. Zresztą wiedział, że ma słabe punkty.

– Mam rozumieć, że się pożegnamy? – powiedział z trudem.

Landas chrząknął i skinął na majora.

– Nie, dlaczego? – Stanley doskonale grał.

Wzruszył ramionami, cofnął głowę i pokręcił nią przecząco z wielką energią.

– Wręcz przeciwnie. Zabieramy cię stąd. Idziesz... – Wstał, nalał sobie jeszcze kawy, posłodził i mieszał długo. – Przechodzisz do nowego etapu – powiedział wreszcie.

Karol patrzył raz na jednego, raz na drugiego. Powinien już pojąć, że takie podstępny to tu chleb codzienny, ale zaskoczenie było zbyt duże.

– Przecież mówiliście, że...

– Że jesteś taki sobie? – prychnął Stanley. Landas zaczął się śmiać. – A jesteś, jesteś, Greenman, ale... będziesz nam potrzebny. Bardzo potrzebny, i to pewnie niedługo.

Bryan J. Stanley oparł się o stół, zwiesił głowę i zagryzł wargi. Teatr się kończył.

– Zbieraj się. Siedem tygodni wystarczy. Będziesz szkolony indywidualnie, a potem... – Spojrzał porozumiewawczo na Landasa. – Potem zobaczymy.

\*

Głos sącący się z zawieszzonego pod sufitem, obłożonego stalowymi prętami głośnika niemal na pewno należał do Amerykanina. Był zrozumiały i wyraźny.

Pułkownik James Ringwalt początkowo buntował się, rzucał w głośnik butami albo głośno śpiewał, by go zagłuszyć. Jednak po tym, jak rozpoczął sesję z profesorem, zaczął się wsłuchi-

wać w te powtarzane co kilka dni audycje. Sam się sobie bardzo dziwił. Nie zwykł zmieniać opinii i poglądów, ale uznał, że i tak nie ma nic innego do roboty w tym nieco lepszym niż standardowe więzieniu.

Leżał więc lub siedział w fotelu, wsłuchując się w przyjemny, kojący głos, odczytujący kolejne fakty, które stopniowo podważały jego pojęcie o świecie. Nawet przestał się zastanawiać, skąd pochodzą te informacje. Wydawały się niezwykle szczegółowe i na pozór dobrze udokumentowane, poparte cytatami z ogólnościwiatowej prasy. Do tego dochodziły wywiady ze świadkami opisywanych spraw.

Tematy były różne. Najpierw usłyszał o segregacji rasowej i poczuł się zawstydzony. Nie miał pojęcia, jaki to powszechny proceder. A kiedyś przysięgłby, że to sprawa południowych stanów USA, a nie każdego niemal zakątka Ameryki. Później poruszano kwestie pracy i płacy, ale w cytowane dane amerykański oficer nie bardzo wierzył. Miał jakieś takie rozeznanie. Nie raz słuchał zeznań sowieckich zbiegów, więc bajki o złym losie amerykańskich robotników nie bardzo go poruszały, skoro ten „potworny” los był marzeniem niejednego z sowieckich i wschodnioeuropejskich pracowników.

Następnie usłyszał o wojnie, bombardowaniu Niemiec i cywilów. No, przecież z cywilami nikt nie wojował, a tylko z okupującymi Niemcy faszystami. Ci ponoć zbiegli do zachodnich części kraju, współpracując z nowymi panami tych ziem. Ringwalt i temu nie mógł zaprzeczyć. Gehlen i inni pomagali swoim zachodnim sojusznikom, ale opisy ich zbrodni, których słuchał tu, w odcięciu od zewnętrznego świata, gdzie było dużo czasu na myślenie, robiły piorunujące wrażenie.

Przemyślany potok referatów, odczytywanych przez posłusznego komunistę, w pełni oddanego sprawie, kończono opisem kolonizatorskich zapędów Ameryki, na przykład kwiecistymi tyradami o skutkach używania broni *made in USA* w Grecji, gdzie kolejni bezbronni cywile umierali ponoć dziesiątkami tysięcy. Wszystkie te audycje – z początku uznawane przez niego za bardzo stronicze, a przynajmniej mało obiektywne – z czasem dawały do myślenia.

Korsakow odniósł kolejny sukces. Pułkownik sam, dobrowolnie, już bez hipnozy czy choćby sugestii, poprosił o kilka opracowań dotyczących sytuacji w Grecji, potem w Polsce, a na końcu we Włoszech, gdzie zmagania imperialistów z ciągle silną partią komunistyczną nie traciły impetu.

Czytał, z początku nie przyjmując do wiadomości podawanych mu statystyk i zeznań, podobnie jak to było z audycjami. Teraz jednak nie potrafił oderwać się od lektury i rosła w nim wielka chęć przedyskutowania tematu z kimś kompetentnym. Profesora psychiatrii nic nie mogło ucieszyć bardziej. Trzeba było przyspieszyć i zintensyfikować kolejną część planu. Więzień musiał w końcu usłyszeć, jak wspaniały jest Związek Radziecki.

\*

Trudno było dłużej wysiedzieć w miejscu. Smród i duchota były tak gęste, że siekierę można by powiesić. A i Józek nieco przesadził. Jadwiga ledwo zdołała wyprowadzić go na zewnątrz.

Bawili się całkiem miło, niestety do czasu. Sala była bardzo zatłoczona. Przyjechali ludzie z Kocka, Ulana, Bedlna czy nawet Łukowa.

Jeden z ostatnich sobotnich wieczorów karnawału czterdziestego ósmego roku ściągnął wszystkich, którzy mogli wyrwać się z domu. Była to odskocznia od codzienności: pracy w zakładach w Lublinie czy Białej Podlaskiej, ciężkich dojazdów zawałonymi śniegiem drogami, obowiązków w państwowych nieruchomościach, czyli nierozparcelowanych przy reformie ma-

jątkach czy innych spółdzielniach.

Bawili się więc tutaj ci, którym wmówiono, że wokół wszystko należy do nich: ludzie po przyspieszonych kursach, z kilkoma klasami. Murarze, mechanicy i reszta.

Józka po dwóch godzinach imprezy wzięło na pogawędkę. I zaczęły się pijatyki i bijatyki. Jadwiga miała dość.

Gródzki padł na kolana, potykając się o próg. Poleciał twarzą w świeży śnieg. Nie był sam. Przed wejściem w tej samej pozycji zaległo kilku kompanów zabawy, teraz cuconych przez swych towarzyszy czy partnerki.

– Wstawaj. – Jadwiga prędko narzuciła palto. Mróz o tej porze był duży. Ledwo podniosła chłopaka. – Wstawaj, bo zapalenia płuc dostaniesz...

Nie wiadomo skąd znalazła w sobie więcej siły, ale Józek, wspierany przez nią, powoli klęknął, dysząc przy tym ciężko. Wracał do żywych. Mróz go otrzeźwił.

Ruszyli krzywą ścieżką wzdłuż Białki, a potem koło pałacu. Było pusto, ciemno i wiał lodowaty wiatr. Zadymka sprawiała, że ich ślady szybko zasypywał śnieg.

Wreszcie dotarli pod właściwy adres. Śnieg sięgał tu do połowy łydek. Było prawie zupełnie ciemno. Gdzieś daleko paliła się latarenka.

Dziewczynie przemokły buty, drżała z zimna, ale była zadowolona, że wreszcie są u celu.

– Jadzia... – stęknął Józek, kiedy otwierała furtkę.

– Co? – prychnęła.

– Poczekaj. – Ujął ją za ramię. Przysunął głowę i chciał ją pocałować, ale dziewczyna wywała się z obrzydzeniem.

– Jesteś pijany... – fuknęła, robiąc krok w śnieg.

Chłopak zachwiał się i w ostatniej chwili złapał sztachety.

Półprzymknięte oczy spozierały na nią wesoło. Uśmiechnął się, podniósł dłoń w rękawiczkę, jakby chciał ją pogłodzić po policzku, ale znów odskoczyła.

– Wracaj do domu. Prześpij się – powiedziała, ale jej absztyfikant nie miał zamiaru się poddawać. Zrobił gwałtowny, sprężysty ruch, jakby zbierał na niego siły od dłuższej chwili.

Złapał ją za ręce i padł na kolana. Zadrżała wystraszona.

– Nie odchodź, czekaj!

Jadwiga struchlała.

– Jadzia, Jadzia! – Zaczął szarpać ją za poły płaszczyka tak mocno, że dziewczynie przyszło na myśl, iż zaraz go porwie. – Ty myślisz... ty wiesz...? – mamrotał. – Ty myślisz, że możemy... no wiesz... ja i ty.

– Idź spać, porozmawiamy jutro – nakazała najsurowiej, jak potrafiła.

– Nie chcę. – Chłopak wstał i delikatnie musnął jej szyję, patrząc zmrużonymi oczami na śliczną twarz. – Czy my możemy być tak ze sobą... na stałe...? Bo ja, wiesz... Ja przecież jestem... – Poczul, że musi wypowiedzieć głośno wątpliwości, które nie dawały mu spokoju. – Ja jestem przeklęty... A ty... – Kwaśno się uśmiechnął.

Właściwie nigdy o tym nie rozmawiali. Ona nie pytała o jego życie, ale wiedziała, jaką ma przeszłość, choć „Pielgrzym” nigdy nie zdradzał szczegółów na temat swoich ludzi. Więc udawała, że nie ma o niczym pojęcia. Coś ścisnęło ją pod sercem. Poczula paniczny lęk, dziwne, niepokojące przeczucie, że ta rozmowa nie prowadzi do niczego dobrego.

Otrzeźwiała. Nagle spadło na nią wszystko to, co odsuwała od świadomości. Ryzykowała potwornie, we wszystkim, co robiła. I teraz on jej przypomniał. On też był niebezpieczny.

Znów zrobiło się jej zimno, aż zaczęła dygotać od przepelniającego ją lęku. Coś wisiąło



w powietrzu, tylko nie potrafiła określić co.

– Ty w bezpiece... – Józek znów zaczął mówić. – A ja... – Zamilkł.

Zmrużył oczy i potrząsnął energicznie głową. Potarł czoło nerwowym ruchem, po czym podniósł rękę nad głowę i wykręcił chybotliwy, niepewnego piruet.

– „Nie szumcie wierzby nam...” – zaśpiewał głośno, aż echo poniosło między domami.

– Zamknij się, idioto!

Głos należał do człowieka, który jak duch pojawił się obok nich z zapaloną lampą. Jadzia podskoczyła ze strachu, zaciskając w pierwszym odruchu wargi tak mocno, że aż zabołały. Serce podeszło jej do gardła.

– Wystraszyłem cię? – Ogniki odbitego płomienia tańczyły w oczach Witolda Gródzkiego. – Wybacz, proszę – powiedział do Jadwigi. – Nie miałem zamiaru... – Skrzywił usta w uśmiechu i ciągle się w nią wpatrywał.

– Pan go zabierze. – Dziewczyna opuściła wzrok, ucinając niezdrową ciszę. – Ja muszę iść... – Skinęła za siebie.

– Jaki pan – obruszył się Witold. – Pójdiesz sama? O tej godzinie... Nie, nie. Może byś... – Wskazał na dom.

Ciągle nie spuszczał z niej wzroku. Jadwiga poczuła dreszcz. Ten człowiek ją przerażał.

– No chodź, panie tancerz. – Gródzki dał za wygraną.

Poprawił kożuch narzucony na pizamę, złapał brata pod pachę i zaczął wlec za sobą.

– No chodź, chodź... Znów zabrałeś mi czapkę – marudził, chwiejąc się na śliskim chodniku.

– Jaka uświniona, cholera...

Zerknął przez ramię, uklonił się i rzucił:

– Dobranoc. ■

## ROZDZIAŁ 9

Kolejne trzy tygodnie nie były wypełnione tylko nużącym i męczącym szkoleniem. Ku nieopisanej radości Zielinsky'ego wizyta gości w ośrodku szkoleniowym miała i inne skutki. Dostał dwa tygodnie urlopu: łyż radości ze spotkania po rozłące, żal, że znów musi wyjechać, i na koniec – noce pełne namiętności... Ale to już było za nim.

Wkraczał do innej rzeki. Bardziej wartkiej i głębokiej. Uświadomił to sobie, kiedy cała rodzina żegnała go na Grand Central Station i wszyscy byli przekonani, że nieprędko się zobaczą.

Pierwszy raz od zeszłej jesieni poczuł niepokój, czy aby ryzyko, które podejmuje, nie jest zbyt wielkie. Rodzice jak rodzice, ale zostawiać Katty na pastwę tych wszystkich facetów, którzy kręcili się pod warsztatem... Na tę myśl włosy mu się jeżyły na karku i wszelkie patriotyczne uniesienia traciły swą moc.

Marcin był dobrym przyjacielem, zgodził się czuwać nad wszystkim, również nad bezpieczeństwem jego żony.

„A on? Jemu mogę ufać?” – od lektury skoroszytów oderwała go niepokojąca, frustrująca myśl.

Odrzucił teczkę, wstał od biurka i podszedł do okna. Waszyngton okryty białym całunem, połyskujący w słońcu i mrozie, był naprawdę urokliwym miejscem, a takie widoki potrafiły koić niepokoje.

– Popadasz w paranoję – powiedział sam do siebie, przekonany, że wcale nie odpoczął, a wręcz czuje się coraz gorzej.

Sięgnął do kieszeni spodni, szukając papierosów. Nie było ich tam, więc przetrząsnął marynarkę wiszącą na oparciu, ale i tam nie znalazł paczki.

– Psiakrew. Z pamięcią też nie najlepiej.

Dostał lokum w samej jaskini lwa, w siedzibie firmy. To znaczy w jednym z dziesięciu budynków odziedziczonych po OSS. W tymczasowej budowli, wzniesionej w National Mall, dzielnicy pomników i sercu Dystryktu Columbia, którą miejscowi nazywali „tempo”. Powstało tu ich kilkanaście jeszcze na początku wojny. Gdzieś trzeba było pomieścić tysiące nowych urzędników, funkcjonariuszy i oficerów niezbędnych do opanowania tej maszyny.

Pokoik był niewielki, wyposażony w leżankę, biurko i szafę. Zupełnie jak w tanim motelu. Bywało tu cholernie zimno, więc musiał dogrzewać elektrycznym piecykiem, a nocą przykrywać się dodatkowymi kocami. Miał tu siedzieć, czekać i przede wszystkim uczyć się na pamięć nowego życiorysu. Przynajmniej mógł cieszyć się doskonałym widokiem. Takim, jakiego nigdy nie widział, chyba że na zdjęciach w gazetach czy w kinowych kronikach. Pomnik Waszyngtona, monument Lincolna, park i długi zamarznięty staw. Same symbole. Przypominały mu, że to ich będzie bronili. Jeśli da radę i mu na to pozwolą, rzecz jasna.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Klamka poruszyła się, jeszcze zanim Greenman zdążył otworzyć usta. Zresztą ci, którzy pukali, byli u siebie, a on doskonale wiedział, kto idzie.

– Witamy, witamy. – Landas pokazał w uśmiechu żółte zęby.

Za nim kroczył Stanley, nieco bardziej opanowany i poważny. Landas nadzorował akcję, ale to major miał dopilnować wszystkiego i najwyraźniej nie potrafił radzić sobie ze stresem. Było to widać jak na dłoni i, co gorsza, jego zdenerwowanie udzielało się coraz mocniej Karolowi. Skoro taki wyga jak Bryan pękał, to co on miał myśleć?

Dwaj oficerowie odziani w nienagannie skrojone, jasne dwurzędowe garnitury rozsiedli się bez pytania na krzesłach. Zaczynało się robić naprawdę poważnie.

– Jak postępy? – Landas pochylił głowę i spojrzął tak, jakby umiał czytać w myślach.

– Stefan Woźniak. – Zielinsky stanął na baczność. – Urodzony w Gdyni w dwudziestym piątym. Syn Henryka i Anieli. Ojciec został zabity w trzydziestym dziewiątym podczas pierwszych egzekucji w Piaśnicy. Matkę i mnie przesiedlono do Rzeszy, na gospodarstwo rolne. Udało nam się wrócić w marcu czterdziestego piątego po oswobodzeniu przez armię radziecką. Po zakończeniu wojny pracowałem krótko przy odbudowie portu jako zwykły robotnik, uczyłem się wieczorowo. Potem wzięto mnie do wojska. Służyłem na Dolnym Śląsku. Tam uczestniczyłem w utarczkach z bandami i oddziałami Werwolfu. Po odbyciu służby przeniosłem się na ziemie odzyskane. Ziemi i pustych domów było sporo, więc postanowiłem się osiedlić i szukać żony...

– Mówił sprawnie, prędko, bez zająknięcia i do tego nienaganną polszczyzną. Potem powtórzył to raz jeszcze. Spokojnie i pewnie, ale po angielsku.

– Skąd się wziąłeś na wschodzie kraju? – Landas nie ulegał czarowi wykutej na pamięć formuлки.

– Na Lubelszczyźnie – odparł Zielinsky. Nie usłyszał jednak żadnej pochwały z ust przełożonych. – Szukam znajomych, właściwie współtowarzyszy niewoli – mówił niezrażony. – Rodzina Siatczyńskich. Eugeniusz, Marta i ich dwójka dzieci, Wanda i Stefan. Zналиśmy się z robót, mieszkaliśmy razem długie lata. Podkochiwałem się w Wandzie i chciałem ich odszukać. No bo po co mam szukać kobiety cholera wie gdzie, jak znam już jedną, i to całkiem dobrze... Odnalazłem ich przez urząd i teraz jadę do nich, do...

– Starczy – przerwał Landas. Wyciągnął nogi, splótł palce na brzuchu i zagryzł wargi, widocznie bijąc się z myślami. – Co sądzisz? – Zerknął na swojego towarzysza.

– Jak na nowicjusza, całkiem, całkiem.

– Ja uważam, że można by go było jeszcze dać do podszkolenia. – Landas zmarszczył brwi. – Za dużo luk, brak szczegółów. Gdzie byłeś na tych robotach? – rzucił. – No już, raz dwa, musisz reagować natychmiast, rozumiesz, od razu!

– OK. Jasne, jasne. – Zielinsky szybko przywołał z pamięci informacje. – Oberleschen. Saksonia. Szef majątku – Ernest Ruprich. Choć nazywaliśmy go Rup...

– A co robiłeś przez dwa miesiące po powrocie do domu? – Pułkownik nie odpuszczał łatwo.

– W tym czasie... – Zielinsky'emu głos uwiązł w gardle. – Matka chorowała, zapalenie płuc, musiałem się opiekować... – Zaczynał wymyślać.

– No dobrze... – Przerwał chyba nieco rozbawiony Stanley. – Nie rozpędzaj się. Uważaj na szczegóły. Zapalenie płuc? W warunkach wyniszczonego kraju to pewna śmierć. Trzeba by było szukać penicyliny, szpitale przepełnione... – Karol chciał coś w trącić, ale Stanley mu nie pozwolił. Szybko reagował i w mig wylapywał drobnostki, na które Zielinsky w ogóle nie zwróciłby najmniejszej uwagi. – Ja wiem, że ty wiesz i rozumiesz, ale uważaj, na litość boską. Skoro chora matka, to leki, czarny rynek, gdzie lekarz wojskowy, ruski albo polski, za pieniądze może je załatwić. Jak by nie było, już robi się groźnie. To zabronione. Następne pytanie będzie o to, skąd miałeś te pieniądze. Jak zarobiłeś? A jak mówią twoi szanowni rodacy, towarzysze są bardzo podejrzliwi, zwłaszcza w tych sprawach, i jest bardzo prawdopodobne, że zaraz zaczną dociekać, czy aby ciebie nie wyzwoliła nieco inna armia i czy to teraz ona ci przypadkiem nie płaci. Do tego nerwy, najmniejszy błąd językowy i już mają punkt zaczepienia.

Greenman spotulniał, kryjąc głowę w ramionach. Sądził, że wybrnął z zadania, a tu taki klops. Spory cios dla jego wybujałych ambicji.

– No, ale dobrze, dobrze. – Major szybko pojął, że Zielinsky zrozumiał, w czym problem, i że dalsze gnębienie go przyniesie marne efekty. – Jest lepiej, niż przypuszczałem, inne umiejętności też nieco podciągnąłeś. Luki dopracujemy, zostało jeszcze trochę czasu do wyjazdu, więc...

– Wyjazdu? – Karol nie umiał ukryć zaskoczenia.

– Tak, wyjazdu. – Landas potwierdził to z absolutną powagą na nieruchomej twarzy.

– Myślałem, że to element...

– ...szkolenia? – dokończył Stanley. – Chcieliśmy, żebyś tak myślał. To nie jakaś gierka, ale zasady, mój drogi, zasady.

– Dokąd? – Ledwo wykrztusił Karol.

– A jakiej legendy się wyuczyłeś?

– Więc jednak... – Greenman głęboko wciągnął powietrze. Docierało do niego powoli, że dał radę, choć w głowie mu szumiało i nie wiedział do końca, czy to aby nie sen. – Cel, zadania? – kilka oddechów i wracał na ziemię.

– Po pierwsze, ochłoń – polecił Landas. – Co do zadań. – Zastukał palcami w blat biurka. – Po to tu dziś przyszliśmy. – Spochmurniał nagle.

– Słuchaj, Charlie. – Major przysunął się bliżej Karola. – Legenda, której miałeś się nauczyć, nie jest przypadkowa. Pojedziesz do Polski. Szefowie wywiadu razem z panem pułkownikiem – skłonił się – podjęli decyzję, by przeprowadzić pewną akcję. Trzeba się spieszyć, i dlatego też twoje przygotowanie jest tak szybkie i, co dużo mówić, w kilku kwestiach nieco pobieżne. Zanim powiem, o co chodzi, muszę cię jeszcze poinformować, że za dwa dni złożysz przysięgę i staniesz się pełnoprawnym funkcjonariuszem firmy. Odwrotu nie będzie. Jesteś gotów?

– Tak – odparł bez namysłu Karol. – Wiem, w co wchodzi...

– Doprawdy? – Landas uśmiechnął się sceptycznie. – Podstępny, zdrady, czasem porwania i zabójstwa, a do tego nigdy nie możesz mieć pewności, że to, co widać i słyszać, to prawda, czy też ktoś tobą nie manipuluje. Gabinet luster. Oto, w co się pakujesz – straszyl, ale jak podejrzewał Greenman, raczej dla zasady.

– Rozumiem, panie pułkowniku. – Zielinsky nie miał zamiaru dyskutować. Już dawno podjął decyzję.

– No, OK. – Stanley machnął ręką. – Do rzeczy! Masz niełatwy start, ale znasz doskonale język i kulturę, więc wtopisz się w środowisko. Zajęcia opisowe z życia codziennego w Polsce miałeś dość dokładne, więc wiesz, czego się spodziewać. Manhattan to nie jest, raczej wielki cmentarz pełen gruzów. – Zrobił teatralną pauzę. – W tym bajzlu, w Europie, utknął ktoś, kogo będziesz musiał odszukać i... przywieźć do domu. Przynajmniej spróbować.

Zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Nawet uliczny ruch zdawał się ustać na tych kilka chwil.

– Dostaniesz szczegółowe założenia, plan przerzutu, trasy poruszania się... – ciągnął major. – Będziesz działał sam. Absolutnie sam. Nie chcemy, żebyś wplątał się w kontakty z istniejącymi siatkami albo, co gorsza, z naszą ambasadą. Nic z tego, to kraj policyjny, więc nacisk jest spory. Nikt nie może cię z nami powiązać. Oczywiście do czasu, potem, być może, pomoc będzie nieodzowna. Rozumiesz?

– Tak, ale jak... gdzie...

– Spokojnie, powoli – uciszył go Stanley. – W styczniu otrzymaliśmy istotny sygnał, bardzo ciekawy i niemal pewny. Otóż w jednym z punktów należących do Sowietów w Polsce przetrzymywany jest amerykański oficer. Nie musisz wiedzieć, jak się tam znalazł i po co. Nie twoja rzecz. Ważne jest to, że od dawna sądzono, że ten facet nie żyje. Otóż żyje, choć był ciężko ran-

ny. Jeśli to prawda, należy próbować go stamtąd wydostać. Wszelkimi sposobami. Wszelkimi!

– OK, OK. – Greenman zaczął machać nerwowo rękami. – Ślecie mnie do kraju ojców. Fajnie. Cieszę się, ale trochę głęboko jak na pierwszą lekcję pływania.

– A będzie gorzej. – Landas nie miał zamiaru dyskutować.

– Proszę powiedzieć mi więcej. – Karolowi włączył się wrodzony opór wobec wszelkiej władzy.

– Masz jechać jako rozpoznanie. Nie będziesz pozostawiony sam sobie. Może źle się wyraziłem. To dopiero jedna rzecz... Druga to... – Stanley rzucił długie spojrzenie w stronę pułkownika. – Uważamy, że warto by spróbować przygotować pewną grupę ludzi... – Dukał jakoś nieskładnie, najwyraźniej nie swoją opinię. – Ciągłe stawiających opór... Sojusznicy mają dojścia. Masz nawiązać kontakt, ocenić ich stan i możliwości. Jeśli będzie taka sposobność albo uznasz, że prezentują godny poziom, możesz próbować dokonać przegrupowania, przeszkolić ich i wykorzystać do swoich celów. To dość nowatorskie, ale ktoś musi być pierwszy. Dowodziłeś ludźmi, masz doświadczenie i umiejętności, dlatego wybraliśmy ciebie...

– Potem co? Z kijami na czołgi? A co z łącznością? Z jakimś zabezpieczeniem? – Zielinsky nie dał sobie mydlić oczu pochlebstwami. – Mówicie, że w mojej bajce jest za dużo luk, ale u was z detalami też coś nie bardzo...

Bryan J. Stanley z ogromnym trudem pohamował wybuch śmiechu. Napiął mięśnie i spuścił głowę, udając, że patrzy na wytarty dywan. Zupełny w tym biznesie nowicjusz poznał, że to wszystko błaga. W dodatku używał takich samych argumentów jak on w rozmowie ze swoimi przełożonymi, choć jego zdania akurat mało kto słuchał.

– Jeśli chodzi o łączność. – Landas przejął inicjatywę, nagle dziwnie ożywiony. – Dostaniesz odpowiedni nadajnik, kody i czasy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, można liczyć na transport broni. Razem z oddziałem masz podjąć próbę odnalezienia naszego kolegi, a potem...

– Zaraz, zaraz. – Zielinsky złapał się za głowę. – Mam rzucać wyzwanie całej Armii Czerwonej? Przecież to... – Przełknął ślinę. Słowo „samobójstwo” jakoś dziwnie nie chciało przejść mu przez gardło.

– Nie, nie będzie tak źle. – Pułkownik uśmiechnął się szeroko.

Greenman spojrzał na Stanleya, jakby chciał zapytać, czy to jeszcze głupota, czy już wariactwo.

– Panowie, przepraszam, ale ja nadal nie pojmuję. – Zielinsky wstał i ruszył do okna. – Mam jechać tam... – Wskazał kciukiem gdzieś za okno. – Sam. I z grupką ostatnich żywych kowboi próbować wyrwać jakiegoś oficerka, który wam się zapodział?! – Na moment zapomniał, że rozmawia z wyższymi szarżą. – Miało być ciekawie, ale bez przesady...

– Nie chcesz? – Landas zaczynał się irytować. – Co, zapominamy o przysiędze i wracasz do swoich samochodów?

Polak wyprostował się, mieląc bezgłośnie w ustach jakieś przekleństwo. Przeciągnął ręką po włosach. Milczał długo.

– Wy wiecie... – Chciał coś jeszcze mówić, ale stracił wolę walki na argumenty.

Stanley, równie zasepiony, szukał w głowie odpowiednich słów. Nie tak miało być. Mieli go wyekspediować, ale to wszystko robiło się naprawdę groźne i było zbyt poważnym zadaniem jak na początek. A Zielinsky wypunktował właściwie wszystkie słabe punkty ich planu, choć może jeszcze nie zdawał sobie sprawy z grozy sytuacji.

– To jak? Wracasz do Jersey? – Landas zrobił się denerwująco wyniosły. Znów stukał palcami o blat. – Decyzja, poruczniku. Decyzja.

– Kurwa mać! – Padła zupełnie niezrozumiała odpowiedź. – Kurwa! – Znow zaklął po polsku.

Zielinsky’emu pulsowały skronie, zacisnął pięści i wyprostował się, aż w kręgosłupie coś mu strzyknęło. Kotłowało mu się pod czaszką od pytań, obrazów Katty i Josepha, których – jak teraz sądził – mógł już nigdy nie zobaczyć. Nawet nie był bardzo zły na tych dwóch naganiaczy. To była ich robota. Bardziej wściekał się na siebie za nieopisaną głupotę. Albo raczej za to nieuleczalne romantyczne podejście do życia, które sprawiło, że dał się nabrać, wciągnąć w ten obłąd. Jeszcze tliła się w nim myśl, że Landas ma rację, że można to rzucić i wracać, ale na to, co także już wiedział, nie pozwalała mu jego własna natura. Ta, która bała się rutyny, zwyczajności i ciepłych kapci. Wszystkiego, co prędzej czy później zabiłoby go nudą.

– Chyba zwariuję – wybełkotał niewyraźnie pod nosem i znow potarł głowę.

– Co mówisz? – Landas zmrużył oczy. – Decyzja?

Charles Zielinsky złagodniał nagle, z trudem się opanowując.

– Dajcie papierosa, co? Pogadamy.

\*

Cały niewielki Lubartów tonął w śnieżnej kurzawce. Mroźny, silny wicher przegnał ludzi z ulic i zaułków. Taka aura bardzo sprzyjała tajemnym spotkaniom.

„Pielgrzym” kręcił się koło umówionego miejsca już pół godziny przed wyznaczonym czasem. Sprawdzał, jak zawsze, czy nie ma ogona. Powinien ubezpieczać się dłużej, ale w tej miejscinie, gdzie każdy każdego znał, nie można było zostawać na widoku zbyt długo.

Połatany płaszcz jakoś nie chciał go chronić przed powiewami wiatru, a i buty nie były najgrubsze i szybko przemokły. Maciej dygotał więc, chowając ręce w kieszeniach i przytupując co kilka kroków.

Już od świtu był na nogach, z trudem przedostając się do Lubartowa. Normalnie siedziałby w swojej norze, ale musiał ruszać. Nie tak dawno, przeglądając skrzynki, o mało nie padł na zawał. W tej najważniejszej, pod drogowym kamieniem, gdzie mieli mu zostawiać informacje z samego Lublina, była wiadomość. Tylko miejsce spotkania, data i pięć kolejnych dni jako zapas. Przeczuwali, że może nie mieć bieżącego dojścia do skrytki. Pierwszą datę już przegapił. Teraz stawiał się na kolejną.

Na końcu ciemnej, zasypanej grubą warstwą śniegu szutrowej uliczki wyrosła postać. Mężczyzna w szarym, zlewającym się z otoczeniem płaszczu szedł wolno wzdłuż niskich domków. Tylko z pozoru nie wyglądał na zainteresowanego okolicą. Co kilka kroków, udając, że podziwia wątpliwej urody architekturę, dyskretnie sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. Gładyszak pomacał stal pistoletu, który wetknął za pasek pod grubym golfem. Żadnej ostentacji.

– Jesteś sam? – szepnął, kiedy człowiek w szarym płaszczu podszedł bliżej. Aż się zdziwił, że cokolwiek jeszcze potrafi go zaskoczyć.

– Sam, sam. – Bazyli rozejrzał się wokół już bez skrępowania. – Sprawa ważna, to i musiałem. – Podał oficerowi rękę na powitanie. – Jak się miewasz, co u ciebie? – rzucił kurtuazyjnie. – Bardzo schudłeś. – Omiótł wzrokiem luźny płaszcz Macieja i pokręcił głową.

– No widzisz... Tak wygląda oficer wojska polskiego. – „Pielgrzym” nie miał nawet siły na ironizowanie. Miało być ciężko i było, ale on zwyczajnie, po ludzku, coraz trudniej to znosił. – Kisnę w tej norze. I gdyby nie dobrzy ludzie... – Urwał, nie chcąc za wiele wygadać. – Zabieracie mnie? – spytał wystraszone, cichym głosem, nie bardzo chcąc usłyszeć odpowiedź.

Bazyli cofnął głowę i spojrział na niego zaskoczony.

– Może ci poprawię nastrój... Wręcz przeciwnie, mój drogi. Wręcz przeciwnie. – Również ściszył głos i złapał porucznika pod ramię. – Przejdźmy się. – Pociągnął go na koniec uliczki. – Rozumiem, że pamiętasz rozmowę z listopada?

Pytanie było retoryczne. „Pielgrzymowi” rozkaz o odwrocie dudnił w głowie zawsze, kiedy kładł się spać.

– Otóż... – Bazyli przygryzł wargę i wciągnął kompana w jakieś brudne, zawalone węglem podwórko. – Anulowali to wszystko.

– Nie rozumiem. – Maciej naprawdę nie wiedział, o czym mówi jego towarzysz.

– Mamy informacje z samej góry. Z Zachodu. – Głos Bazylego stał się ledwo słyszalny, a jednocześnie uroczysty. – Z Zachodu – powtórzył dla efektu. – Coś szykują. Mówię ci, coś będzie się działo. – Nagle zabłyśły mu oczy. – Może nawet na poważnie.

– Możesz mówić konkretnie? – Gładyszakowi też przyspieszyło tętno.

– Masz się przygotować na zrzut.

„Pielgrzym” parsknął niekontrolowanym śmiechem i złapał się za brzuch.

– Chłopie... – Z trudem łapał powietrze. – Mamy luty, do pierwszego kwietnia trochę daleko.

– Otarł łzę rozbawienia.

Ale Bazyli patrzył spokojnie, poważnie i nie drgnął mu nawet jeden mięsień na twarzy.

– Jezus Maria, ty na poważnie? – Teraz Gładyszak zaczął się bać. – Jak?... Nie, nie, daj mi pozbierać myśli. – Odszedł pół kroku, ściągnął czapkę i zaczął trzeć spotniałe nagle czoło. – Jaki, do diabła, zrzut? To nie wojna... Może rok temu, dwa, ale teraz... – Tracił panowanie nad sobą, kręcąc się w kółko i machając rękami. – Gdzie? Tutaj? Nie, to jakaś pomyłka, wariactwo... A właściwie... – Zastygł w miejscu, przechylając nienaturalnie głowę. – Czemu mi o tym mówisz? Czemu nie pójdziesz z tym do waszych...? Macie ich więcej. Broń, struktury...

– Właśnie. – Wzruszył ramionami Bazyli. – Przyszło polecenie, by wyznaczyć nieduży, sprawny oddział poza zasięgiem obławy. Wszelkie nasze zespoły są rozsypane, kryją się po me-  
linach. Dociskają ich...

– Skąd ja to znam – wtrącił oficer i nasunął czapkę na oczy.

– Daj mi skończyć. – Nastroszył się przybysz z Lublina. – Twój oddział jest mały. „Uskok” czy „Żelazny” są na celowniku UB. Co z tego, że ich więcej, jak połowa ludzi albo się kryje, albo tak jest obstawiona szpiclami, że nie może kroku zrobić? Zresztą formowanie grupy teraz... Ty wiesz, jaki harmider się robi? Jeszcze w takich warunkach. – Wskazał palcem na niebo, ale wcale nie chodziło mu o pogodę. – Ty się trzymasz, bo mało kto cię zna. Chłopaki też nie rozrabiają zbyt, więc jest idealnie. – Silił się na uśmiech, ale efekt był żalony.

– A jak to prowokacja? – Pytanie „Pielgrzyma” zabrzmiało jak strzał z pistoletu.

– Tak. – Bazyli założył dłonie na plecy. – Tak też sądziłem... – Wzrokiem zaczął błędzić po świeżym śniegu. – Sprawdzaliśmy. Wszelkie hasła, miejsca spotkań, wszystko było w porządku. Kurier ze stolicy miał przy sobie znak rozpoznawczy, znał przygotowaną formułkę... – Bazyli rozłożył ramiona w bezradnym geście, nie potrafiąc dodać nic więcej.

– Co na to „Profesor”? – Opór Macieja słabł gwałtownie.

– Też zdziwiony, ale rozkaz to rozkaz.

– Więc mówisz... że może rzeczywiście coś będzie? – Gładyszak niespodziewanie się roześmiał.

– Ale uważać trzeba. – Bazyli uniośł palec ku przestrodze i pogroził nim oficerowi. – Tu masz... – Sięgnął za pazuchę. – Pieniądze. Też dostarczyli. – Podał dość grubą kopertę. – Widomy znak, że coś będzie...

– Że coś będzie. – Cmoknął oficer i cicho gwizdał, coraz bardziej wesół.

Lepszego sygnału niż suta wypłata nie mogło być. Przypominali sobie o nim i o chłopakach. Trzeba było uzupełnić zapasy w polowej spizarce, która pełna była tylko pajęczyn. Może jakieś auto, paliwo, kwatery dla skoczka albo całej ich grupy. No i łapówki. Wydatków było sporo.

– Kiedy? – Zadał sakramentalne pytanie.

– Tu masz wszystko... – Bazyli sięgnął do kieszeni i podał karteluszek. Było na nim kilka cyfr, daty i godziny oraz krótkie zdanie. – To ostatnie to hasło i odzew. Tak na wszelki wypadek.

– Psiakrew, szybko – zaklął „Pielgrzym”.

– Bogu dzięki, że nie zamarzęś i odczytałeś wiadomość – odparł Bazyli. – Bo jakbym ci tego wszystkiego nie powiedział... Aż się boję myśleć – westchnął. – Tu masz datę główną, potem dwie zapasowe. Co dwa dni. Następne za tydzień. Wiem, trudno będzie zebrać ludzi i trzymać w pogotowiu bez podejrzeń, ale...

Porucznik bez słowa dobył zapalnika i podpałił karteczkę.

– W ogóle po co to wszystko...? – Gapił się w gasnący płomyk.

– Nie mam pojęcia. – Bazyli uciął pytanie. – Nasi goście mają zadania. – Poczzerwieniał i umilkł dziwnie zakłopotany. – Idę pierwszy. Rusz za pięć minut. Trzymaj się. – Ścisnął dłoń Macieja i szybko wyszedł na ulicę.

„Pielgrzym” stał jeszcze chwilę w miejscu, ciągle analizując usłyszane informacje. Zapomniał o ostatnich frustracjach, a resztki wątpliwości i podejrzeń przestały się dla niego liczyć. Pod skórą czuł, że to nie koniec, że jeszcze się przyda. Alianci nie wybierali się przecież tutaj na wycieczkę.

\*

Kiedy kapitan Barańczak wkraczał do zalanego słońcem gabinetu ubrany w nieco za duży garnitur, major Zarotkin, „konsultant” departamentu, stał na baczność za wielkim biurkiem, dzierżąc słuchawkę telefonu. Już po jego minie można było poznać, kto telefonuje.

– Do was – wystękał, przełykając ślinę.

Barańczak poprawił mundur, jakby jego rozmówcy potrafili patrzeć przez telefoniczne druty. Też się bał, bo ciężar odpowiedzialności był ogromny. Jednak zdenerwowanie widoczne na twarzy i w ruchach Zarotkina sprawiało mu wiele satysfakcji. Warto było siedzieć w tej branży choćby dla takich obrazków.

– Melduje się kapitan Barańczak – rzucił twardo do mikrofonu.

Wiedział, kto jest po drugiej stronie. Ten, który jak duch wisiał nad departamentem od grudnia zeszłego roku, jednym skinieniem potrafił wszystkich postawić na baczność i miał władzę porównywalną z samym ministrem. Szczęśliwie nie krążył po korytarzach, nie straszył obstawą i nie wołał do gabinetu. To znaczy wołał, ale rzadko – może raz czy dwa. Sam zamieszkał na obrzeżach miasta, w zajętej przez Sowieców sporej willi, chronionej jak sam Kreml.

Czekał, śląc polecenia. Był cierpliwy i ostrożny. Nie jeździł, nie słał gońców. Dzwonił tylko. Od czegoś w końcu miał bezpieczną linię.

Major Zardow był tego dnia bardzo podekscytowany, wręcz radosny. Zakomunikował kapitanowi, że nadchodzi najważniejszy moment. Podał kilka informacji i stwierdził, że na resztę przyjdzie czas, kiedy on, Barańczak, wykona swoje zadanie.

Polak słuchał cierpliwie monologu po drugiej stronie słuchawki i przytakiwał co kilka zdań.

– Zrozumiałem, towarzyszu majorze, wykonam – rzucił i było po wszystkim.

Szczęknęły widełki bakelitowego aparatu i gabinet wypełniły jedynie dźwięki ulicznego gwa-



ru.

Zarotkin mrużył i otwierał oczy, jakby go piekły. Denerwowało go, że towarzysze z Moskwy gadają z byle Polaczkiem, a nie z nim. A przecież on wiedział tu wszystko, albo i jeszcze więcej. Wyznaczał zadania, choć oficjalnie od lata Polacy działali samodzielnie. I przede wszystkim wiedział najwięcej o każdym z podlegających mu ludzi, zgodnie ze starą zasadą: „Kontrola najwyższą formą zaufania”.

Sowiet ocknął się i uznał, że jednak nie zdierży afrontu. Przypomniał sobie, kto w tym pokoju jest ważniejszy. Przysunął elegancki, skórzany fotel, zasiadł na nim majestatycznie, rozpiął poły marynarki i ostentacyjnie zarzucił nogę na nogę. Gapił się na Barańczaka, ignorując rażące go światło mroźnego dnia, i podniósł z blatu papierosa.

– No i co tam? – zagadnął niby od niechcienia, choć w środku się gotował.

Zapalił papierosa wielką zapalniczką, nie mając zamiaru częstować gościa.

– Wybaczcie, towarzyszu majorze... – Barańczak zaczął się pocić. – Ale wiecie, że nie mogę... – Spiał mięśnie, jak szykujący się na cios bokser.

Zarotkin sapnął i zazgrzytał zębami, wpijając w Polaka ostre spojrzenie.

– Coś będzie? Tyle możecie chyba powiedzieć... – Z trudem hamował złość.

Barańczak przytaknął i pogładził się po brodzie. Musiał szybko myśleć.

– Coś będzie – powiedział cicho.

Czekał na ten dzień, szykował się, ale nie robił żadnych ruchów. Teraz należało wszystko dokładnie przemyśleć.

\*

Na lotnisku we Frankfurcie czekało na niego podstawione auto oraz dwóch ludzi. Nie mówili wiele, a i on nie miał zamiaru zagajać rozmowy. Wóz, czarny, leciwy opel, ruszył do Bonn. Nikt nie próbował go kontrolować ani przeprowadzać rewizji jego bagażu. Z samolotu przeszedł prosto do auta, a potem wyjechali za bramę.

Było inaczej niż w Stanach. Pamiętał takie obrazki... Teraz, kiedy wokół była zima, wszystko zdawało się obrzydliwie szare i przygnębiające.

Auto podskakiwało na wybojach, mijając osady okryte obłoczkami dymów. Wszędzie mijały ich kolumny wojskowych aut, grupy żołnierzy i – rzadziej – cywile. Ciemne, anonimowe sylwetki zazwyczaj taszczyły ze sobą jakieś tobołki.

Dostrzegał kikuty obdartych z kory, martwych drzew bez gałęzi, wraki poskręcanych blach, które kiedyś były autami i czasem, gdzieniegdzie, lichy krzyż, znaczący miejsce czyjegoś pochówku.

Greenman niespecjalnie przejmował się losem tych nieszczęśników. Był w dawnej Rzeszy. W kraju, z którym walczył. Mimo tych kilku lat nadal czuł noszoną głęboko w sercu zadrę. Zbyt wielu stracił tu kolegów. Dziwił się tylko, bo jeszcze w Stanach naiwnie sądził, że to wszystko wygląda już lepiej. Zapomniał, jaka bieda opanowała całą Europę po wojnie, i zdał sobie sprawę, że to, co widzi, to dopiero początek długiej drogi. Tu byli Amerykanie z całą swoją potęgą, autami, benzyną, i szpitalami. Co jest dalej? Za Łabą i Odrą?

„Czy to zawsze tak wygląda?” – to pytanie było pierwszym, co przyszło mu do głowy, kiedy dotarł do swojej nowej kwatery w Bonn.

Jego nowy dom – budynek jakiejś szkoły czy przychodni – wydawał się najbardziej zdewastowaną budowlą w okolicy, a przecież w miasteczku nie było dużych zniszczeń. Doskonale o tym wiedział. W końcu był tu prawie trzy lata temu, kiedy próbowano zająć tutejszy most.

Przeprawa poleciała wtedy w wody Renu, zerwana eksplozją, i trzeba było szukać objazdów, zostawiając miasto we względnym spokoju.

Budowla miała dwa piętra wysokości, popękaną elewację, kilka ciągle osmolonych okien i dziur po przestrzelinach. Tylko nowy dach świadczył o tym, że w tej ruinie mieszkają ludzie. Było ich tu całkiem sporo.

Żadnych mundurów, żandarmów, jeepów. Wszyscy w cywilu, jak przesiedleńcy albo robotnicy, pracujący dla nowej władzy. Cywilne, w większości niemieckie auta stały skryte na podwórzu.

Karolowi ciągle szumiało w głowie od długiego lotu, który spędził, siedząc na skrzyniach z częściami do jakichś maszyn, niezbędnych do zarządzania strefą okupacyjną. Nie mógł przecież przyjechać jako turysta czy jeden z setek ludzi, urzędników i wojskowych kursujących – w tę i we w tę – po całej Europie. Nie leciał jako wracający z urlopu urzędnik Komisji ds. Przesiedleńców.

Zaprowadzono go pod połatane deskami drzwi. Wysoki rudawy blondyn siedzący przy obitym kontuarze sprawdził dokładnie jego dokumenty. Wystawione były na nazwisko Bena John-sona.

Figurował na liście, więc poproszono go o przejście na piętro. Nieduży bagaż, jedną walizkę, wtargał na górę własnoręcznie. Jego kompani pożegnali go zdawkowo, jakby się bali, że ktoś bliżej się nimi zainteresuje. Został sam.

Budynek w środku przypominał kostnicę po pożarze, był obskurny i zaniedbany. Farba płata- mi odchodziła od ścian, a stare meble wyglądały tak, jakby zaraz miały się rozpaść.

Piętro, na które kazano mu wejść, było praktycznie puste. Jedyne za drzwiami słyszał stukot maszyn do pisania i przyciszone rozmowy, ale nikt nawet nie wyjrzał na korytarz, kiedy przechodził. Może tak miało być, może nie powinno go oglądać zbyt wiele oczu.

Dotarł do wyznaczonego mu pokoju. Nacisnął klamkę w białych, ciężkich drzwiach i jeszcze zanim przekroczył próg, oczy zaczęły mu łzawić od papierosowego dymu.

– Dzień dobry. Jak podróż? – rzucił kędzierzawy, siwiejący szatyn, ubrany w sweter, ciemne spodnie i krótki płaszcz.

Pokój, do którego wszedł Karol, był równie zaniedbany jak cała reszta budynku, którą miał okazję obejrzeć. Ot, spłowiałe ściany, wojskowa prycza, koza przy oknie, stół i krzesło. Wszystkie sprzęty ewidentnie z wojskowego demobilu.

– Nazywam się Kevin Moore. – Mężczyzna wstał z siedziska, odłożył papierosa do przepel- nionej petami szklanki i wyciągnął dłoń.

Nie wyglądał ani na przejętego, ani na zadowolonego. Musiał takich jak Zielinsky witać bar- dzo często. Możliwe też, że coś bardzo go frapowało i nie miał zamiaru tego ukrywać.

– Jak podoba się panu Bonn? – Zadał zupełnie zbędne pytanie.

– Urocze. – Greenman nie miał zamiaru bawić się w zbędne grzeczności.

Rzucił walizkę na posłanie i sam usiadł, nie czekając na pozwolenie.

– Tak... – Moore spojrział na niego zaskoczony, ale nie skomentował jego zachowania. – W ciekawy czas do nas trafiasz. Ruscy kombinują coś w Czechosłowacji, w Berlinie loty zwi- adowcze i jeszcze... – Wyciągnął papierosa i usiadł. – Sprawa pana pułkownika. – Nie spuszczał oczu z Polaka, chyba ciekaw jego reakcji. – Czytałem twoją teczkę. – Pokiwał głową. – Niezły z ciebie kowboj.

Karol zupełnie inaczej wyobrażał sobie swoją misję. Teraz stracił resztki złudzeń. Trafił w miejsce, które przypominało przytułek dla bezdomnych, a nie tajną siedzibę wywiadu, taką jak

pokazywano to w filmach.

– Wybacz warunki. – Usta Moore’a drgnęły. Musiał wyczuć, o czym myśli przybysz. – Hilton był zamknięty. – Strasznie ubawił się własnym żartem i wybuchnął śmiechem, o mało nie upuszczając papierosa. – A tak poważnie to... – Nabrał powietrza. – Działamy bez ostentacji i wygod, jeśli trzeba. Przyzwyczajaj się. Tam, gdzie jedziesz, będzie jeszcze gorzej – powiedział już poważnym tonem.

Karol nadal milczał.

– Miałeś odprawę w Stanach? – Moore zmienił temat. Greenman już wiedział, że to częsta cecha u ludzi z firmy.

– Tak jest. Niezbyt szczegółową.

– I tak miało być. – Moore zaciągnął się głęboko, patrząc Polakowi w oczy.

Przez chwilę w ciszy trwał pojedynek na spojrzenia. Żaden nie chciał odpuścić.

– Jedziesz do czarnej dziury. – Gospodarz wyraźnie chciał go wystraszyć. – Trochę za dużo jak na pierwszy raz?

– Dam radę. – Zielinsky wyprostował się. – Sam w to wszedłem.

– Taaak – odparł Moore. – No dobrze. Nie tracimy czasu. W styczniu tego roku zbiegł do nas pewien sowiecki oficer – zaczął mówić prosto z mostu. – Dopiero co przeniesiono go do sowieckiej zony z Polski. Wyspał się, że pełnił służbę w sowieckim ośrodku, gdzie, jak twierdził, przetrzymywano jednego z naszych. Nie widział go, pełnił funkcję ochronną na zewnętrznym kordonie, ale słyszał od swoich kolegów. Z opisu wynika, że to nasz człowiek, pułkownik James Ringwalt. – Sięgnął do kieszeni, dobywając spore portretowe zdjęcie. Podał je Karolowi.

Człowiek na fotografii miał jasne włosy i sympatyczną twarz. Wydawał się bojowym gościem albo pozował na takiego podczas robienia tej fotki.

– Zanim spytasz mnie, co tam robił, odpowiem. Gównu cię to obchodzi. – Moore’owi nieco puściły nerwy. – Jest szansa. Nikła, ale zawsze, by wyrwać go im i odstawić do domu.

– W styczniu – prychnął Karol. Włożył dłonie w kieszenie płaszcza i oparł się o brudną ścianę. – A od kiedy tam siedzi? Bo jak rozumiem, raczej długo. Mogli już sobie z nim pogadać. Popowiadał, co chcieli, więc na cholerę on wam? Nam. – Poprawił się zaraz.

Moore pojaśniał na twarzy.

– Dobrze kombinujesz. Sęk w tym że mamy pierdolone szczęście. – Oczy mu błysnęły. – Nasz koleżka dostał w czerep i leżał bez życia jeszcze w grudniu. Tamci trzymali go w szpitalu, dlatego nie odsyłali do Moskwy. Mocno go poturbowało...

– Gdzie? – wtrącił Karol. Nie potrafił pojąć, skąd w sowieckiej strefie wziął się amerykański pułkownik.

Moore zbył to pytanie wymownym milczeniem.

– OK, OK – westchnął zniechęcony Greenman.

– Wracając do sprawy. – Gospodarz kontynuował. – Nasz nowy czerwony przyjaciel wyśpiewał, że Ringwalta miano przerzucić dalej na wschód. Jednak nie do Sowietów, ale nieco bliżej, ciągle na terenie Polski. O tu. – Sięgnął do kieszeni po jakąś kartkę i położył ją na blacie.

Greenman rozprostował papier i przeczytał.

– O! – wymsknęło mu się.

– Coś ciekawego? – Moore zdusił papierosa.

– Znam to miejsce. – Palec Polaka stuknął w kartkę.

– Że jak? – Moore nagle się zainteresował i przekręcił głowę, jakby nie dosłyszał.

– Mówię, że znam tę miejscowość. To znaczy... słyszałem o niej, kiedyś... znałem... – plątał

się, widząc narastające zdziwienie nowego szefa.

– Ciekawe, ciekawe. Nawet bardzo – odparł Moore, mierząc swojego gościa coraz bardziej podejrzliwym spojrzeniem. – W każdym razie... Nie możemy poprosić czerwonych o zwrot naszego kumpla, a to dlatego, że on nie istnieje. W związku z tym my nie możemy się przyznać, że znalazł się tam, gdzie się znalazł. I teraz mamy szansę, by chociaż spróbować ustalić, czy te wszystkie wieści o nim to prawda, a nawet, zgodnie z rozkazem góry... – Opadł na krzesło, głęboko wzdychając. – Uwolnić go. Tak...

Greenmanowi na samą myśl o tym też robiło się nieprzyjemnie. Wbił oczy w podłogę, uciekając na sekundę myślami i obaj zamilkli, wyraźnie zafrasowani tym, co miały przynieść najbliższe dni.

– Głowa do góry. Dasz radę. – W tych kilku słowach wypowiedzianych przez Moore'a było tyle szczerości, co w pocieszeniu płynącym z ust kata. – No, teraz odpoczniesz, a potem ruszymy na miasto. Musisz nauczyć się radzić sobie w miejskiej dżungli. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

Wstał i zapiał płaszcz.

– Potem będziesz pracować nad życiorysem. Na sam koniec przedstawię ci wszystkie kontakty, jakie dla ciebie przygotowaliśmy. Awaryjne kanały, adresy i takie tam... – Klasnął głośno w dłonie, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. – No, panie Johnson... witamy na prawdziwym froncie.

\*

Mróz nie odpuszczał. Zwłaszcza teraz, pod wieczór, kiedy kończył się krótki dzień. Witold Gródzki otrzepał buty ze śniegu, pchnął furtkę i przyspieszył kroku. Skostniał cały, choć przecież szedł prędko, a wcześniej namachał się szuflą i łopatą. Mimo to lodowaty wiatr przeniknął ubranie i wyziębiał ciało. Gródzki zamarzył nagle o talerzu ciepłej zupy, albo lepiej pięćdziesiątce wódki. Złapał za kłamkę, pociągnął, a z drugiej strony doleciał potworny rumor.

– Co ty wyrabiasz? – spytał zaskoczony, widząc Józka.

Ten leżał na wznak, z nogami na drabinie sięgającej wejścia na stryszek. Nakrywał go jakiś szary plecak, stare buty i pełno szpargałów.

– Pomógłbyś, zamiast zadawać głupie pytania – sapnął wściekły chłopak, dodając coś jeszcze, ale Witek go nie zrozumiał.

– Czegoś tam szukał? – Pomógł bratu stanąć na nogi. Zamknął drzwi i rozpiął płaszcz. – Wycieczka z panną? – Nie oparł się pokusie podrażnienia Józka.

– Bardzo, bardzo śmieszne. – Józek otrzepał sweter z pajęczyn i kurzu. – Może i wycieczka, ale do lasu – dodał, wznosząc nienaturalnie wysoko głowę i łapiąc się pod boki. – Zazdrościsz? Chciałbyś... – Zamierzał dodać coś jeszcze, ale się pohamował. – Mam nowinę. – Zmienił prędko temat, nie dając Witkowi czasu na ripostę. – Kazali się szykować i...

– I co? – Policzki Witka zapłonęły. – Idziecie? Jakaś akcja, tak? Tu czy dalej? Przecież kazali wam kończyć z tym wszystkim? – Szybko zdejmował odzienie, wypluwając na jednym oddechu potok pytań.

– Tak, akcja. – Józef przyglądał mu się, przygryzając wargę. – Coś taki ciekawy? – Zmarszczył czoło. – Więcej nie powiem.

Wyglądał jak napuszony, chuderławy paw.

– Zbieram graty, Boguśka szykuje mi furaz i będę się rano zmywał na zbiórkę. – Podniósł górski plecak i zaczął go czyścić.

– Ja tylko... martwię się o ciebie. – Witek mamrotał pod nosem, wpatrując się tępo w brata. – Nie chcę, żeby ci się coś stało. Źle ci tu? Nie ryzykujesz... W okolicy wojsko. Ludzie mówią, że na „leśnych” się zasadzają. Wykryli jakąś grupę pod Ulanem.

Józek tylko spojrzął przez ramię, krzywiąc się z niesmakiem.

– Kto i gdzie ci takich głupot nagadał? Pewno w tej twojej mordowni? Piłeś coś już dzisiaj? Nikogo nie szukają – mówił pewnie. – Tu trzeba mieć nerwy ze stali, jakieś zasady, coś robić...

– Rozkręcał się. – Nie tak jak ty. – Spojrzął z nieskrywaną odrazą.

– Nie tak jak ja – przytaknął potulnie Witek. Nie miał zamiaru się kłócić. – Schował ręce do kieszeni i oparł się o szafkę z garnkami. – Nie tak jak ja, braciszku. Nie tak jak ja. – Zachmurzył się, czując, jak wspomnienia przechodzą w fizyczny ból, istną torturę pamięci. – Uważaj tylko na siebie. – Szarpnął za klamkę i przestąpił próg kuchni.

– Przepraszam. – Dłoń młodego spoczęła na jego ramieniu. – Nic się nie dzieje. Dostałam informację, że mamy się zbierać. To pewno nic nie znaczy, ale... wiesz...

– Będzie dobrze. Wszystko się ułoży i będzie dobrze. – Uśmiechał się blado Witek.

– Spakuję się i przed świtem znikam, ale wrócę. Obiecuję, po wszystkim wrócę. Opowiem ci o wszystkim i będziesz, brat, dumny ze mnie. Wierz mi, będziesz dumny!

\*

Dzień był cudowny. Słońce lekko przygrzewało, topiło sople lodu u rynien i dachów, dając zziębniętym przechodniom cień nadziei, że straszny mróz zacznie ustępować, a gdzieś za rogiem czeka najprawdziwsza wiosna.

Ten słoneczny, optymistyczny nastrój minął Jadwidze, kiedy tylko w drzwiach urzędu powstrzymał ją od wejścia uprzejmy, acz bardzo stanowczy gest wartownika.

Milion myśli i podejrzeń przefrunął jej przez głowę, zanim strażnik odpowiedział na jej pytanie, czemu nie może wejść. Nawet chciała się cofnąć, ale w końcu opanowała strach.

Drzwi do urzędu otworzyły się i stanął w nich sam naczelnik. Człowiek wysoki, szczupły, o dość inteligentnym spojrzeniu. Był wyraźnie blady, jakby wystraszony albo czymś bardzo przejęty. Kapitan Henryk Wróblewski, szef powiatowego urzędu, ucieszył się na widok swojej ulubionej maszynistki, którą nie raz raczył adorować. Na trzeźwo i w mniej oficjalnych sytuacjach, kiedy składał jej odważne propozycje.

– Pani Jadzia! – Całe zdenerwowanie zdawało się ustępować jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki. – Jak miło! – Schwycił jej dłoń, ukrytą w rękawiczce, i patrząc w oczy, ucałował soczyście. – Dziś ma pani wolne. – Nadal ścisnął dłoń pracownicy i pogładził ją bez zażenowania, jakby należała do niego.

– Nie rozumiem... – Jadwiga nie zwracała uwagi na takie zagrywki. Zresztą przywykła.

– Próbowałem tłumaczyć... – Zaczął mówić strażnik, ale szef zdawał się go nie widzieć.

Uśmiechnął się szerzej i narzucił płaszcz, po czym postawił kołnierz.

– Pozwólcie. – Musnął jej łokcie, wskazując kierunek marszu.

Przeszli kilka kroków, jak najdalej od uszu szeregowego, i przystanęli na śliskim chodniku u wlotu na podwórko.

– Pani Jadziu. – Słodko-uprzejmy głos przeszedł w szept. – Dziś proszę iść do domu i nie wracać do nas, póki ktoś pani nie poinformuje. – Zrobił krok, sądząc, że to wystarczy, ale dziewczyna nie miała zamiaru odpuszczać.

– Ale o co chodzi? Coś jest nie tak? Czy zrobiłam coś źle? – Z trudem wykrztusiła najstraszniejsze z bogatego zestawu pytań pączkującego w jej głowie.

– Ależ skąd! – Kapitan rozłożył ręce w przyjaznym geście tak szeroko, że szynel o mało nie zsunął mu się z grzbietu. – Powiem pani, bo bardzo panią lubię. Mamy gościa. – Oficer pochylił się nad jej uchem i mówił cicho, spozierając na okna po drugiej stronie ulicy. – Z Lublina, ale to oficer radziecki. Chodzi o ważną sprawę i na jego prośbę... – Zabrzmiało to wręcz komicznie. – Wszelki niepotrzebny personel ma być wyłączony z zajęć. Coś się tu u nas będzie działo... – Zaraz przyłożył palec do ust, dając znak, że i tak za wiele mówi.

W końcu zeszłego lata Sowietci wyszli z jednostek powiatowych, uznając, że miejscowi kolaboranci świetnie dają sobie radę sami. Kapitan mrugnął porozumiewawczo do dziewczyny, a ta mało nie parsknęła śmiechem. Musiała boleśnie przygryźć język, żeby zachować spokój.

– Niech pani idzie do domu albo... na randkę z panem Józefem. – Głos kapitana przestał być tak przyjazny jak przed chwilą.

– Dziękuję, bardzo dziękuję, towarzyszu kapitanie – rzuciła bez większego sensu, wyrwała się z chwytu i wolno ruszyła przed siebie, wpatrzona w chodnik. Czuła na sobie spojrzenie oficera.

\*

Na ulicach niegdyś wielkiego Frankfurtu wytyczono ścieżki między hałdami gruzów i śniegu. Ulice, podziurawione jak ser, wypełniało szarawe błoto. W białej chmurze zamieci majaczyły ostre, ponure kikuty poranionych kamienic. Wyglądało to jak upiorny sen. Nikt zza oceanu nie był sobie nawet w stanie tego wyobrazić. To trzeba było zobaczyć na własne oczy.

Minęła trzecia po południu, ale ulica była zupełnie wymarła. Czasem przemknęła nią jakaś słabo oświetlona ciężarówka albo jeep. Chodnikiem szedł tylko jeden barczysty facet owinięty szalem narzuconym na ciemny płaszcz i w kapeluszu na głowie, robiąc głębokie ślady. Ktokolwiek wymyślił, by szkolić adepta szpiegowskiego fachu Charlesa Zielinsky'ego w tym miejscu, w takiej aurze, stał się jego wrogiem numer jeden.

– Pierdolona Wirginia – charczał sam do siebie na wspomnienie poligonowych mrozów, co kilka kroków – wedle zasady – sprawdzając, czy nie ma ogona. Co prawda okoliczności przypominały bardziej Ardeny niż Wirginię, ale pamięć odpowiedziała mu tamto miejsce i nie mógł się uwolnić od tej myśli.

Dochodził do pewnej wprawy. Ponurzy weterani dawnej OSS, tkwiący z dala od pierwszej linii w Berlinie, mieli jakie takie pojęcie i rzeczywiście nauczyli go, jak ma sobie radzić w mieście.

Mówili niewiele, ale kilka ciekawych tricków potrafili przekazać. Za to szczególnie był im wdzięczny.

– Teraz? Tu? – Przystanął i zaśmiał się w głos. Wiatr zagłuszył słowa, które i tak nikogo nie obchodziły.

„Tu mam szukać ogona? Pojebało ich?” Wszedł w jakiś załom popalonego muru, ślizgając się po ukrytych pod śniegiem ceglach. Mało nie wpadł do zdewastowanej piwnicy. Myślał chwilę, czy nie zrobić kawału swoim „przewodnikom” i nie ukryć się w tej kilkupiętrowej ruderze z oberwanym frontonem, ale zaraz dał sobie spokój. Wiało coraz mocniej, a on nie miał zamiaru dostać zapalenia płuc. Przecież jutro wylatywał.

Sięgnął po lucky strike'a i postawił kołnierz płaszcz. Zapalił i zaciągnął się dymem. Z pierwszą dawką nikotyny pojawiła się całkiem realna myśl, że szanowni nauczyciele bawią się setnie, grzejąc tyłki w jakiejś bezpiecznej norce i zaśmiewając z naiwności gnojka, który marznie na kość.

„Jeszcze mi kogoś przyślą, żebym mu, dla zasady, mordę obił”. Splunął wściekły. „A jeśli skurwiele zapomnieli o mnie?”

Zaciągnął się dymem po raz ostatni, pstryknął petem w gruz i ruszył sprężystym krokiem na jezdnię. Wyteżył wzrok, szukając kogokolwiek w tej zadymce, ale nic się nie zmieniło, nadal było zupełnie pusto.

Wcisnął ręce w kieszenie i ruszył w stronę, z której przyszedł. Pokonał sto, może dwieście metrów, kiedy z naprzeciwka zajaśniały dwa reflektory. Wóz jechał szybko, pruł środkiem jezdni. Karol zszedł na chodnik, kiedy auto zaczęło ostro hamować. Przemknęło tuż obok i stanęło z piskiem opon, nieco ślizgając się na ośnieżonej drodze. Samochód był czarny, oklejony śniegiem i pyrkotał cicho, buchając spalinami.

Greenman zatrzymał się, usiłując rozpoznać kogokolwiek w środku.

– Co, zgubiliście się?! – rzucił rozbawiony, przekonany, że to jego obstawa, kiedy otworzyły się tylne drzwi. – Tak was skołowałem? No przyznajcie, nie powiem...

Wszystko przyspieszyło. Ze środka wyskoczył wysoki facet. Miał krótką, szarą kangurkę górską, grubą czapkę i dłonie jak bochny. Tuż za nim pojawił się drugi, w płaszczu i kapeluszu, z twarzą zakrytą szalikiem, niewiele niższy od swego kompana.

Pierwszy ruszył jak narowisty koń, z zaciśniętymi pięściami gotowymi do ciosu. Charliemu było wszystko jedno kto to, intencje wydawały się jasne. Nie miał szans uciekać, więc tylko się uchylił i, jak potrafił najlepiej, wyprowadził prawy prosty.

Syknął z bólu, jakby trafił w beton. Po drugim ciosie olbrzym też niewiele poczuł. Był silny, ale wolny. Zielinsky odskoczył, prawie lecąc na plecy. Silny kopniak niemal dosięgnął Greenmana, ale zdążył przeturlać się w bok po śniegowym blocku.

Nie myślał zbyt wiele. Złapał za pierwszą rzecz, którą wymacał obok siebie: kawałek cegły. W samą porę. Zamachnął się na ślepo, kiedy jego przeciwnik wyprowadzał kolejny cios. Brunatna cegła zatrzymała się na twarzy osiłka z głośnym trzaskiem. Ten krótko krzyknął i chyba teraz pojął, że nie pójdzie mu tak łatwo. Karol nie czekał. Poprawił z drugiej strony i przeciwnik zachwiał się, a potem upadł na ziemię.

Zielinsky odrzucił ceglany oręż, rozpiął płaszcz i sięgnął za pasek – tam, gdzie miał pistolet. Zdołał go wyszarpać, szukając jeszcze drugiego, kiedy coś twardego uderzyło go w ciemię.

\*

Przez zamroczenie i ból docierały do niego tylko skrawki rozmów i postękiwania. Nie pamiętał wiele. Tylko bolesny cios, a potem ciemność. Wreszcie poczuł wyraźnie powiew mroźnego wiatru na twarzy, śnieg i silny chwyt pod pachami i na nogach.

Żył i powoli odzyskiwał świadomość, choć głowa bolała go jak nigdy. Wniesiono go po schodach do jakiegoś pomieszczenia. Nie otwierał oczu, zastanawiał się, co ma robić, co się dzieje i czy Moore jest na tyle porąbany, żeby tłuc swoich podopiecznych po łbie.

Zaczynał się zastanawiać, czy nie uznali go za zdrajcę i nie skreślili.

Ktoś przytknął mu jakąś chustkę do nosa i ust, po czym Karol Zielinsky znów odleciał. Usnął.

Kiedy otwierał oczy, głowa bolała go jeszcze bardziej i czuł się tak, jakby dopadł go najgorszy kac w życiu. Zdawało mu się, że jest cicho, spokojnie i ciepło. Gdzieś z dali dochodził niedający się rozpoznać od razu odgłos. Narastał, w miarę jak Greenman odzyskiwał zmysły. Okazało się, że tykanie zegara może być torturą dla poturbowanego człowieka.

Charlie powiódł nieprzytomnym wzrokiem po pomieszczeniu, w którym się znajdował.

Ciemnobrązowe ściany, kotary w podobnym kolorze, szafa z książkami i biurko, na którym paliła się lampa ze szklanym abażurem.

Zmrużył oczy i zaraz przetarł je dłonią. Nie był związany. Spozstrzegł też, że siedzi na drewnianym, obrotowym krześle. Aż do tego momentu wydawało mu się, że jest tu sam, ale w świetle lampy zauważył niewyraźny zarys postaci. Wystraszył się, sądząc, że to halucynacje wywołane otrzymanym ciosem, ale nie. Tam naprawdę ktoś był.

Błada łuna żarówki oświetlała dłoń i kawałek ramienia. Zielinsky zmrużył oczy, nie chcąc ujawniać, że wraca do żywych.

Mężczyzna był łysy, ale miał imponujące włosy. Raczej szczupłą sylwetkę okrywała ciemna tweedowa marynarka, sprawiająca, że niemal stapiał się z otoczeniem. Wąską twarz przecinały głębokie bruzdy zmarszczek. Dostrzegł, że Karol jest już przytomny, bo rozpoczął rozmowę. W najczystszej polszczyźnie.

– Witam pana. – Mężczyzna wyprostował się w fotelu i splótł ręce na brzuchu. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Jedyne ciemne plamki źrenic lustrowały Karola z wielką uwagą.

Zamilkł i znów jedynym dźwiękiem słyszonym w pokoju było tykanie zegara.

– Gdzie ja jestem...? Protestuję... – stęknął żałośnie Greenman.

Postanowił wstać. Nogi pod nim drżały, w głowie się kręciło. Ledwie uniósł się na kilka centymetrów, a silna dłoń, padająca na obojczyk, pchnęła go z powrotem na miejsce.

Ktoś za nim stał. Ktoś bardzo cichy i opanowany.

– Już pan wychodzi? – Mężczyzna za biurkiem mówił cicho z wyraźnym niesmakiem. – Jeszcze nie zdążyliśmy porozmawiać.

– Ładnie się tu zaprasza gości – burknął Greenman najostrzej, jak potrafił, choć serce łomotało mu z przerażenia. – Gdzie ja jestem...? – Zadarł głowę i ujrzał drąga, którego zaprawił na ulicy.

Zrozumiał zaraz, czemu olbrzym wbił mu palce w ramię z taką siłą. Miał jakieś czterdzieści lat, a jego czerwoną, szeroką twarz pokrywały teraz strupy i plastry. Niemal bez przerwy otwierał i zamykał usta, jakby zgrzytał zębami, z wielkim trudem hamując przekleństwa.

– Niech się pan nie boi – odezwał się łysy mężczyzna, widocznie dostrzegając niedające się ukryć przerażenie w oczach Zielinsky'ego. – Pan „Biały” jest tu dla naszego i pańskiego bezpieczeństwa.

Karol zmarszczył brwi.

– Bezpieczeństwa?! – Wymownie pogładził się po wielkim guzie na głowie.

– A tak, tak. – Łysy pochylił się nad blatem. – Forma zaproszenia rzeczywiście nie była najodpowiedniejsza. Proszę wybaczyć, ale... Tak należało zrobić.

Karol poluzował kołnierz koszuli. Znów zalał go potok najróżniejszych rozważań. Chciał nawet zapytać, czy to jakieś cholerne szkolenie, ostateczna próba, ale ugryzł się w język. Bo jeśli nie było to ćwiczenie, to równie dobrze mogli go porwać Sowieci albo jacyś Polacy ze wschodu. Na jedno wychodziło. Może Szwaby? Cholera wie... Ten z tyłu wyglądał mu nawet na starego SS-mana.

– Proszę mi wierzyć, jest pan u przyjaciół. – Łysy uśmiechnął się.

– Od kiedy przyjaciele porywają się z ulicy, nasylając... – Charlie zerknął za siebie. – Takich ludzi? – Skinął głową.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze raz, tym razem bardziej szczerze.

– Jak mówiłem, to konieczna forma. Ale widzę, że pan mi nie ufa. Słusznie, bardzo dobrze. W tych czasach należy się pilnować. To plus stan szoku, w jakim pan jest... Może ktoś znajomy



panu to wszystko wyjaśni. Poczuj się pan pewniej. – Wstał od biurka.

Teraz było widać, że nosi bryczesy i długie, lśniąco kawaleryjskie oficerki. Podeszedł do przesklonionych drzwi i rozsunął je.

– Proszę, możesz wejść – powiedział po angielsku.

Nie minęły dwie sekundy, kiedy do gabinetu wkroczył Bryan J. Stanley.

– Co to znaczy, do cholery?! – Greenman chciał zerwać się z miejsca, ale teraz dwa kulaki wcisnęły go w siedzisko. – To jednak jakieś pierdolone szkolenie! – krzyknął po angielsku. – Porąbało was...? Dziś, jutro... – Uświadomił sobie, że stracił poczucie czasu. – Miałem lecieć!

Na te słowa łysy mężczyzna chrząknął i przyglądał węs.

– Ja mam mu to powiedzieć czy ty to zrobisz? – odezwał się do Amerykanina, wyglądającego na nieco bardziej przejętego tym całym zamieszaniem.

– Obojętnie – zakomunikował Stanley i stanął za biurkiem, przygryzając wargę.

Karol poczuł się nieswojo, jakby stał przed jakimś sądem, który miał go skazywać za nieznaną mu winę.

– Zapewne nie ma pan pojęcia, kim jestem – powiedział łysy mężczyzna, zasiadając na powrót przy biurku i rozkładając ręce. Wydawało się, że przewierca Zielinsky'ego wzrokiem na wylot. Jakby miał rentgen w oczach.

Karol nie reagował. Czekał.

– Zaraz pan wszystko pojmie i przestanie się obawiać. – Nieznajomy wyduł usta, zdradzając blef. – Pułkownik Jan Kowalski. – Zielinsky zachował nieomal idealną powagę. Tylko policzek drgnął mu lekko.

– Polski pułkownik? – dopytał zaraz, jakby dopiero teraz to do niego dotarło. Zaciekawilo go też bardziej niż te zmyślane personalia.

– Tak, polski pułkownik. – Kowalski odpowiedział pewnie. – Dawniej Trzynasty Pułk Ułanów, a teraz...

Zielinsky gwizdnął z uznaniem.

– Proszę, proszę. – Poruszył się na krześle podekscytowany. Nie rozumiał z tego nic, ale zaczynało mu się podobać. – W Trzynastym Pułku... Dobrze sobie. – Klasnął w dłonie. – Mój ojciec...

Kowalski podniósł rękę, dając wymowny sygnał, że to nie czas na opowieści.

– Pułk to przeszłość. Później służyłem w czymś, co lata temu nazywało się Oddziałem Drogim. Pan wie, co to było, szanowny panie Karolu?

– Nie. – Odpowiedź była szczerą.

– To organizacja, która... – Kowalski posmutniał. – Istnieje dziś w bardzo szkieletowej formie, a właściwie już nie istnieje. Ale nie o to chodzi...

– Więc o co? – Głowa Charliego znów pulsowała bólem.

– O pana – westchnął Kowalski i opadł na oparcie. – O pana szefów, o zadanie i w ogóle o tę całą szaloną wojnę, której nie ma. Może pan mi przypomnieć cel pana... nazwijmy to, wycieczki? – Pułkownik znów splótł dłonie i mówił ciepłym, bardzo przyjemnym głosem.

– Mów. – Stanley skinął głową, widząc, jak Zielinsky spoziera na niego, wyraźnie niepewny, czy powinien odpowiedzieć na to pytanie.

– Mam za zadanie przedostać się do wschodniej Polski i wraz z oddziałem grupy partyzantkiej „Szczerbiec” próbować odbić, jeśli będzie taka możliwość, amerykańskiego oficera przebywającego w sowieckiej niewoli.

– Coś jeszcze? – dopytał zaraz Kowalski.

– Co jeszcze? Mam ocenić możliwości bojowe podziemia i podszkolić ludzi. – Uśmiechnął się nerwowo Karol. – Mówiąc kolokwialnie.

Pułkownik Kowalski milczał przez chwilę, a potem niespodziewanie wybuchnął śmiechem, tak głośnym i spazmatycznym, uderzając przy tym dłonią o blat, że Karolowi wydawało się, iż ma do czynienia z szaleńcem.

Wesołość udzieliła się również Stanleyowi i człowiekowi pilnującemu Karola. Tylko Greenman siedział na miejscu, milczący, wystraszony i cokolwiek zażenowany. Wcisnął głowę w ramiona, dłonie schował między uda i czekał, co jeszcze mu zafundują. Gubił się już w tym wszystkim i znów – chyba po raz setny – kłął w duchu, że ten cały wywiad to banda wariatów.

Kowalski spoważniał raptownie, a wraz z nim cała reszta. Jego twarz nabrała rumieńców, kąciki ust opadły w dół, a przenikliwe oczy zasnuła mgiełka złości.

– Bzdura, bzdura... – cedził po polsku bliski wybuchu. – Po tysiącuroć bzdura!

Karol chciał oponować, ale wymowny gest znów przywołał go do porządku.

– Wierzę panu, oczywiście – mówił dalej Kowalski. – Ale to zadanie to jakiś majak wariata. Totalna nieodpowiedzialność! – Huknął dłonią w biurko, aż podskoczyła szeroka podkładka na dokumenty.

Bryan J. Stanley uniósł głowę i przełknął ślinę. Nie znał polskiego, ale chyba wszystko pojmował.

– Miano pana rzucić ze spadochronem?! Gdzie? W środku okupowanej przez Sowietów Polski?! Rozumiem, że jest pan nowicjuszem, ale, do diabła ciężkiego, chyba informowano pana o sytuacji w ojczyźnie? O aparacie represji?

Karol przytaknął niemo, nie pojmując, o co właściwie chodzi w tej sytuacji.

Nozdrza pułkownika rozchylały się miarowo. Milczał chwilę, chcąc uspokoić wściekłość i opanować buzującą w żyłach frustrację.

– Proszę posłuchać, panie poruczniku. – Zaczął oficjalnym tonem, znów gładko przechodząc na angielski. – Gdyby nie okoliczności i wątpliwości ludzi takich jak pana... – Obrócił się i skinął na Stanleya. – Jak pana przełożony, byłibyśmy w... – Westchnął głębiej niż zwykle. – W głębokim szambie. Odwołujemy tę operację. – Głos pułkownika zabrzmiał głucho.

Zielinsky zdębiał i musiał zrobić przy tym tak wybitnie kretyńską minę, że Stanley pochylił się nad biurkiem i wycedził powoli, jak do małego dziecka:

– Koniec, Charlie. Tę część odpuszczamy.

– Panowie... wybaczą. – Zielinsky rozglądał się nieprzytomnym wzrokiem po pokoju. – O co tu, do kurwy nędzy, chodzi?! – Wydobył z siebie niezamierzony krzyk. – Ja już nie pojmuję. Po co to wszystko...? – Powiódł po suficie zmęczonym, skołowanym wzrokiem.

– Widać pan porucznik wkracza w prawdziwe życie – syknął Kowalski i założył ręce. – Tak to jest, mój drogi. To właśnie na tym polega. Na teatrach, pozach. – Pochylił głowę i mówił spokojnie, bardzo spokojnie, ze znajomością rzeczy godną prawdziwego wywiadowcy.

Zielinsky nerwowo przełykał ślinę, gnąc się pod ciężarem kolejnych zdań i mając nadzieję, że któryś z tej trójki wykrzyknie coś w stylu: „Mamy cię, to był dowcip, a nie szkolenie”, ale nie takiego się nie działo.

Całe jego wewnętrzne nastawienie właśnie okazywało się iluzją. Był gotów, pełen zapału. Wraczał na stare śmieci, nieważne, jak głupio nie brzmiałyby rozkazy. Teraz znów pozbywał się złudzeń. Jak na froncie, gdzie mało co szło, jak należy, i kosztowało dziesiątki ludzkich istnień.

– Wyjaśnimy ci to – wtrącił się znów Stanley.

Przestawił krzesło, usiadł naprzeciw Polaka i wpatrzył się w niego uważnie.

– Od samego początku miałem wątpliwości. Wierz mi. Zbyt wielkie ryzyko, dowody wątpliwe. Coś było nie tak.

– Panie Karolu. – Kowalskiemu drgnął wąż od nikłego uśmiechu. – Wpuszczono pana w maliny. Zna pan to powiedzenie? Proszę posłuchać. – Znów przeszedł na polski. – Nasi amerykańscy koledzy, pana szefowie, są naiwni, bardzo naiwni. Gotowi dla sprawdzenia plotki poświęcić wielu ludzi. Nie powinienem tego mówić panu, jako adeptowi naszej sztuki, ale znam pana wojenne osiągnięcia i, co więcej, jest pan mym rodakiem. Niech pan uważa w przyszłości. Za błędy płaci się życiem – syknął przez zaciśnięte zęby.

Greenmana przeszedł zimny dreszcz. Otrząsnął się, jakby ktoś dał mu po twarzy. Jego zmysły się natężyły, ból w głowie ustał. Docierało do niego, że tu musi być ciągle przygotowany, skupiony.

– To, co panu zaproponowano... Rozkazano, dokładniej mówiąc – mówił dalej pułkownik. – To jest, w mej opinii, ordynarna prowokacja. Prowokacja – dodał po angielsku, zerkając się na Stanleya. – Od jakiegoś czasu pewne... czynniki optują za próbą zrzucania w krajach socjalistycznych grup dywersyjnych do szkolenia podziemia. Dobrze, to mogę zrozumieć. Ale należy to robić z rozmysłem, odpowiednim nakładem środków, nie teraz, kiedy... wszystko jest w odwrocie... – Chrząknął i spoważniał jeszcze bardziej. – Przerzuty lotnicze oficerów wywiadu do działań stricte bojowych, albo inaczej dywersyjnych, tak jak i transporty broni, kończą się w osiemdziesięciu procentach tragicznie. Nasi koledzy się o tym przekonali, ale nie wiedzieć czemu brną w to dalej. Sądzę, że ta sprawa to prowokacja, na którą Waszyngton dał się nabrać. Zresztą, to niemal pewne. Wielu naszych współpracowników myśli życzeniowo i chce prędkich zmian, jakiejś wielkiej ofensywy, nie bacząc na okoliczności. A może jest jeszcze coś... – Urwał. – Pan major ma coś do dodania? – spytał Stanleya.

– Tak, tak – odpowiedział zapytany. – Charlie. – Zabrzmiał tak poważnie, jakby zaczynał mowę pogrzebową. – To wszystko cuchnęło i cuchnie coraz mocniej. Zrzut, ta akcja. Wierz mi lub nie, ale od samego początku nie byłem optymistycznie nastawiony do tej operacji. Kilka dni temu pułkownik Landas został zatrzymany. – Przetarł bladą twarz. – Charlie, on pracował dla Sowietów – wyrzucił z siebie.

Ta nowina była większym szokiem niż cios, jaki spadł Greenmanowi na głowę. Mózg prawie eksplodował mu na samą myśl, że wykonywał rozkazy zdrajcy. Najprawdziwszego zdrajcy. Inaczej tego nie potrafił teraz nazwać.

– Boże! – wyszeptał. – Wiele, wiele muszę się nauczyć... – Pogładził się po krtani. – Mogę prosić wody?

– Oczywiście. – Kowalski skinął na „Białego” i ten potulnie, bez słowa, ruszył do kuchni. Wrócił zaraz ze szklanką.

Karol pił łączywie, szybko. Odstawił szkło na dywan i ukrył głowę w dłoniach. Dopadła go świadomość, że mógł stracić Katty, Josepha i wszystko, co zdobył. Teraz pojmował, czemu to wszystko działo się tak prędko. Potrzebowali go do czegoś, choć nie miał pojęcia, o co chodziło w tej całej układance. Mieli gdzieś jego żonę, dziecko. Bał się, bo czuł się jak ziarnko piasku przyklejone do buta wielkiego olbrzyma.

– Co z Ringwaltem? – zapytał, choć na język cisnęło mu się tuzin innych słów.

– Tym pułkownikiem? – Kowalski nadstawił ucha. – Otóż, panie poruczniku, ten człowiek prawdopodobnie nie żyje. To element tego całego cyrku. Zwykła podpucha, żeby...

– Ale zbieg, ten jeniec meldował... – wtrącił Karol.

– Pan się musi wiele nauczyć. – Kowalski przyjął belferską pozę. – Tamci są może słabi mili-

tarnie, ale w dziedzinie dezinformacji osiągnęli mistrzostwo. Mają ludzi i czas. Nie takie sprawy widzieliśmy... – Nutka wyższości była wyraźnie słyszalna.

– Więc po co to wszystko? Czemu ja? – Greenman uderzył pięścią w oparcie krzesła.

– Pan? To przypadek. Bryan pana znał, coś o panu wiedział. Jest pan Polakiem w pierwszym pokoleniu, nadawał się pan, został poddany szkoleniu. Zbieg okoliczności. – Kowalski zdawał się w ogóle nie dostrzegać wzburzenia rodaka. Mówił zupełnie obojętnie o rzeczach, które sprawiały, że Greenman zaczął się trząść. – Co do misji... Niech pan łaskawie sobie wyobrazi, że pana ślemy tak, jak planowano. Prowokacja. Zapewne oblawa, proces, rozgłos. Widzi to pan, prawda? W czasie, kiedy w Czechosłowacji zaczynają się niepokoje, coś wisi w powietrzu, w Polsce wpada amerykański oficer. Do tego Polak z pochodzenia. Dodatkowy cios w resztki podziemia i w emigrację. Prasa szaleje. To był cel, tak uważam. Innego powodu tak dużego zaangażowania się Sowietów nie potrafię dostrzec. – Pułkownik zerknął na Stanleya, ale ten pokręcił przecząco głową.

– A więc po wszystkim. Wracam?

Pułkownik wyprostował się, przyglądził węża i oczy na powrót mu zapłonęły.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie?! Przecież całe to gówno to wymysł, jak usiłuje mi pan wmówić.

– Tak, to jest, jak pan powiedział, gówno. – Kowalski zrobił niezadowoloną minę, powtarzając słowa wypowiedziane przez Karola. – Ale nie wszystko stracone.

– Co to znaczy?

– Spokojnie, spokojnie. Przyda się pan nam. Mnie potrzeba dobrego oficera, a pan i tak miał tam jechać.

– Tam, to znaczy... do Polski?

– Tak. – Pułkownik uśmiechnął się. Zerknął na majora, ale ten patrzył otępiąły to na dywan, to na Charliego i nie miał widocznie zamiaru się odzywać. – Nie polecą pan jak bohater komiksu. My tu działamy nieco wolniej, ostrożniej.

– „My” to znaczy? – zapytał Greenman.

– Polscy przyjaciele pańskiego nowego kraju. Tak, wiem, dziwi się pan. Trzeba próbować...

– Trochę późno – rzucił wściekle Zielinsky.

– Prawda, ale co robić? Staramy się pomóc, jak potrafimy. I pan też nam pomoże. Nam, sobie, wszystkim. Pojedzie pan do kraju, tam gdzie planowano, ale nieco inną drogą. Nie wolno się panu kontaktować z ludźmi z ambasady USA czy Wielkiej Brytanii. Przynajmniej do czasu. Po akcji pomogą nam w przygotowaniu przerzutu. Na razie jest pan sam. Życiorys też musimy panu zmienić, ale to drobnostka. Będzie pan ćwiczył umysł.

Karol słuchał uważnie.

– Przerzut będzie bardzo skomplikowany, zwłaszcza że nie mamy czasu, a kontakt z naszymi ludźmi jest utrudniony. Ponadto drogi na wschód są odcinane i nie jest to najprostsza wycieczka. Rozpoczęliśmy pewne działania i wierzę, że...

– Co mam robić? – Od tego całego gadania Greenmanowi skoczyło ciśnienie.

– Przywieź nam pewnego człowieka. Dzielnego człowieka. Polaka, który może się przydać w przyszłości. Kiedy naprawdę trzeba będzie dobrych ludzi pod bronią. Prośba o jego ewakuację leży w sztabie od miesięcy, ale nie było sposobności... Pan rozumie: ci, co próbowali wiać na własną rękę, źle kończyli, więc miał czekać i czeka, ale pętla chyba się zaciska.

– Rozumiem. – Zielinsky wykrztusił tylko jedno słowo.

Układał sobie w głowie nowe informacje, zastanawiając się, czy to wszystko aby mu się nie

śni.

– Kiedy? – Dał za wygraną, pojmując, że właściwie nie ma innego wyjścia niż współpracować. „Niech się dzieje, co chce” – dodał w myślach.

– Wkrótce. – Pułkownik Kowalski znów uśmiechnął się pod wąsem. ■

## ROZDZIAŁ 10

Ciągnęło zimmem od zaśnieżonej ziemi, a w twarz wiało lodowatym wiatrem, przed którym nawet gęsty las niewiele zapewniał osłony. Do tego panowała zupełna ciemność, a we znaki dały się potworne nerwowe napięcie i ciągłe oczekiwanie.

Było ich dziesięciu, więcej nie udało się zebrać. „Pielgrzym” wiedział jednak, jak trudno wyrwać człowieka z jego normalnego życia, żeby nie przyciągnął uwagi jakiegoś szpicla. Albo i całego aparatu bezpieczeństwa. Nie byli przecież jak inne grupy, których członkowie kryli się po bunkrach i stodołach. Ciągłe tworzyli organizację konspiracyjną i tak miało pozostać. „Oczko” nie wydał chyba nikogo. Zresztą sam niewiele wiedział. Wszelkie nici trzymał w ręku tylko dowódca.

Maciej Gładyszak ostrożnie ćmił papierosa, zakrywając ognik dłońmi. Zerkał w niebo, wypatrywał i nasłuchiwał. Reszta zachowywała się niemal identycznie. Nikt nic nie mówił. Jakby się bali, że nie usłyszą dźwięku, dla którego tu się zgromadzili – warkotu lotniczych silników.

Byli rozlokowani na skraju lasu, skryci pod drzewami albo w szałasach, które wzniesli z gałęzi. Mieli broń, sporo broni, i czuli, że jest jak dawniej. Pogoda także dopisywała – pojedyncze chmury przepływały po niebie gnane lekkim wiatrem. Warunki idealne.

Jednak ich zapał, nieskrywana na spotkaniu radość i nadzieja ulatniały się szybko, jakby zamarzały z każdą godziną wyczekiwania.

– Dobra, chłopaki – powiedział wreszcie „Pielgrzym”, wyrывая całą grupę z rozmyślań.

Nie widział ich dobrze, ale czuł, że wszystkie twarze skierowane są w jego stronę. Cisnął niedopałek w zaspę, zdusił butem i zasypał śniegiem.

– Nic z tego nie będzie – oznajmił z pełnym przekonaniem. Zarzucił pistolet maszynowy na plecy i zerknął na biały cyferblat zegarka. – Ukryjcie lampy, chłopcy – rozkazał, robiąc wymach w stronę trzech latarni naftowych.

Szmer niezadowolenia rozszedł się między drzewami. Zaskrzypiały kroki na zmrożonym śniegu.

– To co teraz? – „Strzelba” odważył się spytać na głos. Po paru miesiącach od ostatniej kłótni z szefem pewność siebie na dobre do niego wróciła.

Oficer przygryzł wargę. Nie miał bladego pojęcia, co się stało. Gubił się. Albo to sojusznicy odwołali akcję, albo zrobili to ludzie WIN-u, bojąc się wpadki. Nie dali tylko rady poinformować ich, że całe przedstawienie spada z afisza. Najczarniejsza myśl, jaka przychodziła mu do głowy, to podejrzenie, że to wszystko było prowokacją, wyreżyserowaną zasadzką.

– Zabierzcie broń – odezwał się wreszcie, wiedząc, że to zbyt długie milczenie podkopuje jego i tak niewielki już autorytet. – Ukryć dobrze, pewno się przyda. Poczekamy, zobaczymy. Może jutro...

– Ja nie dam rady – rzucił wystraszony „Tomek”. – Robota. Jak ja się wymówię, że znikam?

„Pielgrzym” zbył tę uwagę. Jak nisko musieli upaść, dać się zaszczuć, żeby martwić się o takie drobnostki? Za Niemca dawali radę, w pierwszych miesiącach sowieckiej władzy też, a teraz... Inna sprawa, że trzeba było naprawdę uważać, gdzie się stawia kroki i z kim się rozmawia.

– Pilnujcie skrzynek, sprawdźcie za trzy dni. Ja... – Westchnął, jakby gniewiony spadającym ciężarem odpowiedzialności. – Ja się tym zajmę.

Jego ludzie popatrzyli po sobie, zdziwieni.

– Jak to ty? Sam? – „Leon” prawie wykrzyknął. – Nie przesadzaj, ktoś ci pomoże...  
– Dość. – Maciej uniósł głowę ku niebu. Dopadało go ogromne zmęczenie. – Postanowione. Nie będziemy ryzykować. Robienie spędu z bronią co kilka dni to zbyt wielkie ryzyko. To nie okupacja, a my już nie „leśni”. Za dużo ambarasu z tym wszystkim. – Przeciągnął się.

Kiełkował w nim strach. Bał się, że wystawia na celownik tych ostatnich oddanych mu ludzi. Splunął w śnieg, zły, że dał się ponieść emocjom zamiast przemyśleć to od razu.

– Ciężko ufać... – szepnął.

– Co mówisz? – „Leon” nadstawił uszu.

– Nic. Jak powiedziałem – rzucił głośniejszym głosem – broń schować, czekać na wieści. – Naciągnął czapkę na uszy. Nie miał ochoty znowu krążyć nocą i w samotności sprawdzać skrzynek kontaktowych, ale nie było wyjścia. – Dobrej nocy, rozejść się. – Bez sukcesów próbował powiedzieć to weselszym tonem.

Podobnie jak w grudniu jego ludzie pospuszczali nosy na kwintę, wyraźnie zawiedzeni, i bez słowa zaczęli odchodzić w las, gdzie poukrywali rowery. Trudno było wyrokować, czy bardziej zniechęcał ich brak rzutu, na który tak liczyli, czy podróż nocą, w śniegu, i to z bronią.

„Pielgrzym” też to nie cieszyło, ale ludzie byli doświadczeni. Wierzył, że nie dadzą się złapać byle patrolowi. Zresztą teraz wszyscy milicjanci spali w ciepłych łózkach.

– Uważaj na siebie. – „Leon” powiedział to jakby od niechcenia, odwracając się na chwilę.

– Co masz na myśli? – Gładyszak zdrętwiał, tknięty nagłym przecuciem.

– Nic konkretnego. – Chłopak pokiwał głową i ściszył głos, patrząc, jak daleko jest reszta. – Ale wiesz, co gadają? Ruscy w powiecie. Rozumiesz? Coś chyba szykują.

Porucznik tylko kiwnął głową. Nie chciał pytać o nic więcej. Młody spotykał się z Jadwigą i pewno od niej pochodziła ta wiedza. Sam nie sprawdzał skrytki pod kościołem od bardzo dawna. Był do tyłu, jeśli chodzi o bieżące sprawy.

– Będę uważał – skończył temat. – Zmywaj się – rozkazał surowo. – Czekaj na polecenia.

Stał jeszcze kilka chwil, upewniając się, że ciemne sylwetki znikają za drzewami i żadna nie rusza za nim. Wkrótce został sam i mógł już zadać sobie pytanie o to, ilu z nich jeszcze do niego powróci.

\*

Po szybach spływały strużki szybko topniejącego śniegu. Ogród zniknął za szczelną kotarą bieli.

Obszerny pokój czerniał od dymu. Był to wygodny, ze smakiem urządzone gabinecie, w którym zgromadziło się kilka osób. Mężczyźni ubrani w nowe garnitury palili cygara i papierosy, wymieniając zdawkowe uwagi. Byli tu i Rosjanie, i Polacy.

Sylwester Barańczak przycupnął w kącie, na ciężkim wiekowym krześle obok równie zabytkowej lampy, i czekał na swoją kolej. Jak i reszta odział się po cywilnemu, w to, co miał najlepsze. Nie chciał odstawać od reszty grupy specjalnej, która całkiem nieźle poczyniła sobie w Polsce. Zajęta robotą nie omieszkiała zadbać o własne wygody. Najlepszym dowodem była ta willa, już za ciasna ze względu na ilość przywożonych tu mebli i przedmiotów codziennego użytku.

Kapitan UB też palił. Ręce mu drżały, więc udawał, że bawi się paczką zapalek, ale nerwowego ruchu stopy nie potrafił zamaskować. Miał powody. Sowietci prawie roznieśli urząd... Aż wreszcie, chyba nie ufając im za bardzo, kazali stawić się u siebie jemu i Zarotkinowowi.

Był to ogromny zaszczyt, ale strach jeszcze większy. Przecież to wszystko działo się poza

wszelką kontrolą. Kto miał panować nad poczynaniami sowieckich gości? Nawet szef urzędu bał się pytać o cokolwiek, a na samego Sylwestra koledzy patrzyli wilkiem, bojąc się rozmawiać o czymś innym niż o pogodzie. Prawda jednak była taka, że wielu z nich od dawna pracowało dla Sowietów, opisując swoim zwierzchnikom na Wschodzie warunki panujące w urzędzie za plecami polskich przełożonych, a nawet i samych radzieckich „doradców”. Na tym polegała owa „samodzielność” pod wiecznym nadzorem, ale to wszystko działo się na zasadzie tajności, a nie z pełną ostentacją.

Teraz Barańczak i cała grupka sowieckich agentów pracujących na tym terenie udawali, że panują nad sobą, zerkając nerwowo co jakiś czas na swojego prawdziwego szefa.

Major Zardow stał przy stole, gdańskim, pięknym meblu, w koszuli i spodniach na szelkach. Przyciskał słuchawkę do ucha i na przemian czerwienił się i bladł.

Barańczak nie wiedział wiele. Tyle tylko, ile wspaniałomyślnie mu przekazano. Jasne jednak było, że wydarzenia ostatnich dni zniweczyły wszelkie osiągnięcia majora. Wściekał się i obso-baczył najpierw Polaka, a potem nawet Zartokina. W końcu także całą resztę.

Można było to zrozumieć. Od miesiący słał do Moskwy raporty o postępach i konieczności nadzorowania całej sprawy. Pozwalało mu to przebywać w luksusie, przeczekać zimę, a teraz... Nadchodziła wizja absolutnej klęski. Tak to wyglądało z perspektywy Barańczaka.

– Kurwa ich mać! – wrzasnął Zardow, ciskając słuchawkę na widelki.

Uderzył pięścią w udo i zaraz potem w telefon, zrzucając go na parkiet. Wszyscy zebrani unieśli oczy na szefa.

– Jeszcze to, kurwa...! – zaklął, podpalając kolejnego papierosa. – Za dużo tych nieszczęść, za dużo ostatnio. – Potarł skronie. – Jeden z naszych... Za wodą... Wpadł. – Zebrani zamarli jak słupy soli, przerażeni. – „Laufer”. Dobry, cholernie dobry wywiadowca. Doświadczony. Jeden z wielu, ale jak dla nas idealnie ulokowany. Wszelkie operacje, w których „Laufer” maczał palce, diabli wzięli i jego człowieka nie przyślą. Dużo nie wiedział, prawie nic o naszej roli. – Ubiegł ewentualne pytania o szpiega pojmanego na terytorium „głównego przeciwnika”, o którym donosili z Moskwy. – Dzięki niemu mieliśmy informacje, że Amerykanie wiedzą tylko tyle, że mamy ich człowieka, ale teraz... – Machnął ręką, aż popiół z papierosa poleciał na dywan. – Co teraz, towarzysze? – rzucił pytanie niczym granat.

Nikt nie odpowiedział. Bali się. Po co ryzykować, silić się na rozwiązania ad hoc, bez namysłu? Plan stworzył Zardow i wyraźnie nie wszystko przemyślał. Nie kwapili się brać udziału w klęsce. I tak starczyło, że jeśli coś zawali, odwołają ich wszystkich.

– A ten Amerykanin... – Zartokin udał, że chrząka, i zadał pytanie jak gdyby nigdy nic. – Na co wam jest tak bardzo potrzebny?

Zardow zastygł zaskoczony taką bezpośredniością. W tym zawodzie niedyskrecja była ogromnym grzechem.

– Wiecie tyle, ile możecie – odparował pytanie, chcąc spokojnie myśleć.

– No dobrze... – Miejscowy „doradca” nie ustępował łatwo. – Nie ma go, nie przyjechał. Trudno, cholera, ale lecimy dalej. Do tego, cokolwiek planujecie, nie starczy wam naszych... podopiecznych? Koniecznie trzeba obcych?

Pytanie zawisło w pokoju. Zardow zrobił dwa powolne kółka wokół stołu, dotykając jego krawędzi palcem. Uspokajał się, oswajał z nową sytuacją. Było wiele racji w tym, co usłyszał. Przecież był dobry w improwizacji i ciągle istniała szansa. Całego zadania nie potrafił wykonać, ale reszta...

– No, powiedzmy, że wasi figuranci starczą – rzucił na wydechu, patrząc raz na Zartokina,



raz na Barańczaka. Ten drugi wyraźnie go drażnił. Niezbyt mu ufał i chyba podświadomie obwinił za ostatnie klęski. – Potem będzie i tak kłopot, bo nie mamy, nazwijmy to, pewnych dojsć. – Mówił prawdę, bo nie wiedział zbyt wiele o kontaktach i ścieżkach na Zachód. – No, ale zostawmy to. – Potarł pulsujące skronie. – Potem będziemy się głowić. Tych waszych... – Wracał do tematu, w którym czuł się pewnie. – Trzeba zmobilizować. Zachęcić jakoś...

– Po pierwsze, muszę wiedzieć, do czego mam ich zachęcać... – Zarotkin posłał mu uprzejmy, choć jednocześnie ironiczny uśmiezek.

– Starczy, jeśli będziecie wiedzieć, że trzeba ich zmusić do akcji, być może ostatniej, i wmówić, że pójdzie całkiem sprawnie. Tyle mogę powiedzieć. – Zardow nie dawał się podejść.

– Pestka – prychnął Barańczak już zupełnie zrezygnowany. Nie dość, że zabroniono mu zlikwidować rozpoznaną bandę, to jeszcze miał zmuszać bandytów do ataków. – Ma to zrobić UB w powiecie, a może od razu tu, w Lublinie?! – Wściekł się i zerwał z miejsca. Pierwszy raz pozwolił sobie na taki wybuch.

– Spokojnie, towarzyszu. – Zardowowi nawet to zaimponowało. – Coście tacy przejęci? – Zaśmiał się, podobnie jak reszta. – Połowa zadania gotowa. Obiekt w terenie wypatrzony. Kapitan Gorozow się nim zaopiekuje. – Skinął porozumiewawczo na swego pomocnika. Przy obcych nie miał zamiaru zdradzać daty przyjazdu gościa czy trasy konwoju. Żadnych detali. – Starczy, że to zadziała. Jak? To szczegół. Ale musi być zbrojna napaść. Sami czy ze wsparciem, już nieważne. Zasady znacie. – Patrzył na przedstawicieli miejscowego aparatu. – Tajemnica. Ale mają uderzyć i odbić jeńca. Kogo? Nie wam wiedzieć.

– Grubo szyjecie – prychnął Zarotkin, kręcąc głową. – Nasza agentura może nie wystarczyć – powiedział, odpinając guzik duszającego kołnierzyka.

Nie poprawił tym nastroju wizytatorowi.

– Barańczak! – Zardow podszedł wolno do Polaka, jakby jego defetystyczny „doradca” stał się niewidoczny. – Może, cholera jasna, wy macie jakiś pomysł? – zapytał niespodziewanie.

– Mówicie, że to ma być prowokacja... Atak... – Polak podrapał się po brodzie. Wreszcie co nieco zaczynał rozumieć. Po to miał „hodować” bandytów. Kilka miesięcy roboty, żeby ludzie z Moskwy mogli się pobawić. – Trzeba by... – Minął majora Zarotkina, jakby ten naprawdę zrobił się przezroczysty, i podszedł do okna. – Narobić szumu! – Myśl trafiła go jak grom z jasnego nieba. – Iść na ostro – nakręcał się, choć nie potrafił szczegółowo powiedzieć, o co mu chodzi. – Skoro macie jakiś obiekt u nas, nie utajniajcie tego. Dajcie przeciek, puśćcie jakąś plotkę. Takie drobnostki mamy opanowane – kokietował z premedytacją. – Potem jeszcze rozesłać wieść, że obława czy jakiś ważny oddział...

– Jak to widzicie? – bąknął Gorozow. I bez tego miał trudne zadanie, a tu jeszcze jakieś pomysły.

– Nie wiem dokładnie. – Barańczak pokręcił głową i zaczął chodzić w kółko wpatrzony w dywan. – Ale coś wymyślimy. Musi być mocno i głośno, żeby zaczęli się bać. Tu u nas tak naprawdę dawno nie było wielkich działań. Ale jakby zanęcić i sprowokować, kto wie, może się złapią?

– Zarzucić przynętę? – Zardow zaczynał rozumieć. – No dobrze, kapitanie, dobrze. Trzeba będzie to obgadać. – Uśmiechnął się. – Tak czy inaczej... – Spoważniał – Nie zamierzam wstrzymywać działań. Za daleko zaszliśmy, towarzysze. Za daleko.

\*

Wydawało się, że zima nie tylko nie ma najmniejszego zamiaru odpuszczać, ale nawet przy-

stępuje do kontraktaku. W ciągu ostatnich godzin sypało bez ustanku i cała okolica przykryta została śniegiem niesionym wiatrem od płaskich, nieosłoniętych pól. Krużganki, dachy, a nawet frontony domów zasnuły świeże puchowe czapy.

Kilka głównych dróg i chodników bliżej ulicy Warszawskiej odsnieżono, ale i tak trudno było się poruszać. Jadwiga szła z wielkim wysiłkiem po nierównych śliskich ścieżkach, wydeptanych przez nielicznych przechodniów. O tej porze, kiedy dzień się kończył, było ich jeszcze mniej. Prawie nikogo. Dziewczynie bardzo to pasowało. Maskowała się szalem i włóczkowym beretem, a szczupłe ciało otulał szary, przyciężki, długi płaszcz. Nie wyglądała najpiękniej, ale przynajmniej było jej prawie ciepło.

Zmierzała do bramy kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy, zostawić wiadomość. Powinna zrobić to wcześniej, zaraz gdy dowiedziała się, że „Pielgrzym” czeka na wsparcie. Ale chciała zdobyć więcej informacji. Nie było łatwo. Od kilku dni uparczywie nie wpuszczano jej do pracy, więc przestała przychodzić, żeby jej zapal nie zaczął nikogo drażnić i nie dawał powodu do podejrzeń. Miała nad sobą szefa, dla niego pracowała i trzeba było uważać, żeby głupim zachowaniem nie zaszkodzić sobie i innym.

Dziewczyna skrzyła w uliczkę prowadzącą do świątyni. Serce jej przyspieszało, ręce drżały. Nie sądziła, że nadal może się tak denerwować. Brama główna kościoła usytuowana była vis-à-vis urzędu, więc ryzyko rosło.

Nie rozglądając się zbyt długo, przeszła za bramę i przywarła do muru. Jeśli ktoś ją śledził, to zaraz podąży tą samą drogą. Minęła minuta, potem druga i nic się nie działo. Ruszyła dalej i obešla dzwonnice. Przypomniało się jej, jak ponad rok temu „leśni” weszli tam z karabinami maszynowymi i dali nieźle popalić bawiącym się na zabawie sylwestrowej ubekom i Sowietom z naprzeciwnika.

Minęła kościół – okazały, piękny, renesansowy budynek, który cudem przetrwał wojenną zawieruchę. W pierwszym odruchu chciała się przeżegnać, ale jako pracownica urzędu musiała dbać o pozory. Sięgnęła do kieszeni płaszcz. Mała kartka była na miejscu.

Nabrała haust zimnego powietrza, zacisnęła pięści i przyspieszyła.

\*

Pociąg toczył się wolno. Monotonny stukot sprawiał, że oczy zamykały się same, choć ze względu na ścisk trudno było zasnąć.

We wnętrzu składu podróżował Karol Zielinsky. Nosił szarobury pocerowany płaszcz, szalik w bładą kratę, wojskowe rękawice z demobilu i grubą futrzaną czapkę. Bawił go jego własny widok, ale ważniejsze było, że nie wyróżniał się z tłumu. Był jak reszta. Nikt, jak się zdawało, nie zwracał nań uwagi.

Otaczały go zapachy gotowanych jaj, chleba, tytoniu i niemytych, spoconych ciał. Ludzie gadali o wszystkim i o niczym, nie stroniąc od polityki.

Jakiś sędziwy jegomość z siwym wąsem, odziany w płaszcz z futrzanym kołnierzem, prawił o następstwach przewrotu – jak to odważnie ujmował – w Czechosłowacji, żując kanapkę. Korpulentna, spocona kobieta naprzeciwko, nie zważając na przerażenie niektórych współpasażerów, zarzekała się, że „teraz to Amerykany tego nie puszczą płazem”. Jednak niewielu było takich, którzy chcieli podzielać jej poglądy. Ludzie już chyba wyzbyli się złudzeń. To, co Greenman słyszał o tutejszych, zdawało się sprawdzać. Odpuszczali, chcieli się przystosować, próbowali żyć albo po prostu się bali.

Zielinsky stał w korytarzu ponemieckiego wagonu, ściśnięty w tłumie, z twarzą przy zmro-

zonej szybie, i patrzył na przesuwający się wolno za oknem krajobraz. Powiedziałyby im z przyjemnością, gdzie sojusznicy mają ich wszystkich. Jednak zmęczony przygodami wolał patrzeć. Tak było bezpieczniej.

To, co widział po przekroczeniu granicy, przynębiało bardziej niż ruiny Frankfurtu czy Berlina. Zrujnowane kwartały mijanych osiedli, spalone domy bez okien albo zabite na głucho deskami i tłumy wynędzniałych, apatycznych ludzi. Tutaj chyba nawet odbudowa wlokła się dłużej, bez pomysłu, chęci, a najpewniej i środków.

Umysł żyjącego w dostatku człowieka nie potrafił łatwo się przestawić. Ogrom zniszczeń, świadomość, że wokół jest jeden wielki cmentarz, i do tego uciskająca świadomość, że jest tu sam i ryzykuje wszystko... To przytłaczało boleśnie. Żadne szkolenie nie przygotowywało na takie doznania. Nie potrafił się cieszyć z faktu, że wrócił do domu, bo i co to był za dom: zdemolowane miasteczka, opóźnione pociągi czekające na przepuszczenie sowieckich eszelonów i wszechobecne mundury. Zwłaszcza tu, w zachodniej Polsce, na Ziemiach Odzyskanych, jak mówili mu podczas szkoleń.

Kiedy pułkownik Kowalski zapowiadał, że droga do kraju będzie niebezpieczna, dłuższa i bardziej skomplikowana niż planowany pierwotnie lot... mówił prawdę. Zrzut ze spadochronem wydawał się, przy tym całym korowodzie, dziecinną igraszką.

Karolowi Zielinsky'emu dano dwie doby na przyswojenie sobie szczegółów nowego życiorysu. Może niezupełnie nowego, ale lekko podrasowanego.

Pochodził z Gdyni, był na robotach, ale służbę wojskową odbywał w KBW, co miało podnieść jego wiarygodność w przypadku kontroli milicyjnej. Nawet tak niedoświadczony w grach operacyjnych człowiek jak Karol domyślał się, że to niewiele pomoże, kiedy na poważnie się nim zajmą, ale nauczył się, czego trzeba było. Druga część legendy dotyczyła jego podróży po Polsce. W głównym zarysie wersja z odnalezieniem znajomych z czasów okupacji pozostała bez zmian. Dodano do niej tylko, że Bartłomiej Król – jak mówiły nowe papiery – wziął kilka dni urlopu z pracy w kierownictwie państwowego gospodarstwa między Wrocławiem a Wałbrzychem. Informacja, że pracuje w kierownictwie, według Polaków z Zachodu miała dodać mu powagi i zapewnić względną nietykalność. Młody i zdolny – na takich oficjalnie stawiano. Lepiej było udać, że pracuje w kołchozie niż w fabryce. Takiego przybytku nikomu by się nie chciało szukać. Był młody, ale już na odpowiedzialnym stołku, do tego weteran walk w korpusie bezpieczeństwa – to mogło sugerować, że ma odpowiednio silne plecy.

Wsluchiwał się w polską mowę i stukot kół, myśląc o tym, że jedynym plusem, jaki ma w sobie ta przydługa podróż, jest czas, który pozwoli jego szefom znaleźć dla niego jakiegoś przewodnika. Przemieszczał się do celu już długo, ale to, co najgorsze, było za nim.

„Gdybyś tylko wiedziała, dziewczyno...” – pomyślał o Katty. Chciałby teraz leżeć w łóżku wtulony w nią i spokojny. Zamiast tego tłukł się starym składem kolejowym po Polsce.

Z zachodnich Niemiec przewieziono go samolotem na lotnisko Tempelhof w Berlinie. Ukryto go gdzieś w mieście, ale nie miał pojęcia, pod jakim adresem. Kazali mu odpoczywać i nabierać sił. W nocy obudziło go stukanie do drzwi pokoju. Młody facet, niski blondyn w grubej, podbitej futrem skórzanej kurtce, oznajmił mu, że czas ruszać i że ma kwadrans na zebranie rzeczy. Nie wyglądał ani nie brzmiał jak Amerykanin.

Zaczął na dobre swoją misję.

Mimo pory ruch na lotnisku był duży. Zobaczył wiele transportowych maszyn amerykańskich, brytyjskich, a nawet francuskich. Łatwiej było ukryć start jednego małego samolociku.

Ciemnozielony i pozbawiony jakichkolwiek napisów stał w ciemnym hangarze, zakryty na

dodatek plandeką.

Taylorcraft L-2 był ciasny, cały trzeszczał i Karol z wielkim trudem wbił się w tylny fotel. Dawno się tak nie bał. Zgarbiony, zziębnięty, a od wypadnięcia w czarną czeluść chroniła go tylko cienka podłoga.

Blondyn o silnym słowiańskim akcencie kazał mu się trzymać i o nic nie martwić. Mieli szybko być na miejscu. Karol myślał nawet, by zapytać go, skąd pochodzi, ale żelazna zasada była jasna – zero rozmów.

Poinformowano go jedynie, że oficjalnie lecą z transportem lekarstw do któregoś ze szpitali w Polsce w ramach zbiorów z UNRRA.

Maszyna obrała kurs na północ, po czym skręciła na zachód. Greenman obserwował to kompas, to ziemię. Widział obie części Berlina, ciemne, na wpół martwe.

Lecieli wysoko, wolno i ostrożnie. W pewnym momencie maszyna gwałtownie skręciła na południe, minęła ciągle majaczący na horyzoncie Berlin i odbiła na wschód, mocno zniżając lot.

Na pytanie Charliego, co na to sowiecka obrona przeciwlotnicza, blondyn tylko dziwne się uśmiechnął i przyspieszył, aż motor zawył.

Kluczyli. Omijali słabo oświetlone wioski i miasteczka. Karol z podniecenia czuł, jak serce mu przyspiesza i plan na drzemkę w trakcie lotu spełzył na niczym. Zmówił jeszcze modlitwę, prosząc Boga, żeby listy, które zostawił dla rodziny, dotarły do adresatów. Trzeba było utrzymać fikcję. Słał korespondencję jako porucznik żandarmerii stacjonujący w Europie.

Minęli rzekę, choć Karol nie był pewien, czy to już Odra.

Samolocik jeszcze bardziej obniżył pułap. Lecieli kolejne dwadzieścia, może trzydzieści minut. Blondyn wyraźnie się denerwował, ścisnął kurczowo wolant albo tarł spocone ręce o spodnie. Wreszcie wypatrzył docelowe miejsce i posadził maszynę na zaśnieżonej polanie, do brze widocznej między zagajnikami.

Lotnik wypowiedział kilka zdań, które Greenman znał na pamięć. Kierunek marszu do najbliższego miasteczka i stacji kolejowej. Życzył mu powodzenia, pożegnał się i chwilę później Karol obserwował, jak samolocik ucieka na zachód.

Został sam. Złapał bagaż, przeciągnął się i ruszył na północ. Rozumiał teraz, po co było to cholerne szkolenie. Bez dobrej kondycji, przez śnieg do połowy łydki daleko by nie zaszedł.

W centrum zniszczonego przez wojnę miasteczka znajdował się plac zastawiony kilkoma osobowymi autami i zdezelowanymi ciężarówkami.

Pierwszy kontakt z krajem zrobił na Greenmanie duże wrażenie. Szarzyzna, gruzy i stary opel, na pakę którego wsiadali właśnie jacyś głośni, rozkrzyczani ludzie z tobołami i pakunkami, niektórzy, co poznał po głosach, dobrze już podpici. Cała ta zgraja poubierana była w ponieemieckie płaszcze, szynele, a nawet brytyjskie battledresy.

Czuł się jak Marsjanin, który wylądował tu, na obcej planecie. Wszystko było zupełnie odmienne od tego, co zostawił za oceanem. Modlił się tylko, żeby nie zdradził się jakimś „amerykańskim” gestem, kretyńskim pytaniem albo nawet zdziwionym pojrzeniem. Wiedział, że musi się kontrolować, przyjmować sprawy takimi, jakimi są, bez komentarza. Nikt nie mówił, że będzie łatwo.

Opłacił przygotowanymi pieniędzmi podróż oplem do najbliższej stacji. Jego towarzysze podróży momentalnie posnęli, owinięci w płaszcze i wtuleni w pakunki. Nie pytali o nic, choć z początku dziwnie na niego zerkali.

Zielinsky nie potrafił zmrużyć oka, przejęty, wystraszony, powtarzający sobie w myślach życiorys i chłonący widok zza dziurawej plandeki. Wreszcie wsiadł do pociągu pospiesznego jadą-

cego do stolicy. Zachodził w głowę, jak tam jest. Znał kiedyś kogoś, kto pochodził z centrum dawnej Polski. Teraz niemal znał nowej granicy kraju.

### **Czechosłowacja, maj 1945**

Kolumna pojazdów, nazwana przez członków tego niewielkiego oddziału „Task Force Brashier”, przejechała od ostatniego postoju bite czterdzieści kilometrów. Jak utrzymywał Tony Saviola, w powietrzu już było czuć Pragę, choć nie miał bladego pojęcia, co to za miasto i gdzie właściwie leży.

Żałoga, która wyruszyła na bliskie rozpoznanie, była teraz częścią sporego, nietypowego oddziału, który – dzięki fantazji głównodowodzącego armią – otrzymał zadanie przebijania się wprost do rzekomo ogarniętej walkami stolicy Czechosłowacji.

W większości ciągle skacowani i niewyspani żołnierze szykowali się na nowe wyzwania, i to nie zawsze bojowe. Dwie drużyny piechoty i załogi pojazdów nieco się dziwiły, widząc, jak ta zbieranina kawalerzystów i piechurów czyści znoszone mundury i – jeśli ma czas – goli się. Nawet niemal w pędzie.

A oni, po gorącym przyjęciu w zapadłej wsi i po symbolicznym boju, gotowali się na naprawdę gigantyczny bankiet. Kierowali się przecież do stolicy. Niektórzy biegliby tam na własnych nogach, jeszcze niedawno znużeni wykrywaniem min i ewentualnych zasadzek. Wizja wejścia do miasta w charakterze pierwszego oddziału US Army rozpałała wyobraźnię młodych Amerykanów.

Niemcy już zupełnie przestali interesować się walką, zwłaszcza kiedy ku ich pozycjom zbliżały się wozy z białymi, a nie czerwonymi gwiazdami. Kolejne napotkane oddziały już bez broni, którą gdzieś zrzuciły, wlekły się na zachód, ku wielkiej ucieście cywilów.

W co większych miasteczkach pojawiały się występy orkiestr i przemówienia. Wieść o kolumnie żołnierzy USA leciała szybciej niż wiatr.

Jednak zgody na postoje i bale już nie było. Brashier chciał jak najszybciej dotrzeć do Pragi. Skoro szło tak dobrze, nie zamierzał marudzić.

Kolumna wytoczyła się wolno za roгатki rozspiewanego miasta pełnego porzuconych ciężarówek i przyłączonych do nich haubic. Niemcy mieli jeszcze jeden powód, by zwiększyć tempo rejterady.

Nagle przód kolumny zatrzymał się z piskiem wyrobionych hamulców.

– Co, u diabła? – Wzdrygnął się Greenman wyrwany z pólśnu, którym odrabiał nocne zaległości.

Dostrzegł, jak na tył trzeciego pojazdu w kolumnie gramoli się porucznik Brashier. Wygiął antenę, na której zamocował małą amerykańską flagę.

– Zawieszać! – Chriss szedł szybkim krokiem wzdłuż kolumny. – Zawieszać flagi! – Usta drżały mu w jakimś nerwowym tiku.

– Co jest, Bob? – Charlie wyskoczył z auta. – Coś taki nieswój? – Za długo znał Chrissa, by nie zauważyć, że coś jest nie tak.

Nowo mianowany oficer westchnął głośno, nie mając zamiaru robić uników.

– Rick... – Schylił głowę i szeptał Greenmanowi do ucha. – Rick dostał wiadomość, że nasi rosyjscy koledzy idą szybciej, niż się spodziewaliśmy.

Karol rozdziawił usta. Wiedział, że są blisko, że będzie sposobność, by popatrzeć na Sowie-tów, ale nie sądził, że stanie się to tak szybko i niespodziewanie.

– A tak, tak. – Boba rozbawiła głupkowata mina Zielinsky'ego. – I to z dwóch stron. Od

wschodu i od północy... Stary, mamy ogon. – Klepnął Polaka w ramię. – Nie chcemy pomyłek ani wypadków. Mamy dbać o oznaczenia i panele identyfikacyjne. – Wskazał pomarańczową, gumowaną płachtę na pierwszym z brzegu jeepie. – Dowództwo kazało się spieszyć, ale uważać. Niemcy wieją, jak widzisz, nawet nie zwracają na nas większej uwagi, ale cholera ich wie...

– Bob! – doleciało od czoła kolumny. – Ładuj się, jedziemy!

– Do wozów! – rozkazał podporucznik, a za moment rozkaz powtórzył wyrwany z rozmyślań Zielinsky.

– Mówią, że przed nami coś się dzieje... – darł się wyraźnie podniecony Brashier z radiostacją przy uchu. – Każą się spieszyć, bo to coś naprawdę dużego!

\*

Kapitan Gorozow zaciągał się dymem z papierosa, przytupując obcasami pod tylnym wejściem wielkiego wojskowego szpitala. Betonowe podwórze na zapleczu ceglanej budowli, mimo że oddzielone od reszty wojskowego miasteczka, było pilnowane przez pluton jego ludzi.

Miał dobierać ich sam, ale szybko cofnięto mu ten przywilej. Musiał uwierzyć, że pomagają mu najlepsi, najsilniejsi i najbardziej dyskretni.

Pod samymi drzwiami, u rampy, stał sanitarny autobus z zamalowanymi farbą szybami. Resztę pojazdów eskorty stanowiły trzy amerykańskie półciężarówki i trzy cywilne, czarne osobowe gazy i ople.

Drzwi budynku otworzyły się. Gorozow zdusił niedopałek i ruszył ku wyjściu, w którym pojawiło się dwóch sanitariuszy w białych, długich fartuchach z szynelami na ramionach, taszczących szerokie nosze. Leżący na nich pacjent był owinięty w koce i płaszcz. Spod okrycia wystawała tylko gruba wojskowa czapka. Wyglądało na to, że śpi.

Z tyłu szedł trzeci łapiduch, taszczący dwie walizy, zapewne z osobistym dobytkiem więźnia.

Nosze wsunięto do wnętrza auta z wielką gracją i bez jednego zbędnego słowa. Niemal tak, jakby sam towarzysz Stalin sobie na nich drzemał.

Gorozow patrzył na to wszystko z mieszanymi uczuciami. Zadanie było podejrzenie proste.

Drzwi zamknęły się i wszystkie oczy na placu skierowały się na kapitana.

– Do wozów! – rozkazał i ludzie rozbiegli się do pojazdów.

Jakiś oficer z resortu podstawił mu bumagę do podpisu. Gorozow spojrział na niego, nieco wystraszony i zakłopotany. Oficer kiwnął głową, dając znak, żeby się pospieszył. Kapitan, nie mając wyboru, pokwitował. Oficer oddał honory i pobiegł dopilnować, żeby bramę otwierali bez zbędnych ceregieli.

Michaił Gorozow zasiadł w czarnym oplu razem ze swoim zastępcą – młodym, zawziętym i lizusowskim brunetem nazwiskiem Warieńczuk. Rozpiął płaszcz, zdjął czapkę i trącił kaburę pistoletu.

– No, to kawałek drogi – rzucił z głupawym uśmieszkiem Warieńczuk, ale Gorozow nie miał najmniejszej ochoty na pogawędkę.

Sam wiedział, że droga będzie daleka, a i miejsce docelowe też go martwiło. Tak jak i wynurzenia tego polskiego bubka z urzędu. Aż dreszcz szedł po krzyżu. Autem lekko szarpnęło. Motory huknęły mocniej i kolumna wytoczyła się w ciemną ulicę.

\*

Lublin też nie oparł się wojnie, ale istniał. Przynajmniej okolice dworca były jaką taką odmianą po krajobrazie polskiej stolicy.

Morze warszawskich ruin, sterczących kikutów domów pokrytych brudnawym śniegiem, sprawiało wrażenie antycznego rumowiska pozostawionego wieki temu po jakimś kataklizmie, a nie resztek miasta sprzed czterech lat. Ten ponury obraz ożywiało jedynie mrowie kręcących się po śródmieściu ludzi. Zmęczonych, źle ubranych, acz dziwnie pogodnych, jakby właśnie wrócili do życia. Niewyobrażalnie – przynajmniej dla Karola – ubogiego, ale jednak życia. Dawało to iskierkę nadziei, że jest za co walczyć.

Potem znów wsiadł do pociągu – długiego, ciasnego i bardzo powolnego.

Czuł się jednak coraz pewniej, wtapiał się w tę rzeczywistość, przyzwyczajając do ludzi. Ba, nawet zaczął wdawać się w krótkie pogawędki ze współtowarzyszami trudnej podróży. Takiej, o której nikomu się w Stanach nie śniło. Zagadał do kilku zziębniętych, lekko speszonych dziewcząt, jadących w rodzinne strony. Trudno było mu orzec, czy faktycznie były tak odporne na jego urok, czy tylko kokietowały. Tu, w Europie, kobiety zdawały się twierdzami trudnymi do zdobycia, brakowało im amerykańskiej frywolności, która przyzwalała na otwartą grę od pierwszego słowa.

Dotarł wreszcie na miejsce. Przywitała go ciemność i potworne, przenikające zimno. Trafił do jadłodajni zbitej z lekko zmurszałych desek i skorzystał z telefonu. Numer znał na pamięć.

Rozmowa była prosta i krótka. Kazano mu czekać na kontakt z kurierem, choć Greenman zachodził w głowę, w jaki sposób Kowalski zorganizował to wszystko tak sprawnie. I to nie na poziomie centrali, ale tu, w Lublinie.

Czasu, jak mu się zdawało, miał sporo. Zasiadł więc przy chybotliwym stoliku. Wszystko w tym kraju przypominało ten stół: było prowizoryczne, podniszczone i chwiejne.

Teraz, po kilku godzinach czekania w tym zimnym, ponurym miejscu, konsumował już trzeci talerz niezgorszego bigosu – jedynego dania, jakie aktualnie serwowano w tym przybytku – czym wzbudzał zazdrość kilku pijacków i grzejących się dorożkarzy czekających na pierwszych klientów.

Dotarło do niego, że tutaj nawet talerz kapusty z bułką to rzucający się w oczy luksus.

Był w połowie porcji, kiedy do „lokalu” wszedł młody chłopak – niski, chudy szatyn w skórzanej poniemieckiej kurtce. Zdjął kaszkiet i usiadł z boku. Rozpiął suwak kurtki i poluźnił kołnierz, pokazując jasnyniebieski szalik. Zielinsky spokojnie przełknął kolejny kęs.

Bufetowa, niemłoda już kobieta w grubym swetrze i komicznym czepku na głowie, spiorunowała wzrokiem nowego klienta, podparła dłońmi boki i gotowa była zrugać go za to, że nic nie zamawia, a zajmuje miejsce. Chłopak spojrział na nią, rozejrzał się po sali i poderwał ze stołka, po czym opuścił lokal.

Zielinsky dojadł spokojnie bigos, zagryzł bułką i wypił letnią już herbatę. Odczekał kilka minut. Wstał, odsunął krzesło, narzucił palto, założył czapę i ukłonił się szarmancko kobiecie za barem. Bufetowa zareagowała na ten gest szerokim uśmiechem, chyba zaskoczona, że ktoś tak jeszcze potrafi.

Chłopak w niebieskim szaliku czekał na mroczniejącym placu Dworcowym. Kiedy tylko ujrzał Greenmana, ruszył wolno za załom domu w odchodzącej od placu ulicy. Karol nie spieszył się zbyt. Sięgnął po papierosy, zapalił i odczekał, póki ogień nie pochłoniął połowy bibułki. Rozejrzał się, czy w okolicy nie ma kogoś zainteresowanego jego osobą. Dostrzegł tylko dwie bryczki z marznącymi, mimo derek, końmi i właściciela jakiegoś kiosku, który już zaczynał otwierać podwoje.

Uznał, że można działać. Ruszył tam, gdzie zniknął chłopak. Przeszedł kilkadziesiąt metrów i natknął się na niego w bramie. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Wrzos – rzucił mało wyszukane hasło Karol.  
– Przebiśnieg – odpowiedział chłopak z wyraźną ulgą. – Miło mi. – Wyciągnął rękę i ścisnął dłoń Karola. Zielinsky poczuł coś między jego palcami.  
Łącznik wyszczerzył krzywe zęby i patrząc Zielinsky’emu prosto w oczy, szepnął:  
– Adres. Masz tam być jeszcze dziś. Do widzenia – rzucił głośniejszym głosem. – Do następnego razu. –  
Uklonił się i puścił dłoń zszokowanego takim tempem Greenmana. Następnie odwrócił się i ruszył w swoją stronę.  
Nie oglądał się za siebie, tylko postawił kołnierz i zniknął w jakiejś bramie.  
Zielinsky wszedł w najbliższe podwórko i rozłożył karteluszek. Westchnął ciężko. Był zdany sam na siebie.  
Korciło go, żeby spróbować odszukać człowieka, którego znał z dawnych lat. Znajdował się tak blisko. Ryzyko było jednak zbyt duże.  
Niespełna trzy lata to – w tych warunkach – epoka, w trakcie której z człowiekiem dało się zrobić wszystko.

### **Czechosłowacja, maj 1945**

Amerykańskie pojazdy powoli wjechały po wyszlizganym bruku między kilkupiętrowe kamienice miasteczka.

Bez większego trudu znaleźli drogę do centrum. Miasto nie było duże, liczyło może trzy tysiące ludzi, którzy, o dziwo, nie witali swych wyzwolicieli już na rogatkach. Żołnierze obserwowali pozamykane okna i drzwi pierwszych mijanych domostw oraz opustoszałe ulice, gdzie jedyną oznaką życia był przebiegający kundel.

Wszyscy mieli dziwne i niepokojące przeczucie, że coś się święci, że zaraz znów strzeli do nich snajper albo ukryta armata. Celowniczy kaemów zacisnęli ręce na chwytach, unosząc palce nad spustami. Reszta chłopaków, obserwując tą dziwną, jak im się zdawało, ciszę, odbezpieczyła swoje Garandy i Thompsony.

Najwyższe domy miały trzy piętra, ale takie widzieli z rzadka. Więcej było jednopiętrowych, starych, odrapanych budynków, które wydawały się ledwo trzymać w całości.

Willys dowódcy wjechał w zakręt przy niewielkim zamkniętym barze na rogu ulicy. Za węglem cisza zaczęła ustępować jakiemuś odległemu zamieszaniu. Auta przemieszczały się teraz długą ulicą, na końcu której widać było wyraźnie wjazd na plac. Porucznik zauważył, że przy wylocie stoi samochód jego zwiadowcy i osłaniający go M8, którego załoga siedziała we włączach.

– TJ! – krzyknął do kaprała w jeepie z ulgą w głosie.

Już powoli zaczynał się niepokoić o swoich ludzi, którzy nie odzywali się od kilkudziesięciu minut. Jarmoe stał wyprostowany w Willysie i z uśmiechem machał do dowódcy. Dźwięk silników został szybko zagłuszony odgłosem rozmów, głośniejszych dyskusji i krzyków. Wozy zbliżyły się do wylotu ulicy, porucznik podniósł się z siedzenia i ręką pokazał kierowcy, aby ten zwolnił. Widząc, że zwiadowca jest w dobrym humorze, Brashier uśmiechnął się i pomachał na powitanie.

– Co jest, TJ? Już myślałem, że coś ci się stało... O cholera! – Porucznik otworzył szeroko oczy.

– Nieźle, co? Mówiłem, że na nas czekają! – Kaprał wyciągnął rękę przed siebie jak sprzedawca zachwalający towar w sklepie i cicho się roześmiał, widząc reakcje kolegów z oddziału, którzy wyskoczyli z aut. Porucznik chwycił mocniej swój pistolet maszynowy i przez moment



patrzył na ten niecodzienny widok.

Na kwadratowym rynku z nieczynną fontanną, otoczonym wiekowymi kamienicami, tłoczyło się mnóstwo żołnierzy w mundurach niemieckich i jeszcze jednej, nieznannej Rickowi armii. Na placu stało kilkanaście pojazdów, ciężarówek, transporterów, cywilnych samochodów i rowerów. Wszystkie obładowane dobytkiem i jedzeniem. Były tam konne zaprzęgi, wozy drabiniaste z leżącymi w nich rannymi, a nawet dziecięce wózki. Między nimi kręcili się zarośnięci i brudni ludzie. Widać było, że mają za sobą długą wędrówkę. Żołnierze rozmawiali w niewielkich grupach. Wydawali się wystraszeni i zmęczeni. Całą tę zbieraninę otaczał gęsty tłum mieszkańców, którzy głośno komentowali zamieszanie.

– Co to ma być? – zapytał porucznik, opuszczając z wrażenia broń.

– To jakaś większa grupa. Chcą się poddać! – mówił Jarmoe, cały czas się uśmiechając.

– No to czemu tego nie robią? Co to w ogóle za oddział?

– Ten mały z pistoletem, o tam, ten w czapce... – Szeregowy wskazał niskiego mężczyznę, który stał z założonymi rękami na samym końcu tłumu, w który wmieszało się kilku uzbrojonych Czechów. – To chyba jakiś miejscowy szef ruchu oporu, ale raczej nie lubiany. Tam dalej są jego ludzie. Chciał przyjąć kapitulację, ale dowódca tamtych odmówił.

– Jak to odmówił? – zdziwił się Rick.

– Odmówił. Powiedział, że podda się tylko oficerowi, i to regularnej armii. Czesi kilka godzin temu zniszczyli im dwa pojazdy, więc chłopaki powiedzieli „dość” i rzucili broń, ale kapitulować przed tym kurdupłem nie chcą.

– No to widzę, że trzeba będzie się tam przejść. – Porucznik westchnął i poprawił kurtkę, otrzepując ją odruchowo. – TJ, weź Chrissa i idziemy. Reszta, osłaniajcie nas! – krzyknął przez ramię.

## 1948

Jadwiga szła prędko, ale tak, by nie zwracać na siebie uwagi. Zakryła twarz kołnierzem płaszcza i szalikiem i podążała przed siebie, uważając na śliskie plamy lodu na chodnikach. Dotarła do placu, na którym zatrzymywały się furmanki i autobusy. Było ciemno, co sprzyjało jej działaniom. Szybko przeszła za róg dobrze znanego sobie budynku i sprawdziła: znak koła był przekreślony. Oznaczało to, że „Pielgrzym” odebrał wiadomość. Wiedział już o sowieckich wizytach. Musiał uważać jeszcze bardziej.

Na zmrożonej ziemi zastukały buty. Dziewczyna wychyliła się zza ściany. Dwóch milicjantów niespiesznym krokiem zmierzało w jej stronę. Jeszcze jej nie dostrzegli.

Zacisnęła dłoń na skrawku papieru, który miała w kieszeni. Krótko rozważała, czy zdoła dobiec do skrytki, umieścić w niej wiadomość i oddalić się, zanim patrol się zbliży. Przecież musiała poinformować „Pielgrzyma” o plotkach, choć pewnie już o nich wiedział. Jakies inne źródła informacji na pewno posiadał. Sowietci wracali do powiatu.

Odgłos kroków narastał. Doleciały ją stłumione głosy. Nie mogła ryzykować.

– Jutro – postanowiła i ruszyła prędko.

Ledwo weszła w główną ulicę, kiedy od szosy lubelskiej nadjechały trzy auta, wśród których dostrzegła znanego sobie czarnego, resortowego citroena. Pozostałe były wojskowe, ale polskie.

Podeszła do najbliższej bramy. Była zamknięta, więc wtuliła się w róg przy drzwiach. Widok miała dobry, nawet budynek urzędu mogła stąd dostrzec.auta skręciły wolno w Warszawską i zatrzymały się przed głównym wejściem do jej miejsca pracy. Wysiedli z nich żołnierze

w płaszczach. Było ich coraz więcej. Coś się miało wydarzyć, i to bardzo prędko. O tym też musiała donieść.

Dwaj mundurowi stojący na placu patrzyli na tę całą kawalkadę. Jej nie dostrzegli. Wyszła, lekko zgarbiona, i pochylając nisko głowę, ruszyła do domu.

\*

Półmrok ustąpił miejsca rażącemu światłu w tym samym momencie, w którym zaczynał się wybudzać.

Plecy bolały równie mocno jak głowa.

Zadrżał, kiedy wyciągnęli go na zimne, mroźne powietrze. Światła lamp migały mu nad oczami i nie był w stanie poznać, gdzie się znajduje. Zresztą nie miał pojęcia, co się z nim dzieje, od dobrych trzech dni.

Uprzejmy profesor zniknął raptownie, tak jak i jego pomagierzy. Mimo że Ringwalt czuł się całkiem dobrze i zaczął już chodzić, kazano mu się położyć.

To było wszystko, co pamiętał.

\*

„Pielgrzym” marzył. Siedział otulony kołdrą i kilkoma kocami, ale i tak drżał z zimna. Ze wsi nie przynosili drewna od kilku dni, jakby o nim zapomnieli. Nazbierał gałęzi, kiedy wracał z miasteczka, ale szybko się skończyły. W ciągu ostatnich tygodni zima pokazywała, co potrafi.

Do tego naprawdę się bał. Wiadomości od dziewczyny, jego najgłębiej zakonspirowano agenta, były... straszne. Nic już nie rozumiał i w nic nie wierzył. Po głowie plątało się jedno, wyraźne, straszne słowo: klęska. Pojawienie się Sowietów mogło znaczyć wiele, ale czuł, że chodzi o niego i oddział. Tylko czekać pierwszych cieplejszych dni i zacząć przeczesywać las. Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Pociągnął zakatarzonym nosem. „A gdyby się poddać? Przynajmniej przez chwilę będzie ciepło...” Potrzasnął głową. Nie, tak źle z nim nie było. Nie mogło. Zrzucił okrycie, potarł dłonie. Zimno przeszywało go na wskroś. „Masz ludzi. Weź się w garść” – cichutki wewnętrzny głos przypominał o rozsądku.

Mimo fizycznego cierpienia zaczął układać sobie w głowie plany na najbliższy czas. Musiał wiedzieć więcej. Musiał być gotowy. Zerknął na zegarek leżący obok świeczki. Teraz było za późno. Postanowił, że jutro wróci do Radzyna. Inne skrytki też sprawdzi. Może Marian coś wie? Na razie musiał wyjść na mróz i przytargać trochę gałęzi.

\*

Nowy dzień nie przynosił zmiany aury. Nadal było zimno, a na dodatek zaczęło wiać i pojawiły się ciężkie chmury, z których spadł śnieg.

Ulicą przemknęła zakryta brezentem ciężarówka, a za nią czarny Citroen.

Jadwiga stała przy oknie swojego mieszkania, kryjąc twarz za firanką. Wpatrywała się w zasnieżoną, teraz pełną ludzi ulicę, skubiąc nerwowo paznokcie. Dawno już nie czuła się tak bezsilna. W okolicy pojawiało się coraz więcej uzbrojonych funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Podobno rozjechali się po terenie, choć nikt nie wiedział, czego właściwie szukają. Przecież od miesiący nic poważnego się nie działo.

Kieliszek wódki nieco ukoił jej nerwy i rozjaśnił myśli. A myśleć musiała szybko. Ludzie gadałi po kątach, że Sowietci wracają na dobre. Szykują wielką bitwę. Jadwiga wiedziała jednak, że to nie może być prawda – ich działanie na pewno miało być bardziej subtelne. Chcieli prowoko-

wać, by wytropić ludzi, którzy wciąż stawali z nimi do walki.

Ryzyko rosło z każdą godziną, z każdym kolejnym wojskowym pojazdem, jaki pojawiał się w okolicy. Wahała się, ale wiedziała, że nie ma dużego wyboru. Musiała ostrzec „Pielgrzyma”, a jedynym możliwym sposobem, by to zrobić, było zostawienie kartki z informacją.

I to jak najszybciej.

\*

Niespodziewanie zatrzymali się przed domem. Nigdy nie parkował tu chyba żaden samochód. Było ich pięciu, może więcej. Mieli broń. Wypadli z aut, taranując furtkę. Jeden pobiegł na tył, na wypadek gdyby domownicy chcieli uciekać.

Reszta tłukła natarczywie w drzwi. Otworzyła im kobieta. Próbowwała pytać, o co chodzi. Po tem tylko szlochała, uspokajając przerażonego syna i szarpiąc mundurowych za rękawy.

Byli jak głazy. Wywlekli z domu mężczyznę, nie szczędząc na odchodne kuksańców jego żonie. Wrzucili go na pakę ciężarówki i prędko odjechali. Niczego nie tłumaczyli.

\*

Słońce chowało się gdzieś za białą osłoną chmur kryjących horyzont. Śnieg przestał sypać, ale ciemny pasek na niebie daleko od północy zapowiadał, że to nie koniec opadów.

Miasteczko wypełniły urokliwe zasy, ale pod ich powierzchnią kryła się błotna pulpa, w której grzęzli przechodnie. Bardziej krewcy klęli głośno, choć adresat większości przekleństw na jednej z uliczek, dozorca, nieustannie machał łopata, odwalając kilogramy błocka.

Przy domach i kilku sklepikach zabłysnęły latarnie. Nachodząca na miasto szarość mieszała się teraz z pomarańczową, lichą poświatą elektrycznego światła.

Zaczęło robić się cicho, jakby ktoś dał sygnał, by uliczki, zaułki i podwórka opustoszały. Słychać było tylko szufłę dozorcę oraz stukot nielicznych wozów konnych.

Dwa sztychy łopaty i chodnik przed budynkiem wyglądał wzorowo. Dozorca przeciągnął się mocno, przycisnął dokuczające miejsce w krzyżu, aż coś chrupnęło. Ulżyło mu nieco. Popatrzył na swoje dzieło bardzo z siebie zadowolony, zwłaszcza że uwinął się całkiem prędko. W duszy liczył nawet na pochwałę od szefostwa. Odłożył narzędzie i już miał ruszać do piwnicy po kubeł z piaskiem, by obsypać trotuar grubą warstwą, kiedy z półmroku dobiegły go czyjeś słowa.

– Przepraszam pana uprzejmie. – To „pana” zabrzmiało jak głos z innego świata.

– O co chodzi? – Dozorca obrócił się, uchylając czapki. Kto teraz odzywał się w taki sposób do byle ciecica z łopata?

– Krążę tu i krążę – ciągnął tamten. – Przyjechałem niedawno i wie pan, szukam... – Podszedł do światła.

Mężczyzna wydawał się wysoki i postawny, choć to wrażenie było pewnie efektem grubego zimowego odzienia. W ręku trzymał skórzany, podniszczony sakwojaż. Twarz miał pociągłą, szczupłą, lekko przyprószoną zarostem. Trudno było rozpoznać, ile może mieć lat. Dozorca wiedział, że pierwsze wrażenie może być mylące. Niejeden dwudziestolatek musiał tak szybko dojrzeć w czasie wojny, że teraz wyglądał na dziesięć lat więcej. Być może tak też było w przypadku tego człowieka.

Mężczyzna wyciągnął ku dozorcę rękę dzierżącą jakiś papier.

– O tu. – Uśmiechnął się. – Kwatery szukam, ale tu ciemno już, a ja z daleka... – Wskazał na adres.

Dozorca podszedł dwa kroki bliżej. Zerknął na kartkę, ale bardziej zaciekała go twarz

przybysza. Gapił się na niego już otwarcie.

Karol Zielinsky nieco się zląkł.

– To ja – bąknął z wymuszonym teraz uśmiechem – podziękuję... – Schował papier i nie oglądając się za siebie, poszedł dalej. Zastanawiał się intensywnie, czy aby nie trafił na jakiegoś donosiciela. Uczyli go, że tych jest tu teraz o wiele więcej niż za Niemca. Taka historyczna przy-padłość. Ludziom łatwiej było wmówić, że pracują dla swoich.

– Stój!

Greenman przełknął ślinę. Przez chwilę pomyślał, że cieć był szybki i zaalarmował kogo trzeba, ale zaraz uświadomił sobie, że to niemożliwe.

– Dokąd się tak spieszycie, obywatelu? – Głos był chrapliwy i kpiący.

Karol odwrócił się ostrożnie. Było ich dwóch. Dwie ciemne postaci, obleczone łuną dalekiej elektrycznej żarówki. Okrągłe czapki, nauszniki, płaszcze. Milicjanci.

– Dokumenty – rozkazał jeden z nich.

Zielinsky sięgnął ostrożnie do kieszeni płaszcza, ukradkiem rozglądając się za drogą ucieczki, choć właściwie na razie nie miał się czego obawiać.

– Wy skąd? – warknął drugi z milicjantów. Chyba zły, że odbywa służbę w tak mroźny wieczór.

– Spod Wałbrzycha – odparł bez wahania Zielinsky, zgodnie z wyuczoną rolą.

Wygrzebał wreszcie dowód. Nie spodziewał się takich historii pierwszego dnia. Zmęczenie po podróży uleciało, przegnane skokiem adrenaliny.

Spiął się cały i starał opanować oddech. Nie patrzył im w oczy, ale spojrzenie skierował, tak jak go szkolono – na „krawat”. Zrobił się potulny i spokojny. Ot, zwykły szarak.

Milicjant przeglądał papiery, świecąc latarką raz na fotkę, raz na twarz Karola. Drugi tylko dreptał w miejscu, przyglądając się Zielinsky’emu zmrużonymi oczyma.

– Czego tu szukacie? – Zabrzmiało groźnie.

– Dawnych znajomych. – Karol był uprzejmy. – A że ciemno, to jakiegoś kąta do spania. Ponoć gdzieś tu można wynająć... – Przełknął ślinę, nagle na sekundę tracąc wiarę w swoje zdolności lingwistyczne.

Milicjant przeglądający dokumenty pokiwał głową, zgasił światelko i nachylił się do kompana. Mówił krótko, a drugi tylko przytakiwał.

– Zaprowadzimy. – Zabrzmiało to niewinnie i Zielinsky’emu przez mgnienie oka zdało się, że już po wszystkim. – Załatwimy nocleg.

– W ciepłku. – Ten drugi się uśmiechnął. – Pójdziecie z nami.

– Gdzie? – zapytał przerażony Greenman.

– Na posterunek – rzucił wyższy. – Coś nam kolega nie wygląda na turystę... Zresztą *prikaz* taki...

– Nie. – Protest był zbędny i brzmiał kretyńsko.

– Ja wam dam „nie”! – Niższy zacisnął pięści, robiąc przy tym minę, jakby chciał go opluć. – No już, jazda! – Złapał Greenmana za łokieć.

Zielinsky szarpnął się i odskoczył na pół kroku. W głowie mu szumiało.

Zaraz przyszło wspomnienie Landasa i słów Kowalskiego. Odruch: uciekać.

– Ty smrodzie! – Wyższy też tracił resztki wyrozumiałości. – Będziesz fikał? – Złapał za kabinę u pasa.

Nagle zamarł i otworzył szeroko oczy, w których pojawił się blask olśnienia.

– Ty! – syknął, nie wiadomo czy do aresztanta, czy do kolegi. – A może to ten gnój, co do

nas strzelał...? Pamiętasz. Na polu... – Nie wiedział czemu, ale kojarzył w taki sposób.

– Jak nie, jak tak – podchwycił drugi. Takie podejrzenie to odpowiedni powód, żeby kogoś zatrzymać. Przecież sprawców napadu na „patrol” nie wykryto. Zresztą oficjalnie sami tego nie zgłaszali... Ale ten choć posturą pasował.

– Mamy specjalistów – usłyszał Karol. – Jak nie pamiętasz, to ci przypomnę. – Funkcjonariusz zaśmiał się złowrogo. – Powiesz, co zechcą.

Zielinsky zacisnął palce na rączce walizki. Przed oczyma śmigały mu obrazy, pomysły. W większości marne, bezsensowne, ale przynajmniej szukał wyjścia.

– No dobra, starczy – zarządził wyższy z milicjantów i teraz obydwaj chcieli schwycić przysza.

Niższy odpiął kaburę. Zielinsky zrobił skok w tył. Zamach. Walizka ważyła sporo, ale stres dodał mu sił. Brązową torbę uderzył Molidę w twarz, aż milicjant stęknął i poleciał na plecy, gubiąc broń. Drugi nie spodziewał się ataku i zamarł na sekundę. Zanim odwrócił twarz, Karol zdołał zamachnąć się znowu. Skoro poskutkowało za pierwszym razem...

Waškowiak zachwiał się. Czapka mu spadła, ale on sam utrzymał się na nogach. Złapał się za twarz i coś zaczął bełkotać. Próbował uderzyć przeciwnika, ale Karol był szybszy. Uchylił się i lewą ręką wyprowadził cios. Potem drugi. Milicjant się zgarbił. Zielinsky poprawił w sam podbródek. Musiało zadziałać. Drugi stójkowy upadł w śnieg, zbroczony teraz kropelkami krwi.

Greenman miał w głowie pustkę, ale działał instynktownie. Podbiegł najpierw do jednego, a potem do drugiego gliniarza i każdego obdarował mocnym kopniakiem w głowę.

Następnie wyrwał przed siebie, nie wiedząc, co robi, gdzie się ukryje ani co będzie za pięć minut.

\*

Jadwiga poczekała, aż szarość wczesnego zmierzchu zamieni się w czarną jak sadza noc. Bała się, jednak narzuciła płaszcz, gruby szal i wyszła z mieszkania. Wolno, ostrożnie, jakby każdy krok wiele ją kosztował. Karteczkę ukryła w spiętych włosach, pod beretem. Wydawało się jej, że tak będzie najbezpieczniej.

Dotarła na zaśnieżone podwórko. Nie miała ochoty iść ulicą – wolała opłotki, dłuższą, okrężną drogę. Przeszła przez furtę w murku, minęła niski drewniany dom i wydostała się na nieco ciemniejszą uliczkę. Rozejrzała się, zrobiła krok i wtedy usłyszała drażniący dźwięk gwizdka. Daleko, ale i tak był przerażający. Coś musiało się dziać. Przyspieszyła, choć teraz odwagi ubywało jej coraz szybciej, z każdym kolejnym metrem.

Było pusto i ciemno. Dźwięki gwizdków gdzieś za budynkami niosły się głuchym echem.

Usłyszała jakiś trzask. Potem drugi i kroki na śniegu. Płot, który ciągnął się między domostwami, mijanymi przez dziewczynę, zachwiał się i zaskrzypiał.

Najpierw przeleciał przezeń jakiś kanciasty przedmiot. Spadł z cichym stuknięciem. Zaraz potem pojawiła się ciemna sylwetka.

Jadwiga przypadła płotu.

Człowiek w płaszczu zrobił susa i upadł na chodnik. Nie od razu ją zauważył. Bardziej przejmował się bagażem. Wyglądał jak zaszczuty zwierz, który resztką sił walczy o życie.

Odwrócił twarz. Nie widziała dokładnie, ale mogłaby przysiąc, że był śmiertelnie przerażony.

Karol oddychał z trudem. Ucieczka podwórkami, przez mury i płoty, w płaszczu i z walizką, a w dodatku po śniegu była trudniejsza, niż się spodziewał.

Widok stojącej przy parkanie dziewczyny zmroził mu krew w żyłach. Pierwsze wrażenie roz-

gorączkowanego, pracującego na najwyższych obrotach umysłu podpowiadało, że to znów jakiś wróg. Ale prędko wracało trzeźwe myślenie.

Może czerwoni potrafili wiele, ale chyba wszystkich nie zwerbowali?

Niedaleko ktoś zmęczonym głosem wykrzykiwał jakieś rozkazy. Oboje popatrzyli w tamtą stronę. A po chwili spojrzeli też na siebie. Dziewczyna drgnęła, skuliła się i Zielinsky pojął, że też boi się tamtych. Nie wiedział czemu, ale domyślił się, że trafił na sojusznika. A przynajmniej na kogoś, dla kogo nowy ustrój nie był szczytem marzeń.

– Pomocy – powiedział pierwsze, co przyszło mu na myśl. Może było to mało wyrafinowane, ale nie przejmował się tym teraz. – Ścigają mnie. – To było jeszcze głupsze, bo przecież oczywiście. Wskazał palcem za płot. Nie liczył na wiele. Doskonale wiedział, że tu wszyscy się boją.

Jadwiga zrobiła krok w jego stronę. Tamci byli blisko. Jeszcze chwila i złapią ich oboje.

W stresie wszystko dzieje się szybciej. Logika też przyspiesza.

Nawet jeśli zaręczyłaby, że nie zna tego faceta, kimkolwiek by nie był i czym tak bardzo by nie zdenerwował mundurowych... Nawet jeśli z początku by jej uwierzyli, to w pracy nie byłoby już tak różowo. Czekająby ją podejrzenia, pytania i wszystko, co z tym się wiązało. Nie, nie mogła na to sobie pozwolić, nie teraz.

– Chodź! – Złapała Karola za dłoń i pociągnęła z siłą, o którą ją nie podejrzewał.

Puścili się biegiem po śliskim, skutym lodem chodniku. Uskoczyli w ciemną plamę podwórka. Przemknęli przez nie, potykając się o kamienie i zmarznięte bruzdy ziemi. Dopadli drzwi na klatkę. Jadwiga nie włączała światła. Szepnęła tylko, żeby nieznajomy był cicho. Potem poprowadziła go po schodach w górę, stąpając ostrożnie, by stare deski nie skrzypiały zbyt mocno.

W mieszkaniu też panował mrok, ale gospodyni nie zamierzała tego zmieniać.

– Pan wchodzi. – Zdjęła prędko szal.

Poszła do kuchenki poszukać jakiejś świeczki. Po drodze zerknęła przez firanekę.

W pomarańczowym blasku widziała kilku milicjantów, łączących gorączkowo w tę i z powrotem.

– Dziękuję pani.

Greenman nie potrafił nic więcej wymyślić. Był ciągle zbyt rozdygotany. Uznał, że dał plamę i nie nadaje się do tej roboty. A przecież dopiero zaczynał.

Stanął za Jadwigą, też ciekawy, co dzieje się na ulicy.

– Panią za to mogą... – mówił cicho, przejęty, jakby tamci mogli ich usłyszeć. – Ja przeczekam i pójdę – wyszeptał, uznając, że nic więcej nie może zrobić. Narażać postronnych osób nie miał zamiaru.

– Mnie tutaj nic nie zrobią – odparła niespodziewanie dziewczyna. – Niech się pan nie boi. – Próbowała zatrzeć złe wrażenie. – Proszę usiąść, zdjęć płaszcz. – Uśmiechnęła się.

Wykonał polecenie i zasiadł za okrągłym stołem nakrytym białą koronową serwetą. Próbował dyskretnie zorientować się, gdzie i u kogo gości, ale w tym półmroku niewiele widział. Zwykłe biedniutki mieszkanko. Łóżko, szare ściany, wytarty dywan, jakieś mebelki.

– Ja nie będę pytała... – dziewczyna zdjęła płaszcz – jak się pan nazwa i skąd pan przyjechał. Tak, mam rację? Pan przyjezdny?

– Tak – padła krótka odpowiedź.

Jadwiga przysunęła krzesło i usiadła, zapatrzona w firanekę. Miała na głowie ważne sprawy, teraz wszystko się skomplikowało.

– Tu nie wejda. Pan się nie boi. Nawet jeśli... – Mówiła półgłosem. – Niech się pan nie boi. – Wreszcie popatrzyła na niego.

Czuł się bardzo niepewnie i nie rozumiał, co ma na myśli, ale nie miał wyboru.

– Ja nie mogę tu zostać... – Próbował jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

– A co, spieszy się pan? – zakpiła, sfrustrowana tą sytuacją.

– Nie... To znaczy tak – jąkał się Zielinsky. – Mam odnaleźć... – Chwila zawahania. Nie uszło to uwagi gospodyni. Przechyliła głowę. – Dawnych znajomych – ciągnął, za późno zdając sobie sprawę, jak niezręcznie to zabrzmiało.

– Znajomych – powtórzyła cicho Jadwiga i wyprostowała się.

– I już chyba jestem spóźniony – dopowiedział gość.

– Spóźniony? Spóźniony – powtórzyła, przypominając sobie rozmowę z „Pielgrzymem”. Przecież miał czekać na kogoś.

Składało się wszystko w jedną całość, ale bała się wymówić na głos to, o czym myślała. Otworzyła szerzej oczy, jakby to miało pomóc. Jakby czekała na jakiś znak.

– A gdyby się okazało, że... teoretycznie... – Jakieś przeczucie pchnęło ją na niepewne wody. – Że znam pańskich znajomych?

Pytanie zawisło w powietrzu. Twarz Karola stężała.

– Nie sądzę – odparował.

– Może jednak. – Dziewczyna zrobiła się odważniejsza.

– A kogo ma pani na uwadze? – Teraz ton gościa zrobił się nieprzyjemny.

Zapadła cisza, mącona jedynie krzykami na ulicy i tykaniem zegara. Patrzyli sobie nawzajem w oczy, jakby każde chciało wygrać ten pojedynek. Albo coś wyczytać w twarzy rozmówcy.

– „Pielgrzyma”. – Słowo zabrzmiało jak dzwon.

Gość próbował zachować spokój, ale był zbyt przejęty. Wzdrygnął się i o mały włos nerwowym gestem nie przyglądziłyby włosów.

– Tak. – Jadzia powiedziała to przeciągle, z nutką triumfu. Znów zamilkli.

Karol poczuł na plecach zimny pot. To koniec czy początek?

– Nastawię wodę na herbatę – oznajmiła lekkim tonem dziewczyna.

Poszła do kuchni. Nalała wody do czajnika i wstawiła go na palnik. Wyciągnęła dwa kubki i torebkę z szarego papieru.

Zielinsky siedział nieruchomo. Kompletnie nie wiedział, co ma robić. O mały włos wpadłby już pierwszego dnia, a zaraz potem trafił na kobietę, która rzuca pseudonimem znanym zapewne tylko kilku osobom. Zastanawiał się teraz, czy to pech, czy jednak szczęście.

– Zostanie pan tu... – Dziewczyna oparła się o framugę, zakładając ręce. Patrzyła uważnie, ale już spokojniejsza, jakby wszystko sobie przemyślała.

Karol obrzucił ją długim, uważnym spojrzeniem. Ładna była. Zgrabna, choć może lekko zaniedbana.

– Mówi pani? – Zgrywał idiotę. Dobrze mu szło, bo dziewczyna nawet się uśmiechnęła

– Jadwiga jestem. – Sprawdziła, czy ma dobrze ułożone włosy.

– Bartłomiej – odparł, ale nadal był spięty i poważny.

– Pomyślę, jak was skontaktować. – Dziewczyna postanowiła grać w otwarte karty.

– Ale ja tego pana nie znam, więc proszę się nie kłopotać. – Przycisnął dłoń do serca i pokręcił głową w przypiływie aktorskiego uniesienia.

– Panie Bartłomieju albo raczej... Bartku. – Była pewna siebie jak nigdy. – To pana mieli przysłać kilka dni temu, co? – zadała niespodziewane pytanie.

– Co też pani...? – Zielinsky poczuł dreszcz.

– Teraz przyjeżdżać to zwykły pech. Trafił pan w kocioł. Patroli więcej i ci Sowiesi... –

Usiadła przy stole.

– Jacy, na Boga, Sowieci? – Karol zadrżał w panice, szeroko otwierając oczy.

– Tacy sowieccy – zakpiła z nieszczęścia bez pardonu. – Czerwoni. Trafili tu nie tak dawno. Coś planują. Tylko nie wiadomo co. Ech, zły sobie, chłopie, znalazłeś czas na wycieczki – prychnęła. – No ale... – Spowaźniała nagle. – Trzeba coś zrobić. Poczekaj pan, aż tamci przestaną łązić po okolicy. – Skinęła w stronę okna. – Ja przejdę się sprawdzić, czy jest w miarę czysto. A potem zobaczymy... – Niczego nie wiedziała na pewno.

Pomysł był prosty, ale i ryzykowny.

Wystarczyło pokręcić się w pobliżu muru ze skrytką i czekać, a nuż „Pielgrzym” się zjawi, by odebrać wiadomości. Nic więcej. Zostawianie kartki nie miało sensu.

– To jak, zgadza się pan? – Pochyliła się wpatrzona w niespokojne oczy Greenmana. – Wiem, wiem. Też bym się bała i tak po prawdzie boję się. Naprawdę, bo to jakieś... szaleństwo. Ale wyboru chyba pan nie ma.

Karol głośno przełknął ślinę.

– Bóg lubi mieć dziwne poczucie humoru – wyszeptał. I kiedy już miał oznajmić, że się zgadza, rozległo się łomotanie do drzwi.

Zielinsky podskoczył, jakby podłoga się zapaliła, i rzucił Jadwidze wściekłe spojrzenie. Z jego ust popłynął potok przekleństw we wszystkich znanych mu językach.

Dziewczyna też straciła rezon, ale prędko się opanowała. Podbiegła do drzwi i zanim je otworzyła, gestem kazała Zielinsky’emu schować się za ścianą.

Wykonał polecenie. Jeśli była z nimi w zмовie albo użyli jej jako przynęty... Zresztą już w nic nie wierzył i niewiele rozumiał. Pomieszało mu się wszystko.

– Cześć – doleciał męski głos. – Słyszałaś? – Facet był młody i rozgorączkowany. – Co ty tak siedzisz po ciemku? – Kierował się prosto do pokoju. – Dziś aresztowali mojego brata – wyrzucił na jednym oddechu. – W ogóle aresztują ludzi. – Był bardziej podniecony niż zrozpaczony – Ja już dawno powinienem z tobą o tym wszystkim porozmawiać. Tak, muszę. To ważne sprawy. – Przekreślił włącznik.

Zrobiło się jasno i Zielinsky odskoczył od drzwi, prawie tłukąc głową o futrynę.

– A ten to kto? – Młody chłopak wskazał drżącym palcem na Karola. Greenman stał nieruchomo, gotów się bronić.

– To swój. Nie denerwuj się. – Jadwiga siliła się na spokój.

– Jaki, kurwa, swój? – Młody poczerwieniał.

– Usiądź, proszę – nakazała mu dziewczyna w bardzo stanowczy sposób.

Józek nie spuszczał z gościa oczu kipiących chęcią mordy.

– Kiedy aresztowali Witka? Za co? – Jadwiga chciała być logiczna i opanowana. Wizyta chłopaka pokrzyżowała wszystkie plany.

– Rano czy przed południem, nie wiem dokładnie. – Gródzki prawie nie otwierał ust. Patrzył w jeden punkt: na twarz obcego, rozważając różne warianty planowanego ciosu. – Kto pan jesteś? – warknął.

Zielinsky nie odezwał się ani słowem. Co miał mówić? Ją znał może z kwadrans, jego w ogóle. Imię, jakie usłyszał, przywołało kilka przykrych wspomnień.

„Niemożliwe, żeby Bóg naprawdę tak bardzo się mną bawił. Za tłoczno, za tłoczno...” – tłukło mu się pod czaszką.

– Józek... – powiedziała Jadwiga i natychmiast zamilkła zakłopotana. Wymienianie imion przy obcych było niemądre. Zasady zobowiązywały. Trudno, stało się.



Karol wyprostował się zaciekawiony. I to imię znał.

– To swój, zostaw go! – Dziewczyna podniosła głos. – Potem ci wyjaśnię. Teraz mów, co się dzieje? – Szarpnęła za ramię chłopaka, ale ten był jak głaz.

– Nie wiem. Wpadli, zabrali go i już. Aresztowali jeszcze z tuzin... Sami dawni... no wiesz... – Nie patrzył na nią. Przytaknęła.

– To po to cała ta akcja... – Opadła na najbliższe krzeselko. Przed oczyma miała widok z zeszłej nocy. Te wszystkie auta, ludzie w mundurach.

Józek chciał coś powiedzieć, ale Jadwiga wyprostowała się. Oczy błysnęły ciekawością.

– A ty gdzie wtedy byłeś? – Pytanie było z gatunku zaczepnych.

– Ja? – Gródzki tracił bojowy nastrój.

– Mówiłeś, że to taka dobra meta. Że Witek już dawno nic nie robi... Że pije i nikomu się już nie narazi, a teraz...?

– Musiałem gdzieś wyjść. Coś załatwić. – Mrugnął, starając się zachować spokój.

– Musiałeś – powtórzyła cierpko. Potem uniosła wzrok. Wyglądała tak, jakby podjęła jakąś decyzję. – Józek, to jest pan Bartłomiej. On... do was – wykrztusiła.

Gródzki osłupiał. Odkryła się przed nim. Pierwszy raz. Chciał pytać, ale przecież już wiedział. Wszystko było jasne jak słońce.

Broda mu zadrżała.

– Do nas?

– Tak, do oddziału. – Spuściła wzrok. – Wybacz. Nie mogłam nic wcześniej ci powiedzieć. – Udała, że patrzy na splecione pod stołem dłonie.

Józek miał w głowie milion pytań: jak, dlaczego, od kiedy... Ale domyślił się, że teraz i tak niczego się tu nie dowie. Zapomniał o obcym i o tym, po co tu przyjechał. Chciał wyć.

– Trzeba go skontaktować z szefem. – Dziewczyna ciągnęła dalej, jakby nic nie zaszło. Jakby wszystko było po staremu.

– Pójdę już – wymamrotał z wielkim trudem Gródzki. – Pójdę. – Myślał intensywnie.

– Pan do nas? Naprawdę?

– Jaki oddział? – Zielinsky starał się być zasadniczy. Jak na oficera przystało.

– Grupa bojowa „Szczerbiec” – Młody wymamrotał nazwę, ale bez cienia zapału.

– To do was – odparł ostro Greenman. Nie miał obowiązku się zaprzyjaźniać, zresztą ten faciek nie wyglądał na zaprawionego w boju. – Mogę rozmawiać tylko z dowódcą. Z nikim więcej. – Teraz on się odkrył. Odczekał chwilę, obawiając się, że na jakiś tajemny znak wpadną do mieszkania sowieccy siepacze, ale nic takiego się nie wydarzyło. Trochę mu ulżyło. Może to naprawdę była jawa i pieprzony zbieg okoliczności.

– Dobrze, dobrze. – Gródzki zaczął gorączkowo kiwać głową. Potarł czoło. – Ja... Ja muszę... Ja spróbuję...

Pobiegł do wyjścia. Jeszcze popatrzył przez ramię na dziewczynę i bez słowa czy gestu pożegnania wybiegł na schody.

– Kto to...? – Karol wskazał na drzwi.

– To mój... chłopak.

– Józek, tak? – dopytywał Karol, krzywiąc dziwnie głowę. – Pani nie może podać nazwiska...? – Zrobił się bardzo ciekawy.

Jadwiga podniosła wzrok. Usta jej drżały.

– Ja też muszę wyjść – oznajmiła, podnosząc się z miejsca, jakby nie usłyszała pytania.

– Jak to?! – Zielinsky chciał protestować. – A tamci? – Myśl o gromadzie milicjantów na uli-

cy napawała go grozą.

– To nic... – Przeszła do korytarza i zaczęła się ubierać. – Pokażę ci, gdzie się schowasz.  
Chodź. – Narzuciła szal. – Chodź. ■

## ROZDZIAŁ 11

Było już po północy. Wiatr ciał po twarzy, huczał po pustym dziedzińcu i zakamarkach pałacu Potockich – ponurej pamiętce ostatnich dni panowania Niemców. Milicjanci przeszukali ruinę i poszli, zostawiając budowlę cichą i posępną.

Wielki, dostojny kiedyś gmach stał nieopodal kościoła. Bawiły się tu dzieci, pili bimber miejscowi żule. Nie było bezpiecznie, nie tylko ze względu na różnych podejrzanych typów; budynek w każdej chwili mógł się zawalić.

Ale lepszego miejsca do obserwacji skrytki nie było.

Mróz przenikał przez ubranie i sprawiał, że Jadwiga drżała z zimna. Postawiła kołnierz, owinęła się szalikiem i wpatrywała się w ciemność zmęczonymi oczami. W dłoni trzymała jakiś kawałek żelastwa znaleziony w tym martwym gmachu. Bardziej dodawał otuchy, niż pełnił rolę oręża. Dziewczyna prawie zasnęła, omiatana powiewami lodowatego wichru. Traciła siły i nadzieję, i nawet ciche szepty modlitwy nie pomagały. Czuła się przytłoczona, bała się. Wiedziała, że szansa na przekazanie informacji jest jedna i musi to zrobić jak najszybciej. Z każdą godziną robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Śmiertelnie niebezpiecznie.

Usłyszała jadący rower. Podeszła bliżej szpary w parkanie. Postać, którą zobaczyła, była wysoka. Mężczyzna zsiadł z roweru i rozglądał się spokojnie. Powoli podszedł do muru, kucnął na sekundę tam, gdzie Jadwiga chowała wiadomości, i natychmiast zawrócił.

„Sprawnie” – pochwaliła w myśli.

To musiał być on. Rozchyliła dwie poluzowane deski, wyskoczyła na zaśnieżony dukt i pobiegła za nim. Nie poznał jej od razu, wystraszył się. Nawet chyba gotów był dobywać broni, ale – ku jej uldze – prędko się opamiętał.

\*

Daleki od miasta zagajnik skąpany było w mroku wieczoru. Było cicho, ponuro i potwornie zimno.

Zielinsky i jego przewodnik, młoda, acz jak się przekonał, dzielna dziewczyna, czekali milczący i wpatrzeni w mrok, jakby pod jego osłoną kryło się niebezpieczeństwo. Greenman ubrany był w watowaną kurtkę, wełnianą, dzierganą na drutach czapkę i wojskowe krótkie buty, które dostał od Jadwigi. Powiedziała mu, że to odzienie po zmarłym członku rodziny. Wyglądał jak przedwojenny turysta, a nie konspirator.

Minęło ze dwadzieścia minut, odkąd dojechali do drzew na rowerach. Jadwiga była może biedna, ale aż dwóch ponemieckich bicykli niejeden mógł jej pozazdrościć. Jazda nie szła im sprawnie, bo i śniegu na polach było sporo, ale przynajmniej nieco się rozgrzali.

Teraz smagał ich niepowstrzymywany przez żadną osłonę wiatr.

Coś trzasnęło od północy i oboje prawie przypadli ziemi. Oczy dawno przywykły do ciemności. Ani aura, ani pora nie sprzyjały spacerowiczom. Gdyby ktoś ich śledził, nie mieli czym się bronić. Żadne z nich nie posiadało broni i tylko umiejętności Karola pozwalały mu mieć nadzieję, że w razie potrzeby obezwładni napastnika.

Ciemna postać zrobiła kilka głośnych kroków, zupełnie nie kryjąc swej obecności.

– Jest tu kto? – Przez drzewa przeleciał ściszony, przejęty głos. – Jesteś?

Zmęczona dziewczyna klepnęła nowego znajomego w ramię.

– To on – oznajmiła z wyraźną ulgą i lekką nutką dramaturgii w głosie.  
– Tutaj. – Jakiś cień wyłonił się zza krzaka jak nocna zjawa.  
Karol drgnął, nieco wystraszony, ale zdołał opanować emocje.  
– Dobry wieczór. – Jadwiga wyszła naprzeciw przybysza. – Mamy gościa. Wspominałam...  
– Bardzo mi miło... – Zielinsky wyciągnął prawicę.  
– Hasło. – Mężczyzna nie bawił się w ceregiele.  
– Wuj Dionizy wyszedł z kolegami. – Brzmiało to przerażająco szampowem, ale widać wszyscy do tego przywykli.  
– Wrócił po wojnie. – Zielinsky usłyszał odzew. – „Pielgrzym” jestem. Powitać spóźnialskiego.

Przybysz nie był przesadnie wylewny. Nie miał zamiaru być. Nie do końca też ufał towarzyszowi Jadwigi. Dziś hasła niewiele znaczyły, a i sposób przybycia na jego teren tego całego Króla... był, co najmniej, mało fortunny.

– Jadziu. – Naraz głos oficera złagodniał. – Zostaw nas. Już teraz... – Zrobił jakiś ruch głową. Ufał jej, nawet bardzo, ale nawet ona nie mogła wiedzieć, gdzie mieszka. – Spotkamy się jutro – dodał z wyraźnym wahaniem w głosie, jakby czegoś się obawiał. – Jak zostało ustalone. Ludzie wiedzą. – Grzecznie, acz stanowczo dawał jej do zrozumienia, że jej rola na dziś jest już skończona.

– Dobranoc. – Skinęła głową. – A właściwie do widzenia. – Spojrzała na jaśniejące lekko niebo. Odwróciła się i poszła po rower.

– Dziękuję ci – usłyszała jeszcze na odchodne.

Zaskoczyły ją ciepłe nuty w głosie Gładyszaka, ale nic nie odpowiedziała.

– No a my, panie Bartku... – „Pielgrzym” wskazał w czerń lasu, jakby zapraszał na salony.

Miejsce, w którym kwaterował porucznik, było przerażające. Jak można było żyć w cuchnącej, obitej drewnem norze, i to tyle czasu, Karolowi, przywykłemu do zupełnie innych warunków, nie mieściło się w głowie. Prawda, Greenman bywał w podobnych miejscach, ale dawno temu, na wojnie. Nawet wówczas nie trwało to jednak dłużej niż tydzień, w najgorszych razach dwa. Tu czuł się jak w zimnym grobie, pełnym zgnilizny i wilgoci.

„Leśny” zaczynał mu imponować. W lesie, sam, bez żadnego wsparcia, choćby dobrym słowem, a jednak się bił, ciągle, tak jak umiał. Zasedli naprzeciw siebie. Taksowali się wzrokiem i oceniali.

– Nieźle, co? – Zielinsky odważył się pierwszy odezwać. – Proszę wybaczyć, ale dla mnie to jak... inna planeta. – Musiał z siebie wyrzucić nagromadzone emocje. – Inny świat. – Rozglądał się po ziemnej jamie z trudno skrywanym obrzydzeniem.

– Może to i prawda. – „Pielgrzym” opadł na łóżko, opierając się głową o ścianę. – Ale ja przywykłem. – Oczy zaszyły mu matową mgiełką. – Pan, jak rozumiem, ma zamiar... – Urwał w połowie zdania.

– Mam pana stąd zabrać. – Zielinsky stał się bardziej oficjalny. – Pułkownik... – sięgnął za pazuchę – znany mi jako Kowalski, kazał przekazać ten list. – Podał oficerowi cieniutką, złożoną karteczkę.

„Pielgrzym” poderwał się, wyprężył i zaczął rozprostowywać papier.

Zapalił naftową lampkę i przysunął bliżej. Czytał zaferowany.

– Bzdura. – Cisnął wreszcie papierem. Karol nie spodziewał się takiej reakcji.

Gładyszak oparł zafrasowaną głowę o ścianę i zagapił się w leniwy płomyk lampy. Siedział tak długo. Od dawna myślał o tym, że ten dzień nadejdzie, ale mimo to... nie umiał się po-

godzić z takim końcem.

Zielinsky w pierwszym odruchu chciał coś powiedzieć, pocieszyć go, ale zupełnie nie wiedział jak. Był obcy.

– Oni wszyscy... – „Pielgrzym” wreszcie cicho się odezwał. – Oni myślą, że to takie proste. Pstryk i już. Wyjeżdżać. – Podniósł oczy, jakby Karol był głównym odpowiedzialnym za tę sytuację. – Tu jest wojna, panie Bartku.

To zdanie Zielinsky niedawno już słyszał, choć w o wiele miłszych warunkach. Ale był gotów przyznać mu rację. Tu naprawdę było jak na froncie.

– My nie możemy dać im satysfakcji. Porzucić ludzi. Tych po wsiach. No bo jak? – „Leśny” zabrzmiał rozpaczliwie.

Zielinsky nie oponował, nie miał prawa. Choć kilka dni obserwacji nie przynosiło pozytywnych wniosków. Widział i słyszał w rozmowach ludzi, w tym całym bałaganie, że zapał gdzieś uleciał. Masy godziły się z wolna na to, co działo się w państwie. Byle tylko było co jeść i żeby się nie czepiali. On sam zaczynał to rozumieć. Walczyć z czerwonymi? Sam plan był może i szczytny, godny uwagi, ale warunki... Obezwładniały. Pozbawiały sił.

– Mam jak najprędzej odstawić pana za granicę. – Greenman zdobył się na jedno zdanie. Bał się i wolał zacząć szykować odwrót, niż gnić tu i ryzykować. Chciał się wyspać. Wiele się działo, zbyt wiele jak na kilka dni.

– Jak najprędzej – powtórzył „Pielgrzym” i podniósł głowę. Wstał, podszedł do zbitej z desek półki i odwinął chleb. Ułamał spory kawałek i zaczął żuć. – Nie wiem, jak to ludziom wytłumaczyć – zafrasował się.

Karol chciał powiedzieć, że to nie jego sprawa. On miał rozkazy. Poza tym, o ile został do brze poinformowany, to plany przerzutu nie powstały wczoraj.

– Nie, nie mogę wyjechać tak nagle. Hop i już! – „Pielgrzym” energicznie pokręcił głową. Zielinsky chciał protestować, już bliski irytacji, ale „leśny” przyłożył palec do ust. – Pan nie rozumie. Jadzia nie mówiła? Tu się coś szykuje. Wojska pełno. Podobno znowu aresztują. Może na całość idą, może ruską republikę wprowadzą, a ja co... Za granicę?! – Stuknął pięścią w półkę, aż zaskrzypiała. Wydał żalony jęk i znów opadł na łóżko, kryjąc twarz w dłoniach. – Nie, panie Bartku, nie teraz, nie teraz – powtarzał, walcząc ze wzbierającym żalem. – Możesz pan wracać, możesz mnie zastrzelić, mam to gdzieś. Ja zostaję, na razie zostaję, potem... Kto wie. Pan też może zostać. – Uniósł ciężką głowę. Oczy miał czerwone. – Pomieścimy się. – Ziewnął, jakby nagle dopadło go wielkie znużenie. – Muszę zrobić porządki, porządki. – Położył się, niezdarnie nakrył się kocem i zaraz zasnął.

Karol siedział na krzeselku, czując, jak w głowie mu szumi. Miał tu tkwić? Jak długo? Po co? Poczł, jak ogarnia go ogromne znużenie. Powieki ważyły tonę. Musiał to przemyśleć, ale nie teraz. Poddął się wreszcie i zasnął.

\*

Mróz właściwie nie odpuszczał ani na moment, odkąd major Gorozow zawitał w te okolice. Czł, że przez to dopadła go depresja, bo rychło wiosny się nie spodziewał.

Brodził więc w śniegu do kostek, obchodząc posterunki. Zmarznięci, niewyspani ludzie pilnowali swoich odcinków, lichego drewnianego ogrodzenia osłaniającego odrapany, piętrowy dom, z chlewikiem i stodołą, który przekazano na potrzeby tego osobliwego więzienia.

Nieco go irytowało, że reszta *kamandy* pławiła się w luksusie, w ciepłe, a jemu dali ten kurwidolek. Najgorszy z odcinków. Ale wyboru nie miał. Bo komu miał pyskować?

Był jednak promyk nadziei. Dobra nowina, jaką przywiózł kurier – i to sowiecki, prosto z Lublina. Polakom, nawet zaufanym, zakazane zostało nawet zbliżanie się do tego obiektu.

Rozkaz mówił, że za kilka dni wszyscy mają opuścić tę rudere i udać się do Lublina, a potem Warszawy. Dostaną wytyczne przez radio. Droga była okrężna i przez to ryzykowna, no ale przecież o to chodziło.

Siedział cicho, robił swoje i głowił się, jak się z tego wyplątać. Cało, to raz. I dwa, tak by wyglądało to naturalnie.

\*

Kapitan Sylwester Barańczak prędko zamknął za sobą drzwi. Zrobił kilka kroków po swoim pokoiku w radzyńskim UB i przystanął przy oknie. Widok ośnieżonego podwórza nie pomagał w zebraniu myśli. Oddychał głęboko, z trudem zwalczając kołatanie podnieconego serca. Zbliżał się do celu, do finału... Właściwie nie wiedział, co w tym wszystkim było najważniejsze. Może to, że operacja miała się skończyć. Przywykł do swoich agentów, zbierania informacji i tej nieznośnej, ale jednak niedającej się opanować, nerwowej ekscytacji. Uczucia te jeszcze pogłębiła ta dziwaczna, wszechmocna drużyna z Moskwy. Musieli bardzo go cenić, skoro dopuścili go do tajemnicy, pozwolili poznać swój dziwny plan. Sowietci lubili takie gry, pełno ich się toczyło w całym kraju, ale Barańczak nigdy nie sądził, że trafi do tego typu szarady.

Odetchnął głębiej, przerywając rozmyślenia, obciągnął mundur i złapał drżącą dłonią za telefon. Wykręcił tylko sobie znany numer. Długo nie czekał.

– Kapitan Barańczak – zameldował się służbowo. – Chciałbym mówić z... – Nie dane mu było dokończyć.

– Zardow. – Sowiecki major musiał gwałtownie wyrwać słuchawkę telefonistce. Sylwester meldował szybko, drżącym z przejęcia głosem, ale na tyle rzeczowo, na ile pozwalała ta forma łączności. Kilka lat służby nauczyło go, że w takich sytuacjach najważniejsza jest rzeczowość. Obiecał zaraz wysłać kuriera z raportem. Powinien być na miejscu w kilka godzin.

Major NKGB milczał dłuższą chwilę i tylko słychać było świst jego oddechu. Jakby zastanawiał się, co ma robić. Przecież znów zachodziła istotna zmiana, i to w momencie, jak by nie patrzeć, kulminacyjnym.

– Towarzyszu majorze... – Barańczak zrobił się ostatnimi czasy bardzo pewny siebie. Uwaga, jaką obdarzała go sowiecka ekipa, uskrzydlała lepiej niż niejeden bojowy order. – Skierujcie do nas posiłki. Mam tu już pluton KBW dla podniesienia wiarygodności naszych działań – ciągnął. – Ale może trzeba by więcej? Tak na wszelki wypadek, żeby po wszystkim... – Wtręt nosił znamiona bezczelności, ale młody kapitan tego nie zauważał.

– Towarzyszu Barańczak. – Zardow wreszcie się ocknął. Mówił bardzo wolno i nadspodziewanie wyraźnie. – Jeśli to, co mówicie... co donosi wasz człowiek... jest prawdą, to dobrze. Doskonale wręcz. – Nie brzmiało to szczerze. – Ale kategorycznie zabraniam angażowania jakichkolwiek nowych sił. Nie robić nic bez mojej zgody.

– Ale... towarzyszu majorze?! To igranie z ogniem! – Barańczak poczerwieniał bliski furii, zapominając w nerwach, z kim rozmawia. – Macie waszego człowieka z Zachodu. O to wam pewno chodziło? Ale jeśli on nie jest sam, jeśli coś szykują? – Nagle naszedł go lęk i poważne wątpliwości.

– *Smirna!* – zagrzmiało na linii i kapitan drgnął, prostując się odruchowo. – Zakazuję! – sycał Zardow. – Zakazuję robić cokolwiek na własną rękę, do kurwy nędzy. Nie wasza to rzecz. Wszystko zgodnie z ostatnimi ustaleniami. Nasi opuszczają wasz teren za dwa dni i co będzie

dalej, was nie interesuje. Możecie wycofać agenta albo... Zresztą, jak chcecie. Żegnam.

\*

Zardow odłożył słuchawkę i jeszcze kilka chwil wodził palcem po bakelicie. Czuł na sobie spojrzenia podwładnych. Ludzie poderwali się z miejsc, czekając nowin. Im też zmiany pod sam koniec nie bardzo się podobały. Utracić wszystko, co tak dobrze szło, byłoby bardzo źle.

– Co się dzieje? – Wasiljewski, major GRU, odważył się pierwszy spytać.

Zardow odwrócił się, sięgnął po rozpieczętowaną paczkę zachodnich papierosów. Milczał. Musiał ochłonać. Nie lubił tracić panowania nad sobą. Zapalił i zaciągnął się głęboko.

– Nasz gość z Zachodu łaskawie się pojawił. – Podszedł do fotela, usiadł i nerwowo poskrobał się w brew. – Nie wiadomo, kurwa, jak, ale jednak. Mam nadzieję, że ludzie Barańczaka mają dar przekonywania. Czasu mamy, cholera, mało.

\*

– Gdzie reszta? – Józek zadał pytanie, jak tylko wykaraskał się spod zakrytych śniegiem gałęzi. Rozglądał się wokoło.

Było pogodnie i cholernie zimno. Polanka w promieniach słońca wyglądała jak rajski zakątek.

– Cześć, „Leon”. – Gładyszak zwyczajowo wyciągnął rękę. Głos i wygląd zdradzały jego ogromne znużenie.

Zielinsky tylko skinął głową.

Po tym, co usłyszał, nie miał ochoty na wylewność. W dodatku w brzuchu coś go cisnęło. Efekt nerwów albo może tutejszego podgniętego żarcia.

– Pana Bartka znasz. – Gładyszak wskazał towarzysza.

– To jednak prawda. – Józkowi zapłonęły oczy. – Morowo. Będzie coś? – Zatarł dłonie.

– Będzie – szepnął „Pielgrzym” i zmrużył powieki. – Najpierw ty mi powiedz, co to się dzieje w okolicy. Co wiesz o bracie?

Chłopak chyba nie spodziewał się tego pytania.

– O Witku? – powiedział odruchowo. – Aresztowali go. Nie wiem, jaki był powód. Wczoraj...

– A ty gdzie byłeś? – Szef wszedł mu w słowo. – Może chcieli ciebie? – Grad szybkich pytań spadł na Józka.

– Nie... nie wiem. – Skulił się młody.

– No, a twój brat, były porucznik, taki dla nich ważny? A może mu się spowiadałeś i teraz nad nim pracują, żeby dojsć do ciebie? Do nas? – „Pielgrzym” nakręcał się z każdym słowem.

Zielinsky stał spokojnie. Słuchał zaciekawiony.

– Mówiłem ci, kurwa mać, że to zły pomysł takie mieszkanie! – Gładyszak wybuchnął. – Mówiłem czy nie?!

Józek drgnął.

– Tak, ale ja bym nigdy...

– Co nigdy? Nigdy się nie spodziewałeś, czy może miałeś przyrzeczone, że was nie tkną? – Dowódca zrobił krok w jego kierunku. – A wczoraj gdzie byłeś? No! – Napierał.

– Ukrywałem się – powiedział niewyraźnie i jakoś mało przekonująco. – Potem u Jadzi... – Józek spojrzał na przybysza, jakby ten miał go ratować.

– U Jadzi. Dobrze. – „Pielgrzym” skinął głową. – A potem?

„Leon” się zawahał. Pokręcił mimowolnie głową. – Potem na noc... – Zabrzmiało to nieporadnie, wręcz żałośnie.

– Potem na noc... – „Pielgrzym” wybuchnął nerwowym śmiechem. – Może ktoś ci przypomni?

Chłopak zrobił krok w tył. Zielinsky ugiął kolana, gotów do skoku, ale oficer był szybszy. Podbiegł do chłopaka i złapał go za poły płaszcza. Potem sprawnie wykręcił mu prawą rękę. Miesiące szkoleń się nie zapominało. Młody próbował walczyć, szarpał się.

– Czemu? Co ja wam...? – Spokorniał, nie mogąc wyswobodzić się z żelaznego uścisku.

– Bartek – rzucił Gładyszak do przybysza – podaj broń.

Zielinsky posłusznie skinął głową i wyszarpał z kieszeni Browninga. Pożyczka od chwilowego przełożonego. Dobrze leżał w dłoni.

– Pani pozwoli – rzucił Gładyszak w kierunku pobliskich zarośli.

Jadwiga pojawiła się jak duch. W tym swoim płaszczyku, wielkich, niezgrabnych butach, owinięta szalem. Oczy błyszczały jej jak w gorączce.

– Mów. – „Pielgrzym” nie miał zamiaru dłużej ciągnąć tego przedstawienia.

– Już to, co mówiłeś... – Głos dziewczyny był mocny. – To, co mówiłeś, mnie zadziwiło. Nie rozumiesz? Ty pierwszy powiedziałeś, że kogoś aresztowali. Wiedziałeś o bracie. Ale o reszcie? Nikt w miasteczku nawet się nie zająknął na ten temat. Nic nikt nie słyszał... Dopiero dzisiaj. Gdzieś krążyła jakaś plotka, ale niewielu uwierzyło. Więc powiedz mi, skąd ty wiedziałeś o aresztowaniach? – Wyciągnęła ręce w błagalnym geście. – Ale to nieważne. – Przerwała na chwilę. Słysząc było, że mówienie przychodzi jej z trudnością. – Poszłam za tobą, kiedy opuściłeś moje mieszkanie. Coś mnie tknęło. Milicja na ulicy szukała jego... – Jej wzrok powędrował ku Karolowi. – A ty, ot tak, wchodzisz i wychodzisz. Wydało mi się to dziwne, a potem... Potem widziałam, Józef, widziałam, dokąd poszedłeś.

„Leon” znów zaczął się szarpać. Chciał krzyczeć, ale głos uwiązł mu w gardle i tylko syknął. Nie wiedział, jak ma się bronić.

– Ty? Ty, na Boga?! – Podeszła z malującym się na twarzy obrzydzeniem.

– Jak długo dla nich pracujesz? Od kiedy? Zwerbowali cię, jak gniesz na mrozie, czy potem, jak byłeś u nas, co? – „Pielgrzym” pytał zwodniczo spokojnym tonem.

– A wy wiecie... – Gródzki podniósł głos. – Wy wiecie, co oni potrafią robić z ludźmi?! Co zrobili Witkowi? Nie mogłem, nie mogłem... – Niemal krzyczał. – Ja nie chciałem tak skończyć. Z kulą we łbie albo jak Witek. Wiecie, jak żyje, jak wegetuje... Chciałem lepiej...

– I co? Z tej troski sam go wystawiłeś ubecji? – „Pielgrzym” szarpał za ramię chłopaka, aż ten jęknął. Nie nabierał się na okrągłe słówka. – Powiem ci, czego chciałeś. Uwiarygodnić się do końca, co? Jeśli łapali, to i braciszka. Dobra legenda. Jaki był plan na potem? Jakaś zasadzka? Że pójde koledze ratować rodzinę, a oni tam będą czekali...? – Uścisk na ramieniu chłopaka nasilił się. – Co oni szykują? – warczał Gładyszak, zaciskając usta. – No! – O mało nie złamał Józskowi ręki.

– Nie wiem...

„Pielgrzym” uderzył go w brzuch, a potem poprawił. Musiało poskutkować.

– Nie wiem... Cholera, nie wiem! Kazali zameldować... – Pierwsze ważne słowa. Na wagę życia. – Jak ktoś przyjedzie. – Próbował podnieść głowę i spojrzeć na Zielinsky’ego, ale Gładyszak wymierzył my siarczysty policzek.

– Skurwysynu! – Splunął chłopakowi w twarz. – Dalej.

– Dalej nie wiem... Nie wiem. Mieli robić łapankę. Po co, nie mam pojęcia. Zasadzka? Jaka



zasadka... Nic nie wiem! – Kręcił głową, jakby to miało uwiarygodnić jego słowa.

Oficer złapał go za włosy i pociągnął. „Leon” stęknął.

– Puść... – błagał.

– Wiedziałeś o zasadzce pod Firlejem. Sam doniosłeś o nowej mecie. To czemu teraz miało by być inaczej? Kurwa! – krzyknął wściekły Gładyszak. – Już wtedy mi nie grało, ale instynkt mi się stępił. Ufałem ci, ufałem. Dobrze cię przerobili. Wyjazdy na zachód, po fundusz... Boże! – Pociągnął mocniej za włosy. – Drugi wypad i wiele nie przywiozłeś. Powiedz, ty w ogóle jeździłeś czy kiblowałeś, a oni ci fundusz wydawali? Nie za dużo, żeby nas nie pompować? – warknął, po czym przeklął i cisnął chłopakiem w śnieg.

Józek czuł wstyd i strach. Nie było powodu więcej się odzywać. Leżał, bojąc się poruszyć.

Oficer zaczerpnął powietrza. Rozpiął płaszcz, sięgnął po pistolet. Przeładował i wycelował w głowę chłopaka. Czekał na jakieś słowa, ale nikt nie miał zamiaru bronić zdrajcy.

Palec pogłaskał mocniej język spustowy.

– Nie. – Zawahał się w ostatniej chwili. – Tak nie. – Popatrzył na dziewczynę.

Nie rozumiała.

– Zabij – zażądała ostro. To życzenie nie pasowało do jej delikatnej fizjonomii.

– Nie teraz. Nie uwierzą... – mówił „Pielgrzym” mało logicznie. – Trzeba porządnie, dla przykładu... – Budził się w nim partyzant. – Jutro przy ludziach. – Zabezpieczył broń.

„Leon” dostał mocnego kopniaka w brzuch.

– Trzeba go związać. Do jutra przypilnować – oświadczył smutno Gładyszak. Kucnął pod jakimś drzewem i zdawało się, że zacznie płakać.

Karol Zielinsky stał jak słup soli. Poruszony, ale jakby nienadążający za biegiem wydarzeń. Czuł się jak szaleniec. Rozpaczliwie złapał się jednej myśli, która wracała uparcie. Bóg nie mógł bawić się nim w aż tak potworny sposób. Ale może taki miał być plan? Propozycja Stanleya, szkolenie, przyjazd tu, w to zapomniane miejsce, i ci ludzie. Te nieszczęśliwe życiorysy. Wszystko po to, żeby mógł spłacić dług?

Schował broń, zrobił kilka kroków ku obitemu chłopakowi i kucnął.

– Ty – zaczął krótko.

Młody nie podniósł głowy. Leżał jak bez życia, pewny, że zaraz się z nim pożegna i nie ma jak uciec. Był pogodzony z losem, miał gdzieś cały świat.

– Twój brat – Karol się nie poddawał – to Witold Gródzki? – Sam nie wierzył, że o to pyta. Znał kogoś takiego, lata temu przez krótką chwilę. Dużo się działo, nie poznał jego adresu i wszystkie szczegóły szybko uleciały z pamięci.

„Leon” podniósł czerwone od łez oczy. Niewiele pojmował.

– Tak. – Skinął głową.

– On był w niewoli? – Karol napiął się cały. Otworzył szerzej oczy.

– Tak, był... – bełkotał „Leon”.

„Pielgrzym” nadstawił uszu. Dźwignął się, jakby niemoc go opuściła. Podszedł bliżej.

– Za to go właśnie tak zgnoli, jak wrócił... – Józek nie dokończył. Wcisnął twarz w ramię i rozpłakał się.

Greenman wstał. Podniósł głowę wysoko i popatrzył w niebo.

– Coś nie tak? – Gładyszak wydawał się zafrapowany.

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem... – Karol wrócił myślami do roku czterdziestego piątego.

**Czechosłowacja, maj 1945**

Widok był wspaniały, szczególnie dla Gródzkiego, który wprawdzie widział jeńców, ale nigdy nie był świadkiem składania broni. Zwarty oddział, mieszanka Węgrów i Rosjan czy Białorusinów, otoczony wianuszkami wiatującej ludności i niewielką liczbą zbrojnych partyzantów, składał sprawnie broń. Wysoki, wąsaty pułkownik uznał dwóch amerykańskich oficerów za odpowiednich ludzi do przyjęcia kapitulacji i na ich dłonie złożył los swej jednostki. Jeńcy wyglądali gorzej niż żołnierze, byli wychudzeni, mieli mundury w strzępach, a na ich twarzach malowała się zupełna obojętność pomieszana ze zmęczeniem.

Stali teraz w kilku grupach, spokojnie czekając na dalszy bieg wydarzeń. Całemu temu zbiorowisku dramatycznego wyrazu dodawał dym z ciągle intensywnie palących się pojazdów i stert broni przy drodze. Czesi w pocie czoła zbierali karabiny i pistolety i zanosili gdzieś do miasta. Na wszelki wypadek, gdyby wróg zmienił zdanie. Witolda zdziwiła liczba czeskich partyzantów – miał wrażenie, jakby się rozmnożyli. W walce brało udział kilku czy kilkunastu, a teraz całe pole pełne było mężczyzn. Nie wszyscy mieli broń, większość tylko się przyglądała. Zresztą Polak i jego kompani też tylko się gapili. To nie był teren ich zwycięstwa i na dodatek byli wycieńczeni.

Podporucznikowi bardzo jednak poprawił się humor, zapomniał na moment o kołaczących się w głowie problemach. O pustym znów żołądku i obolałych nogach. Takie sceny jak ta tutaj, w zapomnianym przez Boga, zapytaliśmy miasteczku, powtarzać się miały coraz częściej.

Patrząc na zapełniony rynek, doszedł do konkluzji, że w tej wojnie widział już wiele mundurów – swój, niemiecki, sowiecki, węgierski, czeski i amerykański.

– Kto jeszcze się tu pojawi? – zapytał sam siebie i bezwiednie zaczął się śmiać, dając upust od dawna skrywanym emocjom.

Śmiał się tak głośno, że zwrócił uwagę stojącego najbliżej amerykańskiego żołnierza, który wpatrzony w ten rejwach palił papierosa, opierając się o porzewiałą latarnię, z pistoletem maszynowym na ramieniu.

– Co ci tak wesoło, kolego? – zapytał Charlie Zielinsky płynną polszczyzną, myśląc, że nie zostanie zrozumiany. Prychnął i pokręcił głową, sądząc, że ma obok jakiegoś świra.

Facet był mniej więcej jego wzrostu. Nosił wypchane, pocerowane, niechlujne ubranie. Teoretycznie nie był dużo starszy od amerykańskiego podoficera. Jednak zapadnięta twarz, podkrążone, otoczone pajęczyną zmarszczek oczy i zbyt długie, wyzierające spod wytartej czapki, lekko siwe włosy nadawały nieznajomemu wyglądowi bezdomnego, który wylał z jakiejś nory.

Witek zdębiał. Przez chwilę sądził, że Amerykanin nauczył się kilku słów po czesku, a on tak dobrze opanował ten język, że rozumie go lepiej niż swój ojczysty.

„Nie, to nie był czeski” – dotarło to do niego dopiero po kilku sekundach. Uśmiech zniknął z jego twarzy i obrócił się w stronę młodego żołnierza, pozującego wyraźnie na starego wojaka. Zaciśnął palce na pasie swojego pistoletu i patrzył w milczeniu, świdrując go wzrokiem i próbując zrozumieć własną reakcję.

Charlie z początku trochę się wystraszył. Człowiek, którego zaczepił, naprawdę zdawał się niespełna rozumu. Wpatrywał się w niego tak, jakby czegoś chciał, albo nawet szukał kłopotów. Do tego ten obszarpany, zarośnięty palant miał broń, a na tej wojnie trzeba było uważać na uzbrojonych ludzi.

– Co jest? – zapytał po angielsku, przesuając wymownym ruchem M3 na brzuch. Napiął mięśnie i wbił oczy w przybłądę, gotów odeprzeć ewentualny atak.

– Tak tylko mi się zdawało – powiedział cicho zawiedziony Witold.

Greenmanowi papieros o mało nie wypadł z ręki.

– Polak? – spytał niepewnie

– Polak – odpowiedział automatycznie Gródzki. Otworzył szeroko oczy, a usta wykrzywiły się znów w radosnym grymasie. Aż podskoczył z przejęcia. – Jezus Maria! Jak ja dawno nie widziałem Polaka! – Rzucił się na Charliego, który, zaskoczony, nie protestował, kiedy Gródzki ścisnął go z energią, o jaką nie sposób było go posądzać, śmiejąc się przy tym jak najprawdziwszy szaleniec. – Chłopie, jak dawno nie widziałem swoich! – krzyczał.

Zielinsky poklepał rodaka dobrotliwie po ramieniu, z trudem łapiąc oddech i zerkając na boki, czy jego kumple już się z niego nabijają, czy jeszcze niczego nie zauważyli. Nie bardzo mógł pojąć, co robi tu jakiś Polak w starym mundurze i czemu tak się cieszy na jego widok.

Gródzki z radości aż uronił łzę.

– Witek jestem – powiedział pewnie, wyciągając dłoń. – Witold Gródzki.

Charlie przełożył broń do lewej ręki i przywitał się.

– Charles Zielinsky. – Widząc zdziwienie w oczach rozmówcy, poprawił się szybko. – Karol Zieliński z New Jersey. Ale mówią na mnie Greenman. – Zarzucił automat na plecy, uznając, że jest już raczej bezpieczny. Gdyby rodak okazał się jednak nadpobudliwy, miał na podorędziu nóż.

– Skąd żeś się wziął w tych Stanach, chłopie? Jak dobrze gadasz po naszymu! – wykrzykiwał zaciekawiony Witek, taksując rodaka wesołym spojrzeniem.

– Też miałem pytać, co ty tu porabiasz. – Karol uśmiechnął się. Spotkał pierwszego Polaka od czasu znalezienia Ewy. Pierwszego z bronią w tym kraju.

– Ja zwiąłem z niewoli – powiedział już bez radości w głosie Witek. – Nie bój się. – Dostrzegł, że Greenmany z niepokojem patrzy na jego broń, i wyszczerzył nie najczystsze zęby. – To na Szkopów. – Klepnął w zamek MP-40. – Paru posłałem w cholere z tej maszyny – chełpił się, prężąc wątlą pierś.

– Z niewoli?! – Greenman łapał powoli. Broń, strzelanie, jeniec.

Otworzył szerzej oczy, cofnął się o pół kroku i dopiero teraz dokładniej zaczął przyglądać się nowemu znajomemu.

– Żołnierz? – Słowo zachręściło z twardym akcentem, kiedy gapił się na odzienie Gródzkiego, w którym teraz dopiero dostrzegł pozostałości uniformu.

Tańczący na ulicy tłum wpadł z radosnym impetem na rozmawiających, tak że Zielinsky, łapiąc za rękaw nowego znajomka, musiał ratować ich przed niechybnym stratowaniem. Wciągnął go na chodnik, w mniej zatłoczone i głośnie miejsce.

– Jesteś żołnierzem? – zapytał raz jeszcze jakby zniecierpliwiony.

– Podporucznik Dziesiątego Pułku Piechoty, Czwartej Dywizji, pluton zwiadu – brzmiała odpowiedź Gródzkiego.

– Jasna cholera! – Karol podświadomie, słysząc stopień, wyprostował się, jakby rozmawiał z przełożonym. Znowu skupił wzrok na włóczędze, nie do końca wierząc w to wszystko. Po raz wtóry pojawiła mu się w głowie myśl: „Uwaga, wariat”.

– Wcześniej Ósmy Pułk Piechoty – dodał Witold, dopełniając służbowy wojenny życiorys.

– Jak to wcześniej? – Karol nie potrafił sobie tego wszystkiego poukładać. I jeszcze powracał poranny ból głowy.

– W trzydziestym dziewiątym przyszło mi zaczynać wojnę w tej jednostce.

Karol westchnął, zdjął hełm i usiadł na nim.

– Wszystko dobrze? – zatroskał się podporucznik, siadając na ziemi.

– Taaa – uspokoił go Zielinsky, mrużąc oczy. – Biłeś się już wtedy? – zapytał wprost. Nie

wiedział czemu, ale Witek zaczynał mu z wolna imponować. Może to przez jego pewność siebie i ten błysk w oku.

– Nieważne, dawne dzieje. – Machnął ręką Gródzki, kokietując lekko, i pogładził się po zarostcie.

– Wszystko dobrze, Greenman? – zapytał Tony, który przedarł się przez tańczących na ulicy ludzi, trzymając w ręku do połowy pusty kufel piwa. – Jest OK?

– Tony, znalazłem rodaka – oznajmił Greenman.

– A, jeszcze jeden Polak. W porządku, wydawałeś mi się blady, więc wołałem się upewnić, czy wszystko dobrze. Chłapnij sobie piwa, tam taki dziadek rozlewa. I to za darmo.

Tony pociągnął łyk i podszedł do Gródzkiego z wyciągniętą ręką.

– Miło mi cię poznać, stary.

Witek uśmiechnął się i uściśnął jego dłoń.

– Daj spokój, to oficer, i to prawdziwy weteran. Ale po angielsku ani trochę – poinformował półgębkiem kolegę Charlie.

– Dobry Boże – wystraszył się Tony. – No to ja nie przeszkadzam – rzekł, wykonał gest, jakby salutował, i ruszył szukać innych atrakcji.

– Mój kumpel, trochę nieokrzesany i prostoliniorny, ale dużo razem przeszliśmy... – Zielinsky próbował tłumaczyć zachowanie lekko podchmielonego Sycylijczyka.

– Miły z niego kompan, nie ma co – zaśmiał się Gródzki.

– Ale wracając do ciebie. – Karol był bardzo ciekawy. – Musisz mi opowiedzieć, co się z tobą działo. Gdzie polskie wojsko, gdzie Czechy, do diabła?

– Jak mówiłem, dawne czasy i długo by opowiadać. – Gródzki jakoś niechętnie wracał do przeszłości.

– A gdzie ci się spieszy? Mów. – Karol wyciągnął paczkę lucky strike'ów w stronę polskiego oficera.

Witek opowiadał długo, nieco chaotycznie, dokładnie, jakby chciał wszystko z siebie wyrzucić. Wreszcie miał przed kim. Było tego tyle, że Karola znowu rozboleła głowa.

Wojna trzydziestego dziewiątego, klęska bitwy i bombardowania. Gródzki, wówczas ranny chorąży, jeszcze ze stopniem sprzed wojny, ukrywał się w małym miasteczku, bo ponoć tak było bezpieczniej. Miał rodzinę, a wokół panował terror...

Długo się bronił, ale konspiracja i jego wciągnęła. Inaczej nie potrafił. Najpierw działał w wywiadzie ZWZ, jako pracownik niemieckiego gospodarstwa przy lokalnym dowództwie, potem był las, broń i... Armia Krajowa. Karolowi trzeba było chwilę wyjaśnić, co to za armia i jaki był jej charakter. Opowiedział też o bracie, który poszedł w jego ślady – do lasu, wojować. Źle skończył.

Potem znów były walki, „Burza”, front i Sowietów. Oj, dali mu się we znaki. Jego oddział otoczyli Rosjanie z NKWD. Tę nazwę Karol tylko ledwie kojarzył. Po dwóch dobach uznano wspólnomyślnie, że nie są faszystowskim oddziałem, ale ich oficerowie zniknęli. Brata pojмали w innej obławie. Sowietów kazali wieźć grupę Józka Gródzkiego na zamek i tyle ich widziano...

Z reszty oddziału Witka, kto chciał iść do nowego, „ludowego” wojska, ten szedł. Reszta pojechała na wschód. Gródzki zrobił kursy oficerskie w Lublinie, bo w końcu był chorążym sanitarnym. Stopień za niski, żeby postawić go pod mur, ale i odpowiedni, żeby się przydał. Uczył się, kiedy na jego terenie, z rozkazów sądów wojskowych, mordowano jego dawnych dowódców. I to dziesiątkami.

Znowu zostawił rodzinę i jesienią ruszył na front. Nowy mundur, nowi ludzie. Inni oficerowie

wie. Dużo Sowietów, polityczni i dziwny niepokój, że coś jest nie tak. Ci, co się przyznawali do walki w AK, jawnie albo po pijaku, znikali. Ponoć nowi zwierzchnicy na Witolda też zagięli parol.

Traf chciał, że dostał się w ręce Niemców. Było to pod koniec listopada czterdziestego czwartego roku. Spotkali ich na patrolu, gdy sprawdzali teren za Wisłą. Całą drużyną poszli. Była strzelanina i zabici. Ale i tak miał szczęście. Posłali go do obozu jenieckiego, nie w łapy Informacji. Tego terminu Zielinsky nie kojarzył zupełnie.

Parę miesięcy Witek spędził za drutami na Śląsku, potem nastąpiła ewakuacja i udało mu się uciec. Było zimno i wszędzie panował straszny głód. Dostał się do protektoratu. Nie był sam. Szybko okazało się, że trafiło tam więcej takich jak on: jakiś Kanadyjczyk, błakający się po lasach Czesi. Utworzyli mały oddział, przeprowadzali jakieś liche akcje i doświadczali jeszcze większego głodu, ze świadomością, że nie doczekają wiosny, nie przetrwają. Dowlekli się wreszcie w kilku tu, gdzie jego kompan, Pavel, dawny czeski żołnierz, miał wuja.

Ilość przygód, jakie przeżył Gródzki, robiła piorunujące wrażenie na amerykańskim sierżancie. Słuchał uważnie, chłonąc każde słowo. Tyle przeżyć w kilka lat. Zastanawiał się, czy on by tak potrafił, czy zniósłby to wszystko.

„Jak mało wiemy. Jak mało ja wiem” – pulsowała mu w głowie ponura myśl. Zerknął przez ramię na uradowanych młokosów, pałaszujących miejscowe specjały albo żartujących z dziewczętami.

– Widzisz ich? – spytał retorycznie Witka. – Tych szczeniaków. – Wskazał na szczerzącego zęby chłopaka o twarzy pokrytej piegami. – Oni nie znają tego wszystkiego. Nie przeżyli nawet ćwierci tego, co ty. Ba, co ja mam powiedzieć... I teraz cieszą się jak dzieci, bo szybko im poszło. Im i Ruskim. Życ nie umierać. – Załamał ręce, nie bardzo wiedząc, co może jeszcze powiedzieć.

– I dobrze. – Wzruszył ramionami Witek. – Nie żałuj im. – Zaskoczył sierżanta. – Nie życzę tego nikomu. Jeśli im się udało, to dobrze. Żyją, wojna się kończy. Moje problemy są moje i tacy jak ja muszą sobie z nimi radzić.

– Ale ja chcę, żeby oni wiedzieli, z kim mają do czynienia. – Greenman ożywił się, podrywając się na nogi tak gwałtownie, że aż przyciągnął zdziwione spojrzenia kilku Czechów. – Z kim się spotkają, kogo mamy za sojusznika, do cholery. Ja wiem, ty wiesz, ale oni... – Machnął ręką, o mało nie trafiając jakiejś kobiety w głowę.

– Siadaj, bo komuś krzywdę zrobisz. – Gródzki uśmiechnął się i pociągnął Karola za nogawkę. – Ty naprawdę w to wierzysz? Sam widzisz, jak się świetnie bawią. Im to nie w głowie. Sami musieliby tego doświadczyć... E, szkoda gadać. Jest, jak jest, i nie zmienisz tego. Trzeba sobie poradzić, oswoić się. Wrócić do siebie. Ja na swoje śmieci, wy na swoje...

– Swoje śmieci? A gdzie to jest? – Karol potarł czoło z wyrazem bólu na twarzy. – Gdzie to, kurwa, jest? Chciałbym wrócić kiedyś do swojej rodziny, do Ameryki. Dlatego to wszystko... – Skubnął skrawek munduru. – To też. – Klepnął stal pistoletu. – Tyle tylko, że to na nic. Że siedzimy w dupie. – Poczzerwieniał.

– Za dużo myślisz. Przejmujesz się niepotrzebnie. – Gródzki z dobrotliwym uśmiechem uderzył go w ramię. – Będzie, co ma być. Odpuść sobie, bo zwariujesz. Czas świętować. Jak by nie było, ja właśnie skończyłem trochę przydługi spacer. – Zaśmiał się, niby szczerze uradowany, ale jego oczy patrzyły smutno. – Czas odpocząć. Może ktoś od was, z góry, pomoże mi wrócić do domu, a i za bratem się wstawi? Kto wie. Rusczy ingerencji nie trawia, ale skoro wojna się kończy... – Wzruszył ramionami.

Greenman nie słuchał dłużej. Znow zerwał się na równe nogi i wszedł w tłum. Wrócił szybko z dwoma wielkimi, oblanymi pianą kufkami.

– Masz. – Podał Witkowi. – Za spotkanie. Pij.

– Wy tak możecie? – Polak mrugnął na resztę Jankesów.

– Dziś tak. Sam mówisz, że święto.

Pociągnęli spory łyk. Obu suszyło.

Karol otarł rękawem wąsy z piany i skrzywił usta, patrząc na Gródzkiego.

– No co jest? – czknął Witek, któremu zaczęło wirować w głowie. Pić na pustym żołądku nie było dobrym pomysłem. – Coś kombinujesz...? – Wyczuł intencje rodaka.

– A tak mi właśnie przyszło do głowy... Nie chcesz dołączyć do nas?

– Jak to do was? Jestem byłym jeńcem!

– Pieprzyć to. Siedzisz w tej wojnie od ponad pięciu lat. – Greenman pociągnął łyk.

– I chciałbym, żeby się jak najszybciej skończyła. Chcę wracać do siebie.

– Każdy chce. – Karol otarł usta z piany. – Słuchaj, jedziemy w kierunku Pragi, to będzie pierwsza stolica, którą będę wyzwalał. Wiesz... – Przychylił głowę do ucha polskiego oficera, zerkając, czy nikt nie podsłuchuje. – Liczyłem, że znajdziemy więcej takich jak ty i pošlemy na zachód. Bo po to to wszystko, cała ta moja wycieczka. Wierz lub nie. – Dojrzał szeroko otwarte usta zdziwionego Witka. – Naprawdę. Obiecałem komuś, że wyrwę, kogo się da... I teraz mam szansę dotrzymać słowa. Choć ciebie nie trzeba było nikąd wyrwać. Sam przyszedłeś. – Zaśmiał się tak głośno, że ludzie obok popatrzyli i choć nie wiedzieli o co chodzi, zawtórowali mu.

Zielinsky stuknął kuflem w kufel Witka.

– Nie sądzisz, że to miły sposób na koniec tej choleralnej wojny?

Gródzki zamyślił się, jakby rozważał wszystkie za i przeciw.

– Myślałem, że wrócę do domu... – Nie był przekonany. Pociągnął jeszcze łyk piwa i pogłodził zarośniętą brodę.

– Od razu cię tam nie wyślą. My daleko na szpicy. No i należy ci się trochę przyjemności. Będziesz miał co opowiedzieć wnukom. – Nie rezygnował Karol, szczerząc zęby.

Zamilkli obaj na dłuższą chwilę. Witold rozejrzał się po rynku, falującym w tańcu, rozspiewanym tłumie cywilów wymieszanych z płaszącymi wyzwolicielami, którzy bawili się jak małe dzieci. Wojna naprawdę przechodziła do historii.

– Dowódca się na to zgodzi? – spytał przekornie Gródzki, choć już był bliski podjęcia decyzji.

– Ja to załatwię. Chodź, znajdziemy go.

## 1948

Mijała kolejna ponura doba w ciemnym lesie. Na dodatek okraszona dramatyzmem, którego Karol w ogóle się nie spodziewał. Tak jak nie sądził, że wróca do niego duchy przeszłości. Tak wyraźne, z całym swoim pogmatwanym losem.

Józefa przywiązali do belki w szałasie. Tego samego Józefa, którego lata temu wspominał Witold Gródzki, drżąc o jego życie. Zakneblowali, zawiązali mu oczy. Był jak żywa, niepokojąca przestroga, że nic w życiu nie jest pewne. Nic i nikt. Taki miał być dobry, odważny. A tu...

Z końcem kolejnego dnia Zielinsky miał zadebiutować przed resztą oddziału. Czuł tremę. Zgromadzenie w jednym miejscu kilku facetów o życiorysach nie gorszych od ich dowódcy mogło przyprowadzić o ból głowy. Karol swoje widział, przeżył, ale mimo to...

Schodzili się ostrożnie, powoli, kryjąc się jak tropiona zwierzyna.

Teraz zasiedli na pieńkach i powalonych drzewach. Zmęczeni palili, rozmawiali o głupotach, odpędzając od siebie uparte troski, i udawali, że wszystko jest dobrze, że jeszcze wierzą, mają siłę i ochotę działać. Jakby to był rok czterdziesty trzeci.

„Pielgrzym” zerknął na zegarek. Potem w niebo. Uznał, że nadeszła pora.

– Chodź! – krzyknął za siebie i Karol wkroczył na polankę niczym gwiazda wieczoru.

Cała grupa poderwała się na nogi. Cofnęli się za drzewa, zaczęli zakrywać twarze i sięgać po broń.

– Spokój, do cholery! – surowo rozkazał „Pielgrzym”, ale tylko on wiedział, ile go to kosztuje. – Spokój – warknął raz jeszcze.

Ludzie powoli wracali na miejsca, czekając, co się zdarzy. Oficer poprawił pistolet za pasem, przypominając nieco kowboja z westernu na minutę przed pojedynkiem.

– Panowie pozwolą. – Wskazał dłonią na przybysza. – Ten jegomość to nasza zguba. To...

– Bartłomiej Król – odezwał się półgłosem Zielinsky, wbijając długie spojrzenie błyszczących oczu w oficera. W jego głosie nie było ani radości, ani złości, jedynie lodowata, profesjonalna pustka.

Popatrzył po zebranych. Niby jego rówieśnicy, a wyglądali jak staruszkowie o młodych, choć mętnych oczach. Przygarbieni, bladzi, ubrani jak włóczędzy... Mimo tego ciągle biło od nich coś, co dało się nazwać dumą. Różnili się od jego kolegów, weteranów kilku miesięcy wojny w Europie. Strasznej, dokuczliwej, ale takiej, która w porównaniu z tym, co działo się tu, wydawała się teraz śmiesznością.

– Pan Król – kontynuował „Pielgrzym” – to oficer przysłany z Zachodu. – Na twarzach zebranych widać było zaskoczenie. – To wysokiej klasy fachowiec. – Rzucił Karolowi porozumiewawcze spojrzenie. – Możecie wierzyć, referencje ma doskonałe. Uzyskaliśmy to, czego chcieliśmy od dawna... Wsparcie.

Wierutne kłamstwo ledwo przeszło mu przez usta, ale nie miał teraz zamiaru zastanawiać się nad konsekwencjami. Kluczył, odraczał to, co nieuchronne. Przecież nie mógł oznajmić ot tak, nagle: „Cześć, chłopaki, znikam”. Zarządził zbiórke, jeszcze sądząc, że ten przybysz, o którym mówiła Jadzia, naprawdę przybywał z odsieczą, z planami, i że za nim przyjdą skrzynie broni i worki pieniędzy, które pomogą im się przygotować na bój ostateczny. Tymczasem tylko decyzje, które zapadły daleko od tego miejsca, były ostateczne. Koniec zbliżał się szybko.

Teraz można było jedynie zaprezentować bitny, zaprawiony i nikomu właściwie niepotrzebny oddział. Tych ludzi, którym jeszcze zależało. Których... zdradzono po raz wtóry. Na razie byli nieufni, ale stopniowo odzyskiwali wigor, mierząc nowego oficera zaciekawionymi spojrzeniami. Zniszczenie tej krótkiej chwili, tego przeblysku nadziei było niewdzięcznym zadaniem.

– Panowie. – Spochmurniał. – To nie wszystko. Są... nowe okoliczności. – Odwrócił się i dał znak Karolowi.

Ten niezbyt chętnie, ale szybko wrócił w zarośla i zaraz przytargał skrupowanego „Leona”. Chłopak rozglądał się wokół jak pojmana we wnyki sarna.

– Mamy szpicla! – Dowódca uniósł dłonie w górę.

Cisza. Niedowierzenie.

– Może to pomyłka? – wybełkotał ktoś i zaraz umilkł. Nigdy nie było pomyłki. Jeśli stary brał kogoś na cel, a było to tylko raz...

– Boże... Ty? – warknął „Strzelba”.

– A on, on! – „Pielgrzym” nie odpuszczał, odpędzając wzbierający smutek. – Wiecie, po co sierżant „Leon” znikł na kilka miesięcy?! – zapytał. – Bo ja mu kazałem. O tak, przyznaję się.

Niech jedzie na zachód, na szaber, coś skubnie, coś zarobi, ukradnie, jak trzeba... Znał tam różnych ludzi. Lubił to, cieszył się zadaniem. A tu trzeba mieć fundusze na jedzenie, łąpówki... Nikt nam nie da. Wiecie, jak jest... I proszę! – Cofał się wolno, żeby wszyscy lepiej widzieli. – Siedział prawie całe lato i... – Znowu spiorunował „Leona” wzrokiem. – Wróciłeś... – Nie hamował już złości. – A potem znikł „Oczko”. Później przytrafiła się akcja w Partowie. Zasadzka. Wiedzieli, jak nas zwabić, a ty i „Bienek” chodziliście na rozpoznanie.

Zamilkł na chwilę, zbierając siły do dalszej tyrady.

– Ufałem ci, a ty... Zostawiłeś „Borysa” i „Poleszuka” na pastwę losu. Pewnie myślałeś, że ja też będę w leśniczówce. Wróciłeś do domu, ale przymknąłem na to oko. Nic na ciebie nie mieli. Oficjalnie wracałeś z zarobku, choć ostatnio było kiepsko, jak twierdziłeś. Ja, głupi, wierzyłem, bo i czemu nie. Wiele razy się udawało. I stąd Partów. Sam im podpowiedziałeś, żeby zaczęli rozpowiadać, że pieniądze będą? Dobry powód do przeprowadzenia akcji. Wróciłeś praktycznie z niczym, więc logiczne było, że się rzucimy jak wygłodniałe kundły na kość. Ale ty żyłeś jak pan... Kupowałeś...

Ugryzł się w język w ostatniej chwili. Wypominanie Józkowi prezentów kupowanych dla Jadvigi było jednak czymś nie na miejscu.

– Wydał własnego brata, wydał może ich wszystkich, byle nas sprowokować. – „Pielgrzym” chciał być jak najbardziej przekonujący, ale jego ludzie stali jak rażeni piorunem.

Ich towarzysz broni, teraz upodlony do granic, nie patrzył na nich, nie odzywał się. Niczego już nie próbował. A Gładyszak dobijał go oskarżeniami.

– Pewnej nocy w listopadzie wybrałeś się na randkę... – „Leon” spojrzał na niego przerażony. – A tak, tak, widziałem. Wiem, że się spóźniłeś. – „Pielgrzym” mówił, jakby teraz byli tylko oni dwaj. – Dlaczego? Bo musiałeś zająć się nieszczęsnym „Poleszukiem”. Uświadomiłem to sobie dopiero ostatniej nocy. Musiał na ciebie trafić, ale ty się bałeś, że pojawi się za dużo pytań, wątpliwości. Pozbyłeś się go, chuju. Zabiłeś. – Okropne słowo jeszcze długo dźwięczało w uszach.

– Kto to zrobi? – „Anastazy” powiedział głośno to, co niejeden bał się pomyśleć.

Spuścili oczy. Wszyscy milczeli.

– Ja. – Zielinsky nie wiedział, czemu się odezwał. Odruch kazał mu wybawić ich wszystkich z tej męki. Wszedł w ten świat, w ten układ, ale ciągle był z boku. Nie znał ich, było mu łatwiej. Nikt nie protestował. Przystali na to chyba z ulgą.

Karol zastanawiał się, czy gdyby kiedyś, na wojnie, wydarzyło się coś takiego u niego w drużynie... Szaleństwo. Istne szaleństwo.

Dreszcz poszedł po plecach. Nagle zrobiło mu się potwornie zimno.

„Pielgrzym” wyciągnął pistolet. Podał go Zielinsky’emu drżącą ręką. Oczy zaszyły mu łzami. Musiało go to wiele kosztować.

Karol tylko skinął głową. Przeładował broń i wtedy zdrajca dźwignął się, jakby mu cudownie przybyło sił.

– Nie – jęknął i rzucił się do biegu. Ruszył w kierunku drzew, świadom, że nadchodzi ostateczność.

Uderzył głową niespodziewającego się ataku „Pielgrzym” i przewrócił go na ziemię. Szturchnął Greenmana i wpadł w zarośla. Nikt za nim nie biegł, nie ścigał go. Wszyscy stali w szoku, ciągle chyba szukając wytłumaczenia, dezorientowani. Ich kompan, ten, który tak długo walczył razem z nimi... wiał teraz oskarżony o zdradę.

Karol zareagował tak, jak go wyszkolono. Długimi susami przeskoczył polaną. Zatrzymał



się, ugiął kolana. Ręce złożyły się same, splótł palce na chwycie broni. Wypatrzył swój cel. Przed oczami na moment błysnęła mu twarz Landasa. Obaj – „Leon” i pułkownik – byli sobie wari. Nie celował długo. Podwójne echo poszło po lesie. Gdzieś zerwało się kilka ptaków. Było po wszystkim.

Jego towarzysze nadal stali nieruchomo jak kamienie. Widzieli już wiele, ale ta sytuacja ich przerosła.

– Dziękuję – mruknął Gładyszak, kiedy Karol oddał mu broń, i ruszył między pnie, upewnić się, czy Greenman trafił.

Kiedy wrócił, był blady. Nie przypominał siebie sprzed kilku chwil. Kosztowało go to wszystko zbyt wiele.

– Nie żyje – rzucił beznamiętnie do chłopaków. – Dzięki. – Raz jeszcze skinął na Greenmana.

Ten nie zareagował. Drżał. Pierwszy raz zrobił coś takiego. Potrzebował chwili, by się uspokoić.

– Gdyby nie ty... W miasteczku... – „Pielgrzym” mówił cicho. – Gdybyś się nie pojawił tak nagle, bez ostrzeżenia, on... nie popełniłby błędu... – sapnął.

– Trzeba będzie go pochować. – „Anastazy” najszybciej się otrząsnął i zaczynał trzeźwo myśleć.

Zgłosiło się kilku, choć bez entuzjazmu.

– I pytanie główne... – Ocknął się „Pielgrzym”. – Pozwalamy Sowiecom łązić po naszym terenie? Czy jednak... Opuścimy? – powtórzył donośniej. Byli wojskiem, nie powinien ich pytać, ale czuł, że musi. Raz ich zwiódł. Dał się omamić. Nie wykrył sprawcy.

– Wypadałoby się pokazać... – „Strzelba” kiwał głową. – Niech wiedzą, że gramy dalej, że nas nie rozbijają... Jeśli tamten... – Imię Gródzkiego nie chciało przejść mu przez gardło. – Jeśli poświęcił swojego brata... Boże, co to są za ludzie. – Wzdrygnął się.

– Reszta? – Oficer patrzył na ludzi spod coraz cięższych powiek.

– Działamy, panie poruczniku. Nie udało im się... – rzucali jeden przez drugiego, choć bez tego animuszu co kiedyś.

– A potem co? Nie daruj nam, jeśli się uda. – Gładyszak sam siebie zadziwił.

Przytomna opinia uciszyła resztę. Przecież nie myśleli o tym, co „potem”.

– Przyczaimy się – odparł gromko „Góra”. – Mówi się „trudno”. A pan... – Skinął na Greenmana. – Pewno coś wymyśli.

Karol, już opanowany, puścił tę nader optymistyczną opinię mimo uszu. Nie miał niczego wymyślać, uczyć ani o co walczyć. Miał zabrać „Pielgrzyma” i wiać.

– Właśnie... – Dowódca popatrzył na niego wymownie. – Ty z nami? – spytał twardo, jakby oczekiwał tylko jednej odpowiedzi.

„Wariaci” – to była pierwsza myśl Karola.

Zaraz potem przyszło jednak opamiętanie. Tam gdzieś był człowiek, któremu zawdzięczał wiele. Tak naprawdę – wszystko. Popatrzył na las, gdzie leżało ciało zdrajcy. Musiał odrobić podwójnie dawne długi i terazniejsze grzechy. Nie miał na to najmniejszej ochoty. Musiał, po prostu musiał iść z nimi. Bo nawet jeśli odmówił... Dylemat rodem z greckiej tragedii.

– Tak. – Nie miał wyboru. Nie tchórzył.

Co potem... zostawiał Bogu.

Rachunki należało uregulować.

## Czechosłowacja, maj 1945

Pocisk nadleciał z przeraźliwym, szarpiącym zmysły jazgotem i rozerwał się za drogą, wśród płonących ciągle wraków.

TJ przyspieszył, klnąc na czym świat stoi, a reszta padła na podłogę ciasnego jeepa z rękoma na hełmach.

Powietrze przecięły kolejne gwizdy. Jeden drugi, trzeci. Rąbnęło za nimi. Krótki błysk, powietrze się zagotowało, gorące kawałki żelaza zafurkotały, tłukąc o karoserię. Potem znów ciepły podmuch, a uszy zabolowały jak cholera i wszystko wywróciło się do góry nogami.

Gdy Greenmanowi wróciły zmysły, nie bardzo mógł uwierzyć w to, że jednak żyje. Był pewny, że to koniec. Koniec dla nich wszystkich. Ziemia drżała jeszcze, cuchnęło kordytem i spalenizną. Przerażony napinał mięśnie, jeden po drugim. Coś zakłuło w nodze. Połamał albo stłukł chyba kilka żeber. Ale jeszcze nie było tak źle.

Ktoś jęknął obok.

Dopiero teraz sierżant odważył się otworzyć oczy. Dym gryzł, że aż trudno było patrzeć. W ciemnej chmurze widział kawałek łąki, trochę nieba. Obok siebie miał wywróconą zieloną bryłę auta. Dźwignął się ostrożnie. Zaraz wymacał pistolet. Bolało go całe ciało, ale mógł się ruszać. Rozejrzał się za hełmem. Znów gdzieś coś huknęło i przeszedł kolejny gorący podmuch.

Wszystko ucichło tak nagle, jak się zaczęło.

– Bezpieczniejsza droga... – wyszeptał z wściekłością.

Przetarł osmoloną twarz, usiłując zorientować się w sytuacji.

Auto leżało na boku, dymiąc z tłących się, rozerwanych opon. TJ-a i Gródzkiego wyrzuciło na ziemię jeszcze dalej niż Greenmana. Żyli. Jęczeli, zupełnie pozbawieni sił. Dwa pozostałe jeepy paliły się jaskrawym, gwałtownym płomieniem. Ich pasażerów nie sposób było dojrzeć.

Słońce niknęło pod osłoną dymów. Cała okolica tego rzekomo mniej uczęszczanego traktu zdawała się czernieć od wraków kilku czołgów, ciężarówek i porozrzucanego dobytku. Dookoła leżały szare ciała, pomieszane z zabitymi końmi. Odór tego wszystkiego był nie mniej morderczy niż odłamki.

Karol podniósł się na kolana, wychylił głowę za zasłaniający mu widok wrak osmolonego transportera, kiedy od wschodu znów ktoś zaczął strzelać.

Świst przeciął powietrze, Polak czmychnął pod wóz.

– Chłopaki, kryć się! – wrzasnął po angielsku.

Kolejne granaty pękały daleko za drogą, w miejscu, gdzie rósł niewielki młodnik.

Gródzki opamiętał się pierwszy, jakby dźwięki bitwy zadziałały lepiej niż zimny prysznic.

Złapał hełm, przydział od sojuszników, potem pistolet i ruszył na czworakach szukać kryjówek. Zatrzymał się, cofnął prędko i dopadł ciągle wijącego się z bólu TJ-a. Złapał go za pas i pociągnął za sobą, zbierając wszystkie siły.

– Szwaby, Szwaby?! – przekrzykiwał salwy, dysząc i charcząc. Zielinsky zebrał się w sobie, co nie było wcale łatwe. Bał się jak mały kiedyś. Wiedział, że ledwo się wywinęli, a to nie był koniec. Przemógł się, podpełzł sprawnie do Gródzkiego i pomógł obu towarzyszom doczołgać się w bezpieczniejsze miejsce.

– Szwaby... Ja nie wiedziałem... Mówili, że tutaj będzie spokojniej... – kajał się żałośnie Gródzki, z każdym oddechem świszcząc coraz bardziej. Kręcił głową jak zwierzę w matni, szukając choć śladu szansy na ucieczkę.

Greenman zbył to całe gadanie. Nie miał ochoty ani czasu na dysputy o strategicznych błę-

dach. Myślał gorączkowo, jak wiać z tego szamba.

Dwa wybuchy uniosły w niebo połamane gałęzie młodnika. Potem od czoła rozległ się grzmot i grad kamieni poleciał daleko, tłukąc wszystko wokół nich.

– Chłopaki! – krzyknął ktoś nagle. – To ja, nie... strzelać! – Głos Chrissa brzmiał jak z grobowca.

Czołgał się rowem, za autem, co chwila przystając i podnosząc głowę.

– Dawaj! Tu jesteśmy! – Zielinsky uniósł dłoń, modląc się, by jakiś odłamek go jej nie pozabawił.

Gdyby nie cały ten bałagan i brak pomysłów, przyznałby, że mu ulżyło. Stary Bob znów uciekł spod kosy.

– Ty chyba masz dupę z żelaza! – rzucił całkiem dziarsko, kiedy mokry od potu Chriss padł obok, łapiąc gorączkowo powietrze. Długo kręcił głową, nie potrafiąc wykrztusić słowa. Greenmana nawet zastanawiało, czy to ze zmęczenia, strachu czy wszystkiego naraz.

– Ostrzelali... – charczał Chriss. – Ostrzelali, gnoje... – Nie było w tym nic odkrywczego. – Odcinają tam w lesie... – Głos mu zadrzał jak nigdy przedtem, kiedy popatrzył przez ramię na dymiący lasek. Druga część zwiadu nie zdołała z niego wyjechać. Mieli szansę cofnąć się, okopać albo obejść blokadę. Albo też czekać na resztę sił i Brashiera.

Greenman z wielkim trudem opanował wzbierającą panikę. Kiedy taki weteran pękał, trudno było myśleć pozytywnie.

– Co z twoimi? – wykrztusił pytanie, choć wcale nie chciał znać odpowiedzi.

Chriss nie powiedział słowa, tylko zamarł bez ruchu, patrząc na dwa gorejące auta na szosie.

– Spieprzajmy. – Gródzki wtrącił nieśmiało po polsku.

Bob zrobił minę, jakby chciał zapytać, czego chce ich towarzysz, ale za nim Karol zdołał przetłumaczyć, od wschodu zawarczał motor jakiejś ciężkiej maszyny.

– Kurwa, idą tu! – Chriss zawył i zerwał się na równe nogi jak zupełny amator.

Drżał.

– Siadaj! – Greenman złapał go za nogawkę, choć sam najchętniej rzuciłby wszystko i pognął jak najdalej stąd.

Terkot doleciał zza dymu. Znów świsnęło, ale bliżej, głośniejsze i karoseria ich jeepa jęknęła, okraszona snopem iskier.

– Napierdalają! – Nawet Jarmoe zdawał się już zupełnie świadomy. Seria ognistych smug przeszła im nad głowami, szatkując dym.

– Psiamać! – zawył Gródzki, przylepiając się do przewróconego wozu, jakby ten dawał jakąkolwiek ochronę.

Gang silników stał się wyraźniejszy, zdawało się, że jest ich coraz więcej. Nieprzyjaciela maskowały płonące wraki i czarny obłok dymu.

– Macie... – Bob wcisnął kolbę pistoletu w ramię i posłał dwie krótkie serie w dym, choć nie wiedział właściwie, do czego strzela. Greenman też podpełzł do przodu i zaczął siec amunicją tam, skąd dochodziły odgłosy.

– Trzeba wiać, wiać! – ryczał, nie mając zielonego pojęcia, jak to teraz zrobić. – Niech, kurwa, wzywają lotnictwo... Od czego są?!

– Bierz TJ-a, ja... osłaniam... – Ta propozycja wyraźnie kosztowała Chrissa bardzo wiele.

– Zapomnij. – Charlie tylko zerknął na las i wiedział wszystko. – Są za blisko. Nie zdążymy... Rozwałą nas po drodze...

Kilka pocisków z sykiem zryło ziemię obok niego.

– Ja pierdolę! – Serce Boba chciało wyrwać się z piersi. – Wiej, mówię... – Najbliższy niemiecki transporter poderwał się, ugodzony czymś ciężkim, i zajął czerwonym płomieniem.

Wtulili się w ziemię. Zielinsky miał wrażenie, że gdyby mogli, wleźliby w swoje hełmy. Zamilkli, prosząc tylko w duchu Boga, żeby ich oszczędził albo dał szybko zginąć.

Pociemniało od smolistego dymu. Wiatr musiał zmienić kierunek albo to ich wóz zaczął poddawać się ogniewi. Silniki huczały z przeraźliwym metalicznym echem i wydawało im się, że otacza ich wielka armia. W tym chaosie i ciemności, w krótkich przebłyskach lżejszej kurzawy, majaczyły dalekie sylwetki.

– Są! – Krzyk Gródzkiego rozdzierał umysł.

Stary partyzant posłał jednym ciągiem pół magazynka w te ukryte zjawy.

Odpowiedzieli wściekle, gradem kul. Chriss jęknął i złapał się za łydke. Karola uderzyło coś w policzek. Krew pociekła na trawę.

– Nie... nie strzelać! – Chriss zaskomlał. Trudno było orzec, czy wołał do swoich, czy do tamtych.

Zielinsky'emu zrobiło się słabo, serce zdawało się zwalniać. Wiedział, co za chwilę się zdarzy. Mógł tylko zacisnąć zęby, pomodlić się i czekać.

Wyszli z dymu. Czterech, potem jeszcze kilku. Mierzyli do nich, ale nie strzelali. Widać było, że są wściekli, ale ktoś ważniejszy zakazał im kończyć dzieła.

Gródzki uniósł ręce jako pierwszy i szepnął:

– Boże miłosierny...

Już wiedzieli, czemu ciągle nie było widać samolotów.

Nie prowadzili ich daleko. Zaledwie kilkaset metrów, do zrujnowanej, gorejącej pożogą wsi. Cała czwórka rannych, potłuczonych, podtrzymując się nawzajem, szła szturchana kolbami przez ludzi w wytartych oliwkowych mundurach. Twarze mieli ogorzałe, brudne od sadzy.

– Sowietci, to Sowietci – bełkotał Gródzki, trzęsąc się jak małe dziecko i patrząc spode łba na swoją eskortę: kilku *bojców* zbrojnych w pistolety maszynowe i karabiny z długimi bagnietami.

Zielinsky milczał, Chriss tylko kręcił głową. Nie potrafili pojąć, co się dzieje, gdzie właściwie są i kiedy popełnił błąd.

Witał ich gęstniejący tłum żołnierzy. Otaczały ich inne mundury i uzbrojenie, twarze o skośnych oczach. Gdzieś pod brudem wyzierała czerwona gwiazda na czapce.

– Jesteśmy po waszej stronie, kurwa mać! – Chriss wycharczał butnie do któregoś z wartowników. Ale ten tylko skrzywił się i szturchnął Amerykanina kolbą karabinu.

– *Stajat!* – warknął wysoki dryblas o okrągłej głowie. Zrozumieli bez tłumaczenia. Zatrzymali się pośrodku istnego piekła.

Domy – niskie, parterowe budynki z cegieł i drewna – znikły, rozsypując się w pył od ognia. Wiekowy kościółek wyglądał jak wielka świeca, pokryty żółtym płomieniem, bijącym wraz z grubą nitką dymu prosto w niebo.

Czuli się jak w środku huty. Żar dusił, obezwładniał. W gorejących zgliszcach słyhać było kakofonię trzasków i jęków rannych.

Ci stanowili najstraszniejszy widok. Pośród aut, poskręcanych karoserii kilku ciężarówek, jakiegoś opancerzonego dziwoląga, leżało kilkunastu ludzi w długich, zakurzonych i lepkich od krwi panterkach. SS-mani, Wehrmacht, wszyscy wymieszani. Niektórzy jeszcze oddychali, coś rżęzili. Kilku szczęśliwców, którzy przetrwali pogrom, klęczało posłusznie z rękami na karkach. Dzieciaki o niewinnych twarzach, z oczami mokrymi od łez.

Pod Greenmanem ugięły się kolana, gdy doszło do niego, że i on, pod sam koniec, trafił

w niewolę. I to u kogo... U sojusznika. Nie pałał sympatią do Sowietów, ale byli przecież – teoretycznie – po tej samej stronie. I gdyby nie krótkie, chaotyczne opowieści nowego kolegi, Witka, byłby spokojniejszy. Wierzyłyby, że wszystko da się jednak wyjaśnić, ale teraz...? Nie potrafił odpędzić straszego przeczucia.

– Wytrzymaj, chłopie, wytrzymaj. – Chriss podtrzymał go w ostatniej sekundzie przed upadkiem.

Gródzki sapał ciężko, patrząc na to, co działo się dookoła, z przerażeniem.

Te makabryczną scenerię otaczali żołnierze w zielonkawych mundurach. Dalej, za ciężką kotarą z dymu, widać było grupki wojska taszczące ciężkie skrzynie na paki amerykańskich Studebackerów, zaparkowanych między gruzami.

Inni buszowali po jeszcze niezawalonych domach, autach, szukali czegoś wśród trupów i rannych. Niektórzy nosili niemieckie kurtki, buty, a na nagich przegubach pod podwiniętymi rękawami błyszczały liczne zegarki. Patrzyli na swoje zdobycze z ciekawością, wściekłością i zniecierpliwieniem.

Żołnierze strzegący placu karnie stali na jego obrzeżach, co chwila tylko popatrując na niskiego faceta, który stał nieco dalej, w drzwiach amerykańskiego White Scouta M3. Z okien samochodu sterczały lufy Browningów. Mężczyzna nosił niebieską czapkę, przy pasie miał skórzaną raportówkę, a jego niezbyt szeroką pierś zdobiło kilka orderów. Rozmawiał z kimś przez radio, a mały, dwuosobowy sztab czekał na rozkazy.

– To... NKWD... – Głos Witka zadrżał.

– Co? – Greenman nie zrozumiał reakcji Gródzkiego, ale i jemu udzielił się jego niepokój.

– Skurwysyny... – Tłumaczenie było krótkie. – Najgorsi z możliwych.

Sowiec obok warknął, chyba nakazując milczenie. Rozumiał język.

Niski oficer odrzucił wreszcie mikrofon i słuchawki do wnętrza auta. Obciągnął mundur, popatrzył na ludzi Chrissa bez większego zainteresowania, jakby byli przezroczyści. Od drugiej strony zadudniły silniki dwóch czołgów. Objeżdżały wieś, zajmując nowe pozycje. Coś puknęło i w las znów leciały pociski.

– Chłopaków wymietli albo zaraz to zrobią. Wezwijcie kogoś, kurwa... – jęknął Chriss.

– Jesteśmy sami. – Greenman obwieścił to Witkowi nie bez żalu.

Jakiś Sowiec fuknął, nie wiedzieć czemu, po niemiecku:

– *Rue!* – I szurnał nogą, a następnie wycelował bagnet w pierś Gródzkiego.

Poza tym całą czwórka nikt się nie interesował. Charlie pomyślał, że w czymś tu przeszkadzają.

Niski czekista nachylił się nad kłęczącym z brzegu, wysokim, jasnowłosym jeńcem. Ten, mimo ubrudzonej twarzy i poszarpanego munduru, wyglądał jak nazista z propagandowej kreskówki. Musiał być kimś na kształt dowódcy tej bandy, bo niski Sowiec długo trajkotał mu nad uchem. Wyprostował się naraz i skinął na kogoś ze swoich ludzi.

Wysoki żołnierz podszedł do drugiego jeńca i wałnął go z otwartą dłonią w twarz. Nabrał powietrza i poprawił z drugiej strony. Inny Rosjanin, z tobołkiem na plecach, zaczął tłuc pozostałych dwóch SS-manów kolbą po głowach.

Blondyn dygotał jak epileptyk przy każdym ciosie spadającym na jego ludzi.

– Tylko ostrożnie, ani słowa, bo i nas... – rzucił półgębkiem Greenman, zerkając, czy strażnik nie patrzy.

Sowieci nadal ich ignorowali, wpatrzeni w to makabryczne teatrum.

Katowani Niemcy wili się konwulsjach, a ich jęki zagłuszały rzadkie wybuchy gdzieś w od-

dali. Sowiecki dowódca rzucił jakąś komendę. Z grupki Greenmana tylko Witek pojął, o co chodzi. Spiał się cały i syknął mimo woli.

Soldat zbrojny w pistolet maszynowy odbezpieczył go, pochylił lufę i posłał krótkie, głośne serie w kierunku Niemców. Bluznęło krwią. Chriss o mało nie wymiotował.

Dowódca podszedł do roztrzęsionego blondyna, złapał go za kołnierz kurtki i pociągnął.

– *Noch einmal!* – wykrzyczał z uniesieniem.

Odwrócił się do podwładnego i coś powiedział. Potem uderzył SS-mana w policzek i zaczął go odpytywać.

Karol nadstawił ucha, chcąc wychwycić jak najwięcej, ale byli za daleko.

– Pytają o... inne transporty. Ilu jest takich, jak ci tutaj... Transport, miejsce wyładunku... – szeptał prędko, nie pojmując sensu.

Niemiec stękał drżącym głosem, kręcił głową, wskazywał raz w prawo, raz w lewo. Sowiec tłumaczył szefowi, który tylko patrzył, stojąc nieruchomo.

Reszta żołdaków też. Nikt nawet nie odważył się kaszlnąć.

Trwało to dłuższą chwilę, aż najwyraźniej niski oficer wyczerpał pokłady cierpliwości. Albo odpowiedzi mu się nie spodobały.

Złapał za kaburę i wyciągnął wolno pistolet. Przeładował i strzelił w sam środek czoła blondyna. Bezwładne ciało opadło momentalnie w kałużę krwi.

– Kurwa – wyrwało się TJ-owi.

Sowiec zaczął wrzeszczeć na ludzi wokół siebie. Jak na swój wzrost głos miał silny, bardzo donośny. Dwaj przyboczni odskoczyli, przęcając się, jakby czymś zawinili.

Rosjanin ochłonał, ale dla Greenmana i reszty niewiele to znaczyło. Ciemny wylot pistoletu oficera wskazał teraz na nich.

– Idą – sapnął Chriss, podświadomie prostując plecy. – Będę... Będę mówił... – Poczuł, że to na nim spoczywa ten obowiązek.

– Może lepiej... – Próbował oponować Greenman, ale znów przerwał mu bolesny kuksaniec od wartownika.

Niewielki sztab sowieckiej *jaczejki* podszedł wolno, uważnie oglądając czterech jeńców.

Niski oficer w niebieskiej czapce założył dłonie na plecach, ciągle ściskając broń. Czuł się swobodnie. Był tu panem życia i śmierci, otoczonym swoimi podwładnymi.

Miał chudą twarz, pokrytą siwiejącym dwudniowym zarostem. Jego oczy przeszywały na wskroś. Wydawały się prześwieślać, czytać w myślach i straszyć zarazem.

Spojrzał na ich hełmy i mundury, najwyraźniej szukając jakichś dystynkcji. Chriss nosił połykującą „szynę” na kołnierzu, więc to jego wskazał.

– Amerykanie? – Jego angielski nie był może idealny, ale i tak wrażenie zrobił ogromne. Tego Bob się nie spodziewał. Popatrzyli po sobie z Greenmanem.

Chriss kaszlnął nerwowo.

– Tak jest! – Zasalutował najlepiej, jak potrafił, niczym przy defiladowym meldunku.

Jednak jego rozmówca zbył ten gest ironicznym uśmiechem.

– Na chuj wy tu? – zapytał prosto z mostu. Zdawało się, że chce splunąć im pod nogi.

Chrissa znów na chwilę zamurowało, ale prędko zebrał się w sobie. Adrenalina pomagała.

– Jesteśmy przedstawicielami armii sprzymierzonej z dzielną Armią Czerwoną – wyrecytował wolno, jakby czytał tekst z wojskowej gazетки propagandowej.

Niski oficer uśmiechnął się i rzucił coś reszcie przez ramię. Buchnęli śmiechem.

Tylko Gródzki zrozumiał jego słowa, ale nie odważył się odezwać. To, co widział, co przeżył

zeszłego lata, kiedy nadeszli za frontem ludzie w niebieskich czapkach, zamykało mu usta.

Chriss wygłosił krótką, pokorną przemowę, spokojnie szukając w głowie coraz okrągłych słów. Greenman za to drżał, gotował się w środku i ścisnął pięści. Takiego upokorzenia nigdy się nie spodziewał. Nic nie mógł jednak zrobić.

– Agitator zasrany! – Sowiecki oficer podrapał się po szyi, przerywając mowę porucznika. Spoważniał naraz i zrobił to w sposób, który jasno dawał do zrozumienia, że dyplomacja się kończy.

– Ilu was? Skąd wiedzieliście o transporcie? – zadał dwa krótkie pytania. – No? – Czekał rozglądając się po okolicy. – Gadaj! – Z wolna czerwieniał.

– Sir... – Chriss nie rozumiał już niczego, ale postanowił trzymać się tego, o czym zaczął mówić. – Jako oddział sprzymierzony...

– Skąd mieliście informacje o naszej marszrucie? Kiedy was poinformowali? – Sowiec skinął na ciała Niemców.

– My... – Bob zrobił wielkie oczy i wzruszył ramionami. Patrzył na resztę, jakby szukał pomocy. – Zostaliśmy ostrzelani... – Spróbował ostrzej. – Mimo że byliśmy oznakowani jako...

– Pierdolenie. – Czekał podrapał się muszką broni w policzek. – To już dawno nie wasza zona, nie wasze sprawy. Eisenhower zakazał, to i ja wiem. No więc kiedy...? Kto wam dał rozkaz? Na szczeblu dywizji czy może armii? – Padła seria pytań.

– Jesteśmy oddziałem zwiadu... – Chriss wyraźnie nie radził sobie z presją.

– Taa, zwiadu... O tam – broń oficera wskazała dymiący las – jest reszta waszych... Co ty myślisz, że nie wiemy? Idziecie jak po swoje, jak na defiladę... No, ale jak nie chcesz mówić, to przyprowadzą mi kogoś innego do gadania... – Odwrócił się i rzucił do swoich ludzi coś tak szybko, że nawet Witek nie zrozumiał.

W pancernym aucie ktoś odpowiedział i zaczął krzyczeć do radia. Nie minęły trzy sekundy, jak pyrkoczące do tej pory silniki czołgów grzmotnęły.

Kilka grup piechoty pognanych rozkazem ruszyło pod osłonę panczerzy. Czołgi, dwa amerykańskie Shermany, zdruzgotały parę osmolonych ścian i jeszcze zanim wyszły z obejść, huknęły ich działa. Pociski przeszły rzadki las.

– Boże... – Chriss skulił się ja wystraszony uczeń. – My jesteśmy oddziałem zwiadowczym... – powtarzał jak mantrę, z jęklwym zaśpiewem. Zrobiło mu się okropnie gorąco, tak jakby ktoś dorzucił drewna do otaczającego ich wszystkich ognia.

– Daj spokój! – szepnął Witek. Niewiele rozumiał z tego języka, ale było dlań jasne, że Amerykanin mięknie.

Nagle Sowiet zaciekawiał mundur Gródzkiego. Zrobił krok w bok i dłubiąc w zębie, przyglądał się krojowi i guzikom.

– O proszę... – Przyszło olśnienie. – Jeniec. A może i dezterter... – rzucił z pogardą. – No, to może ty powiesz coś ciekawego? Ja jestem Kugljow. NKWD. Ty pewnie wiesz lepiej niż oni, co to znaczy? Prawda? – Sowiec przeszedł na rosyjski. – Zwiadowcy, co?

Witkowi tylko grdyka zafalowała.

– Zwiad, a nie wiecie, że od północy ruszyła nowa ofensywa i za plecami macie cały nasz front? Idą na Pragę, będą tam w dwie doby. – Kugljow przechylił głowę, czekając na jakąkolwiek reakcję.

Witek wytrzymał jego spojrzenie bez słowa.

– Nie wiecie... ciekawe. I pchacie się poza linię rozgraniczenia... Ot tak. – Czołgi strzeliły w ukryte gdzieś daleko cele. – A ja sobie myślę... Myślę, sojusznicy, że musieliście mieć po-

wód... żeby pchać się tutaj... – Wziął się pod boki, nastroszył i huknął tak głośno, że cała grupa struchlała. – Więc pytam, od kiedy wiedzieliście o transporcie z Pragi?! Kto się z wami kontaktował, kto dowodzi operacją?

– Ej, Witek... – Greenmana toczył bezsilny niepokój. – Czego on chce? Mów. Mów, cholera! – Szarpnął Polaka za rękaw.

– Oszaleli – wyszeptali pobladli Gródzki, bojąc się, że poliglota z NKWD i jego rozumie. – Oni nas biorą za jakichś pieprzonych szpiegów... – Otarł pot zalewający mu oczy.

– Szpiegów? – Greenman powtórzył po angielsku.

– Słuchaj, chłopie. – Chriss miał dość. – Bez jaj. To wszystko da się jakoś... – Zrobił krok, ale zaraz na jego ciemię spadł cios kolby. Syknął i osunął się na kolana, ale nie zemdlał. Reszta nawet nie próbowała mu pomagać.

– Pytam raz jeszcze! – Sowiet cofnął się i uniósł pistolet. – Kto dowodzi i kiedy dostaliście rozkaz spotkania z Niemcem?

Odpowiedziały mu tylko przełęcznione, rozbiegane spojrzenia umęczonych ludzi.

– To będziemy odliczać... – Zrobił krok do przodu, wyciągnął ramię i wycelował. Zimna lufa boleśnie cisnęła Zielinsky'ego pod okiem. Sowiet wyżej nie sięgał.

Charliemu zdawało się, że popuścił. Przetykał ślinę, choć w gardle miał pustynię. Dygotał tak mocno, że spodziewał się zaraz usłyszeć rechot Sowietów.

„Czemu ja?” – w takiej chwili był czystym egoistą.

Kuglów wcisnął bezpiecznik. Dziwnie zmrużył oczy, poluźnił nacisk lufy. Karol wstrzymał oddech i napiął mięśnie.

Jeden z oficerów, stojący do tej pory potulnie za czekistą, zrobił się jakiś niespokojny, wskazał gdzieś przed siebie palcem i krzyknął coś niezrozumiale.

Wszyscy jeńcy, prócz przerażonego Karola, spojrzeli za siebie.

– Dym, Greenman, zielony dym. – Chrissowi naraz wróciła para. – Pomyśleli, cholera, pomyśleli! – Klaskał w dłonie, głuchy na wrzaski Sowietów. – Jebać ich, jak nie chcą po dobrze...

Na tle lasku ostrzeliwanego seriami czołgowych kaemów unosiła się nienaturalnie zielona chmura.

Kuglów stanął na palcach. Usiłował wychylić się zza rośniejszego jeńca, wyciągając szyję w sposób, który, gdyby nie okoliczności, można by było określić jako komiczny.

Lufa tetetki opadła. Karol nabrał powietrza. Miał szansę.

– Przygotuj się! – rzucił po polsku Witkowi.

Czekista drgnął, przypominając sobie o swoim celu. Wypreżył ramię. W tej samej sekundzie, przez łoskot naziemnej bitwy, gdzieś z wysoka zaczął pulsować inny, metaliczny dźwięk.

Witek dopiero teraz pojął, co się wyrabia.

– Padnij! – wrzasnął i uderzył czekistę głową w twarz.

Karol rzucił się na plecy. Błysnął strzał. W nozdrzach parzyły go gorące resztki prochu. Ciepły podmuch pocisku owionął mu twarz.

Sowiecki dowódca krzyknął. Oficer, stojący za nim, rzucił mu się na pomoc, usiłując go osłonić.

Gródzki walił na odlew w niewielki korpus.

W powietrzu nagle rozniósł się znajomy, głośny gang. Rozszedł się echem po okolicy. Odgłos jednego silnika przeszedł w dwa. Na pokrytym chmurami niebie wyrosły dwa połyskujące punkty.



– To ich...! – wrzasnął strażnik, podnosząc karabin.

Długi cień, ciągnący za sobą białą smugę, przeleciał ze świstem nad ich głowami. I po chwili jeszcze raz. Wybuch na polu zabłysnął pomarańczowym płomieniem. Druga eksplozja zakryła sowieckie działo pancerne za wsią. Pojazd buchnął ogniem. Reszta ludzi otaczających go rozpierzchła się, szukając schronienia. Trzeci pocisk walnął w podwórze domu, przy którym stali Amerykanie. Ziemia zadrżała, podmuch przewrócił ludzi, których w tej samej chwili zasypał deszcz dachówek, cegieł i połamanych sztachet. Wszystko spowił dym i gryzący kurz. Zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Przez jedno czy dwa uderzenia serca nie dało się złapać oddechu. Rozbiegli się, szarpani wybuchem.

Dwie srebrne sylwetki pomknęły niebem, wyjąc silnikami. Jakim sposobem Brashier wezwał Thunderbolty, a potem jeszcze kazał atakować sojusznicze wojska, pozostawało jego tajemnicą.

Charliego przygniół jakiś człowiek. Po ciemku, w dymie zaczął szukać jakiegokolwiek broni. Choćby kija czy cegły. Kiedy opadł kurz, spostrzegł, że Chriss złapał za lufę pistoletu maszynowego rosyjskiego strażnika, który teraz leżał na nim. Sowiec też dopiero się rozglądał... Bob nie namyślał się długo i przyrznął facetowi pięścią w szczękę. A potem poprawił raz jeszcze.

Karolowi piszczalo w uszach, a ciepła struzka krwi sączyła się po policzku. Wszystko dudniło głuchym, jednostajnym hukiem, w głowie coś kłuło. Świat wkoło niego wywrócił się do góry nogami i zapłonął cały, jakby miał się skończyć.

Gródzki, na wpuć żywy, ledwie łapiąc oddech, usiadł na ziemi. Cały był uwalany grubą warstwą pyłu i nie swojej krwi. Potrzęsnał głową i chwycił za broń martwego Sowietę.

Greenman wygrzebywał się spod leżącego na nim żołnierza.

Jeszcze nie bardzo pojmowali, co się działo, i otumanieni jak bokserzy po nokaucie ślaniali się, gniecieni bólem pod czaszkami.

Znowu coś wybuchło, podnosząc języki ognia na jednym z pojazdów. Sowietę padli na ziemię, osłaniając głowy. Jeden zawisł na płocie, rzucony tam falą uderzeniową.

Witek Gródzki nie tracił czasu. Serce pompowało adrenalinę. Odbezpieczył zdobyczną pepeszę, przyklęknął na jedno kolano, wycelował w wątłą sylwetkę sowieckiego oficera rzuconego podmuchem na ziemię.

Błysnęło paliwowym płomieniem. Oślepiło go na moment i seria przeszła ziemią, trafiając kóregoś z Rosjan.

Witek upadł i zauważył, że strzela do niego wysoki żołnierz w maskującym mundurze. Przeturlał się w bok. Ledwie to zrobił, a kilka pocisków podziurawiło miejsce, na którym leżał jeszcze przed momentem. Sowiec ruszył biegiem w jego stronę, żeby lepiej przymierzyć. Polak odskoczył, ciągle ściskając pistolet maszynowy. Grzmot poszedł po drodze i jego prześladowca padł ścięty zabłąkanym odłamkiem. Prychnął krwią i przestał oddychać.

Gródzkiemu niewiele to pomogło. Z przerażeniem zobaczył, jak jakiś rozjuszony żołdat chce dołożyć mu kolbę. Nie wiadomo, skąd wziął się nad nim, trzymając Mosina i robiąc szeroki zamach. Witold bez mrugnięcia okiem wycelował, jedną ręką ujmując broń, i długo przytrzymał spust. Seria rozpruła żołnierza od pachwiny po głowę i rzuciła nim na ścianę.

Zastępca czekisty, poparzony, bez czapki, w poszarpanej bluzie, też jeszcze zbierający siły, zerwał się prędko, dosięgając kabury. Karol widząc to, skoczył w instynktownym odruchu. Dźwignął za lufę bezpieczeństwa Mosina. Zamachnął się tak mocno, jak potrafił, i wyrznął faceta w nos. Starczyło. Oszołomiony bolszewik zalał się krwią i padł w piach. Nie ruszał się.

Greenmana na chwilę zamurowało. Uderzył Sowietę. Pierwszy raz w życiu... No i formalnie to byli przecież sojusznicy.

Zaraz po ostatniej eksplozji dwa kolejne domy zaczęły rozlatywać się na kawałki, dziurawione ogniem karabinów maszynowych. Zielinsky jeszcze tego nie słyszał, tak piszczało mu w głowie, ale widział długie, smugowe linie, przelatujące nad dachami.

TJ ciągle leżał i próbował strzelać do kryjących się Rosjan. Szybko się uczył obsługi obcej broni. Nie miało dla niego znaczenia, w kogo bił. W Niemców, Ruskich... Musiał się ratować.

Zamęt ogarnął wszystko. Byli w środku nalotu, ostrzelani przez samoloty, smagani ogniem z płonących domów. Czuli się jak we wnętrzu wulkanu.

Zza załomu zrujnowanego muru wygrzebał się rostry żołdat. Przed chwilą pilnował całej czwórki. Dmuchał w zamek. Wycelował w Polaka leżącego na ziemi, widział doskonale jego głowę w szczyrbince broni. Szarpnął spust. ale nic się nie wydarzyło.

– *Bładź!* – zaklął zły. Na ładowanie nie miał czasu.

Witek widział już wylot lufy Sowiet, tak samo jak całe życie, które przeleciało mu przed oczami.

Przycisnął karabin do ramienia, pociągnął za cyngiel. Też nic.

– Cholera! – wrzasnął. „Pierdolony pech” – przeszło mu przez głowę i niczym zwierzę w postrzasku zaczął się cofać rakiem przed oprawcą, który ruszył na niego, sięgając po nóż.

Gródzki szukał gorączkowo jakiegoś oręża, ale jak na złość pod ręką nie było nawet kawałka cegły.

Sowiet przymierzył i z wielką siłą cisnął długim majchrem. Ostrze przeszło powietrze i drasnęło lewe ucho Witka. Poczul płynącą krew. Żołdak rzucił się na niego, ale Gródzki zdołał kopnąć go z całej siły w brzuch. Sowiet cofnął się, klnąc jeszcze bardziej. Witold podskoczył i gdy czerwonoarmista był jeszcze schylony, kopnął go w głowę. Bolszewik, nie mogąc złapać równowagi, padł na plecy. Nie stracił jednak rezonu i świadom zagrożenia zaczął szukać broni.

Rzucił się do najbliższej leżącego karabinu jak młody kot na mysz. Gródzki nie miał szans w tym wyścigu.

Na szczęście TJ nie spał. Doładował drugi magazynek. Przeładował, przymierzył instynktownie. Strzelił.

Sowiet syknął i zatrzymał się z wyrazem potwornego bólu na twarzy. Gródzki rzucił się do peemu. Schwycił go i obrócił się na plecy. Zacisnął palec na spuście. Trzask serii zagłuszył westchnienie ulgi.

Sowiet padł jak długi. Polak chciał podziękować TJ-owi i uniósł rękę w stronę wybawcy, kiedy jeszcze jeden wybuch porzrzucał ludzi jak szmaciane zabawki.

Greenmanowi powoli wracała pełna przytomność, choć miał wrażenie, jakby pod hełmem galopowało mu stado koni. Zaczynał czuć piekło pożarów i duszący smród. Nie przeżył jeszcze nigdy czegoś takiego.

– *Wiejemy!* – Krztusił się, wołając raz po polsku, raz po angielsku.

W biegu na czworaka mógłby pobić jakiś rekord, ścigany jęzorami ognia, kiedy wielki cień przeleciał nad wsią. Kolejne maszyny dywizjonu nawracały dokańczać dzieła.

– *Wiejcie!* – rzeził, gorączkowo rozglądając się za resztą.

Coś uderzyło go w głowę.

– *Boże* – jęknął i padł na ziemię, przekonany, że już po nim.

Krew zalewała mu oczy.

– *Wiejemy!* – Spróbował jeszcze raz, ale słabiej, bez przekonania.

Gródzki przyskoczył do niego. Próbował go podnieść i odciągnąć w jakąś dziurę.

Omiotła ich głośna, gorąca eksplozja, tłukąc przy tym deszczem kamieni. Znów nad wsią za-

świstała rakietą. Pancerne auto uniosło się w kuli ognia.

Trzymany pod ramiona, przerażony, oblepiony krwią Greenman dostrzegł w kurzawce sowieckiego dowódcę. Sukinsyn wydał mu się odporny na to wszystko. Stał bez swojej czapki, poparzony, ale ciągle cały. Niewzruszony, jak w amoku, celował do niego.

Strzał był przedziwnie głośny. Charlie zacisnął zęby, szykując się na uderzenie szarpiącego bólu, ale zamiast tego zakłuło go w uszach, błysnął płomień rozlewającej się benzyny i po chwili nie było już przed nim niskiego czekisty.

Ziemia nagle potwornie się zatrzęsała. Sherman, który jeszcze ułamek sekundy temu stał na skraju wsi, wylatywał w powietrze z całą mocą eksplodującej w nim amunicji. Podmuchił go tak silny, że prawie dało się go zobaczyć. Kilkutona wieża uniosła się w górę niczym wielki głaz i spadła obok czołgu. Z miejsca, gdzie przed chwilą się znajdowała, buchał ogień wysokości domu.

Chriss wyskoczył ze smolistego dymu. Twarz miał czarną jak heban. Odznaczały się w niej jedynie przerażone, szeroko rozwarte oczy.

– Jezus Maria, Jezus Maria – bełkotał. – Myślałem, że po was... – Pluć sadzą i krwawił z uszu jak reszta. – Wiejemy, póki jeszcze...

– TJ, gdzie TJ?! – Greenman kiwał głową, nadal ogłuszony.

– Rzuciło nim, cholera, nie wiem... – Chriss wiercił się nerwowo. – Jarmoe! – wykrzyknął. – Idę po niego. – Już nie patrzył na Polaków. Nie bez trudu, pochylony, wracał tam, skąd się wy dostał.

Czwarty z P-47 przeleciał nad ruinami, z gwizdem przecinając powietrze. Pilot szukał jeszcze jakichś dogodnych celów. Dopiero kiedy przemknął, zaczęło cichnąć. Przez hałas przebiły się błagalne jęki rannych, pojedyncze, nieśmiałe rozkazy ocalałych dowódców.

– To nie był wielki oddział. – Witek w szoku zaczął analizować sytuację. Zakasłał przydużony dymem. – Pluton, może kompania z kilkoma czołgami. Jakaś straż przednia, Smiersz czy inna cholera...

Greenmana niewiele to obchodziło. Nie rozumiał słów. Wypatrywał TJ-a i Chrissa. Miał serdecznie dość wojny, szczytnych idei, własnych bajdurzeń o ratowaniu kogokolwiek. Chciał stąd wiać, teraz, natychmiast... I tylko resztką lojalności oraz nieludzki ból trzymały go na miejscu.

– Wracają! – ryknął Gródzki i zerwał się z miejsca, pokazując coś na niebie. – Kurwa, Karol, wiejmy! – Pociągnął Charliego za łokieć, tak mocno, że prawie wyrwał mu rękę ze stawu.

– Nie! – Zielinsky zawył. – Musimy... czekać na nich...

Witek nie miał zamiaru dyskutować. Złapał go za drugą rękę, zarzucił ją sobie na kark, gotów nawet walnąć go w szczękę, gdyby się opierał.

– Karol! Poradzą sobie – kłamał przerażony. Parskał przy tym jak koń, ciągnąc ogłupiałego rodaka jak najdalej od tego piekła.

Na niebie, w przeblasku słońca, zajaśniały znów kadłuby amerykańskich myśliwców. Samoloty zatoczyły szerokie koło, obniżając pułap tuż przed wsią. Leciały znacznie wolniej niż ostatnio. Lotnicy zaczęli zabawę od początku. Prawie równocześnie zaczęły strzelać ich karabiny maszynowe. Każdy z P-47 miał osiem karabinów 12,7 mm, które potrafiły roznieść budynek. Pomarańczowe linie pocisków wyleciały ze skrzydeł i po chwili z potężną siłą rozrywały kolejną ciężarówkę. Fontanny piasku i ziemi wyrosły z każdej strony wozu. We wszystkich częściach Studebeckera pojawiły się dziury, a z podwozia buchnął ogień. Inne auta, czołgi, działa, wszystkie już zniszczone, niegroźne, obrywały jeszcze raz, w głośnym szczęku rykoszetów.

Lepszego dopingu nie trzeba było. Zielinsky i Gródzki ruszyli przed siebie, kryjąc się zaraz

przed lecącym gradem ołowiu.

Lotnicze kaemy umilkły, kiedy maszyny dochodziły nad wieś. Obaj Polacy kuśtykając, posuwali się do przodu. Niemal płakali.

Przy kolejnym przelocie od skrzydeł myśliwców oderwały się cztery ciemne, owalne przedmioty. Piloci przykładali się do swojej roboty.

Samoloty przemknęły nisko nad budynkami, lecąc równo, skrzydło w skrzydło. Zaraz po tym ziemia jęknęła i czarny słup dymu wyrósł po drugiej stronie drogi.

Polacy poleciali w wilgotny rów. Cztery bomby trafiły czołg, ale teraz Greenman i Witek nie mieli zamiaru tego oglądać. Dość im było takich widoków.

Z obłoku, który podniósł się w miejscu uderzenia pocisków, wyfrunął kawałek gąsienicy. Kilka domów utraciło resztę dachówek, a wieża kościoła rozsypała się w proch.

Bitwa milkła wraz z oddalającymi się samolotami. Słychać było jedynie trzaski płomieni i jęki umierających. Wszystko spowite zostało całunem ciężkiego, gryzącego dymu. ■

## ROZDZIAŁ 12

1948

– Nic? Na pewno?! – Sylwester Barańczak krzyczał do słuchawki. – Jak tylko by coś było... Zaraz do mnie. – Nie zabrzmiało to zbyt pewnie. Bo też oficer nie był już niczego pewien.

Dłonie mu drżały, kiedy ze słuchawką przyciskaną głową do ramienia podpalał kolejnego papierosa. „Woron” zapadł się pod ziemię. Jego największy atut. Skarb. Chłoptaş, któremu lata temu udało się wybić z głowy wojaczkę w szeregach AK. Któremu zamarzyły się oficerskie szlify i los lepszy niż nieszczęsnego brata, szpiega.

Barańczak był nawet pewien, że uda mu się spełnić te wszystkie plany. Pomóc Gródkiemu. Potem etat, może nowy kierunek działania. Ale to zależało od efektów akcji. A teraz? Cisz. Dwie cholerne doby. Jeszcze zdołał przekazać to, co najważniejsze, co tak ucieszyło Zardowa. Ktoś przyjechał – nowy, obcy. „Woron” mętnie opowiadał o okolicznościach, w jakich poznał przybysza. Może nie o wszystkim chciał mówić? Nie było to w sumie ważne.

Na tego przyjeźdnego nic nie mieli oprócz podejrzeń. Patrol próbował go złapać. Nieświadomi durnie...

Barańczak wiedział, że zaraz po tym incydencie „Worona” wezwała banda. Miał się potem wypowiadać, przekazać, co to za gość i jakie są plany bandytów. Kapitan nie wracał jeszcze, żeby nikogo nie spłoszyć. Taki był rozkaz ludzi z Moskwy. Teraz żałował. Bardzo. Mógłby ko-goś dać na obserwację, do ochrony. Trudno. Miał złe przecucia. Nawet nie o agenta chodziło. Bardziej o jego własną głowę.

Szło tak dobrze. Były plotki, pokazy siły i koniec krycia się moskiewskich w zamkniętym urzędzie. To wszystko musiało działać, skoro „leśni” wzywali młodego. „Pielgrzym” łapał przy-nętę. A ta była dobra – „Woron” miał brata w potrzasku. „Pielgrzym” nie mógłby odmówić pomocy swojemu człowiekowi...

– Gównu – stęknął kapitan, zaciągając się głęboko. – Wszystko to gównu warte! – Podrapał się po głowie. Pole manewru miał niewielkie. Myślał intensywnie. Posiadał jeszcze kilka posterek w okolicy. Mógł podzwonić, popróbować, ale chyba tylko jakiś cud, jak to w kościele mawiali, dałby radę. Teraz, bez „Worona”, był głuchy i ślepy. Tamci mieli przewagę.

Podszedł do okna.auta ściągnięte na postrach plutonu KBW stały na podwórzu.

– Tak. – Oficer przygryzł wargę. Zdusił papierosa w popielniczce i ruszył ku drzwiom. Skoro niewiele widział, trzeba było się przygotować na każdą okoliczność, zabezpieczyć. Tamci coś szykowali. Pozwolić, by go podeszli, byłoby bardzo, bardzo głupio. Ludzie z Moskwy nie musieli o wszystkim wiedzieć.

\*

Nocny mróz odpuszczał, ale bardzo powoli. Zima wciąż próbowała atakować i silny wiatr znów nawiał ciężkie, ołowiane chmury, z których od północy sypało śniegiem. Przez gęstą kurzawę niewiele było widać, a i noc zdawała się nie kończyć.

Karol Zielinsky naciskał pedały pożyczanego roweru, smagany wichrem i śniegiem, ale nie pomstował. Pędził za swoim przewodnikiem, skryty za tą białą ścianą, i naiwnie sądził, że to taki bonus od Boga, zadośćuczynienie za to wszystko, w co wdepnął i czego ostatnio się dowiedział. Musiał stać się niewidoczny.

Jeszcze miał nikłą nadzieję, że się uda, że Gładyszak zna tutejsze stosunki i zachował to, co najlepsze ze swoich umiejętności.

Do celu dotarli szybko. Kiedy głowa jest zajęta, czas i droga mijają szybciej. Nikt ich nie niepokoił, nie zauważył ani w lesie, ani na polach. Ludzie jakby zniknęli i nawet po dalekich wsiach trudno było zauważyć jakikolwiek ruch. Panowała pustka jak na Księżycu.

Za kwadrans szóstą odstawiali rowery pod drzewo w starym lasku. Nadal panowała ciemność, zimowy świt nie spieszył się z nadejściem.

– Kto tam? – Pytaniu towarzyszył rozbłysk latarki.

– Zefir. – Gładyszak spokojnie, rutynowo wypowiedział hasło.

– Szkwał – doleciało i latarka zgasła.

– Są wszyscy? – Maciej znał swoich po głosie.

– Tak jest – zameldował wysoki chłopak. Skinął zaraz na trącego oczy Greenmana i poprowadził ich między zarośla.

Wzrok Karola znów przywykł do ciemności.

– Czołem! – „Pielgrzym” powitał ludzi stojących w szeregu na polance.

– Czołem, panie poruczniku! – Wiatr poniósł chóralny, rażny okrzyk. Nikt nie obawiał się wykrycia. Rozpierała ich energia, chęć zemsty za to, co działo się wcześniej.

Karol Zielinsky stanął trzy kroki za dowódcą. Był tu obserwatorem, podległym tylko gospodarzowi terenu. Z ciekawością i zazdrością patrzył na ten *esprit de corps*, którego on, z całym swoim wiadrem medali czy opowieściami z pól Francji i Niemiec, mógł tylko pozazdrościć.

Wyglądał jak oni, w wojskowych spodniach, watomanej, lekko już nieświeżej kurtce i ciepłej czapce. Wyposażyli go w Stena i aż sześć magazynków, pistolet TT i dwa granaty.

Z szaraczków, ledwie wegetujących każdego szarego dnia, przeistaczali się w wojowników. Nie byli już zwykłymi robotnikami czy rolnikami. Szli na akcję jako polscy żołnierze. Pewni swego. Może nawet zbyt pewni.

Stali w szeregu, umundurowani prawie jednakowo – poniemieckie sorty, czasem białe kurty, ładownice i polskie rogatywki z orłami. Na uszy nasunęli szalokominiarki i czekali w zamieci na rozkazy, objuczeni masą broni, także cięższej.

Sam „Pielgrzym” też wyglądał inaczej. Ogolił się dokładnie, przyodział bojowo i sprawdził broń. Wydawał się olbrzymem. Nie był wiele wyższy od reszty, ale mimo to niemal rósł w oczach, uskrzydłany magią swej legendy, setek potyczek i akcji. Zwłaszcza teraz, na tle swego oddziałku, wpatzonego w niego jak w Boga, wyglądał na prawdziwego wodza. To nieco zmniejszało niepokój Greenmana.

Zdążył już usłyszeć o starym domu pod lasem, pod jakimś Sitnem. Wewnątrz miało czekać co najmniej kilkunastu ludzi. Były też auta i patrole. Najgorzej, że w okolicy zagnieździło się nieco wojska. Milicja paradowała z długą bronią jak za dawnych, bojowych czasów.

Kilkanaście godzin wystarczyło, żeby się tego dowiedzieć. Tym też imponowali przyjeźdnemu. Znajomością terenu, ludzi i stosunków. Zdawali się wyprzedzać okupanta o kilka kroków. Przynajmniej tak to wyglądało. I temu Karol musiał zaufać.

– Spocznij – rozkazał już spokojniej dowódca. – Panowie, wiem, że plan zakładał uderzenie z pierwszym brzaskiem. Mieliliśmy otoczyć teren i obserwować, ale... Nie ma czasu. Ruszamy natychmiast. Teren wielu z was zna, obiekt zresztą też.

Zielinsky poczuł lęk. Zaczął się zastanawiać, czy aby „Pielgrzym” nie wie o czymś jeszcze bardziej przerażającym, czy nie boi się wsypy i dlatego tak popędza towarzystwo.

– Ja i pan Król... – Gładyszak odwrócił się i skinął lekko głową – idziemy na przedzie. –

Spojrzał na resztę. – Sekcje poprowadzą „Anastazy” i „Giewont”. Reszta bez zmian. Nie strzelać, nie rozmawiać. Jeśli kogoś spotkamy... zostawcie to mnie. Do celu mamy około godzinę ubezpieczonym marszem. Rozchodzimy się na stanowiska, obserwujecie i czekamy. Sygnał do ataku to wybuch granatu. Odskakujemy zwyczajowo, każdy sam albo dwójkami. Rannych brać na melinę koło Kosiorek. Więźniów zabieramy do ruin młyna. Jeśli mnie trafią, komendę przejmuje pan Król, potem sierżant „Anastazy”...

Zamilkł na chwilę, by zaczerpnąć powietrza.

– No, panowie! Z Bogiem!

\*

Przebycie trasy do pozycji wyjściowej dla całej kilkunastoosobowej grupy okazało się nadspodziewanie łatwe. Nikt z nich nie robił tego po raz pierwszy. Nie odzywali się ani słowem, co chwila przystawali tylko, nasłuchując pogoni i wypatrując obcych.

Dotarli do szosy kockiej. Szczęśliwie dla nich była pusta. Przebyli nieduży las i przystanęli. Obchodzili cel od południa, tam gdzie łatwiej było im się skryć w ciemnym i gęstniejącym borze.

Sekcje rozstawiły się sprawnie w obronie okrężnej, kontrolując najbliższą przesiekę, ale nadal pozostając w ukryciu. „Pielgrzym” zabrał Zielinsky’ego i począł przedzierać się długim manewrem oskrzydającym na tyły domu, dawnej posiadłości ziemskiej, znajdującej się teraz we władaniu Sowieców. Był to dziwaczy przybytek, który niespodziewanie mianowano jakimś posterunkiem czy więzieniem, jak ludzie gadali. I, jak podejrzewał „Pielgrzym”, kwaterą główną szykowanej zasadzki i prowokacji, w której swoją rolę odgrywał nieszczęsny „Leon”.

Rozpoznanie przeprowadził sam. Może nie było to zbyt rozropne, jednak nikomu tak nie ufał jak sobie, a przy tym nie chciał narażać ludzi. Ci wiedzieli, co mają robić. Jeśli przez dwadzieścia minut nic się nie zdarzy, ruszali jego śladem, by otoczyć dom z dwu stron i odciąć od szosy, a potem usunąć cicho czujki i ubezpieczenia. Mieli czekać na sygnał, a następnie w planie był szybki skok, odciąganie, ilu się da, prosto pod lufy i wejście. Później odskok. Błyskawicznie, bez marudzenia.

Proste w teorii – jak zawsze. I jak zawsze całe ciało Gładyszaka spinał skurcz, reakcja obronna przed strachem, której nie zwalczała nawet adrenalina.

Karol dotrzymywał mu mężnie kroku, fizycznie był sprawny, ale z każdym metrem tężał mu pod czaszką trudny do opisania lęk. Odwykł od tego wszystkiego i teraz dopiero przyznawał się do tego przed sobą. Za późno. Modlił się od samego początku, mając przed oczami obraz swojej żony i małego Josepha.

Ścieżkę pokonali jednym susem, żeby nie było śladów. Szczęśliwie zadymka zasypywała wszystko momentalnie.

Karolowi trudno było się zorientować, gdzie są, ale „Pielgrzym” zasygnalizował pozostałej dwójce, że dom jest przed nimi. Rozkazał paść na ziemię i sam, dla przykładu, zaczął się czołgać.

Po kilku minutach za linią drzew zamajaczył szary kształt. Niepozorny z tej odległości, ciemny, pozornie bez śladów życia. Za nim wycierał tylko skrawek stodoły czy stajni.

– Tam muszą trzymać auta – wyszeptał dowódca oddziału, lustrując okolicę przez lornetkę.

Karol nic nie dopowiedział. Gapił się tylko na szary kształt tonący w śniegu, i był coraz mniej zadowolony. Na słowo „auta” wróciło wspomnienie ciepłego garażu i biura.

„Trzeba było zostać...” – westchnął w duchu.

Wiatr raptownie się zmienił. Przyniósł głuchy, ale wyraźnie słyszalny metaliczny jęk. Gdzieś od północy odzywały się jakieś silniki.

Wszyscy przypadli do ziemi.

– Wartownik. – Greenman pierwszy dostrzegł w oddali człowieka w płaszczu. – Idzie, idzie – szeptał nieco wystraszony.

– Czekaj. – „Pielgrzym” leżał nieruchomo niczym kamień.

Karolowi zaschło w ustach. Krew zaczęła buzować mu w żyłach. Sowiet był już na odległość strzału i zbliżał się coraz szybciej. Pewnie kończył poranny obchód. Gładyszak jakby dopiero się ocknął. Wyszarpał finkę z pochwy i na czworakach, jak myśliwski pies, popędził płytkim rowkiem.

Był skupiony tylko na jednym punkcie. Zmysły mu się wyostrzyły.

Sowiet ciężko brnął przez śnieg. Maciej spiął mięśnie, odczekał jeszcze kilka kroków i wstał. Zachwiał się lekko, odetchnął i wszedł na ścieżkę. Obrócił głowę, upewniając się, że czerwony nie ma towarzystwa. Zacisnął palce na rękojeści noża i ruszył pędem za Rosjaninem.

Sowiet zerwał pistolet z pasa, przycisnął go do biodra i zmrużył oczy, szukając źródła hałasu. Przystanął, ale nawet nie zdołał się obrócić. Zimne ostrze dźgało raz za razem w grubą, silną szyję.

Krew zboczyła śnieg. Rosjanin charczał, szamotał się, ale wreszcie osunął się na kolana, a potem twarzą poleciał w czerwony śnieg.

„Pielgrzym” złapał pepeszę, a drugą ręką kołnierz płaszcza ofiary i z trudem, sapiąc, przeciągnął martwe ciało dalej w krzaki. Strużkę krwi szybko pokrywał biały puch.

– Wracamy do roboty. – Splunął. – Słyszysz? – Kiwnął na Karola.

Podciągnął futerał, wydobyl lornetkę i krótko lustrował przestrzeń przed sobą. Nabral powietrza i sięgnął do pasa po granat obronny. Zaczynała się decydująca faza.

Gładyszak ruszył pierwszy. Pełzł, dzierżąc pistolet maszynowy w jednej dłoni i granat w drugiej. Karol potulnie czołgał się za nim. Musieli dotrzeć do zabudowań przez długą, pustą przestrzeń, gdzie maskował ich jedynie sypiący śnieg.

Ich ciężkie oddechy wydawały się brzmieć jak wystrzały z armat. Przystawali, próbując opanować kołatanie serca i gwizd w oskrzelach, i nasłuchiwali. Potem znów ruszali w drogę, byle szybciej, byle bliżej. W jaśniejącym wolno dniu zamajaczyła przeszkoda.

Przeskoczyli liche, wiekowe ogrodzenie. Teraz szli szybko, z bronią przyciśniętą do boku. W podnieceniu nawet nie czuli jej ciężaru, podobnie jak wagi amunicji zabranej martwemu wartownikowi czy mokrych od śniegu ubrań.

Schyleni jak dwa nocne cienie przypadli ściany. „Pielgrzym” wiedział, co robi, dobrze pamiętał swoje szkolenia. Wskazał na najbliższe okno. Potem w dół. Znak, że cele Sowietów musieli tradycyjnie urządzić w piwnicach.

Wychylił się ostrożnie. Oceniał odległość. Odkręcił kapsel granatu, pociągnął sznurek zawleczeni i odskoczył. Zrobił zamach i długi „tłuczek” roztrzaskał z brzękiem szybą osłoniętą szerebkami kratami.

Obydwaj Polacy padli na ziemię, ściskając uszy dłońmi.

Eksplozja poniosła w pole strumień dymu, szklanych odłamków i drzazg.

– Zaczęło się! – rzucił nieco teatralnie „Pielgrzym”. Nie było czasu na zwłokę.

Odbezpieczyli automaty i osłaniając się wzajemnie, przeszli pod zadymionym oknem na róg, a potem dalej, ku wejściu.



\*

Na dźwięk wybuchu Gorozow o mało nie zadławił się pajdą chleba, którą zuł do wczesnego śniadania – oficerskiej, dużej porcji kiełbasy na gorąco.

Rzucił te frykasy i jak reszta ludzi wypadł na korytarz piętra.

– Skąd strzelają?! – warknął do kłębiących się w panice ludzi.

Podskórnie spodziewał się takich rzeczy, ale łąał siebie za tchórzostwo. Tamci nie mogli się odważyć na atak, nie mieli prawa. Więźnia przecież mieli dostać, ale w miejscu, czasie, i okolicznościach, jakie on wyznaczy. On i nowi dowódcy. Teraz wszystko stawało na głowie.

Druga, a następnie trzecia eksplozja przerwała ten potok rozważań. Dołączyły do nich serie z automatów. Robiło się gorąco.

– Biją chyba z moździerzy! – Rozdygotany chorąży meldował u wejścia. – Wałą po czujkach, od przesieki.

Reszta Sowietów, którzy też przed chwilą jedli śniadanie, już zdążyła złapać za szynel i, co ważniejsze, za broń. Wyszkoleni byli naprawdę wyśmienicie.

– Drużyna do kontrnatarcia! – rozkazał gromko Gorozow.

Czekiści ruszyli posłusznie.

– Obchodzić pozycje! – Dowódca wrzeszczał z piętka niczym ksiądz z ambony. – Uważać na zasadzki. Coś pewno kombinują, ale do szosy musimy mieć dojazd. – Nawet powieka mu nie drgnęła, kiedy kazał im iść bez rozpoznania na diabli wiedzą ilu bandytów.

Znów rąbnęło, znacznie bliżej, ale jakby z innego kierunku. Od stodoły, w której były ukryte auta.

– Radio! – Barczysty oficer wyszukał w tłumie chudego radiowca. – Wołaj Lublin i Polaków, niech dają wsparcie! – Dźgnął go palcem w pierś. – Natychmiast mają podsyłać, kogo się da! Reszta, trzymać dom. Pięciu do piwnicy, nie spuszczać więźniów z oczu. Gdyby im się udało...

– Przygryzł wargę w nieznośnym tik. Przecież ten w piwnicy miał uciec, taki był plan. Zaczął się trząść. Może pozmieniali rozkazy i nic nie powiedzieli?

– Skurwiele! – Łupnął pięścią w ścianę, aż zahuczało. Nie miał zamiaru dać się ustrzelić. A jeśli już, to na pewno nie sam...

„Rozwal!” – w uszach zadźwięczał mu szatański szept. „Rozwal”.

\*

Jedna z sekcji, skryta gdzieś w osłoniętych mrokiem drzewach, urządziła niezłe fajerwerki. Najpierw poszło kilka krótkich serii. Już się nie kryli.

Ścieli wartowników i od razu poleciały „gruszki”. Pociski poniemieckich Panzerfaustów, rzucone na oślep, rwały się po dachach i na podwórzu. Tłukły niezbyt głośno i tylko echo brzmiało, jakby strzelały haubice. Nie musieli celować, mieli tylko napędzić przeciwnikom strachu. Zaraz zresztą zrobiło się białe od dymu. Padające pociski cięły obejście raz za razem. W efekcie żaden Sowiec nie odważył się wyściubić nosa z budynku.

Kiedy Greenman i „Pielgrzym”, zapatrzeni w to ogniowe widowisko, zaczęli godzić się z myślą, że trzeba będzie wyłuskiwać Ruskich jednego po drugim w ciasnej, niebezpiecznej walce we wnętrzach, nagle skrzypnęły drzwi.

Sowieci wypadli masą, krzycząc niemrawo. Może przeczuwali, co się stanie.

Nim Maciej z Karolem zrobili choćby ruch, od strony przesiek, zza linii drzew poleciała długa, prosta seria. Celna. Rozległ się krzyk paniki. Dwa ciała obsunęły się na schody i zjechały

w śnieg. Reszta czekistów rozpierzchła się po ganku, kucając za kolumnkami, ścigana jarzącymi się pociskami.

Karabiny tłukły szeroką linią, podnosząc kurzawę opadającego od ścian tynku. Zielinsky'emu gwizdało nad głową. Przypadł do ziemi.

– Od tyłu, idziemy od tyłu. – Szarpnął go Gładyszak. Dostać kulą od swoich nie bardzo mu się widziało.

\*

Grupa „Anastazego” przywarła do lodowatej ziemi dobry kwadrans temu. Ciągnęło jak diabli, ale oni przestali się ruszać. Właśnie trwał antrakt. Sowietci szybko pochowali się za ciężkie drzwi, chyba dopiero teraz obmyślając, co mają robić.

Strzelec DP ciągle czekał w gotowości, z kolbą na ramieniu. Chciał strzelić jeszcze raz, ale póki nie widział wroga, nie miało to sensu... „Pielgrzym” tak ich szkolił.

Ucichło na te kilka chwil, a od lasu, tam gdzie było miasteczko, dobiegły z wiatrem warkoty silników. Kolejny raz tego ranka.

– Idą od tyłu? – wyrwało się któremuś z ludzi. Dźwignął się na łokcie i odwrócił głowę, niszcząc na moment misterne maskowanie.

– Na miejsce, kurwa mać! – „Anastazy” wyciągnął ramię, gotów ściągać nerwowego żołnierza do parteru. Ludzie odwykali od większych akcji. Nerwy zaczynały brać górę. – Tam pilnuj! – Wściekły starszy sierżant, weteran walk z Ukraińcami i sowiecką partyzantką, wskazał wylot lufy niemieckiego MG.

Był skupiony, a przynajmniej takiego udawał. Bo i jemu włosy na głowie stawały dęba. Tego nie było w planach.

„Za szybko, Boże, za szybko” – dudniło mu pod czaszką. „Sam sprawdzę”. Zerwał się i pochylony ruszył, skacząc od drzewa do drzewa.

Wdrapał się na niewielki wzgórek i zamarł. Serce podeszło mu do gardła.

– Kurwa mać – syknął. Odwrócił się.

Cały oddział patrzył na niego. Pokazał trzy palce i zamachał. Trzech ludzi, którzy do niego podbiegli, też stanęło jak wrytych.

Między ogołoconymi z liści gałęziami, hen w szarzyźnie, pojawiła się wątła tyraliera. Przeciwnik szedł na rympał. Szybko.

– Uważać. – Sierżant przywarł do drzewa, kręcąc głową jak opętany. – Idą na wabia. – Uderzył pięścią w śnieg. Czasu nie było. – Krótkie serie – powiedział przytłumionym, drżącym głosem.

Podniósł dłoń. Przełknął ślinę i zamarł ogarnięty strachem. Dom, Sowietci... To już było mniej ważne. Miał wykonać tylko jeden gest i ściągnąć na siebie wszystkich. Z obu stron.

– Ognia! – krzyknął. Z trzech luf bluznęło prochowymi płomieniami.

\*

– Suki! – Gorozow stanął w połowie stopnia, gapiąc się w ścianę. Gdzieś zza niej doszedł go dźwięk długiej palby.

Przeładował Tokariewa i przeskakując co dwa schodki, pobiegł w dół. Piwnica była spora, murowana i dobrze oświetlana.

Jego bojcy, ukryci przy drzwiach, ślali na oślep krótkie serie i pojedyncze kule. A gdy tylko który się wychylił, padał na ziemię jak długi.

– Otwieraj drzwi i wyciągaj go! – Lufa oficerskiej tetetki wskazała zbite z desek drzwi.  
– Kazaliście pilnować... – Prężący się czekista zrobił zdziwioną minę.  
– Otwieraj, mówię! – huknął Gorozow i zamachnął się, jakby chciał bić na odlew.  
O dziwo, opanował agresję.  
– Tu będą go szukali. Trzeba go zabrać. Na górę albo... – Kolejne wybuchy. – Otwieraj, mówię!

\*

„Pielgrzym” i Karol obeszli gospodarstwo. Wiedzieli, że gdzieś musi być inna droga. Nikt im nie przeszkadzał. Wszyscy kryli się w środku, a huk strzelaniny maskował kroki. Ale bezpiecznie nie było i tak.

Za węglem stała weranda, zavalona śniegiem i resztkami wiklinowych siedzisk. Obrazek jak z dawnej epoki. Karol osłaniał Gładyszaka, celując to w tył, to w górę – wszędzie tam, gdzie tylko mógł pojawić się wróg.

Maciej szarpnął za klamkę, ale drzwi nawet nie drgnęły.

– Psiamac – syknął. Przyklęknął, gotów użyć granatów, ale dojrzał coś w szparze. – Zabarykadowali się.

Na piętrze odskoczyła okiennica.

– Padnij! – wrzasnął Karol i automatycznie uniósł lufę. Posłał dwie krótkie serie, jedna za drugą. Żadna kula nie drasnęła niepotrzebnie tynku. Ten u góry albo dostał, albo bał się wyściubić nosa, porażony celnością.

Zaraz z drugiej strony, od reszty zabudowań, buchnęła salwa. Wściekła i głośna. „Giewont” szarżował. Spóźniony, nie wiedząc czemu, nadrabiał brawurą, imitując atak wielkiego oddziału.

Kilka pocisków przebiło liche deski w oknie na półpiętrze i chwilę później pojawił się tam błąd płomieni. Od góry też już śmierdziało dymem.

– Tam! – Maciej wskazał wielką ścianę murowanej stodoły. Zaczęli szybko czołgać się w jej kierunku.

Sowieci nie spali. Dostali do okien na parterze i piętrze, chcąc odrzucić nowych napastników. Strzały dochodziły z każdej strony, bijąc echem między ścianami.

Polacy od „Giewonta” też nie zostawali w tyle. Tłukli zza murów i z wnętrza stodoły w każde okno tej płonącej pułapki, z którego padał strzał.

\*

Kapitan wyciągnął z cel dwóch mężczyzn. Ten starszy, siwy, był najważniejszy. Drugiego przywieźli mu niedawno i sam nie miał pojęcia, po jaką cholere, ale też wygrzebał go z lochu. A nuż to ktoś znaczny.

Siwy, chudy człowiek, który był pod opieką sowieckich gospodarzy, kulił się i krył głowę dłońmi, ogłuszany dudnieniem strzałów, nie bardzo wiedząc, co się właściwie dzieje. Po kilku tygodniach przyjmowania silnych leków i sztuczek jakiegoś profesora kotłowało mu się w głowie. Nawet kiedy zimna lufa pistoletu została przyciśnięta do jego potylicy, nie od razu to zauważył.

Broń drżała w ręku oficera. Nie sądził, że tak prędko przyjdzie mu urzeczywistnić własny pomysł. Wahał się długo, ignorując krzyki i świst serii pocisków dziurawiących ściany. Nie chodziło o to, że nie potrafił. Zwyczajnie kalkulował, bał się i wściekał.

– Parszywe życie – sapnął.

Jeniec dopiero teraz podniósł na niego przerażone spojrzenie. Dało to Michaiłowi do myślenia – przecież gdyby strzelił, równie dobrze mógłby palnąć sobie w łeb. Do tego się to wszystko sprowadzało.

Trzask na parterze wyrwał go z chwilowej zadumy. Ktoś wrzasnął:

– Granaaat!

Pomieszczeniem zatrzęsło, aż w uszach zapiekło go z bólu. Dym gryzł w oczy, w głowie dzwoniło mu potwornie.

– Do wozów! – Gorozow poderwał się na równe nogi. Reszta obłączonych odwróciła głowy od kolb i szczerbinek, gapiąc się na niego jak na szaleńca. – Tu nas podpała, zabijają! – tłumaczył prędko i nieskładnie. – Trzeba się, kurwa, przebijać! Do drogi. Tam odsiecz... Potem do miasteczka... – Głos uwiązł mu w gardle.

Pomysł był straceńczy, ale nic innego w tym napięciu do głowy mu nie przychodziło. Jeszcze liczył, że będzie szansa przeżyć. Więźnia nie musieli taszczyć. Niech go sobie biorą, jak to było w planach. Za to ten drugi mógł się przydać.

Machnął ręką, uznając, że swoje już powiedział, uderzył więźnia w głowę i pociągnął silnie, aż ten jęknął. Potem zabrał się do następnego. Wykręcił mu rękę i pchnął. Reszta bojców popędziła za nim, nie zastanawiając się zbyt długo.

\*

– Co tak późno?! – „Pielgrzym” precyzyjnie przesunął się między zaparkowanymi ciasno autami sowieckiej *jaczejki*. Pocerwieniwał, krzycząc na „Giewonta”.

– Obława, panie poruczniku – dyszał zbrojny w StG44 chłopak przy wrotach. – Musieliśmy obejść, boby nas... Idą od północy. – Wskazywał niezgrabnie za siebie.

– Ilu? – Pytanie było krótkie.

– Pluton, jak nie więcej... Ale skąd oni, panie poruczniku?

Karol układał sobie to wszystko w głowie bliski paniki, coraz głębiej oddychając. Poczul przeokropne pragnienie, ale w tej koszarnej, ciemnej jamie nie było kropli wody.

– Poruczniku! – „Giewont” zerwał się na nogi. – Idą?! – Gapił się w szparę uchylonych wrót. Wyjście na ogród z domu drgnęło i drzwi rozwarły się z trzaskiem.

Zanim „Pielgrzym” zdołał wykrztusić słowo, z czarnej czeluści domostwa poszybowały dwa małe przedmioty i głucho pacnęły na zmrożoną ziemię. Tamci musieli odczekać, szykować się, bo oba granaty rozerwały się momentalnie.

Polacy krzyknęli, gdy po wybuchu poszło kilka długich strzałów. Wokół panował półmrok. W powietrzu zagotowało się od chaotycznie puszcanych serii.

Szkolenia szkoleniami, instynkt był silniejszy.

Z drzwi na tarasie buchnął dym. Pożar pochłaniał coraz większą część budynku. Z tego tumanu błysnęły wystrzały. Kule poszły gąszczem, tłukąc po ceglach. Ktoś jęknął i osunął się na ziemię. Miał pecha.

Padła krótka komenda i Sowietci wyrwali do przodu. Znów wszyscy razem, choć teraz erkaem prul z okna, osłaniając ich.

– Ognia, chłopaki! – Gładyszak podciągnął MP i walił z niego w Rosjan.

Greenman przywarł do drewnianych wrót, przycisnął kolbę Stena i posłał długi potok ołowiu. Ściął jednego, potem drugiego. Nawet nie spostrzegł, jak drzazgi fruwały mu koło głowy. I tu czyniła śmierdzieć. Ogniki smugowców krzyżowały się w powietrzu, tłukąc po dachu, po belkach, wybijając dziury w ścianach i drzwiach.

U wyjścia z domu wyrosła kolejna postać, bez płaszcza czy cieplejszej kurtki, z gołą głową. Wysoki, barczysty mężczyzna trzymał przed sobą jakiegoś człowieka, jakby sądził, że jest kulo-odporny, niezniszczalny.

Krótkie, krwawe starcie wydawało się prawdziwą bitwą. Barczysty oficer pchał kolejnych ludzi pod ogień. Puszczali kilka kul, padali albo szukali schronienia za schodami, za trupami kompanów, i wracali do domu. Polski oddział trwał na pozycji, choć przybywało rannych, a i amunicja była na wyczerpaniu. Całe podwórze roило się do ciał spowijanych ciężkim dymem i blaskiem strzelających w górę płomieni.

– Padnij! – Karol szarpnął zawleczkę granatu, chcąc kończyć tę nieskładną masakrę.

Nagle cywil w szarych, obdartych spodniach, odziany w wyciągnięty, przetarty sweter i trzymany mocno przez sowieckiego kapitana, ocknął się z otępienia. Kakofonia wystrzałów sprawiła, że obudził się w nim instynkt przetrwania. Wyprężył się tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować. Podbił dłonie oprawcy, ale równie dobrze mógłby boksować się z niedźwiedziem. Nie szczydził sił.

Powietrze zagrzało się od brzęczących pocisków.

Gorozow zdębiał, wyrwany z morderczego amoku. Witold Gródzki, trzymany przez Sowietą, nie poddawał się. Wrzasnął i tyłem głowy strzelił swojego przeciwnika w nos, a potem poprawił łokciem w żołądek. Raz, drugi, trzeci. Kapitan wreszcie się zachwiał.

W tej chwili przez podwórze przetoczył się wybuch. Poleciały resztki szyb. Sowiet krzyknął krótko i przewrócił się na taras. On i jego podkomendni poczuli ciepło i ostre grudki ziemi na twarzach.

Na mgnienie oka wszystko się uspokoiło, ale Rosjanie nie rezygnowali. Też umieli się bić. Z okien poleciały ich granaty.

– Kryj się! – wrzasnął „Pielgrzym”. Huknęło znacznie bliżej niż ostatnio. Przeciągle westchnienie rozeszło się po ziemi. Ktoś oberwał.

Gładyszak zmrużył oczy. Paliło go pod powiekami od prochu i dymu. Płomień migotał gdzieś pod belkami.

Zielinsky z trudem wstawał z ziemi. Ogłuszyło go. Ruszał się i widział wszystko w zwolnionym tempie. Pękające granaty dopełniły obrazu grozy na podwórzu. Odłamki pocięły wszystko wkoło. Niewielu tam, na zewnątrz, jeszcze żyło. Bolszewicy tłukli z okien, ale coraz słabiej, jakby już pewni przegranej.

„Pielgrzym” popatrzył na osmoloną twarz Greenmana. Siłowali się wzrokiem przez sekundę. Żaden z nich nie chciał wystawiać się na strzały, ale lepszej chwili nie było. Karol wygrał ten pojedynek.

– Osłaniaj! – rzucił Maciej.

Zielinsky doskoczył do dziury w drzwiach i wycelował.

– Gotowy! – zameldował.

– Za mną! Marsz! – wykrzyknął Gładyszak i pchnął drzwi z całej siły. Wylecieli czwórka. Poranieni, ale ciągle cali. Greenman omiótł wyższe okna serią, uważając, by nie trafić swoich.

Walili z bioder, tak żeby przestraszyć Sowietów, przydusić ich, odpędzić, ale ci nadal ostro się odgryzali. Z drugiej strony coś puknęło. Jednego Polaka mniej. Drugi rzucił granatem i zniknął w dymie. Trzasnęło odłamkami cegieł. W uszach im zadzwoniło.

„Pielgrzym” dobiegł do ściany, uniósł MP i wsunął lufę w okno. Dokończył magazynek. Szybko, na ślepo. Reszta działała podobnie. Ze środka dolatywały tłumione wrzaski i wyzwiska. Tamci walczyli już tylko o własną skórę.

Zielinsky dołączył do oddziału, pędem gnając przez podwórko. Odbezpieczył granat i wrzucił go do środka. Mury prawie podskoczyły. Ktoś zawył i nagle w budynku wszystko umilkło. Tylko od strony lasu jeszcze huczała strzelanina.

Sowieci, jeśli przeżyli, woleli czekać. Wyjście na zewnątrz oznaczało pewną śmierć.

Greenman podskoczył bliżej drzwi. Potykał się o ciała martwych i konających, posiekane kulami rykoszetów bezładnej strzelaniny i odłamkami. Krew sączyła się po schodach, zastygając w ciemnych kałużach. Nie wzruszało go to, pamiętał takie rzeczy z wojny.

Pod zwałem ciał ktoś się poruszył. Karol podniósł lufę. Spod trupa zwalistego oficera wysunęła się blada dłoń. A zaraz za nią przyprószona sadzą i tynkiem głowa.

Partyzanci „Pielgrzyma” obskoczyli go, gotowi mścić się za pozostałych.

– Zostaw! – Zielinsky złapał za lufę StG. – Zostaw! – Musiał powtórzyć groźniej. – Przeszukać dom – rozkazał, nie patrząc na ludzi z oddziału.

Posłuchali go niechętnie. Było jasne, że w środku czekali jeszcze Rosjanie. Ale pobiegli, wreszcie dając upust wściekłości. Rozległ się tupot ich stóp, a potem głuchoe serie i jakieś krzyki.

Karol pchnął martwego Sowietę i kucnął przy mężczyźnie. Gładyszak nie zwracał na niego uwagi i pobiegł za resztą. Oczy miał dzikie, przekrwione. Jak w bojowym amoku.

Zielinsky gapił się teraz, pierwszy raz tak przerażony tego dnia, na osmoloną twarz człowieka, którego miał przed sobą. Mężczyzna ledwo żył. Brud mieszał się na nim z krwią. Patrzył na Greenmana nieco nieprzytomnie, chyba nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje. Zielinsky go poznał.

– Witek? – Musiał się upewnić.

Jeniec otworzył wolno oczy. Wodził nimi, nie wiedząc, gdzie jest.

– Witek, co ci? – Karol szarpnął jego sweter w histerycznym odruchu.

Gródzki wbił w niego spojrzenie. Był oszołomiony, ale szukał w pamięci, dopasowywał ten głos do dawnych obrazów.

– Char... Charlie – wystękał i uśmiechnął się.

Syknął zaraz i na jego twarzy na powrót pojawił się grymas cierpienia.

– Jesteś sam? – Odgłosy zbliżającej się strzelaniny w lesie nie dawały wiele czasu. – Ktoś tam został? – Greenman potrzasnął Gródzkim.

Witek pokręcił głową przecząco.

– Tylko ja... i on.

Jak na zawołanie z domu doleciał potok wulgaryzmów. „Pielgrzym” wypadł na zewnątrz, taszcząc ze sobą jakiegoś siwego faceta. Usadził go ostrożnie, sapiąc i plując.

– Nie ma! – Porucznik zdawał się być bliski płaczu. – Tylko oni. Jezusie... – Spojrzał na podwórze, na stodołę ukrytą teraz w dymie. – To wszystko... – urwał. Nie mógł dać upustu swoim emocjom przy ludziach. Karol Zielinsky taksował wzrokiem drugiego oswobodzonego jeńca. Wydawało mu się przez chwilę, że zwyczajnie mieszają mu się zmysły.

Facet był brudny, z jego uszu i czoła sączyły się strużki krwi, ale on go znał.

– Pan... – W gardle schło mu coraz mocniej. – Pułkownik Ringwalt? – spytał po angielsku.

Siwy mężczyzna podniósł oczy. Gapił się bezmyślnie, aż wreszcie zrozumiał pytanie. Uśmiechnął się.

– Skąd pan wie? – Przechylił głowę. – Wy po mnie?! – Wstał, jakby cudownie uzdrowiony. Syknął z bólu, złapał się za bok i opadł. – Ranili mnie...

– Co się dzieje? – Gładyszak przywarł do kolumny, ładując pistolet. Patrzył raz na Karola, raz na Ringwalta, który bełkotał coś po angielsku. – Kto to jest, do cholery? – Nic nie rozumiał.

Nikt niczego nie rozumiał. – Gdzie reszta, pozostali? – pochylił się, gapiąc w coraz ciemniejsze od dymu wnętrze domostwa.

– Gdzie inni? – Karol złapał pułkownika za ramiona, jakby jego jęki niewiele go obchodziły. – Gdzie inni? – Szarpał go rozpaczliwie, zadając pytania po angielsku.

– Jacy inni? – Ringwalt nie potrafił zebrać myśli. – Był tylko on... My razem, ale niezbyt długo... – Wskazał głową Gródzkiego.

Obłąd.

– Kurwa! – „Pielgrzym” wydarł się w niebo, gotów pruć seriami z karabinu i bić na odlew. – Pierdolony zdrajca! – Samo wspomnienie „Leona” sprawiało, że krew wrzała mu w żyłach.

– Nieważne, nieważne. – Teraz Zielinsky zaczynał bełkotać bez ładu i składu. – Wiać... Mu-simy wiać...

Z trudem się opanował.

– Wyciągniemy cię. – Zarzucił Stena na plecy i złapał Gródzkiego za przeguby, próbując go unieść. – No już, chodź. – Płątał się w martwych ciałach. – Chodź! – Tłumił wzbierający płacz. W środku się gotował, emocje, które w nim szalały, sprawiały mu ból, przerażały.

Trzymał w ramionach człowieka, który ocalił mu skórę. I dopiero teraz dotarło do niego z całą jasnością, że wczoraj zabił mu brata. Że wziął udział w masakrze... I to wszystko dla dwóch ludzi. Dwóch, z których jeden miał być częścią prowokacji.

– Daj spokój. – Ciało Gródzkiego robiło się bezwładne. – Nie ma co...

Karola zmroziło. Oczy Witka śmiały się, jakby radość spotkania przykrywała nawet ból.

– Wróciłeś do domu, co? – spytał ledwo już słyszalnie Gródzki. – A pamiętasz... szpiedzy... – Trudno było stwierdzić, czy to wspomnienia, czy bezsensowny bełkot. – Oni mi przypomnieli, pytali o was, o Amerykanów. A ja już nie mogłem... – Zamknął oczy i coraz wolniej ruszał ustami.

Jakaś seria z lasu rozbrzmiała niedaleko nich jednym długim trzaskiem.

– Król – warczał „Pielgrzym”. – Kurwa. Bierz tego twojego i wiejemy. Wiejemy! – Pluł z wściekłości. – Chłopaki – zabrzmiało to żałośnie – cofamy się.

Zielinsky stał w miejscu jak słup soli.

– Ruszaj się! – Dowódca szarpał go za kołnierz, ale on niewiele odczuwał.

– Wiedziałeś o tym? – krzyczał mu do ucha Gładyszak. – Sojusznicy pierdoleni... Po co to wszystko?

Zielinsky’emu zmiękły kolana, chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił. Widział tylko, jak Wittek oddycha coraz płycej.

Ringwalt aż usiadł z przerażenia, już nie próbując się odzywać i nie robiąc żadnego gestu.

– Zaraz będą. Trzeba się przebijać. – Człowiek „Pielgrzyma” wskazał na drogę prowadzącą w las. Jakby na potwierdzenie jego słów jakaś kula przecięła powietrze ze świstem. – Potem będziemy się rozliczać!

Gładyszak myślał intensywnie. Rozejrzał się. Łza niemocy napłynęła mu do oka.

– Kurwa mać! Wiejemy – burknął, jakby tylko do siebie. Lufą broni wskazał drzwi do stodoły. – Tam auta...

Puścili jeszcze dla pewności jedną krótką serię po martwych Sowietach i drugą w las, dla postrachu.

Wybór był jeden. Amerykański Dodge. Wgramolili się prędko do wozu. Greenman zasiadł za kółkiem. Wdusił starter. Raz, drugi i nic.

– Działaj, do cholery!

Ludzie na pace pruli plandekę, żeby łatwiej było strzelać. Przecież walka się nie skończyła.

– Działaj! – Karol uderzył nogą i wreszcie się udało. Silnik zachrobotał, puknął i zaskoczył. – Zimny, skurwiel – syknął, wrzucając bieg. – Trzymać się! – rozkazał.

Ringwalt padł na podłogę z rękami na głowie.

Wóz wyrwał do przodu. Zderzak rąbnął w uchylone wrota, aż odskoczyły, łamiąc się z trzaskiem. Ktoś jeszcze do nich bił z płonącego budynku.

Mijali już bramę. „Pielgrzym” niemal zawył, spoglądając na pobojowisko. Docierało do niego z całą mocą, że na darmo tracił ludzi. Że dał się ograć.

Każda minuta przynosiła więcej światła, sączącego się zza ciężkich chmur. Droga była śliska, wozem rzuciło. Greenman odzyskał panowanie nad kierownicą, ściskając usta i tłumiąc przekleństwa.

Wśród drzew pojawiały się kolejne sylwetki. Sowieni i Polacy. Wszyscy czerwoni. Potem tylko błyskały ogniki strzałów.

Karabinowa kula stłukła okienko po prawej.

– Boże! – Zielinsky prawie wpadł pod deskę rozdzielczą. Docisnął pedał. Wóz zawył, ale nie przyspieszył wiele.

Znów poślizg. Ludzi wkoło robiło się coraz więcej i więcej. Rozległ się trzask i rozszedł smród otartego metalu z rozgrzanego sprzęgła.

Karol nie znał drogi, nie szli nią z Gładyszakiem. Na mapie wydawała się króciutkim odcinkiem, tymczasem była lodowatą dłużyzną, pełną zakrętów i chylących się pod ciężarem śniegu drzew.

Z paki bluznęły serie, jedna za drugą, potem rozległy się prośby o amunicję i brzęk padających łusek. Nagle krzyk, cichy, urwany.

– „Zawisza”! – Maciej padł na kolana, by ratować kaprała. Na próżno. Znów przybyło dziur w plandecę. Aż zaświeciło się od długiej salwy, która przeszła po tyle. Karol nawet się nie oglądał.

W oddali widać było szosę. Wóz zawył, popędzany przez przerażonego szofera. Dygotał dziwnie, skrzypiał, jakby miał nie wytrzymać, ale Zielinsky wiedział, na co stać maszynę.

Nagle na środku ścieżki wyrósł człowiek. Na jego białej kurtce widniały wielkie, ciemne plamy krwi.

– Albo oni, albo... – Zielinsky gotów był go rozjechać, zanim tamten strzeli.

Ale człowiek na ścieżce ani drgnął. Uniósł rękę i zaczął gorączkowo machać.

– Boże! – Przyszło olśnienie. Greenman kopnął w hamulec i auto prawie stanęło dęba.

„Anastazy” ledwo trzymał się na nogach. Wzrok miał mętny, broda się mu trzęsła i trzymał się za ramię, choć w dłoni ciągle dzierżył Walthera.

– Po co stajesz?! – wykrztusił opryskliwe pytanie. – Wiejcie, osłonimy! – Uderzył ręką wielkie koło zapasowe przy szoferce.

– Ilu?! – „Pielgrzym” wysunął głowę przez rozdarty brezent.

„Anastazy” milczał.

– Wsiadajcie, damy radę... – Gładyszak sam nie wierzył w to, co mówił.

– Wiejcie, osłonimy was. – „Anastazy” już się pogodził z losem. – Macie ich? – dopytał chyba dla zasady, jakby szukał usprawiedliwienia.

– Tak, mamy, mamy. – Maciej wykrztusił to kłamstwo i ogarnęły go mdłości.

– To morowo. – Króciutki, żalorny uśmiech mignął na ustach sierżanta. – Wiejcie. Nas jeszcze paru zostało... – Skinął w drzewa. Ktoś tam musiał być. Pytanie tylko, czy żywy. – No, co



mówię?! – Machnął bronią, jakby zaczęła go parzyć. – Zabierajcie się!

„Pielgrzym” jeszcze próbował go przekonywać, ale już tylko dla zasady.

– Ratuju dupę... Kartkę przyslij z Londynu albo Nju Jorku... – „Anastazy” odwrócił się na pięcie i wskoczył w zarośla, kiedy znowu się zagotowało.

Karolowi nie trzeba było niczego więcej. Nie trzymały go żadne sentymenty. Wrzucił bieg, docisnął gaz i wóz zatańczył na lodzie. Wytoczył maszynę na szosę. Zdawała się pusta, zasłana świeżym śniegiem, bez śladów opon czy kopyt. Z lasu gruchnęła ostatnia, pożegnalna seria i wszystko ucichło.

– Gdzie?! – rzucił Zielinsky przez ramię. Nie było odpowiedzi. Skręcił na pole. Zaorane, zamrznięte. Pruł na przełaj, w śnieżycę, w wąski pasek lasu po drugiej stronie. Jak najdalej od tego wszystkiego.

\*

Drżał. Nie wiedział tylko, czy jeszcze, czy dopiero teraz. Wszystko wracało. Ludzie, nazwiska, pseudonimy. Aż w głowie wirowało.

Ten cały „Leon”, chłopaki, dziewczyna i Witold... Jego cierpiąca twarz. Nie zdążył odwdzięczyć się za stare czasy. W kilka chwil było po wszystkim, prawie jak kiedyś. Tylko bardziej szarpało duszę.

Wygrzebać płytki nawet dołek w zmarzlinie było wyczynem. Aż pot lał się z niego pod swetrem, ale nie przestawał. Chciał zagłuszyć myśli, uciec na chwilę, dać odsapnąć nerwom. Przerosło go to po stokroć. Pogubił się i wcale nie miał zamiaru dochodzić, co jest czym w tej układance. Sam czuł się jak mały element wielkiej, nieznannej nikomu całości.

Oparł się o szpadel i sapnął.

„Pielgrzym” też popadł w rozpaczliwe odrętwienie. Tyle że on najwyraźniej nie miał już siły na nic. Karol nawet zaczął się obawiać, czy sobie czegoś nie robi, ale... Nie wiedział, jak miałby go pocieszyć. Po tym, co widział? Przecież i jego wrobili. W jakiś przedziwny sposób, ale jednak. Nie potrafiłby wytłumaczyć obecności siwego Amerykanina. Od momentu ucieczki nie odezwał się słowem. Nosili zabitych, ale nie rozmawiali. Gładyszak się załamał. Porucznik, wojownik, bez armii, sprzedany przez swoich i, czego był pewien, sojuszników. Usiadł i patrzył w las, jakby czekał, że wyjdzie stamtąd jeszcze ktoś.

Ci, co przetrwali, prędko odchodzili. Nie mniej załamani, nie godząc się z tym, że już po wszystkim. Taki scenariusz opracowano już dawno.

Oficer siedział z głową wciśniętą w ramiona, błądy, nieruchomy, jakby nie czuł ni wiatru, ni chłodu, skrobiąc paznokciami dłoni i patrząc na dwa zakrwawione ciała ostatnich ze swoich ludzi.

James Ringwalt zasiadł pod ścianą zrujnowanej budowli, niegdyś młyna, i też nic nie mówił. Z początku zadawał mnóstwo pytań, pełen entuzjazmu, ale Zielinsky kazał mu się zamknąć i czekać na swoją kolej.

Zrozumiał, co zaszło, co dla niego zrobili, i milczał.

Karol chwycił pierwszego nieboszczyka za nogi. Powinien się spieszyć, w okolicy robiło się tłoczno, ale z szacunku dla „Pielgrzyma” i tych tu... Należało zrobić to, jak należy.

Poszło sprawniej, niż myślał. Narzucił kurtkę i szalik. Za późno, już czuł, że przemarza. Zrobił krok w stronę Gładyszaka, przygotowany na trudną rozmowę, ale zanim rozchylił wargi, oficer drgnął. Podniósł wielkie, szklące się oczy i pełnym bólu głosem oświadczył:

– Nie jadę.

Greenman nie zareagował. Był przygotowany na opór. Od samego początku. Sam pewnie też nie potrafiłby podjąć decyzji, po tylu latach, tylu historiach, ofiarach...

– Masz tam tego swojego... – Palec „Pielgrzyma” niezgrabnie wskazał Amerykanina, a przez jego pozbawioną do tej pory życia twarz przemknął wyraz niesmaku. – Weź go zamiast mnie. – Zamilkł.

Zielinsky podszedł bliżej i nachylił się.

– Posłuchaj. To jakiś cholerny przypadek. – Przypominało mu się, jak Landas i Stanley odgrywali przed nim komedię. Dawno, daleko, w nowojorskim hotelu. Teraz i on musiał zdobyć się na niezłe przedstawienie.

Nie było to łatwe. I jemu zdawało się, że to wszystko uknuto tam, w Waszyngtonie albo we Frankfurcie. Jeden pies.

– Jeśli to Amerykanin... – Prawie ugryzł się w język. – Mam obowiązek próbować go wywieźć. Ale to na ciebie dostałem rozkaz. – Ściszył jeszcze bardziej głos.

„Pielgrzym” wyglądał, jakby miał eksplodować

– Nie jadę, do kurwy nędzy! – wypalił gwałtownie, aż oczy podeszły mu krwią i łzami.

Greenman odchylił się przezornie, uniósł nawet na chwilę gardę, sądząc, że to początek ataku, ale z Gładyszaka dawno uleciał bojowy nastrój.

– No i pan porucznik widzi... – Karol klepnął dłońmi o uda, niczym pozbawiony innych możliwości człowiek, przyjmując zatroskaną minę. Przeszedł kilka kroków, udając, że rozmyśla.

Gładyszak był na tyle nieprzytomny, że nawet nie śledził go wzrokiem, tylko patrzył na świeżą ziemię. Nie spostrzegł ciosu, który padł na jego kark. Osunął się bez czucia na śnieg.

Zielinsky’ego ścisnęło w dołku. Dotarło do niego, że został sam. Musiał chronić obu mężczyzn, a doskonale wiedział, że nie starczy mu sił na długo. Miał ochotę wyć.

– Synu... – Głos Ringwalta zabrzmiał surrealistycznie. – Pomogę. Zielinsky kiwnął głową na znak, że jest OK, choć tak wcale nie było. Nabrał zimnego powietrza, zacisnął pięści i poszedł przygotować samochód.

\*

Sylwester Barańczak dość dobrze poznał wnętrza podmiejskiej willi. Tyle tylko, że podczas swoich poprzednich wizyt uznawał siebie za osobę wyróżnioną, godną tych luksusów i najwyższego zaufania. Teraz sytuacja była zgoła inna. Piętrowy dom jawił mu się jakoś ponuro, strasznie, nawet w ciepłym blasku słońca, które od kilku dni dawało znać, że przegania zimę.

Kapitan ostukał buty z przedwiosennego błota, otrzepał mundur i z sercem dochodzącym przełyku wkroczył do pokoju, który mu wskazano.

Nie była to przestronna salka, jaką widział za pierwszym razem, a ciasny, zwykły gabinet.

Nie było tłumu specjalistów z Moskwy, a jedynie sam szef. Major Stiepan Zardow.

Ubrany jak miał w zwyczaju, w doskonale dopasowany garnitur, Rosjanin oparł się o biurko, sięgając daleko ramionami. Przez krótką chwilę Barańczakowi wydawało się, że ten gest nie jest bez znaczenia, że to symbol. Pokazuje, jak daleko może sięgnąć sowiecki *razwiedczyk*, i nie o długość kończyn bynajmniej tu chodziło.

– Towarzyszu majorze... – Polak meldował się dziarsko.

– Powitać – odparł gospodarz dość nieprzyjemnie, ale jego bystre oczy nie wydawały się specjalnie groźne. – Czytałem wasze raporty. – Nie tracił czasu na wstępny i ceregiele, którymi zwykle się popisywał, oddając się uciezce budowania „nastroju”.

Złapał jakąś tekturową teczkę, z udawanym obrzydzeniem uniósł dwoma palcami i zaraz

upuścił.

Nie zamierzał proponować Polakowi, by ten usiadł. Było po wszystkim, po zadaniu, czarować już nie musiał, a już wcześniej wszelkie uprzejme gesty uznawał za nadmierną uprzejmość wobec wasali.

– Zdajecie się zdenerwowani. – Zardow zmarszczył czoło, pochylił się i splótł palce na blacie. – Boicie się? Wy? – Nie dał kapitanowi szansy na odpowiedź. – Człowiek tak rzutki, samodzielny i sprawny w działaniu? – Naigrywał się.

Barańczak wciągnął nosem powietrze i nieznacznie się wyprostował. Jak ofiara szykująca się na cios.

Zardow zmrużył oczy, skrzywił wargi w niemal komicznym grymasie i patrzył. Długo, przenikliwie, z widoczną przyjemnością.

Puls Barańczaka przyspieszył, a w głowie mu zawirowało. Trzymał się jeszcze, ale nie wiedział, jak długo da radę. Nie musieli mu nic robić. Sama świadomość tego, co mu grozi, starczyła.

Nie wykonał poleceń, a właściwie zrobił coś gorszego, coś, co w tym systemie było zbrodnią największą. Przekroczył uprawnienia. Uznał, że kiedy stracił swojego człowieka w bandzie, rozsądnie będzie wesprzeć sojuszników oddziałem KBW. I miał rację. W teorii.

Do tego cała ta operacja radzieckim gościom nie poszła, jak należy. Bitwa była duża. Straty spore, choć więźnia odbito. Tak jak zakładali. On przy okazji rozbił bandę, tę jedną jedyłą, którą osaczał miesiącami. Stracił agenta, dowódcy nie znalazł, ale co tam, ważne, że powiodło się wreszcie. Jeszcze liczył po cichu, że za ten wyczyn kara będzie mniejsza. Przecież on to wszystko prowadził, od samego początku. Po raz pierwszy samodzielnie.

Twarcz Zardowa pojaśniała nagle, a zęby błysnęły w uśmiechu. Barańczak poczuł obezwładniającą dezorientację.

– No, wypada wam jednak... pogratulować – wypalił major niespodziewanie.

Kapitan zachwiał się, zapominając, że ma stać na baczność.

– Proszę, siadajcie. – Zardow wyciągnął dłoń, wskazując na najbliższe krzesło. Zrobił się naraź bardziej bezpośredni, a jego głos nabrał cieplejszej barwy.

Polak nie tracił czujności. Przełknął ślinę, jakby wcześniej bał się to zrobić, i pospiesznie wykonał polecenie. Nie starczało mu odwagi na to, by zachować się bardziej swobodnie. Zasiadł wyprostowany, z rękami na udach, jak przerażony uczeń przed belfrem, i gapił się na Zardowa, ciągle niewiele pojmując.

– Zarządziliście patrol, prawda?

Nie miał się co zapierać. Wszystko było dawno wiadomo.

– Tak jest – wykrztusił, czując, że dopiero teraz zaczyna się prawdziwa szopka.

– Pozyskaliście od swojego człowieka informację o przysłanym dywersancie. – Zardow wyliczał z pamięci oczywiste fakty. – Poinformowaliście nas o tym. Bardzo się to chwali. Potem jednak, pomijając drogę służbową, nie informując mnie i dowódców, na własną rękę zarządziliście alarm pododdziału KBW.

– Tak jest! – Barańczak nie zamierzał się bronić i wykręcać.

– No i nawet dobrze. Właściwie tak. Nieplanowany... wyskok. – Zardow pogroził palcem, niby karcąco. – Ale należy się wam pochwała. – Zamachał ramionami, jakby chciał rzucać się przez biurko, by ścisnąć podwładnego. Zaśmiał się przy tym tak głośno i szczerze, że Barańczak po raz pierwszy odetchnął głębiej.

Oparł się wygodniej na krzesło, aż zaskrzypiało, i dyskretnym ruchem połuźnił kołnierz blu-

zy.

Zardow wstał, dając znak, by Barańczak siedział. Był to wyraźny sygnał, że atmosfera robi się już mniej formalna. Podszedł do szklanej karafki, nalał ciemnego płynu do dwóch kieliszków i isticie pańskim gestem podał jeden Polakowi.

– Zastanawialiśmy się z towarzyszami... jak was ukarać, co sądzić o tym wszystkim...

Polak spiął się cały, dopatrując się w tym podstępny, który prowadzi do tego, co od początku zakładał, czyli kary, ale Zardow tylko uśmiechnął się pod nosem i mówił prędko dalej.

– Uznaliśmy jednak, że gdyby nie wy, nie udało by się nam, nie udało.

Ostentacyjnie uniósł szkło ku górze.

– Wasze zdrowie, towarzyszu kapitanie, a kto wie, może i majorze... – dodał z uśmiechem i upił nieco koniaku.

Barańczak jakoś nie poddawał się urokowi chwili. Ledwo zamoczył wargi i nie miało dla niego znaczenia, czy był to prawdziwy koniak, czy woda.

– Pozwólcie, towarzyszu majorze... – Zaczął się wiercić. – Co macie na myśli? Jaki sukces?!

– Chciał coś dodać, powiedzieć, żeby kończyli wygłupy. I jeśli coś mieli do niego, żeby Zardow przestał go dręczyć. Jednak odwagi mu nie starczyło.

– Spokojnie, spokojnie. – Zardow poklepał go po ramieniu. – Udało nam się, towarzyszu kapitanie. Nam, wam, całemu zespołowi – komplementował.

– Pozwólcie. – Barańczak odstawił gwałtownie kieliszek, przyglądził fryzurę i chwilę układał w głowie zdania, które miał zamiar powiedzieć. – Banda dokonała ataku. Odbiła jakiegoś więźnia. Prawda, udało się ich wytłuc, ale straty są duże. Dywersanta nie macie. Jak to rozumieć? – Jeszcze kwadrans temu by się nie odważył na takie słowa.

– A jak wam powiem, że się udało. – Zardow zamachał szkłem. Znów spoważniał, na jego oblicze wrócił chłodny profesjonalizm. – A tak, tak, udało się. Stuprocentowo.

I wyprzedzając kolejne pytania oficera bezpieczeństwa, dodał:

– Sprawa jest i będzie tajna, ściśle tajna, więc czujcie się wyróżnieni. Lubię was, to i opowiem wam co nieco... – rzucił łaskawie. – Wy myślicie, że to miała być prowokacja? Jakiś szum do gazet i radia? Nic z tego. – Mrugnął. – Zaproponuję wam grę, grę w wyobraźnię. Otóż... – Zasiadł znów za biurkiem. – Wyobraźmy sobie, że istnieje potrzeba skierowania do wrogiego nam kraju wywiadowcy... szpiega, choć to brzydkie słowo. Człowieka nieskazitelnego, a mimo to takiego, którego, powiedzmy... – Zagapił się w sufit, szukając odpowiedniego określenia. – Którego można by było przekonać co do słuszności naszej walki o lepsze jutro. – Brzmiało to jak fragment wiecowego przemówienia, ale wydawało się szczere. – I takiego kogoś... pozyskujemy, towarzyszu Barańczak.

Umilkł na chwilę, by upić łyk koniaku.

– Mamy go. Ale to połowa sukcesu. Człowiek ów staje się dla nas skarbem. Przoduje w wykszoleniu, chce działać... – Pod tymi prostymi określeniami kryła się katorżnicza praca sowieckich psychiatrów, o których Polak nie musiał wiedzieć. – No. Ale w tym tkwi szkopuł. Jak takiego przenieść powrotem do jego kraju z nowymi zadaniami, wpleść w siatkę tak, by nie wzbudzić podejrzeń? Zwłaszcza jeśli trochę u nas posiedział? Tu wyobraźni trzeba dużo. Odpowiadam. Należy zrobić tak, żeby druga strona w niczym się nie zorientowała. Mało tego, żeby była przekonana, że nasz nowy przyjaciel pozostał wierny jak pies, i żeby każde badanie, przesłuchanie udowodniało ten pogląd. Tymczasem on zacznie pracować dla nas... – Major oparł się wygodniej, wyraźnie zadowolony. – Pojmujecie czy jeszcze nie? Trzeba było stworzyć warunki, żeby taką ekspedycję wyprowadzić. Bez naszej ingerencji. I to się właśnie nam udało, udało, Sylwe-

ster! – Sowiec klasnął w dłonie, świdrując spojrzeniem Barańczaka. – Wiecie, jaka to doniosła chwila? Przełom, można powiedzieć, w naszej branży. Dlatego też... – Spoważniał. – Wezwalem was tu po to, żeby poinformować was osobiście, jak wielka jest waga tego wydarzenia i w czym braliście udział.

Kończył tę komedię, pewien, że wywarł odpowiednie wrażenie, osiągnął, co trzeba. Mówił szczerze, może nawet powiedział zbyt wiele. Wysunął szufladę i wyciągnął zapisaną kartkę,

– Tu macie zobowiązanie do utrzymania absolutnej tajemnicy. No i formalne teraz zobowiązanie dotyczące współpracy z nami. Porządek musi być, jak mówią Niemcy, *ordnung* w papierach. My dobrych fachowców... szanujemy – łągał. Obie bumagi dawały mu całkowitą władzę nad tym człowiekiem i gwarantowały jego milczenie. – No chyba że nie chcecie? – Przekrzywił głowę.

Barańczaka przytłoczyła powaga chwili. Pracował dla nich, ale żeby przechodzić pod rozkaz w poufnej zależności? Dla niego to było więcej, niż mógł sobie wymarzyć. Rozpocząć, choćby nieoficjalnie, służbę bezpośrednio dla Moskwy... Słyszał o takich, ale samemu... Wyobrażenie o karierze dopadło go naraz wielkim, kolorowym obrazem. W głowie mu zawirowało. Sięgnął po pióro z kałamarza i zaraz podpisał. Złapał kieliszek i wypił duszkiem całą zawartość. Teraz poczuł, jak koniak pali w gardło, i wykrzywił twarz.

– Pozwólcie zapytać... – Alkohol dodał mu nie tylko kolorów, ale i więcej odwagi.

– Słucham. – Zardow składał ostrożnie papier. Teraz zobojeźniał, jakby Polak mało co go obchodził.

– Nie boicie się, że to wszystko zbyt grubymi nićmi szyte? – Polak przysunął się bliżej. – Była walka. Obstawa została zabita...

– Cała. – Padło jedno słowo. Ostre jak nóż. Towarzyszyło mu spojrzenie niemal wilczych te raz, ciemnych i dzikich oczu.

Barańczak wzdrygnął się, jakby zobaczył diabła.

– Jak to cała? – zapiszczał.

– W walce zginęła cała obstawa. Wasi natomiast rozbili bandę. Taka wersja was obowiązuje. I dzięki waszemu rozkazowi akcja nabrała dramatyzmu, jakiego nigdy by się bez tego nie udało osiągnąć. Miejscowy bandzior w areszcie... doskonale to uwiarygodnia. – Zimny, krótki uśmieшек wykwił na twarzy Sowiety.

Kapitan opadł na oparcie, ciągle trzymany na więzi hipnotyzującego spojrzenia, jak ofiara wpatrzona w oczy węża. Kołnierz znów go cisnął, tchu mu brakło. Przecież pamiętał, co się działo, widział, bo i był na miejscu w kilka godzin po wszystkim...

Z sowieckiego pododdziału w walce z bandą padło z piętnastu, może siedemnastu ludzi. Reszta ranna, pokiereszowana, podtruta dymem, ale żywa, kryła się w piwnicy. Zobaczył paru, którzy wychodzili o własnych siłach... Łącznie z dowódcą. Wielkim, silnym chłopem, którego podobno ogłuszył wybuch i odłamki trochę połaskotały. Nieśli go do podstawionego autobusu. Nieprzytomnego, ale żywego.

Teraz oni wszyscy gryźli piach? Palce Barańczaka zacisnęły się na podłokietnikach. Prawda dotarła to do niego, burząc krew. I to spojrzenie Zardowa... To była groźba, ewidentna groźba, ostrzeżenie. O tym całym zamieszaniu nie można było wiedzieć, trzeba było zapomnieć, bo inaczej... Moc sprawcza człowieka przed nim była potworna. Mógł usunąć każdego, kogo chciał. Wszystko dla zadania.

– Rozumiem. – Kapitan kiwnął potulnie głową.

Żadnego innego Polaka nie dopuszczono na miejsce, tylko jego, Sylwestra Barańczaka. Zro-

biło mu się zimno. Teraz już wiedział, że to nie była zwykła akcja. Nie, po takiej nie kazano by mu odwoływać pościgu.

– Ale wasz człowiek był trzymany tutaj? – Mimo strachu chciał się upewnić, że to nie mara, jakaś bujda. – Przecież, jeśli legenda miałaby mieć ręce i nogi, trzeba by było trzymać go u was. Ja wiem, w Moskwie, na Łubiance? – Odważnie wyraził swoje wątpliwości. – Kto z tamtych uwierzy, że figuranta takiej klasy dokowaliście pod Lublinem?

Złowrogie oczy Zardowa błysnęły.

– Kombinujecie całkiem nieźle. – Złożył palce w piramidkę. – A wy skąd wiecie, że on nie z Moskwy? Rozkaz widzieliście? Nie. – Uśmiechnął się, jakby żartował. – A tak w ogóle, to co to ma za znaczenie. A może my ważnych ludzi trzymamy tu, w ukrytych ośrodkach. Do sprawdzenia to niemożliwe, a u wrogów wzbudza ciekawość i każą przekierować siły i środki na rozpoznanie wątku. Wykonujemy zadanie. I dodajemy do niego to, co wychodzi nam doskonale... Dezinformację, kolego. – Zabrzmiało to bardzo poufale. – W czystej postaci. Do tego doskonale przygotowanie figuranta. Będzie łągał, ale przekona wszystkich. – Skinął głową. – Taka technika u nas. – Pogroził palcem.

Barańczak gwizdnął

– Dbamy, dbamy o takie rzeczy. Zresztą – Zardow się odprężył – takich dupereli nikt nie będzie się chwycił. Z Moskwy czy z Lublina? Im to bez różnicy. Wierzcie mi, znam ich, obserwuję. Są lata za nami. Dopiero nas poznają, próbują się zorientować co i gdzie. Są łatwowierni i nie mają szachowego drygu. Nie spodziewają się takich podejść... Nawet jeśli będą się głowili, dociekali, szybko dadzą za wygraną. Dodamy im kilka podpowiedzi, że chcieliśmy go wymienić, przekazać, chuj wie co, i im starczy. Ważne, że legenda jest wspaniała. Wszystko jak należy. Figurant odbity przez polskie podziemie. Że przypadkiem, z pomocą z zewnątrz? Trudno, nawet podnosi prestiż. I jeszcze to całe zamieszanie, wasze pomysły, żeby sprowokować... Wy prości... Wam stanąć na odcisk, a rzucicie się do gardła. – Zachichotał jak dziecko. – Tamci... – wymówił to słowo z lekkim lekceważeniem – o takie rzeczy będą pytali, szukali, niuchali i tylko się utwierdzą w przekonaniu, że to prawda. Im do łbów nie przyjdzie myśleć co innego. Będą sprawdzali, ale wyjdzie na to, że nic a nic z niego nie wyciągnęliśmy. Mniejsza o szczegóły, ale tak będzie, wierzcie mi... A dla was co to oznacza? – zapytał znienacka. – Dla was, polskiej ubeccji? Wy budujecie przecież podziemie na własną modłę. Kontrolujecie, mieszacie, prowokujecie, czyż nie? – Zardow uniósł głos. – To jak prezent dla waszych planów: pokazać tym z Zachodu, że tu po lasach są oddziały, i to takie, co z sowieckim wojskiem się biją. Tylko to podrasować i czekać, czekać, aż przyjdą się łąsić jak zbite psy, żałując, że wcześniej tego nie robili. Potem podadzą jak na tacy siatki, szlaki przerzutu... – Nabrał powietrza, hamując wywody. – No, ale to nie na waszą głowę. Ale zobaczycie, zobaczycie.

Zamyślił się na moment.

– Na razie wiem, że nasi znajomi kilka dni temu trafili nad morze. Są już teraz pewnie w Szwecji. Tam, w Gdyni, działa taka organizacyjka, co załatwia przerzuty. Od pewnego momentu to też nasza... Przepraszam... – Położył dłoń na piersi i uśmiechnął się. – Wasza firma. Nie sprzątajcie jej, bo jest bardzo przydatna na takie okazje. No, Barańczak. – Major wstał i wyciągnął dłoń. – Podziękować wam muszę raz jeszcze. Świetnie się spisaliście, doprawdy, świetnie. Nie zapomnimy o tym, ale powinniście wiedzieć i pamiętać... – Nie musiał kończyć.

Dla Sylwestra Barańczaka wszystko było jasne.

Uśmiechnięta twarz marynarza w grubej flanelowej koszuli wyjrzała zza uchylonych drzwi po raz ostatni.

– Smacznego! – Wskazał na tacę.

Zielinsky uklonił się na odczepnego i dał znak, żeby zamykał. Ani jemu, ani nikomu z całej trójki nie było do śmiechu. Im nikt nie odpalił tłustej doli za przemyt, którą można było przetańcować w którymś z europejskich portów.

Oni wszyscy wracali z wojny. Niby bez wielkich ran, ale i tak czuli się jak kaleki. Ringwałt z trudem znosił podróż. Do Lublina poszło gładko, ale potem... Musiał udawać niemowę aż do samej Warszawy. Ryzykowne i nieomal niemożliwe, ale udało się. Zresztą wydawał się zmieszany, wręcz zagubiony, jakby ta wolność, półwolność go przytłoczyła. W stolicy telefon, potem drugi i umówione spotkanie z kurierem, chyba z ambasady, małym mównym jak ten chłopak w Lublinie.

Przekazał plik pieniędzy i adres jeszcze jednego szofera, który wywiózł wszystkich swoim autem nad Bałtyk. Kilka godzin pędzili przez ciemność po wertepach, w chłodnej budzie z lipną ścianką.

Potem był Sopot, nieduży pensjonat i zaraz spotkanie z ludźmi od „morskiej turystyki”. Zdawali się dziwnie weseli, przez to jakby trefni, ale i Karol, i Ringwałt i – w szczególności – „Pielgrzym” chcieli mieć to za sobą. Gładyszak w ogóle mało się odzywał. Kiedy dotarli do Lublina, chyba przyszło otrzeźwienie i zorientował się, że wszystko skończone i trzeba brać nogi za pas. Zasiał się w lesie, odwykł od miast oglądanych w blasku dnia, od świata. Ból, który czuł w duszy, miał go nigdy nie opuścić, może tylko mógł nieco się przytłumić z upływem czasu. Był sam, to fakt, ale pojmował z wolna, że oni wszyscy tam zostali po to, żeby on mógł wiać. Coś robić. Przynajmniej tak sobie wmawiał, a Zielinsky podsyczał w nim to przekonanie.

Greenman złapał widelec i jakoś bez większej ochoty zaczął bawić się jedzeniem. Niezbyt był głodny. I jeszcze to przekłete bujanie...

– Znałeś go? – „Pielgrzym” zadał pytanie, nie odwracając głowy. Leżał okryty kocem i udawał, że śpi.

– Kogo? – Karol nie złapał od razu.

– Starszego Gródzkiego.

Zielinsky zastygł w bezruchu z kęsem na widelcu. Odłożył go i przełknął, co miał w ustach.

– Przecież wiesz. Mówiłem – zachnął się. Maciej albo udawał, że nie pamięta, albo chciał go podrażnić. Karolowi nie podobał się ten temat. Był zbyt świeży.

– Mówiłeś, mówiłeś. – Gładyszak obrócił się na wznak. Zakrył oczy ramieniem. – Wiesz... Chciałem go u siebie. – Zabrzmiało to jak zdrada wielkiego sekretu. – Pamiętasz... Dobry był z niego kozak. Jeszcze ta przygoda z wami... He, he... – Udał, że się śmieje. – On się nie pochwalił. Tylko... – Nerwowa pauza. – Tylko braciszek opowiadał. Witold wrócił z wojny jako oswobodzony z niewoli. Coś mu odbiło albo nie znał stosunków w wojsku, bo zaczął gadać. Zabrali go do Informacji. Wiesz, co to? Szkolony jesteś. Dwa tygodnie nad nim pracowali. Uznali, że szpieg... Rozumiesz. – Dźwignął się wreszcie i obrócił zarośniętą głowę w stronę Zielinsky'ego. – Nawiązywał kontakty. Bo gdyby uznali, że na całego... Czapa. A tak... Potem był proces, wyrok, degradacja i pojechał na rok... Jak wrócił... Wrak...

– Kurwa – syknął Greenman. – Chcesz poprawiać mi nastrój? – Odwał się, co? – Cisnął tacą, aż Ringwałt podskoczył. Schował twarz w dłonie. – Zamknij się, zamknij – bulgotał.

– Ja nie... nie chciałem. – „Pielgrzym” brzmiał nieszczerze. – Nie wiedziałeś? Wybacz. Powtórz tylko tam swoim, jak to u nas wygląda. Wszystko. Jak nas zmielili, roznieśli... Może su-

mienie ich ruszy, może pomogą jakoś... Choćby rodzinie Gródkich. Choćby im. – Nakrył się kocem po samo czoło i znów udawał, że śpi.

Zielinsky siedział nieruchomo jak gład. Obolały, zapominając o bujaniu, o falach, całym cholernym świecie. Był już innym człowiekiem. Zniknął dawny Karol Zielinsky. Kończyło się stare, zaczynało się nowe. Ciemniejsze, ponure. Przypomnił sobie, co mówił mu jeszcze Landas – to świat luster. Tak, wkroczył w nieprzenikniony świat luster. Ponurych i nieprzyjemnych odbić, kłamstw i oszustw. ■



## EPILOG

Pogrzeb kapitana Sylwestra Barańczaka był dostojny, uroczysty, pełen wielkich słów. Pogrzeżonej w żalu rodzinie towarzyszyli przedstawiciele wojewódzkiego aparatu i warta honorowa. Nie zabrakło przemówień oraz salw.

Żaden z pułkowników i majorów nie krył zadumy, a nawet i niepokoju. Sądziło, że własne zaplecze skutecznie oczyścili, a mimo to w dużym wojewódzkim mieście jeden z najzdolniejszych funkcjonariuszy zginął przed bramą swego domu, zastrzelony przez nieznaną sprawców.

Śledztwo na rozkaz z Warszawy szybko umorzono. Plotka krążąca po ubeckich kantynach i lokalach operacyjnych głosiła, że Barańczak poszedł na współpracę z Moskwą, że czekała go kariera i tak dalej... Ale zaczął paplać o powodach tego awansu. Starczyło kilka zdań, rozmów i już, szast-prast. Kapitan widać nie pomyślał o tym, że nie tylko on dostał propozycję współpracy. Sądził, że jest kimś wyjątkowym. Mylił się.

Wyjątkowych tu nikomu nie trzeba było.

\*

Jadwiga została sama. Dniami i tygodniami po wielkiej bitwie, o której gadali ludzie, drżała o swój los, choć właściwie było jej wszystko jedno.

„Leśni” biorący udział w akcji jakby rozplynęli się w powietrzu. Zginęli albo wyjechali. Nie zegnali się.

Człowiek, którego niemal pokochała, zdradził wszystko, w co wierzyła, i ludzi, którym ufała i starała się pomóc.

Ten niedoszły oficer bezpieczeństwa mógł wystawić kolegów, ale donos na własną dziewczynę nie mieścił mu się w głowie. Podczas pamiętnej wizyty u przebywającego w UB Barańczaka przemilczał, gdzie i u kogo znalazł przybysza. Wymyślił wtedy jakąś bajeczkę. Normalnie to by nie wystarczyło, ale Barańczak widać zbyt był zaaferowany nowinami, by bawić się w szczegóły.

Józef nie wiedział, co ma dalej robić. Przez cały ten czas myślał, że spotyka się z osobą, która go zrozumie, wybaczy podwójne życie. Pracowali przecież dla tej samej instytucji. Szok po odkryciu prawdy był wielki. Dziewczyna, którą wybrał, działała w konspiracji. Zginął, zanim podjął jakiegokolwiek kroki w tej sprawie.

Minał miesiąc, potem drugi. Gdy ucichły echa akcji, Jadwidze pozwolono wrócić do pracy.

Czuła się coraz bardziej samotna i niepotrzebna. Siatki wywiadowcze rozleciały się w proch, a ona nie miała zamiaru wypytywać, czy przypadkiem do czegoś się nie przyda. Bzdura. Ryzyko.

Wreszcie doszła do wniosku, że nie zniesie dłużej tej pustki i tkwienia w murach instytucji, która napawała ją obrzydzeniem. Przecież teraz nie miała już powodu, by tu pracować.

Na wiosnę wyjechała. Znalazła nową pracę, nowego mężczyznę i usiłowała zapomnieć o tym, co przeżyła. I tylko od czasu do czasu wysyłała wdowie po Gródkim kilka złotych.

\*

Karol Zielinsky rozstał się z „Pielgrzymem” i Ringwaltem jeszcze w Szwecji. Odesłano ich do Stanów różnymi drogami. Nie martwiło go to zbyt. Nawet dalsze losy partyzanta mało go

obchodziły. Zbyt był przybity i zszokowany.

Po trzech tygodniach przesłuchań, spisywania zeznań i raportów pozwolono mu na urlop i podjęcie decyzji, czy chce dalej bawić się w historii spod znaku płaszcza i szpady.

Nie potrafił wówczas się zadeklarować, ale wcale nie miał ochoty na powrót, choć przysięga i, co za tym idzie, kontrakt zobowiązywały. Jednak obawa, że Sowieci już dawno mają go w swoich rejestrach dzięki pułkownikowi Landasowi, sprawiła, że szefostwo potraktowało go jako przypadek szczególny. Rozważano nawet, czy jest już spalony, czy dobrze zrobiono, że wybrano go do misji w Polsce, ale w rezultacie uznano go za bardzo wartościową jednostkę i dano mu wybór. Oraz nowe personalia operacyjne.

Katty bardzo ucieszyła się na jego widok. Ostatni raz przeżywała taką radość po jego powrocie z wojny. On też czuł się wspaniale w jej ramionach, ale nie potrafił ukryć, że coś w nim pękło, zmieniło się.

Żona знаła go dobrze. Dostrzegła, że nie jest już tym samym człowiekiem, lecz milczała. Czekąca na dzień, w którym sam jej wszystko opowie.

Na razie jednak mówił tylko o nudnej służbie w strefie okupacyjnej. Przez kilka pierwszych dni obezwładniał go otaczający świat. Wszystko, co było kiedyś normalne, teraz zdawało mu się nieopisanym, niezaskuszonym luksusem.

Czasem nocami, dusząc w sobie wspomnienia o ludziach tam zostawionych, patrzył w okno. Dostał porządnie w kość, ale przecież sam się o to prosił.

Liczył na to, że kiedyś zobaczy „Pielgrzyma”. Właściwie nie wiedział, dlaczego mu na tym zależy. Dziękował Bogu, że jego własna rodzina nie musi żyć tak jak ludzie w starym kraju. Zraz też przychodziła ponura myśl, że to wszystko, co zdobył, co posiadał, nie jest niczym pewnym ani stałym. Że świat wypełniają nieopisane dramaty, o które on sam tylko się otarł.

Jeśli chciał mieć choć cień pewności, że ani Katty, ani Josephowi, ani rodzicom nie przyjdzie cierpieć, musiał brać się z tamtymi za bary. Póki byli daleko.

Decyzja zaczynała w nim dojrzewać.

\*

W ten ciepły, niewyróżniający się niczym szczególnym wiosenny dzień 1954 roku oficer dowództwa lotnictwa strategicznego sił powietrznych USA wrócił po pracy do domu.

Żona przywitała go czule. Tak jak zawsze od jego powrotu po długim, tajemniczym pobycie w Europie i strasliwym wypadku. Mąż nigdy nie opowiadał o tym, co tam zaszło, a ona nie dociekała.

Obiad jeszcze nie był gotowy, więc amerykański generał spokojnie przebrał się w nieco wygodniejsze, domowe ubranie, zapalił cygaro i włączył telewizor.

Wiadomości z Europy były bardzo interesujące. Wojna w Korei skończyła się niecały rok temu, ale jej echa miały rozbrzmiewać jeszcze długo. Na ekranie pojawiły się migawki z brytyjskiej bazy RAF w Abingdon, gdzie w asyście kompanii reprezentacyjnej, w obliczu dziennikarzy i rodziny, w glorii bohatera po kilkuletniej niewoli w rękach komunistów powracał Brytyjczyk George Blake, dawny wicekonsul w Seulu, a tak naprawdę oficer brytyjskiego wywiadu. Witano go jak bohatera.

Amerykańskiego generała bardzo to zainteresowało. Nawet wołania żony, żeby siadał do stołu, nie zrobiły na nim wrażenia.

Pochylił się, podparł głowę na dłoni i patrzył jak zahipnotyzowany. Nie wiedział, co to było, ale jakiś szczegół, coś w tym chudym człowieku przykuwało jego uwagę. Czuł, że mają ze sobą

wiele wspólnego.

I miał rację. George Blake przybywał do domu nie tylko jako bohater, ale też sowiecki szpieg. Przygotowany do pracy dla Moskwy. Niewiele było w tym jego zasługi, bo nigdy nie zdobyłby się na coś takiego. Ale zdanie Blake'a tak naprawdę się nie liczyło.

W ten wiosenny dzień w Anglii pojawił się człowiek, którego misja, tak jak pranie mózgow tysięcy jeńców koreańskiej wojny, zaczęła się zupełnie gdzieś indziej. O wiele wcześniej.

KONIEC

## SPIS TREŚCI

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Epilog](#)